



ADAM KARCEWSKI

# MATRIOSZKI

*Oficynka*

ADAM KARCEWSKI

# MATRIOSZKI



*Oficyna*

Copyright © Oficynka & Adam Karczewski, Gdańsk 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2018

Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione w niniejszej książce są wytworem wyobraźni autora.

Redakcja: zespół

Korekta: Joanna Nowak

Skład: Piotr Geisler Intergraf

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Zdjęcia na okładce: © Alberto Chagas | Depositphotos.com

© Vesnafoto | Fotolia.com

ISBN 978-83-66613-18-8



*Oficynka*

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

*Moim Rodzicom*

# Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Trójmiasto](#)

[Epilog](#)

[Oficynka zaprasza](#)

# Prolog

*Marzec 1945 roku.  
Pomorze Gdańskie (Prusy Zachodnie)*

Mały Johann siedział w kącie ziemianki i z zainteresowaniem wpatrywał się w chybotący płomień świecy. Co jakiś czas rzucał ukradkowe spojrzenie na tulącą się do ojca matkę i nieświadomą niczego, bo mającą dopiero niecały roczek, siostrę. Rodzice najwyraźniej się bali. I to było dla małego Johanna całkowitym zaskoczeniem. Zwłaszcza ojciec. Ten potężny, blisko czterdziestoletni mężczyzna, którego kochał ponad wszystko. Największy bauer w okolicy. Który jednym uderzeniem pięści potrafił powalić na ziemię uchylającego się od pracy robotnika – teraz się bał! I to małemu Johannowi zupełnie nie mieściło się w głowie.

W pobliżu znowu nastąpiła eksplozja. Ziemianką jakby zakołysało, a spomiędzy belek chroniących sufit posypała się ziemia. Ojciec, który zamiast brunatnego munduru ze swastyką, miał teraz tylko zwykłą cywilną koszulę, omiół pomieszczenie dziwnie wystraszonego wzrokiem i zaklął bezgłośnie pod nosem, a matka, nie mogąc opanować ogarniającej ją paniki, zaczęła się cicho modlić i szlochać.

Gdzieś tam na górze toczyła się wojna, a w pobliżu ich gospodarstwa przebiegała linia frontu. Johann nie do końca wiedział, co to wszystko dla nich oznacza. Rozumiał tylko to, co wielokrotnie słyszał z ust ojca. Że ich niezwyciężona niemiecka armia, ich wermacht, dowodzony przez wielkiego wodza Adolfa Hitlera, walczy teraz na śmierć i życie z Ruskimi. Dzikimi Hunami, którzy przybyli tu ze Wschodu, żeby zniszczyć ich cywilizację i wyrzucić z własnego domu. I że Hitler już wie, co robi, i że ci barbarzyńcy dalej już na pewno nie przejdą. Chłopiec nie rozumiał

tylko, dlaczego w takim razie jego ojciec teraz tak bardzo się bał.

Nagle coś głośno uderzyło o drzwi. Jakby ktoś mocno kopnął w nie butem albo rzucił z bliska ciężkim kamieniem. Wszyscy aż podskoczyli z zaskoczenia.

- Cisza! - syknął ojciec i naśliniwszy palce szybko zgasił świecę.

Zapadła nieprzenikniona ciemność i Johann mimowolnie poczuł, jak gdzieś przez skórę, nieświadomie i błyskawicznie, do jego ciała też wkrada się strach. I był on inny od tego, jaki już znał i odczuwał wielokrotnie przed ojcem, kiedy tylko coś przeszkrobał. Bo chociaż ojciec był naprawdę surowy i zawsze karał Johanna dyscypliną, to teraz „ten strach” to było coś zupełnie innego. Jego dziecięce lęki zostały zastąpione przez coś o wiele potężniejszego. Coś, co sprawiło, że serce łomotało mu w piersiach szybko i głośno, jakby miało zamiar wyskoczyć z niego na zewnątrz.

Zaprzagnął przytulić się do któregoś z rodziców. Zapytać, co się z nim dzieje, ale nie potrafił zdobyć się nawet na otwarcie ust. Siedział dalej w swoim kącie i niewidzącymi oczyma wpatrywał się w miejsce, gdzie powinny być drzwi.

Znowu coś w nie załomotało. Tym razem nie było to jednak pojedyncze uderzenie. To była cała kanonada, jakby grad wielkości kurzych jaj zaczął bębnić po grubym szkle.

- Otwieraj, skurwysynu! - Johann rozpoznał głos po drugiej stronie. Bez wątpienia należał do Gerarda. Robotnika zatrudnionego w ich gospodarstwie. - Otwieraj, bo rozwalimy drzwi!

Spojrzał na miejsce, gdzie powinien znajdować się jego ojciec. Nie widział go w panujących ciemnościach. Dlaczego siedział bez ruchu i nic nie mówił? Dlaczego nie kazał mu odejść? Dlaczego natychmiast nie ukarał tego głupiego Polaka?

Za drzwiami dało się słyszeć głośną wymianę zdań. Podniesione męskie głosy i piskliwe kobiece krzyki. Tym razem rozpoznał głos służącej matki. Krzyczała coś po kaszubsku i Johann nic nie mógł z tego zrozumieć.

W drzwi znowu coś gwałtownie i mocno uderzyło. Wystraszony chłopiec zeskoczył z ławki i niechcący przewrócił taboret ze zgaszoną świeczką, wzbudzając tym dodatkowy hałas. Zaprzagnął wtulić się w ramiona ojca i chociaż na chwilę przestać się bać. Kolejne uderzenia zadudniły o drzwi.

- Zabijemy cię, ty faszystowska świni! - ryczał po polsku rozwścieczony Gerard. - Zaszlachtujemy jak tego tłustego wieprza w zeszłym tygodniu!

Johann po omacku doczołgał się do ojca. Podniósł się na kolana i z przerażeniem odkrył, że ojciec cały się trzęsie.

- Tato - szepnął z wyrzutem.

- Cicho, synku. Nic nie mów.

Ojciec objął go mocno i przytulił do piersi. Był mokry od potu. Chłapanie matki zmieniło się w głośne łkanie. Mała Dora zaczęła płakać. Drzwi dudniły głucho od miarowych uderzeń.

- Siekiery - wyszeptał ojciec i drżącymi rękoma sięgnął do kieszeni po zapalki. Po chwili pomieszczenie rozjaśnił nikły płomień. Ojciec pochylił się i podniósł z klepiska ubrudzoną świeczkę. Zapalił ją i Johann ujrzał wykrzywione przerażeniem twarze matki i ojca. Obydwoje aż dygotali ze strachu.

Do wnętrza ziemianki sypnęły się pierwsze wióry z rozbijanych drzwi. Matka instynktownie nakryła córkę ciemnozielonym szalem i rzuciła się w najciemniejszy kąt, gdzie zaczęła wyć jak potępiona, klnąc i modląc się głośno na przemian.

Drzwi pod wpływem kolejnych uderzeń w końcu ustąpiły i wpadły częściowo do środka, a w nich stanął potężny mężczyzna o ziemistej cerze i tępej twarzy.

- Ty szwabski skurwysynu! - ryknął. - Tyle lat! Tyle lat życia gorszego niż życie psa!

- Gerard... Ja...

- „Pan” Gerard! Ty hitlerowski pomocie! Myślałeś, że nie wiemy o tej twojej szcurzej norze?!

Za jego plecami tłoczyli się inni polscy robotnicy oraz kilka kobiet pracujących w ich domu. Część z nich trzymała w rękach widły albo kłonicę, niektórzy siekiery i noże. I wszyscy mieli oczy pełne nienawiści.

Bauer nie był tym zdziwiony i nie oczekiwał od nich litości. Od samego początku wojny, od września 1939 roku, czyli od blisko pięciu lat, dokładał wszelkich starań, aby każdy dzień ich życia zamienić w piekło na ziemi, a ich samych sprowadzić do roli bezmózgich niewolników. To od jego kaprysu i humoru często zależało ich być albo nie być. I dla wielu z nich i ich rodzin jego zły humor skończył się rodzinnym dramatem, pobiciem w trakcie przesłuchania albo wywózką do obozu koncentracyjnego, co w efekcie i tak dawało taki sam wynik. Śmierć!

- Panie Gerardzie... - zaczął ponownie bauer, jękając się z nerwów. - Ja...

- Gadaj po swojemu, niemiecka świnio! - przerwał mu któryś z robotników. - Dopiero teraz przypomniałeś sobie, że potrafisz też po polsku?! Ty nie masz już prawa mówić po naszymu!

- Ja przepraszam. Ja musiałem...

- Mojego brata też musiałeś?! - ryknął ktoś z tłumu. - Musiałeś go wydać gestapo?! Umarł w dwa dni po powrocie z przesłuchania!



Przez dwa dni konał w męczarniach! Wszystko miał połamane! Był tak zbity, że nie mógł nawet leżeć bez bólu! Umarł, rzygając i srając krwią! I za co, bydlaku?! Za to, że nie zdjął przed tobą czapki?! Czy za to, że przed wojną dobierał się do twojej żony?!

Bauer nadal się trząsał, ale widząc, że jego dawni robotnicy nie rzucili się na niego od razu i nie utłukli go jak wściekłego psa, zaczął wierzyć, że może ocali chociaż swoją rodzinę. Że może jednak ich gniew i nienawiść skupi się tylko na nim.

- Wybaczcie... - omiótł przybyłych błagającym wzrokiem. - Ja...

- Jestem Polką - szepnęła w tym momencie piskliwie z kąta ziemianki jego żona. - Jestem przecież Polką!

Podniosła wysoko głowę, jakby olśniona swoim odkryciem. - Znacie mnie! Jestem z domu Nowak! Ja...

- Jesteś dziwka! - przerwał jej ktoś brutalnie. - Skurwiłaś się z tym hitlerowcem i chociaż widziałas, co wyczynia, to nic nie zrobiłaś, żeby przestał! Twój syn doniósł na mojego Władka, że w szkole mówił po polsku! Stłukli go jak psa. Chłopak stracił wszystkie zęby i tydzień przeleżał w łóżku, zanim mógł wstać!

Większość tych ludzi nie mogła im wybaczyć i zrozumieć. A przecież przed wojną byli sąsiadami. Wszyscy się znali. Kłaniali się sobie, wymieniali codzienne uprzejmości. On pił z nimi piwo i wódkę w tej samej karczmie. Chodził do tego samego kościoła i nigdy nie uskarżał się na panujące stosunki narodowościowe ani na polski ucisk niemieckiej mniejszości. Przecież ożenił się właśnie z nią. Polką! Dziewczyną z sąsiedniej wsi.

A potem okazało się, że już od kilku lat był członkiem niemieckiej NSDAP i miejscowym przywódcą powstałego we wrześniu 1939 roku Selbstschutzu, organizacji paramilitarnej, przygotowującej się do przejęcia władzy po „odzyskaniu” przez nich „polskiego korytarza”. To on pomagał przy przygotowywaniu listy polskich i kaszubskich działaczy społecznych. I to on był odpowiedzialny za wysłanie ich wszystkich do Piaśnicy. Miejsca kaźni tysięcy Kaszubów i Polaków z całego polskiego Pomorza.

- Zabiję całą twoją rodzinę! - wycodził przez zaciśnięte zęby Gerard. - Nienawidzę was!

- Błagam...

W tym momencie gdzieś na zewnątrz rozległa się seria bliskich wystrzałów z broni maszynowej i do ich uszu dotarły krótkie wojskowe komendy wydawane w języku rosyjskim przeplatane dziwnymi szcześliwymi odpowiedziami. Zaskoczony Gerard obejrzał się. Ludzie patrzyli po sobie niepewnie i nagle rzucili się gwałtownie do wyjścia. I w tym momencie w pobliżu eksplodował granat. Spadające odłamki zasypały wybiegających. Krzyki rannych

i przerażonych ludzi mieszały się z odgłosami wystrzałów.

- Zostańcie tutaj! - krzyknął bauer do żony i podczołgał się ostrożnie do wyjścia.

A kiedy wychylił tylko głowę za drzwi, zobaczył piekło. Ciemność nocy rozjaśniona była przez palące się zabudowania jego gospodarstwa i opadające na spadochronach race świetlne. Pozostawieni sami sobie i wijący się z bólu ranni błagali innych o pomoc. Ale ci przerażeni biegali bezładnie po resztkach zabłoconego śniegu i padali od kul lub byli tratowani przez uwolnione z obory kwiczące z przerażenia konie i ryczące krowy. Uwięziony na łańcuchu i pozostawiony przy palącej się chałupie pies wył jak potępiony, wprowadzając do tego obrazu grozy dodatkowy element rozgrywającej się właśnie apokalipsy.

- Boże... - szepnął bauer i wrócił z powrotem do ziemianki. Spojrzał na trzęsącą się nadal żonę i płaczące wystraszone dzieci. Zacisnął mocniej zęby. - Idziemy! - warknął do nich cicho i złapał żonę za ramię. Ta jednak opadła bezsilnie z powrotem na ziemię.

- Nie dam rady - jęknęła.

- Wstawaj! Bo nas zabijają!

- Nie zabijają. Jestem Polką - jęknęła.

Poczuł gwałtowną falę zalewającej go wściekłości. Uderzył ją w twarz.

- Teraz sobie o tym przypomniałaś, suko? Wstawaj!

Kobieta wzięła córkę na ręce, podniosła się i zrobiła dwa niepewne kroki w kierunku wyjścia. W tym momencie na zewnątrz rozległa się kolejna seria z automatu i zanim zdążyli wyjść, w drzwiach stanęło dwóch żołnierzy w długich zgniłozielonych szynelach, okrągłych hełmach z wielką czerwoną gwiazdą na przodzie i z charakterystycznymi pepeszami w rękach. Ich skośne oczy Azjatów zza dalekiego Uralu patrzyły na nich czujnie i z lekkim zaciekawieniem.

Tym razem Bauer nie stracił zimnej krwi.

- My Polacy! - podniósł uspokajająco rękę i wskazał swoją rodzinę. - Polacy! - mówił cichym, łagodnym i potulnym głosem po polsku.

Jeden z żołnierzy kiwnął powoli głową na znak, że rozumie, ale mimo wszystko nie opuścił wymierzonej w nich broni. Zatrzymał za to dłużej swój wzrok na żonie mężczyzny. Bauer zauważył to spojrzenie.

- Moja żona - lekko zdenerwowany przełknął głośno ślinę. Słyszał od uciekinierów z Prus Wschodnich opowieści, co sowieccy żołnierze robią z niemieckimi kobietami. - Moje dzieci.

Żołnierz znowu kiwnął ze zrozumieniem głową i nie spuszczał

kobiety z oczu, zrobił ostrożny krok do tyłu. Najwyraźniej zawiedziony, chciał się już wycofać, lecz wtedy tuż za nimi rozległ się lekki rumor i do środka ziemianki wpadł trzymający się za krwawiący brzuch Gerard.

- To Niemcy! - krzyknął, wskazując oskarżycielsko bauera. - Niemcy! Volksdeutsche! Pieprzone hitlery!

- Zamknij się, Gerard! - ryknął bauer i spróbował rzucić się na niego. Lecz sowiecki żołnierz bez chwili zastanowienia trzasnął go brutalnie kolbą karabinu w twarz, przewracając go na ziemię. Jego żona znowu wybuchła głośnym szlochem. Zalany krwią Niemiec spróbował podnieść się na nogi, lecz natychmiast został bezceremonialnie przygnieciony butem do ziemi.

- Nie lzja! - szczechnął tylko sowiet groźnie, po czym kiwnął porozumiewawczo głową w kierunku swojego kolegi. Ten kopnął leżącego bauera w żebra i kręcąc przecząco głową, wskazał na drzwi. Jednocześnie na migi kazał Gerardowi wyprowadzić płaczące dzieci.

Zdezorientowany Polak rozejrzał się niepewnie po wszystkich, jakby nie rozumiejąc, czego od niego oczekują, aż zniecierpliwiony żołnierz krzyknął:

- Dawaj! Dawaj, Poljak! - i jednoznacznym ruchem broni pokazał, co robi, jeżeli ten się nie pośpieszy.

Gerard podbiegł do trzymającej kurczowo córkę kobiety i spróbował wyrwać ją z jej rąk. Ta jednak rzuciła się ponownie na ziemię i przygniotła ją całym swoim ciężarem.

- Nie dam! Nie oddam! - krzyczała rozpaczliwie po polsku, zasłaniając sobą dziecko.

Gerard zawahał się na moment i w tej chwili otrzymał potężny cios kolbą karabinową w plecy. Upadł prosto na leżącą i trzęsącą się w spazmach płaczu przerażoną kobietę. Od razu uniósł się na kolana i wycedził tylko krótko:

- Dawaj je!

I podniósł ją brutalnie do góry, oderwał od niej dziecko i odrzucił z powrotem na ziemię. Kobieta zerwała się i wyjąc wściekle, rzuciła się rozpaczliwie z rozwartymi rękoma w jego kierunku. Jej paznokcie wryły się w policzki mężczyzny i rozorały je niemalże do żywego mięsa. Rozbawieni żołdaci zarechotali złym śmiechem.

- Niemiecka suka! - zaryczał Gerard i strząsnął ją prosto w objęcia żołnierzy. Kilka sekund później wybiegał już z płaczącą dziewczynką na zewnątrz.

Przerażony bauer wykorzystał fakt, że uwaga żołnierzy skupiła się na jego żonie, i wyczołgał się tuż za uciekającym Gerardem,

pozostawiając kobietę wraz z synem na pastwę spragnionych jej wdzięków Azjatów. Orzeźwiony chłodnym powietrzem, pędził, zataczając się niby pijany do oddalonego o jakieś dwieście metrów lasu. Biegł najszybciej jak tylko potrafił i nie zważając na wszystko, co się dookoła niego działo, szlochał nad swoją słabością, przeklinał swój los i własne tchórzostwo. Zostawił tam przecież żonę i syna! I nie miał odwagi wrócić, by choć spróbować o nich walczyć!

Dobiegł do pierwszych drzew i upadł bezsilnie na kolana. Jego piersią wstrząsnął szloch bezsilności, upokorzenia i poczucia niepowetowanej straty. Łzy same ciekły po policzkach, a dłonie zaciskały się i rozkurczały na grudach zmarzniętej ziemi.

- Nie mam już syna - jęczał. - Nie mam już córki.

Mimo hałasu wystrzałów, ryku przerażonego bydła i trzasków dopalających się belek usłyszał rozzwierający krzyk. Znowu nie miał wątpliwości. To była jego żona. A potem poczuł z tyłu na karku dotyk chłodnego metalu.

- Hände hoch!

Uniósł posłusznie ręce do góry i przymknął zrezygnowany łzawiące oczy. Był u kresu. Miał dość! Nie interesowało go nawet, kto tym razem mierzy do niego z broni. Było już mu wszystko jedno, kto go w końcu zastrzeli. Polacy, Rosjanie czy Niemcy. Nie miało to przecież żadnego znaczenia.

- Herr Zygfryd Stolz? - chrapliwy i pewny siebie głos sprawił jednak, że przeszedł go dreszcz nieoczekiwanej radości. Znał przecież jego właściciela! To musiał być on!

-Tak! - odpowiedział pośpiesznie. - To ja!

Chciał się odwrócić, ale poczuł jak zimny metal jeszcze mocniej zagłębia się w jego szyi.

- Gdzie skrzynia? - pytanie zadane było spokojnie. Bez żadnej nerwowości czy pośpiechu.

- Zakopana w sadzie.

- Prowadź!

- Ale mój syn i córka...

- Zajmiemy się nimi. Ale najpierw skrzynia!

Ucisk na karku ustał i bauer podniósł się z kolan. Powolnym ruchem odwrócił się i zobaczył stojących w rozproszeniu kilku mężczyzn ubranych po cywilnemu i uzbrojonych w pistolety maszynowe z zatkniętymi za pasy granatami. Jego rozmówca był jedynym, który dysponował zwykłym waltherem i który ubrany był w wojskową czapkę i czarny skórzany płaszcz z czerwoną opaską ze swastyką na rękawie. A te jego oczy! Mimo ciemności dostrzegł w nich obezwładniającą wręcz siłę i bezwzględność.

- Nie bój się - mężczyzna mówił uspokajająco. - Wskażesz nam

tylko, gdzie zakopałeś skrzynię, i potem zajmiemy się twoją rodziną.  
- Widząc wahanie bauera, dodał: - Pośpiesz się, przyjacielu. Nasza organizacja nigdy nie zostawia swoich ludzi w potrzebie! Ale Ruscy nie dadzą nam zbyt dużo czasu.

Bauer skinął ze zrozumieniem głową i ruszył pośpiesznie w kierunku znajdującego się obok domu sadu. Idąc, czuł na sobie świdrujący wzrok tajemniczego mężczyzny. Spotkali się tylko jeden raz i miało to miejsce nieco ponad pół roku temu. Pamiętał to dokładnie, bo od tego czasu żył w ciągłym strachu. To przez tego człowieka, przez złożoną mu przysięgę, nie mógł stąd uciec już dawno, dawno temu. To dla niego warował tu jak pies, czekając aż w końcu ktoś się do niego zgłosi. I kiedy myślał już, że poświęcenie jego i jego rodziny poszło na marne, ten mężczyzna się zjawił! I to we własnej osobie!

Szedł szybko. Prawie biegł. Kątem oka widział, jak idący za nim mężczyźni strzelają do wszystkiego, co się rusza, zabijając dezorientowane i przerażone zwierzęta oraz dobijając leżących w pobliżu rannych ludzi. Mimowolnie spojrzał w kierunku nieodległej ziemianki. Tylko z najwyższym trudem powstrzymał się od ponownego wybuchu płaczu i od rzucenia się biegiem w tamtą stronę. Musiał być silny. Nie zareagował nawet, kiedy zobaczył z bliska swój spalony doszczętnie dom i leżącego bez ruchu przy nim nadpalonego ogniem Burka. Dopiero widok obnażonej i najwyraźniej zgwałconej kaszubskiej służącej, która wiała się teraz półprzytomna z bólu w przydrożnym rowie, przywiódł mu na myśl podobny obraz jego żony. Usłyszał kolejny strzał i półnaga kobieta znieruchomiała. Zaciśnął jeszcze mocniej zęby. Pół minuty później wskazywał miejsce, gdzie kilka miesięcy temu zakopał tajemniczą skrzynię.

- To tu! - powiedział krótko.

Mężczyzna gestem nakazał swoim ludziom przystąpić do pracy. W ich rękach pojawiły się małe saperki i zaczęli pośpiesznie kopać.

- Mówiłeś o tym komuś? - dobiegło go pytanie.

- Nie.

- I nikt ci nie pomógł?

- Nie.

- Na pewno?

- Nie odważyłbym się!

- W porządku.

Łopatki zastukały o coś twardego.

- To ona - szepnęła nabożnie bauer.

Kopiący przyśpieszyli ruchy i kilka minut później wydobyli z ziemi niewielką metalową skrzynię zamkniętą na dwie solidne

kłódki. Mężczyzna przyklęknął przy niej i wyjąwszy niespiesznie z kieszeni płaszcz małe kólecze z dwoma kluczami, otworzył metalowe wieko. Jeden z jego kompanów poświecił mu mdłym światłem latarki.

Bauer chciał zerknąć do środka, lecz powstrzymało go krótkie i wrogie warknięcie:

- Nie patrz!

Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Właśnie zdał sobie sprawę, że pół roku temu chyba popełnił jednak błąd. Niepotrzebnie się zgodził na współpracę z tym człowiekiem i mu zaufał. Po tym jednym krótkim warknięciu zrozumiał, co teraz najprawdopodobniej nastąpi. Walcząc z ogarniającą go paniką, spróbował wymyślić jeszcze jakiś ratunek. Może dobrze byłoby powiedzieć im, że w lesie ukrył jeszcze trochę kosztowności? Ale w tym stanie ducha nie był do tego zdolny. Przeszedł go tylko kolejny nieprzyjemny dreszcz. Zresztą... - przemknęło mu przez głowę - jest już za późno. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Jeżeli w tej skrzyni jest to, o czym on myśli, to on na ich miejscu postąpiłby pewnie tak samo.

Starając się odwlec jak najdłużej nadchodzący moment, odwrócił się powoli w kierunku ziemianki i nie patrząc na nich, zapytał drżącym mimowolnie głosem:

- To pomożecie mi?

- Jasne...

W tym momencie jego pęcherz nie wytrzymał napięcia i mokra struga uryny rozpląnęła się mu po udach i kroczu, znacząc je wyraźnym i wstydliwym śladem. Zaraz potem rozległy się dwa szybko następujące po sobie strzały, a trafiony w plecy Bauer osunął się bezwładnie na ziemię. Padając, jęknął jeszcze i wymówił bezgłośnie imię swojego syna.

- Johann.

Przez krótką chwilę wszyscy patrzyli na niego w milczeniu, a kiedy przestał się już poruszać, padło krótkie pytanie:

- Co z jego żoną i dziećmi? Zaufamy mu?

- Nie! Mamy trochę czasu. Zajmiemy się nimi! - I ruszyli w kierunku ziemianki.

Szli w rozproszeniu, ubezpieczając się nawzajem, wyprostowani i pewni siebie. W środku grupy dwóch z nich dźwigało wydobytą wcześniej skrzynię. Kiedy dotarli do ziemianki, zatrzymali się i bez słowa ostrzeżenia wrzucili do środka dwa odbezpieczone granaty. Dwa wybuchy złały się w jeden i już po chwili dwóch z nich wskoczyło do środka. Na wszelki wypadek zasypali jeszcze pomieszczenie gradem pocisków z pistoletów maszynowych, a potem odczekali aż opadnie dym, włączyli latarki i wkroczyli do

środka.

# Trójmiasto

## *Czasy współczesne*

Tomasz Tomasik siedział na schodach na ganku swojego domu i w błogim uczuciu nieróbstwa patrzył bezmyślnie na wyglądający zza pojedynczej chmury jasny i okrągły księżyc.

- Jak w bajce - szepnął sam do siebie i sięgnął po kolejnego orzeszka ziemnego.

Potem przeniósł wzrok na siedzącą przed nim i wpatrzoną w niego z bezgraniczną miłością i oddaniem Maszę i z uśmiechem na ustach rzucił jej kolejnego orzeszka. Ten upadł bezgłośnie na kostkę brukową, a psina z nosem przy samej ziemi zaczęła go szukać, kręcąc się zabawnie w kółko na swoich krzywych jamnikowatych łapakach. W końcu znalazła to, czego szukała, i wciągnęła orzeszka łapczywie niczym wygłodzony bezdomny psiak. Rozbawiony Tomasik parsknął śmiechem i pociągnął kolejny łyk lekko schłodzonego Żywca.

- Tylko twojej miłości mogę być pewny - westchnął.

Uwielbiał te chwile samotności, kiedy nic nie musiał i kiedy nikt nic od niego nie chciał. Był tylko on, Masza i kilka butelek piwa. No i orzeszki ziemne. Koniecznie bez soli. Bo takie ponoć nie szkodzą. Lubił wówczas trochę pomarzyć, czasami porozmyślać o terażniejszości lub przeszłości... Po prostu miał czas dla siebie. Teraz też wrócił do wspomnień. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z Agnieszką, swoją fascynację jej osobowością, jej ciałem. Potem odejście dla niej z wojska. Próbę poukładania sobie na nowo życia w zupełnie obcym dla niego świecie. Bez munduru, pistoletu i z dala od tych wszystkich pokręconych spraw i ludzi, którymi wcześniej się zajmował. Czy było warto? Czy nie popełnił błędu? Sam nie wiedział. Życie cywila, w miarę młodego emeryta, nie było jednak takie bezproblemowe jak to wcześniej sobie



wyobrażał. Co prawda nikt do niego teraz nie strzelał, nie próbował zabić czy wymusić na nim odstąpienia od zrobienia tego, za co ojczyzna mu płaciła, ale to wcale nie sprawiało, że wszystko zrobiło się prostsze. Najzwyczajniej w świecie jego stare problemy zostały zastąpione przez nowe, nieco inne. Być może bardziej błahe, ale tak samo stresujące i gmatwające życie jak te poprzednie.

Z rozmyślań wyrwał go lekki zgrzyt otwieranych z tyłu drzwi. Masza wstała i machnęła leniwie ogonem. Po chwili poczuł na swoich ramionach dotyk kobiecych dłoni.

- Mogę jedno? - zapytała cicho Agnieszka.

- Pewnie.

Usiadła obok i przy użyciu otwieracza zdjęła kapsel. Pociągnęła kilka małych łyków i odstawiała butelkę na ziemię.

- Dzieciaki śpią? - zapytał Tomasz.

- Chyba tak. A może tylko udają... Chyba czują, że coś między nami jest nie w porządku.

- A jest?

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie udawaj. Przecież wiesz. Byłeś przecież szpiegiem.

Roześmiał się.

- Nie szpiegiem, tylko żołnierzem. Służyłem w kontrwywiadzie wojskowym. I nie zajmowałem się szpiegowaniem ludzi.

- Wiem, wiem.

Na krótką chwilę zapadła krępująca cisza.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał w końcu.

- Chyba tak... - nabrała więcej powietrza w płuca.

Tomasz mimowolnie zauważył jak jej duże piersi przykryte cieniutkim T-shirtem unoszą się jeszcze bardziej ku górze, a sterczące sutki prześwitują przez materiał i wabią kusząco. I domyślając się, co za chwilę usłyszy, zaczynał żałować, że prawdopodobnie już nigdy więcej nie będzie miał okazji ich oglądać, dotykać i pieścić.

- Mirek mi się wczoraj oświadczył.

Tym wyznaniem trochę go jednak zaskoczyła.

- Szybko - mruknął.

- Wiem. Ale on to zrobił. A ty nie zdążyłeś, chociaż miałeś na to kilka lat!

Westchnął tylko. Bo i co jej miał odpowiedzieć? Że nie zrobił tego, bo właśnie bał się takiej chwili? Że przewidywał, że wcześniej czy później kiedyś musi do tego dojść? Że ona spotka faceta, który mu ją odbije? Jego uczucia wobec niej były stałe. Ciągłe ją kochał. Ale najwidoczniej nie na tyle mocno, żeby poprosić ją oficjalnie o rękę. A teraz, w chwili próby nie miał dość odwagi i siły, aby

zawalczyć o nią z tym pieprzonym doktorkiem.

- Czym on cię ujął?

- Pytasz, czy spaliśmy ze sobą?

- Nie. Nie o to chodzi. Zresztą... Nie jestem pewien, czy akurat to chcę właśnie wiedzieć. Po prostu jestem ciekaw, czym cię zdobył.

Agnieszka uśmiechnęła się trochę smutno.

- Nie musiał mnie zdobywać. Po prostu był sobą. To wspaniały facet. Miły, czuły, męski... Dobrze ustawiony.

Tomaszowi przed oczyma stanęła postać tego kobiecego ideału. Przystojnego mężczyzny koło czterdziestki, w białym lekarskim kitlu, z nieodłącznym stetoskopem i w irytująco wieśniackich drewniakach. Poznał go kiedyś podczas wizyty w szpitalu, w którym pracowała Agnieszka. Od razu intuicyjnie wyczuł w nim zagrożenie. Ale nie zrobił nic, żeby je zneutralizować. Spokojnie czekał na dalszy rozwój wypadków. No i się doczekał. Mniej więcej od roku czuł, jak się z Agnieszką coraz bardziej oddalają od siebie. Jak coraz rzadziej ze sobą rozmawiają. Jak coraz mniejszą radość sprawia im wspólne przebywanie w swoim towarzystwie i seks.

- Nie zdradziłam cię, jeśli o to ci chodzi. Ale on mnie najwyraźniej kocha. I daje mi to odczuć.

- A ty go?

Zawahała się na moment.

- Myślę, że będzie mi z nim dobrze, że dzieciaki go polubią. Może nawet tak bardzo jak ciebie.

Pokiwał w zamyśleniu głową i sięgnął po piwo. Pociągnął kilka dużych łyków i znowu zapatrzył się na księżyc.

- Kiedy się chcesz wyprowadzić? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem. Na razie nic nie mówiłam dzieciom. Chyba że każesz mi się wynieść natychmiast. Zrozumiem to.

- Nie. Przecież to i tak nic nie zmieni.

Agnieszka wstała, muskając niechcący przy tym jego twarz swoimi wielkimi piersiami. Pod wpływem tego dotknięcia poczuł, jak przeszły go ciarki.

- Bzykniemy się jeszcze raz? - zapytał i spojrzał na nią wyczekująco. - Ostatni raz...

Popatrzyła na niego smutno i pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Ty nic nie rozumiesz! Kocham cię! Ale nie chcę być i pieprzyć się z facetem, który pozwala mi odejść bez walki o mnie do innego. I na dodatek ciągle myśli tylko o jednym. Jutro się wyprowadzam.

I odwróciwszy się na pięcie weszła z powrotem do domu. Zaskoczony jej reakcją Tomasz, skierował zdziwione oczy na Maszę. Psina zakręciła się zniecierpliwiona w miejscu, oczekując

następnego orzeszka, i szczerką radośnie nieświadoma rozgrywającego się przy niej małego ludzkiego dramatu.

- I zostaliśmy sami, Maszka - mruknął ochłoniwszy nieco Tomasz, uświadamiając sobie jednak przy tym, że chyba naprawdę jest kompletnym idiotą, który nigdy nie zrozumie kobiet. I że właśnie skończyło się w jego życiu coś, dla czego poświęcił wszystko, co dotychczas osiągnął i na czym mu dotąd zależało. I że oddał to wszystko kompletnie bez walki, zostając całkowicie sam.

Rozgoryczony złapał niedopitą przez Agnieszkę butelkę i kilkoma szybkimi łykami opróżnił ją do samego dna. Musiał przy tym walczyć z chwytającym go za gardło żalem. Wiedział już bowiem, że oto kolejny etap jego życia nie zakończył się happy endem.

\* \* \*

Iwona z Martyną patrzyły z rozbawieniem na wygłupiających się chłopaków. Ci kretyni byli naprawdę pokręceni. Wszyscy inni, którym powinęła się noga na egzaminie maturalnym, zakuwali teraz całymi dniami i nocami, byle tylko zaliczyć poprawkę. A oni zamiast tego włóczyli się z nimi po całym górnym Wrzeszczu i odwiedzali wszystkie możliwe puby. Wlewali tam w siebie hektolitry piwa i wymyślali niesamowite i coraz głębsze zabawy. Aby tylko nie wypuścić ich do domu, żeby tylko nie mogły jutro pójść do szkoły i żeby zatrzymać je jak najdłużej przy sobie. A może oni naprawdę nie potrzebowali się już więcej uczyć? Bo przecież przez te trzy lata liceum byli naprawdę dobrzy. Mieli średnią ogólną grubo ponad cztery. A z historii nawet pięć. I tylko ten egzamin! I ta stuknięta „historyczko-histeryczka - żyleta pierdolona”, jak brzydko mówili o niej chłopcy, im w tym przeszkadzała. To właśnie przez nią aż siedem osób z ich klasy nie mogło już teraz iść na wymarzone studia, tylko musiało się jeszcze stresować. No bo co tej wrednej babie przeszkadzało udać wtedy, że nic nie widzi? Odwrócić się w drugą stronę i zapomnieć o sprawie? Przecież ich znała. Wiedziała, że z historii wiedzą prawie wszystko, bo to był ich konik. Ale nie! Nie ona! Zawsze taka porządna i idealna! Ich własna wychowawczyni! Ona musiała postąpić zgodnie z zasadami! Bo przecież tego ich właśnie uczyła. To tego zawsze od nich wymagała. Pracowitości i uczciwości! I na nic były tłumaczenia, że oni chcieli tylko coś sprawdzić. Że chcieli otrzymać maksymalną liczbę punktów, bez których ciężko by im było dostać się tam, gdzie zamierzali. Że tak naprawdę to ich testy były już dawno rozwiązane.

Dla niej liczyło się tylko to, że złamali obowiązujące reguły. I że

bardzo ją rozczarowali. Zauważyła, że ściąają, i zrobiła z tego aferę. Z katastrofalnym dla siedmiu osób skutkiem.

- Dziewczyny! - darł się teraz Roman. - Chcecie zobaczyć, czy ten peugeot jest do dupy? Bo jak się po nim przebiegnę i wgniotą się blachy, to znaczy, że jest do niczego.

- Przestań, głuptasie! To kretynizm! I do tego bez sensu!

- A czy wszystko, co się robi, musi mieć sens?!

Roman podbiegł truchtem do auta, lecz w ostatnim momencie dał się złapać śmiejącej się głośno z tego wygłupu Martynie. Chłopak natychmiast wykorzystał to, żeby ją mocno objąć i złapać bezczelnie za piersi.

- Świnia! - krzyknęła z udanym oburzeniem, lecz nie oderwała od siebie jego dłoni, które łąpczywie wdarły się pod kusą koszulkę. Zwarli się w długim i namiętym pocałunku.

W którejś z sąsiadujących kamienic otworzyło się okno i ukazała się głowa starszej kobiety.

- Nie hałasować mi tu, hołoto! Bo wezwę policję! - zagroziła.

Iwona i Krystian zachichotali rozbawieni, a Roman z Martyną pomachali do niej przyjaźnie. Młodość i wypity alkohol dodawały im odwagi i sprawiały, że niczym się teraz nie przejmowali.

- Idziemy gdzieś jeszcze? - zapytał rozochocony Roman.

- Tak. Na dworzec. O czwartej z minutami jest kolejka do Gdyni. I tak przez was nie pójdziemy dzisiaj do szkoły.

- No co wy? Przecież dopiero świta!

Wszyscy zaśmiali się dobrze tym ubawieni. Szli środkiem ulicy Matki Polki i zmierzali w kierunku Komendy Straży Pożarnej. Dochodzili właśnie na wysokość budynku Konsulatu Generalnego Federacji Rosyjskiej, kiedy zobaczyli zbliżające się z tyłu za nimi światła.

- Zejdźmy lepiej z drogi. Przy konsulacie na pewno jest policja.

- I co mi zrobią? - Roman zaśmiał się buńczucznie. - Wlepią mandat?

Auto zbliżało się do nich z dużą prędkością. Dziewczyny z Krystianem zeszły na chodnik.

- Roman! - krzyknęła podenerwowana Iwona. - Chodź do nas!

Lecz chłopak wyszczerzył tylko rozbawiony zęby i stanął w miejscu niemalże na środku ulicy. Rozłożył szeroko ręce, zamknął oczy i zastygły niczym posąg czekał na nadjeżdżające auto. Po chwili znalazł się już w kręgu samochodowych świateł, lecz czarne bmw nawet odrobinę nie zwolniło. Stojący z boku odnieśli wręcz wrażenie, że kierowca jeszcze bardziej docisnął pedał gazu.

Rozległ się ostrzegawczy pisk krzyczących z przerażenia dziewczyn i Roman w ostatniej chwili uskoczył na bok. Przewrócił

się i przeturlał do krawężnika. Tam zerwał się od razu na równe nogi i odwrócił w kierunku oddalającego się auta. To przejechało jeszcze kilkadziesiąt metrów i wytracając gwałtownie prędkość, zatrzymało się tuż przed budynkiem konsulatu. W limuzynie otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł z niej młody, potężnie zbudowany mężczyzna w obcisłym czarnym garniturze i z wysoko podgoloną na wojskową modę głową. Spojrzał w kierunku dopiero co o mało nieprzejechanego chłopaka i powolnym wyrachowanym ruchem pogroził mu palcem. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały i chłopak mimo takiej odległości poczuł, jak pod wpływem tego spojrzenia przechodzą go nieprzyjemne ciarki. Mężczyzna uśmiechnął się lekko i wsiadł z powrotem do auta. Po chwili bmw zniknęło za otwartą już automatycznie bramą.

- Dureń! - usłyszał Roman tuż przy uchu.

Martyna patrzyła na niego z wściekłością, lecz chłopak nie reagował. Przed oczami ciągle miał wyraz twarzy tego kierowcy. Pogardę i drwinę.

- Dureń! - krzyknęła ponownie dziewczyna. - Powinieneś się leczyć!

Odwrócił do niej głowę i, lekko jeszcze poblady, spróbował się uśmiechnąć.

- Kto jest durniem? On czy ja?

- Ty! I nie pij nigdy więcej! Alkohol rozmiękcza ci mózg!

- To Rosjanie. Dyplomaci - powiedział podchodzący do nich Krystian. - Gdyby cię stuknęła, nawet by nie stanął przed sądem.

- Skąd wiesz?

- Miał dyplomatyczne blachy i wjechał na teren ruskiego konsulatu. Oni mogą wszystko.

- Chodźmy stąd! Chcę jechać do domu - wtrąciła Iwona.

Zrobiła kilka kroków do przodu, ale Roman stał ciągle w miejscu. Krystian popatrzył na niego z niepokojem.

- Ej, stary, wszystko w porządku?

- Nie. Ten facet o mało mnie nie zabił i jeszcze mi groził. A ty mi mówisz, że on może wszystko i nic mu za to nie grozi?

Krystian tylko roześmiał się lekceważąco. Wypity alkohol sprawił, że nie dostrzegł gwałtownej zmiany w nastroju kolegi. To nie były już ich zwykłe żarty.

- Przestań chrzanić, Romek! Nikt nie kazał ci stawać na środku ulicy i udawać Jezusa Chrystusa! Ciesz się, że faktycznie cię nie potracił albo nie spuścił za ten wygłup dobrego łomotu. Ja na jego miejscu tak bym właśnie zrobił!

Roman popatrzył na niego ze złością. Takich rzeczy nie powinno się mówić do kumpla w towarzystwie kobiet - pomyślał.

- Ty? Ty byś mi na jego miejscu spuścił łomot? - powiedział zaczepnie, czując narastającą złość. - Ty byś stąd rwał najszybciej jak tylko się da!

Chłopcy stanęli naprzeciwko siebie w wojowniczych pozach. Sytuacja zaczęła się zaogniać.

- A ty to niby taki odważny jesteś? - mruknął Krystian, ciągle nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Jestem!

- Pajac jesteś i tyle! Gdybyś wiedział, kto jedzie tą bryką, to byś grzecznie zszedł na bok.

- Gówno prawda! Ruskiemu nigdy bym nie ustąpił!

- Ale Niemcowi już tak?

- Ich też mam w dupie! Nikogo się nie boję!

- Jasne! Pieprzony zakompleksiony bohater! Ten Rusek i tak miał dużo wyrozumiałości dla ciebie.

- To co?! Trzymasz stronę Ruskich?! - I Roman popchnął Krystiana aż prawie upadł.

- Odwal się, idioto!

- Boisz się! Nie masz jaj!

- Przestańcie! - przerwała im podniesionym głosem zdenerwowana Iwona.

Weszła między nich i wspólnie z Martyną rozdzieliła chłopaków.

- Zachowujecie się jak dwa gnojki. My spadamy do domu!

Obrażone dziewczyny odwróciły się do nich plecami i zawróciły w stronę dworca PKP Gdańsk Wrzeszcz.

- Stójcie! - krzyknął za nimi Roman. - Ten dupek myśli, że ja się ich boję! No to patrzcie!

To mówiąc, zaczął biec w kierunku konsulatu. Dziewczyny obejrzały się za siebie i stanęły niezdecydowane w miejscu.

- Co on chce zrobić? - spytała zaniepokojona Iwona. - Przecież to nie ma żadnego sensu...

- Roman! - krzyknęła za nim Martyna.

Chłopak tymczasem dotarł do niezbyt wysokiego płotu odgradzającego sąsiadującą z konsulatem posesję i bez problemu przeskoczył na drugą stronę. Tam wdrapał się po roślinnych pnączach na dach garażu i już był na terenie konsulatu.

- Jezu - jęknęła z przestachem Martyna, kiedy tylko Roman zniknął im z oczu. - Gdzie on jest?

- Chodźmy stąd! I to szybko! - stojący dotąd beczynn timer Krystian złapał je nagle za ręce i pociągnął w cień stojącego najbliżej samochodu. - On chyba oszalał. Podejrzewam, że chce zdjąć rosyjską flagę z konsulatu!

- Co?! - dziewczyny nie mogły w to uwierzyć. - Skąd wiesz?

- Zawsze po pijaku się odgrażał, że kiedyś to zrobi.

- Ale po co? Przecież to jest chyba teren eksterytorialny. Przez coś takiego może być międzynarodowy skandal.

- Jemu to powiedzcie.

I w tym momencie zobaczyli, jak na ulicę wypada z powrotem Roman. Biegnąc, chłopak potknął się o jakąś nierówność, zachwiał, lecz odzyskał równowagę i pędził, ile tylko miał tchu w płucach, wymachując przy tym w ich kierunku gwałtownie rękoma. Kiedy dopadł do nich, natychmiast obejrzał się nerwowo za siebie. Nikt go nie gonił.

- Gdzie flaga, bohaterze? - mruknął Krystian i wyszedł z za auta.

- Zabrakło odwagi?

- Idziemy! - wysapał tylko drżącym lekko głosem Roman, jakby nie słysząc słownej zaczepki. - Szybko!

- Ale co ci strzeliło do głowy? - zadała pytanie Martyna. - Za to można trafić do więzienia!

Dopiero teraz ujrzeni jego pobladłą twarz. Chłopak miał szeroko otwarte, jakby niewidzące oczy i mimo próby zapanowania nad własnym ciałem, trząsł się jak galareta. Był przerażony.

- Co ci jest? - wyszeptła Iwona.

Lecz Roman nie odpowiedział. Złapał dziewczynę za rękę i w tym momencie po policzkach pociekły mu łzy. Prawie biegle, uciekając w kierunku Manhattanu, kiedy zaintrygowany tym wszystkim Krystian zaryzykował i obejrzał się za siebie. Gdzieś tam w oddali, na wysokości konsulatu, z rękoma w kieszeniach, stał bez najmniejszego ruchu samotny potężny mężczyzna w czarnym garniturze i z wysoko podgoloną głową. I najspokojniej w świecie patrzył w ich stronę.

\* \* \*

W niewielkim pomieszczeniu pracowników ochrony w Konsulacie Generalnym Federacji Rosyjskiej w Gdańsku paliło się światło i włączonych było kilka komputerowych monitorów.

- Myślisz, że ten chłopak coś widział? - głos mężczyzny zadającego to pytanie był wyraźnie nerwowy.

- Nie wiem. Nie powinien... ale mógł.

- Mówiłem, żeby z tamtej strony zrobić jakieś porządne zabezpieczenie.

- To nie Fort Knox. A my przecież nie jesteśmy we wrogim kraju.

Obaj rozmówcy uśmiechnęli się, jakby usłyszeli jakiś dobry dowcip. Ale tak naprawdę wcale nie było im do śmiechu. To, co

przed chwilą się wydarzyło, czyli naruszenie strefy bezpieczeństwa konsulatu, i to akurat w takim momencie, mogło się dla nich skończyć utratą pracy. A powrót do życia w niewielkim miasteczku w obwodzie kaliningradzkim, z wilczym biletem i bez szans na znalezienie jakiegokolwiek roboty, nie był wizją zbyt ciekawej przyszłości. Obaj mieli przecież na utrzymaniu rodziny.

W tym momencie do gabinetu wszedł potężny mężczyzna. Bez zbędnych słów podszedł do siedzącego bliżej niego agenta ochrony i przykucnąwszy bezpośrednio przed nim spojrzał mu prosto w oczy. Ten mimowolnie zadrżał. W jasnoblękitnych oczach nowo przybyłego było coś, co sprawiło, że poczuł się, jakby zaglądał w otwarte wrota piekieł. Mężczyzna przetarł sobie dłonią twarz i drapiąc się leniwie za uchem, niskim gardłowym głosem zapytał:

- Po co tu jesteś? - mówił wolno, jakby od niechcienia.

- Ja?

- Tak, ty.

- Jestem agentem ochrony, Wiktorze Nikołajewiczu - udzielając tej odpowiedzi, czuł, jak gwałtownie zaczyna się pocić.

- No właśnie.

Potężny mężczyzna podniósł się i spojrzał uważnie na monitory. Przez krótką chwilę analizował coś w myślach, a potem powiedział:

- Za dziesięć minut chcę mieć materiał z całym dzisiejszym zajściem. Widok z kamery numer dwa, trzy i sześć. A za dwie godziny chcę znać ich nazwiska, adresy i numery telefonów.

- Wiktorze Nikołajewiczu - spróbował zaprotestować drżącym głosem ochroniarz. - Jest czwarta rano... Wszyscy informatycy śpią.

Wystarczyło jedno spojrzenie olbrzymia i przerwał w pół słowa. Z trudem złapał oddech. Zła sława mężczyzny, która dotarła za nim tu aż z Kaukazu, po prostu paraliżowała.

- Dwie godziny - powtórzył dobitnie mężczyzna, odwrócił się i wyszedł.

Niecałą minutę później na ekranie jednego z komputerów zastygła w stopklatce sylwetka Romana. Ochroniarz błyskawicznie zrobił kilka zbliżeń w różnych pozycjach i włączył drukarkę. Po chwili miał już kilka zdjęć i skopiowane na pendrivie całe zajście.

- Co z informatykami? - zapytał kolegę.

- Wiera Anatolija Czubaszko już idzie. Powinna być za kilka minut.

- W porządku. To idę z tym do niej.

Przed wyjściem, dla uspokojenia nerwów, odetchnął jeszcze głęboko i spojrzał kolejny raz na trzymane w ręku zdjęcie. Widok tego polskiego chłopca pewnie będzie go prześladował do końca życia. Musiał przecież być mniej więcej w wieku jego syna.



Pokręcił głową z nieukrywanym żalem i szepnął:  
- Ty biedny głupi sukinsynu. Coś ty zrobił najlepszego...

\* \* \*

Tomasik wszedł do pokoju nauczycielskiego w bardzo kiepskim nastroju. Po wczorajszej rozmowie z Agnieszka pozwolił sobie na kilka butelek piwa więcej niż powinien i teraz najzwyczajniej w świecie miał lekkiego kaca. Do tego odczuwał jeszcze „moralniaka”. Myślał, że skoro od jakiegoś już czasu spodziewał się mniej więcej takiego właśnie zakończenia swojego związku, to będzie mu łatwiej to znieść. Niestety się pomylił. Rozstanie bolało jak cholera. Do tego jeszcze to głupie poczucie winy. Zresztą... Czy świadomość nieuchronności śmierci sprawiała, że umierało nam się z tym lżej i z mniejszym żalem?

Pomieszczenie było puste. Spojrzał na ścienny zegar. Do dzwonka na przerwę zostało jeszcze kilka minut. Miał dość czasu, żeby spojrzeć na swój rozkład zajęć i spróbować się ogarnąć. Najpierw historia z II „a”, a potem z II „c”. Okienko i znowu II „a”. Porąbany ten plan – pomyślał. Ale nie miał na to żadnego wpływu. Po maturach i odejściu klas trzecich liczba godzin zmalała mu do tego stopnia, że pracował zaledwie dwa dni w tygodniu i to tylko po kilka godzin. Większość zajęć historii w XX LO im. Zbigniewa Herberta na gdańskiej Morenie prowadziła bowiem pani Milena Zalewska. Czyli Żyleta z małym obraźliwym przydomkiem na końcu, jak ją często przezywali uczniowie. Na samo jej wspomnienie Tomasz uśmiechnął się lekko pod nosem. W sumie to była naprawdę fajna babka. Inteligentna, z dużą wiedzą i do tego, jak na jego gust, całkiem ładna. Ale jej sposób bycia... Była zimna jak lód i oschła jak stara zołza. Do tego pełna zasad i to tak konserwatywnych i niezyciowych, że momentami wręcz uniemożliwiających normalną współpracę. Nie dało się z nią zwyczajnie porozmawiać, żeby jej czymś przypadkiem niechcący nie urazić i nie zostać ukaranym spojrzeniem, po którym nie wiadomo było, jak się zachować. Spuścić nisko głowę i odejść ze skrucą czy najzwyczajniej w świecie parsknąć śmiechem, powiedzieć „przepraszam” i udać, że nic się nie stało? Ale samą siebie przeszła na tegorocznej maturze. Wywalić z egzaminu siedmiu uczniów, i to z własnej klasy, za ściąganie? To był naprawdę wyczyn godny wpisu do Księgi Rekordów Guinnessa, za który dyrektorka ich szkoły z całą pewnością musiała się naprawdę dobrze tłumaczyć w pomorskim kuratorium oświaty.

Na korytarzu rozległ się głos dzwonka. Tomasik natychmiast

usiadł na krześle w samym rogu przy niewielkim stoliku. Nie chciał, żeby ktoś się do niego przysiadł i przypadkiem zauważył lub wyczuł, że jest lekko wczorajszy. Jak na złość pierwsza do pokoju weszła sama pani dyrektor. Piękna Bożenka z Wielkim Cycem, jak ją nazywał na własny użytek, od razu go zobaczyła i rzuciła w jego kierunku:

- Panie Tomaszu, proszę nigdzie nie wychodzić i przypomnieć wszystkim, żeby tu na mnie czekali. Zaraz przyjdzie tu ktoś z policji.

Zaklął w myślach. Policja? Po co? Chyba nie po to, żeby zrobić kontrolę trzeźwości albo jakąś pogadankę o narkotykach.

To by dopiero był numer, gdyby on miał dzisiaj w tym cyrku uczestniczyć. Na szczęście do pokoju zaczęli wchodzić kolejni nauczyciele i wszyscy zajęci byli sobą. O czymś głośno rozmawiali, coś komentowali, mocno przeżywali. Tomasik odpowiadał tylko zdawkowo na przywitania i siedząc samotnie w swoim kącie, udawał głęboko pochłoniętego przygotowaniami do zajęć. Nawet nie próbował wyłapywać strzępów tych rozmów i coś z nich zrozumieć. Wystarczyły mu bowiem zmagania z samym sobą, z irytująco dokuczliwym bólem głowy i z próbą analizy wczorajszych wieczornych wydarzeń. Dzwonek zwiastujący początek kolejnej lekcji nie zakończył gorących dyskusji nauczycielskiego grona. Nikt nawet nie podniósł się do wyjścia.

Zaintrygowany tym Tomasik wreszcie przerwał swoje rozmyślenia i rozejrzał się uważniej dookoła. Cholera - pomyślał. Chyba coś mi umknęło.

W tym momencie weszła Piękna Bożenka w towarzystwie dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn. Tomasik nawet bez uprzedniej informacji od pani dyrektor bez najmniejszego problemu rozpoznałby ich zawód. Lata spędzone w kontrwywiadzie dały mu niemalże intuicyjną umiejętność identyfikowania na odległość wszystkich przedstawicieli służb mundurowych. A wojskowi i policjanci, nawet ci na co dzień chodzący po cywilnemu, byli wśród nich najłatwiejsi do identyfikacji.

- Witam wszystkich - zaczęła dyrektor. - Zapewne większość z państwa już słyszała o dzisiejszej tragedii. Obecni ze mną panowie są z Komendy Miejskiej Policji i zajmują się tą straszną sprawą. Chcą teraz z nami porozmawiać. Bardzo proszę o jak najściślejszą współpracę.

Tomasik nachylił się do kolegi od angielskiego i zapytał szeptem:

- Co się stało?

Ten spojrział na niego zdziwiony.

- To ty nic nie wiesz?

Tomasz pokręcił przecząco głową.

- Nasi absolwenci, Roman Dąbrowski i Krystian Nowak z III „a” nie żyją.

- Jak to się stało?

- Mówią, że naćpali się czegoś i wyskoczyli z dziesiątego piętra.

- Kiedy?

- Dzisiaj nad ranem.

- Cholera - mruknął Tomasz. - Szkoda chłopaków.

Odszukał w pamięci ich twarze. Nie uczył ich, ale miał z nimi styczność. Wpadali do niego czasami na dodatkowe zajęcia z historii. Poza tym - przypominał sobie - byli razem w zeszłym roku na wycieczce klasowej w Krynicy Morskiej i we Fromborku. Trochę był tym wszystkim zdziwiony. W ich szkole nie było dotąd żadnych problemów z dragami. A to byli raczej rozgarnięci i porządni chłopcy. Alkohol, fajki, dziewczyny... to się pewnie mogło zdarzyć. W końcu każdy wiek ma swoje prawa. Ale narkotyki? I co to musiało być za gówno, skoro doprowadziło ich do takiej desperacji?

Przez chwilę obserwował, jak policjanci spisują dane nauczycieli i wychodzą z nimi na zewnątrz. Rozmowy indywidualne miały się bowiem odbywać w gabinecie pani dyrektor. Tomasik pomyślał, że zanim do niego dojdą, to może minąć jeszcze kilka ładnych minut. Postanowił się trochę odświeżyć. Przecisnął się przez tłum kolegów i wyszedł na korytarz.

Co za bezsensowna śmierć - ciągle nie mógł w to uwierzyć. I dlaczego? Po co?

W oddali pod drzwiami klas stali uczniowie. Zobaczył swoich z II „b”. Wszyscy jacyś nienormalnie cisi i poważni. Oni już wiedzą - przyszło mu do głowy. Doszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Kiepsko dziś wyglądał. Twarz blada, prawie przezroczysta, oczy podkrążone i wyraźnie zmęczone. Agnieszka od razu wiedziałaby, że coś jest z nim nie w porządku. Starzejesz się, Tomeczku, i wątroba już nie ta - szepnął do siebie bezgłośnie. Pochylił się nad umywalką i zanim zdążył odkręcić kran, usłyszał ciche chlipnięcie gdzieś w głębi, za ścianą. Przez chwilę nasłuchiwał zaintrygowany. Ktoś tam najwidoczniej miał jakiś problem i rozwiązywał go, płacząc. Może któraś z koleżanek nieszczęsnych chłopaków?

Przyszło mu do głowy, że być może powinien to jakoś sprawdzić, ale w końcu stwierdził, że nie będzie się wtrącać. Przynajmniej nie teraz. Nie czuł się najlepiej, dzisiejsze samobójstwa chyba wyczerpywały na jakiś czas limit poważnych tragedii w tej szkole.

Opłukał więc spokojnie twarz, poprawił swoje krótko przycięte na wojskową modę włosy i wyszedł na zewnątrz. Z ciekawością

zerknął w kierunku, gdzie jeszcze kilka minut temu stała jego klasa. Już ich nie było. Najwyraźniej matematycy byli pierwsi w kolejce do przesłuchania. W tym momencie jakiś metr za sobą usłyszał ciche stuknięcie obcasa. Natychmiast się odwrócił i o mało nie został uderzony przez zapłakaną i oślepioną łzami Żyletę. Złapał ją za ramiona i przytrzymał, żeby się nie przewróciła.

- Uważaj, Milena, bo zaraz sprokurujesz trzeciego już dzisiaj trupa.

Od razu się zorientował, że żart był nie na miejscu. Zarówno ze względu na okoliczności, jak i na osobę, do której go powiedział.

- Przepraszam - powiedział szybko i puścił jej ramiona. - Nie powinienem tego mówić.

Stała przed nim teraz bezradna i zagubiona. Tak diametralnie inna od kobiety, którą dotąd znał, że aż obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Z powodu zapuchniętej od płaczu buźce i lekko rozmazanemu makijażowi wydała mu się nagle normalnym, żywym człowiekiem. I nagle z zaskoczeniem stwierdził, że dzięki temu Milena wydała mu się jeszcze ładniejsza i tak ujmująco kobieca, że aż poczuł w sobie niespodziewane u siebie uczucie tkliwości. Czarnowłosa, niezbyt wysoka, szczupła i zgrabna. Z lekko wypiętą, idealną wręcz pupą oraz wyglądającymi jak u nastolatki drobnymi, dziewczęcymi piersiami. No i te oczy. Duże, piękne, brązowe... Przypominała mu trochę niezapomnianą dla niego Nataszę. W jej wyglądzie odnajdywał tylko jeden niewielki mankament. Po prostu nie była Nataszą...

- W porządku, Tomasz - powiedziała cicho. - Nic się nie stało i nic nie słyszałam.

Chciała się już odwrócić, ale Tomasz przypomniał sobie, że chłopcy, którzy zginęli, byli właśnie z jej klasy. I że to ona uwaliła ich na maturze.

- Milena! - zawołał.

- Tak?

- Mogę ci jakoś pomóc?

Popatrzyła na niego tak jakoś żałośnie, że aż naprawdę zrobiło mu się jej żal. Zobaczył, jak zaczynają drzeć jej usta, a do oczu znowu napływają wielkie krople łez.

- Ej, kobietko... - podszedł do niej niepewnie i chwycił delikatnie za dłonie. - Nie rozklejaj się. Przecież to nie twoja wina.

Przez głowę przemknęło mu, czy aby jej nie objąć i nie przytulić, ale w tym właśnie momencie rozległ się sygnał jego komórki i pierwsze takty z utworu *Personal Jesus* Depeche Mode wypełniły korytarz.

- Przepraszam - puścił powoli jej ciepłe i mokre od łez dłonie. -

Zapomniałem go wyciszyć.

Najpierw nacisnął przycisk z zieloną słuchawką, a dopiero potem spojrzął na wyświetlony numer.

- Tak, pani Halino? - rzucił niechętnie do słuchawki.

Dzwoniła matka jednej z jego uczennic, a jednocześnie sąsiadka z tej samej ulicy. Kobieta miała problemy z alkoholem, przez co już kilka razy nieźle narozrabiała i poważnie skomplikowała życie własnej córce. To właśnie przez nią dziewczyna musiała teraz dojeżdżać do szkoły prawie trzydzieści kilometrów z Gdyni Wielkiego Kacka aż na gdańską Morenę.

- Ja przepraszam, panie Tomaszu. Ale nie wie pan, czy Martynka jest dzisiaj w szkole?

Przez krótką chwilę musiał zwalczyć w sobie narastającą w nim irytację. Ta baba naprawdę nie miała wstydu. Wyraźnie słyszał, że znowu jest pijana. A przecież była dopiero dziesiąta rano! Milena chciała już odejść, lecz zatrzymał ją gestem.

- Nie wiem, pani Halinko, czy Martyna jest w szkole - odpowiedział, siląc się na uprzejmość. - Nie miałem z nią dzisiaj jeszcze zajęć. A teraz, pani Halinko, ja przepraszam, ale mam lekcje...

- Ale ona nie wróciła na noc do domu.

- Do widzenia, pani Halinko.

I wyłączył telefon. Spojrzął na wycierającą chusteczką oczy Milenę i powiedział delikatnym głosem:

- Staraj się nie myśleć o tym wszystkim. Zajmij się pracą. A jak chcesz, to później odprowadzę cię do domu.

- Dzięki - spróbowała się uśmiechnąć.

Następnie odwróciła się na pięcie i zrobiła kilka kroków. Potem zatrzymała się gwałtownie, obejrzała do tyłu i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała wyraźnie zmieszana:

- Wiesz, Tomek, może nie jesteś wcale takim kretyńcem, za jakiego cię zawsze miałam. - I stukając głośno obcasami, poszła do swojej klasy.

\* \* \*

Pułkownik Anatolij Czubaszko z G-2 Dowództwa Floty Bałtyckiej przeglądał ostatni meldunek rozpoznawczy, który spłynął do niego od szefa rozpoznania 336. Samodzielnej Brygady Piechoty Morskiej z Bałtyjska w Obwodzie Kaliningradzkim. Brygada ta była flagową jednostką najbardziej na zachód wysuniętego okręgu wojskowego Federacji Rosyjskiej. To ona obok 23. Gwardyjskiej Brygady Zmechanizowanej i 15. Gwardyjskiego Pułku Zmechanizowanego

miała być główną zaporą w razie ataku wrogich sił NATO na mateczkę Rosję. Chociaż pułkownik, znając realia potencjału militarnego ewentualnego przeciwnika, zupełnie nie wierzył w jakiegokolwiek zagrożenie z ich strony, to jednak obowiązująca w Rosji oficjalna doktryna obronna nakazywała używanie właśnie takiej terminologii w odniesieniu do sił zbrojnych Polski czy republik nadbałtyckich.

Przerzucił powoli kartki meldunku i sam nie wierzył w to, co widzi. Opracowanie było po prostu świetne! Nadzwyczaj dokładne. Bardzo merytoryczne i przejrzyste. Dużo wyraźnych zdjęć i zbliżeń. Krótkie opisy użytkowanego sprzętu i ostatnio przeprowadzanych ćwiczeń. Zdarzały się nawet wyniki pojedynczych strzelań z broni strzeleckiej. Sylwetki dowódców praktycznie wszystkich szczebli zawierały krótkie, lecz wyczerpujące charakterystyki. Kiedy i gdzie się urodzili. Jakie uczelnie skończyli. Jaki jest ich stan rodzinny i finansowy. Jakie mają słabości i nałogi. Jaka była ich droga kariery i pod kogo są podwieszeni. Zdarzały się nawet cytaty z for internetowych. Z ciekawością przeczytał kilka z nich na temat pewnego polskiego podpułkownika z 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancерnej, którego obserwował już od dłuższego czasu i z którym wiązał poważne plany na przyszłość. Po pominięciu tych, które ograniczały się tylko i wyłącznie do wykropkowanych wyzwick, najbardziej spodobał mu się post podpisany przez niejakiego Trzmiela: „My nie potrzebujemy przeciwnika. Ten facet sam nas wykończy. W razie wojny pierwszy powinien dostać kulę”.

Czubaszko odłożył dokument i się zamyślił. Niby główniany wpis w internecie, ale jak dużo mówił o człowieku i morale jego ludzi. Spojrzał na nazwisko wykonawcy meldunku. Major Kuzniecowa. Natychmiast skojarzył to nazwisko z ostatnim rozkazem personalnym, który kilka dni temu przyszedł z Petersburga, i z pewnym ważnym generałem w Moskwie. Pokiwał ze zrozumieniem głową. Jeżeli to nie zbieg okoliczności, to tego młodego oficera czekała świetlana przyszłość. A co ważniejsze, chłopak był naprawdę tego wart.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer swojego kolegi w Moskwie. Zadał mu kilka ostrożnie sformułowanych pytań, na które otrzymał bardzo interesujące odpowiedzi. Znowu się zamyślił. Tak. Zdecydował po chwili. To jest ten człowiek. Znowu sięgnął po telefon.

- Jutro, godzina dwunasta, major Kuzniecowa. Ma się u mnie zameldować. Może być po cywilnemu.

Odłożył słuchawkę i sięgnął ponownie po opracowanie. Tym razem jeszcze raz, tylko wolno i bardzo uważnie, zaczął przeglądać

charakterystykę interesującego go oficera.

\* \* \*

Tomasz czekał cierpliwie na Milenę przed szkołą. Czuł się już o wiele lepiej i mógł teraz spokojnie pomyśleć o tym, co od niej usłyszał. Miała go za kretyna? To nie było miłe. Szczerze mówiąc, był tym wręcz bardzo nieprzyjemnie zdziwiony. Wydawało mu się, że zawsze był wobec niej grzeczny i szarmancki. Nie wchodził jej w drogę i nie powtarzał nawet w rozmowach z kolegami uczniowskich żartów zasłyszanych czasami o niej w szkolnej szatni. Zresztą... Nie rozmawiali ze sobą zbyt często. Skąd więc ten „kretyn”?

W końcu ją zobaczył. Szła jak zwykle samotna między grupkami wychodzącej ze szkoły młodzieży. Miała na sobie czarny żakiecik i czarną spódniczkę do kolan. Biała koszula i modne buciki na niewysokim obcasie dopełniały jej stroju. Znowu była poważna, a jej twarz przypominała wyniosłą i bezuczuciową maskę. Mimo to stwierdził, że jest nie tylko ładna i zgrabna, ale ma też dobry gust i całkiem przyjemnie się porusza.

Przez krótką chwilę przemknęło mu też przez głowę, że może rzeczywiście jest szowinistycznym chamem. Przecież kobieta, z którą spędził kilka ostatnich lat życia i z którą dopiero co właśnie się rozstał, nie zdążyła się jeszcze nawet wyprowadzić z jego domu, a on już reagował jak wygłodniały samiec i dostrzegał w innej kobiecie walory, na które wcześniej zupełnie nie zwracał uwagi.

- Cześć - rzucił pogodnie w jej kierunku. Ciągle była blada, ale najwyraźniej pierwszy szok miała już za sobą. - Masz ochotę na kawę?

Przystanąła w miejscu i rozejrzała się niepewnie dookoła. Dzieciaki raczej nie zwracały na nich uwagi.

- Za kawę dziękuję - zawahała się. - Ale będzie mi miło, jeśli odprowadzisz mnie do domu.

- W porządku. Tylko powiedz dokąd.

- Blisko. Na Wyrobka.

- Nie mam pojęcia, gdzie to jest, więc prowadź.

Przez pierwsze kilkadziesiąt metrów szli obok siebie w milczeniu. Dopiero kiedy wyszli za ogrodzenie szkoły, Tomasz zapytał:

- Jak zniosłaś przesłuchanie?

- Kiepsko. Trochę się rozkleiłam.

- Dlaczego?

Na kilkanaście sekund zapadło milczenie.

- Oni byli z mojej klasy - zaczęła ostrożnie Milena. W jej głosie dało się wyczuć wyraźne wahanie. Widać było, że waży każde słowo. - Czuję się z tym... źle. Tak jakbym była tej tragedii jakoś winna.

Tomasik spojrział na nią jeszcze uważniej. Nie spodziewał się aż tak szczerej rozmowy z jej strony. Przez chwilę słychać było tylko stuk obcasów jej butów.

- Oni chyba też uważają, że to przeze mnie - powiedziała znowu. - A przynajmniej... że się do tego przyczyniłam.

- Nie sądzę - odpowiedział uspokajająco. - A o co cię właściwie pytali?

- Pytali o wszystko. O nich... Jacy byli, jak się uczyli, zachowywali. Jakich mieli kolegów, koleżanki. Czy wiedziałam, że mogą zażyć narkotyki, że palą i piją... Czy byli agresywni, miewali depresje i tak dalej.

- To raczej standardowe pytania w takich sytuacjach.

- A ty skąd wiesz? Pracowałeś kiedyś w policji?

- Nie - spróbował się uśmiechnąć. - Ale czytam dużo kryminałów.

Doszli do światła przy przejściu dla pieszych na Rakoczego i zatrzymali się na czerwonym. Sznur aut ciągnął się wolno w obydwu kierunkach i Tomasik zdał sobie sprawę, że zaraz się zacznie czas popołudniowych korków i że dziś pewnie nieco później dotrze do domu. Spojrział jeszcze w dół, w kierunku budowanej tam akurat stacji kolei metropolitalnej i mimowolnie stwierdził, że ta inwestycja - może i potrzebna - strasznie oszpeci to miejsce.

W końcu zapaliło się zielone. Przeszli na drugą stronę i już po chwili znaleźli się przed zwykłą klatką w dziesięciopiętrowym bloku z wielkiej płyty.

- Dzięki. Jesteśmy na miejscu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. No i przynajmniej dowiedziałem się, jaka to ulica, a przejeżdżam tędy prawie codziennie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Kłamiesz - stwierdziła autorytatywnie, wyczuwając jakiś żart.

- Przecież na samej górze bloku jest napisane jak byk: Wyrobka.

- Tak. Kłamię... - roześmiał się lekko.

- Powiedz mi jeszcze, że już wcześniej wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Wiedziałem - odpowiedział beczelnie. - Kretyni czasem dużo wiedzą.

Przez krótką chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Myślał nawet, że może się na niego obrazić. W końcu jednak uśmiechnęła się



smutno i szepnęła prawie niedosłyszalnie.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że tak właśnie o tobie myślałam.

Tomasz poczuł, że się czerwieni.

- I dziękuję - kontynuowała. - To naprawdę był dla mnie ciężki dzień.

- Wiem.

- Ja ich autentycznie lubiłam... A wtedy, na tej maturze, byłam przekonana, że tak trzeba. Bo gdybym udała, że tego nie widzę, to zrobiłabym im jeszcze większą krzywdę. Przekreśliłabym wszystko to, czego próbowałam ich nauczyć. Rozumiesz?

- Chyba tak - kiwnął ostrożnie głową.

- Ale jak się o tym rano dowiedziałam... - Znowu była tą zagubioną kobietką sprzed kilku godzin. Łzy stanęły jej w oczach. - To było mi tak cholernie przykro, tak wstyd... Wszystko mi się zawaliło. Oni byli tacy młodzi. - Łzy płynęły już ciurkiem. - Całe życie przed nimi stało otworem. A ja to wszystko zepsułam... To przeze mnie wzięli to świństwo. To musiał być ich pierwszy raz. Może jednak powinnam wtedy na maturze odwrócić głowę? Powiedz mi... Co ty byś wtedy zrobił? Co byś zrobił na moim miejscu? No, powiedz!

Patrzyła na niego wyczekująco tymi zapłakanymi brązowymi oczyma i z tą bezgraniczną rozpaczą na twarzy, a Tomasik czuł, jak zaczyna mięknąć.

- Nie wiem, co bym zrobił - skłamał. - Podszedł do niej wzruszony, delikatnie objął i przytulił. Nie odwzajemniła uścisku, ale się też nie broniła. - Nie wiem - szepnął jej raz jeszcze uspokajająco.

A przez głowę przeleciały mu obrazy z dziesiątek podobnych sytuacji z kilku ostatnich matur. Zawsze odwracał głowę i udawał, że nie widzi, jak dzieciaki ściągają.

- Boże - łkała Milena. - Jak ja spojrzę w oczy ich rodzicom? Jak będę mogła dalej tu pracować i uczyć tę małą Martynę Wojciechowską?

Tomasika przeszedł dziwnie znajomy dreszcz. Nie wiedział jeszcze dokładnie z jakiego powodu. Ale czuł, że coś jest nie w porządku. I nagle uprzytomnił sobie, że właśnie się dowiedział, że to jego młoda sąsiadka jest, a właściwie to była, sympatią jednego z tych chłopców. Nigdy nie rzuciło mu się to w oczy.

- Nie myśl teraz o tym - powiedział cicho, chociaż myślami był już zupełnie gdzie indziej. - To naprawdę nie twoja wina.

I w tym momencie go olśniło. Przypomniał sobie bowiem telefon

swojej kłopotliwej sąsiadki i jej pytanie: „Czy pan nie widział mojej Martynki dzisiaj w szkole?”. A teraz już znał na nie odpowiedź. Martyna Wojciechowska na pewno nie dotarła dzisiaj do szkoły.

\* \* \*

Komisarz Trojan już od blisko dwóch godzin siedział w niewielkiej kanciapie w siedzibie oddziału Straży Miejskiej w Gdańsku i z uwagą przeglądał nocny zapis monitoringu miejskiego z okolic górnego Wrzeszcza. Właśnie próbował odtworzyć ostatnie godziny życia dwójki nastolatków, którzy nad ranem prawdopodobnie naćpali się jakiegoś gówna i wyskoczyli z dziesiątego piętra, ponosząc przy tym śmierć na miejscu. Jak dotąd ustalił kilka naprawdę ważnych szczegółów, ale w tej chwili miał mały problem. W pewnym momencie te małolaty zapadły mu się gdzieś pod ziemię. Obraz z miejskich kamer był co prawda w miarę wyraźny, ale nie monitorowały one przecież całego miasta i skupiały się głównie na jezdniach i skrzyżowaniach. Nareszcie znowu ich zauważył. I wtedy zadzwoniła jego służbowa komórka. Zatrzymał obraz na ekranie komputera i przeniósł wzrok na telefon. Na wyświetlaczu aparatu pojawił się komunikat, że numer jest zastrzeżony.

Nie lubił odbierać tego typu anonimowych telefonów, ale czasami to właśnie one były najbardziej pomocne w jego pracy.

- Komisarz Trojan - rzucił do słuchawki.

Po drugiej stronie przez krótką chwilę panowała cisza. A potem usłyszał groźnie brzmiące:

- Nie wychylaj się! I czekaj na instrukcje.

Połączenie zostało przerwane. Komisarz wykrzywił zniesmaczony usta i potarł w zamyśleniu czoło. Znów jakiś skurwiel chciał mu zepsuć humor. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił ustami dym w kierunku wiszącego na ścianie plakatu antynikotynowego przedstawiającego obleśny męski tyłek imitujący usta ze zwisającym z niego petem.

A więc to takie buty - przeanalizował sytuację i nie zwracając uwagi na plakat, znowu zaciągnął się głęboko dymem. - Ciekawe tylko, w stosunku do której sprawy miał się nie wychylać? Aktualnie prowadził ich przecież kilka.

Przepracował w policji prawie dwadzieścia pięć lat. Teoretycznie w każdej chwili mógł przejść na emeryturę. Ale jego młodszy syn był dopiero na drugim roku studiów. Skądś trzeba było wziąć kasę na tę jego naukę. Starszej córce też chciałby pomóc w uzyskaniu kredytu na kupno mieszkania... A sprokurowanie sytuacji, w której on z dnia na dzień straciłby uprawnienia

emerytalne i wylądował z zarzutami na zielonej trawce bez środków do życia, to w tym kraju nie była zbyt wielka sztuka. Zaciągnął się papierosem. Zerknął na monitor komputera i wtedy coś skojarzył. Czas! Cofnął obraz o kilka minut, a potem znowu przewinął do przodu. Nie miał już wątpliwości. Ktoś manipulował przy tych nagraniach. I najwyraźniej trochę się temu komuś spieszyło, bo schrzanił robotę.

Do kanciapy zajrzał jeden ze strażników miejskich.

- I co? Znalazł już pan to, czego szukał?

- Niestety. Nic, co wnosiłoby coś nowego do sprawy - skłamał.

Rzucił okiem na świecący monitor i znowu się mocno zaciągnął dymem. Na ekranie jeden z denatów w towarzystwie jakiejś dziewczyny biegł najszybciej jak tylko się dało i nerwowo oglądał się do tyłu. Policjant westchnął zrezygnowany. Nie chciał już na to patrzeć. Wyłączył komputer i spokojnie wstał od biurka.

- Dzięki - powiedział krótko do patrzącego na niego z uwagą strażnika i zabrał się do wyjścia.

Idąc wąskim korytarzem, czuł narastające obrzydzenie do siebie.

- Cholera - mruknął i splunął na podłogę. - Nigdy się do tego gówna nie przyzwyczaję.

\* \* \*

Tomasik zaparkował swojego starego opla astrę przed domem i nie zachodząc nawet do siebie, skierował się prosto na posesję matki Martynty Wojciechowskiej. Co prawda dzwonił do niej zaraz po pożegnaniu z Mileną, ale kobieta nie odebrała telefonu. Dzwonił też do jej córki, ale i tu efekt był podobny. Tomasz był całą sprawą coraz bardziej zaintrygowany i teraz czuł znany już sobie z dawnych czasów lekki niepokój. Furtka wejściowa była zamknięta. Nacisnął więc przycisk domofonu. Nie było odzewu. Odczekał minutę i zadzwonił powtórnie. Znowu nic. Rozejrzał się uważnie po oknach i niewielkim ogrodzie. Nikogo tam nie było. Nacisnął klamkę. Otwarte. Wszedł na teren posesji, potem po schodach na zaniechaną werandę i tam zapukał w drewniane drzwi pokryte łuszczącą się farbą. Odczekał kolejną minutę i złapał za klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Przeanalizował najbardziej prawdopodobną wersję - pijana kobieta po prostu śpi. Przecież już o dziesiątej rano język się jej wyraźnie plątał. Mimo wszystko przyjrzał się uważnie zamkowi. Był stary i tandetny. Nawet on, po kilku zaledwie koleżeńskich lekcjach od jednego ze znajomych z dawnej firmy, nie miałby większych trudności ze sforsowaniem tych drzwi. Przez

krótki moment kusiło go, aby je otworzyć. Ale ryzyko było zbyt duże, a on przecież mieszkał w okolicy. W razie wpadki czułby się niezręcznie. Wybrał prostsze rozwiązanie. Podeszedł do bocznego okna i zajrzał do środka. Zlustrował uważnie kuchnię i przeniósł wzrok w głąb korytarza. Na jego końcu zobaczył kawałek wystającego kaptura. Momentalnie poczuł, jak jego zmysły gwałtownie się wyostają i stają maksymalnie czujne. Natychmiast odwrócił się od szyby i przywarł plecami do ceglanej ściany. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czegokolwiek, co byłoby nietypowe. Nic takiego nie zauważył. Nieco uspokojony znowu spojrzął przez okno. Tak. To był kapeć. Spróbował przypomnieć sobie rozkład domu. Tam powinny być schody.

- Cholera - syknął w końcu zirytowany. - Chyba popadam w paranoję...

Przecież nie pracował już w kontrwywiadzie. Był teraz zwykłym belfrem, który zerwał wszelkie kontakty z przeszłością. Po co więc ten cyrk? To pewnie zwykły kapeć, który leży nie na swoim miejscu. W domu, gdzie nadużywa się alkoholu, porządek nie jest przecież priorytetową sprawą. Pani Halina pewnie gdzieś chrapie pijana albo poszła do monopolowego po zaopatrzenie. A samobójstwo chłopaków i szkolna absencja Martyny też na pewno dadzą się w miarę logicznie wytłumaczyć. Zawalili maturę. Balowali i skusili się na dragi. Mieli pecha, bo wzięli coś, co sprawiło, że wyskoczyli z dziesiątego piętra. Ale tak zawsze jest przy tragediach. Zbieg nieszczęśliwych okoliczności... A on na miejscu Martyny, jeżeli dziewczyna była z nimi, też pewnie nie przyszedłby do szkoły. Ani do takiego domu. Gdzie tu zagadka?

Odetchnął głęboko i mimo wewnętrznego sprzeciwu zdecydował się przerwać tę irytującą niepewność. Odkleił się od okna i z całej siły zaczął dobijać się do drzwi.

- Pani Wojciechowska! - krzyknął. - Proszę otworzyć!

Jednak zamiast pani Halinki z sąsiedniej posesji wyszedł jej sąsiad. Potężnie zbudowany mężczyzna, z wielkim brzuszyskiem i w grubych okularach na nosie. Gdyby nie te szkła, Tomasik uznałby go za brata bliźniaka sławetnego pana Boczka z serialu *Świat według Kiepskich*. Nawet nie znał jego nazwiska. Wiedział tylko, że facet prowadzi jakąś firmę budowlaną i najwyraźniej nieźle mu się wiedzie. Nie każdego było stać na najnowszego terenowego mercedesa.

- Co się dzieje? - zapytał sąsiad wyraźnie niezadowolony z hałasów.

- Jeszcze nie wiem. Próbuje się skontaktować z panią Wojciechowską. Nie odbiera telefonów, nie reaguje na dzwonek.

Widział ją pan?

- Nie. - Mężczyzna podszedł do drzwi i mocno uderzył w nie pięścią. - E! Sąsiadka!

- Przez okno widać leżący pod schodami kapeć. Mam nadzieję, że nic się tam złego nie stało.

Boczek podszedł do okna i zajrzał przez nie, osłaniając sobie dłońmi oczy.

- Nic nie widzę - mruknął.

- Niech pan spojrzy w lewo.

- Ano! Ma pan rację!

Odwrócił się w stronę Tomasza i spojrzął na niego z zaciekawieniem.

- A ta młoda? - zapytał. - Może z nią trzeba spróbować się skontaktować?

- Próbowałem. Też nie odbiera telefonów.

Mężczyzna patrzył na niego pytająco.

- To co teraz? Ta stara pipa pewnie się nawaliła i spadła ze schodów. A młoda gdzieś baluje. Dzwonimy na policję?

- Bo widzimy leżący kapeć?

- Ano - poprawił sobie w zakłopotaniu okulary. - Dobra, panie - zdecydował - wywalimy te drzwi. Jakby co, to dam nowe. Te i tak są do niczego. Jesteś pan świadek, że chcemy dobrze.

- Myśli pan?

- Pewnie. Idę po narzędzia.

Odwrócił się na pięcie i poszedł do siebie. Tomasz uśmiechnął się pod nosem. Osiągnął swój cel. Nie wyszedł jeszcze z wprawy w sztuce manipulowania ludźmi. Rozejrzał się uważnie dookoła i odczekawszy aż mężczyzna zniknie za furtką, wyciągnął z portfela niewielki wytrych. Zgodnie z jego przewidywaniami otwarcie zamka nie zajęło mu nawet kilkunastu sekund. Kiedy sąsiad wrócił, nacisnął po prostu klamkę i drzwi ustąpiły.

- O, w mordę! - zaśmiał się nerwowo mężczyzna. - A wystarczyło nacisnąć...

- No widzi pan.

Tomasz wszedł powoli do środka i od razu spojrzął w kierunku schodów. Na podłodze w nienaturalnie wykręconej pozie leżało ciało pani Haliny. Niezbyt czysty różowy szlafrok odsłaniał lekko pomarszczone nagie uda i fragment owłosionego podbrzusza. Szeroko otwarte niewidzące oczy i wąska strużka krwi w kącie ust oraz leżący kilka centymetrów dalej kapeć dopełniały obrazu całości.

- Ożeż, kurwa jego mać! - wymknęło się sąsiadowi, który stanął tuż za nim. - Mówiłem, że ta głupia pipa kiedyś tak skończy.

Tomasz uważnie rozglądał się w poszukiwaniu jakichkolwiek podejrzanych śladów. Na ciele kobiety nie zauważył nic szczególnego. Korciło go, żeby wejść na piętro, ale w towarzystwie sąsiada było to raczej niemożliwe.

- Halo, policja? Proszę przyjechać, mamy trupa - usłyszał za sobą.

W tym momencie postanowił zaryzykować. Zrobił kilka ostrożnych kroków i ciągle się rozglądając, wszedł na schody.

- Sąsiad! Co ty?! Tu zaraz psiarnia będzie, a ty zamazesz ślady! Oglądam *Detektywów* to się trochę na tym znam! - zawołał za nim Boczek.

- A jeżeli tam jest młoda i potrzebuje pomocy? Niech pan zostanie!

Idąc do góry, szczególną uwagę zwracał na ściany i schody. Te były dawno niesprzątane i miejscami przykryte grubą warstwą kurzu. Przy odrobinie szczęścia mógł z nich coś wyczytać. Wszedł do czyjejś sypialni. Sądząc po wystroju - prawdopodobnie Martyny. Nikogo w niej nie było. Rozejrzał się szybko, ale nic nie rzuciło mu się w oczy.

- Jest tu ktoś?! - rzucił głośno. Musiał się spieszyć. - Halo?!

Cisza. Otwierał następne drzwi. Za jednymi była jakaś graciarnia, a drugie prowadziły do nieużywanej łazienki. I więcej nic nie było. Schodząc, zastanawiał się, po co pani Halina wchodziła do góry, skoro wiedziała, że córki nie ma w domu. Może myślała, że wróciła? Może zdrzemnęła się po pijaku i gdy się obudziła, chciała to sprawdzić? Idąc na dół, mimowolnie spojrział przez znajdujące się na półpiętrze okno. Jakieś siedemdziesiąt metrów dalej stał blok mieszkalny. I przez ułamek sekundy odniósł nieodparte wrażenie, że na ostatnim półpiętrze klatki schodowej ktoś stoi z lornetką przy oczach i na nich patrzy. Przeszły go ciarki.

- I co tam? - usłyszał Boczka.

- Nikogo nie ma!

Jeszcze raz spojrział na leżące ciało i schody. I wtedy go olśniło. Brudne stopy, czyste futrzane kapcie i brak śladów mokrych palców od nóg na schodach. I tylko jedna para pieprzonych kapci w domu! One należały do Martyny, a nie do jej matki! A pani Halina raczej nie weszła samodzielnie do góry!

- Niech pan czeka na policję, ja muszę coś sprawdzić u siebie w domu - powiedział szybko do zaskoczonego sąsiada i zdecydowanym krokiem wyszedł na zewnątrz. Chcąc dojść do bloku, musiał obejść kilka domków jednorodzinnych. Odległość siedemdziesięciu metrów w linii prostej wzrosła do trzystu. Ale nie było innego wyjścia. Idąc, nie patrzył w kierunku interesującego go

bloku. Sam też nie powinien być stamtąd widziany. Żywopłoty odgradzające mijane posesje od ulicy zapewniały ukrycie. Kiedy znalazł się w miejscu, gdzie tajemniczy obserwator nie miał prawa go widzieć, rzucił się do biegu. Przebiegł przez niewielki opustoszały plac zabaw i z impetem dopadł do drzwi od bloku. Pociągnął za klamkę i zgodnie z przewidywaniami zatrzymał się na domofonie. Wyciągnął z kieszeni portfel i już drugi raz tego dnia posłużył się wytrychem. Po chwili wbiegał już po schodach do góry. Zdecydował się iść na przebój. Nie miał bronii i żadne skradanie czy próba zachowania ostrożności nie miały sensu. Jeżeli ktoś tam rzeczywiście był, to po prostu musiał spróbować go zaskoczyć. Pokonywał po dwa stopnie naraz i już po kilku sekundach był na trzecim piętrze. Zadarł do góry głowę i wtedy go zobaczył. Na półpiętrze stał szczupły, niewysoki i niepozorny mężczyzna z niedokładnie schowaną pod koszulą lornetką.

- Co pan tu robi? - wysapał trochę zmęczony biegiem Tomasik.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko zakłopotany i wzruszył przepaszczając ramionami. A potem wyprowadził zniemacka proste kopnięcie w przód. Liczący się z tym Tomasz zdążył jeszcze zasłonić rękoma twarz i uchylić nieco głowę. Ale uderzenie było tak silne i szybkie, że przełamało jego blok i dosięgło prawego policzka. Przez chwilę czuł, jak bezwładnie obraca się do tyłu i tylko z najwyższym trudem łapie równowagę, kilka schodów niżej chwytając się rozpaczliwie za poręcz. Jak na przyspieszonym filmie zobaczył jeszcze, że tajemniczy mężczyzna podbiega do niego i silnym precyzyjnym ciosem pięści w splot słoneczny pozbawia go oddechu i tym samym resztek ochoty do pościgu. A następnie zbiega po kilka schodów naraz i znika mu z oczu.

Przez zamroczoną głowę Tomasika zdążyła przebiec jedna myśl: to nie był żaden pieprzony amator. Fizjonomia, ubiór i umiejętności... Facet podobny zupełnie do nikogo. Profesjonalista.

Na trzecim piętrze otworzyły się drzwi i stanął w nich potężny młody mężczyzna w żółto-niebieskiej koszulce z napisem Arka Gdynia i z kijem bejsbolowym w ręku.

- Co tu się dzieje? - zapytał groźnie.

- Nic - odparł słabym głosem, gramoląc się z trudem do góry Tomasik. - Już spadam.

Przeszedł ostrożnie obok olbrzyma i spojrzał przez okno w kierunku domu Wojciechowskich. Policja już tam była, a Boczek najwyraźniej coś im tłumaczył. Pokazywał jego dom i gestykulował przy tym mocno rękoma. Facet miał świetny widok - przyznał w duchu Tomasik. Wszystko jak na dłoni.

Przeniósł wzrok nieco dalej i poczuł lekki chłód na plecach.

Patrząc stąd na okna swojego domu, widział zupełnie wyraźnie, jak jego mała psina wyleguje się właśnie słodko na kanapie. I poczuł ulgę, że nie ma już tam Agnieszki ani dzieci.

Wyszedł przed blok i dochodząc pomału do siebie, zastanawiał się, czy to wszystko dzieje się naprawdę.

\* \* \*

Poseł Witold Drozd z Ruchu Pukalskiego stał samotnie w rogu sali bankietowej i wręcz fizycznie czuł narastający wobec niego ostracyzm. Te wszystkie polityczne miernoty, które jeszcze kilka miesięcy temu nazywały się jego przyjaciółmi, które zabiegały o jego dobre spojrzenie czy choćby słowo, teraz trzymały się od niego z daleka, jakby był zarażony jakimś groźnym wirusem lub trądem. Tak jakby tylko on spośród czterystu sześćdziesięciu posłów miewał kłopoty z policją, prokuraturą i wyjaśnieniem legalności pochodzenia swojego majątku. Ale on miał to gdzieś. Uważał, że jest twardym facetem i wcale nie musiał być politykiem, żeby w przyszłości nie być nikim. Dla niego zostanie posłem na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej było tylko ukoronowaniem dotychczasowej kariery i kolejnym etapem stawania się lepszym i szacowniejszym człowiekiem. Szczeblem w awansie do góry. Bo on był ambitny! W przeciwieństwie do większości tych tchórzliwych sprzedawczyków reprezentujących różne partie, których jedynym życiowym celem było dobrze się ustawić, jemu nie chodziło już tylko o kasę i tandetne przyjemności. Pieniądze, kobiety, namiastkę władzy - to wszystko już miał. I to bardzo dawno temu. W jego rodzinnym Braniewie wszyscy znali tę jego historię. Od drobnego gangstera do bohatera - jak śmiał się sam z siebie. Ale teraz chciał czegoś więcej! Szacunku, poważania i prawdziwej władzy! A do tego potrzebował kilku nowych poważnych sojuszników i odrobiny szczęścia.

W oddali zobaczył emerytowanego generała Szerszenia. Byłego dowódcę Wojsk Lądowych, a później wiceministra w Ministerstwie Obrony Narodowej. Znali się z dawnych czasów ze współpracy w sejmowej komisji obrony i zawsze odnosił wrażenie, że się lubili. Generał, który odczuł na własnej skórze, jak się „pracuje” w polskiej polityce, nie powinien stchórzyć przed zamienieniem z nim publicznie kilku słów. Poseł postanowił więc precyzyjnie się do niego, żeby chociaż chwilę móc z nim porozmawiać i pokazać tym wszystkim frajerom, że nie poszedł jeszcze w całkowitą odставку. Dojście do generała okazało się prostsze niż myślał. Wszyscy rozstępowali się przed nim z przestraczeniem i mógł iść swobodnie



niczym biblijny Mojżesz przez Morze Czerwone. Kiedy generał w końcu go dostrzegł, uśmiechnął się lekko i wznosił niemy toast, podnosząc w jego kierunku lampkę szampana.

- Witam pana posła - zadrwił, kiedy stanęli już naprzeciwko siebie. - Czyżby koledzy nie dopisywali?

Drozd zrobił minę mającą oznaczać jego jednoznaczny stosunek do tych wszystkich ludzi.

- To tylko chwilowe. Ktoś coś źle usłyszał, coś źle zrozumiał, ktoś się obraził lub niepotrzebnie pogniewał. I tyle. Ale widzę, że pan generał też wrócił do życia towarzyskiego i to w blasku fleszy?

Były mundurowy machnął lekceważąco ręką.

- Zupełnie mnie to nie obchodzi. Zresztą niech pan spojrzy... - roześmiał się i głową wskazał stłoczonych na przyjęciu oficjeli. - Widzi pan, ilu tu mamy wszelakich ekspertów i wysokiej klasy specjalistów od spraw wojska i obronności? Prawie każdy z nich myśli, a przynajmniej udaje przed innymi, że się na tym zna. Kilku z nich ma nawet poważne stopnie wojskowe i uwielbia kłapać jadaczką na temat obronności i wojska we wszystkich możliwych mediach. Ale prawie żaden z nich nigdy nie był w polu z prawdziwym wojskiem i nie dowodził choćby zwykłą kompanią liniową na poligonie. Nie mówiąc już o taktyce, planowaniu, strategii i tak dalej. Widzieli i słyszeli tylko to, co inni zaplanowali i chcieli im pokazać. Ja teraz nie mam już w tym kraju prawie nic do powiedzenia. Ale skoro gdzieś mnie jeszcze zapraszają, to nie odmawiam i próbuję jakoś pomóc.

Poseł skinął potakująco głową. Zdawał sobie sprawę, że generał mówi też między innymi o nim. Jego też zaliczał do grona tych niekompetentnych darmozjadów, którzy za nic brali pieniądze z sejmowej komisji obrony. Ale wiedział też, że byłego ministra bardziej od jego osoby bolały postawy jego dawnych kolegów lub nawet byłych wychowanków. To oni przecież stali teraz za sterami armii lub kierowali nią z zaciszy swoich politycznych lub sztabowych gabinetów. I to do nich generał miał pretensje, że w siłach zbrojnych dzieje się dzisiaj tak, a nie inaczej i promowani są właśnie ci, a nie inni oficerowie.

- To co pan, panie posle, powie o filmie? - generał nawiązał w końcu do przedpremierowego pokazu, z okazji którego odbywało się przyjęcie.

- Wstrząsający obraz! Naprawdę...

W tym momencie koło Drozda zatrzymał się starszy szpakowaty mężczyzna w eleganckim garniturze, z niewielkim wąsem i z drewnianą laseczką w ręku. Spojrzał mu prosto w oczy, ukłonił się grzecznie i wolnym krokiem ruszył dalej. Zaskoczony poseł

przerwał swój wywód w pół słowa i odprowadził go wzrokiem.

- Zna go pan? - zapytał z zaciekawieniem emerytowany wojskowy.

- Nie wiem. Ale chyba gdzieś go już widziałem... Przepraszam, panie generale. Zaraz wracam.

To powiedziawszy ruszył za tajemniczym mężczyzną. Wszedł za nim do toalety i zobaczył go pochylonego nad umywalką. Podszedł do umywalki obok, odkręcił kran aż woda chlusnęła mocnym strumieniem i rozejrzał się nerwowo dookoła. W środku było kilka osób, więc najpierw spróbował się uspokoić i zapanować nad sobą. Obmył twarz i wytarł ją papierowym ręcznikiem. Dopiero po chwili, kiedy łazienka już opustoszała, rzucił okiem na staruszkę i udając, że ogląda własne odbicie w lustrze, warknął:

- O co chodzi?

- Dobry film, bardzo dobry film. I taki prawdziwy - usłyszał w odpowiedzi. I jednocześnie poczuł, jak odwracający się od umywalki mężczyzna dyskretnie wkłada mu coś do kieszeni spodni.

- Żegnam pana - ukłonił się mu na pożegnanie.

Posel poczekał, aż tamten wyjdzie na zewnątrz, i niemalże wbiegł do jednej z kabin. Natychmiast sięgnął do kieszeni i wyciągnął przesyłkę. Zwykłą białą chusteczkę jednorazową. Rozłożył ją i z najwyższym trudem odczytał niezbyt wyraźny, napisany odręcznie ołówkiem, pojedynczy wyraz: „matrioszka”.

- Skurwysyny - szepnął do siebie. - Co za pierdolone skurwysyny.

I podarłszy drżącymi rękoma chusteczkę na jak najdrobniejsze kawałki wrzucił ją pośpiesznie do muszli, wcisnął spłuczkę i poczekał aż ostatnia drobina zniknie w wodzie.

\* \* \*

Tomasik siedział zamyślony na tarasie domu swojego przyjaciela, Jarka Sopoćko, i podziwiając przepiękny zachód słońca nad spokojną taflą jeziora, rozkoszował się smakiem schłodzonego piwa. Nie chciał spędzić dzisiejszej nocy w samotności u siebie w domu. Chyba miał za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Rozstanie z Agnieszką, jej wyprowadzka, do tego poranny kac. Potem informacja o samobójstwie dwóch uczniów, rozmowa z Mileną, dziwna śmierć jego sąsiadki i bolesne spotkanie z tajemniczym facetem w bloku naprzeciwko. A na koniec nieprzyjemna rozmowa z policją, która szukała dziury w całym, i podejrzliwe spojrzenia sąsiada Boczka. Do tego świadomość, że to wszystko wydarzyło się tuż koło jego domu i od tej pory mimowolnie on też w tym już

uczestniczy.

Westchnął. Myśl, że tajemniczy „ktoś” mógł bezkarnie obserwować jego, Agnieszkę i dzieciaki, sprawiła, że po plecach przeszły go nieprzyjemne ciarki. Miał dość na dzisiaj, był tym wszystkim po prostu zmęczony.

Na pole z pobliskiego lasu wyszła sarna z dwójką młodych. Zwierzątka pochyliły się nisko nad ziemią i szybkimi nerwowymi ruchami skubały wysoką zieloną trawę. Zafascynowany Tomasz patrzył na ich ostrożne zachowanie i mimowolnie porównywał je do ludzi. Tak - pomyślał. Jesteśmy tacy jak one. Całe życie w nerwowym oczekiwaniu na strzał. A utrata czujności, dekoncentracja lub rozleniwienie mogły oznaczać śmierć.

Pogłaskał swoją małą Maszę i wtedy przez przeszklone drzwi od salonu wyszedł na zewnątrz Jarek. Policjant nie oparł się upływowi czasu. Co prawda zamienił ostatnio swój nieodłączny wąsik na modną i zadbaną bródkę, ale przybrał też kilka kilogramów i zdążył nieco posiwieć. Poza tym w przeciwieństwie do Tomasza ożenił się i był już szczęśliwym ojcem sześciolatniego syna. I to było teraz główną treścią jego życia.

- Młody zasnął - powiedział i stuknęli się lekko szyjkami butelek. Jarek usiadł obok na schodach i zauważył sarenki.

- Codziennie tu wychodzą. Kiedyś pewnie zapłacą za to przyzwyczajenie głową.

- Dlaczego?

- Jest tu jakieś koło łowieckie. Skurczybyki strzelają prawie przy samych domach. Teraz matka i młode pewnie są pod ochroną, ale za kilka miesięcy ktoś je sprzątnie.

Na krótką chwilę zapanowała cisza.

- A pamiętasz jak kiedyś chcieliśmy iść do technikum leśnego? I zostać leśnikami?

- Pewnie - Jarek roześmiał się na tamto wspomnienie. - Szkoda, że tego nie zrobiliśmy. Jeździlibyśmy sobie dzisiaj po lesie jakimiś terenowymi jeepami albo uazami i ścigalibyśmy chłopków kradnących drzewo i rozstawiających wnyki. Czasami może przetrzepali komuś skórę i żyli trochę spokojniej i zdrowiej.

- Hm, nie wiem, czy leśnicy rzeczywiście tak żyją. Ale Miśkowi się udało...

- No.

- Nie chcę ci zawracać głowy swoimi sprawami - przeszedł w końcu do sedna Tomasz. - Ale mam mały problem.

Jarek spojrzał na niego uważnie.

- Agnieszka?

- Też.

- To co się stało? Problem z doktorkiem?

- Niestety... Pieprzony Lewatywa okazał się „ideałem mężczyzny”.

Jarek zaśmiał się cicho i Tomasz spojrzął się na niego zaskoczony.

- Mnie to nie śmieszy - powiedział z przekąsem.

- Sorry. Ale gdy ostatnio mi o nim wspominałeś, to odniosłem wrażenie, że tylko czekasz, aż facet się w końcu weźmie do rzeczy. A ty znowu będziesz wolny.

- Ej, stary! Właśnie rozstałem się z kobietą po kilku latach udanego pożycia, cierpię, a ty mi tu taką trefną psychoanalizę wciskasz!

- Dobra, dobra. Przykro mi z powodu Agnieszki. Wiesz, że ją lubiłem. Z Gosią też zawsze się dogadywała. Dzieciaki były w porządku. Ale teraz przejdź do konkretów. Bo na pewno nie przyjechałeś do mnie na noc z powodu Agnieszki.

Tomasz popatrzył kumpłowi prosto w oczy i w duchu podziękował Bogu za te wszystkie lata przyjaźni. Wspólne dzieciństwo, pierwsze imprezy, pierwszy alkohol. Kilka przygód, które różnie mogły się skończyć. Nigdy się na nim nie zawiodł i ufał mu jak rodzonemu bratu.

Dopił piwo do dna i szybko otworzył następną butelkę. Wziął jeszcze dwa duże łyki i zaczął opowiadać o dzisiejszych przeżyciach. Kiedy skończył, zapytał:

- I co o tym myślisz?

Zamiast odpowiedzi Jarek wyciągnął tylko z kieszeni telefon i wybrał połączenie.

- Cześć, Gosia - dzwonił do żony. Też policjantki. Akurat była na nocnej zmianie. - Co tam słyhać?

Przez krótką chwilę nastąpiła wymiana zdań o tym, co w domu, a dopiero potem Jarek zadał niewinne pytanie:

- A co tam dzisiaj się wydarzyło z tymi małolatami? - I uruchomił w telefonie funkcję głośnomówiący.

- Z kim?

- Z tymi gówniarzami, co się naćpali i wyskoczyli z dziesiątego piętra przez okno.

- Nie wiem dokładnie. Na miejsce pojechały chłopaki od nas z miejskiej i pozamiatąły sprawę.

- Nic tam nie było ciekawego?

- Chyba nie... Jurek Trojan tam był, wiesz który?

- Nie kojarzę.

- Gruby. Ten od kiboli. Porządny facet. Gdyby coś było, to by pewnie to wyłapał.

- A co z tymi narkotykami? Byli czyści?

- Ej, a co ty tak pytasz? Ktoś cię o coś prosił?

- Oni byli z XX LO. Od Tomka. Jest teraz u mnie i spijamy razem browarka. Po prostu jest ciekaw.

- Rozumiem. Przykro mi z powodu tych chłopców. Jak się czegoś dowiem, to się odezwę.

- OK. Dzięki. Trzymaj się.

Rozłączyli się. Tomasik sięgnął po piwo i pociągnął kilka następnych łyków. Znowu zapatrzył się na sarny. Gdzieś na pobliskiej posesji rozległo się głośnie szczeknięcie psa. Zwierzątka najpierw zastygły w bezruchu, a potem rzuciły się do panicznej ucieczki w kierunku lasu. Po chwili już ich nie było.

- Instykt - mruknął w zamyśleniu Tomasz i sięgnął po swój telefon. Znalazł numer Martyny i wcisnął wybieranie.

- Znowu dzwonisz do tej maślaki? - domyślił się Jarek.

Tomasz skinął w milczeniu głową i spokojnie odczekał pięć sygnałów. Potem włączyła się automatyczna sekretarka z nagraniem wesołym głosem.

- Cześć. Tu Martyna. Jestem zajęta i nie mogę odebrać. Zadzwoń później albo po usłyszeniu sygnału nagraj się na sekretarkę. Oddzwonię jak będą mogła. Pa.

- Cześć, Martynka. Profesor Tomasik z tej strony. Oddzwon, proszę. Musimy pogadać. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. - I się rozłączył.

- Cały czas nie odbiera? - bardziej stwierdził niż zapytał Jarek. - Myślisz, że ona wtedy z nimi była?

- Nie wiem. Ale pewnie tak, bo niby dlaczego nie pojawiła się w szkole? To całkiem niezła uczennica.

- No właśnie.

- Obstawiam, że właśnie dlatego. Była z nimi - myślał głośno. - Chłopaki zginęli na gdańskiej Zaspie. Wskoczyli z dziesiątego piętra. W takim kilkuklatkowym bloku mieszkają setki niezających się bliżej ludzi. Pełna anonimowość. Chociaż pewnie jest też dużo kamer. Co oni tam w ogóle robili? Chłopaki byli z Moreny. Ona z Gdyni. Na imprezy z tego, co wiem, to chodzi się do Sopotu, do Wrzeszcza, ewentualnie na Starówkę. Albo bawi się u siebie. Więc?

- Dragi?

- Być może. Ale jak tam dotarli, skoro wcześniej na pewno pili? Nocny autobus? Na piechotę? Jeżeli tak, to którędy szli? Powinni być jacyś świadkowie.

- Może kogoś spotkali? Znajomego albo pośrednika lub handlarza? A może wzięli taksówkę?

- Może... Chciałbym wiedzieć, co ustalił ten wasz Gruby.

- Słabo go znam. Szczerze mówiąc, ledwo go kojarzę. Ale Gosia na pewno czegoś się od niego dowie.

- Cholera! Gdzie jest Martyna? Gdzie była w czasie tej tragedii?

- Może to wszystko widziała i teraz jest w szoku?

- I co dalej? Nie odbiera telefonów? A może ten wasz Gruby powiązał ją już z naszymi nieszczęśnikami i spróbował namierzyć jej telefon? Przecież to nie jest dla was jakiś większy problem?

- Nie jest.

- I następne pytanie. Moja sąsiadka, matka Martyny. Prawdopodobnie ofiara zabójstwa. Przynajmniej ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale pytanie brzmi: dlaczego została zabita? Kto i po co to zrobił? Ja wiem jedno: zrobiono to naprawdę nieźle. Jestem prawie pewien, że te wasze asy niczego podejrzanego nie zauważą i zamkną sprawę najszybciej jak się tylko da.

- Sorry, stary, ale życie jest brutalne - zaśmiał się z cynicznie Jarek. - A ludzie są tylko ludźmi. Chłopaki są wystarczająco zawaleni robotą i nie szukają dodatkowej, jeżeli nie trzeba. W domach i tak są tylko gośćmi.

- Wiem, rozumiem. Znam to z autopsji. Ale jeżeli myślisz, że to cokolwiek zmienia, to się mylisz. Nie powinno być tak, że ktoś odwała kitę, a wasi ludzie tylko przy tym asystują.

- Daj spokój. To nie tak. Po prostu znajdujemy trupa. Przyjeżdża ekipa ze zwykłego komisariatu plus ktoś z prokuratury. Jeżeli nic nie wskazuje na udział osób trzecich, to koniec sprawy. Pozamiatane.

- A gdy coś ich zaciekawi?

- Wtedy sprawę przejmują chłopaki od nas z miejskiej albo z Komendy Wojewódzkiej. I oni to ciągną.

- A ten Gruby?

- On jest od nas. Chyba z kryminalnych. Gdyby coś znalazł, przekazałby to dalej.

- A narkotyki?

- Ta sama zasada. Drobiazgi to nasza działka. Coś grubszego, od razu wchodzi wojewódzka albo CBS czy nawet ABW. Zależy...

Tomasik westchnął. Odzwyczaj się od tych wszystkich niuansów i zależności między różnymi służbami. Jakby zapomniał, że w tym światku nic nie jest takie jednoznaczne i oczywiste, jak ludziom z zewnątrz się wydaje. Jedność i współpraca tych wszystkich ludzi w celu ochrony państwa i jego obywateli nie zawsze była na pierwszym miejscu w ich hierarchii ważności celów.

W tym momencie rozległ się sygnał komórki Jarka. Policjant spojrział na wyświetlony numer i rzucił.

- Tak, Gosieńka.

Przez kilkanaście sekund słuchał uważnie żony, a potem się rozłączył i spojrzał zamyślony na Tomasza.

- I co? - dopytywał się Tomasz.

Jarek z poważną miną popatrzył mu prosto w oczy i powiedział powoli.

- Chyba znowu wdepnąłeś w niezłe gówno. Nasz przyjaciel Gruby właśnie miał zawał. Nie żyje.

\* \* \*

Marian Terlecki, twórca i właściciel jednego z największych imperiów medialnych w Polsce, siedział w samych slipach na hotelowym łóżku i z błogim uśmiechem wywołanym odrobiną kokainy obserwował swoje dwa najnowsze nabytki. Były to piękne i puste modelki, które dla pieniędzy i sławy były w stanie zrobić wszystko, a za kilka komplementów i obietnicę drobnej roli w znanym serialu zgodziły się na pikantny trójkącik ze starszym eleganckim i wpływowym panem. Dziewczyny siedziały teraz tuż obok niego, zupełnie nagie i splecione w miłosnym uścisku, głaszcząc się czule po policzkach i włosach. Co chwilę ich usta stykały się ze sobą, a wargi i języki tonęły w namiętnych, głębokich pocałunkach.

- Dalej - jęknął rozkazująco Terlecki, czując, jak jego penis w końcu zaczyna się podnosić, a przez ciało przebiega rozkoszne drżenie.

Dziewczyny jeszcze odważniej zaczęły się pieścić, lecz on był już prawie gotowy. Zniecierpliwiony złapał za dłoń jedną z nich i odrywając ją od piersi partnerki położył na swoim coraz większym prąciu. Zaskoczona tempem akcji dziewczyna mruknęła przymilnie i mrużąc seksownie oczy, wolnym i wprawionym ruchem zaczęła miętosić mu jądra.

Terlecki znowu jęknął z zadowolenia, szybkim ruchem ściągnął z siebie slipy i odrzucił daleko za siebie.

- Jaki duży... - pisnęła dziewczyna i oblizując prowokująco wargi, pochyliła się nad nim powoli. Wolną ręką poprawiła sobie włosy i przez kilkanaście sekund drażniła go, liżąc go po samym czubku językiem. Chwilę później jej usta obejmowały go już mocno i z wielką wprawą poruszały się coraz szybciej w górę i w dół. Bezrobotna koleżanka wstała rozdrażniona z łóżka i stojąc nieco z boku, patrzyła na nich i z niepokojem myślała o tym, żeby tylko ten stary cap nie zapomniał teraz o niej i złożonej jej obietnicy.

Terlecki czuł, że dochodzi i że zaraz już eksploduje. I wtedy rozległ się sygnał SMS-a w leżącym na poduszce telefonie.

- Kurwa mać! - ryknął nagle, z ulgą czując własny wystrzał. - Kurwa, jak dobrze!

Dziewczyna przerwała pieszczotę i zakrywając usta dłonią wybiegła prosto do łazienki. Rozluźniony już nieco Terlecki parsknął wesoło śmiechem i wiedząc, że to jeszcze dla niego nie koniec, ręką przywołał koleżankę.

- Zajmij się nim jeszcze - rozkazał. I sięgnął po telefon.

Dziewczyna z lekkim obrzydzeniem pochyliła się nad ciągle stojącym prąciem, a Terlecki, nadal uśmiechnięty, włączył odczyt wiadomości. Najpierw zdążył jeszcze poczuć rozkoszne ciepło kobiecych ust na swoim sztywnym fiucie, a w chwilę później czuł już tylko jak krew odpływa mu z głowy i z prącia, a oczy zachodzą mgłą.

- O Boże - jęknął. - Słabo mi.

Zdziwiona dziewczyna odsunęła od niego głowę i z przestraczeniem spojrzała na jego pobladałą twarz i szybko wiotczące ciało.

- Panie Marianie! - krzyknęła spłoszona. - Panie Marianie! Niech pan nie umiera!

Z łazienki wybiegła jej koleżanka. Jeden rzut oka na bladego niczym ściana Terleckiego wystarczył, żeby jej serce zmroził strach.

- Co się dzieje? - wykrztusiła z siebie.

- Nie wiem.

Kobieta podbiegła do łóżka i uderzyła go lekko otwartą dłonią w twarz. Terlecki nie zareagował.

- Marian! Ty stary złamasie! Nie umieraj mi po tym, co musiałam dzisiaj dla ciebie zrobić! - krzyknęła spanikowana. - I powtórnie trzasnęła go z całej siły w policzek. - Słyszysz?! Nie umieraj!

Koleżanka pobiegła do łazienki, przyniosła w szklance wody i chlusnęła mu nią prosto w twarz. Terlecki z trudem otworzył półprzytomne oczy.

- Żyje pan! - krzyknęły szczerze uradowane dziewczyny. Zaczęły się wzajemnie przekrzykiwać. - Myślałyśmy już, że zszedł nam pan na amen! - Obie zaczęły zasypywać go pocałunkami, lecz on machnął tylko zniecierpliwiony ręką.

- Precz! - wychrypiał dziwnie nieswoim głosem. - Ubierać się i wynocha!

- Ale... - dziewczyny były zaskoczone. - Gdzie mamy iść? Dlaczego?

- Wypierdalać! - ryknął z nagłą furią.

Przestraszone rzuciły się do swoich porzrzucanych ubrań. Minutę później nie było już ich w pokoju. A samotny Terlecki znowu



odblokował telefon i jeszcze raz spojrzął na wyświetlający się napis: „matrioszka”. Potem przez długą chwilę siedział, patrząc tępo w ścianę i nawet nie próbując analizować, jak i dlaczego mogło do tego dojść, aż nagle cisnął z całej siły aparatem o szafę. Telefon rozprysnął się na kilkanaście kawałków.

- Jestem skończony - szepnął cicho do siebie, czując, że znowu opuszczają go siły. - Moje pieniądze, moje imperium, moja rodzina... Wszystko na nic... Wszystko stracone...

I ten potężny i władczy mężczyzna, który od lat trząsał całą medialną Polską, sprawując w niej niemalże niepodzielną władzę, ukrył twarz w dłoniach i zasłochał nad własnym losem niczym bezradne dziecko.

\* \* \*

Tomasik długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok i ciągle rozmyślał. Nie miał pojęcia, co się dookoła niego dzieje, a co gorsza, nie wiedział, jaka jest w tym wszystkim jego rola. Najchętniej odciąłby się od tego wszystkiego, udał, że nic się nie wydarzyło, i wrócił spokojnie do domu. Ale wiedział też, że to nie rozwiąże żadnego problemu, podobnie jak schowanie przez strusia głowy w piasek nie sprawi, że nikt go nie zauważy. Czy śmierć tamtych chłopców z jego liceum i pani Haliny miała ze sobą coś wspólnego? Gdzie jest i dlaczego zaginęła Martyna? Czy w ogóle jeszcze żyje? A zawał Grubego? Coś za dużo tego było jak na splot nieszczęśliwych przypadków w ciągu jednego krótkiego dnia.

Zacisnął mocniej oczy i spróbował niczym małe dziecko liczyć wymyślone barany. Ale to zajęcie było tak głupie, że już przy dziesiątym dał sobie z tym spokój. I wtedy usłyszał cichy odgłos wibracji swojego telefonu. Zdziwiony podniósł aparat i spojrzął na wyświetlony numer. Milena? O pierwszej w nocy? Natychmiast stał się czujny.

- Tak? - rzucił do słuchawki.

- Cześć, Tomek - jej głos był wyraźnie zaniepokojony. - Przepraszam, że dzwonię o tej porze. Pewnie cię obudziłam, ale mam poważny problem.

- Co się stało?

- Jest u mnie Martyna Wojciechowska.

- Co?

- Jest w fatalnym stanie.

- To znaczy?

- Jest cała roztrzęsiona i brudna. Coś się musiało stać. Nie chce mi nic powiedzieć i ciągle płacze. Ona chyba się czegoś po prostu

strasznie boi!

Tomasik myślał intensywnie.

- Gdzie ona teraz jest?

- Udało mi się ją namówić na prysznic. Ale nie wiem, co dalej...

- Pilnuj jej! - rozkazał. - Ja zaraz u ciebie będę.

Spojrzał na zegarek i wtedy przyszła mu jeszcze jedna myśl.

- Milena, czy ona ma swój telefon?

- Nie wiem.

- Sprawdź. Jeżeli ma, to natychmiast go wyrzuć przez okno. Jak najdalej!

- Ale dlaczego?

- Nie pytaj! Rób, o co cię proszę! Wyrzuć telefon, pilnuj jej i nikomu nie otwieraj, póki nie przyjadę. W porządku? - Po drugiej stronie panowała cisza. Zaniepokojony Tomasiak zapytał szybko: - Milena? Jesteś tam?

- Jestem.

Przez chwilę wyobraził sobie wyraz jej twarzy i to, co ona teraz sobie o nim prawdopodobnie myślała. Mimo powagi sytuacji o mało nie parsknął śmiechem.

- Milenka - powiedział miękko. - Zrób to. Ja nie zwariowałem. Po prostu dziewczyna ma problem. Poważny problem. Zaufaj mi, proszę. Wyrzuć jej telefon i czekajcie na mnie. Będę za kilkanaście minut.

Mówiąc to, zaczynał się już ubierać, a w minutę później wbiegał już po schodach do góry. Zapukał w drzwi sypialni i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Jarek spał i Tomasz musiał go obudzić.

- Co się dzieje? - zapytał niezbyt przytomnym głosem policjant.

- Młoda się znalazła. Jest u Mileny. Jadę do nich.

- Rozumiem.

- Mam jeszcze prośbę.

- No?

- Zaopiekujesz się Maszą?

- Jasne.

- Dziękuję za wszystko. Trzymaj się.

Odwrócił się na pięcie i szybko zbiegł na dół. Poklepał wpatrzoną w niego z niemym pytaniem Maszę i po chwili odpalał już swój samochód. Otwierał właśnie bramę, kiedy usłyszał cichy głos:

- Mam coś dla ciebie.

Jarek stał w samej pidżamie i wyciągał w jego kierunku niewielkie zawiniątko.

- Co to?

- Moje małe wsparcie. Może ci się przydać.

Tomasz wziął do ręki niewielką reklamówkę, rozwinął ją i wyciągnął z niej glocka 17 razem z kaburą na szelkach oraz z dołączonym dodatkowym magazynkiem.

- Mój prywatny. Legalny. Tam masz wszystkie dokumenty i w sumie trzydzieści cztery kulki. I obyś nie musiał go używać, a ja się przez to później tłumaczyć.

Tomasz uściśnął mu mocno wyciągniętą na pożegnanie rękę.

- Dzięki.

Wsiadł do auta i ruszył w kierunku gdańskiej Moreny.

\* \* \*

Potężny mężczyzna z wysoko podgoloną głową siedział za kierownicą niebieskiego passata na gdańskich numerach rejestracyjnych i obserwował uważnie okna na piątym piętrze w bloku przy ulicy Wyrobka. Co jakiś czas zerkał na niewielkie urządzenie wskazujące mu położenie nadajnika GPS zainstalowanego w każdym w miarę nowoczesnym telefonie komórkowym i dzięki któremu z taką łatwością namierzył poszukiwaną dziewczynę. Żałował tylko, że dopiero teraz mógł się nią zająć. Ale taki był skutek tak zwanych braków przerobowych w jego firmie. Ich placówka w Gdańsku była bardzo niedofinansowana. Bardzo... Zwłaszcza w perspektywie operacji, którą właśnie przeprowadzano i której rezultatów od nich oczekiwano.

Pora nocna akurat w tym przypadku też nie była zbyt korzystna do wykonania zadania. Ale nie na wszystko w swojej pracy miał wpływ. Mimo tego powinna to być prosta robota. Ziewnął znudzony i spojrzął na zegarek. Najchętniej sam by się zajął tą małą, ale musiał uważać. Jego szef podejrzewał, że mogą być dyskretnie obserwowani przez miejscowych, a nikt nie chciał zbędnego ryzyka i nie potrzebował dolewać oliwy do ognia i to akurat teraz, w i tak napiętej już sytuacji międzynarodowej.

Jego ludzie się spóźniali. A on tego bardzo nie lubił. Zamiast siedzieć samotnie w nocy w jakimś gównianym pożyczonym samochodzie, wolałby spędzać miło czas w towarzystwie Wiery, swojej nowej przyjaciółki, informatyczki z firmy. Co prawda dziewczyna na początku bała się go jak ognia, ale szybko się przekonała, że warto poświęcić mu trochę czasu. Zaśmiał się cicho na wspomnienie ich pierwszej nocy i tych wszystkich świństw, do których ją wtedy zmusił. Tak, tak... To było naprawdę fascynujące doświadczenie. Tak się niby tego wszystkiego brzydziła, nie chciała,

a potem sama aż się prosiła, żeby tylko z nią to powtórzyć. I w tym momencie przerwał swoje rozmyślenia. Zobaczył bowiem coś dziwnego. Namierzony telefon z GPS-em wyleciał nagle przez okno i upadł kilkadziesiąt metrów od jego auta w trawie.

Poczuł lekki dreszczyk niepokoju. Coś się musiało tam złego wydarzyć. Nikt normalny nie wyrzuca przecież swojego telefonu przez okno z piątego piętra dla przyjemności. Znowu żałował, że nie ma tu przy sobie swojego prawdziwego zespołu i musi korzystać z usług różnych miejscowych chłopców. A ci w większości umiejętnościami i sprzętem nie dorównywali nawet tubylcom. Właśnie przez takie gówniane problemy, a więc brak ludzi, sprzętu i kasy, nie wiedział teraz nawet, ile tak zwanych celów jest tam w środku. I kto to jest? Jej rodzina? Przyjaciele? Znajomi? Nie miał o tym pojęcia. A przecież ich wszystkich musiał zlikwidować. A potem jeszcze posprzątać po sprawie. I to tak, żeby miejscowi nie dostali sraczk. W tym momencie zobaczył, że pod blok podjechało jakieś auto. Nie wyglądało groźnie. Biały kilkunastoletni opel astra. Czymś takim nie mógł jeździć nikt poważny. Zanim zdążył przyłożyć do oczu aparat z możliwością zbliżania, z pojazdu wysiadł chłopak. A może facet? Z tej odległości bez aparatu trudno było to jednoznacznie określić, tym bardziej że od razu po wyjściu narzucił na głowę kaptur. Wszedł prosto do obserwowanej klatki i zniknął mu z oczu. Po chwili na pierwszym piętrze po prawej stronie włączyło się światło.

- Przedpokój - pomyślał z ulgą. - Falszywy alarm. - I trochę się rozluźnił.

Do drzwi jego auta w końcu podeszli trzej długo wyczekiwani zakontraktowani mężczyźni. Uchylił szybę, zlustrował ich krytycznie wzrokiem i przekazał krótką informację.

- Pierwsza klatka, piąte piętro, lewa strona. Co najmniej dwie osoby. Cel główny: dziesiętnastoletnia dziewczyna - pokazał im zdjęcie. - Ma żyć i trafić do dziupli. Cel numer dwa: pozostali. Liczba nieznana. Najlepiej ich unieszkodliwić i zabrać w to samo miejsce. W razie komplikacji: zlikwidować. Jeden z was: ubezpieczenie na dole. Dwóch następnych: idzie na górę i załatwia sprawę. I jeszcze jedno. Mogli wezwać posiłki. Dlatego pośpieszcie się. Pytania?

- Brak.

- Naprzód!

Mężczyźni ruszyli w stronę bloku i po chwili zniknęli w środku. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, na pierwszym piętrze zgasło światło i po chwili z klatki wyszedł jakiś staruszek z niewielkim psem na smyczy. Kiedy psiak ledwie dostał się na trawę, zaraz zgiął

się w pół i załatwiał swoją fizjologiczną potrzebę.

- Job twoja mat - przeklął bezgłośnie mężczyzna, wiedząc już, że popełnił bardzo duży błąd. Ale przez ten pieprzony brak łączności nie mógł teraz nawet nic zrobić. Mógł tylko czekać na wynik przeprowadzanej właśnie akcji i mieć nadzieję, że facet w kapturze to był tylko zwykły zbieg okoliczności.

\* \* \*

Tomasik wjechał windą na piąte piętro, wysiadł i rozejrzał się uważnie po klatce. Trzy mieszkania plus winda, a obok niej schody. Niemalże automatycznie zapamiętał rozkład, po czym skierował się ostrożnie pod drzwi po lewej stronie. Widniała na nich tabliczka z nazwiskiem „M. J. Zalewscy”. Nie wyglądała na starą ani zniszczoną. Nie była więc raczej pamiątką po rodzicach.

- Cholera - zaklął w myślach niemile zaskoczony. Zawsze mu się wydawało, że Milena jest singelką. Albo, co bardziej do niej pasowało, po prostu starą panną. Ale najwyraźniej się pomylił. Światło na klatce zgasło. Podeszedł pod drzwi i nasłuchiwał. Słyszał cichy szmer grającego w środku telewizora. Rozpoznał nawet głos Justyny Pochanke z TVN24. Co jakiś czas dochodziły go pojedyncze słowa z szeptu Mileny i płaczliwe monosylabowe odpowiedzi Martyny. Kobiety musiały być same. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Delikatnie zapukał w umówiony sposób. Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili usłyszał ciche:

- Kto tam?

- Tomek.

Szczęknął otwierany zamek, drzwi się lekko uchyliły i w szparze ukazała się zmęczona twarz Mileny.

- Wejdz - szepnęła i ściągnęła zabezpieczający łańcuch.

Z samego dołu dobiegł ich głośny trzask zamykanych drzwi od klatki schodowej. Taki sam, jaki Tomasz wywołał zaledwie kilka minut wcześniej, i to mimo próby uniknięcia zbędnego hałasu. Tomaszem aż wzdrygnęło. Przyłożył palec do ust, nakazując Milenie ciszę, i wszedł szybko do środka.

- Co się dzieje? - zapytała zdziwiona, kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi.

- Cii - szepnął. - Gdzie Martyna?

- W pokoju.

Tomasz spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył opartą o framugę Martynę, będącą w bardzo kiepskim stanie psychicznym.

- Cześć, Martynka - przywitał się z nią prawie szeptem. - Jak się czujesz?

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło to zbyt przekonująco. Widząc to, Tomasz natychmiast odrzucił pomysł poinformowania jej o śmierci matki.

- Zbierajcie się. Musimy iść.

Milena zrobiła wielkie oczy.

- Dokąd?

W tym momencie z zewnątrz dał się słyszeć odgłos zatrzymywanego dźwigu. Szczęknęły otwierane drzwi od windy i Tomasz już wiedział, że będą kłopoty. Przykładając wskazujący palec do ust, ponownie nakazał dziewczynom ciszę i złapawszy je za ręce zaprowadził szybko do pokoju po prawej. Wrócił do korytarza i znalazł ich buty. Podał je i wskazał na ich nogi. Przykucnął za metalową framugą. Poza odgłosem telewizora panowała całkowita cisza. Jeżeli ktoś tam jest - analizował, starając się zachować spokój - musi nasłuchiwać.

Minęła minuta, potem druga. Kiedy zaczynał się już łudzić, że to jednak fałszywy alarm, że tylko był przewrażliwiony, do jego uszu doszedł ledwie słyszalny zgrzyt przekręcane zamka. Natychmiast skurczył się w sobie. Czuł, jak wszystkie mięśnie napięły się jak postronki, a zmysły wyostrzyły do granic możliwości. Był gotowy na wszystko. I wtedy poczuł lekki powiew wiatru spowodowany ostrożnie otwieranymi drzwiami. Metaliczny odgłos naprężanego łańcucha. Ledwo słyszalny skrzyp nieoliwionych dawno zawiasów. Ktoś chciał wejść po cichu do środka, lecz ta sztuka mu się nie udała. Odbezpieczony haczyk stuknął głucho o drewno i właśnie wtedy rozległ się przeraźliwy pisk śmiertelnie przerażonej Martyny. Dwóch obcych mężczyzn stojących w drzwiach nie miało już nic do stracenia. Z pistoletami w rękach natychmiast wpadli do środka. W tym momencie Tomasik zgasił światło i przedpokój zatonął w półmroku. Zaskoczeni bandyci zatrzymali się na moment w miejscu i rozejrzeli nerwowo w poszukiwaniu celów. Tomasik tylko na to czekał. Zrobił niewielki krok naprzód i z całej siły uderzył prawym prostym z wygiętą do góry dłonią. Usłyszał chrupnięcie kości wgniatanej w głąb czaszki i kątem oka zobaczył jeszcze, jak ze zmiażdżonego nosa chlusnęła krew. Drugi z przeciwników nie wytrzymał i pociągnął trzykrotnie za spust, strzelając przed siebie na oślep. Wygluszone przez tłumik pociski minęły cel i zaterkotały na kaflach łazienki, rozbijając przez przestrzelone drzwi muszlę sedesową i wannę. Tomasik intuicyjnie rzucił się płasko na ziemię i z impetem podciął strzelającemu nogi. Padający próbował utrzymać jeszcze równowagę i rozluźnił nieco chwyt na rękojeści pistoletu i tym samym dał Tomaszowi kolejną szansę. Ten zdążył się bowiem poderwać do góry i wstając, uderzył

bandytę prawą nogą z całej siły w twarz. Głowa niczym kopnięta piłka odskoczyła do tyłu. Tomasik rzucił się do niego i złapał za trzymany bezwładnie pistolet. Wykręcił mocno rękę, aż usłyszał trzask pękającej kości i wtedy skierował lufę w kierunku jego kompana. Pociągnął trzy razy za spust. Za każdym wystrzałem pistolet wydawał z siebie tylko głuchoe kasznięcie i dosiadał celu. Trafiany pod wpływem uderzeń okręcał się wokół własnej osi i rozłożywszy szeroko ręce wpadł na przestrelone drzwi od łazienki. Odwrócił głowę i przez krótką chwilę patrzył jeszcze z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczyma na zastygłego w bezruchu Tomasika, a potem spłynął powoli w dół, zostawiając tylko na białych drzwiach trzy ciemnokrwiste smugi.

Tomasz się otrząsnął. Dopadł do wyjścia i wyjrzał na klatkę schodową. Rozejrzał się, lecz nikogo tam nie było. Ale to nie znaczyło, że tak już zostanie. Wrócił do mieszkania i znowu przekręcił zamek. Musiał się śpieszyć. Podbiegł do leżącego i wijącego się z bólu bandyty. Przyklęknął przy nim i złapał brutalnie za złamany nadgarstek.

- Kto was nasłał? - zapytał groźnie.

Mężczyzna jęknął jeszcze głośniejsze, a Tomasik musiał zakryć mu ręką usta.

- Gadaj! Jak krzykniesz, to przestrelę ci kulasa. Nic nie powiesz, też przestrelę ci kulasa. Dotarło do twojego pustego łba? Mów!

- Nic nie wiem.

- Zła odpowiedź! - Tomasz przyłożył mu do kolana jego własny pistolet z tłumikiem i pociągnął za spust.

Nastąpiło ciche brzęknięcie i ciałem mężczyzny wstrząsnął paroksyzm bólu. Przygotowany na to Tomasik przydusił go całym swoim ciężarem, a kiedy zobaczył ciekące po twarzy bandyty łzy, szepnął:

- Właśnie zostałeś kaleką i nigdy już nikogo nie skrzywdzisz. Ale ciągle jeszcze będziesz mógł samodzielnie chodzić. Pomyśl o tym... Kto was nasłał?

Mówiąc to, spojrział w kierunku Mileny. Stała w drzwiach do pokoju i obejmowała wtuloną w jej ramiona Martynę. Jej szeroko otwarte oczy mówiły wszystko. Była przerażona prawie tak samo jak jej podopieczna.

- Nie znam go - padła zboląta odpowiedź. - Czeka na dole i mówi z dziwnym akcentem.

- Gdzie czeka?

- Po drugiej stronie ulicy. W samochodzie. Niebieski passat.

- Kto jeszcze?

- Jeden na dole.  
- Jak się z nim kontaktujecie?  
- Nie wiem. To on... - mężczyzna wzrokiem wskazał nieżyjącego kolegę.

Tomasz znowu spojrzał na Milenę.

- Daj mi taśmę klejącą.

Kobieta stała bez ruchu. Była jak sparaliżowana. Tomasz zaklął w myślach, ale nie miał czasu na czułości. Uniósł do góry broń, wziął lekki zamach i kolbą uderzył w skroń leżącego. Widział jak go zamroczyło. Być może nawet zemdłał.

- Leżeć! Albo zastrzelę jak wściekłego psa! - zagroził tak na wszelki wypadek. - I rzucił się w kierunku kuchni.

W drugiej z otwieranych szuflad znalazł to, czego szukał. Zwykłą przezroczystą taśmę klejącą. Na jednej z szafek zobaczył jeszcze zdjęcie uśmiechniętej Mileny na tle wojskowego helikoptera Mi-24 w towarzystwie obejmującego ją mężczyzny w mundurze pilota. Wrócił do leżącego i bez żadnych skrupułów kilkakrotnie obwiązał rannemu ręce taśmą. Wytarł zakrwawione dłonie o jego spodnie i spojrzał znowu w kierunku Mileny.

- Musimy iść! - powiedział z naciskiem.

- Kim ty jesteś?

Dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy. Naprawdę była przerażona i prawie się trzęsła. Musiał jej coś odpowiedzieć, inaczej to wszystko, co dotychczas zrobił, za chwilę mogło nie mieć już sensu. Co prawda zdążył się przekonać, że ci, z którymi miał teraz do czynienia, nie byli zawodowymi zabójcami ani ludźmi z żadnych służb, ale to wcale go nie uspokajało. Nie znaczyło, że mógł ich lekceważyć. Tam na zewnątrz ciągle czaiło się niebezpieczeństwo. A on nie wiedział, dlaczego i kto za nim stoi.

- Roman i Krystian prawdopodobnie nie popełnili samobójstwa - zaczął ostrożnie, monitorując przy tym zmieniające się rysy Mileny i Martyny. - Zapewne ktoś ich zamordował. Policjant, który prowadził śledztwo w ich sprawie, też nie żyje. Dziwnym trafem miał śmiertelny zawał w kilka godzin po otwarciu sprawy. Ja jestem sąsiadem Martyny i byłem świadkiem, jak ktoś próbował się do niej włamać. To raczej też nie był przypadek. A teraz jeszcze to tutaj...

- A ty?

- Co ja?

- Kim ty jesteś? I nie mów mi, że zanim trafiłeś do naszej szkoły, wcześniej uczyłeś wuefu.

Tomasz mimowolnie zareagował śmiechem. Potrzebował tego. Musiał odreagować.

- Nie, Milenka. Po prostu nie zawsze byłem belfrem. OK?



Dziewczyny patrzyły na niego, a on czuł rosnący na nim ciężar odpowiedzialności. Skierował oczy prosto na Martynę. Niewysoką ładną blondynkę ze sporymi jak na jej wiek piersiami.

- Martynka - zaczął cicho - powiesz nam, o co w tym wszystkim chodzi?

Lecz zamiast odpowiedzi usłyszał tylko kolejny wybuch szlochu.

\* \* \*

Siedzący w aucie mężczyzna przez krótką chwilę siedział w bezruchu i zastanawiał się nad kolejnym posunięciem. Nie mógł tu siedzieć beczynn timer i tylko czekać. Bez względu na wszystko musiał coś zrobić.

Włączył silnik i ruszył wolno do przodu. Podjechał nieco bliżej klatki, do miejsca, skąd mógł wszystko lepiej widzieć. Zatrzymał się i jeden rzut oka sprawił, że zgrzytnęła tylko z wściekłością zębami.

- Pieprzeni amatorzy - mruknął. - Do niczego się nie nadają.

Ten kretyner, któremu kazał zostać na dole, nawet nie zwrócił uwagi na jego przyjazd. Palił sobie najspokojniej w świecie papierosa, oparty niedbale o drzwi i wpatrywał się w klatkę schodową, jakby tylko właśnie stamtąd groziło mu jakiejkolwiek niebezpieczeństwo. Przez kilka sekund aż go kusiło, aby wyjść z auta i trzasnąć go od tyłu w głowę, aby mu resztki mózgu uszami wypłynęły. Ale się opamiętał. Uzmysłował sobie bowiem, że tak naprawdę to wszystkie te wydarzenia były jego winą. To on zlekceważył tę sprawę i to już na samym początku. I jeżeli coś tu pójdzie nie tak, to będzie mógł mieć pretensje tylko do siebie. Nie powinien się zdawać na tych niesprawdzonych podwykonawców.

I wtedy usłyszał dźwięk syren. Policja? - przemknęło mu przez głowę. - Może to jednak przypadek?

Zobaczył jak jego człowiek zakręcił się niespokojnie w miejscu. Odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz. A potem wypadł nagle do przodu i przewrócił się na brzuch, ryjąc tępą gębą w brudnym asfalcie. Doszedł go jeszcze głośny krzyk bólu i wtedy jego wątpliwości ostatecznie się rozwiały. Tajemniczy mężczyzna w szarej sportowej bluzie z kapturem to, niestety, nie był przypadek. To on dopadł teraz do leżącego i kilkoma uderzeniami sprawił, że jego człowiek zamienił się w bezużyteczną i niegroźną kupę obitych mięśni. Siedzący w aucie mimowolnie pokiwał z uznaniem głową. Już na pierwszy rzut oka rozpoznał po drugiej stronie zawodowca. Tak - pomyślał. On wie, jak pozbawić kogoś ochoty do jakiegokolwiek oporu. Z klatki wybiegły za nim dwie młode kobiety. Jedną z nich była poszukiwana. Pstrykał zdjęcia

jedno za drugim w nadziei, że ta dzisiejsza porażka nie okaże się zbyt kosztowna dla sprawy. Mógł przecież za to niedbalstwo zapłacić głową. Ale może się jeszcze da to wszystko naprawić?

Głos syren narastał. Dziewczyny niemalże w biegu wsiadły do auta. Biały opel odpalił i ruszył na wstecznym. Pisk hamulców i ostry start do przodu. I wtedy on też wystartował. Wiedział, że facet w bluzie z kapturem przed wyjazdem na główną ulicę będzie musiał jeszcze bardziej zwolnić. Obydwa auta wyskoczyły do przodu prawie w tym samym momencie, niemalże zderzając się ze sobą czołowo. Potem skręciły gwałtownie w dół w kierunku Niedźwiednika i na pełnym gazie jechały tuż obok siebie. Przez ułamek sekundy oczy kierowców się spotkały.

- Ten skurwiel wie o mnie - przemknęło mu przez głowę. - Pieprzyć ryzyko i szefa.

Błyskawicznie sięgnął po pistolet i wypalił przez otwarte okno, mierząc w kierunku głowy obcego kierowcy.

\* \* \*

Tomasik zobaczył jego twarz. Jego oczy. Mimo adrenaliny przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Kilkadziesiąt metrów dalej przebudowywana ulica zwężała się do jednego pasa. Wiedział o tym. Wcisnął hamulec, autem gwałtownie szarpnęło i w tym samym momencie rozprysnęła się boczna szyba. Przestraszone dziewczyny zapiszczały. Strzela do nas - przemknęło mu przez głowę.

Niebieski passat natychmiast go wyprzedził i od razu zaczął gwałtownie hamować. Czerwone światła stopu aż poraziły go po oczach.

- Połóżcie się! - krzyknął ostrzegawczo i sam wyszarpnął swojego glocka.

Chcąc oślepić przeciwnika, wcisnął długie światła. I wtedy w promieniach reflektorów ujrzał wychylającą się przez opuszczoną szybę rękę z pistoletem w dłoni. Kolejne kule trafiły w jego auto, przelatując mu tuż koło ucha. Przednia szyba natychmiast pokryła się pajęczyną wyraźnych pęknięć i dziur, utrudniając widoczność. Tomasik zaklął z wściekłości. Wystawił pistolet i na chybił trafił pociągnął dwa razy za spust. Wiedział, że nie potrafi strzelać z lewej ręki i że nigdy tego nie robił z pędzącego samochodu. Nie wierzył więc w możliwość trafienia kierowcy. Ale musiał ostudzić jego pewność siebie, pokazać, że on też ma broń i być może zmusić go do ucieczki. Spudłował. Auto bandziora coraz bardziej zwalniało, zmuszając go do hamowania i zwiększając niebezpieczeństwo

otrzymania trafienia. Na liczniku miał już tylko sześćdziesiąt. Zdesperowany znowu wystawił broń i ponownie dwukrotnie wystrzelił. Tym razem kule dosięgły celu. Zobaczył jak lewy tylny reflektor passata rozsypuje się w drobny mak i przeciwnik natychmiast przyspiesza. Obydwa auta przemknęły pod budowanym właśnie wiaduktem kolei metropolitalnej i droga znowu się rozszerzyła do dwóch pasów.

Co dalej? – pomyślał Tomasz. – Zaraz będzie skrzyżowanie...

Passat odjechał na kilkadziesiąt metrów do przodu i w tym momencie z tyłu, zza górki, wyskoczyły jadące na pełnym gazie dwa radiowozy z błyskami kogutów i włączonymi syrenami.

- Cholera! – zaklął znowu, widząc je we wstecznym lusterku. – Są blisko.

A to oznaczało dodatkowe komplikacje. Jakby mieli za mało kłopotów.

- Jedź w prawo! – usłyszał spięty głos Mileny.

Do takiej decyzji nie potrzebował zachęty. Po prostu nie miał innego wyjścia. Jadąc w lewo w kierunku obwodnicy Trójmiasta, dojechałby prawdopodobnie tylko do Złotej Karczmy. Bo tam przecież była główna kwatera gdańskiej prewencji i szkoła pomorskiej policji. I gdyby w tym momencie nie padały tam już komendy do ustawienia blokady drogowej, byłby tym bardzo zdziwiony.

Kierowca passata najwyraźniej myślał tak samo, bo zrobił dokładnie to, co on dopiero zamierzał. Skreślił w prawo w ulicę Słowackiego i z olbrzymią prędkością zniknął w oddali. Chcąc oderwać się od ścigającej ich z tyłu policji, Tomasiak powtórzył ten manewr i docisnął pedał gazu. Gdyby to były gliny z amerykańskich filmów, nie miałyby szans. Ale to byli tylko polscy policjanci. W zwykłych kiepsko ubezpieczonych radiowozach. I w tym upatrywał swojej szansy. Właśnie zastanawiał się jak ich zgubić, gdy znowu usłyszał zdenerwowany głos Mileny.

- Na najbliższej krzyżówce skreć w prawo. Mam tam auto.

- Jak to?

- Znajomy mi je naprawiał. Miałam je dzisiaj odebrać.

Tomasiak nieco wyhamował i spojrział we wsteczne lusterko. Gliny były naprawdę blisko. Zdecydowanie za blisko, żeby bezproblemowo podmienić samochód.

- Prowadź do niego – powiedział szybko i wykonał gwałtowny skręt. – Wy wyskoczycie, ja pojedę dalej i spróbuję ich zgubić. Spotkamy się przed cmentarzem na Srebrzysku. To niedaleko. Dacie radę?

- Tak. Jedź.

- OK. Trzymajcie się!

Znowu gwałtownie zmienił kierunek jazdy, a kiedy tylko zniknął za rogiem budynku, wcisnął hamulec, zatrzymał się i dziewczyny wyskoczyły na zewnątrz. Drzwi nie zdążyły się jeszcze zatrzasnąć, gdy on z piskiem opon ruszył do przodu. We wstecznym lusterku zobaczył jeszcze, jak Milena z Martyną znikają w mroku framugi od drzwi wejściowych do jakiejś starej kamienicy. Teraz pozostało mu już się tylko modlić, żeby jemu udało się oderwać od policjantów, a Milena z Martyną nie wywinęły mu jakiegoś numeru.

\* \* \*

Oficer dyżurny z komisariatu policji na gdańskiej Morenie nie nadążał z odbieraniem zgłoszeń. Wszyscy mówili o jakiejś strzelaninie, trupach i morzu krwi w jednym z bloków przy ulicy Wyrobka. Teraz dyżurny, słysząc już tylko, o co dzwoniącemu chodzi, przerywał słowami:

- Tak, wiemy. Wysłaliśmy patrol, trwa interwencja.

I odkładał słuchawkę. W tym momencie przed okienkiem dyżurki stanęła ładna brunetka w policyjnym mundurze z pagonami starszego aspiranta.

- Cześć, Rambo - powiedziała na przywitanie.

- Cześć, Gosieńka. Co ty tu robisz? Wróciłaś na stare śmieci?

- Niestety nie. Mam sprawę. Kto bierze udział w pościgu, o którym słychać w radiu?

- Gonzo i Młody... A o co chodzi?

- Nie mogę powiedzieć. - Gosia uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła kilka kroków na bok. Wyciągnęła komórkę i wybrała odpowiedni numer. Po trzecim sygnale poprzez odgłos policyjnych syren i ryk silnika usłyszała nerwowe:

- Później, Gosia. Ścigamy jakiegoś szajbusa.

- Odpuście mu! - przerwała szybko.

- Jak to?

- Biały opel astra o numerach GA00013. To nasz człowiek. Nic więcej nie mogę teraz powiedzieć. Odpuście go.

- Cholera. Nie wiem...

- Gonzo, czy ja kiedykolwiek wepchnęłam cię na minę?

Po drugiej stronie przez krótką chwilę dało się wyczuć wahanie.

- OK. Przyjąłem.

- Dzięki! Masz u mnie whiskacza. - Małgorzata Sopoćko rozłączyła się i jak najszybciej wyszła z komisariatu.

\* \* \*

Tomasik kompletnie nie wiedział, gdzie się znajduje. Zawsze w tych okolicach ograniczał się do prostego przejazdu przez ulicę Słowackiego. W górę i w dół. A miasto ostatnimi czasy bardzo się zmieniało. On nigdy nie znał tych dzielnic zbyt dobrze. A co dopiero teraz, kiedy ostatni raz był tu chyba z dziesięć lat temu. Zdezorientowany zatrzymał się pod jakimś dziesięciopiętrowym blokiem i wyskoczył szybko z wozu. Przykucnął przy kole, jakby sprawdzał, co z oponą, i przez krótką chwilę nasłuchiwał.

- Co jest? - pomyślał. - Gdzie gliny? Czyżby go zgubiły?

Nie bardzo chciało mu się w to uwierzyć. Ale faktem było, że głosy syren dochodziły gdzieś daleko z boku. Podniósł się do góry i spojrzął na swoje auto. Boczna szyba zbita, a przednia cała podziurawiona i pokryta pajęczyną pęknięć. Wyglądało to tak, że tylko debil nie domyśliłby się, co było tego przyczyną. Zresztą o dzisiejszych wydarzeniach zapewne trąbić będą już za chwilę we wszystkich lokalnych stacjach radiowych i w tv. Spojrzął na zegarek. Dochodziła już druga w nocy. Musiał się pośpieszyć i jak najszybciej dotrzeć do cmentarza. Tylko w którą stronę? Przez chwilę żałował, że ma taki staroświecki i byle jaki telefon bez GPS. W przyпіływie złości obiecał sobie, że zmieni to przy najbliższej okazji. No właśnie. Tylko najpierw musiał dać sobie na to szansę. Czyli przeżyć i nie dać się złapać... Spróbował odtworzyć w pamięci tutejszy rozkład ulic. Kiedy wydało mu się, że jest już na dobrym tropie, ruszył zdecydowanie do przodu. Szedł szybko opustoszałymi zakamarkami Srebrników aż w końcu dotarł do miejsca, które wydało mu się znajome. Odetchnął z ulgą. Kilkadziesiąt sekund później był już przy cmentarzu. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu dziewczyn i nagle z jednej z pobliskich ulic wyjechało małe sportowe auto. Ciemnowisniowy golf GTI. Samochód podjechał do niego powoli i od strony pasażera otworzyły się drzwi.

- Wskakuj - zaprosiła Milena.

Tomasz wsiadł do środka i przyjrzał się obydwu kobietom. Martyna, z suchymi już, ale ciągle jeszcze podkrążonymi oczami, siedziała z tyłu. Za kierownicą Milena, która sprawiała wrażenie opanowanej i oswojonej z nową dla niej sytuacją. Znowu była po prostu sobą.

- Co teraz? - zapytała.

- Jedźmy stąd. Musimy znaleźć jakiś nocleg i odpocząć. Ale najpierw... proszę o twój telefon.

Wyciągnął po niego rękę. Milena spojrzała na niego pytająco, a Tomasik po raz kolejny w ostatnim czasie o mało co nie parsknął śmiechem.

- Gdzie miała miejsce strzelanina? - zapytał z niepasującym do sytuacji lekkim rozbawieniem w głosie.

- U mnie w domu.

- No... I jak myślisz? Ile czasu zajmie policji albo kolegom tamtych panów ustalenie numeru twojego telefonu i marki twojego auta?

Dziewczyna bezwiednie wzruszyła ramionami.

- Zapewniam cię, że niedużo. To samo ze mną. Widzieli moje auto, prawdopodobnie mają jego numery. Zresztą pewnie zaraz je znajdą. Ustalenie moich personaliów plus cała reszta to pestka.

- Rozumiem. - Milena podała mu swoją nokię.

Wziął ją do ręki i przez chwilę zastanawiał się, czy może jeszcze ostatni raz skorzystać z własnej komórki. Ostatecznie jednak zrezygnował. Co prawda policja i tak wcześniej czy później skojarzy go z Jarkiem. Chociażby po numerach ostatnich połączeń telefonicznych lub po łuskach od jego glocka. Ale po co im to ułatwiać? Do tego u Jarka w firmie przynajmniej kilku ludzi kojarzyło go z imienia i nazwiska oraz ze wspólnych imprez. Wiedzieli, że jest belfrem i gdzie pracuje. Nie wierzył w ich bezinteresowną lojalność wobec szefa ani w to, że Jarek potrafi ich zmusić do milczenia. Jedyny plus w tej sytuacji to fakt, że nie znali jego przeszłości. Na szczęście nigdy nie lubił się tym specjalnie chwalić.

- Jedź - rozkazał Milenie.

Kobieta ruszyła i już po chwili znalazła się przy Słowackiego. Na skrzyżowaniu zobaczył kratkę kanalizacyjną i poprosił, żeby się zatrzymała. Otworzył drzwi i do studzienki wyrzucił obydwa telefony.

- No - westchnął. - Teraz możemy jechać dalej. Jedź w kierunku obwodnicy.

- Nie uważasz, że tam może być blokada policyjna?

- Może. Ale my tam nie dojedziemy.

- Nie?

- Skręcimy w prawo do lasu. Tam jest skrót do Oliwy przez Dolinę Radości.

- Ale tam jest szlaban.

- A ja wiem, jak go ominąć. Jeździłem tam rowerem. Zaufaj mi.

Milena zmierzyła go znacząco wzrokiem, po czym ruszyła wolno w lewo. Tomasz patrzył na nią uważnie i w końcu zapytał cicho:

- Nie ufasz mi?

- A jak myślisz?

- Pewnie trochę nie. Ale... - dla podkreślenia wagi tego, co chciał teraz powiedzieć, zawiesił na chwilę głos - pomyśl o tym, co

by z wami było, gdybym nie przyjechał do was na czas. – I zmęczony tym wszystkim zamknął na chwilę coraz bardziej piekące go z niewyspania oczy.

\* \* \*

Zaintrygowana wydarzeniami z ostatnich godzin starsza aspirant Gosia Sopoćko, z zainteresowaniem przeglądała policyjny biuletyn. I w końcu natknęła się na to, czego z jednej strony szukała, a z drugiej – co tak bardzo bała się znaleźć. Notatka była sucha i krótka. Przeczytała ją dwukrotnie i to bardzo uważnie. Potem przewinęła jeszcze do końca kolejne informacje, ale nie znalazła tam już nic ciekawego. Przez chwilę zastanawiała się, co ma z tym fantem zrobić, aż w końcu podjęła decyzję. Wyjęła telefon i wybrała numer do męża. Przy piątym sygnale odebrał.

- Co się dzieje? – usłyszała zaspany głos.

- To ty tak dziecka pilnujesz? – naskoczyła na niego. – Kolegów zostawiasz samych w potrzebie i śpisz jak suseł?

- Ej, o co ci chodzi?

- Spokojnie, mężusiu – zmieniła diametralnie ton. – Próbuję cię tylko rozbudzić. Jesteś już przytomny?

- Jasne. Mów!

- Masz kontakt ze swoim przyjacielem?

- Z...

- Tak, z nim – przerwała mu szybko.

- Nie wiem. Zależy, co się wydarzyło. – Jarek był już wybudzony i ostrożny. Wolał nawet nie używać jego imienia.

- To posłuchaj. Nie wiem, o czym z nim jeszcze rozmawiałeś ani co się później stało. Ale wiem, że nie ma go już u nas i że ma niezłe kłopoty.

- Co?

- Przed chwilą znalazłam w biuletynie info. Może mu się przydać. W Gdyni około dwudziestej trzeciej w okolicy Wiczlina na leśnym odcinku drogi znaleziono niezidentyfikowane zwłoki około dziewiętnastoletniej dziewczyny. Prawdopodobnie ofiara wypadku samochodowego. Sprawca – jak się wydaje – zbiegł.

- I?

- A to, że ty śpisz w najlepsze, a twój kumpel, który jeszcze kilka godzin temu był u nas w domu, miał już kilka przygód dzisiejszej nocy.

- Jakież konkrety?

- Prawdopodobnie wysłał jednego łobuza na spotkanie do świętego Piotra, a drugiemu przetrącił kulasa i na zawsze wykluczył

go z czynnego uprawiania sportu. Używał przy tym zabawek na kulki. Wiesz, o czym mówię?

- Nooo...

- I ja już nawet zdążyłam uratować mu z tej okazji skórę. Poza tym nasi chłopcy zaraz znajdą jego mocno podziurawiony wózek, a on za to wszystko wisi mi whiskacza. Oczywiście, o ile nie wyląduje wcześniej w pierdlu, a ja razem z nim. I co ty na to?

- To wszystko jest bardzo ciekawe, a jeżeli jest prawdą, to znaczy, że nie mam już z nim kontaktu.

- Nie masz, bo nie chcesz? Czy nie masz, bo nie możesz mieć z przyczyn technicznych?

Na kilka sekund zapadło milczenie.

- Ta druga wersja.

- To dobrze. Bo już się przez chwilę bałam, że wyszłam za innego faceta niż myślałam.

Jarek roześmiał się do słuchawki.

- Nie bój się, kochanie. Ciągłe jestem tym samym porządnym twardzielem co zawsze. Tylko myślę właśnie, jak można mu pomóc.

- To myśl szybko. Bo chłopak ma naprawdę poważne kłopoty.

- Jasne. Ale, Gosia...

- Tak?

- Problem polega też na tym, że on faktycznie pojechał na Morenę, bo tam ponoć znalazła się ta małolata.

- Cholera! Czyli ta dziewczyna z Gdyni to nie ona?

- Raczej nie.

- Hm... - chrząknęła zakłopotana Gosia. - Myślałam, że ktoś wykończył tę małą tak samo jak chłopców i Grubego. A potem, nie wiem jakim cudem, wmieszano w to jego. Usłyszałam w radiu o niezłej chryi, w której prawdopodobnie uczestniczy właściciel znanego mi auta, a potem nie było już nawet czasu na telefon do ciebie. Spróbowałam mu pomóc.

- W porządku kochanie. Zrobiłaś to co trzeba.

- Teraz wcale nie jestem tego taka pewna. To co tam się wydarzyło? Bo na pewno on w tym brał udział. To było jego auto!

- Nie wiem, kochanie. Ale bez dwóch zdań podjęłaś słuszną decyzję.

- Myślałam, że po prostu...

- Daj spokój, Gosieńka. Nie draż sprawy. On jest w porządku. Ręczę za to głową. Wracaj do roboty i uważaj na siebie. To nie są żarty.

- Wiem.

- I wracaj jak najszybciej do domu.

- Pa.



Telefon się rozłączył. Przez chwilę Jarek zastanawiał się, co tak naprawdę może teraz zrobić. Bo tego, że Tomek faktycznie ma kłopoty, że nie ma już przy sobie komórki i że nie pojechał do siebie do domu, był pewien. Nie mógł więc do niego zadzwonić. Ale co dalej? Gdzie on jest? Jak można mu pomóc? I to bez narażania siebie i co ważniejsze – swojej rodziny?

Do głowy przychodził mu tylko jeden pomysł. I im dłużej się nad nim zastanawiał, tym bardziej był pewien, że Tomasz też o nim pomyślał. I że rozwiązanie, które on dyktował, to najbardziej rozsądna propozycja w tej sytuacji. Przynajmniej on na jego miejscu tak właśnie by postąpił.

- Cholera – mruknął do siebie w końcu. – I znowu nie pośpię.

Zaczynało świtać, kiedy wrzuciwszy na tylne siedzenie kilka najpotrzebniejszych rzeczy wsiadał do samochodu. Zanim jednak pojechał tam, gdzie zamierzał, musiał wydobyć ze swojego sejfu w pracy służbowego glocka. Bo jego prywatny był przecież w rękach Tomasza.

- I znowu same problemy... – pokręcił zniechęcony głową. – Jak za dawnych, kawalerskich lat. – I nagle, nie wiedzieć czemu, wybuchnął głośnym wesołym śmiechem.

\* \* \*

Milena zatrzymała auto. W mocnym świetle samochodowych reflektorów stojący przed nimi budynek daczy z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku z sosnowym lasem w tle sprawiał wrażenie ponurego i niezamieszkanego.

- Zgaś światła, nie wyłączaj silnika i czekajcie aż wrócę – powiedział Tomasz i wysiadł z samochodu. Podeszedł powoli do domu i ostrożnie zajrzał przez okno. Po chwili odwrócił się w stronę dziewczyn i uniósł uspokajająco do góry kciuk. Na wszelki wypadek obszedł jeszcze daczę dookoła, lecz nie stwierdziwszy niczego podejrzanego, skierował się do pobliskiej drewnutni. Pół minuty później wrócił stamtąd, trzymając w ręce duży klucz, i wykonał zapraszający gest w kierunku samochodu.

Milena zgasła silnik, po czym obie wyszły z auta i podeszły do mocującego się z zamkiem od drzwi Tomasza.

- Jakiś problem? – zapytała Milena.

- Nie. Po prostu zacina się i czasami trzeba użyć trochę siły.

- Czyje to jest? – kobieta zrobiła bliżej nieokreślony ruch ręką. – To jezioro, dom, las?

- Siostry kolegi. Rzadko tu przyjeżdża. Najbliższy sąsiad jest dopiero po drugiej stronie wody. Prawie kilometr stąd. Nikt nie

powinien nam tu dziś przeszkadzać.

- Ale o zgodę nie pytałeś?

Tomasz wyczuł w jej głosie wyraźną przyganę, ale nie zareagował. Był zbyt zmęczony i zubożnięty. Miał gdzieś jej nieżydciowe zasady i nie szukał zaczepki. W końcu udało mu się przekręcić zamek i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, lecz Tomasz zamiast wejść, stanął w nich bez ruchu i zapatrzył się w kierunku wody.

Na dworze panowały jeszcze ciemności, rozproszone tylko słabym światłem księżyca i gwiazd. W powietrzu od strony szuwarów unosił się wilgotny zapach jeziora i trzciny, który nawet w tej chwili kojarzył mu się jednoznacznie z okresem szczęśliwego dzieciństwa i spędzanych tutaj wspólnie z kolegami wakacji.

I wtedy znad wody poprzez głośny rechot żab przebił się pojedynczy kwak szamocącej się gwałtownie kaczki. Ten odgłos przywrócił ich wszystkich do rzeczywistości.

- Coś się stało? - wyszeptała zaniepokojona Martyna.

- Nie. Po prostu nasłuchuję.

Dziewczyny przez krótką chwilę stały jeszcze w milczeniu, aż nagle gdzieś w pobliżu rozległ się kolejny przejmujący głos nocnego lasu. Tym razem puszczyka, przypominający swym brzmieniem przerażający śmiech szaleńca. Dziewczyny wyraźnie zadrżały.

- Co to jest? - znowu wyszeptała Martyna.

- Puszczyk. Taka sowa.

- Wiemy, co to jest puszczyk - przerwała mu rozdrażniona Milena. - I wiemy też, że według starych zabobonów jego głos zwiastuje nieszczęście. Chodźmy już. Nie będziemy tu przecież tak stać całą noc. Chcę się położyć.

Przecisnęła się obok Tomasza i weszła szybko do środka. Martyna natychmiast podążyła za nią. Pozostawiony sam sobie Tomasz zamyślił się. Był bardzo zmęczony, ale mimo to próbował poukładać sobie to wszystko w jakąś całość. Sytuacja zaczynała go przerastać. Nie wiedział, co się dookoła niego dzieje i co teraz powinien zrobić. Nie miał żadnego planu na dziś, na jutro ani choćby pomysłu na to, co jeszcze może się wydarzyć. Na dodatek miał świadomość, że prawdopodobnie zabił tej nocy człowieka i że odpowiada za bezpieczeństwo Mileny i Martyny. I za próbę wyjaśnienia. No właśnie. Tylko czego? Zabójstwa? Spisku? Ale przeciw komu? Przeciw czemu? I z jakiego powodu? Wiedział jedno! Musi w końcu bardzo poważnie porozmawiać z Martyną. Bez względu na wszystko. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będzie brutalny. To ona była kluczem do wyjaśnienia zagadki. To dla niej ryzykował życie swoje i Mileny. Ale robi to dopiero jutro... A właściwie to

dzisiaj. Tylko najpierw musi się przespać. Inaczej nic z tego nie będzie.

Wszedł do środka i w słabym świetle włączonego kinkietu rozejrzył się po dużym, surowym pomieszczeniu. Nic się tu od lat nie zmieniło – pomyślał. Niewielka kuchnia połączona z salonem. Stary, ceglany kominek, który trzeba było rozpałcić, jeżeli chciało się ogrzać i uzyskać ciepłą wodę. Dwa takie same wysłużone fotele, ciężka ława i rozkładana, pamiętająca lepsze czasy wersalka, przykryta szarawą narzutą. To na niej leżały teraz dziewczyny, wtulone w siebie jak siostry. I najwyraźniej już spały.

Tomasz przeszedł po cichu przez salon i po lekko skrzypiących drewnianych schodach wspiał się na górę do znajdującej się na poddaszu niewielkiej sypialni. Otworzył przymknięte drzwi, włączył światło i zupełnie zaskoczony stanął w miejscu jak wryty. Na staroświeckim bujanym fotelu z pistoletem w dłoni siedział obcy mężczyzna. Ten sam, którego spotkał już przed południem w bloku naprzeciwko swego domu.

- Jakież problemy, panie kapitanie Tomasik? - usłyszał bezbarwny, pozbawiony emocji głos.

Tomasz zdążył jeszcze pomyśleć, że znowu popełnił koszmarny błąd. Nie sprawdził dokładnie wnętrza budynku i pozwolił wejść do niego kobietom. I niemalże w tej samej chwili poczuł, jak czyjaś obca dłoń, uzbrojona w bawełnianą szmatkę, zaciska się mocno na jego ustach i nosie, a on sam zapada w ciemną otchłań nicości.

\* \* \*

Blisko pięćdziesięcioletni przystojny mężczyzna, o ostrych arystokratycznych rysach twarzy, siedział przed ekranem swojego służbowego komputera i z uśmiechem na ustach przeglądał wykradzioną właśnie przez jego ludzi korespondencję elektroniczną między dwoma ważnymi polskimi ministerstwami. Od ponad pięciu lat pracował już w tym kraju i ciągle nie mógł pojąć, jakim cudem on w ogóle funkcjonuje. I im dłużej tu był, w tym większe popadał zdumienie. Kiedyś wydawało mu się, że to tylko u nich, na Wschodzie, jest bałagan i korupcja. Że to właśnie u nich bez układów i pieniędzy nic nie da się załatwić i zrobić. Ale w Polsce zastał dokładnie to samo. Tu też na każdym szczeblu urzędowej biurokracji, bez względu na dziedzinę, zawsze można było znaleźć kogoś chętnego do współpracy. Wszystko bowiem opierało się na ludzkim lenistwie, układach, prywacie i pieniądzu. Dzięki temu łatwo mógł sterować życiem politycznym i gospodarczym tego kraju. Podjudzać i napuszczać. Wzbudzać bezinteresowną

nienawiść. To naprawdę nie było trudne... A na tym właśnie polegała jego praca. Po to tu był. Miał wzniecać zamęt i frustrację. W zależności od potrzeb budzić demony nacjonalizmu, kosmopolityzmu, klerykalizmu i lewactwa. Bez litości wykorzystywać fakt, że najwyżsi polscy prominenci, najważniejsze osoby w państwie bez oglądania się na dobro wspólne kraju i rodaków sprzedawały siebie i posiadane informacje, a dla kilku marnych złotych i dla utrzymania się przy żłobie były w stanie zrobić wszystko albo prawie wszystko.

Czytając teraz wymianę pism związanych z próbą pozyskania przez pewną państwową firmę subsydiów na dofinansowanie ważnej dla bezpieczeństwa Polski inwestycji, mimo zmęczenia i niewyspania o mało co nie roześmiał się w głos. Oczyma wyobraźni widział już, jak zablokuje tę inwestycję. Kogo i czym przekona do jej zaniechania. Jak sprawi, że w polskich mediach najpierw nadmucha się wielki balon oczekiwań i narodowej dumy, a potem przekłuje go i balon pęknie z wielkim hukiem, pozostawiając po sobie po raz kolejny uczucie zawodu, upokorzenia i zniechęcenia. Wystarczy przecież niewielki przelew na odpowiednie konto, obietnica awansu lub mały szantażyk wobec wytypowanego konkretnie człowieka... I będzie po sprawie. Powstanie chaos i wszystko odwlecze się w czasie, i to na długi okres, pozostawiając po sobie zgliszcza psychiczne i moralne. A może jednak tym razem, żeby było śmieszniej, pozwoli się im sfinalizować taki kontrakt? Tyle tylko, że zarobią na nim wszyscy inni, czyli Niemcy, Francuzi, Amerykanie... Może nawet Żydzi? Tylko nie Polacy. I znowu wyjdą na frajerów, jak w tym swoim przysłowiu o Zabłockim i mydle.

Nagle usłyszał ciche brzęczenie służbowego telefonu. Oderwał wzrok od ekranu i zaintrygowany spojrzął na aparat. O tej porze? - pomyślał zdziwiony. Po chwili podniósł słuchawkę i rzucił krótkie:

- Tak?

- Panie prezesie, telefon z centrali - głos jego nocnej sekretarki był jak zwykle profesjonalnie przyjemny i bezosobowy. - Pan W prosi o przejście do bezpiecznego pomieszczenia i skorzystanie z tamtego telefonu.

Chcąc nie chcąc, mężczyzna podniósł się z fotela i przeszedł do pomieszczenia obok. Zamknął za sobą starannie drzwi i podniósł niczym niewyróżniającą się plastikową słuchawkę.

- Dobry wieczór, Witaliju Piotrowiczu Pawłowie. Czy coś się stało?

Po drugiej stronie usłyszał ciężki, lekko świszczący oddech schorowanego, starszego człowieka.

- Konstantynie - głos był jednak nadzwyczaj silny i władczy - dotarły do mnie informacje, że pojawiły się u was pewne kłopoty.

- Tak, to prawda. Ale panujemy nad sytuacją.

- Panujecie? Jesteś tego pewien?

Głos po drugiej stronie stał się nieprzyjemnie twardy.

- Tak, Witaliju Piotrowiczu. Panujemy.

- To skontaktuj się z Gdańskiem i sprawdź to. Chcę wiedzieć!

- Zrozumiałem, Witaliju Piotrowiczu.

Na krótki moment nastąpiła cisza.

- Konstantynie, nie zawieź nas. Ta sprawa jest naprawdę ważna. Państwowa i gardłowa... A to, co teraz robisz, to prawdopodobnie tylko preludium. Niedługo przyślemy ci wsparcie. Rozumiesz?

- Tak, Witaliju Piotrowiczu.

- To dobrze. Cześć.

Zanim Konstantin zdążył coś odpowiedzieć, połączenie zostało przerwane. Zagryzł nerwowo wargi i pomyślał o rozmówcy. Jeżeli ten stary przyk ostrzegał go, że to dopiero preludium i że przyjdzie wsparcie, to co miało wydarzyć się potem? Na razie wolał o tym nie myśleć. Był za krótki na tego rodzaju dywagacje. Teraz musiał zająć się teraźniejszością, żeby się przypadkiem na czymś prostym nieopatrznie nie pośliznąć i w najbliższej przyszłości nie przenieść się w jeszcze mniej przyjemne miejsce niż Polska.

- Nie panujemy nad sytuacją? To dlatego ten bydlak kłamał... - powiedział sam do siebie.

I korzystając z tego samego telefonu, wykręcił zaszyfrowany numer. Po chwili po drugiej stronie odezwał się kolejny miły i bezosobowy głos operatorki.

- Dzwoniłeś się na infolinię firmy Zenit. W czym mogę pomóc?

- Konstantin z tej strony. Daj mi kogoś z trójki.

Na ponad minutę nastąpiła cisza. Potem ktoś podniósł słuchawkę i męski głos się przedstawił:

- Dwadzieścia trzy.

- Co się dzieje?

- Mamy małe komplikacje.

- Meldowaliście, że bez problemu zostaną usunięte!

- Niestety, jak dotychczas nie udało się zakończyć sprawy.

- A co z Wiktorem?

- Chwilowo straciliśmy kontakt.

Konstantin zacisnął tylko mocniej zęby.

- Straciliście kontakt? - niemalże wysyczał do słuchawki. -

W dwudziestym pierwszym wieku, niemalże w środku Europy

straciliście łączność? I to sami ze sobą, uczestnicząc w takiej grze? To lepiej ją odzyskajcie! Chcę wiedzieć wszystko, co się tam u was dzieje. Jeżeli coś będzie nie tak, to skończycie jak wasi dziadkowie siedemdziesiąt lat temu. Wszyscy! – Rozłączył się i szybkim krokiem wyszedł z bezpiecznego pokoju. Zapalił nerwowo papierosa i zaciągając się, z zaskoczeniem stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Cholera. To nie tak miało wyglądać – pomyślał jeszcze. Nie tak. A to przecież zaledwie „preludium”.

I dopiero kilka minut później, gdy nieco ochłonął i był już trochę spokojniejszy, mógł wrócić do czytanej wcześniej korespondencji.

\* \* \*

Przez krótką chwilę Tomasik chciał się nawet bronić, lecz na reakcję było już za późno. Zaskoczony czuł, jak ogarnia go całkowity paraliż i bezwład. Jego ciało momentalnie zwiotczało, powieki stały się ciężkie, a w głowie pojawiła się kompletna i zatrważająca pustka. Mimo poczucia nicości miał świadomość, że ktoś obcy chwyta go pod ramiona i nie pozwala upaść. Potem przeciąga na środek sypialni i ostrożnie kładzie na podłodze.

- Nie przesadziłeś? – usłyszał głos jak zza grobu.

- Nie. Dostał tyle, ile trzeba. Powinniśmy się śpieszyć. Nie wiem, jak długo to potrwa.

- Raczej dłużej niż krócej. Nie waży więcej niż osiemdziesiąt kilogramów.

- Z tym nigdy nie wiadomo... Będzie szef chciał z nim jeszcze pogadać?

- Nie. Po co? Robimy go na Leppera i spadamy do domu.

- A może na Adolfa? To bardziej żołnierska śmierć. I w tej sytuacji chyba bardziej naturalna – rozległ się śmiech. – Poza tym będzie mniej roboty...

Do Tomasika cała ta rozmowa docierała z lekkim opóźnieniem. Kiedy jednak jego mózg przetrawił już jej znaczenie, instynktownie postanowił złamać wszelkie wyuczone w wojsku procedury zachowania się w takich sytuacjach. I natychmiast spróbował otworzyć oczy. Powieki były cholernie ciężkie, ale napastnicy najwyraźniej dostrzegli, że coś się z nim dzieje.

- Chyba jednak nie doszacowałeś dawki. Budzi się.

- No.

- To ile mamy czasu?

- Wystarczy. Myślę, że przynajmniej kilka minut.

Tomasik z trudem otworzył nieco prawe oko.

- Kim wy jesteście? – spróbował wyszeptać skołowaciałym

językiem, obserwując przy tym ledwie zarysowujące się przed nim kontury sylwetek.

- Słabo cię słychać, kolego. - ten, z którym spotkał się już wcześniej, przykucnął teraz tuż przed nim. - Nie możesz mówić, ale rozumiem, że chciałbyś wiedzieć, skąd się tu wzięliśmy i dlaczego za chwilę umrzesz. - Pochylił się nad nim jeszcze niżej. - Po prostu pojawiłeś się tam, gdzie nie trzeba, i do tego w złym momencie. I teraz poniesiesz tego konsekwencje. Nie chciałem tego, ale tak wyszło. Sorry, kolego... Wtedy na tej klatce nie wiedziałem jeszcze, kim jesteś. Szkoda, bo być może ocalilibym chociaż tę nauczycielkę. A tak ona też musi zginąć. Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że twoja śmierć nie pójdzie na marne. Przysłużysz się Polsce. Ale o tym będziemy wiedzieć tylko my. Dla reszty obywateli będziesz tylko zwykłym szajbusem. Eksszpiclem, któremu popieprzyło się w głowie i który porwał i wykończył te biedne dziewczyny. Ale masz moje oficerskie słowo honoru. Piętnastego sierpnia każdego roku będę przynosił na twój grób wiązanekę z biało-czerwonych róż. Wzruszające, nie?

- Niech szef tyle z nim nie gada - wtrącił ze zniecierpliwieniem jego kompan. - Jest żałosny. Miał być taki kozak, a okazał się frajerem. Przewidywalny i nieostrożny. Dziecko by go rozgryzło i załatwiło. Dał się podejść jak pierwszy lepszy gnojek. Jak szef chce mu postawić pomnik, to może trochę później. Teraz pozwólmy mu strzelić sobie w łeb, a potem kończmy z tymi dziwkami i spadajmy.

- Niestety, panie kapitanie - kontynuował nieznajomy, szepcząc mu ciągle do ucha. - Mój kolega ma trochę racji. Po wysłuchaniu kilku informacji o tobie mieliśmy cię za zawodowca. Myślałem, że twój ostatni oficjalny etacik w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego to tylko jakaś przykrywka. A ty okazujesz się naprawdę zwykłym urzędasem, niezdolnym do niczego więcej niż weryfikacja ankiet bezpieczeństwa składanych przez zwykłych żołnierzyków. Zrobiłeś wszystko zgodnie z naszymi przewidywaniami. Gdzie uciekłeś, kiedy zaczęło ci się palić koło tyłka? Na daczę siostry swojego najlepszego kumpla. To trochę banalne i przewidywalne. Nie sądzisz? Żeby się w tym zorientować, wystarczyło poczytać twoje akta, profil osobowy, wczuć się w twoją rolę i mieć odrobinę wyobraźni.

- Dla kogo pracujecie? - wychrypiął niewyraźnie Tomasz.

- Oho! Mówienie idzie ci coraz lepiej. Ale mózg nadal kiepsko pracuje. Domyśl się przyjacielu... - mężczyzna zaśmiał się cicho. Podniósł się do góry i spojrzał na swojego kompana. - Kończymy to - zakomenderował zdecydowanym głosem. - Strzał w skroń. Ruszaj się!

Mężczyzna natychmiast pochylił się nad Tomaszem i złapał go

pod ramiona. Uniósł jego tułów nieco do góry i zaczął ciągnąć w kierunku bujanego fotela. Tomasik mimo ogarniającej go paniki czuł, jak z każdą sekundą odzyskuje kontrolę nad własnym ciałem. Musiał jednak zdobyć jeszcze trochę czasu. Odwlec egzekucję na tak długo jak tylko się da.

- Czekajcie - zaskomlał płaczkliwie. - Może się jakoś dogadamy...

- Przestań jęczeć, bo stracę dla ciebie resztki szacunku. - Mężczyzna wykrzywił z niesmakiem usta. - Sam wydałeś na siebie wyrok. Po co mieszałeś się w nie swoje sprawy?

Ciągnący go facet stęknął z wysiłku, kiedy uniósł go jeszcze wyżej i posadził w bujanym fotelu. Drewniany mebel odchylił się nieco do tyłu i natychmiast wrócił do poprzedniej pozycji.

- No - mruknął z zadowoleniem mężczyzna. - Nasz zafajdany bohater jest gotowy do uroczystości. To będzie „złoty strzał”.

I zaśmiał się cynicznie. Potem odsunął się na kilka kroków i spojrzał Tomasikowi prosto w oczy. Był młody. Może nawet zbyt młody jak na oficera operacyjnego. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Przystojny i wysportowany. O nażelowanych i starannie przyciętych włoskach. W eleganckich i modnych ciuszkach oraz z wypielegnowaną twarzą i dłońmi. Facet wyraźnie dbał o siebie. Chyba nawet aż za bardzo... W jego wyglądzie i ruchach widać było tę jakąś dziwną miękkość, którą Tomasz natychmiast wychwycił i musiał wykorzystać.

- Jesteś gejem, kolego? Lubisz obciążać pały? - wyszeptał z prowokującym grymasem, który w zamysle miał być cynicznym uśmieszkiem. I aż zakasłał z wysiłku. - Kto ci pomógł w dostaniu się do tej roboty? - kontynuował zaczepkę. - Tatuś pułkownik? Wujek generał? A może twoja własna dupa?

Mężczyzna dał się sprowokować.

- O proszę, jaki spostrzegawczy - zaśmiał się nonszalancko. - Nie twoja sprawa. Ale dla twojej wiadomości. Ciebie nie zerznąłbym nawet, gdybyśmy byli sami na bezludnej wyspie. Brzydzę się takimi brzydalami i nieudacznikami jak ty.

- Zamknij się! - przerwał mu opanowany głos szefa. - On gra na czas i próbuje wywołać ferment.

- Nie obchodzi mnie, co robi. Jest nikim, a za chwilę będzie już tylko żalonym ochłapem mięsa.

Przyjął podanego mu glocka, którego Tomasik dostał od Jarka, i uważnie go oglądając, przeszedł na tył fotela.

- Jest praworęczny?

- Tak.

Mężczyzna odbezpieczył pistolet i przeładował. Złapał za prawą dłoń Tomasza i rozchylił bezwładne palce. Wsunął w nie kolbę



i zacisnął na niej trzy dolne palce.

- Żegnaj, kapitanie - wyszczerzył w uśmiechu zęby i w tym samym momencie padł strzał.

Uśmiech na twarzy mężczyzny natychmiast zastygł, a w mętniejących błyskawicznie oczach pojawiło się zaskoczenie i niedowierzenie.

- Skurwysyn - zdołał jeszcze szepnąć i osunął się bezwładnie na ziemię. Z odstrzelonego właśnie czubka jego głowy buchała już gęsta ciemnoczerwona krew.

W momencie strzału drugi z mężczyzn intuicyjnie rzucił się szczupakiem w kierunku drzwi. I tylko to ocaliło mu życie. Siedzący bowiem w fotelu półprzytomny Tomasz, praktycznie nie mierząc, pociągał za cyngiel raz po raz i walcząc z własną bezradnością, próbował się jak najszybciej podnieść. Widząc jednak, że nie daje rady, odchylił się mocno w bok i siłą własnej bezwładności przewrócił cały fotel w lewo. Upadając, uderzył mocno o podłogę i w tym momencie usłyszał, jak pierwsze przeznaczone dla niego kule zaterkotały o ścianę, gdzie zaledwie przed sekundą się znajdował. Leżąc, ciągle jeszcze lekko nieporadny, ponownie pociągnął kilkakrotnie za spust. Huk wystrzałów zlał się w jedną ogłuszającą kanonadę. W niewielkim pomieszczeniu czuć było mdły zapach krwi, prochu i śmierdzącego strachem potu. Tomasz z trudem przeturlał się za tapczan i leżąc na plecach, przerażony, wypuścił ustami całe nagromadzone w płucach powietrze. Bał się. Bał się jak cholera. I wiedział, że wszystko już dawno wymknęło mu się spod kontroli. Ale jednocześnie się cieszył. Cieszył jak małe dziecko. Ciągle jeszcze żył, chociaż śmierć była tak blisko! I to był jego sukces! Nie miał teraz czasu na zamartwianie się innymi sprawami. O Milenie, Martynie i wszystkim innym pomyśli później... Teraz musiał walczyć o swoje życie! Z każdą sekundą jego szanse rosły. Czuł, jak wraca mu sprawność ciała i umysłu. Spróbował nasłuchiwać. Do jego uszu doszedł cichy skrzyp desek. Przeciwnik musiał schodzić na dół po schodach i coś kombinować. Tylko co? Do Tomasika ten oczywisty fakt znowu dotarł z lekkim opóźnieniem. Kiedy już go sobie uzmysłowił, był znów spóźniony o krok. Zebrał więc wszystkie siły i spróbował się podnieść. Zachwiał się przy tym niebezpiecznie i cały proces wstawania zatrzymał na etapie bycia na czworaka. I wtedy usłyszał.

- Hej! Bohaterze! Zrzuć broń i zejź do mnie na dół, a pozwolę żyć tym dziewczynom!

Tomasik już wiedział, co za chwilę będzie miało miejsce. Przez chwilę dyszał jeszcze ciężko z wysiłku i zastanawiał się nad

odpowiedzią. Ale nie tyle nad jej treścią, co nad formą. Wiedział, że los Mileny i Martyny i tak jest w jego rękach. Bo tamten człowiek na pewno nie pozwoli im żyć. Przecież wcześniej powiedział to wyraźnie: „Nauczycielka musi zginąć”. Ale ręce i ciało Tomasika ciągle nie były jeszcze w pełni sprawne. Musiał więc grać na czas. Przesunął się powoli na czworaka do drzwi i pomagając sobie rękami, z trudem podniósł się do góry. Stał schowany za metalową framugą i zanim się odezwał, chrząknął, sprawdzając, czy aby głos nie odmówi mu posłuszeństwa, a potem krzyknął:

- A co ze mną?!

- Zabiję cię!

- Nie uważasz, że to trochę naiwne myśleć, że poświęcę swoje życie dla ratowania obcych kobiet?!

Na dole rozległ się śmiech.

- Nie, kolego! Ty musisz zginąć! To już postanowione! Zresztą... Czytałem twoje dossier! Jesteś typem stworzonym do samopoświęcenia! A moja oferta odnośnie do życia tych kobiet i biało-czerwonej wiązanki na twoim grobie piętnastego sierpnia każdego roku jest ciągle aktualna!

Tomasik pokręcił z niedowierzaniem głową. Ten facet był nieźle szurnięty. A swoją drogą co za kretyn przeprowadził taką analizę jego osobowości? Przecież to był jakiś zupełny absurd! Czym innym było zaryzykować swoje życie dla uratowania jakiegoś człowieka, a czym innym złożenie go w ofierze, i to bez walki, tylko po to, aby ocalić kogoś zupełnie obcego. Bo to nie był już akt odwagi graniczący z szaleństwem, tylko czysta głupota. A on aż tak naiwnym idiotą na pewno nie był. I poza tym skąd pewność tego gościa na dole, że wszystko, co wyczytał w papierach na jego temat, to prawda? Ta jego wiara w biurokratyczne opracowania wskazywała, że albo wcale nie był taki dobry, jak mu się wydawało, albo też... że pracował dotąd tylko z najlepszymi i zawsze miał najlepiej przygotowane dane. Chyba...? No chyba, że facet sobie z nim pogrywał.

- Jakie mam gwarancje, że nic im nie zrobisz?!

- Moje oficerskie słowo honoru!

Teraz Tomasik zmusił się do głośnego śmiechu.

- Nie zauważyłeś, że to „oficerskie słowo honoru” ostatnimi czasy trochę się zdezwuowało?!

- Nie, kolego! Słowo oficera nie dym!

Tomasz chcąc sprawdzić swoją gotowość do dalszej walki, zrobił kilka ostrożnych przysiadów i lekki skłon. Poruszył wszystkimi palcami rąk. Było już naprawdę nieźle.

- To co?! Ja zrzucę ci broń, potem zejdziesz, a ty do mnie strzelisz?!

- Mniej więcej!
- Jak na oficera służb specjalnych to niezbyt wyszukany plan!
- Może i tak, ale zaczynam tracić cierpliwość! Daję ci minutę!

Potem jako pierwszą wykończę tę nauczycielkę!

Tomasik intensywnie myślał. Jeden w miarę sensowny pomysł nawet przychodził mu do głowy, ale najpierw musiał się jeszcze upewnić co do swoich przypuszczeń.

- A dlaczego w ogóle chciałeś je zabić?! - krzyknął, żeby zyskać chociaż trochę na czasie. - O co w tym wszystkim chodzi?! Przecież pracujesz dla naszych, a to są Bogu ducha winne Polki.

- Już ci mówiłem, kolego! Wpadliście pod koła rozpędzonego pociągu historii! A teraz nie zagaduj mnie! I tak już nic tym nie ugrasz!

Tomasz zastanawiał się, dlaczego nie zabito ich od razu. I doszedł do wniosku, że tu wcale nie chodziło tylko o ich śmierć. Ona miała wyglądać dokładnie tak, jak zakładał scenariusz. Bo gdyby było inaczej, ten facet bez większych problemów zabiłby go już kilka minut wcześniej, strzelając do niego z najbliższej odległości, kiedy on jeszcze prawie całkowicie sparaliżowany siedział bezradnie w fotelu i tylko udawał, że walczy, strzelając ze swojego pistoletu na oślep. I teraz na tych przypuszczeniach oparł cały swój plan. Wiedział, że jeżeli źle ocenił sytuację, zginie on i dziewczyny.

- Dobra! - krzyknął. - Oddam ci broń, ale nie zabijaj ich!
- Nie pieprz tyle, tylko złaź!

Tomasik wychylił się ostrożnie z sypialni i szurając wolno stopami, przesunął się z podniesionymi do góry rękoma nad samą krawędź schodów. Palcami prawej dłoni trzymał za lufę beużyteczny pistolet.

- Jestem! - krzyknął, próbując zlokalizować wzrokiem przeciwnika.

- Widzę, możesz już się tak nie drzeć.

Mężczyzna podniósł się zza wersalki, na której leżały ewidentnie uśpione specyfikiem kobiety. I mierząc do niego z lśniącej czystością berety, uśmiechał się lekko z zadowoleniem.

- I załatwiłeś mi kolegę, panie kapitanie.

- Dobrze, że nie partnera.

Obydwaj jak na komendę wybuchli nerwowym śmiechem.

- Słyszę, że mimo twojej sytuacji humor ciągle cię nie opuszcza - mruknął nieco bardziej wyluzowany już mężczyzna.

- W weekend miałem bliskie spotkanie w TV z mistrzem czarnego humoru w takich sytuacjach bez wyjścia. - Tomasił wykrzywił usta w cynicznym uśmieszku, by zamaskować

przepelniający go strach. - Oglądałem *Szklaną pułapkę* z Bruce'em Willisem.

Mężczyzna znowu zachichotał, najwyraźniej dobrze się bawiąc.

- Szacun, panie kapitanie. Naprawdę szacun - mruzczał, kiwając przy tym głową. - Przykro mi, że spotykamy się akurat w takich okolicznościach.

- I co teraz? - Tomasz z coraz większym trudem panował nad drżeniem głosu.

- Przykro mi, ale muszę cię zabić.

- Jak?

- Powieszysz się w lesie.

- To już nie strzelę sobie w głowę?

- Nie. Zmieniłem koncepcję.

- A one?

- Kiedy przestanie już działać nasz mały nieszkodliwy narkotyk, pozwolę im odejść. Wezwą policję, karetkę, może nawet uronią łezkę nad swoim bohaterem.

Tomasik wiedział, że mężczyzna kłamie, ale mu nie przerywał. Niech mu się wydaje, że chociaż trochę mu wierzy, a on w pełni panuje nad sytuacją.

- No cóż, panie kapitanie. - kontynuował przeciwnik i wykonał szeroki ruch ręką. - Zapraszam...

Tomasik zaczął ostrożnie schodzić po schodach na dół. Kiedy był już w salonie, usłyszał polecenie.

- Pistolet. Rzuć go na ziemię.

Tomasz posłuchał.

- A teraz do drzwi. Tylko powoli i bez numerów.

Podeszli do wyjścia i już po chwili znaleźli się na dworze. Ciągle było jeszcze ciemno, chociaż z oparów mgły unoszącej się nad jeziorem wyraźnie wyłaniała się już nieco jaśniejsza łuna zwiastująca nadchodzący wschód słońca. Gdzieś spomiędzy drzew dochodziły pierwsze, pojedyncze trele obudzonych już ptaków. Tomasik zatrzymał się w miejscu i nasłuchiwał.

- Dalej - mężczyzna szturchnął go lekko w plecy, dając mu tym samym sygnał, że najwyraźniej traci czujność i zaczyna go lekceważyć.

Tomasik ruszył, kierując się w stronę drewnutni i oceniając przy tym w napięciu odległość, jaka dzieli go od prześladowcy. Dwa, może trzy kroki - założył. Przypuszczał, że mężczyzna będzie chciał go doprowadzić przynajmniej na skraj lasu. Dopiero tam spróbuje go obezwładnić. I to tak, żeby go przypadkiem nie uszkodzić. Najprawdopodobniej tak samo, jak wcześniej. Tomasz był prawie pewien, że tamtemu mężczyźnie nie chciałoby się nieść go jeszcze

kilkanaście metrów na plecach. Zresztą to mogło zostawić na ziemi jakieś ślady.

- Kto jest twoim zleceniodawcą? - zapytał wyraźnie już drżącym głosem.

Przez głowę mimo straszego napięcia przelatywały mu najróżniejsze głupstwa. Od obrazów z dzieciństwa, widoku rodziców po niezapłacony rachunek za wodę i najbliższy mecz piłkarskiej reprezentacji Polski.

- A co to za różnica?

- Po prostu chciałbym wiedzieć.

Do drewni zostało z pięć kroków...

- Bardzo poważni ludzie.

Tomasik już nie słuchał. Liczył. Cztery kroki, trzy, dwa, jeden... I w tym momencie skurczył się w sobie i skoczył gwałtownie w lewo. Zrobił błyskawiczny przewrót w przód i natychmiast podniósł się do półprzysiadu. Był dokładnie o pół kroku od pniaka, w którym zaraz po przyjeździe, szukając klucza od dachy, zobaczył wbity siekiere. Mimo panujących ciemności jednym płynnym ruchem wyrwał ją teraz z pieńka, uniósł do góry i z całej siły cisnął w kierunku prześladowcy. Usłyszał głuchy stuk uderzenia, podobny do tego, jaki czasami się jeszcze słyszy u rzeźnika, a potem cichy świszczący dźwięk wypuszczanego gwałtownie z płuc powietrza i łoskot upadającego na ziemię ciała.

Przez krótką chwilę Tomasik stał niczym sparaliżowany i czuł, jak opuszczają go resztki energii. Nie miał nawet siły, żeby podejść do ciała i upewnić się o skuteczności rzutu. Dopiero po minucie zebrał się w sobie i ostrożnie zbliżył do leżącego. Wyciągnął nogę i butem namacał wbity w mostek i zagłębioną do połowy ostrza siekiere.

- Mów mi Winnetou - wyszeptał drżącym jeszcze z emocji głosem. - I nigdy już więcej nie kłam, parszywy sukinsynu. Bo sam mówiłeś, słowo oficera nie dym. - Odetchnął z ulgą i obsunął się bezsilnie na ziemię.

\* \* \*

Na nocnej szafce profesora Tary, jednego z doradców prezydenta RP Bożydara Broniewskiego, zabręczał sygnał telefonu. Przebudzony profesor spojrział półprzytomnie na podświetlony aparat i mocno zdziwiony uniósł go do ucha.

- Tak? - rzucił oschle do słuchawki.

Lecz połączenie zostało natychmiast przerwane. Zdziwiony sięgnął po okulary, żeby sprawdzić numer dzwoniącego, i w tym

momencie usłyszał przeciągającą się na łóżku i lekko poziewującą jego najnowszą – trzecią już – młodą i piękną żonę Barbarę.

- Skarbie, kto dzwoni o tej porze?

- Nie wiem – mruknął z roztargnieniem, stwierdzając przy tym jednocześnie, że sygnał pochodził z numeru zastrzeżonego. - Spij. - Odłożył telefon na szafkę i w tej samej chwili aparat znowu zabręczał, tym razem na znak, że właśnie otrzymał MMS-a. - Cholera – zaklął już niezłe rozeźlony. Sięgnął ponownie po aparat i spojrzał na wyświetlony obrazek. Widok zmroził mu serce. Mój Boże – pomyślał przestraszony. To koniec. Podniósł się natychmiast z łóżka i wsadził telefon do kieszeni atłasowej pidżamy.

- Ej, skarbie, gdzie idziesz? – mruknęła żona, patrząc na niego zdeorientowana.

- Muszę do toalety.

- No co ty? To chyba nie jest początek prostaty? – I roześmiała się głośno z własnego żartu.

Mężczyzna machnął lekceważąco ręką i nałożywszy kapcie skierował się w stronę korytarza. Po chwili był już zamknięty w łazience i siedząc na muszli z opuszczonymi do kolan spodniami, wpatrywał się w zdjęcie z MMS-a.

Mimo przerażenia, które go ogarniało, czuł rosnące podniecenie. Z lubością wpatrywał się w obraz przedstawiający jego samego w zupełnym negliżu, klęczącego przed młodym i przystojnym chłopcem, któremu osobiście i z wyraźną przyjemnością w oczach robił właśnie loda. Tara z rozrzewnieniem pogłaskała ekran monitora i szepnęła:

- A jednak zgubiłeś mnie, mój kochany...

Kto stał za tym zdjęciem? Po co je zrobił? I czego od niego teraz chciał? Wszystko powinno się niedługo wyjaśnić. Westchnął głośno i poczuł, że oprócz stojącego prącia w oczach stają mu też łzy. To zdjęcie oznaczało przecież dla niego prawdopodobnie koniec kariery. Politycznej, naukowej i cywilnej. Nie był jeszcze pewien, jak się z tym pogodzi i jak to wszystko zniesie. Ale z takim nieszczęściem liczył się już od dawna. Wiedział, że wcześniej czy później sprawa musi wypłynąć. Przez tyle lat ukrywał tę swoją słabość. Maskował się z tym jak tylko potrafił. Nigdy się nie ujawnił, chociaż inni co chwilę dokonywali coming outu. On wręcz przeciwnie. Zawsze się z tego publicznie wyśmiewał, żartował ze studentów o widocznych upodobaniach homoseksualnych i im był starszy, z tym większym zaangażowaniem rzucał się w wir udawanych związków z kobietami. Po prostu brał przykład z aktorów i celebrytów, których różne historyjki z życia, te prawdziwe i wyreżyserowane, królowały we wszelakich brukowcach

i szmatławcach. Ale teraz to był już koniec.

Zamknął oczy i poczuł, jak łączy bezsilności, upokorzenia i wstydu ściekają mu po policzkach, wyznaczając kres jego życia w dotychczasowym kształcie.

\* \* \*

Tomasik ostrożnie wszedł do salonu i włączył światło. Spojrzał na wersalkę, na której ciągle leżały bez ruchu obie dziewczyny. Podeszedł do nich i dłonią sprawdził tętno. Wszystko powinno być w porządku. Najwyraźniej to gówno, którym musieli je uśpić, faktycznie nie było aż takie groźne. Sam nie czuł się najlepiej. Padał ze zmęczenia i z niewyspania. Nie był też pewien, co tak właściwie powinien teraz zrobić. Czy coś tu im teraz groziło? Czy ciągle ktoś jeszcze czyhał na ich życie? Nie wiedział. Przez moment stał tak, próbując przeanalizować sytuację, ale po chwili się poddał. To było ponad jego siły. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny zrobiły swoje. Z trudem dowlóknął się do wyłącznika i zgasił światło. Potem opadł bezsilnie w najbliższym fotelu i przymknąwszy oczy natychmiast zasnął.

\* \* \*

Pułkownik Anatolij Czubaszko jak co dzień obudził się o piątej dwadzieścia pięć. Spojrzał na śpiącą żonę i skierował się do łazienki. Goląc się przed lustrem, zastanawiał się, jaki też to dzisiaj będzie dzień. Przełomowy dla jego kariery? Czy też całkiem zwyczajny? Zresztą... Tak naprawdę nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Jak na wojskowego był już stary. Przecież służbę zaczynał jeszcze w czasach ZSRR i schyłkowej Armii Czerwonej. On i jego żona dobrze się czuli w Kaliningradzie i wcale nie marzyli o przeprowadzce do Leningradu czy Moskwy. Tutaj był ich dom i tutaj był kimś, a tam praktycznie musiałyby wszystko zaczynać od zera. A na to nie miał już chyba ochoty... Skończył golenie i wyszedł z łazienki. Zrobił kilka przysiadów i skłonów, a potem ubrał się i wyszedł spokojnie z domu.

Otwierając kluczykiem swoją archaiczną ładę, rozejrzał się z nostalgią po okolicznych blokach. Osiedle wojskowe. Wojskowe już tylko z nazwy. Gdzie te czasy, kiedy w samym tylko obecnym obwodzie kaliningradzkim stacjonowało dziesięć radzieckich dywizji, w tym dwie pancerne? W sumie prawie dwieście tysięcy żołnierzy? Dzisiaj to wszystko było już przeszłością. W niszczyjących i zaniedbanych blokach w większości mieszkali byli już wojskowi.

Emerycy pozbawieni pracy i sensu życia. Zżerani przez nieróbstwo, alkoholizm i inne patologie. A kogo to była wina? Tego pseudoreformatora Gorbaczowa, pijaka Jelcyna i tego pieprzonego polskiego elektryka z Gdańska, który to wszystko zapoczątkował. Na szczęście teraz u nich rządził Władimir Władimirowicz, który w końcu zrobi z tym wszystkim porządek. A on, Anatolij Czubaszko, będzie pomagał mu w tym, póki tylko starczy mu sił.

Jadąc prawie pustymi ulicami miasta, widział tylko pojedyncze auta, udające się w kierunku przejścia granicznego z Polską. I to dla pułkownika był kolejny upokarzający dowód na degrengoladę panującą w ich społeczeństwie. W obecnej sytuacji międzynarodowej po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, kiedy cała Europa była przeciwko nim, jego współobywatele bez cienia wstydu jeździli do Polski, jak gdyby nigdy nic, na codzienne zakupy. Dla niego, oficera armii rosyjskiej, to było zawstydzające.

Dotarł na parking nieopodal potężnego gmachu Dowództwa Floty Bałtyckiej i wysiadł z samochodu. Zamykając kluczykiem zamek, instynktownie wyczuł na sobie czyjś wzrok. Obejrzał się gwałtownie do tyłu i dostrzegł uśmiechającą się do niego młodą i piękną blondynkę. Kobieta skinęła mu lekko głową i kołysząc zmysłowo biodrami, ruszyła w jego kierunku.

- Wiera, kochanie, ślicznie wyglądasz - pułkownik rozłożył szeroko ręce i pocałował ją lekko w policzek. - Jak tam droga z Gdańska?

- W porządku, tato.

- To chodź, napijemy się dobrej herbaty.

Schwycił dziewczynę pod ramię i wprowadził schodami do wnętrza budynku. Piętnaście minut później, tuż obok filiżanki z obiecaną herbatą, położył przed nią na biurku teczkę wypełnioną stosem starannie ułożonych dokumentów.

- Co to? - zapytała zaciekawiona.

- Twoje nowe zadanie, kochanie.

Dziewczyna zaczęła przeglądać pobieżnie kartki. Nieco dłużej zatrzymała się na dużym zdjęciu przedstawiającym potężnego, około czterdziestoletniego mężczyznę w mundurze polskiego oficera.

- To on?

- Tak. Podpułkownik Alojzy Dzban z 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej.

- Niezbyt przystojny - zrobiła lekki grymas rozczarowania. - Do tego ma śmieszne nazwisko.

- To bez znaczenia.

- Dlaczego ja? - spojrzała ojcu pytająco w oczy.



- Bo jesteś moją córką i świetnie się do tego nadajesz.

- Chcesz, żebym go zaciągnęła do łóżka?

Mężczyzna uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- Córeczko, wiem, że nie jesteś święta, ale myślę, że ta sprawa nie będzie wymagała aż takiego poświęcenia z twojej strony.

Dziewczyna parsknęła śmiechem i przybliżyła do oczu kolorową fotografię z krótkim opisem.

- Żonaty. Cztery córki. Nie pali, nie pije. Nie uczęszcza do dyskotek czy pubów. Nie mieszka nawet w Gdańsku. I jak mam go uwieść? Telepatycznie?

- Mniej więcej - mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony. - On ma jeszcze kilka innych zalet i wad, które są dla nas ważne. A ty będziesz je mogła wykorzystać.

- A mogę wiedzieć po co?

Pułkownik westchnął znacząco.

- Tego nie mogę ci na razie powiedzieć. Ale o dwunastej ma się u mnie zameldować pewien człowiek. On jeszcze o tym nie wie, ale będzie twoim oficerem prowadzącym.

- Przystojny?

- A jakie to ma znaczenie? Przecież ty masz już w Gdańsku tego swojego kochasia z konsulatu. Wiktora Wiktorowicza. Tylko uważaj na niego. To niebezpieczny facet i nie wie, co to miłość, przyjaźń i rodzina.

- Skąd o nim wiesz?

- Przecież to moja praca.

Wiera wstała zza biurka i obciągnęła króciutką spódniczkę. Podeszła do okna i wyrzała na coraz bardziej ruchliwe ulice.

- Czy coś może mi grozić?

- Ze strony tego Polaka czy też ich służb? - pułkownik uniósł z namysłem brwi. - Nie sądzę. W razie kłopotów zawsze masz paszport dyplomatyczny, a ja ci pomogę. Ale ze strony tego Wiktora... i owszem.

- Bo?

- Bo to zwierzę. Wielkie i groźne. Stworzone do zabijania i nieopatrznie tylko wypuszczone z kaukaskiej klatki. Po prostu ktoś z naszych planuje coś na waszym terenie. I pomyślał, że on tam się przyda, bo niezłe włada językiem polskim i potrafi robić rzeczy, których nikt inny nie chciałby się podjąć. Ten ktoś nie zdaje sobie jednak sprawy, że Wiktor jest jak dynamit z tlącym się lontem. Musi w końcu kiedyś wybuchnąć. A ja bardzo bym nie chciał, żebyś ty wtedy była w pobliżu. Rozumiesz, córeczko?

- Tak, tato.

Na krótką chwilę w pokoju zapanowała cisza.

- Tato - przerwała ją wreszcie dziwnie posmutniała Wiera. - Nie wolałbyś, żebym w życiu zajmowała się czym innym?

Mężczyzna spojrzał jej prosto w oczy i skinął potakująco głową.

- Wolałbym. Ale to ty sama wybrałaś tę drogę. Ja nie naciskałem. I teraz jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to pomagać ci w tym, co robisz. I chronić... Rozumiesz?

- Uhm.

- Czasami w swojej pracy wychodzimy daleko poza to, czym teoretycznie powinniśmy się zajmować. Na przykład moja komórka nie powinna prowadzić działań na terenie innego państwa i w ogóle posiadać osobowych źródeł informacji. Ale robimy to, bo ci na górze, którzy biorą za to pieniądze, mają to wszystko gdzieś i nic nie robią dla zapewnienia bezpieczeństwa i przyszłości naszej kochanej ojczyzny. A przecież ktoś musi o to dbać. Rozumiesz, kochanie?

- Tak, tato.

- To dobrze. Ale już starczy o mnie i naszej pracy - Anatolij Czubaszko uśmiechnął się ciepło do córki. - To opowiedz mi lepiej o tym swoim Wiktorze i o tym, co się tam wydarzyło u was wczoraj w Gdańsku.

I już po chwili zdał sobie nagle sprawę, że dzieje się tam coś, o czym dotąd zupełnie nie miał pojęcia, a co wyglądało na coś naprawdę ważnego.

\* \* \*

Nadkomisarz Jarek Sopoćko minął Sierakowice i kierował się dalej na Bytów i Słupsk. Po przejechaniu kilku kilometrów dostrzegł tablicę z nazwą Załakowo. Jechał dalej aż po swojej lewej ręce ujrzał tonące w oparach porannej mgły niewielkie, typowe dla kaszubskiej ziemi jezioro. Zwolnił i po chwili skręcił w leśną dróżkę. Jechał powoli, na dwójce, rozglądając się uważnie dookoła i szukając znaków czyjegoś niedawnego przejazdu. Szybko zauważył resztki rozjechanego błota na niemalże wyschniętej już kałuży. Jeden rzut oka wystarczył mu, aby stwierdzić, że ślad był świeży. Zatrzymał swojego nissana patrola i z pistoletem w dłoni wysiadł na zewnątrz. Przykucnął i z zainteresowaniem oglądał nakładające się na siebie odcisnięte w błocie ślady opon. Jedne, drugie... Trzecie? Westchnął ciężko. Wcale nie był pewien, co to oznacza i czy dobrze wszystko odczytał. To mógł być ktokolwiek. Jezioro i las były co prawda prywatne, ale nikt z okolicznych mieszkańców się tym zbytnio nie przejmował. Wielu ludzi przyjeżdżało tu na grzyby, jagody czy ryby. Zresztą on nawet nie był pewien, czy Tomasz rzeczywiście przyjechał właśnie tutaj. Przecież to było tylko jego

przypuszczenie. Podniósł się i zamyślony wsiadł z powrotem do auta. Przejechał jeszcze kilkanaście metrów i włączwszy napęd na cztery koła, skręcił w zieloną gęstwinę krzaków. Po chwili zatrzymał się i znowu wysiadł. Wolał nie ryzykować jawnego przyjazdu pod samą daczę i zdecydował, że robi sobie mały spacer. Nie szedł drogą, tylko podążał na skróty, przez las. Sosny wydawały z siebie mocny aromat żywicy, a ptaki hałasowały nie gorzej niż jego syn po powrocie ze szkoły i tłumiły tym samym jego ostrożne kroki. W pewnym momencie między drzewami błysnęło coś białawego. Auto? – pomyślał i zwiększył czujność.

Do domku było jeszcze z trzysta metrów, więc miejsce wydało mu się odpowiednio oddalone i dobrze wybrane do zaparkowania, jeżeli chciałoby się do niego podejść niezauważenie. Idąc, wyciągnął i odbezpieczył pistolet. Uniósł go lekko lufą do góry i zatrzymując się za jednym z niezbyt grubych drzew, zlustrował uważnie teren. Nikogo tam nie ma – stwierdził. Zbliżył się do samochodu. Biała, a właściwie kremowa mazda 6. Zajrzał przez szybę do środka. We wnętrzu nie leżało nic, po czym można by się było czegośkolwiek dowiedzieć o właścicielu auta. Wyglądało jakby dopiero co wyjechało z salonu. Ale na zewnątrz, po obu stronach drzwi, w zielonym dywanie mchu i zeschniętych igieł widniały wyraźnie odcisnięte ślady butów. Jest ich dwóch – pomyślał z niepokojem i jeszcze bardziej zwiększył czujność. Szedł dalej i coraz częściej przystawał, żeby chociaż przez chwilę ponasłuchiwać. Ale przez ten ptasi jazgot nic nie miało prawa się przebić. Kiedy zobaczył daczę, znowu się zatrzymał. Przez krótką chwilę lustrował okna wychodzące w jego kierunku i otwarte podwórko, na którym stał teraz czerwony golf GTI. Potem wyjął z kieszeni niewielką lornetkę i ponownie przystąpił do obserwacji. Tym razem uważnej. Był cierpliwy i ostrożny. Metodycznie oceniał pod kątem ewentualnego zagrożenia każdy metr zielonego gąszczy, domu i podwórka. Kilkanaście lat służby w wydziale kryminalnym nauczyło go pokory wobec przeciwnika. Bez względu na to, kim on był i co o nim myślał, na początku zawsze zasługiwał na odrobinę zawodowego szacunku. Jeżeli ktoś się do tego nie stosował, jego kariera w policji mogła być krótka i bolesna. Dzięki temu już po minucie zobaczył coś, co sprawiło, że serce zabiło mu szybciej. Z prawej strony lasu, od tyłu podwórka, ktoś najwyraźniej się skradał. Do budynku miał jeszcze sto – sto pięćdziesiąt metrów. Ten ktoś co chwilę znikał mu z pola widzenia, kryjąc się za pniami drzew lub gęstwiną liściastych krzewów. To facet – ocenił jednoznacznie Jarek. Potężny i sprawny ruchowo. Zwinny jak kot. Jarek rozejrzał się uważnie dookoła. Nie. Nikt go raczej nie

obchodził. Może ubezpieczał tamtego? Chciał wrócić do przerwanej obserwacji, ale tym razem nie mógł odszukać poszukiwanego. Cholera – zaklął w myślach. Zgubiłem go.

Nie było czasu, a musiał podjąć jakąś decyzję. I to szybko. A nie miał prawie żadnych informacji. Bo poza faktem, że ktoś się tu skrada, nie wiedział nic. Podejrzewał tylko, że w środku budynku prawdopodobnie jest Tomek w towarzystwie jednej bądź też dwóch kobiet. Ale to były jedynie przypuszczenia.

Jeszcze raz rozejrzał się uważnie dookoła i nie widząc chwilowo dla siebie bezpośredniego zagrożenia, szybkim krokiem i z bronią gotową do strzału skierował się w stronę budynku.

\* \* \*

Drzemiący dotąd w fotelu Tomasik właśnie się budził, kiedy usłyszał jakiś pojedynczy jęk. Nie kojarząc jeszcze, gdzie się znajduje, zacisnął tylko mocniej powieki i chciał się przewrócić na drugi bok. Lecz zamiast tego prawie spadł z fotela. I wtedy jęk się powtórzył. Natychmiast otworzył szeroko oczy i od razu przypomniał sobie, gdzie jest i jak tu się znalazł.

- Cholera – westchnął zboląły.

Z trudem uniósł się do góry i rozejrzawszy się po salonie spojrzał na wykrzywioną bólem twarz Marty. Leżała na wersalce zwinięta w kłębek i rękoma obejmowała się za głowę. Tuż obok niej, ciągle jeszcze z zamkniętymi oczyma, leżała Milena. Tomasz przyglądał się twarzy nauczycielki, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Boże – szepnął do siebie. – Przecież ta babka jest piękna. – Podeszedł do wersalki i przykucnął tuż obok licealistki. – Ej, Martynka. To ja. Profesor Tomasik. Twój belfer z „dwudziestki” i sąsiad. Coś cię boli?

Przez krótką chwilę z jej strony nie było żadnej reakcji. Myślał, że dziewczyna go nie usłyszała albo nie zrozumiała. Ale kiedy chciał już złapać ją za rękaw, usłyszał:

- Głowa. Strasznie mnie boli. I jest mi niedobrze.

Tomasz pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Kilka godzin temu źli ludzie podali ci jakieś świństwo. Zemdlałaś. Ale to minie.

Martyna oderwała od głowy dłoń i spojrzała na Tomasika cierpiącym wzrokiem.

- Nie rozumiem...

Uśmiechnął się do niej najcieplej jak tylko potrafił.

- To nic. Wszystko jest w porządku. Poszukałbym czegoś od

bólu głowy, ale nie wiem, czy to by ci nie zaszkodziło. Musisz trochę pocierpieć, ale na razie nigdzie się nam nie śpieszy. Dam ci wody i prześpij się jeszcze trochę.

Oczy dziewczyny znowu się zamknęły, a on podniósł się do góry i skierował do kuchenki. Idąc, rzucił jeszcze okiem na wychodzące na podwórko okno. Widok, który zobaczył, sprawił, że stanął w miejscu niczym sparaliżowany.

\* \* \*

Jarek znowu go zobaczył. Potężny mężczyzna z wysoko podgoloną na wojskową modę głową stał tuż przed oknem i najwyraźniej mierzył z broni do kogoś znajdującego się w środku. Nie miał czasu na zastanowienie.

- Policja! Rzuć broń! - wykrzykując to, nie zatrzymywał się ani na moment. Z wyciągniętą przed siebie i gotową do strzału bronią niemalże biegł do zastygłego bez ruchu olbrzyma. Wiedział, że w razie potrzeby z takiej odległości nie ma prawa chybić. - Rzuć tę pieprzoną spluwę! - ryknął ponownie.

Kiedy zbliżył się już do niego na kilka kroków, zobaczył jak facet w ułamku sekundy odchyła swoje ciało w bok i prawą ręką wykonuje płynny ruch w lewo na wysokość pasa. Zobaczył jeszcze lufę pistoletu i niewielki błysk. I niemalże w tej samej chwili dwukrotnie pociągnął za spust. Szybko następujące po sobie strzały zły się w jeden głośny huk. Policjant poczuł powiew przelatującego tuż obok swojego ucha pocisku i ujrzał jak kule wystrzelone z jego glocka z prędkością trzystu sześćdziesięciu metrów na sekundę trafiają napastnika w plecy i przewracają go na kolana niczym szmacianą lalkę. Niewiele się zastanawiając, dopadł do niego i silnym kopniakiem w głowę poprawionym jeszcze dla pewności kolejnym uderzeniem pięści przewrócił go ostatecznie na ziemię.

Z daczy wybiegł Tomasz.

- W samą porę! - krzyczał radośnie. - Myślałem, że już po nas.

- Nooo... Mało brakowało.

- Dzięki.

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie.

- Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj i że będę potrzebował twojej pomocy?

- Znamy się w końcu parę lat - roześmiał się lekko Jarek. - No i jestem gliniarzem, nie?

- No...

- To co tutaj mamy?

- Wolałbyś nie wiedzieć. Wejdźmy lepiej do środka. Tu może być niebezpiecznie.

Chwycili pod ramiona nieprzytomnego olbrzyma i wciągnęli go po ziemi do dachy. Na widok leżących na wersalce dziewczyn Sopoćko skinął im przyjaźnie głową.

- Witam panie - powiedział z uśmiechem. - Nadkomisarz Jarosław Sopoćko z Komendy Miejskiej Policji w Gdańsku - i wyciągnął w ich kierunku swoją legitymację służbową.

Odwzajemniły przywitanie, a Milena wychrypiła zmęczonym głosem.

- Zabierze nas pan do domu?

Jarek lekko się zakłopotał.

- To może być trudne, proszę pani. Ale zapewniam, że wspólnie z Tomaszem zrobimy wszystko, żeby zakończyć tę przygodę najszybciej jak tylko się da.

Tomasik pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- Przepraszam, że przeszkadzam wam w tej uroczej konwersacji, ale ciągle mamy kilka nierozwiązanych problemów - wskazał ręką na odzyskującego przytomność olbrzyma i okno, za którym czaiło się nieznane. - Musimy z nim pogadać. Na osobności.

- Jasne. Ale najpierw... - Jarek przeszedł do kuchni.

Z szafki wyjął ścierkę do wycierania naczyń i podszedł z nią do leżącego. Przykucnął i odchylił mu poły marynarki, a potem pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Facet miał szczęście. Gdyby nie to... - wskazał Tomaszowi kamizelkę kuloodporną. - Jeszcze takiej nie widziałem. Zawodowa. Uratowała mu życie. - Zawiązał leżącemu oczy, podniósł się i spojrzał na kobiety. - Może dadzą panie radę wejść na górę. Tam jest sypialnia.

Tomasik natychmiast pokręcił przecząco głową.

- To nie jest najlepszy pomysł - i zrobił znaczącą minę.

Zaskoczony policjant uniósł do góry brwi, spojrzał mu prosto w oczy, a potem mruczając coś brzydsko pod nosem, ruszył zaintrygowany po schodach na piętro.

Leżący olbrzym westchnął głośno i przekręcił się na plecy. Jego wystające spod ścierki czoło wyraźnie się zmarszczyło.

Tomasik przez okno zlustrował podwórko. Nieco uspokojony spojrzał na dziewczyny i przyłożył palec do ust, nakazując im tym samym milczenie. Podszedł do leżącego.

- Chyba nas nie lubisz, przyjacielu, co? - zaczął powoli. Mówił po polsku. - Powiesz mi, dlaczego próbowałeś nas zabić?

Mężczyzna milczał. Tomasz podejrzewał, że prawdopodobnie tylko udaje nieprzytomnego, a on chciał się od niego dowiedzieć co

najmniej kilku rzeczy. Ale od dalszych pytań uchronił olbrzym schodzący z góry Jarek. Kiedy znalazł się już na dole, podszedł do Tomasza i wyraźnie zamyślony szepnął:

- Ten na górze był od niego?
- Raczej nie. On był z innej bajki.
- Jeszcze jakieś niespodzianki?
- Przykro mi, ale tak.
- Gdzie?
- W drewnutni.

- Cholera - mruknął niepocieszony policjant. - Siostra miała to sprzedać. Ale teraz to rzeźnia, która w całej okolicy będzie się wszystkim kojarzyła z zamkiem Draculi, a nie z daczą wypoczynkową. - Potem spojrzął na olbrzymia. - Co z nim?

- Przytomny, ale mało rozmowny.
- Zmusimy go do mówienia.

- Mam nadzieję - przytaknął Tomasz, chociaż nie był tego wcale taki pewien.

Ciągle miał przed oczami spojrzenie faceta w aucie na gdańskiej Morenie. I cały czas nie potrafił go zapomnieć. Ten mężczyzna miał w sobie coś przerażającego i obezwładniającego. Musiał być kimś więcej niż zwykłym płatnym zabójcą.

- To co? Gadamy z nim przy nich? - zapytał cicho Jarek.

Tomasz wiedział, że nie jest to najlepszy pomysł, ale nie mieli innego wyjścia. Nie mogli wysłać kobiet na zewnątrz ani do sypialni na górę. Musieli je czymś zająć. Odwrócić ich uwagę od tego, co się będzie tutaj działo. Zamyślony spojrzął przeciągle w ich kierunku. Obydwie siedziały nadal na wersalce i obserwowały ich uważnie, najwyraźniej nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co się dookoła nich dzieje. Tomasz westchnął i podszedł do łóżka.

- Jak się czujesz? - zagadnął Milenę.

- Kiepsko.

- Dasz radę wstać?

- Nie wiem.

- Spróbuj. Zrób nam herbaty i wyglądaj czasami przez okno.

Tylko ostrożnie... Gdybyś kogoś zauważyła, daj nam znać.

- Czy coś nam jeszcze grozi?

Mimowolnie się uśmiechnął.

- Nie wiem. Ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

- W porządku. Rozumiem. - Odwróciła się do Martyny. - Pomożesz mi?

- Nie mam siły.

- Dobrze - westchnęła. - Odpocznij, a ja spróbuję zrobić tę herbatę i znaleźć coś do jedzenia.

Kobieta wstała chwiejnie z wersalki i pomału przeszła w stronę kuchni. Przyjaciele rozumieli się bez słów. Ponownie pochyłili się nad leżącym. Tomasz kiwnął potakująco głową i wtedy Jarek zwrócił się do olbrzyma.

- Wiemy, że chciałeś zabić te kobiety. Mamy na to dowody. Ale przyznam ci się szczerze, że przynajmniej ja kompletnie nie rozumiem, dlaczego. Oczekujemy więc od ciebie pełnej współpracy. A wtedy być może ocalisz życie. Na początek krótkie i proste pytanie. Ilu was tu jest i gdzie zostawiliście auto?

Lecz zamiast odpowiedzi słyszeli tylko ciszę. Przez krótką chwilę przesłuchujący i przesłuchiwany trwali w bezruchu, lecz w końcu policjant stracił cierpliwość.

- Taki z ciebie milczek? - mruknął ze złym błyskiem w oku. Odwrócił się w kierunku Mileny i widząc, że ta nie patrzy w ich stronę, zamachnął się i z całej siły uderzył mężczyznę pięścią w krocze. Ten wydał z siebie tylko cichy jęk i już po chwili zmienionym lekko głosem wyszeptał:

- Nie rób tego więcej, harcerzyku. One i tak już nie żyją. Ale jak mnie natychmiast wypuścisz, to być może ja ocalę twoją rodzinę.

- Ty? Ty chcesz ocalić moją rodzinę? - wysyczał Jarek. - A niby w jaki sposób?

I ponownie uderzył olbrzyma, wywołując tym samym kolejny jęk. Przez chwilę mężczyzna najwyraźniej walczył z bólem i z narastającą w nim chęcią wymiotowania. Lecz kiedy tylko nieco doszedł do siebie, powiedział:

- Nadkomisarz Jarosław Sopoćko z KMP w Gdańsku. Zamieszkały w Gdańsku Otominie. Żona Małgorzata, policjantka, sześćioletni syn... Najlepszy kumpel obecnego tu kapitana Tomasza Tomasika. Byłego żołnierza WSI i SKW. Od czterech lat na emeryturze. Obecnie dorabia jako belfer w XX LO w Gdańsku. A ta dacza jest twojej siostry...

Jarek mimowolnie odsunął się od niego i patrzył uważnie, jakby dopiero co go zobaczył.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - wychrypiął zszokowany.

Olbrzym wykrzywił twarz w lekkim grymasie zniecierpliwienia czy też pogardy, ukazując przy tym zadbane, śnieżnobiałe zęby.

- Co za różnica? Ale jeżeli jeszcze raz mnie uderzysz, to będę musiał cię zabić.

- Jak na razie - przerwał mu spokojnym głosem podchodzący do nich Tomasz - to ty leżysz tu skuty jak baran i aż się prosisz, żeby cię jak najszybciej zakopać trzy metry pod ziemią.

Mężczyzna pozostał niewzruszony. Najwyraźniej odzyskiwał pewność siebie.



- Chyba nie myślicie, że działałam sam?

Tomasik dotknął Jarka w ramię i gestem pokazał, żeby ten odszedł z nim na bok. Kiedy przeszli w drugi kąt salonu, zaczął:

- Ten na górze i ten z drewnutni to najprawdopodobniej ludzie mający coś wspólnego z naszymi służbami. Nie wiem którymi. Może ABW, może SKW, a może od ciebie albo z CBS? W każdym razie bardzo dużo o mnie wiedzieli.

- I?

- I też chcieli nas zabić. Tamten z drewnutni to ten sam gość, który załatwił mnie wtedy w bloku koło mojego domu. Opowiadałem ci. Podejrzewam, że to on wykończył moją sąsiadkę.

- Mówiłeś tej małej?

- Nie.

- Rozumiem.

- Zanim się pożegnałem na zawsze z tamtymi panami, trochę sobie porozmawialiśmy - Tomasik w kilkunastu zdaniach streścił mi półgłosem wydarzenia z ostatnich godzin. Na koniec powiedział: - Nie wiem do końca, dlaczego tamten facet nie załatwił mnie już wtedy w Gdyni. Ani potem, zaraz po naszym przyjeździe tutaj. Mógł to zrobić bez najmniejszego problemu. Ale z tego, co mówił, wynika, że wówczas jeszcze nie do końca łączył mnie z tą sprawą. Nie wiem też, kim jest ten gość - wskazał leżącego olbrzyma. - Ale on nie jest nasz. Słysząc po akcencie. Rosjanin? Czeczen? Ukrainiec? Nie mam pojęcia. Poza tym wtedy na Morenie to on był zleceniodawcą tych nieudaczników, którzy próbowali zabić dziewczyny. Kiedy im nie wyszło, chciał dokończyć robotę. Tamci koleś, prawdopodobnie Polacy, to były pionki. Pewne jest tylko jedno. Jedni i drudzy nie grają w tej samej drużynie i bardzo nas nie lubią.

- Tak myślisz?

- Nooo.

- A jesteś pewien, że tamci na Morenie, których przechwycili chłopcy ode mnie z firmy, nic nie wiedzieli?

- Tak. Nie mogli mnie wtedy oszukać - Tomasik zaśmiał się z udawaną nonszalancją. - Ja wtedy tam jednego zastrzeliłem, a z drugiego zrobiłem kalekę na całe życie w trakcie przesłuchania.

- Rozumiem, stary.

- Jasne. No... Tylko, że całe moje życie właśnie wywróciło się do góry nogami. Zabiłem człowieka! Rozumiesz? A ja nadal nie kumam, o co chodzi. Kim jest ten koleś? Dlaczego to wszystko się dzieje? I co ten typ o nas tak naprawdę wie?

- Sorry, ja też tego nie wiem, Tomek. Ale takich informacji nie znajduje się na Facebooku. Przynajmniej nie o takich ludziach jak my.

- No właśnie. Ja wiem, że niektóre służby, żeby nie ubrudzić sobie rączek, czasami poprzez różnych pośredników korzystają z usług wszelakiego rodzaju pojedynczych śmieci albo nawet i całych organizacji. Zawodowych zabójców, wolnych strzelców, gangów czy mafii. Wiem też, że aby się czegoś o nas dowiedzieć, wystarczy dobrze pogrzebać w sieci i złamać dostęp do naszych informacji bankowych. Przelewy za robotę, rachunki za telefon czy prąd. Tam jest zapisane wszystko. Ale służby to instytucje państwowe! Tam zawsze jest ktoś, kto domaga się jakichś oficjalnych zapotrzebowań na informacje, meldunków. Ktoś, kto to wszystko planuje, monitoruje, zatwierdza decyzje, załatwia różnego rodzaju zezwolenia, choćby na podsłuchy czy monitoring. Tej całej biurokracji nie da się pominąć w żadnej służbie! A to trwa! I to nie dzień czy dwa... Takie operacje wymagają czasu i wielu decyzji ludzi na poważnych stanowiskach.

- Też to wiem. Ale co to zmienia?

I spojrzeli sobie w oczy.

- Jarek! Musisz ostrzec Gosię. Bez względu na to, czy za tym wszystkim stoją jakieś służby, rosyjska mafia czy zwykli skurwiele, którym te małolaty po prostu weszły w drogę, są cholernie niebezpieczni.

- I co dalej?

- Nie wiem. Musimy dopaść tego, kto za tym wszystkim stoi.

Tym razem to Jarek roześmiał się nerwowo i odwrócił głowę w kierunku salonu. Skuty kajdankami olbrzym leżał bez ruchu pod ścianą i chwilowo wydawał się niegroźny. Milena właśnie zalewała wodą z czajnika herbatę i podsłuchując toczące się rozmowy, zerknęła ciekawie w ich stronę. A Martyna najwyraźniej znowu spała.

- Zobaczymy, co ten pan jeszcze nam powie. - Tomasz wrócił do przerwanej rozmowy. - A potem pogadamy z Martyną. Ciągłe uważam, że to ona jest kluczem do rozwiązania całej zagadki. Próbowałem rozmawiać z nią w trakcie jazdy, ale wywołałem tylko płacz. Ona i jej koledzy musieli dowiedzieć się czegoś albo zobaczyć coś, co spowodowało efekt domina.

Zapadła cisza.

- Cholera - sapnął w końcu z rezygnacją Jarek. - Nie wiem, co to było, ale żeby wywołać taką lawinę, musi być duże. Za stary jestem na takie zabawy...

- Spokojnie, Jareczku. Rozwiążemy tę zagadkę i wyjdziemy z tego cało.

Policjant pokiwał tylko w zamyśleniu głową i wyciągnął telefon, żeby jak najszybciej skontaktować się z żoną.

Małgorzata Sopoćko z niepokojem obserwowała pokasłującego lekko syna.

- Kuba, co ci jest?
- Gardło mnie boli.
- Pokaż je.

Chłopiec podszedł do matki i otworzył szeroko buzię.

- No. Jest trochę zaczerwienione - stwierdziła. - Ale nie na tyle, żebyś wymuszał kaszelek. Dzisiaj jest co prawda piątek, ale ty nie musisz iść do szkoły.

- Naprawdę?
- Uhm - uśmiechnęła się do niego znacząco.

Zauważyła, że chłopiec ostatnimi czasy coraz mniej chętnie wychodzi do szkoły. I szybko ustaliła tego przyczynę. Jeden z jego klasowych kolegów, nieco wyrosnięty Piotruś z wyraźnym ADHD, mocno dawał się wszystkim we znaki. A od kilku tygodni upodobał sobie właśnie jej syna. Gosia miała nawet w planach skontaktować się z jego matką, aby poruszyć tę sprawę, ale jak dotąd nie znalazła na to czasu.

Teraz też dopiero przed dwiema zaledwie godzinami wróciła z nocnego dyżuru i po krótkiej rozmowie z mężem pozwoliła mu udać się do Załakowa w poszukiwaniu Tomasza. Sama została w domu i postanowiła zająć się synem, dając tym samym chociaż dzień odpoczynku opiekującej się nim zazwyczaj teściowej.

Podadła chłopcu talerzyk z kanapkami, a obok postawiła ciepłe kakao.

- Jedz, synku. Inaczej będziesz chory i nie będziesz mógł wychodzić na dwór.

Chłopiec złapał za bułkę, a Gosia podeszła do zlewozmywaka i wyjrzała przez okno. Jej wzrok natychmiast wychwycił nadjeżdżające akurat szutrową drogą obce auto. Samochód przejechał szybko tuż przed ich bramą i pozostawiając za sobą kłęby wzbitego w górę kurzu, skręcił w najbliższą uliczkę. Zaintrygowana policjantka spojrzała na zegarek. O tej porze obcy goście w okolicach ich domu to był widok raczej rzadki.

Mieszkali przecież w Otominie. Pięknie położonej, otoczonej lasami, niewielkiej miejscowości nieopodal Gdańska i kilkadziesiąt zaledwie metrów od brzegów uroczonego jeziora o tej samej nazwie. Gdyby nie znajdujące się kilka kilometrów dalej wysypisko śmieci, które zbierało odpady niemalże z całego Trójmiasta, i czasami dolatujące stamtąd niemiłe zapachy, można by powiedzieć, że mieszkają w przysłowiowym raju. A w tym „raju” prawie wszyscy

się znali, wszystko o sobie wiedzieli i wszyscy bardzo cenili sobie ciszę i spokój.

Przez krótką chwilę patrzyła jeszcze zamyślona w kierunku opadającej kurzawy, a potem westchnęła i wróciła do swoich zajęć. Wyjęła ze zlewozmywaka brudne talerze i szklanki i opłukawszy je z grubsza, wsadziła do pustej zmywarki. Rzuciła jeszcze okiem na zjadającego śniadanie syna i nagle usłyszała pojedyncze szczeknięcie psa.

- To Carmen - pomyślała. - Pewnie jest głodna.

Lecz w tym samym momencie jej wilczyca zaczęła wściekle ujadać. Do głosu Carmen natychmiast dołączyła swoim cieniutkim, lecz równie zjadłym głosem mała Masza.

- Co jest? - zapytała sama siebie zaintrygowana.

Podeszła do przeszklonych drzwi wychodzących na ogród i spojrzała na znajdujący się tam w rogu kojec dla psów. Obydwa zwierzaki wręcz szalały, warcząc, szczekając i rzucając się wściekle na siatkę. Zaniepokojona Małgosia zerknęła na syna.

- Zostań tutaj! - rozkazała.

Szybkim i zdecydowanym ruchem otworzyła przeszklone drzwi i niemalże wybiegła na zewnątrz. Chciała wypuścić psy. Po kilkunastu krokach zatrzymała się i rozejrzała nerwowo dookoła. I w tym momencie zobaczyła, jak dwóch zamaskowanych mężczyzn przeskakuje przez płot od strony budowanego właśnie po sąsiedzku domu i ląduje po jej stronie posesji. Drgnęła przerażona. Potężne postury, czarne stroje i zamaskowane twarze nie zwiastowały niczego dobrego. Jeden z nich natychmiast rzucił się w jej kierunku, a drugi wbiegał właśnie do domu.

- Ratunku! - krzyknęła z całych sił.

I rzuciła się w stronę kojca. Miała kilka metrów przewagi i pierwsza dopadła do klatki. Jednym płynnym ruchem wyciągnęła blokujący drzwi skobel w tym samym momencie, kiedy ścigający ją mężczyzna złapał ją mocno za szyję. Oderwał ją brutalnie od siatki i rzucił bestialsko na ziemię. Lecz nic więcej nie zdążył już zrobić. Drzwi kojca pod naporem rzucającej się wściekle Carmen ustąpiły i uderzyły go w ramię. Pies wyskoczył jak z procy i całą masą blisko czterdziestu kilogramów natarł na oprawcę. Mężczyzna nie wytrzymał uderzenia i razem z psem przewrócił się na bok.

- Kambodża! - krzyknęła policjantka i podnosząc się z ziemi, natychmiast rzuciła się w kierunku domu.

Biegając, nie oglądała się za siebie. Wiedziała, że Carmen, szkolona do obrony przez jej kolegów, policyjnych specjalistów od tresury psów, na wyuczone hasło nie odpuści. A ona musiała wracać do domu i chronić swojego syna!

Przez uchylone drzwi ogrodowe wbiegła do salonu. W tym momencie usłyszała z tyłu ogrodu głos wystrzału i głośne skomlenie. Znowu nie obejrzała się za siebie, lecz jeden rzut oka w kierunku okna wychodzącego na ulicę wystarczył, aby zrozumieć, że znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Zobaczyła, jak sprzed bramy z piskiem opon odjeżdża czarne bmw bez numerów rejestracyjnych, zostawiając za sobą tylko potężny tuman kurzu. Po chwili auto wyhamowało i skręciło gwałtownie w prawo. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że w bocznej szybie widzi przerażoną twarz płaczącego syna. Walcząc z cisnącymi się jej do oczu łzami, wyskoczyła przed dom i wybiegła na ulicę. Kierowała się w stronę skrzyżowania, wiedząc, że jest to jedyna droga wyjazdu. Kiedy tam dobiegła, ujrzała zawracające właśnie auto i wychylających się z okolicznych domów zdziwionych sąsiadów. W mgnieniu oka oceniła sytuację. Powstrzymała się przed samobójczą próbą rozpaczliwego zablokowania ciała drogi i zrobiła to, co mogła jedynie w tym momencie zrobić. Stała na krawędzi ulicy w bezruchu gotowa do tego, aby w razie potrzeby uskoczyć w bok, i uważnie przyjrzała się porywaczom, starając się wychwycić i zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Widziała, jak samochód skacze do przodu i przemyka tuż obok niej, nawet nie zwalniając przed skrzyżowaniem. Prowadzący auto kierowca był młodym, najwyżej dwudziestokilkuletnim chłopakiem. Ostrzyżony na zero, o twarzy brutala, w ciemnej sportowej bluzie. Auto czarne bmw, bez tablic rejestracyjnych, model E46. Nad lewym przednim nadkolem lekkie wgniecenie, a z tyłu na bagażniku biało-czerwona naklejka z orłem w koronie i literami PL.

Samochód zniknął w oddali. Małgorzata pobiegła do domu. Już nawet nie próbowała powstrzymać ciekających jej z oczu łez. Rozejrzała się nerwowo w poszukiwaniu telefonu i wtedy on sam zadzwonił. Rzuciła się do kanapy i przecierając zażawione oczy, spojrzała na wyświetlony numer. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

- Jarek! - wykrzyknęła. - Te skurwysyny porwały Kubę!

- Kiedy?!

- Przed chwilą!

- Kto?!

- Nie wiem! Czarne bmw! Trzech ludzi! Uciekają drogą do Sulmina!

- Dzwoń po naszych! I miej przy sobie cały czas telefon!

Połączenie zostało przerwane. Małgosia natychmiast wybrała numer alarmowy i już po chwili łamiącym się ze zdenerwowania głosem zdawała relację dyżurnemu w Komendzie Miejskiej Policji. Potem wybiegła na ogród i zobaczyła leżącą pod płotem i skomlącą

cicho Carmen. Podbiegła do niej i uklękawszy tuż obok pogłaskała ją czule za uchem. Pies zaskomlał przymilnie i uniósł nieco łeb, liżąc z oddaniem jej dłoń. Psina dostała dwie kule w szyję i wyraźnie cierpiała. Małgosia ponownie sięgnęła po telefon, wybrała numer znajomego weterynarza i poprosiła o natychmiastową pomoc. Dopiero potem rozejrzała się dookoła i oprócz skulonej pod płóciem i trzęsącej się ze strachu Maszy dostrzegła porzrzucone w pobliżu wyrwane psimi zębami zakrwawione kawałki ludzkiego ciała i porwanych ubrań. Na ten widok poczuła iskierkę nadziei.

- Dorwiemy cię, sukinsynu - szepnęła z ogarniającym ją wzruszeniem. - Dorwiemy was wszystkich. - I z jeszcze większą wdzięcznością przytuliła do siebie popiskującą cicho Carmen.

\* \* \*

Sopoćko oderwał telefon od ucha i z zaciętym wyrazem twarzy pochylił się nad leżącym olbrzymem. Z trudem tylko panował nad ogarniającą go wściekłością.

- Gdzie go wieziecie? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Już nie chcesz mnie bić? - odpowiedział obojętnym głosem olbrzym.

- Po prostu cię zabiję! I to powoli. Będziesz czuł, jak umierasz! Mężczyzna tym razem cicho się zaśmiał.

- Nie groź, jeżeli nie możesz lub nie jesteś w stanie spełnić swojej groźby. Bo stajesz się śmieszny.

Jarek nie wytrzymał i trzasnął go z otwartej dłoni w twarz. Potem zerwał mu opaskę z oczu i wyciągnął swój telefon. Patrząc mu prosto w jasnobłękitne, zimne i wyzywające zarazem oczy, pstryknął zdjęcie.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Tomasik, chociaż od razu domyślił się, co przyjacielowi chodzi po głowie. Nie słyszał co prawda jego rozmowy z Gosią, ale było dla niego jasne, co się stało. I czuł się za to odpowiedzialny.

- Prześlę chłopakom zdjęcie tego sukinsyna, może coś znajdą na jego temat.

- Nie radzę - wychrypiał zimno olbrzym. - Tylko jeszcze bardziej skomplikujesz swoje sprawy.

- Zamknij się! - przerwał mu gwałtownie Jarek. - Porwaliście mi syna i tego wam nie daruję!

- Już ci mówiłem. Nie groź, jeżeli nie możesz lub nie jesteś w stanie spełnić swoich groźb.

- Ja też ci już mówiłem! - wysyczał mu do ucha Jarek. - Zamknij się albo nie przeżyjesz kilku najbliższych minut!

- I co wtedy się stanie z twoim synem? Jak myślisz?

Tomasik przeszedł powoli do kuchni i spojrzał na Milenę. Kobieta była całkowicie roztrzęsiona. Ona również wszystkiego się domyśliła. Wiadomość o porwaniu syna policjanta niemalże przelała granicę jej wytrzymałości.

- Co tu się dzieje? Tomek, powiedz mi, co tu się dzieje? Dlaczego oni wszyscy chcą nas zabić? Dlaczego porwali jego syna? No dlaczego? - szeptała z oczami pełnymi łez. - Co my takiego zrobiliśmy?

Tylko z najwyższym trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Ciii... - Tomasz objął ją lekko i przytulił. - Po prostu wdepnęliśmy w coś i musimy się z tego wykaraskać.

- Cóż za wzruszający widok - usłyszeli z boku. - Panie i panowie Poliaci razem.

Tomasik odwrócił się w kierunku olbrzyma. Przez krótką chwilę analizował, czy to, co zamierzał właśnie zrobić, może im zaszkodzić. A potem po podjęciu decyzji oderwał się od Mileny, podszedł spokojnym krokiem do leżącego i z całej siły kopnął go czubem buta w skroń. Głowa olbrzyma podskoczyła niczym szmaciana piłka, która koniecznie chce oderwać się od szyi, a bezbronny mężczyzna wywrócił tylko białkami oczu, po czym natychmiast stracił przytomność.

- Oszalałeś? - zapytał z przestrachem Jarek, a Milena aż odwróciła z niedowierzaniem głowę. - Co będzie, jak porywacze zechcą go do telefonu?!

- Nic nie będzie - odpowiedział spokojnie Tomasz. - Teraz nas przynajmniej nie podsłuchuje. On żyje, chociaż z całą pewnością na to nie zasługuje! Jedziemy stąd. I to szybko!

- Dokąd?

- Do miasta. Dalsze pozostawanie tutaj nie ma sensu. Najpierw zamienimy kilka słów z Martynką, potem przeszukamy okolicę, nasze wszystkie truposze i zdobyczne auta - może znajdziemy coś ciekawego. A następnie zabieramy tego pana do bagażnika i jazda stąd!

- A konkretnie? Przecież oni wszystko o nas wiedzą.

- Gdziekolwiek. Byle mieć szansę na zrobienie czegoś pożytecznego. Choćby do jakiegoś hotelu. Możemy też wynająć jakiś domek, na przykład w Sopotcie, Gdyni lub Gdańsku.

- A Kuba i Gosia?

- Kubę znajdziemy, a Gosia nam w tym pomoże.

Jarek spojrzał na leżącego, potem roześmiał się nerwowo i pokręcił bez przekonania głową. Najwyraźniej informacja o porwaniu syna bardzo źle wpłynęła na jego morale. Na krótką

chwilę zapadło milczenie.

- Nie wiem jak to się wszystko skończy - wycedził w końcu poważnym głosem policjant. - Ale obiecuję wam, że jak będzie po wszystkim, to osobiście zabiję tego sukinsyna. Macie na to moje słowo!

\* \* \*

Prezydencki doradca, profesor Jarosław Tara, jak co dzień wyszedł przed swój dom na warszawskiej Saskiej Kępie i niespiesznie zapalił papierosa w oczekiwaniu na służbowy samochód. Nie zdążył jednak nawet się jeszcze dobrze zaciągnąć, kiedy zobaczył nadjeżdżającą dostojnie rządową lancję. Spojrzał na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że kierowca przyjechał dzisiaj o całe dwie minuty przed umówionym czasem. Limuzyna zatrzymała się tuż przed nim. Niezadowolony profesor wyrzucił niedopałek na ulicę i otworzył szeroko drzwi. Kiedy się nachylił do wejścia, zauważył, że w środku już ktoś siedzi.

- Kim pan jest? - zapytał zdziwiony.

- Proszę wsiadać, panie profesorze. Jestem przyjacielem.

- Tak? - mruknął Tara przeciągle i spróbował przypomnieć sobie, skąd mógł znać tego człowieka.

- Ależ jestem, jestem... - głos mężczyzny był lekko szyderczy, ale Tara jako wieloletni i ciągle aktywny wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego wychwycił w nim coś o wiele subtelniejszego i ciekawszego niż drwina. Ledwo słyszalny obcy akcent. - To ja wysłałem panu w nocy tego erotycznego MMS-a. Proszę, niech pan wsiada.

Profesor zawahał się, lecz obrzuciwszy nieznanego uważnym spojrzeniem, doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia, wsiadł więc do środka i zamknął za sobą drzwi. Auto ruszyło i Tara mógł nieco bardziej wnikliwie ocenić gościa. Starszy, szpakowaty pan. Musiał mieć co najmniej siedemdziesiątkę, ale inteligentne i żywe oczy wyraźnie go odmładzały i dodawały mu jakiegoś tajemniczego uroku. Elegancko i gustownie ubrany, pachnący jakąś naprawdę dobrą i niebanalną wodą kolońską. Między kolanami trzymał delikatną drewnianą laseczkę, a na zadbanych i wypielęgowanych dłoniach błyszczał złoty sygnet z wizerunkiem jakiegoś dziwnego stwora. Skrzyżowanie orła z lwem i wężem na tle celtyckiego krzyża. Pewnie jakiś herb - pomyślał Tara i jednocześnie zauważył, że samochód jest co prawda jego, ale kierowca to już zupełnie kto inny niż jego znajomy Antoni.

- Czemu zawdzięczam takie zainteresowanie moją skromną



osobą i spotkanie o tak wczesnej porze? - zaczął ostrożnie Tara.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i podał mu kartkę formatu A4 zapisaną gęstym drobnym drukiem.

- Na pewno ma pan swoje okulary, panie profesorze, więc chyba nie będzie miał pan kłopotów z odczytaniem tak małych literek?

- Dam sobie radę.

Tara nałożył gustowne okulary i szybko przeleciał wzrokiem po całości tekstu. Jednak już po chwili wrócił na początek i zaczął uważnie czytać od samej góry. Kiedy skończył, jego twarz pozostała zimna i nieprzenikniona. Nie potrafił zapanować jedynie nad bladością, która ją pokryła. Niewielka kropelka potu zaczęła zbierać się mu między zmarszczkami na czole.

- Jakież pytania, panie profesorze? - głos starszego mężczyzny znowu był lekko szyderczy.

- Tak. Co będzie, jeżeli się wam nie podporządkuję?

Mężczyzna parsknął cichym, dystyngowanym śmiechem.

- Myślę, że taka sytuacja nie będzie miała miejsca. Pan przecież kocha życie, panie profesorze. Prawdziwe życie! Nie wegetację w upokorzeniu i samotności, a do tego bez grosza przy duszy. Wiem, że pan co prawda dużo zarabia, ale znam też pana wydatki i aktualny stan pańskiego konta.

Mężczyzna umilkł, a Tara patrzył w milczeniu przez okno. Auto przebijało się przez zatłoczone warszawskie ulice i pomału zmierzało w kierunku Krakowskiego Przedmieścia i Pałacu Prezydenckiego.

- To jak będzie, panie profesorze?

Tara odwrócił się w jego stronę i przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy. Pierwszy spuścił wzrok Tara.

- Wie pan - zaczął spokojnym, pozornie opanowanym głosem. Patrzył przy tym niewidzącym wzrokiem gdzieś w odległy punkt, daleko za oknem. - Moi rodzice urodzili się tutaj w Warszawie. Pochodzili ze zwykłych robotniczych rodzin. Z proletariatu, jak to się kiedyś mówiło. Całe życie klepali biedę. Obydwoje walczyli w powstaniu. Byli w Armii Krajowej. Wtedy zresztą się poznali... I zawsze mi powtarzali, że Polska jest jak wyrodna zła matka, która nie kocha swoich dzieci. I że te dzieci ją kochają, ale wiedzą i czują, że nie są przez nią kochane nawet trochę. Na co dzień więc psioczą na nią, okradają, przeklinają... Ale kiedy tylko ktoś powie o niej coś złego albo, nie daj Boże, chce zrobić jej krzywdę, to one rzucają się na tego kogoś, gotowe walczyć z nim o nią i jej dobre imię do upadłego. Są gotowe dla niej zarówno zabijać, jak i oddać swoje życie.

- I? - zapytał cicho mężczyzna, zastanawiając się przy tym mimowolnie, czy aby na pewno właściwie ocenił prezydenckiego doradcę.

Na krótką chwilę zapadło pełne napięcia milczenie.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tej bezinteresownej i jednostronnej miłości do kraju. - Tara odwrócił się do niego z krzywym, zmęczonym uśmiechem. - Ma pan na mnie haka. I dobrze pan wie, że to zrobię. Inaczej nie przychodziłby pan z tym do mnie. Ale chciałbym wiedzieć... co ja z tego będę miał? Co będzie ze mną później?

Tym razem to tajemniczy mężczyzna się uśmiechnął.

- Nic się dla pana nie zmieni. Dalej będzie pan doradzał prezydentowi, wykładał na uczelni, udzielał wywiadów telewizyjnych, co drugi dzień bzykał swoją piękną żonę, a w wolnych chwilach zabawiał się z młodymi chłopcami.

- I czekał na swoje zadanie?

Mężczyzna z ciągle przyklejonym uśmiechem skinął potakująco głową. Auto zatrzymało się kilkadziesiąt metrów przed bramą prezydenckiego pałacu. Tara oddał zapisaną kartkę i bez słowa pożegnania wysiadł z samochodu. Potem nie oglądając się za siebie, odetchnął głęboko i wolnym krokiem poszedł w kierunku pałacu. Idąc, myślał ze smutkiem, że jego świętej pamięci rodzice nie byłiby teraz z niego dumni. Po chwili jednak się zreflektował. Stwierdził, że oni przecież już dawno nie żyją, a w tym realnym świecie, jedynym, który znał, on musi być twardy, a nie sentymentalny. I że udało mu się właśnie wywinąć z naprawdę dużych kłopotów i to całkiem małym kosztem. Bo cóż znaczyły te rozkazy tajemniczego mężczyzny i ich realizacja dla losów tego kraju? Jego i tak nie dałoby się już naprawić, bo przecież nikt z tak zwanych elit tak naprawdę tego nie chciał. A wartości moralne i patriotyzm od czasów wojny przecież ewoluowały... Więc jego rodzice, gdyby żyli, być może też by to zrozumieli. Tym bardziej że w „piekło i niebo”, tak samo jak w hasło „Bóg, honor, ojczyzna”, on „człowiek z tytułem profesora”, podobnie jak większość ludzi z jego otoczenia, od bardzo dawna już nie wierzył.

\* \* \*

Tomasik razem z Jarkiem patrzyli wyczekująco na wystraszoną Martynę. Przed chwilą wrócili z obchodu okolicy, gdzie dokonali przeszukania obydwu znalezionych samochodów. Ale nic w nich nie było.auta były całkowicie wyczyszczone i prawdopodobnie bez konkretnego i fachowego rozebrania ich na części oraz

zdejbowania ewentualnych odcisków niczego z nich nie można było się już dowiedzieć. Podobnie zresztą jak z ciał zabitych. Byli całkowicie czyści. Żadnych papierów, dokumentów, praw jazdy. Z jednym, ale za to bardzo dużym wyjątkiem. Facet, który zginął od uderzenia siekiery, miał przy sobie telefon. Jarek natychmiast sprawdził zapisane w nim numery i przeprowadzone z niego rozmowy. Zbyt wiele się co prawda nie dowiedział, niemniej jednak ustalił kilka rzeczy, które mogły okazać się ważne.

Teraz musieli dowiedzieć się, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. A jedyną osobą, która mogła im na ten temat coś powiedzieć, była siedząca przed nimi licealistka.

- Powiedz nam, Martynka - zaczął spokojnie Tomasz - czy wiesz, dlaczego oni wszyscy na nas polują?

- Nie wiem. - Dziewczyna otarła rękawem koszulki załamane oczy. - Naprawdę.

- Nawet się nie domyślasz?

- Nie... Ja... Ja nic nie wiem.

Tomasik spojrział zniecierpliwiony na Jarka. Ten z zaciśniętymi bezsilnie zębami odwrócił tylko głowę. Tomasz miał już na końcu języka chęć powiedzenia jej o śmierci matki, ale bał się, że dziewczyna kompletnie się rozklei i wtedy nic już od niej nie wyciągną.

- A co się wydarzyło tego dnia, kiedy zginęli Roman i Krystian. Byłaś z nimi? Prawda?

- Tak. Ja i Iwona. Taka moja koleżanka z Gdyni. Z Karwin.

Słyszając te słowa, Jarek od razu odwrócił do nich z powrotem głowę i wymienił z przyjacielem porozumiewawcze spojrzenie. Obydwaj pomyśleli o tym samym - o nocnym wypadku na gdyńskim Wiczlinie.

- I? - zachęcił ją Tomasz. - Co dalej?

- Byliśmy w Gdańsku, we Wrzeszczu. Chodziliśmy od pubu do pubu. Chłopaki pili piwo, my trochę też. Graliśmy w bilard, trochę tańczyliśmy. Oni się wygłupiali i nie chcieli nas puścić do domu... - W tym momencie podeszła do nich Milena i z wyraźnym napięciem na twarzy przykucnęła tuż obok. - Było już prawie rano i byliśmy koło rosyjskiego konsulatu. Wtedy zobaczyliśmy nadjeżdżający jakiś samochód. Roman był już pijany... Nie chciał mu zejść z drogi. Ale zdążył uskoczyć w ostatnim momencie. A potem chłopaki się pokłócili, mało co się nie pobili. Musiałyśmy z Iwoną prawie ich rozdzielać. - Na chwilę przerwała i spojrzała po kolei wszystkim prosto w oczy, jakby szukając w nich wsparcia i otuchy. - I wtedy Roman poleciał do tego konsulatu, a w chwilę później biegł już z powrotem i płakał. - Znowu przerwała. Tym razem po to, żeby

obetrzeć sobie podaną przez Milenę chusteczką oczy.

- A dlaczego on pobiegł do tego konsulatu? - kontynuował łagodnie Tomasz.

Dziewczyna spojrzała na niego jakby zdziwiona, że on nie rozumie.

- Bo to auto, to, które go o mało nie przejechało, było z konsulatu.

- I?

- I oni się posprzeczczeni właśnie o to. O Ruskich i Niemców.

- No dobrze - przerwał jej niecierpliwie Jarek, bojąc się, że dziewczyna zgubi główny wątek. - Co było dalej?

- No Roman pobiegł do tego konsulatu, żeby zabrać im flagę.

- Co? - przerwała zdumiona Milena, lecz Tomasiak ścisnął ją lekko za ramię i palcem nakazał milczenie.

- Flagę, bo on bardzo nie lubił Rosjan i chciał nam udowodnić, że się ich nie boi. Ale jej nie zdjął. Przybiegł do nas już po chwili. I płakał... Kazał nam uciekać.

Przerwała i wtedy w rogu salonu dało się słyszeć lekkie poruszenie. Wszyscy mimowolnie spojrzeli w kierunku odzyskującego przytomność olbrzyma. Patrzył na nich tymi swoimi bladoniebieskimi, ciągle półprzytomnymi jeszcze oczyma, a jego lekko spuchnięta od uderzenia twarz wyglądała w tym momencie naprawdę strasznie.

Widząc to, Tomasz szepnął cicho:

- Najchętniej jeszcze raz bym mu przywalił.

Jednocześnie jednak poczuł, że przechodzi go niemiły dreszcz. Sam nie był pewien: z obrzydzenia czy strachu.

- Uciekliśmy w stronę Manhattanu - kontynuowała drżącym głosem dziewczyna. - Chłopcy odprowadzili nas na kolejkę, pożegnaliśmy się i pojechaliśmy do domu. To wszystko...

Znowu zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Tomasiak.

- Nie. To nie wszystko, Martynka. Nie wróciłaś do domu, a twoja koleżanka, Iwona... Ona chyba też nie wróciła do siebie. Poza tym nie powiedziałaś nam, dlaczego Roman płakał. Bo przecież nie dlatego, że nie udało mu się ukraść tej flagi lub że ktoś go tam zobaczył i nakrzyczał na niego.

Dziewczyna milczała i przełykając głośno ślinę, kręciła niezdecydowanie głową.

- Nie wiem - wymamrotała w końcu. - On nic nie mówił. I prosił, żeby go o to nie pytać. Ale on się bał. Nie był tchórzem, a się bał! Był przerażony... Naprawdę!

- A jakim cudem chłopcy znaleźli się potem na Przymorzu i wyskoczyli z tego falowca? Domyślasz się?

- Nie...

Z rogu pokoju doszedł ich cichy odgłos okręcającego się po podłodze ciała. Wszyscy ponownie spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli, jak olbrzym patrzy na nich wyzywająco. Po chwili usłyszeli wymawiane z niejakim trudem spuchniętymi wargami słowa:

- Pan kapitan Tomasik i nadkomisarz Sopoćko jak za dawnych lat. Szukają, węszą, przesłuchują... Ale świat poszedł do przodu, a wy chłopcy zostaliście w miejscu. I ciągle tylko bić potraficie. Ale nawet tego nie zrobiliście porządnie. Ona wam i tak nic nie powie. - Tomasik podążył oczyma za jego wzrokiem, który zatrzymał się na oknie. - Bo już nie żyje!

I dokładnie w tym momencie przez okno wychodzące z kuchni na podwórze padł pierwszy strzał.

\* \* \*

Na dźwięk tłuczonego szkła wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę kuchennego okna. Tylko Martyna krzyknęła przeraźliwie z bólu i jakby uderzona z potężną siłą w pierś, niemalże pofrunęła do tyłu i z hałasem upadła plecami na deski.

- Na ziemię! - ryknął wystraszony Tomasik i rzucił się płasko na podłogę.

Kolejne kule od strony rozbitego okna zaczęły zasypywać kuchnię i salon, a Tomasik z Jarkiem nakrywszy głowy rękami próbowali przepchnąć kobiety bliżej gwarantującej chociaż trochę bezpieczeństwa ściany.

- Cholera - zaklął przestraszony Tomasz, widząc powiększającą się błyskawicznie czerwoną kałużę krwi wokół rannej licealistki.

Czuł się całkowicie bezradny i nie miał pojęcia, co teraz może jeszcze zrobić. Miał świadomość, że ponownie coś zawalił, coś przegapił, nie dostrzegł zbliżającego się niebezpieczeństwa. W ciągu kilku zaledwie sekund jego widzenie przyszłości diametralnie się zmieniło i mimowolnie opanowało go poczucie porażki i zwątpienia.

- Przerwij ogień! - krzyk leżącego olbrzyma sprawił, że w pomieszczeniu prawie natychmiast zaległa groźna w swojej wymowie, niemalże bolesna cisza.

Lecz ta krótka wojskowa komenda podziałała na Tomasika jak kubek zimnej wody na rozpaloną głowę. Natychmiast otrząsnął się z ogarniającego go strachu i wziął się w garść. Zostawił kobiety i w pośpiechu przeturlał do leżącego wroga. Przystawił mu do kolana wyciągnięty za paska pistolet i przez zaciśnięte zęby

wycedził:

- Odwołaj swoich ludzi!

Ten jednak spojrział tylko na niego z nieukrywaną pogardą i drwiną.

- Bo co? Przestrzelisz mi kolana?

- Może.

- Nie odważysz się. Bo wówczas wszyscy zginiecie.

- Taaak? - Tomasz przeciągnął wyzywająco pytanie i nieco mocniej przycisnął lufę pistoletu do rzepki mężczyzny. - Więc co proponujesz?

- Życie za życie.

- Czyje?

- Moje za wasze. To chyba uczciwe.

- Uhm. A jakby to miało wyglądać twoim zdaniem? Pytam o stronę techniczną.

Mężczyzna wykrzywił lekko usta.

- Zwyczajnie. Wsiądźcie do samochodu i pojedziecie sobie przed siebie. A ja zostanę tutaj.

- Chyba żartujesz. Twój ludzie zabiją nas, gdy tylko wychylimy nosa za drzwi tego budynku.

- Więc co ty proponujesz?

Tomasz odwrócił głowę w kierunku leżącej bez ruchu i bladej jak ściana Martyny. Widział czerwoną smugę pozostawioną na podłodze po przeciągnięciu jej pod okno i jak Jarek z Mileną próbują bez efektów tamować wypływającą z niej krew. Sopoćko na krótką chwilę spojrział przyjacielowi w oczy i pokręcił znacząco głową. Olbrzym widział to wszystko i bez cienia współczucia czy choćby drgnięcia powieki wyszeptał:

- Ona umrze. Nie ma szans.

- Pojedziesz z nami - przerwał mu zimno Tomasz.

- Teraz to ty chyba żartujesz.

- Nie. Nie żartuję. Masz zakładnika. Jego syna - wskazał głową na Jarka. - To wystarczająca gwarancja, że cię nie zabijemy, jeżeli nas do tego nie zmusisz. Wypuścimy cię, gdy tylko zyskamy pewność, że nic nam już nie grozi.

Obydwaj mężczyźni patrzyli sobie uważnie w oczy. Tomasz pod wpływem tego spojrzenia znowu poczuł, jak po plecach przechodzą go nieprzyjemne ciarki. Uciekł wzrokiem na drugą stronę, udając, że sprawdza, czy nikogo nie widać za oknem. Obydwaj przeciwnicy dobrze wiedzieli, że druga strona kłamie i nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymywać jakichkolwiek umów. Ale na tę chwilę taki „kłamliwy” kompromis był im obu potrzebny. Pozwalał wyjść z patowej sytuacji i wykonać następny ruch.

- W porządku - wyszeptał olbrzym. - Zrobimy tak jak mówisz. A później ustalimy następną wymianę.

- Jaką?

- Moja wolność za życie tego małego.

Tomasz skinął powoli głową.

- OK. Dogadamy się.

Olbrzym wykrzywił twarz w czymś, co miało prawdopodobnie wyrażać uśmiech.

- Tylko mnie nie zastrzel, jak podniosę głos - powiedział cicho. - Nie strzelać! - ryknął głośno. - Jestem ich zakładnikiem! Za chwilę wychodzimy! - Zamilkł i rzucił przelotne spojrzenie na leżącą po drugiej stronie salonu Milenę. Po chwili zapytał Tomasza z powagą: - Nie pogniewasz się, gdy później, zanim was wszystkich zabiję, zerznę tę twoją nauczycielską suczkę? Tak po koleżeńsku? Co?

Tomasik wytrzymał tym razem jego spojrzenie i przez zaciśnięte zęby wycedził:

- Tylko dotknij jej swoimi brudnymi łapskami, a lojalnie ostrzegam, że obetnę ci jaja tępym nożem i wyrzucę bezdomnym psom na pożarcie.

Mężczyzna wyraźnie już wyluzowany parsknął wesoło śmiechem i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- A jednak masz jaja, kolego.

- Nie jesteśmy kolegami.

- OK. Jak sobie jaśnie pan Poljak życzy. - Przeciągnął się lekko, próbując nieco rozprostować zastygłe z bezruchu kości. - To co? Chyba czas już się stąd wynosić? Co? - zapytał nonszalancko.

- OK. Jarek! - krzyknął do kolegi Tomasz. - Weź Martynę! A ty...! - szturchnął olbrzyma. - Wstawaj! Tylko powoli!

I już kilka minut później cała gromada ludzi, trzymając się w szachu za pomocą odbezpieczonej broni, wyszła z budynku na zewnątrz.

\* \* \*

Major Kuźniecowa z 336. Brygady Piechoty Morskiej Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej spojrzawszy na swojego złotego rolexa i stwierdziwszy, że do dwunastej zostało już tylko pół minuty, zapukał lekko do drzwi. Usłyszawszy ciche „wejść”, nacisnął natychmiast kłamkę i wszedł do obszernej kancelarii pułkownika Anatolija Czubaszko, szefa sekcji G-2 w Dowództwie Floty Bałtyckiej w Kaliningradzie. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, była siedząca w rogu pomieszczenia niezwykle atrakcyjna kobieta. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia siedem - dwadzieścia osiem

lat. Jej długie i gęste jasnoblond włosy okalały naprawdę ładną i subtelną twarzyczkę, a wielkie i intensywnie niebieskie oczy dodawały jej niemalże bajkowego uroku i wdzięku. Ale największe wrażenie robiły jej długie i niemalże w całości odsłonięte nogi.

- Panie pułkowniku, major Nikołaj Mikołajewicz Kuźniecowa - zameldował się przepisowo oficer.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Major wszedł do środka, a pułkownik obrzucił przybysza uważnym spojrzeniem. To, co zobaczył, naprawdę mu się spodobało. Akta z jego teczki nie kłamały. Kuźniecowa już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bystrego faceta, ale co istotne, jego rysy zgodnie ze zdjęciami, które były w teczce, zupełnie nie przypominały typowej rosyjskiej twarzy. Były o wiele bardziej „europejskie”.

- Proszę usiąść - Czubaśko wskazał mu skórzany obrotowy fotel. - Poznajcie się...

Wiera nie wstając nawet z fotela, skinęła mu tylko z rozbawieniem głową. Zauważyła, jak młody oficer, niby przypadkiem, po raz kolejny rzuca ciekawe spojrzenie na jej lekko rozchylone i niemalże całkowicie odsłonięte przez przykrótką spódniczkę uda. Z całą pewnością musiał dostrzec wąski materiał białych jedwabnych majteczek. Co prawda stringi ponoć już dawno wyszły z mody, ale ona miała w tej kwestii własne zdanie. A ta prosta kobieca sztuczka rodem z hollywoodzkich filmów zawsze dawała jej kilka wskazówek na temat typu faceta, z którym miała mieć do czynienia.

- Zna pan tego człowieka? - pułkownik podał mu duże czarno-białe zdjęcie.

- Tak jest.

- Kto to?

- Podpułkownik Alojzy Dzban. Dowódca 3. Batalionu Czołgów z 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej.

- Co mi pan może jeszcze powiedzieć na jego temat? - Czubaśko był ciekaw, ile Kuźniecowa wie i pamięta ze składanych przez siebie meldunków.

- Wszystko. Mam dla niego założoną specjalną teczkę osobową. A w niej jest dużo więcej od tego, co przekazałem panu w ostatnich meldunkach - mówiąc to, major uśmiechnął się znacząco.

- Założył mi pan specjalną teczkę? - zainteresował się pułkownik. - Dlaczego?

- Bo z naszego punktu widzenia, patrząc oczywiście przyszłościowo, to bardzo ciekawy obiekt.

- Jakież konkrety?



Pytany zmieszał się co nieco i spojrzął przelotnie na obserwującą go z zainteresowaniem Wierę.

- Wiem, że to trochę wybiega poza nasze kompetencje - zaczął ostrożnie. - Ale ten oficer ma kilka cech, które przy zastosowaniu innych, nieco bardziej wyrafinowanych i subtelnych technik operacyjnych mogą być bardzo dobrze przez nas wykorzystane - w tym momencie zawahał się na chwilę, jakby zastanawiając się nad kolejnym zwrotem, którego ma użyć - do „obniżania potencjału obronnego ewentualnego przyszłego przeciwnika poprzez obniżanie jego morale” - dokończył i odetchnął z ulgą.

- Uhm - westchnął tylko pułkownik, a w myślach pogratulował sobie dobrego wyboru.

- To znaczy, że myśli pan o wykorzystaniu go do długofalowej współpracy?

- Myślę tylko, że podpułkownik Alojzy Dzban jest do tego świetnym kandydatem. Bez zdalnego sterowania, przy naszej tylko niewielkiej pomocy, może rozsadzać i psuć ich armię od środka. Nawet teraz, zupełnie nieświadomie, pracuje na naszą korzyść. Jest, jak to się u nich w Polsce mówi, tak zwanym pożytecznym idiotą.

Czubaszko pokiwał w zamyśleniu głową i odwróciwszy się do niego spojrzął mu prosto w oczy.

- Dobrze, panie majorze Kuźnieców. W wielu aspektach zgadzam się z pana oceną tego oficera i jego ewentualnej przydatności dla naszych działań. Ale ja mam co do niego, i co do pana, nieco inne, daleko idące plany. Rzecz w tym, że na ich zapoczątkowanie i realizację nie mam zbyt dużo czasu.

Major patrzył na niego wyczekująco.

- On będzie pracował dla nas, podobnie zresztą jak wielu, wielu innych, chociaż sam nie będzie nawet o tym wiedział. Będziemy pomagać mu w awansach, będzie robił karierę. Utwierdzimy go w przekonaniu, że jest bardzo mądry, inteligentny i prawie nieomylny, a jego sposób bycia i dowodzenia to jego autorski patent, który kiedyś przejdzie do annałów polskiej i światowej wojskowości. My i nasi ludzie wmówimy mu, że jest drugim Napoleonem. A on w tym czasie będzie faktycznie wykonywał dla nas swoją dotychczasową krecią robotę, czyli psuł i rozwałił wszystko od środka. Zniechęcał ludzi do uczciwej służby, zameczał ich, zmuszał co mądrzejszych od siebie i prawdziwych fachowców do odejścia z armii, a to wszystko w poczuciu dobrze spełnianego żołnierskiego obowiązku. A kiedy będzie już bardzo wysoko w strukturach natowskich i przyjdzie czas, żeby pociągnąć go za sznurek i zmusić do bardziej zdecydowanego działania na naszą korzyść, to wyciągniemy dla niego małą niespodziankę. A tę

przygotujemy tak na wszelki wypadek właśnie już teraz. W tę niedzielę.

- Pojutrze? - Kuźniecowa nie potrafił ukryć zdziwienia. Taki pośpiech w ich branży był czymś prawie niespotykanym, a dla niego rzeczą wręcz niezwykłą.

- Tak. Od pewnego już czasu obserwowałem tego oficera i planowałem akcję. Czekałem tylko na odpowiedni moment oraz odpowiednich wykonawców. I właśnie otrzymałem informację z pewnego źródła, bo nie tylko pan ma tam swoich ludzi, że pojutrze może to nastąpić. Nasz „pułkownik” właśnie w tę niedzielę wybiera się do Gdańska na zakupy.

- Tak?

- I wtedy się nim zajmiemy. A właściwie, to zajmiecie się nim właśnie wy, panie majorze, razem z siedzącą tu oto panią kapitan!

\* \* \*

Tomasik trzymał na kolanach głowę nieprzytomnej Martyny, a siedząca obok i szlochająca cicho Milena jedną ręką ścisnęła ją bezradnie za ramię, a drugą przytrzymała prowizoryczny opatrunek na piersiach. W dole, pod krwawiącymi plecami dziewczyny, z białawego dawniej T-shirtu Tomasza można by już było wyzmaczać krew. Obydwoje widzieli, jak z dziewczyny uchodzi życie. Nie mieli większych złudzeń, że uda się ją dowieźć żywą do jakiegoś szpitala. Kula, która trafiła ją w pierś, prawdopodobnie nie była zwykłym nabojem. Niewielka rana wlotowa z przodu i wyrwa prawie na połowę pleców przy wylocie to było jak wyrok. Tomasik przypuszczał, że trafił ją pocisk ze specjalnie ściętym czubkiem. Takie pociski były zakazane przez międzynarodowe prawo humanitarne, ale przestępcy stosowali je jako niezwykle skuteczny środek w zabójstwach na zlecenie.

Prowadzący mazdę Jarek co chwilę zerkał we wsteczne lusterko i z trudem panował nad ogarniającym go poczuciem totalnej klęski. Nie tylko dlatego, że nie udało mu się pomóc Tomaszowi i zapobiec śmierci dziewczyny, to jeszcze sprowadził wielkie niebezpieczeństwo na własną rodzinę. Przed oczami ciągle pojawiał mu się widok płaczącego syna i wtedy, walcząc z napływającymi mu do oczu łzami, zaciskał tylko mocniej zęby i próbował wymyślić sposób na szukanie dla niego ratunku i pomocy. Ale jak na razie kompletnie nie wiedział, co może zrobić ani nawet od czego mógłby zacząć. Wszystkie atuty były po stronie przeciwnika.

Nagle siedzący z tyłu Tomasik zobaczył, jak zamknięte dotąd powieki Martyny lekko drgnęły. Milena instynktownie ścisnęła ją

silniej za rękę i kciukiem otarła sobie kolejną partię łez. Ranna dziewczyna z najwyższym trudem przełknęła ślinę i na krótki moment otworzyła nieco oczy. Jej półprzytomny wzrok napotkał twarz próbującego uśmiechnąć się do niej mocno pobladłego Tomasza.

- Pa... Panie profesorze... - wyszeptała słabo.

- Ciii... Martynka. Oszczędzaj siły.

Dziewczyna jakby nie słyszała słów Tomasza i kontynuowała.

- Pan... pan pytał... Roman... On tam widział... On tam widział premiera... Turskiego...

Tomasik słysząc to, pokręcił tylko z niezrozumieniem głową.

- Nic nie mów, kochanie. Zaraz będziemy w szpitalu.

Kłamał i czuł się z tym fatalnie. Tylko z najwyższym trudem panował nad rozpaczą. Nawet nie próbował analizować tego, co mówiła dziewczyna. Zresztą to było w tej chwili bez znaczenia.

- Nasz premier... On tam wtedy był... W rosyjskim konsulacie...

- twarz Martyny wykrzywił kolejny grymas bólu. - A Roman... On to widział... Mówił, że to zdrada...

Tomasik kiwał bezradnie głową. Martyna nabrała nieco więcej powietrza w płuca, westchnęła i znowu zamknęła oczy.

- Ona umiera? - zapytała ze ściśniętym gardłem Milena.

W tym momencie pierś dziewczyny przestała się unosić, a jej twarz zastygła w bezruchu. Tomasik natychmiast przyłożył palce do jej tętnicy szyjnej i zagryzł w milczeniu wargi. Nie mógł wydobyć z siebie głosu i tylko kiwnął Milenie na potwierdzenie głową. Kobieta zaczęła głośno szlochać, a Tomasz przestał już walczyć z własnym wzruszeniem i z oczu spłynęły mu po policzkach pierwsze od wielu lat łzy.

\* \* \*

Siedzący w policyjnym aucie przy drodze do przejścia granicznego między Federacją Rosyjską a Rzeczpospolitą Polską w Grzechotkach porucznik Aleksy Ałganow usłyszał cichy dźwięk telefonu komórkowego.

- Tak? - rzucił pośpiesznie do słuchawki. - Rozumiem. Przejmujemy go. Możecie go już odpuścić. - Przerwał połączenie i spoglądając na zegarek, powiedział cicho: - Za dwie, trzy minuty nasz obiekt tu będzie. Tylko nie spieprzcie tego!

Słuchający go dwaj rosyjscy policjanci skinęli ze zrozumieniem głowami, po czym natychmiast wyszli na zewnątrz. Podeszli niespiesznie do pobliskiej drogi i stanąwszy w rozkroku, wyciągnęli biało-czerwone lizaki. Po chwili zobaczyli zbliżającego się do nich

niebieskawego, przynajmniej dwudziestokilkuletniego dużego volkswagena passata kombi na polskich numerach rejestracyjnych. Kiedy auto podjechało do nich na jakieś sto - sto pięćdziesiąt metrów, jeden z umundurowanych policjantów kilkakrotnie machnął lizakiem. Siedzący za kierownicą passata młody Polak zaklął siarczyście i lekko zdenerwowany nacisnął pedał hamulca. Pojazd zatrzymał się dosłownie dwa metry przed dwójką policjantów.

- Dzień dobry. Poproszę dokumenty do kontroli - powiedział jeden z nich w miarę poprawną polszczyzną.

Kierowca wyciągnął kartę pojazdu, prawo jazdy, paszport i wizę. Jeden z mundurowych przeglądał uważnie papiery, a drugi w tym czasie wolnym krokiem obchodził dookoła wóz.

- Adrian Malinowski? - powiedział policjant bardziej do siebie niż do kontrolowanego. - Obywatel Polski? Z Braniewa?

- Tak.

- To pana samochód?

- Tak.

Drugi z policjantów zbliżył się do otwartego okna i zapytał:

- Może pan otworzyć bagażnik?

- Uhm...

Polak wysiadł z samochodu i z niepokojem zerknął na stojący nieopodal radiowóz i siedzącego w nim cywila.

- Szukają panowie czegoś konkretnego? - zapytał.

Policjanci zignorowali pytanie i czekali spokojnie aż klapa bagażnika podniosła się do góry. Drogą w tym czasie w obu kierunkach przejechało kilka aut na polskich i rosyjskich numerach rejestracyjnych, ale żadne z nich nawet nie zwolniło.

- Tego szukamy - dopiero teraz odpowiedział mu jeden z policjantów.

I wskazał ręką na niewielkie zawiniątko niezbyt starannie wciśnięte pod niemalże tyse koło zapasowe.

- Przecież to nie moje!

- Tak? To, co to tutaj robi?

- Nie wiem! To nie moje!

Policjant sięgnął do kieszeni, nałożył gumowe jednorazowe rękawiczki i wyciągnął zawiniątko. Rozwinął płócienny woreczek i wsadziwszy tam palce wyjął z niego dwa sporych rozmiarów bursztyny.

- A eta szto? - zapytał tym razem po rosyjsku z wyraźną zaczepką w głosie. - Nic?

- To nie moje! Nie wiem skąd się to tu wzięło! Byłem u was tylko po paliwo!

- Tak?

- Tak! Zatankowałem bak do pełna i wracam! Wszystko zgodnie z waszym prawem!

- To co to u pana robi?!

- Nie wiem!

Policjant westchnął z udawanym znużeniem.

- Zawsze to samo. I nikt nie wie, jak bursztyn trafia do samochodów. Niby przyjeżdżają tylko po paliwo, bo tańsze, a tak naprawdę wywożą jeszcze to! - Odwrócił się na chwilę od Polaka i spojrzał w kierunku radiowozu. - Tam siedzi nasz oficer śledczy. On obserwuje pana od momentu przekroczenia granicy. Nie pierwszy raz zresztą... Jeżeli chce nam pan coś wyjaśnić, to proszę spróbować z nim.

Malinowski zacisnął ze wściekłości zęby i odwrócił się we wskazanym kierunku.

- Chcecie mnie zrobić czy tylko dostać łapówkę? - mruknął bardziej do siebie niż do nich i skierował się w stronę radiowozu. Zdawał sobie sprawę, że stąpa teraz po bardzo kruchym lodzie. Doszedł do policyjnego auta i stanąwszy obok w rozkroku, skrzyżował na piersiach ręce. - To nie moje! - powtórzył, siłąc się na spokój.

Siedzący na przednim siedzeniu po cywilnemu oficer zrobił zapraszający gest ręką.

- Niech pan wsiada.

Mówił bardzo dobrą polszczyzną. Patrzył teraz na niego z lekko pobłażliwym uśmiechem i jednym palcem wystukiwał na desce rozdzielczej jakąś sobie tylko znaną melodię.

- Nie musi pan kłamać. Obserwowałem pana od samego przekroczenia granicy. I to nie pierwszy raz... Zawsze gdy tankował pan u nas paliwo, podnosił pan bagażnik, a do pana auta podchodził jeden i ten sam mężczyzna. Młody, łysy, w sportowych dresach. Mam kontynuować?

Malinowski milczał.

- To Stiopa Marczenko. Odsiedział już dwa wyroki za nielegalny handel bursztynem i sportowymi anabolikami.

- Nie znam go! - wyjąkał tym razem dużo mniej pewnym głosem Polak.

- I który później zawsze wkładał rękę do pana bagażnika. I ta ręka nigdy nie była pusta. I proszę sobie wyobrazić - on twierdzi, że pana zna.

- To jakieś nieporozumienie - wyszeptał już wyraźnie przestraszony i zbity z tropu Adrian. - Owszem, przyjeżdżam czasami do was po paliwo, tak samo jak wielu innych Polaków

z Braniewa i okolic. Wasi też do nas przecież przyjeżdżają na zakupy. Do Lidla, Biedronki... Być może otwierałem też bagażnik, bo tam zawsze trzymam klucz, którym muszę dokręcać wlew od paliwa. Nie dokręca się normalnie.

- Taaak? - przeciągnął pytanie oficer.

- Tak. I...

Oficer spojrział mu prosto w oczy i wycedził:

- I chce pan, żebym w to wszystko teraz uwierzył i puścił pana z powrotem do Polski?

Adrian nie mogąc powiedzieć nic sensownego, skinął tylko niepewnie głową. Ałganow uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- No dobrze - powiedział z udawaną rezygnacją. - To co pan proponuje?

Adrian znowu zaklął w myślach.

- Wszystkie wasze diengi zostawiłem na stacji benzynowej - wycedził w końcu.

- I?

- Mam tylko stówę - wyciągnął z kieszeni stużłotowy banknot i podał policjantowi. Ten jednak pokręcił tylko z niezadowoleniem głową.

- Niech pan nie żartuje. Za to, co pan zrobił, można siedzieć. Mam zeznania świadka, z którym pan handlował. A pan mi tu wciska głupie sto złotych? Nas jest trzech...

- Przecież pan wie, że to nieprawda - mruknął naprawdę już przestraszonym tonem Adrian.

- Nasz sąd o tym zdecyduje.

Adrian zmiął w ustach przekleństwo i sięgnął pod połę koszuli. Uniósł ją lekko do góry i krzywiąc lekko z bólu usta, oderwał od ciała przyklejoną do niego foliową torebkę. Ałganow kiwał głową, a Adrian wyciągał z niej kolejne stużłotowe banknoty.

- Sześć stów - wycedził z trudem.

- Wszystkie - mruknął Rosjanin już bez cienia uśmiechu.

Zdenerwowany Polak niemalże rzucił mu je na kolana i zacisnąwszy mocno usta bez słowa pożegnania ruszył z powrotem do swojego passata. Po chwili jechał już w kierunku pobliskiej granicy, a stojący dotąd na poboczu mundurowi podeszli niespiesznie z powrotem do radiowozu.

- Jak poszło, panie poruczniku? - zapytał jeden z nich.

- Wszystko zgodnie z planem. Czyli dobrze... - to mówiąc, oficer włączył odtwarzanie nagranej przed chwilą akcji na ekranie niewielkiego komputera wyjętego z samochodowego schowka.

- To na pewno ten typ, o którego panu chodziło?

- Tak. Na pewno. - Zadowolony z jakości materiału Ałganow

wyłączył monitor i zamknął wieko urządzenia. Nie widział powodu, żeby wtajemniczać zwykłych gliniarzy we wszystkie szczegóły prowadzonej przez siebie sprawy. To nie był ich interes, w jaki sposób i dlaczego Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej zainteresowała się starszym szeregowym Adrianem Malinowskim, żołnierzem służącym w 9. Braniewskiej Brygadzie Kawalerii Pancерnej. Oni wręcz nie mieli prawa tego wiedzieć!

Wyciągnął ze zwitka pieniędzy dwa banknoty i wręczył każdemu z nich po jednym stużłotowym papierku. Policjanci przez chwilę wahali się przed przyjęciem podarku, lecz oficer szybko rozwiął ich wątpliwości:

- Zasłużyliście. A wiem, że u was płacą trochę gorzej niż u nas. A te pieniążki pójdą jako dowód w sprawie, więc i tak będą zamrożone na długi czas. A jeden czy dwa papierki w tę czy w tamtą stronę... To dla wyniku sprawy nie robi żadnej różnicy.

Policjanci skinęli w podziękowaniu głowami.

- Jedziemy! - zakomenderował Ałganow i rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, zamknął na chwilę zmęczone oczy. Policjanci wsiedli do radiowozu i ruszyli.

- Skąd pan wiedział, że ten Polak to wojskowy? - dobiegł go ciekawski głos z tyłu.

Ałganow tylko się zaśmiał. Po co miał im mówić, że tak naprawdę pozyskanie tego typu informacji w stosunku do Polaków było prostsze niż znalezienie nieskacowanego funkcjonariusza drogówki w ich komisariacie po zwycięstwie Zenitu w piłkarskiej lidze mistrzów. Wystarczyło przecież, aby jeden z ich ludzi wykonał kilka kursów na zakupy z Kaliningradu do Elbląga czy Trójmiasta i przy okazji sfilmował olbrzymi parking dla żołnierzy i pracowników jednostki wojskowej w Braniewie. Parking był zlokalizowany przy samej drodze przelotowej. Potem należało już tylko wklepać numery rejestracyjne sfilmowanych pojazdów do bazy danych, a reszta... Reszta to była już operacyjna „bułka z masłem”.

\* \* \*

- Jak ich zgubimy? - zapytał Jarek, kiedy dojeżdżali trasą WZ do centrum Gdańska.

- Nie wiem - odpowiedział Tomasz, pokazując mu jednocześnie na migi we wstecznym lusterku, że ma skręcać w kierunku Starego Miasta.

Obydwaj zdawali sobie sprawę, że są śledzeni, a być może i podsłuchiwani. Jarek zatrzymał się na światłach przed skrzyżowaniem imienia Grodecka i zagryzł nerwowo wargi. Była

dopiero czternasta i chociaż zostało jeszcze trochę czasu do godzin szczytu, to główne ciągi komunikacyjne w centrum Gdańska były już mocno zatłoczone. Wszyscy czuli zmęczenie i wyczerpanie nerwowe. W środku mieli ciało Martyny z którym musieli coś zrobić, a w bagażniku skrępowanego i zakneblowanego olbrzyma, którego trzeba było pilnować, aby później móc go wymienić na małego Kubę.

Światło zmieniło się na zielone i sznur aut ruszył do przodu. Po chwili Jarek skręcał już w Wały Jagiellońskie, a później, po minięciu Bramy Wyżynnej, w prawo i po objechaniu pomnika króla Jana III Sobieskiego, ominięciu wjazdu na zatłoczony samochodami Targ Węglowy znowu w prawo. Przejechał kilkaset metrów Podwalem Staromiejskim, po czym skręcił w lewo w ulicę Stolarską.

- Mam nadzieję, że masz jakiś plan - szepnął zaniepokojony Tomasz.

Wjeżdżali bowiem w rejon Śródmieścia, które jeszcze kilka lat temu, mimo bliskości Starówki, nie miało zbyt dobrej opinii w oczach policjantów i miejscowych dziennikarzy. Kojarzyło się bowiem z licznymi zadykami, rozbojami na zachodnich turystach, którzy nieopatrznie się tutaj zapuścili, oraz z kradzieżami aut na wszystkich innych rejestracjach niż gdańskie. Teraz niby było z tym wszystkim trochę lepiej, ale nieufność co do bezpieczeństwa w tych okolicach pozostała.

- Wszystko pod kontrolą - mruknął Jarek i skręcił gwałtownie w wąską uliczkę przy samym kanale Raduni. Tam zatrzymał auto tuż przy drzwiach wejściowych do starej obskurnej kamienicy stojącej jakby dla kontrastu nieopodal potężnego hotelu Mercury.

- Poczekajcie tu chwilę - szepnął i wysiadł na zewnątrz.

Wszedł do budynku i od razu w nozdrza uderzył go charakterystyczny zapach starości i wszechobecnej stęchlizny. Zniesmaczony otarł tylko chusteczką nos i wszedł drewnianymi skrzypiącymi ze starości schodami prosto na drugie piętro. Kiedy tam dotarł, zatrzymał się przed brudnymi, łuszczącymi się drzwiami i zapukał w takt znanej kibolskiej melodii. Przez chwilę za drzwiami panowała cisza, lecz po kilku sekundach dało się słyszeć szuranie czyichś powolnych kroków i drzwi otworzyły się szeroko na oścież.

- Cześć - mruknął Jarek na widok młodej i ładnej, i do tego niemalże zupełnie roznegliżowanej dziewczyny. Jej rozszerzone źrenice już na pierwszy rzut oka wskazywały, że była pod wpływem działania jakiegoś środka odurzającego.

- Nie znam cię - mruknęła i próbowała zamknąć mu przed nosem drzwi. Lecz przygotowany na to Jarek zdążył zablokować je butem i teraz naparł na nie całym ciałem, o mało co nie



przewracając przy tym dziewczyny na ziemię.

- Co ty, kurwa! - krzyknęła przestraszona.

Lecz Jarek nie miał zamiaru się tłumaczyć ani bawić w dżentelmena. Okoliczności ku temu nie sprzyjały, a i z doświadczenia wiedział, że z tego typu kobietami nie byłaby to najlepsza metoda na nawiązanie owocnej współpracy. Wszedł szybko do środka i znalazł się w niewielkiej, obskurnej kuchni.

- Zamknij się! - wycedził jej prosto do ucha, zakrywając jednocześnie usta dłonią.

Zatrzasnął drzwi i popchnął dziewczynę na gipsowo-kartonową ścianę aż jej głowa stuknęła głucho niczym spadający na ziemię arbuz.

- Kurwa! - jęknęła cicho, mrużąc przy tym piękne oczy. - To boli!

- Jesteś sama? - zlekceważył to Jarek.

- A chuj ci do tego.

- Odpowiadaj, kobieto, bo nie mam czasu na zabawy.

- To po co tu przyszedłeś, jak nie masz dla mnie czasu? - zaśmiała się i zrobiła przy tym prowokujący grymas.

Poirytowany Jarek mimowolnie zwrócił uwagę na jej duże i dobrze widoczne przez prześwitującą nocną koszulę piersi oraz długie i zgrabne, gładko wygolone nogi. Była naprawdę ładna. Nabrał w płuca więcej powietrza i wycedził:

- Nie przyszedłem tutaj się z tobą ruchać ani tym bardziej kupować od ciebie prochów. Potrzebuję tego miejsca na jakąś godzinę, a potem zostawię cię w spokoju. Rozumiesz?

Dziewczyna spojrzała na niego nieco przytomniej.

- Jesteś z psiarni? - zapytała z nagłym zrozumieniem w oczach.

- A co to za różnica?

Roześmiała się z widoczną ulgą i zaniósła głośnym, niezbyt zdrowym kaszlem. Kiedy już doszła do siebie, podciągnęła sobie jedną ręką jedwabne szarawe majtki i spojrzawszy na niego wyzywająco, zapytała:

- To co mam dla ciebie zrobić, kotku?

- Na początek daj mi swój telefon, wejdz do pokoju i połóż się spokojnie na łóżko na brzuchu. Ręce do tyłu! Na plecy!

Zmrużyła swoje ładne, lekko zamglone oczy i pogroziła mu znacząco palcem:

- Oj, wy policjanci... Lubicie poświntuszyć za darmo i to z udziwnieniami.

I posłusznie położyła się na łóżku, wypinając przy tym do góry pupę. Jarek podszedł do stojącej w rogu pokoju szafy i po krótkim przeszukaniu spośród różnego rodzaju peruk oraz skórzanych

i lateksowych zabawek dla dorosłych wyciągnął z niej wąski pasek od spodni i starą zniszczoną apaszkę.

- Bądź grzeczna, a nic ci się nie stanie - powiedział uspokajająco i bez żadnych skrępowań mocno jej nadgarstki i zasłonił oczy. Kiedy zaklejał taśmą jej ciągle lekko rozchylone, czekające na coś zupełnie innego usta, z żalem pomyślał o życiu i przyszłości tej dziewczyny. Przecież dostała od Boga taki dar: urodę... A potem rozejrzał się z niesmakiem po niewielkim pokoju i przez kuchnię wyszedł z powrotem na klatkę. Zbiegł szybko na dół i wszedł do samochodu.

- Chodźcie!

- A ona? - Milena wskazała nakryte sportową bluzą ciało martwej Martyny.

- Jej już i tak nie pomożemy. Potem zadzwonimy na policję i chłopaki ją znajdą.

Nie dodał głośno tego, czego obaj z Tomaszem byli niemalże pewni, że najprawdopodobniej już za chwilę Martynę odnajdą ścigający ich ludzie i że to oni „zaopiekują” się ciałem.

- A ten z tyłu? - zapytał Tomasz. - Myślę, że cały czas ciągnęliśmy za sobą ogon.

- Pewnie tak - mruknął Jarek. - Dlatego musimy działać jak najszybciej i dokonać wymiany. Ten facet nam tylko przeszkadza.

- Ale jest też gwarantem życia twojego Kuby!

- Wiem - warknął Jarek. - Nie musisz mi o tym przypominać. Niech pani idzie! - zwrócił się do Mileny.

Kiedy nauczycielka zniknęła w środku budynku, wyszli z auta i stanęli tuż za bagażnikiem. Rozejrzeli się uważnie dookoła, lecz nie dostrzegli nic podejrzanego, a przechodzący kilkadziesiąt metrów dalej pojedynczy ludzie kompletnie nie zwracali na nich uwagi.

- Teraz! - szepnął Jarek i błyskawicznie otworzył klapę bagażnika.

Schwycili skrępowanego faceta pod pachy i z trudem wyciągnęli na zewnątrz. Mężczyzna się nie opierał, co bardzo im pomogło. Sprawnie wciągnęli go do wnętrza kamienicy i zaczęli taszczyć do góry. Kiedy już dotarli do mieszkania, z ulgą upuścili go na podłogę niczym worek kartofli. Obaj nogi mieli jak z waty.

- Co za ciężkie bydlę - jęknął Tomasz i dopiero teraz rozejrzał się ciekawie po lokalu. - Skąd miałeś cynk o tej norze?

- Chłopaki od narkotyków mówili, że tu mieszka taka ładna kurewka, która dodatkowo dorabia sobie sprzedając prochów.

- I?

- No i co niektórzy korzystali z jej usług.

W tym momencie zobaczył wpatrzony w siebie zgorzzone spojrzenie Mileny.

- Ale nie z tych, co pani ma teraz na myśli. No przynajmniej o tych nic oficjalnie nie wiem... - spróbował się tłumaczyć. - Po prostu dziewczyna czasami sprzedaje nam jakieś drobne informacje.

- I ma od was spokój i ochronę? - domyślił się Tomasz, a Jarek skinął tylko na potwierdzenie głową.

- Poza tym - kontynuował - chłopaki kiedyś wykryli tu coś, co może nam się później bardzo przydać.

W tym momencie Milena przeszła do pokoju i zauważyła leżącą na rozwalonym łóżku skrępowaną prawie nagą dziewczynę.

- Przecież pan jest policjantem!? - powiedziała ze zgorznięciem.

Jarek po raz kolejny spojrzał na nią zdziwiony, a następnie przeniósł pytający wzrok na Tomasika, lecz ten wzruszył tylko obojętnie ramionami.

- To co teraz? - zapytał Tomasz. Podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. - Jak wygląda ten twój plan?

- Później... - Jarek spojrzał znacząco na skrępowanego i zakneblowanego mężczyznę.

- OK.

Tomasz podszedł do niewielkiego regału stojącego w rogu pokoju i zaczął przerzucać jakieś szpargały. W końcu znalazł popisany cienki zeszyt oraz kawałek ołówka. Bez słowa podał go przyjacielowi, a ten natychmiast zaczął w nim coś notować. Po chwili wyrwał z niego pojedynczą kartkę i dał do ręki Tomaszowi. Ten przeczytał wszystko uważnie i skinął potakująco głową.

- OK. Myślę, że to się może udać.

Podszedł do leżącego bez ruchu olbrzyma i jednym silnym pociągnięciem oderwał zakrywającą mu usta taśmę. Mężczyzna najpierw skrzywił się lekko z bólu, a potem odetchnął głęboko z nieukrywaną ulgą i spojrzał pytająco na Tomasika. Ten uśmiechnął się do niego sztucznie i przybliżając twarz do jego ucha, szepnął nadspodziewanie słodkim głosem:

- A teraz przejdźmy do konkretów, panie kolego. - I z groźnym błyskiem w oczach przytknął mu drewniany, mocno naostrzony ołówek do skraju prawego oka.

\* \* \*

Siedzący od ponad dwudziestu czterech godzin bez przerwy w swoim tak zwanym bezpiecznym pokoju Konstantin był już naprawdę zmęczony. Ale dochodzące go z Gdańska meldunki

sprawały, że nie mógł jeszcze spokojnie wyjść do domu. Jego informatorzy meldowali o kolejnych komplikacjach. Co gorsze, ciągle nie do końca wiedzieli, jak to wszystko się jeszcze może skończyć.

Konstantin nie lubił takich sytuacji. Nie znosił wręcz poczucia, że coś nie zależy tylko od niego. A tu tak właśnie było. Zresztą on nie był tu najważniejszy. Miał być tylko podwykonawcą jednego z epizodów wykonywanego zadania. Fragmentu z o wiele szerzej zakrojonej akcji, o której celu i niuansach oficjalnie nie był nawet do końca informowany. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeżeli ktoś zawiedzie na swoim odcinku, na przykład on, to cała układanka może się zawalić. I wtedy zacznie się poszukiwanie kozła ofiarnego. A jego skromnym zdaniem - on na takiego koziołka świetnie by się nadawał.

W tym momencie na jego biurku zadzwonił telefon.

- Tak? - rzucił do słuchawki.

- Nasi mają dziewczynę. Nie żyje.

- Macie rozmowy z ich autą?

- Częściowo. Ale się pilnują. Nic z nich nie wynika.

Obserwujemy budynek, w którym się ukryli.

- Mówiła coś?

- Tak. Ale za cicho. Musimy poddać to obróbce, wtedy będziemy mieć pewność.

Konstantin zmiął w ustach brzydkie przekleństwo.

- A co z Wiktorem?

- Trzymają go jako zakładnika.

Przez krótką chwilę zastanawiał się nad podjęciem decyzji. W końcu przerwał to kilkusekundowe milczenie.

- Niech technicy jak najszybciej ustalą, co i ile ta mała im powiedziała. Jeżeli potwierdzi się najgorsze, macie zielone światło na działanie.

- A Wiktor?

- On wtedy już się nie będzie liczył.

\* \* \*

Tomasik wyglądał ostrożnie przez niewielkie okienko i z niepokojem patrzył na coraz bardziej pogrążającą się w mroku sąsiednią ulicę. Od kilku już minut oczekiwał na umówione hasło SMS na zabrany „goszczącej ich” dziewczynie telefon, który miał być dla niego sygnałem na wypuszczenie więzionego dotąd olbrzyma. I coraz bardziej się niepokoił. Czy wszystko poszło zgodnie z planem? Czy Jarkowi udało się wynegocjować wypuszczenie Kuby? W końcu się

jednak doczekał. Jego telefon zawibrował i Tomasik rzuciwszy jedno spojrzenie na wyświetlony komunikat przeczytał „Kuba jest wolny”. Litera „m” zamiast „w” w komunikacie świadczyła, że pochodzi od Jarka i nikt nie wywierał przy jej pisaniu na niego presji. Zobaczył jeszcze jak kilkadziesiąt metrów od ich kamienicy na ułamek sekundy dwukrotnie zapalają się i gasną światła mijania w zaparkowanym tam granatowym passacie. Teraz nie miał już wątpliwości, że przynajmniej na razie wszystko powinno być w porządku.

Pochylił się nad leżącym pod jego nogami skrępowanym mężczyzną i zerwał mu taśmę zakrywającą usta. Nożem rozciął krępujące go więzy.

- Jesteś wolny - mruknął i pistoletem wskazał na drzwi. - I obyśmy się już nigdy więcej nie spotkali.

Mężczyzna spojrzał na niego przeciągłym złym wzrokiem.

- Spotkamy się szybciej niż myślisz - wycedził i wyszedł.

Tomasz zatrzasnął za nim drewniane drzwi i szybkim krokiem przeszedł do sąsiedniej komórki. Rozejrzał się po lekko zaciemnionym pomieszczeniu i za sznurkami z rozwieszoną białą pościelą zobaczył przykucniętą wystraszoną Milenę.

- Chodź! - szepnął. - Szybko!

Złapał ją za rękę i wąskim korytarzykiem poprowadził na drugą, pograżoną w niemalże całkowitej ciemności stronę strychu. Kiedy dotarł do ściany, poświecił sobie telefonem i prawie po omacku namacał i odchylił niewielką klapę.

- Wychodź - popchnął ją lekko do przodu.

Później sam przeszedł na drugą stronę i znalazł się na dachu przyklejonego do rozpadającej się kamienicy nowego i eleganckiego hostelu z elewacją w stylu „mur pruski”. Zamknął za sobą klapę i przykucnął tuż obok Mileny. Na dworze było już zupełnie ciemno, a uliczne światło prawie tu nie docierało. Na dwuspadowym dachu pokrytym czerwoną dachówką panował więc półmrok. Tomasik przysunął się do nauczycielki aż ich ramiona i uda zetknęły się ze sobą prawie całą powierzchnią. Natychmiast poczuł, że Milena cała drży.

- Idź za mną - szepnął. - Tylko ostrożnie i cicho. Oni prawdopodobnie obserwują tamtą rudere, a ktoś inny pewnie już przeszukuje strych.

Złapał ją za rękę i ciągnąc za sobą, zaczął powoli przesuwać się do przodu. Idąc, widział reklamę i światła hotelu Mercury, spacerowiczów przechadzających się po pobliskim deptaku, słyszał dalekie odgłosy ulicy. W dole z ciemnej rynny kanału Raduni dochodził go zapach wilgoci i kwakanie niemalże nigdy

niezasypiających kaczek krzyżówek. W końcu doszli do miejsca, gdzie dach gwałtownie się kończył i pod kątem prostym przechodził w niewielki taras widokowy. Tomasik wychylił lekko głowę i nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia kilku siedzących przy stolikach hostelowych gości, zeskoczył zgrabnie na taras.

- Dobry wieczór - powiedział do nich swobodnie.

Wyciągnął do góry ręce i złapał w ramiona zeskakującą Milenę. Niemalże zbiegli schodami na dół, gdzie ominęli zaskoczoną recepcjonistkę. Tomasik otworzył drzwi wejściowe i wyrzwał ostrożnie na zewnątrz. Po lewej stronie, zaledwie trzydzieści - czterdzieści metrów od nich, stał olbrzym w towarzystwie dwóch innych mężczyzn, którzy całą trójką rozglądali się nerwowo dookoła. Tomasz natychmiast zdał sobie sprawę, że wyjście jest zablokowane i że jeżeli nic teraz nie zrobi, to za chwilę nastąpi katastrofa.

- Cholera - mruknął do siebie i zanim zdążył zamknąć z powrotem drzwi, usłyszał z wnętrza hostelu tupot zbliżających się korytarzem głośnych zdecydowanych kroków. Znaleźli ich szybciej niż się spodziewał...

- Uważaj! - krzyknęła przestraszona Milena i Tomasik natychmiast odwrócił się do tyłu. Na widok blisko czterdziestoletniego mężczyzny z pistoletem z zamontowanym tłumikiem błyskawicznie wyprostował nogę i czubem buta podbił mu go do góry. Zaskoczony nagłym zwrotem sytuacji mężczyzna wykrzywił wściekle twarz i niemalże w tej samej chwili na jego szczęce wylądował pierwszy prawy prosty Tomasa. Ułamek sekundy później Tomasik był już przy nim i złapawszy go obiema rękoma za głowę ściągnął ją mocno w dół i z całej siły wyrzwał kolanem w twarz. Z rozbitego nosa i zmiażdżonych ust buchnęła krew. Stojąca za kontuarem recepcjonistka zapiszczała z przerażenia, lecz Milena natychmiast doskoczyła do niej i z zaciętą miną uderzyła ją otwartą dłonią w twarz.

- Zamknij się! - krzyknęła jej prosto do ucha. - Bo wszyscy zginiemy!

Tomasik podniósł z podłogi leżący pistolet. Gdzieś z zewnątrz dobiegał odgłos policyjnych syren.

Jarek zadziałał - zdążyło mu jeszcze przemknąć przez głowę, gdy kątem oka zobaczył, jak zza rogu schodów na piętrze wychyla się kolejna uzbrojona sylwetka. Instynktownie, prawie że bez celowania, uniósł broń i pociągnął dwa razy za spust. Nastąpiły dwa głucho kaszlnięcia i dwie kule przemknęły tuż nad głową schylającej się właśnie Mileny. Jedna z nich musiała dosięgnąć celu, bo mężczyzna niczym ranny kowboj z tandetnych westernów

przewiesił się przez poręcz przy schodach, zawisł na niej na kilka sekund, po czym przeleciał na drugą stronę i siłą bezwładu sturlał się kilka stopni w dół.

Tomasik podbiegł do Mileny, złapał ją za rękę i nie bacząc na wszystko, otworzył szeroko drzwi. Obydwoje wyskoczyli na zewnątrz. Biegając przez zacienione podwórko, Tomasik rzucił jeszcze spojrzenie na miejsce, gdzie kilkadziesiąt sekund temu stał ich oprawca ze swoimi ludźmi. Teraz zamiast nich znajdował się tam radiowóz z błyskającymi niebieskim światłem kogutami, a dwóch policjantów w czarnych mundurach z latarkami w rękach rozglądało się niepewnie w poszukiwaniu celu wezwania. Stojący w świetle lampy policjanci nie mogli już ich widzieć, więc zwolnili i stopniowo przeszli do zwykłego marszu. Szli w kierunku mającego w oddali podświetlonego kościoła św. Brygidy. Milena dyszała ciężko ze zmęczenia.

- Jak się czujesz? - zapytał ją podekscytowany jeszcze Tomasz.

- Bywało gorzej. Ale jestem u kresu...

Tomasz roześmiał się cicho.

- Jesteś superbabka - powiedział wesoło, czując jak powoli schodzi z niego napięcie.

W słabym blasku latarni zobaczył, jak zaskoczona Milena spogląda na niego niepewnie, a jej twarz pokrywa się wyraźnym rumieńcem.

- Naprawdę - dodał i znowu się do niej uśmiechnął.

Przez kilka minut szli razem w milczeniu. Minęli kościół św. Brygidy, piekarnię Szydłowskiego, a potem pomnik „tym co za polskość Gdańska”. Kiedy znaleźli się już w obrębie Starego Miasta, na Długim Pobrzeżu tuż obok płynącej leniwie Motławy, odetchnęli z ulgą. W końcu mogli czuć się trochę bezpieczniej. Ulice pełne tu były ludzi, spacerujących przechodniów i turystów. Mimo późnej pory wszędzie wokół panował ruch i gwar, słychać było rozmowy w języku niemieckim, angielskim, rosyjskim, hiszpańskim i polskim. Na widok obejmujących się paręk w pobliskich knajpkach i kafejkach Tomasz poczuł delikatne ukłucie zazdrości. I w tym momencie ciepła dłoń Mileny schwyciła go delikatnie za rękę i nieśmiało oplótła się wokół jego palców. Zaskoczony spojrzął na nią z ukosa, lecz ona z wysoko uniesioną głową patrzyła gdzieś daleko przed siebie i z nieco zakłopotanym uśmiechem na twarzy zagryzała nerwowo wargi.

\* \* \*

Jarek zatrzymał samochód i spojrzął w kierunku zwykłego,

niepozornego budynku mieszkalnego na gdańskiej Zaspie. Przez krótką chwilę rozmyślał, co tak właściwie powinien teraz zrobić.

- Idziemy do mamy? - zapytał Kuba.

- Tak, synku.

Wysiedli z auta i już po chwili obaj tonęli w objęciach wzruszonej Gosi. Chwile szczęścia policjantki z odzyskania syna przerwał brutalnie Jarek.

- Gosieńka, ja muszę wracać. Muszę to jeszcze dokończyć.

Gosia otarła rękawem łzy.

- Wiem - szepnęła.

Z trudem oderwała się od syna i sięgnęła do kieszeni dzinsów.

- Masz - podała mu zwiniętą w czworo kartkę papieru.

Jarek natychmiast ją rozwinął i przeleciał pismo wzrokiem.

- Skąd to masz? - zapytał półgłosem.

- Jestem przecież gliną. Tak samo jak ty. A te sukinsyny porwały nam syna i zabiły już kilka niewinnych osób.

- Dzięki, żoneczko.

W tym momencie z przedpokoju wychyliła się głowa jednego z jego ludzi.

- Szefie - gliniarz mówił przeproszającym tonem. - Sorry, że przeszkadzam w takiej chwili, ale mamy informację, że patrol wysłany pod tamten adres nikogo o takim opisie nie znalazł. Ale obok była jakaś strzelanina, więc może te dwie sprawy mają coś ze sobą wspólnego.

- OK. Dzięki.

Jarek niczego innego się nie spodziewał. Od początku zdawał sobie sprawę, że tamten facet jest zbyt inteligentny, żeby wpaść w tak prymitywną pułapkę. Rzecz polegała jednak na tym, aby dać szansę Tomkowi i Milenie na ucieczkę. I w tym momencie ciągle czekał na informację, czy ta sztuka im się udała. Nie mógł ich bezpośrednio wesprzeć. Tomasz był już oficjalnie poszukiwany przez policję. A w takiej sytuacji nawet jego koledzy z wydziału, najbliżsi współpracownicy nie mogli być pewnymi sojusznikami. Zdawał sobie sprawę, że nie wszystko, co się wiązało z porwaniem jego syna, jest dla nich jasne, ale przynajmniej w tej sprawie żaden z nich nie dyskutował i nie zadawał niepotrzebnych pytań.

- Słuchaj! - zwrócił się do policjanta. - Zostawiam z wami Gosię i Kubę. Pilnujcie ich jak oka w głowie. Ja muszę dokończyć tę sprawę osobiście. Rozumiesz?

Podwładny patrzył na niego z powagą.

- Szef jest pewien?

- Tak! Daj mi swój telefon!

- OK.



- I pożyczam wasze auto.

- Rozumiem. A o nas niech szef się nie martwi. Poradzimy sobie. Nie, kolego? - gliniarz zwrócił się do małego Kuby.

Chłopak uśmiechnął się rezolutnie i skinął potakująco głową. Nie było po nim już widać, że zaledwie pół godziny temu znajdował się jeszcze w rękach porywaczy. Ale taki był przywilej dzieci. Wbrew twierdzeniom niektórych psychologów dzieciaki łatwo i szybko potrafiły wymazać pewne niemiłe epizody ze swojej pamięci.

- To na razie!

Jarek wyszedł z budynku i wszedł do służbowej nieoznakowanej alfy romeo. W słabym świetle samochodowej lampki jeszcze raz przeczytał uważnie otrzymaną od żony kartkę. Przez chwilę zastanawiał się nad kolejnym ruchem. A potem sięgnął po pożyczony od kolegi telefon, wystukał zapisany na kartce numer i spokojnie czekał na nawiązanie połączenia. Dopiero po czwartym sygnale ktoś po drugiej stronie odebrał.

- Tak?

- Dobry wieczór. Nadkomisarz Jarosław Sopoćko, Komenda Miejska Policji w Gdańsku - przedstawił się. - Czy rozmawiam z panem Wojciechem Tuszyńskim, synem Zdzisława?

- Tak. A o co chodzi?

- Iwona Tuszyńska to pana siostra?

- Tak. Ale o co chodzi?

- Chciałbym z panem o niej porozmawiać.

- Tak? A coś się jej stało?

- Czy moglibyśmy porozmawiać osobiście w cztery oczy?

- To raczej trudne. Aktualnie jestem poza Trójmiastem.

- Ale to bardzo ważne - nalegał Jarek.

Po drugiej stronie telefonu na krótką chwilę zaległa cisza.

- A może mi pan powiedzieć chociaż, o co chodzi? Jestem i pracuję prawie sto kilometrów od Gdańska. Jutro rano muszę być w robocie.

- Raczej pan nie będzie - przerwał mu sucho Jarek. Postanowił grać z nim w otwarte karty. - Pana siostra wczoraj nad ranem miała wypadek. Nie żyje. Podejrzewam, że to nie było zwykłe potrącenie przez samochód.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Przez kilkanaście długich sekund Jarek dał tamtemu mężczyźnie czas na oswojenie się z otrzymaną właśnie wiadomością.

- To co pan zrobi? - zapytał w końcu, nawet nie siląc się na delikatność. Nie miał na nią czasu.

- Jeżeli to żart, to bardzo głupi. Ale proszę mi dać kilka minut

na sprawdzenie tego, co pan przed chwilą powiedział.

- Rozumiem. Tylko bardzo proszę, aby nie podawał pan moim kolegom informacji o tym telefonie. I bez względu na wszystko najpierw proszę spotkać się ze mną.

- W porządku. Chociaż dziwne macie metody działania.

- Jak się spotkamy, spróbuję to panu wytłumaczyć.

Połączenie zostało przerwane i Jarek zapalił silnik. Po chwili ruszył w kierunku Wrzeszcza. Kiedy dojeżdżał do wiaduktu nad torami Szybkiej Kolei Miejskiej, telefon zadzwonił. Spojrzał na wyświetlony numer. Tuszyński. Natychmiast odebrał.

- Słucham, panie Wojciechu.

- Panie komisarzu... - głos Tuszyńskiego po drugiej stronie był wyraźnie spięty i poważny. - Nie mogłem połączyć się z siostrą, a wasi ludzie mówią, że faktycznie miała wypadek i nie żyje. Tylko dlaczego mówicie mi o tym dopiero teraz, skoro zginęła prawie dwa dni temu?

- Przykro mi - odpowiedział szorstko Jarek. - Ale mieliśmy małe problemy z identyfikacją pana siostry i namierzeniem pana telefonu. - Nie zamierzał tłumaczyć, że to właśnie Gosia dla dobrej sprawy wpłynęła na opóźnienie przekazania mu tej tragicznej informacji. Zabita dziewczyna była pełnoletnia i mieszkała sama, bo jej rodzice zginęli rok temu w wypadku. I teraz to właśnie jej przyrodni brat był jej najbliższą i praktycznie jedyną rodziną. Ale dzięki swojej żonie Jarek wiedział też, że znajdujący się po drugiej stronie telefonu mężczyzna nie był z nim do końca szczery. - To gdzie się spotkamy? - zapytał lekko zniecierpliwiony.

- Mam przyjechać do pana na komendę?

- Nie. Ale jeżeli pan chce, to możemy porozmawiać gdziekolwiek indziej. Byle to było w obrębie Trójmiasta.

Przez krótką chwilę mężczyzna po drugiej stronie telefonu się zastanawiał.

- W takim razie może u mnie w domu? - zapytał w końcu.

- Jeżeli tylko to panu odpowiada.

- Zna pan mój adres?

- Gdynia Karwiny?

- Tak.

- Znam.

- W takim razie zapraszam do siebie. Za półtorej godziny powinienem być już w domu. Czy to panu pasuje?

- OK. Będę. Ale radzę załatwić sobie na jutro wolne z pracy. Do zobaczenia!

Jarek nie czekał na ewentualne pytania. Rozłączył się. Lecz nie zdążył nawet odłożyć telefonu, kiedy zadzwonił drugi aparat. Wyjął

go i spojrzął na wyświetlacz. Rozpoznał numer.

- Wszystko w porządku? - rzucił krótko do słuchawki.

- Chyba tak - po drugiej stronie był Tomasz. - Były małe problemy, ale wyrwaliśmy się i szukamy noclegu. A co u ciebie? Jak Kuba?

- OK - skłamał z trudem. - Razem z Gosią jest pod opieką moich ludzi. Ale mam coś ciekawego - szybko zmienił temat.

- No?

Jarek nabrał do płuc więcej powietrza. Czuł się naprawdę paskudnie, nie do końca będąc szczerzy wobec Tomka.

- Złapałem kontakt z bratem koleżanki Martyny.

- Z kim? - Tomasz wyraźnie nie skojarzył w pierwszej chwili, o kim Jarek mówi.

- Z bratem tej dziewczyny, która zginęła w wypadku na Wiczlinie.

- Aha - teraz już wiedział. - I?

- Dziewczyna trzydzieści minut przed śmiercią wykonała kilka prób połączenia się z jednym tym samym numerem. W tym jedną udaną. Jak myślisz, do kogo dzwoniła?

- Rozumiem, że właśnie do brata.

- Zgadza się.

- I co teraz?

- Za półtorej godziny będę się z nim widział. Jeśli się czegoś dowiem, to się odezwę.

- OK. Tylko pamiętaj - nowa łączność.

- Jasne. Zdzwonimy się. Powodzenia!

- Tobie też. Trzymaj się.

I połączenie zostało przerwane. Jarek zacisnął mocniej zęby. Spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Miał wystarczająco dużo czasu, aby jeszcze coś zjeść i dojechać do Gdyni. Na miejscu spotkania chciał być pierwszy.

Był już na Grunwaldzkiej, prawie w centrum Wrzeszcza. Mógł więc teraz bez pośpiechu skierować się do swojej ulubionej budki z wielkimi hamburgerami przy Miszewskiego. Spojrzął w lusterko wsteczne. Śledzili go. Zacisnął mocniej zęby. Dojechał do skrzyżowania z ulicą Do Studzienki, zwolnił do trzydziestki i skręcił w lewo. Po chwili był już na miejscu. Kiedy zdążył tylko zagłębić zęby w chrupiącej bułce i musnąć mięso, do prawie pustego lokalu wszedł elegancki, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna. Policjant obrzucił go krótkim, przelotnym spojrzeniem. Znał go. Zadbany, ubrany w ciemny dobrze skrojony garnitur i mimo wieku wyraźnie wysportowany facet, sprawiał wrażenie wracającego z nadgodzin wykładowcy z pobliskiej Politechniki. Mężczyzna zamówił małą colę

w szklanej butelce i ledwie umoczywszy w niej usta stanął tuż obok Jarka.

- Niech pan uważa - powiedział półgłosem, patrząc w zupełnie inną stronę. - Od pana postępowania zależy bezpieczeństwo naszego kraju... i los pana przyjaciela. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

I odwróciwszy się na pięcie wyszedł z lokalu. Jarek nawet się za nim nie obejrzał. Zagłębił ponownie zęby w ciepłym jeszcze hamburgerze i kiwając w zamyśleniu głową, wycedził ponuro:

- Kiedyś się wam jeszcze odwdzięczę, pieprzone sukinsyny.

\* \* \*

Tomasik siedział na łóżku z butelką wody mineralnej w ręku i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w cicho grający telewizor. Wynajęty przed kilkunastoma minutami pokój w niewielkim hostelu w samym centrum gdańskiej Starówki nie był specjalnie ekskluzywny, ale przynajmniej można było w nim płacić gotówką i nie trzeba było się w nim „oficjalnie” meldować. Z łazienki dobiegał szum używanego przez Milenę prysznic. Znużony Tomasik, walcząc z ogarniającą go sennością, mógł spróbować przeanalizować ostatnie wydarzenia. Czy wiedzieli teraz coś więcej niż jeszcze kilka godzin temu? Czy śmierć Martyny zmieniała ich sytuację? Czy ciągle będą ścigani? No i dlaczego to wszystko się działo? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Niewiele wyciągnął z olbrzyma. Facet dobrze wiedział, że tak naprawdę, póki miał w ręku młodego Jarka, nic nie mogli mu zrobić. Ale gość zapowiedział mu ponowne spotkanie. A to oznaczało, że nie odpuści. Tylko dlaczego? Przecież Martyna już nie żyła. I oni na pewno o tym wiedzieli. Tomasik był pewien, że to oni pierwsi znaleźli jej ciało. A skoro tak, to dlaczego nie przerwali obławy? Milena? On? Sprawa osobista olbrzyma? Tylko ten ostatni z powodów mógł chyba wykluczyć. Więc co? Co Martyna takiego mogła wiedzieć, co sprawiło, że ci różni tajemniczy ludzie zdecydowali się wprowadzić w ruch tak śmiertcionośną maszynę? Dlaczego gotowi byli biegać za nimi z pistoletami w rękach po całym Trójmieście, ryzykując zdemaskowanie siebie, i zadawać śmierć niewinnym ludziom? I kim oni byli? Na czyj rozkaz i w którym imieniu działali?

Spróbował przypomnieć sobie słowa umierającej Martyny. Roman widział premiera Turskiego? I to w rosyjskim konsulacie? I że co? Że dla Romana to była zdrada?

- Cholera! - zaklął cicho. - Przecież to nie ma żadnego sensu.

Westchnął. Nie miał siły doszukiwać się w tym wszystkim jakiegokolwiek przyczyny czy logiki. Najchętniej poszedłby z tym na najbliższy komisariat policji i spróbował zepchnąć to całe brzemie ze swoich barków. Ale zdawał sobie sprawę, że po tym, co się wydarzyło na Morenie, tego zrobić już nie mógł. Ta cała sytuacja go przerastała. I zwyczajnie się bał.

Aby chociaż na chwilę odpędzić od siebie czarne myśli, wyobraził sobie kąpiącą się pod prysznicem Milenę. Widzenie było tak realistyczne i przyjemne, że szybko musiał odegnąć je od siebie, nie chcąc rozbudzać w sobie nadziei na coś, co być może roiło się tylko w jego głowie. W tym momencie odgłos prysznicza ucichł i po chwili do jego uszu dotarł dźwięk szorowanych intensywnie zębów. Westchnął, wstał z łóżka i pochylił się nad rozrzuconą na białej pościeli stertą zakupów. Wolno przerzucał dopiero co kupione w całodobowym sklepie czyste łachy aż w końcu znalazł wśród nich szczoteczkę do zębów, dezodorant i świeże bokserki. Wziął je do ręki, odwrócił się i wtedy ujrzał wychodzącą z łazienki Milenę. Włosy i tułów obwiązane miała dwoma śnieżnobiałymi ręcznikami, które ładnie kontrastowały z lekko opaloną skórą odkrytych i kształtnych ramion oraz z długimi zgrabnymi nogami.

- Wiesz, że tu nie mają szlafroków? - zapytała, nie patrząc na Tomasika i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co jeszcze przed chwilą działo się w jego głowie. Lecz kiedy tylko na niego spojrzała i zobaczyła wpatrzone w siebie rozszerzone zachłannie oczy, spłonęła cała rumieńcem.

- Nie patrz tak na mnie - szepnęła zmieszana.

A Tomasz nie mógł wręcz oderwać od niej wzroku. Dzięki zakryciu ręcznikiem włosów uwypukliły się rysy jej szczupłej twarzy, okraszonej malutkim zgrabnym noskiem, wąskie lekko rozchylone usta, no i te duże brązowe oczy, okolone wypielęgnowanymi czarnymi brwiami i naturalnie długimi kruczoczarnymi rzęsami. Całość w połączeniu z zakrytymi szczelnie drobnymi piersiami i lekko wypiętą dużą pupą dawała obraz niemalże idealnej kobiecej figury.

- Jesteś piękna - powiedział do niej z nieudawanym zachwytem.

Nie mógł uwierzyć, że przez te kilka lat ich dotychczasowej znajomości nawet nie spróbował się do niej zbliżyć i że nawet w myślach nie zdradził z nią Agnieszki.

- Niezły komplement - prychnęła rozbawiona. - Ale idź już... Łazienka jest wolna.

Uśmiechnął się do niej lekko i ruszył pod prysznic. Będąc już w kabinie, zastanowił się, co też Milena wymyśli ze spaniem. Wynajęli pokój co prawda dwuosobowy, ale jednocześnie tak zwany

małżeński, czyli z jednym tylko łóżkiem. On bynajmniej nie zamierzał dla jej lepszego samopoczucia spać jak pies na podłodze.

Kiedy dziesięć minut później wyszedł już odświeżony i czysty, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było zgodnie z jego podejrzeniami przygotowane dla niego zaścielone prześcieradłem legowisko na podłodze. A na łóżku, na samym jego środku, leżała teraz odwrócona do niego plecami i przykryta po samą szyję Milena. Tomasz parsknął do siebie cichym stłumionym śmiechem i przez chwilę zastanawiał się, jakim niby cudem ma teraz tak od razu zasnąć. Kręcąc z niedowierzaniem głową, wyłączył grający bez fonii telewizor i podszedł ostrożnie do łóżka. Usiadł na jego brzegu i przez kilka kolejnych minut siedział, walcząc sam ze sobą. W końcu nie wytrzymał. Uniósł do góry pościel i bez cienia zawstydzona rzucił ciekawe spojrzenie na leżące kobiece ciało. Koronkowe stringi - pomyślał nieco rozbawiony.

Z żalem opuścił kołdrę. Nacisnął wyłącznik lampki. Światło zgasło i w pokoju zapanowała ciemność. Była weekendowa noc, a o tej porze roku w centrum Gdańska życie towarzyskie toczyło się niemalże dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez uchylone i zasłonięte roletami okno dochodził gwar z pobliskiej ulicy i strzępy prowadzonych tam swobodnie rozmów. Z niedalekiej restauracji słychać było stuk sztućców oraz głośnie wybuchy śmiechu. Położył się ostrożnie na skraju łóżka. Westchnął i zaplótł pod głowę rękę. Przez kilka następnych minut leżał tak bez ruchu z otwartymi szeroko oczyma i próbował nie myśleć o leżącej obok kobiecie. I wtedy Milena się poruszyła.

- Nie śpi - przemknęło mu przez głowę.

I niemalże w tej samej chwili skapitulował. Stwierdził, że ta walka z samym sobą nie ma najmniejszego sensu. Przecież z Agnieszką to był już koniec. Po omacku wyciągnął ostrożnie schowaną pod kołdrą rękę. Po niecałej sekundzie czubkami palców namacał delikatną skórę pośladków. Przy pierwszym dotknięciu Milena drgnęła i natychmiast odsunęła się kilka centymetrów dalej. Zastanowił się, czy to aby nie oznacza kategorycznego braku dostępu, lecz już po chwili machnął na to ręką. Ponownie przesunął dłoń w jej kierunku, aż natrafił na wąski i przyjemny w dotyku skrawek materiału okrywający biodra. Milena znowu drgnęła, lecz jej ciało tym razem nie odsunęło się nawet o centymetr. Dłoń Tomasika zastygła na krótką chwilę w bezruchu, a potem zaczęła powoli i coraz bardziej beczelnie błądzić najpierw po biodrach i pupie, a potem gdy się odwróciła na bok, po plecach i brzuchu dziewczyny. Opuszkami palców masował jej łopatki, brzuch, piersi i szyję. Czuł, jak nabrzmiwiają jej sutki, jak skóra co chwilę napręża

się, oddech delikatnie przyśpiesza, a ciałem pokrytym gęsią skórą wstrząsają delikatne dreszcze. W końcu przysunął się bliżej i przylgnął do niej całym swoim ciałem. Wolną rękę zsunął nieco niżej aż palcami natrafił na lekko owłosiony wzgórek. Przez krótką chwilę bawił się tam palcami, jakby czekając na stosowne zaproszenie, aż w końcu zanurzył się w nim nieco głębiej. W tym samym momencie Milena cichutko westchnęła, a Tomasz musnął delikatnie językiem jej kark, a potem ucho. Dziewczyna nie wytrzymała. Odwróciła się i napierając na niego całym swoim ciałem wpiła się mu mocno wargami w usta.

- Kochaj mnie, Tomek! Kochaj mnie mocno! - szepnęła zachłannie i zsuwając się nieco niżej, objęła go mocno udami.

I już po chwili wszystkie tragedie, nieszczęścia i sprawy, które ich dotąd zajmowały, zeszły daleko na drugi plan...

\* \* \*

Jarek zaparkował swoją alfą romeo przed jednym z czteropiętrowych kwadratowych bloków z wielkiej płyty na gdyńskich Karwinach i czekał cierpliwie na przyjazd brata nieżyjącej dziewczyny. W końcu go zobaczył. Biały ford focus, z którego wysiadł młody, niespełna trzydziestoletni, wysoki i szczupły brunet.

To on, stwierdził Jarek na podstawie marki i numerów rejestracyjnych auta. Otworzył drzwi alfy i krzyknął półgłosem:

- Panie Wojtku! Tutaj...

Mężczyzna podszedł do niego i obrzucając go uważnym spojrzeniem, wyciągnął na przywitanie rękę.

- Witam.

- Dobry wieczór. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

To mówiąc, pokazał mu swoją legitymację służbową.

- Gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać?

- Zapraszam na górę.

Weszli do odnowionej niedawno klatki i idąc do góry dawno niemytymi schodami, dotarli na pierwsze piętro. Zatrzymali się przed białymi drzwiami, zza których dobiegała ich zdecydowanie zbyt głośna jak na nocną porę muzyka. Jarek rozpoznał jeden ze starszych utworów Madonny. Tuszyński spojrzął z zakłopotaniem na policjanta.

- Pan mieszka sam? - zapytał niby mimochodem Jarek.

- Nie. Z narzeczoną. Przepraszam, ale ona najwyraźniej czuje się trochę zbyt swobodnie.

Jarek nie skomentował tego na głos. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy.

Mężczyzna wyjął z kieszeni klucz i szybko otworzył drzwi. W uszy natychmiast uderzyła ich głośnie fala muzyki. Obaj wślizgnęli się do środka. Tuszyński błyskawicznie zamknął drzwi i przekręcił zamek. Postawił na ziemi niewielką wojskową torbę i nie włączając światła, skierował się prosto do pokoju. Zaintrygowany Jarek podążał pół metra za nim. I już po chwili mimo wszystkich swoich problemów i powagi sprawy, z którą tu przyszedł, po prostu parsknął niepowstrzymanym śmiechem. W przyćmionym świetle nocnej lampki zobaczył wielkie małżeńskie łóżce, a na nim nagą i rozkraczoną kobietę, której sporych rozmiarów dupsko dźgał młody, najwyżej kilkunastoletni chłopak, a w tym samym czasie drugi, równie młody, z błogim wyrazem twarzy i z przymkniętymi z rozkoszy oczyma robił dokładnie to samo, tyle że w usta.

- Ożeż kurwa jego mać! - sapał zaskoczony Tuszyński.

W tym momencie podniecona dziewczyna objęła biodra stojącego przed nią małolata i mimo pełnych ust niemalże zawyla z rozkoszy. I tego było już dla Tuszyńskiego za wiele. Zapominając zupełnie o stojącym za nim Jarku i śmierci siostry, doskoczył do zabawiającej się trójki i jednym uderzeniem pięści zrzucił na ziemię pierwszego z nagusów. Zanim ten zdążył się pozbierać, złapał go rozwartą dłonią za krtani i cisnął brutalnie na drzwi od balkonu. Szyba nie wytrzymała i rozległ się głośny brzdęk tłuczonego szkła. Doskoczył do próbującego podnieść się małolata i złapawszy go ręką za włosy podniósł do góry i wymierzył silny strzał pięścią w sam środek nosa. Chłopak z impetem uderzył w rozbite już drzwi i wypadł na znajdujący się po drugiej stronie balkon.

Drugi z imprezowiczów widząc, co się dzieje, zdążył wyjąć swoje przyrodzenie z ust dziewczyny i rzucił się w kierunku wyjścia. Lecz tam stał już Jarek, który solidaryzując się w tym momencie z rozwścieczonym wojakiem, wyszczerzył tylko znacząco zęby i pokiwał groźnie palcem. Wystraszony chłopak natychmiast się cofnął i to go zgubiło do reszty. Rozwścieczony Tuszyński doskoczył do niego i silnym kopnięciem prawą nogą posłał na pomalowaną w biało-zielone pasy ścianę. Potem złapał go za włosy i cisnął twarzą o podłogę.

- Zajebię cię! - ryczał z furją.

Piszcząca dotąd w bezruchu dziewczyna zerwała się z łóżka i przebiegła nago obok nich, kołysząc przy tym swoimi wielkimi niczym balony cyckami, i trzasnąwszy za sobą drzwiami, zamknęła się w łazience. Jarek wyłączył grającą wieżę i widząc, że sytuacja



może wymknąć się spod kontroli i stać się naprawdę groźna, podbiegł do rozwścieczonego żołnierza i złapał go od tyłu za rękę.

- Dość! - krzyknął mu prosto do ucha. - Starczy! Gówniarze dostali już za swoje!

Uwięziony jak w kleszczach Tuszyński szarpnął się jeszcze kilka razy w bezsilnej złości aż w końcu stopniowo, pomału, zaczął się uspokajać. Dyszał tylko ciężko i z nienawiścią patrzył na łkającego pod ścianą i dygoczącego z przerażenia nagiego chłopaka.

- Kurwa mać! - wysapał w końcu ciężko. - Jestem żołnierzem. Oficerem Wojska Polskiego. Pół życia napierdalam po poligonach, mieszkam w internatach na jakiś zadupiach, całe życie podporządkowuję armii i odkładam kasę na przyszłą rodzinę. A tu jakiś pijany palant zabija ci w wypadku siostrę, a kurwa, która miała być twoją żoną, dla której to wszystko się robi, puszcza się ci z takimi gnojkami, bo ją pizda swędzi i nie jest w stanie wytrzymać nawet kilku dni bez ruchania.

Jarek kiwnął ze zrozumieniem głową. Niestety... To nie była pierwsza tego typu sytuacja, której miał wątpliwą okazję być świadkiem. W życiu policjantów, żołnierzy i ludzi z wszelakich służb tego typu problemy rodzinne zdarzały się dosyć często. Po prostu nie wszystkie kobiety potrafiły zrozumieć specyfikę ich pracy i dostosować się do niej. Częsta nieobecność mężczyzn w domu, mały udział w wychowywaniu dzieci, stres przenoszony na łono rodziny i wszechobecne w codziennym życiu różnego rodzaju przyzwyczajenia i skrzywienia zawodowe... To wszystko sprzyjało powstawaniu i nawarstwianiu się wielorakich konfliktów i patologii. A jeżeli jeszcze małżonka nie była jedną z tych świętych lub była zbyt wyzwolona, kłopoty były więcej niż pewne.

- Zawsze trzeba szukać jakichś pozytywów - powiedział uspakajającym tonem Jarek i ostrożnie puścił rękę mężczyzny. - Skoro to tylko narzeczona, to chyba lepiej, że pokazała swoje prawdziwe oblicze teraz niż później.

- Jasne - mruknął załamany Tuszyński. - Nie mam już żadnej rodziny, a kandydatka na żonę okazała się zwykłą dziwką. Za miesiąc miał być nasz ślub.

- No to pan zaoszczędził. - Jarek poklepał nieszczęśnika współczująco po ramieniu. - Nie ma co kurwy żałować!

Podszedł do rozbitych drzwi balkonowych i spojrzał na przykucniętego w rogu i trzęsącego się ze strachu drugiego zakrwawionego nagusa.

- Żyjesz? - zapytał bez cienia współczucia w głosie.

- Tak, proszę pana.

- To zbieraj się i wynocha!

Chłopak podniósł się i łypiąc trwożliwie oczyma, wszedł do pokoju.

- I czego tak się gapisz?! - warknął na niego żołnierz. - Wypierdalaj!

Poobijani i pokrwawieni chłopcy zebrali w pośpiechu porozrzucane ubrania i już pół minuty później nie było ich w mieszkaniu.

- Mam prośbę - zwrócił się do policjanta Tuszyński. - Niech pan każe tej kurwie wyjść. Nie chcę już jej więcej widzieć ani z nią gadać.

- Jasne - Jarek skinął ze zrozumieniem głową.

Pod blokiem rozległ się kilkusekundowy sygnał policyjnej syreny. Sopoćko domyślił się, że któryś z sąsiadów zareagował po „obywatelsku”. Podszedł więc szybko do drzwi łazienki i zapukawszy w nie zapytał:

- Ma pani się w co ubrać?

Z środka dobiegał szloch.

- Słyszysz mnie pani? Jestem z policji! Ma pani się w co ubrać?

- Nie.

Wrócił do pokoju i podniósł z ziemi kilka rozrzuconych łachów. Po chwili zastukał ponownie w drzwi, a kiedy te uchyliły się na kilka centymetrów, przez powstałą szparę wrzucił do środka zebrane ubrania.

Rozległ się dzwonek. Jarek nie czekając na zgodę Tuszyńskiego, natychmiast otworzył drzwi. Przed nim stała dwójka umundurowanych policjantów w stopniach starszych sierżantów. Mężczyzna i kobieta.

- Dobry wieczór. Mieliśmy zgłoszenie o zakłóceniu ciszy nocnej.

- Wszystko jest już pod kontrolą, - Jarek pokazał im swoją odznakę. - Małe nieporozumienie rodzinne. Właściciel mieszkania, też mundurowy, wrócił niezapowiedziany z pracy i zastał swoją kobietkę w niezbyt zręcznej sytuacji. Ona jedna, a ich dwóch... Zupełnie obcych panów.

- Uhm - mruknął ze zrozumieniem gliniarz.

- I nerwy mu trochę puściły - kontynuował Jarek. - Ale „adoratorzy” raczej nie będą składać zawiadomień o popełnieniu przestępstwa.

- A co z tą kobietą? - wtrąciła się z poważną miną policjantka.

Jarek obrzucił ją oceniającym spojrzeniem. Kolejna anorektyczna laleczka Barbie w zbyt dużym mundurku i z jedną fałką na pagonie. Totalnie nienadająca się do patrolowania ulic, prewencji czy też czegokolwiek innego w ich służbie.

- Niestety żyje.

Umundurowany gliniarz parsknął śmiechem.

- To co? - zwrócił się do koleżanki. - Spadamy?

Za Jarkiem ukazała się postać ubranej już winowajczyni całego zamieszania. Widząc dwójkę funkcjonariuszy, odzyskała trochę odwagi. Odwróciła się w stronę stojącego w głębi mieszkania Tuszyńskiego i wykrzyknęła:

- To wszystko twoja wina! Bo ciebie ciągle nie ma w domu! Dla ciebie tylko wojsko, praca i ta pieprzona Lechia się liczy!

- Wypierdalaj - mruknął cicho rozżalony żołnierz.

Kobieta bez dodatkowych tłumaczeń wybiegła z mieszkania i zeszła schodami na dół. Policjanci czym prędzej skinęli im na pożegnanie głowami i zadowoleni, że nie muszą wypełniać mnóstwa papierków, wyszli spokojnie przed blok. Jarek zamknął drzwi, wrócił do pokoju i rozejrzawszy się po zdemolowanym mieszkaniu spojrzał na załamanego wojskowego. Siedział w fotelu ze zwieszoną nisko głową i palił nerwowo papierosa. Nad nim, na pomalowanej na biało-zielony kolor ścianie, wisiał proporzyczek klubu piłkarskiego Lechia Gdańsk, a tuż obok szalik z napisem Lechia Karwiny.

- Lechista w Gdyni? - zapytał, żeby zagaić jakoś rozmowę i chociaż na chwilę odwrócić uwagę mężczyzny od dopiero przeżytego kolejnego wstrząsu.

- Na Karwinach, nie w Gdyni - odpowiedział z błyskiem w oku wojskowy. - Dla mnie Karwiny to nie Gdynia.

- Dlaczego?

Mężczyzna zaciągnął się mocno papierosem.

- Po prostu... Bo dla mnie Karwiny to nie Gdynia.

Jarek zamilkł i nawet nie próbował udawać, że go rozumie albo że go to specjalnie interesuje. Ale żołnierz chcąc się najwyraźniej wygadać, kontynuował temat.

- Kiedyś moi rodzice przenieśli się tutaj z gdańskiej Oruni za robotą do Polifarbu na Chwaszczyńskiej. I dostali tu mieszkanie. Dużo nas wtedy było w takiej samej sytuacji. A że wcześniej chodziliśmy już w Gdańsku na Lechię, to tak zostało. Za małolata napierdzielaliśmy się z kibolami Arki z Dąbrowy i z Wielkiego Kacka. Nikt nas nie ruszał i wszyscy się nas bali. A teraz jesteśmy już trochę za starzy na tego typu zabawy. Zresztą ekipa się wykruszyła. Część się wyniosła. Część niby wydoroślała i pozakładała rodziny. A małolaty są już niestety za „śledziami”.

Jarek pokiwał w milczeniu głową. Zupełnie nie interesowały go te „szczeniackie” i „pseudopiłkarskie” kibolskie historie. Nigdy nie potrafił zrozumieć fenomenu piłki nożnej ani ludzi poświęcających dla niej życie. Jak można było na poważnie brać grę, w której dwudziestu dwóch rozkapryszonych bogactwem i sławą facetów

biegało za piłką, a kilku następnych, tak zwanych działaczy, robiło na tym i wszystkim, co się z tym wiąże, grube i niezbyt czyste pieniądze? Ale fakty były takie, że tysiące ludzi jeździło w każdy ligowy weekend za swoimi klubami po całej Polsce, i tyle... Jarek uważał ich po prostu za mniej lub bardziej niebezpiecznych wariatów, którzy ciągle sprawiali im tylko kłopoty.

Teraz uznał jednak, że facet już się uspokoił i że można przejść do sedna interesującej go sprawy. Podeszedł do stołu i bez zaproszenia usiadł w wiklinowym fotelu.

- Pana siostra dzwoniła do pana kilka razy - zaczął ostrożnie. Żołnierz podniósł na niego oczy. - Ostatni raz dokładnie pół godziny przed śmiercią - kontynuował Jarek. - Chciałbym wiedzieć, co panu mówiła.

Tuszyński zaciągnął się mocno końcówką papierosa i wypuścił ustami dym.

- Co panu powiedziała siostra tuż przed swoją śmiercią? - powtórzył z naciskiem Sopoćko. - To naprawdę ważne!

Na kilka sekund zapadło milczenie. Obydwaj mężczyźni patrzyli sobie z powagą w oczy.

- Właśnie to - powiedział w końcu cicho wojskowy. - Że ktoś ją śledzi i że zaraz zapewne umrze.

\* \* \*

Pułkownik Jan Dąbek, dowódca 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancерnej przeciskał się przez tłum stojących w korytarzu podróżnych i po raz kolejny kłął w myślach stan usług oferowanych przez Polskie Koleje Państwowe. Jak zawsze obiecywał sobie, że to już ostatni raz, kiedy zdecydował się na podróż do domu pociągiem, i że za miesiąc skorzysta ze służbowego auta z kierowcą albo w ostateczności zabierze żonie samochód i osobiście go poprowadzi. Pozwoliłoby mu to uniknąć tych wszystkich niedogodności związanych ze ściskiem na korytarzach, przesiadkami, upierdliwymi współpasażerami i prawdopodobnie skróciłoby czas podróży z dwunastu do góra siedmiu, ośmiu godzin.

Jakby dla utwierdzenia się w tym postanowieniu już po raz kolejny tej nocy natknął się na swojej drodze na nieoczekiwaną przeszkodę. Jakieś strasznie przerośnięte, tłuste i zaniedbane babsko, które swoim wyglądem kojarzyło mu się jednoznacznie ze źle „przerobionym” transwestytą, stało tuż przed nim i opychając się jakimś czekoladowym batonikiem blokowało mu swoim „małym ciałkiem” całe przejście. Dąbek mógł wybaczyć kobietom prawie wszystko: brzydotę, bezguście, nadmierną tuszę, a nawet głupotę. Ale to wszystko razem wzięte, w połączeniu z tak widocznym u tej kobiety brakiem dbałości o siebie i ordynarnym zwykłym brudem, spowodowało w nim poczucie narastającego w nim rozdrażnienia.

- Przepraszam - mruknął do niej, siłąc się na uprzejmość. - Przepraszam panią uprzejmie - powtórzył po chwili ponownie.

Kobieta jednak nadal stała w miejscu bez ruchu, jakby świadomie udając, że go nie widzi i nie słyszy i nadal zajadała się czekoladowym batonikiem, głośno przy tym mlaszcząc. I to ostatnie podziałało na niego niczym czerwona płachta na byka. Dąbek nie był wysoki. Ale miał w sobie to coś, co sprawiało, że już przy pierwszym zetknięciu mimowolnie wzbudzał u innych szacunek. W końcu był przecież rasowym dowódcą liniowym, który od kilku dobrych lat twardą ręką rządził najmniej medialną, ale za to niewątpliwie najlepszą brygadą pancerną w Wojsku Polskim. I jak większość wojskowych zupełnie nie był przyzwyczajony do braku natychmiastowej reakcji na swoje „grzeczne” prośby. Natychmiast więc poczuł, jak ciśnienie skoczyło mu w górę i gdyby zamiast kobiety stał tam w tej chwili mężczyzna, nie obesłoby się bez kilku „żołnierskich słów”. Ponieważ jednak była to kobieta, Dąbek spróbował się hamować. Sięgał jej zaledwie do ramion, więc uniósł nieco do góry głowę i swoim chropawym, lekko drwiącym,

a jednocześnie nieznośnym jakiegokolwiek sprzeciwu tonem, wycodził:

- Czy jaśnie wielmożna pani raczy wziąć to swoje wielkie, tłuste dupsko i przesunąć się o pół metra w lewo?

Tym razem zaskoczona kobieta spojrzała na niego z przestrachem i chowając się natychmiast do otwartego przedziału, z trzaskiem zatrzęsnęła za sobą drzwi.

- Dziękuję pani uprzejmie - Dąbek skinął za nią cynicznie głową i ruszył dalej. Przechodząc obok drzwi, za którymi zniknęła kobieta, czuł unoszący się jeszcze w powietrzu niezbyt przyjemny zapach ostrego kobiecego potu.

- Co za wstrętna, śmierdząca cipa - mruknął do siebie z obrzydzeniem.

W końcu dotarł do wagonu Warsu. Tam przy barze zamówił sobie kawę i jajecznicę na boczku, a dopiero potem rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś wolnego stolika. Lecz z tym było krucho. Przez ponad minutę stał tak beczynnym w miejscu, aż w końcu otrzymał swoje zamówienie i wtedy jeszcze raz rozejrzał się po całym wagonie. Wszędzie był komplet. Przez chwilę rozważał możliwość zjedzenia jajecznicy przy barze, lecz wtedy zauważył, że kilka stolików dalej zwolniły się właśnie trzy miejsca. Ruszył w tamtym kierunku i już po chwili mógł ku swojemu miłemu zaskoczeniu stwierdzić, że jajecznica ciągle była jeszcze ciepła i że jej zakup to wcale nie był taki zły pomysł. Prawie już kończył, kiedy usłyszał:

- Można?

- Proszę - mruknął cicho i skinął potakująco głową.

Dwie młode i ładne dziewczyny usiadły tuż obok i nie zwracając już więcej na niego uwagi, zajęły się sobą. Przez chwilę słuchał znudzony, jak obgadywały jakiegoś bogu ducha winnego chłopaka za to tylko, że ten umówił się z ich beznadziejną koleżanką, a potem dowiedział się, co one sądzą o najnowszych wzorach bikini na zbliżające się właśnie wakacje.

Miał już serdecznie dość tej bezsensownej babskiej paplaniny i aby móc w spokoju dokończyć swoją kawę, zaczął się rozglądać za jakimś nowym wolnym miejscem. I wtedy nastąpiła diametralna zmiana tematu.

- Ty wiesz, że chyba znalazłam robotę? Idę do wojska!

- No co ty?

Zaintrygowany Dąbek natychmiast nadstawił uważniej uszu i z czystej ciekawości postanowił jeszcze chwilę wytrwać w ich towarzystwie. Przy okazji obrzucił je krótkim, typowo męskim spojrzeniem. Dziewczyny musiały być w wieku jego syna.

Dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata. Obydwie szczupłe, zadbane, z długimi wypielęgnowanymi paznokciami i ze zbyt wyzywającym makijażem na twarzy.

- No mówię ci. Nie żartuję! - kontynuowała dziewczyna. - Poszłam z Markiem do takiego wojskowego urzędu, WKU czy jak to się tam nazywa, bo on ubzdurał sobie, że będzie żołnierzem. A tamci mu mówią, że dla niego to co prawda miejsca w armii nie ma, ale gdyby był magistrem, to wtedy i owszem. No to ja dla żartu im mówię, że ja mam trzy literki bez kropki przed nazwiskiem i też szukam pracy. I czy kobiet ta ich propozycja też dotyczy?

- No i?

- No i ten facet mówi, że jeżeli naprawdę chcę, to pewnie. Tylko że muszę się szybko decydować. No to od razu na miejscu wypisaliśmy wszystkie papiery i zobaczymy. On mówi, że wszystko powinno być OK.

- A co na to Marek?

- Trochę się wściekł. To on chciał być żołnierzem, a poza tym... Miałam jechać do Irlandii, żeby trochę zarobić. Ale jeżeli tu mogę dostawać kasę za nic nierobienie, to w końcu jakoś go udobruchałam - i mrugnęła znacząco do koleżanki okiem. - Może w tym wojsku będzie fajnie. No wiesz. Będę oficerem. Dookoła tylu facetów. - I roześmiały się wesoło.

W tym momencie z kieszeni Dąbka dobiegła głośna muzyka z czołówki *Czterech pancernych*. Pułkownik natychmiast wyjął swojego służbowego samsunga, spojrział na wyświetlony numer i bezgłośnie zaklął. Telefon w środku nocy od bezpośredniego przełożonego, dowódcy dywizji nie mógł oznaczać niczego dobrego.

- Melduję się, panie generale! - rzucił regulaminowo do słuchawki.

Paplanina dziewczyn jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki natychmiast ustała.

- Jest pan na miejscu w Braniewie, panie pułkowniku? - usłyszał dobrze sobie znany głos z charakterystycznym podlaskim akcentem.

- Nie, panie generale. Jestem w pociągu w drodze do domu.

- To niech pan natychmiast wraca. Rano ma się pan u mnie zameldować.

- Zrozumiałem, panie generale.

- No, to do zobaczenia jutra. Cześć.

- Czołem, panie generale.

Rozmowa była skończona. Dąbek mimowolnie zmiął w ustach kolejne przekleństwo. Słowo „natychmiast” w tej sytuacji miało znaczenie lekko ironiczne. Spojrział na zegarek. Była prawie druga w nocy i do najbliższej stacji było jeszcze z pół godziny jazdy. Potem

przesiadka i nie wiadomo jak długie oczekiwanie na pociąg powrotny. Następnie kilkugodzinna jazda z powrotem do Elbląga, skąd prawdopodobnie i tak będzie musiał go odebrać jego kierowca, żeby go zawieźć do Braniewa. A miał chłopak w końcu mieć wolne...

Przez chwilę zastanawiał się, co też mogło się takiego wydarzyć, że dowódca dywizji osobiście pofatygował się do niego zadzwonić i to o takiej porze. Jakiś wypadek? Ktoś się nachlał i narozrabiał? A może jednak coś poważniejszego? Podniesienie gotowości bojowej w związku z wydarzeniami na Ukrainie? Przecież dowódca dywizji dobrze wiedział, że Dąbek w ten weekend planował wyjazd do domu. A dom miał daleko, bardzo daleko... I nie był tam już ponad dobre dwa miesiące. Westchnął ciężko, dopił ostatni łyk kawy i spojrzał na siedzące obok niego dziewczyny. Obie trzymały swoje filiżanki w rękach i unikając jego wzroku, w milczeniu patrzyły przez okna na mijane zaciemnione wsie i miasteczka.

Pułkownik podniósł się z miejsca i zrobił pół kroku naprzód, aby opuścić wagon restauracyjny. Nagle jednak przyszło mu coś do głowy. Zatrzymał się, zrobił w tył zwrot i pochylił się nad przysłą panią oficer. W jego nozdrza ponownie uderzył intensywny zapach zdecydowanie zbyt słodkich jak na jego gust perfum.

- Niech pani jedzie lepiej do tej swojej Irlandii - powiedział wolnym, lekko chrapliwym i wyraźnie zdegustowanym głosem. - W Wojsku Polskim nie potrzeba nam takich oficerów jak pani. Nawet w Warszawie. Chociaż tam akurat nie ma zbyt wielu prawdziwych żołnierzy. Rozumie pani?

Zaskoczona dziewczyna patrzyła na niego z otwartą szeroko buzią.

- Rozumie pani? - powtórzył cicho Dąbek.

- Tak... - wyjąkała.

- Pułkowniku. Mów mi dziewczynko: „panie pułkowniku”.

- Tak, panie pułkowniku - I jak zahipnotyzowana skinęła potakująco głową.

- Do widzenia paniom.

Dąbek odwrócił się i wolnym krokiem skierował się z powrotem do swojego przedziału. Idąc korytarzem, pomyślał z niesmakiem o przyszłości polskiej armii. Jak ma być w niej dobrze, skoro niekompetencja i bylejakość zaczynała się już na samym początku. W momencie doboru przyszłych kadr dowódczych. Jakim bowiem prawem, takim oto bezideowym i bezmózgowym laleczkom Barbie jakieś urzędasy z WKU umożliwiały zostanie niemalże z miejsca oficerami Wojska Polskiego? A przecież u siebie w brygadzie miał dziesiątki podoficerów i szeregowych z tytułami magistrów.



Facetów z doświadczeniem po misjach w Kosowie, Iraku czy Afganistanie. Otraskanych z prawdziwą żołnierką i mających pojęcie, na czym ten zawód polega i jakich predyspozycji oraz wyrzeczeń od człowieka wymaga. Westchnął zrezygnowany. A potem pomyślał jeszcze o żonie. I znowu bezgłośnie zaklął. Wiedział, że ta rozmowa też nie będzie dla niego łatwa ani przyjemna. I to pomimo, że zawsze publicznie powtarzał swój oklepany wojskowy slogan: „w życiu żołnierza zawodowego rodzina nigdy nie może być na pierwszym miejscu”.

\* \* \*

Tomasik wszedł do pustawej Bazyliki Mariackiej w Gdańsku i wolnym ruchem zrobił znak krzyża. Rozejrzał się uważnie dookoła, lecz wśród wchodzących i wychodzących pojedynczo wiernych nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Przeważali ludzie samotni i starsi. Skromnie, lecz czysto ubrani. Cisi i poważni. Zresztą nie było się co dziwić. Była sobota, dziewiąta rano. Zwykli turyści zapewne jeszcze wypoczywali po wieczornych imprezach, a wszyscy inni prawdopodobnie odsypiali cały tydzień harówki. Tomasik umówił się tu na spotkanie z Jarkiem, bo uznał, że to dobre i bezpieczne miejsce. Centrum miasta, blisko hostelu, w którym nocował, tuż obok komisariatu Policji Gdańsk Śródmieście.

Nie był tu już kilka ładnych lat. I teraz po raz kolejny mógł się przekonać, jakie ten kościół ciągle wywiera na nim wrażenie. Stare ceglane mury, stawiane jeszcze pod nadzorem rycerzy z zakonu Najświętszej Marii Panny powszechnie nazywanych Krzyżakami, które w razie potrzeby mogły pomieścić w sobie około czterdziestu tysięcy wiernych. Zabytkowe katafalki, podłoga wyłożona płytami nagrobnymi starych gdańskich rodów, przepiękne ołtarze... Nawet dziś trudno mu było zrozumieć, jak kilkaset lat temu ówczesni ludzie potrafili zaprojektować i zbudować tak trwałe i okazałe budynki w tak doskonałych proporcjach. Żałować tylko należało, że nie przetrwał on w zbyt dobrym stanie zawieruchy wojennej i mimo że został pieczołowicie odbudowany przez Polaków po czterdziestym piątym roku, to ciągle nie było w nim wielu bezcennych dzieł sztuki, obrazów i rzeźb. Wywiezionych i ukrytych przez Niemców lub ukradzionych przez zdobywających Gdańsk żołnierzy armii radzieckiej.

Tomasik szedł wolnym krokiem, obchodząc całą bazylikę dookoła i udając, że skupia się tylko i wyłącznie na oglądaniu mijanych rzeźb, obrazów i kapliczek. Tymczasem lustrował wszystko i wszystkich pod kątem ewentualnego zagrożenia. Kiedy

dotarł w końcu do kopii jednego z najbardziej znanych dzieł sztuki w polskich zbiorach, oryginału pokazywanego obecnie w Muzeum Narodowym w Gdańsku obrazu Hansa Memlinga *Sąd ostateczny*, zatrzymał się i mimowolnie zamyślił. Ten obraz, mimo że był tylko kopią, miał w sobie coś fascynującego. Coś, co nie pozwalało oderwać od niego wzroku i co zmuszało do zastanowienia się nad marnością ludzkiego życia i tego, co czekało nas po śmierci.

W tym momencie kątem oka zobaczył, jak do kruchty wchodzi Jarek. Policjant zatrzymał się i dopiero wtedy go zauważył. Skinęli sobie na przywitanie głowami i już po chwili stali obok siebie i wpatrywali się uważnie w piętnastowieczne arcydzieło.

- Robi wrażenie, co? - mruknął półgłosem Tomek.

- Nie da się ukryć. Zwłaszcza ta strona po lewej.

Tomasik patrzył na artystyczną wizję Memlingowskiego piekła. Kotłujące się w ścisku nagie, powyginane ciała kobiet i mężczyzn. Popychane i selekcjonowane przez bezwzględne diabły. Widział ich przerażone i ogłupione strachem twarze. Kłębiący się dym i ogień...

- Masz rację - uśmiechnął się lekko. Na krótką chwilę zapadło milczenie. Do kruchty weszła kilkusobowa grupka starszych wiekiem turystów z Niemiec.

- To co robimy? - zapytał szeptem Tomasz. - Może usiądziemy?

- Uhm.

Wyszli z kruchty i skierowali się na środek kościoła do jednej z wolnych ławek. Usiedli obok siebie.

- I czego się dowiedziałeś? - szepnął Tomasz.

Jarek westchnął i wykrzywił usta w lekkim grymasie.

- Dziewczyna nazywała się Iwona Tuszyńska. Dziewiętnaście lat. Była koleżanką tej twojej Martyny - relacjonował półgłosem. - Oficjalna wersja jest taka, że została potrącona przez nieznaną sprawcę w nocy ze środy na czwartek, na leśnym odcinku drogi między Dąbrową a Wiczlinem. Śmierć na miejscu. We krwi miała prawie dwa promile alkoholu. Przy sobie nie miała żadnych dokumentów, pieniędzy, nawet telefonu. Tożsamość ustalono dopiero wczoraj wieczorem. Sprawca ciągle nieznaną. Zbiegł. Jego poszukiwania trwają. I to wszystko. Koniec sprawy.

- A nieoficjalnie?

- I tu właśnie jest problem. Nie ma „nieoficjalnie”.

- Nie rozumiem.

- Po prostu... Nikt nic nie słyszał. Nikt nic nie powie. Chłopaki, którzy podpisali się na raportach z oględzin wypadku, nabrali wody w usta i milczą. Mówią, żeby przyjść do nich z oficjalnym pismem albo żeby się od nich odwalić i dać im spokój.

- Czyli ktoś z naszych tajemniczych przyjaciół już z nimi

rozmawiał - domyślił się Tomasz.

- Na to wygląda.

- A ten jej brat? Mówiłeś, że dzwoniła do niego niedługo przed śmiercią.

- No właśnie. To niby jego jedyna rodzina. Nikogo więcej nie miał. Ich starzy zginęli w zeszłym roku w wypadku gdzieś pod Warszawą. I ona rzeczywiście do niego dzwoniła. I to nawet kilka razy.

- No i?

Jarek spojrzał mu prosto w oczy.

- I tu jest mała zagadka. Najpierw nie odbierał, bo ponoć był zajęty. A potem, gdy już w końcu to zrobił, to usłyszał, że ktoś ją chyba śledzi i że zaraz pewnie ją zabiją.

- I?

- I nic!

- Jak to? - Tomasz był zaskoczony. - Jego jedyna siostra, jedyna rodzina, wydzwania do niego po nocy i mówi mu, że jest śledzona i że boi się, że zaraz ją ktoś zabije, a on to olewa?

Jarek westchnął cicho i rozejrzał się uważnie dookoła.

- Ponoć myślał, że robi sobie z niego jaja albo po prostu panikuje. Widzisz... Oni nigdy nie potrafili ze sobą rozmawiać. Może to wina różnicy wieku? Po prostu nie dogadywali się. A po śmierci rodziców te nieporozumienia się jeszcze pogłębiły. To on miał wtedy jechać ze starymi do tej Warszawy. Ale coś mu wypadło w robocie i za kierownicą usiadł ich ojciec. A facet był schorowany, miał zaawansowaną cukrzycę i cholera wie co jeszcze. Właściwie to w ogóle nie powinien prowadzić. No i zasnął czy zasłabł. Efekt był taki, że doszło do wypadku. Od tego czasu prawie ze sobą nie rozmawiali, a jeżeli już, to zawsze kończyło się to kłótnią.

- A ta zagadka? - zniecierpliwiał się Tomasz.

Jarek zawiesił na chwilę głos.

- Hm, wiesz, kim był ich stary?

- No?

- Emerytowanym pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego!

- No i? - Tomasz wzruszył bezrefleksyjnie ramionami. Ta informacja nie zrobiła na nim większego wrażenia. - Co to ma wspólnego z nami?

Jarek uśmiechnął się krzywo.

- Oj, Tomuś, Tomuś. Zostając belfrem, zatraciłeś instynkt śledczego. Ten facet spędził dwadzieścia pięć lat w WSW czy WSI, czy jak tam to gówno się wcześniej nazywało! W tym prawie dziesięć na placówce w Moskwie!

Tomasz pokiwał głową.

- I tego wszystkiego dowiedziałeś się w trakcie jednej rozmowy z koleśkiem?

- Uhm.

- To rzeczywiście nieźle. Ale zastanawia mnie w tym wszystkim jedna rzecz...

- Mianowicie?

- Co z tego dla nas wynika? Jak to się ma do śmierci moich uczniów? Tej Iwony, pani Wojciechowskiej, Grubego i tego wszystkiego, co się wokół nas ostatnio działo?

Jarek chciał już coś odpowiedzieć, lecz wtedy tuż za ich plecami rozległo się znaczące pojedyncze kasznięcie. Zaskoczeni obydwaj drgnęli. Ale na ich szczęście to tylko starsza, mocno posiwiata kobieta patrzyła na nich ze zgorzeniem i mruzczała pod nosem:

- Co za młodzież. Wstydu nie mają. O takich rzeczach w kościele opowiadać...

Tomasz poczuł rozbawienie. Rzeczywiście trochę się zapomnieli. Ale najbardziej rozśmieszyło go nazwanie facetów grubo po trzydziestce młodzieżą.

- Przepraszamy - uśmiechnął się rozbrajająco do zaaferowanej staruszki. - Piszemy scenariusz do nowego odcinka *Ojca Mateusza*. Teraz nasz detektyw w sutannie będzie w Gdańsku i pomoże tutejszemu proboszczowi. To będzie naprawdę ciekawa historia. Przepraszamy.

Zaskoczona kobieta zastygła w bezruchu, a Jarek z Tomaszem z trudem panując nad ogarniającym ich śmiechem, podnieśli się czym prędzej z ławki i odwrócili w stronę wyjścia. I wtedy tuż przy głównej nawie, zaledwie kilkanaście metrów od siebie, Tomasiak wyłapał nagły i zbyt gwałtowny ruch głową młodego i bardzo krótko ostrzyżonego mężczyzny. Natychmiast zapaliła mu się lampka ostrzegawcza.

- Miałeś ogon? - zapytał szeptem Jarka.

- Nie sądzę.

- A ten koleś? - wskazał go dyskretnie.

Kątem oka zobaczył, jak poirytowany policjant zmiął pod nosem jakieś ciężkie przekleństwo i niemalże odruchowo sięgnął w kierunku broni.

- Spokojnie - syknął Tomasz. Miał nadzieję, że to tylko przypadek, że się pomylił. - Jeżeli jest od nich, to nie jest sam.

Mężczyzna odwrócił się do nich plecami i z zadartą do góry głową udawał, że podziwia znajdujące się nad wejściem piękne zabytkowe organy.

Przyjaciele zrozumieli się bez słów. Wyszli zza ławy, każdy z innej strony i natychmiast ruszyli w kierunku bocznego wyjścia,

które znajdowało się na przodzie bazyliki. Lecz już po kilku krokach jak na komendę stanęli w miejscu i spojrzeli na siebie z wściekłością w oczach. Właśnie w tym momencie wejściem, do którego zmierzali, wchodziło dwóch, około trzydziestoletnich mężczyzn o twarzach, które nie mogły mieć nic wspólnego z wiernymi Kościoła katolickiego ani z turystami chcącymi zwiedzić sławną świątynię. Obydwaj w znaczący sposób trzymali po jednej ręce schowanej pod połami rozchylnych sportowych bluz i patrząc na nich, kiwali z politowaniem głowami.

- Cholera! - zaklął cicho Jarek. - Chyba nie zastrzelą nas w biały dzień na oczach tylu ludzi!?

- Wracamy! - zakomenderował Tomasz.

I nie czekając na reakcję Jarka ani tajemniczych mężczyzn, rzucił się w kierunku bocznej nawy, gdzie znajdowało się wejście na kilkudziesięciometrowej wysokości wieżę z tarasem widokowym na szczycie. Policjant biegł tuż za nim, a stojący dotąd z zadartą głową „obserwator zabytkowych organów” wykonał gwałtowny zwrot i jednym płynnym ruchem wyciągnął spod marynarki pistolet z przykręconym do niego tłumikiem.

Zanim padł pierwszy strzał, ktoś głośno krzyknął. Kula świsnęła tuż obok ucha Tomasz, a biegnący za nim Jarek siłą rozpędu przewrócił na ziemię próbującą interweniować przeciwko ich bezprawnemu wejściu na wieżę staruszkę.

- Cholera! - wrzasnął Jarek, kiedy tylko zniknęli za załomem z grubej ceglanej ściany.

- Spokojnie - szepnął uspokajająco Tomasz i zza paska od spodni wyszarpnął swoją broń. - Idź przodem i dzwoń po kawalerię! Ja ich tu trochę spowolnię.

Policjant wyminął kolegę bez słowa i biegnąc po wąskich i krętych schodach do góry, zaczął wybierać numer alarmowy policji. Tomasz wycofywał się powoli tyłem i z napięciem patrzył w dół. Wolał nawet nie myśleć, jakim cudem ci ludzie ich znaleźli i kim byli. Na razie starał się po prostu skupić na próbie przetrwania kilku najbliższych minut. Idąc, słyszał wydzierającego się do telefonu Jarka i nasłuchiwał jakichkolwiek odgłosów z dołu. Jego serce biło tak mocno, że w pierwszej chwili nie wyłapał pojedynczego stuknięcia, biorąc je za wytwór własnej wyobraźni. Lecz kiedy odgłos się powtórzył, nie miał już wątpliwości. Przeciwnik nie zrezygnował. Szedł ostrożnie za nimi. Nadchodził...

Tomasz przykucnął i spiął się w sobie. Minęła sekunda. Potem druga. I wtedy zobaczył wyłaniającą się z zaokrąglonej ściany dłoń uzbrojoną w pistolet z dokręconym tłumikiem. Nie czekał. Pociągnął za spust. Jego broń nie miała wytłumienia. W ceglany

i wąskim korytarzu huk wystrzału zabrzmiał niczym wybuch granatu. Aż mu zadzwoniło w uszach. Z dołu dobiegł go krzyk bólu i stek rosyjskich przekleństw. Słyszając to, zacisnął mocniej szczęki i ponownie pociągnął za spust. Wystrzelił szybko trzy razy, mierząc wprost w znajdującą się poniżej i oddaloną zaledwie o niecały metr ścianę. Kule odbijane od kilkusetletnich ceglówek rykoszetowały i leciały w dół, siejąc zamęt i zamieszanie. Huk wystrzałów, rosyjskie i polskie przekleństwa, stukot stóp i spadających ciał. To wszystko zlewało się w jeden straszny harmider. Wykorzystując to, Tomasz odwrócił się i na czworakach rzucił się schodami do góry. Po chwili niemalże wpadł na czekającego na niego Jarka.

- Ilu i kto? - zapytał nerwowo policjant.

- Nie wiem. Dwóch. Może trzech... Chyba Rosjanie!

- Niedobrze. Moi powinni tu być za kilka minut. Słuchaj, Tomek... - na chwilę przerwał - bez względu na wszystko, co się jeszcze będzie działo. Jestem po twojej stronie! Zawsze! Pamiętaj o tym!

Tomasik spojrzał mu uważnie w oczy i skinął ze zrozumieniem głową. Wymijając przyjaciela, skinął mu na pożegnanie ręką. W tej chwili nie miał czasu na analizę słów Jarka. Musiał uciekać. Wiedział, że liczy się każda sekunda, bo policja chcąc złapać sprawców strzelaniny, z całą pewnością w pierwszej kolejności zablokuje wyjście znajdujące się po drugiej stronie bazyliki.

Biegł, ile tylko miał sił w nogach. Wąskie, kręte, niskie stopnie. Półmrok i brak dziennego światła. Do tego unoszący się w powietrzu i powodujący mdłości zapach ostrego męskiego potu po którymś z przechodzących niedawno turystów. To wszystko sprawiało, że czuł się oszołomiony, jakby dopiero co zszedł z kręcącej się karuzeli. Miękkie kolana, lekki zawrót głowy i brak tlenu w płucach potęgowane uczuciem niepokoju i zwykłego ludzkiego strachu nie dodawały mu poczucia pewności siebie. Zobaczył przed sobą odpoczywającą parkę starszych wiekiem, biednie ubranych ludzi. Patrzyli na niego lekko zdezorientowanym i zaciekawionym jednocześnie wzrokiem.

- Nie wie pan, co tam się dzieje na dole? - zapytał zaintrygowany mężczyzna.

I widocznie dopiero teraz zauważył trzymany przez Tomasza w ręku pistolet, bo zbladł gwałtownie i przyłgnął do ściany, jakby za chwilę miał zejść z tego świata na zawał.

- Bandyeci mnie gonią! - wysapał do niego próbujący wyrównać oddech Tomasik. - Uciekajcie!

Wyminął przerażoną parkę i już po chwili wydostał się z wąskiego i krętego korytarza, wchodząc na pierwszą z kilku

kolejnych, wyłożonych betonowymi płytami platform. Był już w wieży. Jego wzrok prześliznął się po przestronnym gmachu i zatrzymał na robiących imponujące wrażenie dzwonach. Mam nadzieję, że nie będą teraz dzwonić – przemknęło mu bez sensu przez głowę. Zauważył zejście. Pusto – pomyślał z nadzieją.

Zrobił pierwszy krok i w tym momencie stanął w nich niski, około trzydziestoletni mężczyzna ubrany w dżinsową bluzę i policyjną czarną czapkę z daszkiem. Widokiem Tomasza był najwyraźniej zupełnie zaskoczony. W rękę bowiem, zupełnie się z tym nie kryjąc, trzymał opuszczony ku dołowi pistolet z dokręconym tłumikiem. I to go zgubiło. Tomasik nie miał żadnych wątpliwości, że to nie może być prawdziwy policjant. Nawet nie próbował z nim negocjować. Po prostu uniósł do góry swoją broń. Wymierzył i pociągnął za spust. Zobaczył, jak mężczyzna trafiony w prawe ramię zostaje odrzucony do tyłu i upada na ziemię niczym uderzona z potężną siłą szmaciana lalka. Schodzący akurat schodami w dół zaskoczeni niemieccy turyści stanęli w miejscu jak wryci.

- *Achtung! Das ist der russisch Bandit!* – ryknął wyjaśniająco Tomasz i wskazał na wijącego się z bólu mężczyznę. - *Ich bin polnisch Polizist!*

I skoczył do wyjścia. Lecz tam wyłaniał się już kolejny przeciwnik. Niski i krępy czterdziestolatek o pokrytej bliznami po ospie twarzy. Podobnie jak jego kolega, widokiem Tomasza wydawał się całkowicie zaskoczony. Najwyraźniej obydwaj mężczyźni zupełnie nie liczyli się z tym, że może on dotrzeć aż tutaj, a swoje zadanie traktowali bardziej jako formalność, wykonanie czyichś rozkazów niż rzeczywistą możliwość spotkania z nim i konieczność interwencji.

Tomasik nie miał czasu na złożenie się do strzału. Tym bardziej że mężczyzna słysząc huk wystrzału i widząc padającego na ziemię kolegę, uniósł do góry broń i zdołał ją już nawet przeładować. Tomasik wpadł na niego w pełnym biegu i masą swoich blisko osiemdziesięciu kilogramów przewrócił do tyłu na plecy.

- Ty skurwysynu! – wysapał mężczyzna po polsku, próbując jednocześnie złapać Tomasza za gardło.

Lecz w tej samej chwili otrzymał pierwszy cios pięścią i to centralnie w sam środek nosa. Niemieccy turyści rozpięchli się przestraszeni na boki i rzucili do panicznej ucieczki. A mężczyzna poczuł, jak przez krótką chwilę robi mu się jakoś tak dziwnie błogo i ciepło, lecz kolejne uderzenie sprawiło, że tym razem nie było już tak przyjemnie. Krew ze zmiażdżonego nosa i rozciętych warg zalewała mu oczy i gardło. Na jego twarz, mostek oraz wątrobę

spadały kolejne ciosy, po których czuł już tylko, jak uchodzi z niego świadomość, a wszelka chęć do choćby nawet biernej obrony, zanika. W końcu mimo oszołomienia zdołał usłyszeć:

- Kto was nasłał?! Słyszysz?! Kto kazał wam mnie zabić?!

Mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie rozgorączkowane dłonie rozjuszonego do ostateczności Tomasza zacisnęły się mu na gardle i pozbawiły oddechu.

- Mów sukinsynu! Bo cię uduszę!

Mężczyzna poruszył bezgłośnie ustami. Potrzebował powietrza!

- Mów! - słyszał jak przez mgłę.

Zatrzepotał bezradnie rękami, uderzając dłońmi o podłogę w powszechnie znanym geście poddania. Ucisk zelżał i wtedy zdołał wykonać dwa szybkie wdechy. I nagle poczuł jak ciepła lufa pistoletu wwierca mu się w oko.

- Liczę do trzech! - sapał groźnie Tomasz. - Kto was nasłał?! Raz! Dwa!

- Tomasik - wycharczał słabo bandyta.

- Kto?!

- Tomasik! Kapitan Tomasz Tomasik! Z kontrwywiadu wojskowego!

Tomasz nie wierzył w to, co słyszy.

- To kłamstwo! - krzyknął zaskoczony. - Kto ci to powiedział?!

- On sam.

- A jak wyglądał?

- Jak ty!

Tomasik w głowie miał chaos. Kompletnie nie wiedział, o co tu chodzi, i zupełnie nie miał czasu na jakiegokolwiek analizy. Wiedział tylko, że w każdej chwili może się tu zjawić policja albo kolejni zabójcy.

- Dawaj swój telefon! - rozkazał krótko.

Mężczyzna udawał, że nie słyszy.

- Telefon! - wrzasnął Tomasz i lufą pistoletu o mało co nie wydlubał mu oka - I odblokuj!

Mężczyzna drżącą ręką wyszarpnął z kieszeni komórkę i jednym palcem zdjął blokadę. Teraz Tomasz uniósł się lekko do góry i bez cienia współczucia uderzył go mocno kolbą pistoletu w głowę. Widział, jak mężczyznę zamroczyło. Powtórzył uderzenie. Potem włączył otrzymany aparat i wszedł w rejestr ostatnio wykonywanych połączeń.

- Mój Boże - pomyślał z przestraczem, widząc znajome numery.

- Tylko nie to...

Musiał natychmiast uciekać. Podniósł się pośpiesznie do góry, lecz zanim zdążył unieść głowę, usłyszał:



- Stój! Policja! Rzuć broń!

\* \* \*

Pułkownik Jan Dąbek szedł dobrze sobie znanym opustoszałym korytarzem sztabu 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej w Elblągu i po raz setny zastanawiał się nad przyczyną wezwania go na rozmowę do dowódcy dywizji. W końcu dotarł do drzwi z umocowaną złotą tabliczką z napisem „Dowódca, gen. dyw. Bogdan Skórnicki”. Zatrzymał się i zastukał. Drzwi uchyliły się prawie natychmiast i stojący w nich chorąży powiedział.

- Proszę, panie pułkowniku. Pan generał czeka.

Dąbek przeszedł przez gabinet adiutantury i już po chwili stanął w otwartych drzwiach kancelarii swojego przełożonego.

- Melduję się, panie generale!

- Cześć, Janek! Wchodź!

Pułkownik wszedł do środka i od razu oprócz witającego go dwugwiazdkowego generała zauważył siedzącego w eleganckim fotelu znajomego mężczyznę w szarym, cywilnym garniturze.

- Witam, panie pułkowniku - mężczyzna wstał i wyciągnął do niego na przywitanie rękę.

- Dzień dobry, panie poruczniku.

Młody przystojny mężczyzna, w modnych okularach z cienkimi drucianymi oprawkami i drogimi szklami był jego oficerem obiektowym, czyli przedstawicielem Służby Kontrwywiadu Wojskowego, który sprawował bezpośredni nadzór kontrwywiadowczy nad obiektami i żołnierzami jego brygady. Co prawda porucznik w żaden sposób mu nie podlegał, ale ze względów służbowych był bardzo częstym gościem u niego w Braniewie i obydwaj panowie czasami musieli ze sobą współpracować.

- Siadaj, Janek - generał wskazał mu fotel. - Kawa?

- Poproszę.

- Adiutant!

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

- Kawa dla pana pułkownika!

- Tak jest!

Chorąży zniknął za drzwiami i generał spojrzał poważnie na swojego najlepszego, ale jednocześnie najbardziej krnąbrnego dowódcę brygady.

- Słuchaj, Janek, wiem, że zawróciłem cię z drogi do domu, ale urodziły się dwie, niecierpiące zwłoki, bardzo poważne sprawy.

Dąbek skinął ze zrozumieniem głową.

- Pierwsza - w ten wtorek, koło południa, będziesz musiał wykonać strzelanie w Orzyszu! Kierowanie ogniem! I to na ostro! Całym plutonem twoich Twardych. I to koniecznie z wykorzystaniem tego nowego urządzenia... Jak ono się nazywa?

- Po prostu całkiem nowy System Kierowania Ogniem!

- No! Bo właśnie o te urządzenia chodzi. Przyjadą jakieś ważniaki z zagranicy, o kraj pochodzenia nie pytaj! Będą mieli ze sobą kilku specjalistów, którzy mają mieć o tym jakieś pojęcie. Dlatego nie może być żadnej ściemy. A rzecz w tym, że oni są zainteresowani zakupem tego SKO. Chodzi o grubą kasę i do tego dochodzi też polityka. Rozumiesz?

- Rozumiem, panie generale.

- Wielu naszym ważniakom i panom z tak zwanego biznesu bardzo zależy, żeby wszystko wyszło na piątkę i żeby nie było żadnej „zmoki”!

- Rozumiem, panie generale.

- Wiem, że jest mało czasu. W poniedziałek musisz wykonać transport. Wieczorem chłopcy potrenują, postrzelają. A następnego dnia zrobią wzorowy pokaz i w nagrodę wrócą do domu!

- Rozumiem, panie generale.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie.

- Wejść! - krzyknął Skórnicki.

Adiutant postawił przed Dąbkiem kawę i natychmiast wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Tylko żeby nie było jak na tych ostatnich zawodach! - kontynuował generał. - Te twoje asy spieprzyły wtedy wszystko, co tylko można było spieprzyć! Jeżeli to się powtórzy, to przeniosę ich wszystkich do Żurawicy pod Przemyślem! I to razem z tym twoim Alojzym Dzbanem na czele! A wtedy to ich własne żoneczki im pięknie podziękują. Bo żeby dotknąć gołej kobiecej dupy, będą musieli robić zrzutki na dziewczyny z burdelu. Zrozumiałeś, Janek?!

- Tak jest, panie generale! - Dąbek mimowolnie przypomniał sobie historię ostatnich dywizyjnych zawodów użyteczno-bojowych.

Wówczas to po trzech konkurencjach żołnierze z jego brygady mieli tak dużą przewagę punktową nad drugą ekipą, że w ostatniej konkurencji, czyli strzelaniu ze studwudziestopięciomilimetrowej armaty czołgowej, wystarczyło im, żeby chociaż dwa z czterech wozów trafiły w cel. I zwycięstwo byłoby ich. Wszyscy dowódcy brygad, szefowie sztabów i szkolenia z 16. dywizji składali mu już mniej lub bardziej szczerze gratulacje. A tu niespodzianka. W decydującym momencie z jego czterech „asów” trafił tylko jeden. Najprostsze z możliwych strzelań, które każdy z jego działonowych wykonywał na piątkę dziesiątki razy i to z zamkniętymi oczami,

nagle im „jakoby” nie wyszło. Dąbek szybko rozwikłał zagadkę i doszedł do prawdy. Jak każdy dobry dowódca miał swoich informatorów niemalże w każdym pododdziale. I dzięki temu dowiedział się o zмовie całego 3. batalionu czołgów przeciwko swojemu bezpośredniemu przełożonemu, czyli podpułkownikowi Alojzowi Dzbanowi. Żołnierze liczyli, że po takiej wpadce dowódca brygady pozbędzie się znienawidzonego przez nich Dzbaną, i dla takiego rozwiązania gotowi byli zaryzykować nawet poważne dla siebie nieprzyjemności. Początkowo Dąbek rzeczywiście wpadł w szal. Przecież to był prawie otwarty bunt! Ale kiedy ochłonął, zobaczył twarz zawiedzionego wynikiem i nic z tego nierozumiejącego młodego dowódcy plutonu, który brał udział w zawodach i najwyraźniej nie był wtajemniczony w spisek – sprawę przemyślał i postanowił zrezygnować z jej publicznego roztrząsania. Wiedział już, jak tę porażkę przekuć w ostateczny sukces. Udał więc po prostu, że o niczym nie wie, a porażka w zawodach była normalnym i niezamierzonym „wypadkiem przy pracy” i że „takie rzeczy się przecież zdarzają”. Sprawa rozeszła się więc po kościach, podpułkownik Dzban miał jeszcze jeden pretekst, żeby dokręcić śrubę swoim żołnierzom, co było według niego najlepszą dla nich karą, a on, pułkownik Dąbek, wiedział, że dzięki temu jego „chłopcy” staną się jeszcze lepsi w swojej robocie.

- Sytuacja z zawodów się nie powtórzy! - zapewnił więc przełożonego z lekkim uśmiechem.

- Ja myślę! A teraz druga kwestia! - odwrócił się w kierunku oficera SKW. - Panie poruczniku, proszę wtajemniczyć pana pułkownika w prowadzoną przez siebie sprawę.

Młody porucznik poprawił się lekko w fotelu i spojrzał pułkownikowi prosto w oczy.

- Czy zna pan pułkownik starszego szeregowego Adriana Malinowskiego z 3. batalionu czołgów? - zapytał.

- Tak. Znam wszystkich czołgistów ze swojej brygady!

- Sprawa dotyczy właśnie jego.

- Więc słucham pana, panie poruczniku. Co on takiego znowu zmalował?

\* \* \*

Tomasik był zaskoczony. Mimo że komisariat policji przy ulicy Pivnej znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów od Bazyliki Mariackiej, to wyprowadzający go z niej funkcjonariusz kazał mu wejść do stojącego na tyłach świątyni radiowozu i nic nie mówić.

- Niech się pan posunie - popchnął go delikatnie i usiadł tuż

obok. - Jedź! - rozkazał kierowcy.

Samochód ruszył ulicą Lawendową i przemieszczał się w kierunku Śródmieścia. Zdziwiony Tomasz widział przez okno, jak do świątyni podjeżdża ambulans pogotowia ratunkowego z włączonymi sygnałami, a kilka sekund później jak z drugiej strony nadbiega kilku wyraźnie podenerwowanych umundurowanych policjantów z bronią.

Radiowóz nie zatrzymywał się. Siedzący obok niego funkcjonariusz warknął.

- Ręce! - Tomasz spojrział na niego niepewnie. - Ręce! - powtórzył groźnie gliniarz.

Tomasz wyciągnął w jego stronę skute kajdankami dłoń. Policjant wyjął z kieszeni małą kluczyk i jednym sprawnym ruchem uwolnił go z bransoletek, które natychmiast schował do pokrowca przy pasie. Auto skręciło w prawo.

- Przygotuj się! Za chwilę wysiadasz! - powiedział już grzeczniejszym tonem.

Tomasz nic z tego nie rozumiał. Patrzył nieufnie na gliniarza, a przez głowę przelatywały mu różne głupie myśli. Nagle auto zatrzymało się na parkingu tuż obok baszty Łabędź i pobliskiego hotelu Hilton. Policjant siedzący z przodu odwrócił się i żując nonszalancko gumę, wyciągnął w jego kierunku zabranego mu w czasie aresztowania glocka. Po chwili dołączył do niego dwa pełne magazynki.

- Tylko nie zacznij do nas strzelać - mruknął, wciskając mu do ręki broń. - A teraz wysiadka. I nie bój się - dodał, jakby czytając w jego myślach. - Nie zastrzelimy cię podczas próby ucieczki. - I uśmiechnął się.

Tomasz schował pistolet i drżącymi lekko rękoma odsunął drzwi.

- Dlaczego? - zapytał, zatrzymując się i patrząc intensywnie prosto w oczy jednego z funkcjonariuszy.

Policjant przez długą chwilę wytrzymywał to spojrzenie, aż nagle wykrzywił twarz i bez jednego słowa zatrzasnął mu tuż przed samym nosem drzwi. Radiowóz odjechał. Zdezorientowany Tomasz przez blisko minutę stał tak jeszcze bez ruchu na środku parkingu, próbując zrozumieć to, co właśnie się wydarzyło.

Dookoła niego parkowały jakieś auta. Dziesiątki turystów zmierzały w kierunku Długiego Pobrzeża i płynącej leniwie Motławy. Z pobliskiego technikum łączności właśnie wybiegła grupka roześmianej młodzieży i ruszyła w kierunku wody.

- Cholera - mruknął do siebie pod nosem Tomasz. - Ja ciągle żyję...

Rozejrzał się dookoła. Był w Gdańsku. Swoim ukochanym mieście. Na czystym niebie świeciło piękne słońce. Trawa ciągle była zielona. Mijający go ludzie w większości byli uśmiechnięci i wyglądali na szczęśliwych.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, skręcił w lewo i czując jeszcze drżenie na całym ciele, przeszedł kilkanaście metrów w kierunku kamienicy, w której znajdował się sklep spożywczy. Wszedł po schodach do środka i od ładnej, wyraźnie znudzonej blondynki kupił butelkę niepasteryzowanego amberka. Wyszedł na zewnątrz i poszedł w kierunku rzeki. Usiadł na murku pod jedną ze stylowych latarni i otworzył szybko piwo. Przytknął je do ust i wypił kilka chłodnych łyków. Przez chwilę delektował się lekko gorzkawym wyrazistym smakiem, czekając aż organizm znowu zacznie normalnie funkcjonować, aż zniecka dotarła do niego jedna, krążąca mu już od jakiegoś czasu po głowie myśl. Skoro tamci ludzie chcieli nas zabić, to dlaczego nie poczekali spokojnie na zewnątrz bazyliki? Dlaczego i na co tak długo czekali? Po co był ten cały cyrk z fałszywym Tomasikiem, który prawdopodobnie kosztował ich życie co najmniej jednego człowieka?

Przymknął powieki i oczami wyobraźni wrócił do sytuacji sprzed kilkunastu zaledwie minut. Ciągle widział wyświetlony w zabranym od bandyty telefonie znajomy numer.

- Cholera - szepnął do siebie zamyślony. - Dlaczego? Dlaczego właśnie on?

\* \* \*

Wiktor Wiktorowicz stał oparty o poręcz barierki i znudzony wpatrywał się w przepływającą dołem płytką i mętną wodę Raduni. Znajdował się tuż przy Targu Rakowym, w niewielkim parku będącym uroczym zielonym zakątkiem niemalże w centrum Gdańska. Park oddalony był zaledwie kilkadziesiąt metrów od głównej arterii komunikacyjnej trójmiejskiej aglomeracji i najważniejszych urzędów. Jego bezproduktywnie marnowany czas przerwał sygnał telefonu dochodzący z lewej kieszeni spodni.

- Tak - odebrał szybko, nie spoglądając nawet na wyświetlacz.
- Puścili go.
- Rozumiem.

I przerwał połączenie. Przez następną minutę stał nadal zupełnie bez ruchu, zastanawiając się, co z tego może dla niego wyniknąć. W końcu ponownie sięgnął po telefon i wybrał zakodowany numer. Kiedy po drugiej stronie usłyszał znajomy głos, zameldował:

- Są komplikacje. Proszę o wsparcie.

Przez kilkanaście sekund w słuchawce słyszał tylko ciężki, mocno świszczący oddech. Nie wróżyło to niczego dobrego.

- Ilu i do czego? - padło w końcu pytanie zadane mocnym, chropawym głosem.

- Co najmniej ośmiu. Czterech techników ze sprzętem i czterech do akcji bezpośrednio.

W słuchawce rozległ się sztuczny nieprzyjemny śmiech przerwany głośnym atakiem kaszlu. Kiedy ten tylko się skończył, rozmówca zapytał złośliwie:

- Trochę późno na tego typu prośby... Nie uważasz?

- Wiem. - Wiktor zachował spokój. - Myślałem, że pójdzie gładko. Ale jak już powiedziałem, pojawiły się komplikacje.

- Tak. Słyszałem - mężczyzna przerwał zniecierpliwiony. Na kilkanaście długich sekund zapadła cisza. - Dobrze - zdecydował. - Dostaniesz tych ludzi. Przyjadą z miejscowej centrali. Powinni znać teren i być „komunikatywni”. Ale od tej pory koniec z twoją niesubordynacją. Masz być w stałym kontakcie z Konstantinem. Nie chciałbym więcej słyszeć o kłopotach i komplikacjach.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Zdasz wprowadzić ich w sytuację?

- Tak! Dam sobie radę!

- To dobrze... - po drugiej stronie znowu rozległ się kaszel.

Olbrzym czekał cierpliwie aż atak kaszlu się skończy i skupiając wzrok na przechodzącej obok pięknej i seksownie ubranej dziewczynie, analizował swoje następne posunięcie.

- Coś jeszcze? - usłyszał w końcu.

- Tak.

- No?

- Ktoś nam tu bruździ. Domyślam się kto... Ale nie mam pewności dlaczego.

- I?

Seksowna dziewczyna zniknęła za drzewami.

- Proszę o wskazówki.

- Dostaniesz je.

- Dziękuję. To wszystko.

- To dobrze - zapadła chwila ciszy. - Pamiętaj, Wiktorze, bez względu na wszystko zadania mają być zrealizowane, a postawione przed tobą cele osiągnięte! Rozumiesz?!

- Tak.

- Żegnam.

- Do usłyszenia.

I to był koniec. Wiktor schował telefon do kieszeni. Rozejrzał

się. W pobliżu nie było już nikogo. Dopiero koło przystanków autobusowych i przejścia podziemnego robiło się tłoczniej od ludzi spieszących na Starówkę lub przesiadających się na tramwaje w drodze na plażę. Do umówionego spotkania miał jeszcze wolną godzinę. Ziewnął znużony. Stwierdził, że czas coś zjeść. Może na Długiej? – pomyślał. I ruszył w kierunku przejścia podziemnego pod ulicą Okopową.

Jednak zanim zdążył wyjść z za drzew, stanął w miejscu jak wryty. Sekundę później był już schowany za grubym i gęsto ulistnionym bukiem i z niedowierzaniem obserwował przechodzącą kilkanaście metrów od niego trzymającą się za ręce parę.

- Zabiję tych nieudaczników - zgrzytnął wściekle zębami. - Zabiję! Jak oni ich pilnowali?!

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon. Nacisnął klawisz z szybkim wybieraniem i po drugim sygnale usłyszał:

- Da?

- Gdzie oni są? - zapytał po rosyjsku, ruszając przy tym za oddalającą się szybko parą.

- W hostelu.

- Taaak? - przeciągnął znacząco sylabę. - Jeżeli oni są w hostelu, to ty masz u mnie pół litra Stolicznej. Jeżeli nie, to rozwalę ci łeb! Jak myślisz, która z tych dwóch opcji jest bardziej realna?

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Masz przejebane! - wyszeptał z mocą Wiktor i się rozłączył.

Obserwowana przez niego para wyszła już z parku i przeszła wiaduktem nad kolejowymi torami, dochodząc do przejścia dla pieszych koło Urzędu Miasta. Zwolnił. Musiał być bardzo ostrożny. Trzymał dystans. Wiedział, że idący przed nim pozornie zwyczajny mężczyzna nie jest do końca taki, na jakiego wyglądał. W ciągu ostatnich kilkadziesiąt godzin kilkakrotnie zdążył mu się już wymknąć i nieźle przy tym skomplikować i tak niełatwe dla niego zadanie. Idąc za nim, starał się teraz ustalić, czy tylko on ich śledzi. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, ale w gęstniejącym na ulicach tłumie łatwo było coś przeoczyć. Przez chwilę wydawało mu się, że śledzona para zmierza na pobliską komendę policji. Cholera - przemknęło mu przez głowę. Znowu komplikacje.

Lecz w tym momencie w stojącej na czerwonym świetle czarnej hondzie civic otworzyły się drzwi i czekająca dotąd na przejściu para rzuciła się biegiem do auta. Trzasnęły zamykane drzwi. Światło akurat zmieniło się na zielone i rozległ się ryk silnika i pisk palonych opon. Mimo odległości Wiktor widział, jak koła zabuksowały w miejscu a samochód skacze gwałtownie do przodu.

- Job twoju mat! - zazgrzytał wściekle zębami Wiktor.

Mimowolnie zauważył, że nie tylko on został wykiwany. Przynajmniej dwóch innych, stojących w pobliżu mężczyzn, zaczęło nerwowo się za czymś oglądać i szeptać do wyjętych pośpiesznie z kieszeni telefonów. Widział, jak honda znika wśród aut jadących w kierunku Wrzeszcza i jak obcy szpicle klną, składając swoje meldunki. Wiktor uśmiechnął się do siebie. Znowu koleś udowodnił mu, że w tym fachu nie można ufać amatorom.

- Gratuluję, panie kapitanie Tomasik - wycedził cicho do siebie z uznaniem. - Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale to i tak niczego nie zmieni. Ty odwalisz za mnie brudną robotę, a potem i tak cię zabiję. A tę twoją nauczycielską cipę zarucham na śmierć.

\* \* \*

- Cholera! - zaklął Tomasz, kiedy z rykiem silnika ruszyli z miejsca.

Auto na kilkunastu metrach nabrało niesamowitego wręcz przyspieszenia, a potem nagle wyhamowało i nie bacząc na inne pojazdy znajdujące się na skrzyżowaniu, skręciło ostro w lewo w ulicę Trzeciego Maja.

- Prosiłem cię o coś, Dave! - warknął już tylko, z trudem tłumiąc rozdrażnienie. - Miało być dyskretnie!

- Spokojnie, panie profesorze - młody, co najwyżej osiemnastoletni chłopak z wysoko wygolonymi i zaczesanymi do tyłu na żel długimi włosami, wyszczerzył w szerokim uśmiechu zadbane śnieżnobiałe zęby. - Gliny są niegroźne.

- Tu nie chodzi o gliny - przerwała mu Milena, oglądając się nerwowo za siebie. - Tu chodzi o życie!

Chłopak parsknął śmiechem.

- OK, OK - powiedział uspokajająco. - Ale pani profesor to nawet poza pracą też jest taka spięta?

Milena nie odpowiedziała. Minęli Górę Gradową i Plac Zebrań Ludowych. Zataczali wielkie koło i jadąc wzdłuż fortów napoleońskich, kierowali się w stronę Powstańców Warszawskich i dalej, z powrotem, na Kartuską. Zirytowany Tomasik pochylił się nieco do przodu, na tyle, na ile pozwalały na to zapięte pasy, i zapytał poważnym głosem:

- Wiesz, co się stało z Romanem i Krystianem?

Młodzieniec wzruszył obojętnie ramionami.

- Pewnie. Wszyscy wiedzą, panie profesorze. Frajerzy naćpali się pierwszy raz w życiu, i to jakiegoś gówna, i im odbiło. Były u nas gliny i wszystko opowiedziały.

- Policja była drugi raz u nas w szkole? - zainteresowała się



Milena.

- Tak. Gadali z kilkoma chłopakami i jakimiś laskami. Głównie z pani klasy. No i z samą panią profesor też chcieli rozmawiać, ale pani nie było. A państwo to chyba nieźle zabalowali?

- Jak cholera - mruknęła cicho Milena, lecz chłopak to chyba usłyszał, bo po raz kolejny parsknął śmiechem.

- To pani profesor używa takich słów?! Nigdy bym się tego po pani profesor nie spodziewał!

Tomasik znowu pokręcił zniecierpliwiony głową i z pełną powagą zakomenderował:

- Dave! Koniec tej błazenady! Zadzwońłem do ciebie, bo mamy razem z panią Mileną poważne kłopoty! I potrzebujemy twojej pomocy!

- No przecież wiem - chłopak nieco spoważniał. - Mówił pan, że to sprawa życia i śmierci.

- No właśnie! I wyobraź sobie, że to nie był żart! Co gliny mówiły jeszcze o wypadku chłopców?

- Nooo... właściwie to nic więcej. Tylko tyle, że byli naćpani, że wyskoczyli, że to powinna być dla nas przestroga.

- Kiedy pogrzeb? - wtrąciła cicho Milena.

- Jutro... Na Łostowicach. O dziesiątej.

- A wiesz, co się stało z Martyną Wojciechowską?

- Z kim?

- Z Martyną Wojciechowską z drugiej „b”.

- Nie. Nawet nie wiedziałem, że taka chodzi do naszej szkoły.

- Była dziewczyną Romana.

- Aha, już kojarzę. Taka blondyna z wielkimi cycami. - Tomasiak mimowolnie się uśmiechnął, a Milena zrobiła zgorzloną minę. - Sorry, pani profesor - chłopak szybko się zreflektował. - Chciałem tylko powiedzieć, że dziewczyna jak na swój wiek, to ma czym oddychać.

- Ona nie żyje - powiedział chropawo Tomasz.

- O kurwa! To znaczy... Przepraszam. Nie wiedziałem... A co się jej stało?

- Miała wypadek. Podobnie jak Roman i Krystian.

- Wyskoczyła z dziesiątego piętra?! - Dave był zaskoczony.

- Nie. Ją akurat ktoś zastrzelił. Ale Roman i Krystian też sami tego nie zrobili. Ktoś im w tym pomógł!

Tomasik z uwagą obserwował reakcję chłopaka. Widział odbicie jego twarzy w przednim lusterku. Poważna mina. Zaciśnięte mocno zęby, przymrużone, błyszczące oczy. Ale tylko to. Nie dostrzegł w nich przerażenia, strachu czy nawet zwykłego i być może normalnego w takiej sytuacji niedowierzania.

Dawid Piątkowski, popularnie zwany Davem, największy cwaniak i kombinator w jego klasie, a jednocześnie bezapelacyjny i charyzmatyczny szkolny przywódca, którego Tomasik w swoim czasie musiał przy pomocy Jarka wyciągnąć z poważnych kłopotów związanych z niezbyt legalnymi interesami z kradzionymi autami. To właśnie dlatego Tomasik zdecydował się na ryzykowną operację, jaką było wciągnięcie go do tej całej afery.

Z Kartuskiej skręcili w prawo. Koła samochodu zaterkotały na wyboistym bruku i po chwili auto zatrzymało się przed starym jednoklatkowym blokiem z sypiącym się tynkiem.

- Nas też chciano zabić - powiedziała grobowym głosem Milena.

- Pewnie nawet o tym słyszałeś? - dodał Tomasz, ciągle obserwując twarz chłopaka.

- Ta strzelanina i gonitwa na Morenie?

- Uhm.

Przez chwilę Dave kiwał w zamyśleniu głową.

- A wie pan, co te pismaki kłamczuchy napisały o tym w gazetach i w necie? I co powiedzieli w radiu?

- No?

- Że to porachunki jakiś samochodowych gangów - zgasił silnik, zaciągnął ręczny i odwrócił się do dwójki nauczycieli. - I tylko tyle.

- A policja? - zapytał Tomasz.

Chłopak wykrzywił usta.

- Pan profesor zna moje zdanie o tych panach. No oczywiście z wyjątkiem pana Jarka - natychmiast się poprawił. - On jest w porządku.

- Uhm...

Tomasik myślał. Nie wierzył w aż taką nieudolność policjantów w tej sprawie. Spodziewał się tu raczej świadomej dezinformacji. Pozostawało więc pytanie: dlaczego?

- To co teraz? - zapytał.

- Jesteśmy na miejscu. Zapraszam!

Dave wysiadł z samochodu pierwszy i nie czekając na dwójkę nauczycieli, skierował się prosto do drzwi dwukondygnacyjnego budynku. Tomasik rozglądał się ciekawie dookoła. Wychował się zaledwie jakieś dwa kilometry stąd. Na pobliskim Suchaninie. I kiedyś bywał tu wielokrotnie. Ale ostatni raz było to dobrych kilka lat temu. Jednak już nawet na pierwszy rzut oka było widać, że od tego czasu niewiele się tu zmieniło. Stare, chyba jeszcze przedwojenne, bloki i wąska, brukowana „kocimi łbami” ślepa ulica, na której końcu były już tylko kilkudziesięciostopniowe kamienne schody prowadzące prosto do jego rodzinnej dzielnicy. Czas się

tutaj zatrzymał chyba jeszcze w latach pięćdziesiątych.

- Chodźmy - mruknął do Mileny i pociągnął ją delikatnie za rękę.

Weszli do wąskiej i w miarę czysto utrzymanej klatki. Na pierwszym piętrze, tuż przed ciemnymi drewnianymi drzwiami czekał na nich Dave.

- Proszę - zrobił zapraszający gest.

Weszli do środka. Niewielki przedpokój, obity na starą modłę ciemną sosnową boazerią. Dwa bardzo słabo oświetlone pokoiki z mikroskopijną kuchnią i jeszcze mniejszą łazienką. Wszystko sprawiało wrażenie lekko zaniedbanego i jakby niewykończonego.

- Proszę się nie przejmować tym bajzłem - usprawiedliwiał się Dave. - Moi rodzice rozstali się, gdy miałem dwa latka. Potem mieszkałem tu z matką, a mama ledwo wiązała koniec z końcem. Kilka lat temu umarła i od tego czasu chata stała praktycznie pusta. Ja w tym czasie mieszkałem z ojcem w Matemblewie, ale on lubił sobie popić i generalnie wszystko miał gdzieś. A jak skończyłem osiemnastkę, uregulowałem wszystkie papiery i tutaj wróciłem, to oczywiście nie mam kasy na remont.

Milena opadła w staromodnym głębokim fotelu, a Tomasz wyjrzał przez okno.

- Ptaki dalej tu tak pięknie śpiewają jak kiedyś? - zagadnął, wskazując brodą pobliskie ogródki działkowe.

- Pewnie - odpowiedział Dave. - Ale ja wolę to - i włączył pilotem nowoczesny zestaw stereo. Z dużych głośników rozstawionych w rogach pokoju rozległo się głośne dudnienie jakiegoś polskiego rapu. Po chwili chłopak nieco to ściszył. - Lubi pan taką muzykę? - zapytał z uśmiechem.

Tomasz pokręcił przecząco głową.

- Chyba jestem za stary.

- A pani profesor? - lekko rozbawiony zwrócił się do Mileny.

Ta jednak zrobiła tylko znaczący grymas i chłopak natychmiast wyłączył muzykę.

- Szkoda... - westchnął i nagle gwałtownie spoważniał. - To jak mogę pomóc?

I spojrział pytająco na Tomasza. Lecz ten właśnie utkwiał wzrok w leżącej na stole gazecie. Wziął ją do ręki i w zamyśleniu zamknął na kilka sekund oczy. Kiedy je otworzył, ciągle widział to samo. Na pierwszej stronie „Dziennika Bałtyckiego” widniało duże zdjęcie kapitana piłkarskiej drużyny Lechii Gdańsk i napisana drukowanymi literami zapowiedź „LEGIA WARSZAWA PRZYJEŹDŹA DO GDAŃSKA. BIJEMY REKORD FREKWENCJI. SWOJĄ OBECNOŚĆ NA TRYBUNACH ZAPOWIEDZIAŁ BYŁY PREZYDENT

## RZECZYPOSPOLITEJ LECH WAŁĘSA ORAZ PRZEWODNICZĄCY RYDZ EUROPEJSKIEJ DAMIAN TURSKI”.

- Coś się stało? - zapytał Dave.

Zaciekawiona Milena zajrzała Tomaszowi przez ramię. Natychmiast zobaczyła zdjęcie i widniejący pod nim napis. Przez chwilę obserwowała go uważnie, a potem spytała zaintrygowana.

- Myślisz, że...?

Tomasz kiwnął niepewnie głową.

- Nie wiem, Milenka, co myślę. Ale to jest ciekawe. I mam w związku z tym nawet pewien pomysł.

Obserwujący ich Dave nic z tego nie rozumiał.

- Coś się stało?

Tomasz podniósł na niego głowę i spojrzał mu prosto w oczy. Przez kilkanaście sekund wahał się jeszcze, czy aby na pewno może i powinien wprowadzać chłopaka głębiej w ich mroczne i pogmatwane sprawy. Ale przecież on i tak już w tym tkwił. Po wyjściu z hostelu to właśnie on pomógł im zerwać się spod obserwacji pilnujących ich ludzi. Wystarczył jeden telefon z prośbą o pomoc i chłopak zrobił wszystko to, o co on bał się prosić kogośkolwiek ze swoich starych znajomych. Teraz też nie miał innego wyjścia. Musiał spróbować mu zaufać! Tym bardziej że bardzo potrzebował tego wsparcia.

- Pamiętasz, co ci opowiadałem w samochodzie? - zapytał poważnym tonem, znowu obserwując uważnie chłopaka.

- Jasne.

- Jeżeli ciągle chcesz nam jeszcze pomóc, to musimy ci coś dopowiedzieć.

- Uhm.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- No tak, panie profesorze.

- No więc posłuchaj...

\* \* \*

Do gabinetu Ministra Obrony Narodowej, a jednocześnie wicepremiera RP Tadeusza Siwaka weszli pełniący obowiązki szefa SKW pułkownik Zygmunt Drzazga oraz szef ABW generał Bogusław Trznadel.

- Siadajcie, panowie - minister zrobił zapraszający gest ręką. - Wiecie, dlaczego was zaprosiłem?

Obydwaj mężczyźni kiwnęli potakująco głowami. Domyślali się, że chodzi o zaobserwowany w ostatnim okresie przez podległe im służby gwałtowny wzrost aktywności pracowników rosyjskiej

ambasady oraz o wjazd na teren Rzeczypospolitej Polskiej kilkudziesięciu osobników podejrzewanych o pracę dla obcego wywiadu.

- W takim razie powiedzcie mi - kontynuował minister - co też robicie albo co już zrobiliście w tej sprawie? - spojrzał pytająco najpierw na szefa ABW.

Trznadel zaklął w myślach. Najwyraźniej znowu miał mówić pierwszy. Wiedział, że jeżeli powie coś konkretnego, to ten pajac siedzący obok niego w wojskowym mundurku pokiwa tylko głową i głośno stwierdzi, że on to wszystko już zrobił, a ponadto jego ludzie zrealizowali jeszcze to i to. Ale jeżeli znowu nic nie powie, wyjdzie na głupca i dołoży kolejną cegielkę do swojego szybszego zwolnienia. Zdawał sobie sprawę, że jego notowania u aktualnej pani premier są słabe, a jego stanowisko ciągle jest zagrożone.

- W ostatnich tygodniach wjechało do nas przynajmniej kilkunastu ich ludzi - zaczął więc z poważną miną. - Większość legalnie, pod pretekstem różnego rodzaju interesów. Na tak zwanych biznesmenów... Przyjechali własnymi samochodami ze wszystkich kierunków: z Niemiec, Litwy, Ukrainy, Słowacji i Czech. Według naszej wiedzy niektórzy mają podwójne obywatelstwo, na przykład rosyjskie i niemieckie. Zatrzymują się głównie w Warszawie i okolicach. Korzystają z niewielkich prywatnych pensjonatów lub też wynajmują całe mieszkania czy domy. Wiemy też, że część z nich przemieszcza się dosyć często do Trójmiasta i tam utrzymuje jakieś podejrzane kontakty z miejscowym półświatkiem.

- A konkretnie?

- Pracujemy nad tym.

Minister potarł w zamyśleniu czoło.

- To niewiele wiecie... - mruknął. - Coś pan jeszcze doda? Jakież podejrzenia?

Trznadel pokręcił przecząco głową. Nie zamierzał zdradzać, że tak naprawdę wie dużo, dużo więcej. Ale to na razie nie powinno wyjść poza wąskie grono zaufanych ludzi z jego firmy. Poza tym... - pomyślał z sarkazmem - niech ten palant w mundurku też się teraz wykaże.

- A ty, Zygmunt? - wicepremier zwrócił się do pułkownika Drzazgi.

Szef SKW wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiemy, o co im chodzi ani co planują. Ale wszystko to, co powiedział pan generał Trznadel, jest prawdą. Ze swojej strony mogę tylko dodać, że w rosyjskim konsulacie w Gdańsku już miesiąc temu pojawił się Wiktor Wiktorowicz. Meldowałem o tym panu

ministrowi.

- Pamiętam - skinął potwierdzająco Siwiec.

- To bardzo niebezpieczny człowiek. Nasi informatorzy, których mamy wśród mieszkających u nas czeczeńskich uchodźców, mówią, że na Kaukazie własnoręcznie zabił przynajmniej kilkunastu ludzi.

Na kilka sekund zapadła cisza.

- No dobrze - przerwał ją zamyślony ciągle wicepremier. - Rozumiem, że ten człowiek oficjalnie jest czysty. Ale przecież Rosjanie chyba zdają sobie sprawę, że prawdopodobnie szybko rozpoznamy faceta. Dlaczego więc mimo wszystko go tutaj przysłali? Przecież to nielogiczne i po prostu... dziwne.

Znowu cisza.

- Może to tylko jakaś zasłona dymna? - powiedział w końcu cicho Trznadel. Mówił to jednak tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Być może...

- Albo to prowokacja. Sprawdzają naszą reakcję, a w razie potrzeby będą mieli pretekst do zaostrzenia wzajemnych stosunków.

Zniesmaczony Siwiec spojrział na niego z politowaniem. Uważał, że nie trzeba być szefem ABW czy SKW, żeby wiedzieć, że Rosjanie w stosunkach z Polską nie bawią się w aż tak wyszukane i wysublimowane sztuczki. I że gdyby tylko chcieli jeszcze bardziej pogorszyć wzajemne stosunki, to Władimir Władimirowicz Putin po prostu ogłosiłby to poprzez swoje media wprost, zrzucając przy okazji całą winę na polską stronę. Przecież oni ciągle czuli się tutaj jak u siebie i zgodnie ze swoim przysłowiem *Kura nie ptica - Polska nie zagranica* na tutejsze placówki wysyłali dyplomatów i fachowców drugiego sortu, którzy działali tu na zasadzie „rządź i dziel” i nie przejmowali się przy tym zbytnio odczuciami Polaków.

- Obserwujecie go chociaż? - zapytał coraz bardziej poirytowany tym wszystkim wicepremier.

- Hm... - chrząknął zakłopotany pułkownik. - Oficjalnie jest on pracownikiem rosyjskiego konsulatu w Gdańsku. Szefem ochrony, więc musimy bardzo uważać i nie możemy go tak po prostu śledzić.

Siwiec westchnął zrezygnowany, a Trznadel mimowolnie zauważył, że Drzazga podobnie jak on najwyraźniej tylko udaje takiego idiotę. Przecież dobrze wiedział, że SKW o panu Wiktorze Wiktorowiczu i całej tej sprawie wie dużo, dużo więcej.

Zapadło znaczące milczenie, którego żaden z szefów dwóch najważniejszych agencji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Polski najwyraźniej nie miał zamiaru przerywać.

- Panowie - zaczął ponownie minister - nie chciałbym, żeby

kiedyś doszło u nas do tego samego co na Ukrainie. Ja wiem, że to mało prawdopodobne, że nikt normalny w to nie wierzy, ale musimy dmuchać na zimne. Mamy ostatnio problem z pozyskiwaniem informacji ze Wschodu. Sami zresztą wiecie o tym najlepiej. Nikt tam nie chce już z nami współpracować. Poza informacjami, które nasi chłopcy z białego wywiadu wyczytają między wierszami w ich oficjalnych gazetach, co wykombinują nasi śmiesznie opłacani analitycy, nie wiemy nic! Nawet obwód kaliningradzki jest dla nas dzisiaj jedną wielką niewiadomą. Nawet gdyby zaczęły się tam zbierać pancerne dywizje, to i tak dowiedzielibyśmy się o tym dopiero wtedy, gdy stałyby już na rogatkach Białegostoku, Elbląga albo samej Warszawy.

Pułkownik Drzazga chciał już zaprotestować, ale ugryzł się w język. To i tak nie miało znaczenia. Był jednak zażenowany czarnowidztwem i niewiedzą swojego szefa. Poza tym kompletnie nie ufał generałowi Trznadłowi ani zabezpieczeniom przeciwpodśluchowym zainstalowanym w tym budynku.

- Tak więc - kontynuował minister - chcę, żebyście obaj zintensyfikowali swoje działania. Żeby przepływ informacji między waszymi służbami był jak najbardziej płynny i pełny! Czy to jest jasne, panowie?

- Tak jest! - odpowiedzieli zgodnie, chociaż każdy z nich w duchu pomyślał zupełnie co innego.

- W takim razie spotkanie uważam za zakończone. Nasza rozmowa była poufna. Nie ma z niej żadnego stenogramu ani nie ma prawa powstać jakakolwiek notatka służbowa. O zakazie wspominania o niej dziennikarzom chyba nie muszę panom przypominać? Czy to też jest jasne, panowie?

- Tak jest! - powtórzyli znowu zgodnie.

- Dziękuję!

Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.

- Żegnam!

Kiedy tylko szefowie służb opuścili gabinet ministra, ten spojrzął na zegarek. Teraz musiał błyskawicznie przestawić swoje myślenie na zupełnie inne sprawy. Za niecałą godzinę miał ważne spotkanie partyjne i to z samą panią premier. To właśnie od tego spotkania, a nie od wyniku jego merytorycznej pracy, mogła zależeć jego dalsza pozycja w rządzie. Nikt spośród członków obecnej Rady Ministrów nie zdawał sobie z tego tak dobrze sprawy jak on, że w Polsce kluczem do tego, by być na świeczniku i mieć w ogóle cokolwiek do powiedzenia, jest być kimś w strukturach własnej partii. A hasło „bierny, mierny, ale wierny”, przynajmniej w ich partii, nie zawsze wystarczało do osiągnięcia sukcesu.

W odległości niecałych dwustu metrów od siedziby Ministerstwa Obrony Narodowej znajdował się potężny i reprezentacyjny gmach Ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie. I w nim to właśnie dwóch elegancko ubranych mężczyzn już po raz drugi odsłuchiwało ostatnie zdania z dopiero co nagranej przez ich techników rozmowy wysokich rangą polskich urzędników.

- I co pan o tym sądzi, Siergiej Fiedorowiczu? - zapytał jeden z nich, kiedy tylko nagranie dobiegło końca. Był to pułkownik Aleksander Suworow, szef ekspozytury GRU na Polskę.

- Nic. Podejrzewają, że coś się szykuje, ale tak naprawdę nie mają pojęcia, co to może być - major Fiedorowicz był jego prawą ręką. Szefem sekcji operacyjnej. Człowiekiem odpowiedzialnym za wszystkie ewentualne akcje podejmowane przez ich służby specjalne na terytorium Polski.

- No. I co w związku z tym?

- Nie wiem!

- Hm... - Suworow przez chwilę intensywnie myślał.

Tak naprawdę był trochę zaskoczony niewiedzą Polaków. I właśnie dlatego wzbudzało to jego nieufność. Nie wierzył, żeby byli aż tak niedoinformowani. No chyba że oni też grali. Bo przecież Polacy nie byli debilami i zdawali sobie sprawę, że budynek ich MON przez cały czas był obserwowany i podsłuchiwany. Dlatego pułkownik Suworow wolał nie przedstawiać głośno własnych przemyśleń w tej sprawie, nawet swojemu najbliższemu współpracownikowi.

- Źle to wygląda, Siergiej Fiedorowiczu. Bardzo źle... - powiedział w końcu. - Musimy być czujni. Niech pan melduje mi o wszystkim o każdej porze dnia i nocy! Chcę wiedzieć wszystko na bieżąco! Rozumiecie?

- Tak jest.

- To jest nasz teren. I jeżeli ktokolwiek z naszych coś tu szykuje, choćby nawet ktoś cholernie ważny, a my o tym nie wiemy, to jest to bardzo zły znak. To świadczy o bałaganie, jaki u nas panuje, i o naszej słabości. Gdyby cokolwiek temu komuś się przydarzyło, coś nie wyszło, to on się ewakuuje. A my zostaniemy tu na miejscu sami z tym całym gównem. Do tego niepokoi mnie ten cały Wiktor Wiktorowicz. Po co go nam przysłano do Gdańska? To było przecież pewne, że prędzej czy później go rozpracują. A był taki spokój. Polacy bali się nawet głośniej kichnąć, żeby nas przypadkiem nie sprowokować do jakiejś reakcji. Dobrze wiedzą, że w razie jakiegokolwiek konfliktu, to oni mają do stracenia więcej niż my.



Ten ich były premier tylko czeka na taki prezent z naszej strony, żeby oskarżyć nas o jakieś knowania i skoczyć obecnie rządzącym do gardeł, a później wykończyć ich w najbliższych wyborach.

- Nie wiem, Aleksandrze Aleksiejewiczu, po co sprowadzono tu Wiktora. Może ktoś faktycznie chce z naszą pomocą wymienić tu władzę? Może sprawa Smoleńska im nie wystarcza? Ale cokolwiek to ma być, akcją kieruje ktoś z Moskwy. Słyszałem, że Konstantin ma coś z tym wspólnego.

- Rozmawiałeś z nim?

- Próbowałem. Ale on udaje duraka. Mówi, że nic nie wie.

Suworow westchnął. Nie lubił być zaskakiwany przez tajemnicze akcje i posunięcia swoich rodaków na terenie Polski. Wiedział, że Konstantin ma tu własne zadania, a polecenia często otrzymuje z pominięciem jego ambasady od kogoś naprawdę ważnego i to bezpośrednio z Moskwy. Rzecz jednak w tym, że podobnie jak w większości krajów na świecie, w Rosji również działało kilka różnych służb i wszystkie one prowadziły swoje małe prywatne i często niespójne oraz nieprokremlowskie wojny. O różne cele i z różnymi wrogami. Sprawy zawsze jednak były brudne i czasami trzeba było później po nich sprzątać. Wyciszać, przeinaczać, dezinformować, a czasami nawet uspokajać i przepraszać miejscowych.

- No cóż... - mruknął w końcu na głos. - Pozostaje nam tylko obserwować to całe polskie szambo. I czekać na rozkazy z góry albo na to, co się wydarzy.

- Tak jest. - Fiodorowicz patrzył na niego uważnie. - A co z tym nagraniem? Wysyłamy meldunek?

Twarz Suworowa rozjaśnił szeroki, szyderczy uśmiech.

- Oczywiście! Porządek w papierach musi być! Bez względu na wszystko! Jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- A więc do roboty!

\* \* \*

Tomasik skończył swoje opowiadanie i w ciszy patrzył na zamyślonego Dave'a. Chłopak najwyraźniej musiał przetrawić wszystko, czego właśnie się dowiedział.

- Jeżeli chcesz się wycofać, zrozumieć to - szepnął Tomasz. - I nie będę miał do ciebie o to żadnych pretensji. Już i tak bardzo nam pomogłeś.

Jednak chłopak pokręcił przecząco głową.

- Nie o to chodzi, panie profesorze. Ja po prostu... No... Nie

mogę w to jeszcze uwierzyć.

- Ja chwilami też.

- Gdyby opowiedział mi to ktokolwiek inny, wyśmiałybym go. Ale pan profesor i pani Milena... Przecież państwo by sobie ze mnie nie żartowali w ten sposób, prawda?

- Nie. To nie są żarty.

Milena odwróciła się w ich stronę.

- A co jeszcze pisali o tym w internecie? - zapytała. - Przecież oprócz tego, co miało miejsce na Morenie, były jeszcze trupy w domku na Kaszubach, strzelanina w hostelu przy Raduni, no i w Bazylice. Media musiały o tym trąbić.

Dave pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie wiem. Zasadniczo nie bardzo interesuję się tym, co się dzieje dookoła, i nie czytam tych wszystkich wiadomości, ale coś takiego pewnie obiłoby mi się o uszy.

- To dlaczego wczoraj kupiłeś tę gazetę? - wskazała na stół.

- Ze względu na mecz. Zobaczyłem w kiosku fotkę z Sebastianem Miłą i pomyślałem, że poczytam, co piszą.

Chłopak przeszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił, trzymając w ręku niewielki laptop. Przykucnął przy stole i włączył komputer.

- Zaraz sprawdzimy, czy coś o tym pisali.

Stojący w rogu pokoju Tomasz od dłuższego już czasu myślał nad czymś intensywnie. W końcu oderwał wzrok od podłogi i spojrzał chłopakowi prosto w oczy.

- Chodzisz na Lechię? - zapytał ostrożnie, starając się zmienić temat.

Widząc artykuł w gazecie, przyszło mu bowiem coś do głowy. Ale najpierw musiał to sobie wszystko poukładać.

- Jasne - odpowiedział Dave. - Od ósmego roku życia.

- A masz karnet?

- Tak.

- Na którą trybunę?

- Na zieloną. A pan profesor też chce iść?

- Może.

Dave uśmiechnął się do niego lekko.

- Z zielonej do łoży pana Turskiego to raczej kawałek drogi i może być ciężko się dostać.

Tomasz kiwnął z uznaniem głową.

- Wiedziałem, że jesteś bystry chłopak - i uśmiechnął się przyjaźnie.

Milena, która od kilku chwil przeglądała gazetę, spojrzała na nich uważnie.

- Jeżeli chcecie poważnie traktować to, co nasza biedna Martynka powiedziała przed śmiercią, i spróbować spotkać się z Turskim... - zaczęła zagadkowo - to może najpierw powinniście skontaktować się z Władimirem Pawluszenką?

- Z kim?

- Z Władimirem Pawluszenką.

- A kto to jest?

- Rosyjski konsul w Gdańsku.

- Chętnie... - mruknął Tomasiak. - Ale niestety nie wiem, jak miałbym to zrobić. Bo przecież nie odwiedzę go w jego biurze.

- Wystarczy czytać. - Milena wskazała leżącą gazetę. - Bo czytanie kształci... Nie wiedziałeś? Dzisiaj wieczorem w filharmonii na Ołowiance odbędzie się koncert. Konsul tam będzie.

Tomasik spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Tak?

- Uhm. W sobotę o godzinie dwudziestej - zaczęła cytować. - Na dużej scenie Filharmonii Bałtyckiej na Ołowiance wystąpi z jedynym koncertem w Gdańsku Orkiestra Kameralna z Nowosybirsk. Gościem honorowym koncertu będzie konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Gdańsku, pan doktor Władimir Pawluszenko.

- Nieźle - mruknął cicho Dave. - Faktycznie czytanie kształci.

- Kiedyś nie było komputerów ani laptopów, a życie jakoś się toczyło.

- Ale co to było za życie, pani profesor! - chłopak machnął lekceważąco ręką. - Zresztą to teraz nieważne. Mam już włączony net.

Tomasik z Mileną zbliżyli się do niego i spojrzeli na ekran monitora.

- Na co dzień to ja używam smartfona, ale wczoraj mi padło połączenie - mruczał cicho chłopak. - Nie zapłaciłem ostatniego rachunku. Poza tym dla państwa wygody zrobię dzisiaj wyjątek.

- To miłe - skwitowała Milena.

Chwilę później przeglądali już lokalne portale informacyjne, lecz nie znaleźli na nich niczego, co można by było powiązać z interesującymi ich wydarzeniami.

- Cholera - mruknął poirytowany Tomasz. - To niemożliwe! Żeby nigdzie nie było na ten temat nawet wzmianki?

- Puść mnie - zniecierpliwiona Milena odsunęła chłopaka od klawiatury.

Usiadła przy komputerze i z wprawą zaczęła przeglądać kolejne strony. Lecz Tomasz zwrócił uwagę na coś zupełnie innego. Dawid zamiast w ekran komputera zerkał coś podejrzanie często w dół, wychylając się przy tym lekko do przodu. Zaintrygowany

zachowaniem chłopaka podniósł się z fotela i stanął tuż za Mileną. A potem podobnie jak Dave nieco się nad nią pochylił. Jego twarz od razu rozjaśnił uśmiech zrozumienia. Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał. Rozpięta koszulka odsłaniała koronkowy biały staniczek i ukrywające się pod nim niewielkie piersiątko z dużymi i apetycznie wyglądającymi ciemnofioletowymi brodawkami. Tomasz spojrzął znacząco na uciekającego teraz od niego wzrokiem i czerwonego jak burak Dave'a.

- Coś się stało? - Milena uniosła znad monitora głowę.

- Nie... skąd - zakłopotany Dawid patrzył teraz na niego wielkimi oczami.

A Tomasiu tylko z najwyższym trudem powstrzymywał się przed parsknięciem śmiechem. No cóż, myślał rozbawiony, nie tylko ja w tym towarzystwie jestem facetem.

Milena wróciła do przeglądania internetu, a przy okazji odruchowo obciągnęła do dołu koszulkę.

Widok nagich piersi zniknął i Dave dopiero teraz odważył się spojrzeć w kierunku swojego byłego belfra. Ten pokręcił z uśmiechem głową i obydwaj wyszczerzyli do siebie porozumiewawczo zęby. Wspólnota kutasów - pomyślał jeszcze zgryźliwie Tomasz. Z tym, że mój już w niej był, a twój może tylko o tym pomarzyć. Ale czas było wrócić do szarej rzeczywistości.

- No i co? - zapytał głośno. - Znalazłaś coś?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nie. Ale to przecież niemożliwe! W Polsce mamy wolne, niezależne media. Większość dziennikarzy za taki temat sprzedalaby własne matki. A tu nic...

- Może ktoś czuwa nad tym, żeby nic o tym nie przedostało się do opinii publicznej? - zasugerował Tomasz.

- Kto? - prychnęła Milena. - Nikt nie jest w stanie zapanować nad internetem! Nawet Chińczycy czy Koreańczycy z Północy mają z tym problem! A jeżeli już.... Czy wy wiecie, jaką taki ktoś musiałby mieć władzę?

- Zgadza się. Ale jak to inaczej wytłumaczysz?

Obserwujący bez słowa zmieniające się na monitorze wpisy Dave nagle drgnął.

- Proszę cofnąć! - krzyknął podniecony. - Niech pani profesor wróci do tej poprzedniej strony!

Milena posłusznie kliknęła odpowiednią strzałkę.

- I?

- Proszę mnie wpuścić.

Zamienili się szybko miejscami przy komputerze. Chłopak z niesamowitą wprost biegłością otwierał, przeglądał i zamykał

poszczególne strony.

- Czego szukasz? - zapytał ciekawie Tomasz.

Jeszcze kilka szybkich kliknięć, krótki monitoring przeglądanych wpisów i twarz chłopaka rozjaśnił triumfujący uśmiech.

- Tego!

Odsunął się nieco od monitora, pokazując im palcem jeden z kilkudziesięciu krótkich postów widniejących pod artykułem na temat jakiegoś wypadku samochodowego i policyjnego pościgu. Tomasz przybliżył do niego głowę i przeczytał na głos: „A u nas na dzielni ostatnio też było jak w amerykańskim filmie. Naprawdę dużo się działo. Byli faceci w cywilkach żujący gumę, kominiarze ze swoimi zabawkami i panowie z czarnymi workami. Wiem, że nie tylko ja o tym tutaj pisałem i to otwartym tekstem. I wpisy od razu znikwały! Wielki Brat czuwa! Jak u Orwella. Pozdrowienia dla kumatych!”.

- Myślicie, że to o tym? - zapytała niepewnie Milena.

- Bardzo możliwe. Jak do tego doszedłeś?

Dave zrobił wszystkowiedzącą minę.

- Wie pan, jak kibole piłkarscy przekazują sobie infa na otwartych forach internetowych, żeby się pochwalić swoimi wyczynami przed niewtajemniczonymi i żeby jednocześnie stworzyć pewną legendę swojego komanda, swojego klubu?

- Mogę się tylko domyślać.

- No właśnie. W bardzo podobny sposób. Po prostu nie mówią niczego wprost. Zainteresowani i tak będą wiedzieć, o co chodzi, a moderatorzy tego raczej nie wychwycą. A jeżeli nawet, to i tak nie będą mieli podstaw, żeby to usunąć.

- Jasne - mruknął Tomasz. - Moderatorzy forów internetowych działają podobnie jak służby specjalne. Wychwytyją słowa kluczowe. Bomba, ustawka, bejsbol, maczeta i tak dalej. Tylko w ten sposób mogą spróbować zapanować nad tym całym szaleństwem w sieci i chociaż trochę je kontrolować. A w tym tekście nie ma słów typu: strzelanina, pościg, policja, Morena.

- Uhm.

- Więc? - wtrąciła Milena. - Co to dla nas znaczy?

Tomasz spojrzał jej prosto w oczy.

- Że masz rację. Nasz przeciwnik, kimkolwiek jest, naprawdę dużo może. Musi mieć w swoich rękach niesamowitą wprost władzę! A my niechcący stanęliśmy mu na drodze do szczęścia i najwyraźniej przeszkadzamy w interesach. A teraz spróbujemy go jeszcze trochę postraszyć!

- Nie chcę ich straszyć - westchnęła żałośnie Milena. - Ja chcę

żyć!

- Wiem - uspokoił ją szybko Tomasz. - Ale o szansę na powrót do normalnego życia musimy trochę powalczyć!

- Jak? - jęknęła.

- Myślę, że trzeba spróbować się zbliżyć do tego konsula i zadać mu kilka pytań o tego dużego pana z fryzurą na żołnierzyka. On chyba u niego pracuje. A jeżeli to nic nie pomoże, a ja dożyję jutra, to przejdę się na Lechię i porozmawiam z naszym byłym premierem, panem Damianem Turskim! Może on nam powie, o co w tym wszystkim chodzi.

Zapadło milczenie, które dopiero po niecałej minucie przerwał cicho Dave.

- Brzmi nieźle, panie profesorze. Ale jak pan zamierza to zrobić?

Tomasik uśmiechnął się sztucznie.

- Całkiem zwyczajnie. Po prostu kupię bilet do filharmonii i podejść do tego konsula w czasie przerwy. I wtedy zapytam, jak się czuje nasz osiłek.

- To wcale nie będzie łatwe - Milena nie była przekonana. - Wejściówki na ten koncert pewnie już dawno się rozeszły. Nie mówiąc już o dojeździe do niego i rozmowie.

- A od czego jest Allegro? Zawsze znajdzie się ktoś, komu coś wypadnie albo zwyczajnie chce po prostu zarobić na droższej sprzedaży. Załatwisz to, Dawid?

- Spróbuję, panie profesorze!

- A o resztę nie ma się co martwić na zapas! Może się uda.

- Może... - powtórzyła jak echo zrezygnowana Milena.

\* \* \*

Jarek Sopoćko wszedł do salonu swojego domu i spojrzał pochmurnie na wpatrzoną w niego Gosię.

- Cześć - mruknął zmęczonym głosem.

- Cześć.

- Gdzie Kuba?

- Na górze.

Opadł bezsilnie na sofę i ukrył twarz w dłoniach. Żona zagryzła nerwowo wargi. Wiedziała, że coś jest nie w porządku. Ale od momentu porwania ich syna i późniejszego powrotu do domu nie miała nawet okazji spokojnie o tym porozmawiać z mężem.

Początkowo nawet nie chciała tu wracać. Po prostu wiedziała, że nigdy nie będzie się już tutaj czuła bezpiecznie. Zapowiadała się o to nawet niezła kłótnia, bo Jarek naciskał na powrót do domu. Ale

kiedy tylko zorientował się, jaki jest stan psychiczny żony, podszedł do niej, objął ją mocno i przytulił. Przy okazji wsadził jej coś do tylnej kieszeni dżinsów i szepnął trzy słowa: „będzie dobrze, obiecuję”. Jeszcze teraz treść wyjętej z kieszeni kartki widniała jej przed oczami: „Nic nie mów. Rób, co mówię. Jesteśmy podsłuchiwani i obserwowani”.

Od tego momentu przez cały czas czuła strach i niepokój. Nie spuszczała oczu z syna i non stop trzymała przy sobie torebkę, w której miała zabrany z pracy służbowy pistolet. Ponieważ wiedziała, że nie będą mogli swobodnie rozmawiać, już wcześniej przygotowała sobie małe karteczki. Teraz wykorzystwała jedną z nich i napisała: „Co się dzieje?” i włożyła ją Jarkowi do ręki razem z małym ołówkiem. Przy okazji usiadła mu na kolanach i zaczęła głaskać delikatnie po twarzy. Ten spojrzał na nią tak jakoś dziwnie i westchnął.

- Słuchaj, Gosieńka... - powiedział na głos i pochylił się lekko do przodu, minimalizując tym samym ewentualną możliwość podejrzenia zapisków. - Jestem bardzo zmęczony. - Złapał ołówek i szybko odpisał: „Mają nas w garści. Chcą dostać Tomka”.

Przeczytała.

- Kto? - szepnęła mu do ucha.

- Sam nie jestem pewien.

Zdenerwowana wstała z sofy.

- Nie chcesz to nie! - mruknęła głośno. - Idź po zakupy! - Podeszła do barku i sięgnęła po kolejną karteczkę, na której nabazgrała pośpiesznie dwa słowa: „Skąd wiesz?”. - Rozczytasz? - zapytała głośno, podając mu ją do ręki. - Chleb, masło, twaróg, szczypior i dwie piersi z kurczaka. OK?

Stanęli obok siebie i przez krótką chwilę wspólnie kreślili na karteczce szybki dialog.

- Po prostu wiem - odpisał Jarek.

- Skąd wiesz, że nas obserwują i podsłuchują?

- Powiedzieli mi.

Gosia zrobiła wielkie oczy.

- Jak to powiedzieli?

Jarek znowu westchnął.

- W odzyskaniu Kuby ktoś nam pomógł - napisał. - Nie zrobili tego z dobroci serca ani przez przypadek.

- Kto to? Czego chce?

Jarek spojrzał na nią smutno. Miał mocno zaciśnięte zęby.

- Daj spokój, Gosia - szepnął cicho. - Muszę trochę odpocząć, a potem pojedę po te pieprzone zakupy. Może wstąpię też do roboty. Muszę jeszcze pomóc kumplowi przy jednej sprawie... -

mrugnął do Gosi znacząco okiem.

Potem podniósł się szybko z sofy i pośpiesznie wszedł schodami na piętro. Gosia podeszła do okna i wyrzała na pobliskie trzciny i spokojną toń jeziora. Zazwyczaj ten widok ją uspokajał. Ale dzisiaj to nie mogło zadziałać. Po chwili usłyszała radosny krzyk Kuby.

- Cześć, tata! Zastrzelełeś już tych łobuzów, co mnie porwali?!

- Nie, ale pracuję nad tym, synku.

Gosi łąza zakręciła się w oku. Porwanie Kuby z ich własnego domu. Teraz problemy Jarka. Ten szantaż. Całe ich życie praktycznie w ciągu jednego dnia rozsypało się na tysiące kawałków. I nawet nie wiedziała dlaczego. Jakie to wszystko jest popieprzone - pomyślała smutno. Jakie to wszystko jest cholernie popieprzone.

\* \* \*

Bilet na koncert kwartetu smyczkowego z Nowosybirską zakupili dosłownie w ostatniej chwili, ponieważ jedyne okienko z licytacją pojawiło się dopiero na półtorej godziny przed początkiem koncertu. Rozmawiająca z Davem dziewczyna na pytanie, dlaczego dopiero teraz chce go sprzedać, odpowiedziała tylko krótko, że się rozmyśliła. Problem polegał jednak na tym, że nie było już czasu na normalną w tego typu sytuacjach zabawę w kuriera, przesyłkę i tym podobne formalności. Bilet, mimo że transakcja była już opłacona, trzeba było odebrać osobiście od sprzedającej go dziewczyny. Twierdziła, że od osiemnastej będzie czekała razem z wejściówką w knajpie o wdzięcznej nazwie Miasto Demonów tuż przy nadbrzeżu Motławy na Głównym Mieście.

Sposób odbioru biletu oraz fakt wystawienia go na licytację w ostatniej chwili nie spodobał się Tomaszowi. Po ostatnich przejściach był bardzo nieufny. Ale na żadne asekuranctwo czy też szukanie innego sposobu na dostanie się na koncert nie było już czasu. Mógł co najwyżej zrezygnować z próby spotkania się z rosyjskim dyplomatą. Ale tego robić przecież nie chciał. Tak więc znowu musiał zaryzykować.

W okolicy Motławy podwiózł go Dave.

- Może jednak to ja powinienem odebrać ten bilet? Co, panie profesorze? - chłopak zapytał z nadzieją. Najwyraźniej marzyła mu się jakaś przygoda.

- Lepiej nie - Tomasik się skrzywił. - Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku, ale gdyby było inaczej, nie chciałbym mieć cię na sumieniu.

Chłopak roześmiał się szczerze.



- Panie profesorze, proszę mi wierzyć, ja naprawdę potrafię sobie radzić. Ja...

- Wiem - przerwał mu szorstko Tomasz. Nie chciał dać się wciągnąć w ten wesoły i lekko nonszalancki ton Dawida. Dla jego dobra musiał go teraz trochę nastraszyć. - Przed tymi zbirami, kimkolwiek są, nie wywiniesz się zwykłym łągarstwem, nie uciekniesz do domu czy do kumpla - przemawiał więc do niego poważnym, nieco dramatycznym tonem. - To nie jest zabawa! Rozumiesz? Roman, Krystian, Martyna, Iwona z Gdyni czy ten policjant - oni nie żyją! Każdy, kto miał z nami styczność w ostatnim czasie, też może się znaleźć na ich czarnej liście. Oni naprawdę mordują!

Chłopak niby kiwał ze zrozumieniem głową, ale Tomasz nie był do końca pewien, czy traktuje to wszystko poważnie. Każdy wiek ma przecież swoje prawa. Gdyby on miał kilkanaście lat mniej, pewnie też by mu się wydawało, że może wszystko, a życie to jedna wielka zabawa z przygodą w tle. Westchnął znacząco.

- Tylko nie zrób niczego głupiego - powiedział, wychodząc już z auta. - I uważaj na siebie i na panią Milenę.

Kiedy znalazł się już na zewnątrz, natychmiast spróbował zapomnieć o chłopaku. Musiał skupić się na czymś zupełnie innym.

Doszedł do rzeki od strony ulicy Długiej i przystanął na środku Zielonego Mostu. Widać stąd było całe Długie Pobrzeże z zabytkowym Żurawiem, statki białej floty cumujące przy pięknie oświetlonym nabrzeżu Motławy, nowo wybudowane drewniane podesty dla spacerowiczów dookoła Wyspy Spichrzów i Wielkie Koło Widokowe zwane Diabelskim Młynem, które ostatnimi czasy stało się jednym z hitów turystycznych Trójmiasta. Do filharmonii było stąd zaledwie kilka minut drogi, a Miasto Demonów było tuż obok, na drugim brzegu rzeki. Tomasiak przypomniał sobie, że kiedyś nawet już tam był razem z Agnieszką i dziećmi - na pierwszej komunii któregoś z jej siostrzeńców. Ale to było szmat czasu temu.

Odwrócił się i przez blisko minutę obserwował puste chwilowo schody, którymi trzeba było zejść w dół, aby dostać się do środka lokalu. Knajpa bowiem znajdowała się na dolnych kondygnacjach wielkiego średniowiecznego spichlerza i - o ile dobrze pamiętał - była sporej rozmiarów piwnicą, wyposażoną w duży bar, podest do tańczenia i dwie prostokątne sale do konsumpcji piwa lub czegoś mocniejszego. Zauważył też, że aktualnie naprzeciwko wejścia cumowała na wodzie niewielka barka pokryta plastikową konstrukcją z wielkimi przezroczystymi oknami, na której najwyraźniej zorganizowano dodatkową atrakcję dla gości i akurat

teraz trwała tam chyba jakaś biba, bo dochodziły stamtąd głośne dźwięki muzyki i kręciło się wielu młodych ludzi.

Niezły pomysł z tą barką. Jak przeżyję, to też zrobię tutaj imprezę. Dziękczynną – pomyślał z sarkazmem.

Na razie nie dostrzegł niczego dziwnego czy niepokojącego. Nie rzucili mu się w oczy żadni wielcy faceci z telefonami w rękach podziwiający piękno Głównego Miasta czy też po prostu udający, że czekają na dziewczyny, i to akurat tu i teraz, dokładnie w tym właśnie miejscu.

- Raz kozie śmierć - szepnął w końcu i ruszył w kierunku knajpy.

Niezatrzymywany przez nikogo, doszedł do schodów, zszedł na dół, otworzył drzwi i wolnym krokiem wszedł na główną salę. Ponownie rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia. I znowu nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Kilka stolików zajętych przez jakichś młodych ludzi. Przy barze jedna, wyraźnie znudzona kobieta w średnim wieku. Ogólnie rzecz biorąc – spokój. Najwyraźniej był to dopiero czas oczekiwania na główny napływ gości.

Ale w lewym rogu, nieopodal podwyższenia, na którym dwie nieźle już pijane małolaty wygłupiały się, wykonując jakiś pseudotaniec, zobaczył poszukiwaną przez siebie dziewczynę. Rozpoznał ją po umówionym znaku charakterystycznym. Czerwonej marynarce i długich farbowanych na rudo włosach. Przez telefon dziewczyna nic nie wspominała o tym, że jest po prostu emanacją kobiecego seksapilu. Tomasiak z najwyższym tylko trudem oderwał od niej oczy i dokończył przegląd sali, po czym natychmiast wrócił do niej wzrokiem. Długie i zgrabne nogi w wysokich skórzanych butach. Króciutka minispódniczka odsłaniająca seksowne, idealnej grubości uda oraz przezroczyta koszulka na ramiączkach niepróbująca nawet ukryć dużych, okrągłych piersi. Buźkę też miała uroczą, okraszoną delikatnym makijażem, podkreślającym jej dziewczęcą urodę, dopasowanym do jej najwyżej dwudziestokilkuletniej twarzy. Taka oto kobieta siedziała teraz przy jednym stoliku z jakimś młodym dupkiem, który trajkotał do niej bez przerwy i próbował zainteresować ją swoją osobą, pozując przy tym na jakiegoś twardziela.

Co za buc – pomyślał Tomasiak, po czym już bez wahania podszedł prosto do ich stolika.

- Dobry wieczór – powiedział swobodnie. - Pani Iza?

Dziewczyna spojrzała na niego ciekawie i uśmiechnęła się w taki sposób, że Tomaszowi przeszły po plecach ciarki i mimowolnie poczuł straszny żal, iż nie ma co najmniej kilku lat

mniej i że niestety zupełnie nie przypomina Toma Cruise'a czy Brada Pitta.

- Tak, to ja - głos dziewczyny był miły, ale nawet w tym jednym zwrocie nie potrafiła ukryć obcego, wyraźnie wschodniego akcentu.

- Rozumiem, że pan w sprawie biletu?

- Uhm - wymruczał Tomasz trochę zbity tym z tropu.

Gdzieś podświadomie włączyła mu się lampka ostrzegawcza i poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku. Stał się jeszcze bardziej czujny.

Dave, który przeprowadzał transakcję, nic nie wspominał, że dziewczyna nie jest Polką. Tomasiak niby od początku liczył się z możliwością pułapki, ale w tej chwili jej prawdopodobieństwo poważnie wzrosło.

- Proszę, niech pan usiądzie - dziewczyna zrobiła zapraszający gest ręką.

- Nie. Dziękuję, postoję - odpowiedział sztywno.

W tym momencie chciał już tylko jak najszybciej opuścić to miejsce i pożegnać się z piękną dziewczyną i jej kolesiem. Pozostawała tylko sprawa biletu.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego wymownie.

- Nalegam, panie kapitanie. - Na dźwięk swojego stopnia wojskowego Tomasiak poczuł nagłe uderzenie adrenaliny. - Niech pan siada! - jej głos nie był już miły i stał się rozkazujący.

Z najwyższym tylko trudem zapanował nad chęcią natychmiastowej ucieczki. Wiedział jednak, że skoro dziewczyna spotkała się z nim tutaj, to z całą pewnością nie była tu sama, i najwyraźniej ci, którzy za tym spotkaniem stali, wcale nie chcieli go tak od razu zabić. Bo to mogli zrobić w zupełnie innym miejscu i bez zbędnego rozgłosu i świadków. Oni czegoś od niego chcieli!

- Proszę usiąść - powtórzyła dziewczyna. - I spojrzeć na swój „bilet do życia”. Chyba nie myśli pan, że jesteśmy tutaj sami?

Tomasz ciągle się wahał. Siedzący obok niej chłopak odsłonił na krótką chwilę połę swojej szarej marynarki, ukazując tym samym zawieszoną na szelkach broń, po czym położył na niej rękę i wycedził najczystszą polszczyzną:

- Siadaj, skurwielu, albo osobiście zabiję najpierw ciebie, a potem tę twoją cycatą blond dziwkę. A na deser zarżnę te twoje przybrane bachory!

W tym momencie dziewczyna położyła na stole kopertę i jednym płynnym ruchem wyciągnęła z niej plik kilkunastu kolorowych zdjęć. Tomasiak ciągle stał bez ruchu jak zaczarowany. Młodzieniec zrezygnował z nacisków na konieczność zajęcia miejsca na krześle i zamiast tego rozciągnął fotografie na całą długość stołu. Na kilku

z nich Tomasz zobaczył Agnieszkę – swoją niedawną partnerkę, z którą wspólnie spędzili kilka ostatnich lat życia, mieszkając razem pod jednym dachem. A na pozostałych były jej dzieci. Tobiasz i Monika. Zdjęcia dzieciaków zrobione były w różnych miejscach i sytuacjach. W szkole. Na boisku. Na imprezach i spotkaniach towarzyskich ze znajomymi. Tomasz automatycznie zauważył, że były to zdjęcia z co najmniej kilku ostatnich miesięcy. A więc ktoś ich już od dawna obserwował. Tomaszik po raz kolejny poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku i plecach.

- I nie myśl, że żartujemy – mówił groźnie młodzian. – Zobacz, co z nimi zrobię, jak będziesz niegrzeczny! Poznajesz?

Tomasz zerknął na podsunięty mu pod sam nos otwarty plecak i o mało co nie zwymiotował. W środku, w przezroczystym plastikowym worku znajdowała się odwrócona twarzą do góry odcięta i zakrwawiona głowa „doktorka”. Nowego, a właściwie to już byłego faceta Agnieszki. Tego samego, który odbił mu ją zaledwie kilka dni temu.

- Chciał zostać bohaterem i przytrafił mu się wypadek – szepnęła zimno dziewczyna. – Kolega chirurg obciął mu niechcący głowę. Ale jeżeli będzie taka potrzeba, to panowie policjanci niedługo odkryją, że zrobił to pan!

Tomasz z odrazą spojrział jej prosto w oczy. Na chwilę zapadło milczenie.

- Czego ode mnie chcecie? – wycedził w końcu cicho.

Młodzian zamknął plecak.

- Tego – podsunął mu pod nos kartkę formatu A-4 z kilkoma zdaniem napisanymi cyrylicą.

Tomasz całkiem nieźle znał rosyjski i natychmiast zdał sobie sprawę, że oni o tym dobrze wiedzą. Przeczytał szybko kartkę i natychmiast poczuł, jak zimny dreszcz przechodzi mu po plecach. Spojrział pytająco w kierunku dziewczyny.

- Zrozumiałeś? – szepnęła, obserwując go uważnie.

- Uhm.

Chłopakowi rozbłysły triumfalnie oczy.

- Masz pięć minut na zastanowienie – warknął groźnie. – A potem... – wskazał oczami leżący na ziemi plecak.

Tomasz jeszcze kilka minut temu myślał, że jego celem jest porozmawianie z rosyjskim konsulem. A teraz? Spojrział na zegarek. Przez głowę przemknęła mu jeszcze bezsensowna myśl, że do początku koncertu zostało już tylko piętnaście minut. Ale to teraz i tak nie miało już żadnego znaczenia. Ta kartka zmieniała wszystko. Jego plany i nadzieje legły w gruzach. Nie był już panem własnego losu.

- A ty znasz, kolego, rosyjski? - zapytał drżącym lekko z emocji głosem.

- Nie, ale wyobraź sobie, że wiem, co jest tam napisane.

- Nie sędzę - odburknął nieprzekonany Tomasz.

- Wchodzisz w to, żaloszny pajacu? - chłopaka zżerała niecierpliwość.

Tomasik wiedział, że jego czas się kończy.

- Ty to zrobiłeś? - wyszeptał cicho zamiast odpowiedzi, wskazując przy tym plecak.

- Tak! Ja! Po prostu lubię krew! Takie małe skrzywienie zawodowe! Fajne, nie? Frajer błagał o życie i myślał, że mnie to wzruszy. A ja go zarżnąłem jak wieprza.

- Wiesz, że za to umrzesz? - przerwał mu Tomasz.

Ale młodzian tylko się zaśmiał. Siedząca z nimi dziewczyna wyjęła Tomasielowi z dłoni wręczoną mu chwilę wcześniej kartkę.

- Zrobi pan to, panie kapitanie? - szepnęła z naciskiem i spojrzała mu prosto w oczy. - Tak?

Tomasik zacisnął w milczeniu zęby i skinął twierdząco głową. Rozejrzał się po lokalu. Wiedział, że za chwilę jego życie przekroczy kolejny Rubikon. Siedzący przy stolikach ludzie wydawali mu się teraz zupełnie inni niż jeszcze zaledwie kilka minut temu. To już nie byli zwykli niewinni chłopcy na koleżeńskich spotkaniach przy piwie, tylko potencjalni agenci czy też wspólnicy szantażującej go tak bezwzględnie pary.

A potem wyszarpnął nagle za paska pistolet, błyskawicznie odbezpieczył, przeładował i z najbliższej odległości wypalił prosto w kompletnie zaskoczona twarz siedzącego przed nim młodziana.

\* \* \*

Jarek przeciskał się zatłoczoną, pięknie oświetloną ulicą Długą, starając się jak najszybciej dotrzeć do Zielonego Mostu i Motławy. Minął Dwór Artusa z fontanną Neptuna i dochodził już do Zielonej Bramy, kiedy nagle został potrącony przez jakiegoś młodego mężczyznę w ciemnej tweedowej marynarce.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna, ściskając go lekko za ramię. - Chyba coś panu wypadło. - Schylił się prawie do samej ziemi i wcisnął Jarkowi prosto do ręki niewielki nadajnik ze słuchawką. - Włóż do ucha i czekaj na instrukcje - szepnęła rozkazująco. - Obiekt jest w Mieście Demonów. Wiesz gdzie?

Sopoćko skinął w milczeniu głową i zacisnąwszy tylko mocniej zęby, ruszył dalej do przodu. Idąc, wsadził sobie do ucha otrzymaną słuchawkę i już po chwili usłyszał w niej męski chropowaty głos.

- Jak mnie słyszysz?
- OK. Na pięć - odpowiedział.
- Ja ciebie też. Pośpiesz się!

Jarek przeszedł przez Zieloną Bramę i wszedł na most. Tutaj tłum ludzi był już trochę mniejszy, bo spora część wieczornych spacerowiczów skręciła w lewo w kierunku Żurawia. I wtedy znowu usłyszał w słuchawce.

- Uważaj! Właśnie zastrzelił człowieka! Wychodzi!

- Kurwa! - zaklął zaskoczony Jarek i stanął niezdecydowany w miejscu.

Zobaczył, jak od schodów prowadzących z Miasta Demonów szybkim krokiem wychodzi Tomasz i nie rozglądając się na boki, skręca w prawo w ulicę Stągiewną.

- Idź za nim! - usłyszał w słuchawce rozkaz.

Ruszył. Do Tomasza miał jakieś dwadzieścia - trzydzieści metrów. Nie widział teraz jego twarzy i mógł się tylko domyślać, co on czuje. Boże! - myślał. Przecież to nie może się dziać naprawdę!

Gdzieś w oddali rozległ się pierwszy pojedynczy sygnał policyjnej syreny. Po chwili dołączyły do niego następne. Cholera! - przemknęło ponownie przez głowę Jarka. A jeżeli to jednak prawda?

Tomasik szedł szybko. Zdecydowanie. Tak jakby dobrze wiedział, dokąd ma dojść. Z mijanego przez Jarka Miasta Demonów zaczęli wyskakiwać mocno przerażeni ludzie. Jarek w głowie miał mętlik. Dlaczego? Dlaczego to wszystko się dzieje? Przecież to nie tak miało być.

A potem zobaczył, jak idący przed nim Tomasz skręca nagle w lewo. Nie zwolnił nawet na chwilę. Najwyraźniej kierował się prosto do z góry obranego celu. Mógł to być hotel Królewski, przystań jachtowa nad Nową Motławą lub też któryś z nowo wybudowanych apartamentowców.

- Stój! - usłyszał nagle w słuchawce. - Zawracaj!

Po raz kolejny przystanął niezdecydowanie w miejscu.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Koniec operacji!

- Jak to koniec operacji? Dlaczego?! - Jarek był zaskoczony i wściekły.

Z naprzeciwka mijało go akurat dwóch młodych elegancko ubranych mężczyzn. Jeden z nich spojrzał nagle w jego stronę i warknął wulgarnie:

- Spierdalaj stąd, piesku! Do budy!

Jarek znowu zacisnął tylko bezsilnie zęby. Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilkunastu godzin poczuł się bezradny i bezbronny jak mały chłopiec. Uczestniczył w grze, w której był

tylko pionkiem i w której na nic nie miał wpływu i nic nie mógł zrobić.

- Zawracaj na Długą - rozkazujący głos w słuchawce w dalszym ciągu był bezosobowy i suchy. - Idź prosto do swojego wozu, a potem do domu! Na dzisiaj koniec!

Sfrustrowany Jarek splunął daleko w bok, o mało co nie trafiając przy tym przechodzących chodnikiem kilka metrów dalej niemieckich turystów. Skurwysyny, myślał z rozpaczą. Co za pierdolone bezwzględne skurwysyny.

Odwrócił się i powłócząc ciężko nogami, ruszył w drogę powrotną do auta. Szedł ze zwieszoną nisko głową, mijając bez reakcji potrącających go co chwilę rozweselonych i rozbawionych ludzi. Nawet nie próbował wyobrazić sobie tego, co też może dziać się teraz z jego przyjacielem. Nie mogę ci pomóc, myślał tylko bezsilnie. Wybacz, Tomek, ale naprawdę nie potrafię ci pomóc!

\* \* \*

Tomasik szedł jak automat. Nie rozglądał się przy tym na boki w poszukiwaniu śledzących go ludzi ani zupełnie nie przejmował się ewentualnym pościgiem.

Zdawał sobie sprawę, że ci, którzy zmusili go do zabicia tego żalostnego zwyrodnialca, z całą pewnością zapewniali mu też teraz bezpieczeństwo. Przynajmniej na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. I Tomasik nie miał żadnych wątpliwości, że są w stanie mu to zagwarantować.

Idąc wyznaczoną mu trasą, czuł dziwną pustkę w środku. Wiedział, że nie chodzi tu o niego samego, chociaż zdawał sobie też sprawę, że swoje życie przegrał już ostatecznie. Nikt i nic nie mogło mu już pomóc. Nie miał też wyrzutów sumienia z powodu zabicia młodziana, który tylko z wyglądu przypominał człowieka. W jego odczuciu był to tylko zwykły chwast, niezasługujący na życie w normalnym społeczeństwie.

Panicznie bał się jednak o Agnieszkę i jej dzieci. Bał się o Milenę i Dave'a! Pozostawała jeszcze niesamowita wręcz frustracja. No bo dlaczego?! Dlaczego przytrafiło się to właśnie jemu? Jak to możliwe, że ciągle czuł, jakby to ktoś inny, a nie on sam dokonywał tych wszystkich wyborów? Jakby ktoś nim sterował, a on był tylko zwykłą marionetką w czyichś bezwzględnych rękach? Bo przecież te wszystkie wydarzenia, w których brał udział, to nie mógł być tylko przypadek.

Doszedł już do przystani jachtowej i zwolnił. Był już przy pierwszym pomoście i cumującym przy nim wielkim i pięknym

jachcie motorowym. Spojrzał na nazwę. Roksana. To nie ten.

Szedł dalej. Minął następane trzy ekstrawaganckie jednostki i wtedy zobaczył to, czego szukał. Niepozorny, nierzucający się w oczy, kilkumetrowy zaledwie jacht o wdzięcznej nazwie Malwina. Na jego rufie przy niewielkim stoliku zastawionym puszkami z piwem siedziało trzech dobrze zbudowanych mężczyzn w średnim wieku w towarzystwie dwóch kilkunastoletnich dziewczyn o wyglądzie rasowych modelek.

- Nareszcie jesteś - jeden z nich krzyknął do niego wesoło i mrugnął znacząco okiem.

Tomasik przystanął w miejscu.

- No nie stój tak! - mężczyzna wykonał zapraszający ruch ręką.  
- Zapraszam!

Tomasz był kompletnie zaskoczony. Komandor Cholewka! Jego były przełożony z czasów służby w Wojskowych Służbach Informacyjnych. Facet, który był bezpośrednio zamieszany w sprawę zabójstwa admirała Miodowicza! Oskarżony o współpracę ze zorganizowaną grupą przestępczą i obcym wywiadem w celu dokonania niezgodnego z konstytucją przejęcia władzy i „cichego” zamachu stanu w Polsce!

Przecież on powinien siedzieć - przemknęło mu przez głowę.

- Tak, tak kolego. To ja. No, ale rusz dupę, bo stracę cierpliwość! - Cholewka zmienił nagle ton. - Chodź tu albo naprawdę ktoś się zaopiekuje tą twoją cycatą blondyną!

Tomasik z najwyższym trudem opanował emocje i wszedł ostrożnie na pokład. Wszyscy rozstąpili się na boki, robiąc mu trochę miejsca.

- Dawno się nie widzieliśmy, co? - Cholewka patrzył mu prosto w oczy, a pozostali tylko zerkali na niego ciekawie bez choćby cienia uśmiechu. - Jeżeli myślisz, że możesz wywinąć nam tu jakiś numer, to się mylisz! Przeszukaj go! - rzucił do jednego z mężczyzn.  
- Tylko dyskretnie!

Ten szybko odnalazł broń i oddał ją Cholewce.

- Teraz jest czysty! - zameldował po polsku.

Tomasik stał w miejscu, nic nie mówiąc. Po raz kolejny przeżywał swą klęskę.

- A teraz idź do kabiny. - Cholewka usunął się na lewą burtę. - Jest tam ktoś, kto bardzo chce z tobą pogadać!

Tomasz zrobił dwa małe kroki i otworzył ciemne przeszkłone drzwi. Wszedł do środka i stanął niezdecydowany w miejscu. Przez duże, lecz szczelnie zasłonięte roletami okna, nie przedostawała się tu nawet odrobina światła. Panowała całkowita ciemność. Stał tak kilka długich sekund, aż nagle rozbłysła lampa skierowana prosto



na niego. Światło było tak mocne, że Tomasik zamknął porażone jasnością oczy. Kiedy je tylko otworzył, zobaczył przed sobą zagłębionego w skórzanym fotelu, potężnego mężczyznę w ciemnym garniturze o jasnobłękitnych zimnych oczach i z wysoko podgoloną na wojskową modę głową.

- I znowu się spotykamy, panie kapitanie Tomasik.

\* \* \*

Pułkownik Zygmunt Drzazga, który od blisko roku pełnił obowiązki szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego, siedział w swoim dużym gabinecie na ulicy Oczki w Warszawie i ze znużeniem przeglądał przygotowaną mu do podpisania stertę opasłych dokumentów. Zmęczony sięgnął po stojącą na biurku herbatę. Siorbnął. Była zimna. Co za ohyda - pomyślał z obrzydzeniem i odstawił ją z powrotem na biurko. I w tym momencie rozległ się sygnał służbowego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił major Kowalski. Jego tajna wtyczka w „sojuszniczej” ABW. Podniósł słuchawkę.

- Mów! - rzucił spokojnie.

- Melduję, że są małe komplikacje - głos po drugiej stronie był lekko zniekształcony przez urządzenie szyfrujące.

- Co się dzieje?

- Czerwoni zmusili Żołnierzyka do zastrzelenia w miejscu publicznym jakiegoś ich człowieka. Ten zabity to Polak, prawdopodobnie ich sługus i śmieć. Właśnie go sprawdzamy. Ale to oznacza, że sprawują nad naszym Żołnierzykiem pełną kontrolę i muszą trzymać go mocno za jaja. Zastanawiam się więc, czy nie należałoby zmienić naszych planów co do niego. Nie mam pewności, czy facet nie wywinie nam jeszcze jakiegoś numeru i nie narobi zbędnych kłopotów.

- Zastanowię się nad tym. Co jeszcze?

- Żołnierzyk właśnie rozmawia z Wiktorem.

- Wiemy o czym?

Po drugiej stronie rozległ się krótki, dyskretny śmiech.

- Oczywiście, szefie. Mamy relację live.

- A ten jego kumpel, policjant?

- Trzymamy go na krótkiej smyczy. Jeden krok nie po naszej myśli, a on i jego żona tracą robotę i prawa do emerytury. Buntuje się, ale nic nie może zrobić. Poza tym operacja M trwa i raczej nie jest zagrożona. Myślę, że wszystko jest pod kontrolą.

- To dobrze. Jeszcze jakieś prośby, potrzeby?

Moment zawahania.

- Tak. Dwa pytania.

- Mów!

- Pierwsze. Czy w razie potrzeby możemy wtajemniczyć w sprawę Przynętę albo właśnie Żołnierzyka?

Drzazga przez kilka długich sekund zastanawiał się nad sensownością takiego postępuku. To nie byłoby mądre - analizował w myślach. Przynęta jest zbyt ważną personą i na pewno zrobiłby wszystko, aby natychmiast przerwać tę operację. A on, jako szef SKW, nie mógłby się temu oficjalnie przeciwstawić. Zarówno Przynęta, jak i jego zwierzchnik, czyli pani premier, po prostu by się bali. Poza tym nawet gdyby Przynęta zgodził się na kontynuowanie operacji, później mógł reagować nerwowo i nienaturalnie. A to mogłoby doprowadzić do nieobliczalnych wręcz szkód. Żołnierzykiem w ogóle nie zwracał sobie głowy. Ten dosyć przypadkowo wplątany w to facet, od samego początku skazany był na pożarcie i jak dotąd żył tylko dzięki dziwnym zbiegom okoliczności, które zmuszały zarówno jego, jak i jego przeciwników do zachowania go przy życiu.

- Nie - powiedział więc stanowczym głosem. - Żadnych ostrzeżeń czy kontrolowanych przecieków! Róbcie dalej swoje i pozwólcie im żyć w błogiej nieświadomości! Drugie pytanie?

Na krótką chwilę znowu zapadła cisza.

- Szefie - zabrzmiało w końcu w słuchawce. - Wie pan, że jeżeli cokolwiek nam nie wyjdzie - tu nastąpiła chwila przerwy - to pójdziemy na odstrzał?

Drzazga uśmiechnął się pod nosem. To akurat wiedział aż za dobrze.

- Nie myśl o tym - odpowiedział więc uspokajająco. - Jesteś pod moją osobistą ochroną! Ani generał Trznadel, ani żaden prokurator czy zafajdany polityk w tym kraju nie zrobi ci krzywdy! Po prostu rób swoje! Cześć!

Rozłączył się. A potem odchylił się do tyłu i spojrzał na wiszące na ścianie olbrzymie, haftowane godło Rzeczypospolitej.

- Ojczyznę kochać trzeba i szanować - wyszeptał cicho, parafrazując swoją ulubioną piosenkę z czasów minionej młodości. - Nie deptać flagi i nie pluć na godło - spróbował zanucić. A potem rozśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem.

Biały orzeł w koronie, z rozpostartymi szeroko skrzydłami, z zakrzywionym dziobem i potężnymi szponami patrzył groźnie w kierunku drzwi, jakby zupełnie nie zdając sobie sprawy, że właśnie jest obserwowany przez jednego ze swoich najważniejszych obrońców w tym kraju. Drzazdze tymczasem wszystkie kolory nagle zaczęły się zlewać przed oczami, stały się jakby płynne i rozmazane.

- Chuj, dupa i kamieni kupa - szepnął znowu do siebie. - I tyle z tej naszej Polski i ze mnie zostanie.

Zamrugał gwałtownie i wrócił do normalnej pozycji. Następnie wstał z fotela, potrząsnął gwałtownie głową, jakby odpędzając od siebie ogarniający go strach i wszechwładne zmęczenie, i podszedł wolno do okna. Wyjrzał na ulicę. Powinienem odpocząć - pomyślał, dochodząc do siebie. Jestem zbyt spięty i za dużo myślę. Wiedział, że tą akcją wiele ryzykuje. Ale operacja „Matrioszki” nie mogła już zostać przerwana. Machina ruszyła i wszystko zaszło już za daleko.

Przecież chłopakom z ABW już tydzień temu podrzucił sprawę przemytu narkotyków i tym samym dał zajęcie przynajmniej na kilka najbliższych dni. Pieski z MSW węszyły w pobliżu, identyfikując i obwąchując znajdowane trupy. Czegoś się domyślały, ale czuły smród służb specjalnych i wolały trzymać się od tego na dystans. Tak zwane niezależne media osobiście kontrolował i nie pozwalał im nawet zbliżyć się do tematu. Te dwadzieścia cztery godziny jeszcze wytrzymają. A sam Trznadel? Zanim ten zapatrzony w siebie idiota zorientuje się, że on i jego służba zostali wykorzystani i wystrychnięci na dudka, operacja „Matrioszki” będzie już zakończona, a on sam właśnie będzie odbierał nominację generalską albo będzie już martwy.

\* \* \*

Tomasz wpatrywał się intensywnie w siedzącego przed nim olbrzyma i z bijącym jak oszalałe sercem próbował zapanować nad własnym strachem. Ten facet miał w sobie coś przerażającego. Przecież zaledwie kilka minut temu Tomasik z zimną krwią zabił człowieka, a dopiero na jego widok znowu poczuł się jak mały bezbronny chłopiec i nie mógł powstrzymać drżenia całego ciała.

- Przykro mi, panie kapitanie, że nie zobaczy pan występu Orkiestry Kameralnej z Nowosybirsk - Wiktor przemawiał po polsku wolnym, leniwym i lekko zachrypniętym głosem. Miał ledwo wyczuwalny wschodni akcent i był wyraźnie wyluzowany. - Są naprawdę niezli. Ale jeżeli chodzi o rozmowę z konsulem... - Tomasik drgnął. Facet najwyraźniej wiedział o jego planach. Tylko skąd? - Czy pan naprawdę myśli, że tacy porządni i wytworni ludzie jak doktor Pawluszenko są wtajemniczani w brzydkie i brudne sprawy, którymi babrzą się tacy szeregowi żołnierze jak my? - I przez jego złą, a jednocześnie przystojną twarz, przebiegł kilkusekundowy grymas prawdziwego rozbawienia.

Tomasik nie mógł okazać mu teraz strachu.

- Ktoś kiedyś powiedział - zaczął ostrożnie, próbując przy tym

zapanować nad drzeniem własnego głosu - że moralność i polityka spotykają się tylko przypadkowo i tylko wtedy, kiedy jest to wygodne dla polityki. Myślę, że ten cytat dotyczy też dyplomatów.

- Noo, niegłupie - powiedział z uznaniem olbrzym. - To tekst tego waszego Piłsudskiego?

- Nie. To cytat z *Czasu wojny* Michaela Petersona. Amerykanina. Pisał powieści o wojnie w Wietnamie. Takie bajki dla dużych chłopców.

Tym razem mężczyzna nie wytrzymał i roześmiał się w głos.

- Taaak - westchnął. - Czytałem w twoim dossier, że czytujesz takie bzdury. No dobrze. To sobie już pożartowaliśmy, a teraz przejdziemy do konkretów.

Tomasik zadrżał. Przez cały czas próbował zrozumieć, skąd facet mógł wiedzieć o jego planach spotkania z konsulem. I w tym właśnie momencie chyba rozwiązał zagadkę. Przecież to mogła być tylko Milena! No chyba że przez cały ten czas byli nieustannie obserwowani i podsłuchiwani, a gość tylko się z nimi bawił.

- Jak myślisz - kontynuował Rosjanin, udając, że nie zauważył reakcji Tomasika - po co kazaliśmy ci zastrzelić to ścierwo i to jeszcze w takim miejscu?

Tomasik wzruszył tylko ramionami. Tego się już co prawda domyślał, ale na razie nie widział powodu, aby się tym chwalić.

- Ty wiesz. - Olbrzym nagle nachylił się w jego kierunku, uśmiechając się przy tym złowrogo. Ten uśmiech sprawił, że po plecach Tomasza przebiegł kolejny nieprzyjemny dreszcz. - Już ty dobrze wiesz, panie kapitanie Tomasik, dlaczego obchodzimy się z tobą jak z jajkiem i dlaczego ciągle jeszcze żyjesz.

Tomasz czuł na twarzy oddech mężczyzny.

- Słyszałem nagranie z twojej rozmowy z tą małą w samochodzie, zanim skoła ci na rękach. Wiem, że w końcu powiedziała wam o Turskim i o tym, co ten chłopak widział u nas w konsulacie. Wiem też, że nie jesteś idiotą i że reszty się już domyślasz. W innym przypadku zachowywałbyś się zupełnie inaczej.

Tomasz pobladł. Próbował pozbierać rozbiegane myśli. To, co mówił olbrzym, rzucało nowe światło na wszystko to, co się dookoła niego działo w ostatnim czasie. Ale ciągle nie wykluczało jego podejrzeń względem Mileny - jedynej osoby z jego otoczenia - która mogła go przed nim zdradzić.

- Chyba mnie przeceniasz - wyjąkał tylko lakonicznie, spuszczając przy tym zawstydzone oczy.

- Nie rób ze mnie głupca, panie kapitanie - Rosjanin podniósł lekko głos. - Zresztą to nie ma już dla ciebie żadnego znaczenia. Wiem, że chciałeś ostrzec Turskiego przed naszym zamachem.

Tomasik po raz kolejny z najwyższym tylko trudem zapanował nad własnym ciałem. Ta informacja, mimo że przyszła mu już wcześniej do głowy, właśnie została potwierdzona u samego źródła. Ale tym razem dzięki latom pracy w służbach specjalnych nawet nie mrugnął okiem.

- Ale teraz wiesz - Rosjanin obserwował go uważnie spod przymrużonych powiek - że nie możesz już tego zrobić. Co więcej doszedłem do wniosku, że to właśnie ty zastrzelisz Turskiego!

Tomasik, który już od kilku chwil oczekiwał tego stwierdzenia, nawet nie próbował udawać zaskoczenia. Zamiast tego postanowił ponownie zaryzykować i sprowokować olbrzyma do kilku następnych zwierzeń. Podniósł więc do góry oczy i wykrzywił twarz w prowokującym uśmiechu.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał cicho, niemalże szeptem.

- To chyba jasne. Bo tylko w ten sposób możesz ocalić bliskich sobie ludzi. Choćby tę twoją blondynę, jej dzieciaki, nauczycielską paniusię czy też tego chłopaczka, który ostatnio wam pomógł przy ucieczce z hotelu. Gdybyś jednak miał jeszcze jakieś wątpliwości, to wiedz, że takich bezimiennych, bezmózgich zwyrodnialców jednorazowego użytku jak ten młokos, którego dopiero co zastrześliłeś, jest zarówno u was, jak i u nas na łące. Wiesz, że jeżeli będziemy chcieli, to zawsze dorwiemy tych, na których ci zależy. I skończą tak samo jak doktorek, który twierdził, że nic go z tobą nie łączy. Ale możemy też zostawić ich przy życiu, tyle tylko, że zamienimy ich życie w piekło. I przy okazji nie zapomnimy przekazać im informacji, komu to wszystko zawdzięczają.

Tomasik mimo trawiących go emocji postanowił kontynuować swoją grę.

- Rozumiem - wycedził więc przez zaciśnięte mocno zęby. - Ale to ciągle nie wyjaśnia, dlaczego właśnie ja mam to zrobić i co śmierć Turskiego wam da?

W tym momencie olbrzym popatrzył na Tomasza, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. Tomasiak już wiedział, że popełnił błąd. Przedobrzył. To jedno nieopatrzone zdanie mogło mieć dla niego fatalne wprost konsekwencje. Przez długą chwilę panowało pełne napięcia milczenie.

- Co? - wycedził w końcu Rosjanin. - Dlaczego właśnie ty? I co to nam da?

A potem jego usta uniosły się lekko do góry, a w oczach błysnęły krótkie wesołe ogniki. Wreszcie wybuchnął głośnym niepohamowanym śmiechem.

- Mój Boże! - wykrztusił. - Ty naprawdę nic nie wiesz? Prawda?

Ty naprawdę ciągle nic nie wiesz i nic nie rozumiesz? Ty nawet niczego się nie domyślasz? Przez cały czas improwujesz?

Tomasik mimo ogarniającej go paniki próbował coś wymyślić, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Rosjanin w dalszym ciągu kręcił z niedowierzaniem głową i śmiał się sam do siebie. W tym momencie z tyłu, za Tomaszem, rozległo się głośne, natarczywe pukanie w drzwi od kajuty.

- Wszystko w porządku? - głos Cholewki był wyraźnie zaniepokojony.

- Tak! - ryknął z nagłą złością olbrzym i zerwał się gwałtownie z fotela.

Był o dwie głowy wyższy od Tomasza i stał teraz nad nim w pełni wyprostowany z wielkimi jak bochny chleba zaciśniętymi pięściami i z zaciętą złą twarzą. Przez krótką chwilę Tomaszowi wydawało się wręcz, że Rosjanin go po prostu uderzy. Lecz już kilka sekund później facet uśmiechnął się tylko do niego z pobłażaniem, a jego rysy twarzy i całe ciało wyraźnie się rozluźniły. Przez jakiś czas przyglądał się jeszcze Tomaszowi z pogardą, a jego zacięta i rozczarowana mina mówiła wszystko.

- Aż sam nie mogę w to uwierzyć - wychrypiał w końcu, opadając ponownie w głęboki fotel. - Że taki facet jak ty, taka miernota, wodziła mnie przez te kilka dni za nos. Że wziąłem cię za zawodowca i uwierzyłem w te wszystkie brednie o twoim profesjonalizmie wypisane w twoich papierach przez nasze służby i naszą wspólną przyjaciółkę Nataszę. - Znowu się roześmiał. - A tu się okazało, że to był po prostu niesamowity wprost zbieg okoliczności. Twoja niesamowita wręcz porcja szczęścia. A teraz aż sam się boję, że w tej operacji postawiłem na ciebie wszystkie karty. - Nagle gwałtownie spowaźniał. Jego twarz znowu była maską. - Ale uwierz mi - wychrypiał. - Jeżeli mnie zawiedziesz, zabiję wszystkich, na których chociaż trochę ci zależy. I zrobię taki rozpiżdziel w tej waszej Polsce, że już nigdy się nie pozbieracie. I tę twoją ukochaną ojczyznę ogarnie wojna domowa wszystkich ze wszystkimi. I zrobię to wszystko z prawdziwą przyjemnością. Tak żeby wasi obywatele czuli, że cierpią, i żeby wiedzieli, kto jest temu winien! Rozumiesz?

Tomasik stał w milczeniu z nisko opuszczoną głową i obserwował uważnie olbrzyma. Ale przy okazji próbował wyciągnąć z tego nagłego wybuchu szczeroci swojego wroga jakieś konstruktywne wnioski.

Rosjanin w końcu się zamknął. Dla uspokojenia wykonał kilka głębokich wdechów, a potem przeszedł do meritum. Przez kilka następnych minut wprowadzał go w sytuację i tłumaczył mu, co

Tomasik musi jutro zrobić. Robił to obrazowo i łopatologicznie. Objaśniając wszystko krok po kroku. Nie krył przy tym pogardy wobec Tomasza. Odkrycie, że najwyraźniej przecenił go i że ten nie jest tak dobry jak mu się wcześniej wydawało, sprawiło, że z miejsca stracił dla niego zawodowy szacunek. Kiedy skończył, wycedził:

- Wszystko zrozumiałeś czy mam jeszcze powtórzyć?

- Nie trzeba. - Tomasik skinął potulnie głową. - Wszystko jest jasne. - Udając jeszcze bardziej zagubionego i przestraszonego niż był w istocie, przestępował w miejscu z nogi na nogę. - Ale jaką mam gwarancję - zapytał więc po chwili zastanowienia drżącym z emocji głosem - że nawet, jeżeli zabiję Turskiego i uda mi się stamtąd uciec, to ocalę w ten sposób siebie i innych?

- Nie masz żadnych. Po prostu musi ci wystarczyć świadomość, że zarówno mi, jak i moim przełożonym nie będzie się chciało robić tu już żadnej większej rozruby. My po prostu lubimy ład i porządek na świecie i jeżeli nikt nas nie prowokuje, to nie wtrącamy się jak Amerykanie w żadne wewnętrzne sprawy innych państw - zaśmiał się cicho, jakby rozbawiony własnym żartem. - Jeszcze jakieś pytania? - zapytał w końcu.

- Nie.

- No to wynocha! I niech ci nie przyjdzie przypadkiem do głowy jakiś głupi pomysł udawania bohatera! Bo nim nie jesteś!

Wykończony psychicznie Tomasz z ulgą opuścił kabinę i wyszedł na pokład. Kiedy odprowadzany złym wzrokiem przez komandora Cholewkę i jego znajomych opuścił już jacht i stanął na brzegu, zaczerpnął głęboko powietrza, a przez jego skołataną głowę przemknęła jedna pocieszająca myśl: jest źle, nawet bardzo źle. Ale ciągle jednak jeszcze żyję. A ty pieprzony Koksie, właśnie popełniłeś największy błąd w swoim popapranym życiu! Zlekceważyłeś mnie i mój kraj!

\* \* \*

Kiedy tylko Tomasik zniknął z pola widzenia komandora Cholewki, ten odwrócił się od swoich kompanów i zapukał delikatnie w drzwi od kajuty.

- Wejść! - rozległo się ze środka.

Były wojskowy nacisnął klamkę i otworzywszy drzwi stanął niezdecydowany w miejscu.

- Już sobie poszedł - zameldował Wiktorowi służalczo.

- Wejdz i zamknij za sobą drzwi!

Cholewka wszedł do środka. Wiktor siedział w swoim

skórzanym fotelu i w zamyśleniu przeglądał coś w laptopie. Przez krótką chwilę nie zwracał na przybyłego uwagi aż w końcu nie odwracając nawet do niego głowy, zapytał.

- Ilu ludzi go obserwuje?

- Trzech.

- Dobrzy są?

- Tak. Dwóch z nich to byli funkcjonariusze CBS, a trzeci pracował kiedyś u mnie w WSI.

- Tomasik go zna?

- Nie powinien. Zanim do nas przyszedł, tamtego już nie było. Nie został pozytywnie zweryfikowany - Cholewka roześmiał się sztucznie.

Rosjanin nawet się nie uśmiechnął. W dalszym ciągu wydawał się całkowicie pochłonięty przeglądaniem swoich plików.

- A ten Tomasik - zaczął ponownie z ciągle poważną i jakby nieobecną miną - jest dobry, co?

Cholewka lekko się skrzywił.

- Wygląda niepozornie, czasami zachowuje się jak amator, ale może być groźny. Ja bym go nie lekceważył.

- Uhm. A ty, ile przez niego przesiedziałeś?

- Trzy lata.

- Nieźle.

Na krótką chwilę zapanowało milczenie.

- A wasze służby? - zapytał zniecierpliwiony Wiktor i oderwał wzrok od komputera. - Czy one naprawdę nic w tej sprawie nie robią?

- Nasze służby? - wyjąkał zaskoczony pytaniem Cholewka.

- Tak, wasze służby. - Olbrzym wpatrywał się intensywnie w Polaka. - Przecież znasz je dobrze. Dzisiaj w nich rządzą twoi byli podwładni.

Nagle Cholewka zaczął się trząść. Jego dłonie drżały jak u starego alkoholika.

- A niby skąd one miałyby coś wiedzieć? - wyszeptał z najwyższym trudem. Marzył, aby jak najszybciej wydostać się z kabiny.

- No właśnie. - Wiktor wstał leniwie z fotela i obie dłonie wsadził do tylnych kieszeni spodni. Jego świdrujący wzrok przeszywał trzęsącego się Cholewkę i sprawiał, że ten w ciągu kilku zaledwie sekund cały pokrył się potem. - To co mi jeszcze powiesz w tej sprawie? - zadał kolejne pytanie.

I nie czekając na odpowiedź, doskoczył nagle do sparaliżowanego strachem i stojącego w bezruchu byłego komandora, po czym złapał go mocno za bluzę, a drugą ręką błyskawicznie sięgnął po tkwiący z tyłu za jego skórzanym paskiem



nóż. Wyciągnął go z pochwy i jednym płynnym ruchem poderżnął Cholewce gardło. Krew trysnęła z przeciętej tętnicy niczym z fontanny. Ciemnoczerwona struga od razu przemoczyła mu koszulę na wylot, lecz Wiktor jakby tego nie poczuł. Zamiast się uchylić, stał nadal z zimnym uśmiechem na twarzy i trzymał w górze wierzgającego bezradnie Cholewkę. Kiedy Polak przestał się już ruszać, odczekał jeszcze minutę, po czym puścił bezwładne ciało i truchło samoczynnie osunęło się na zakrwawioną podłogę.

- Chcieliście mnie oszukać, Polaczki - mruknął z pogardą Wiktor. - Ale nie ze mną takie numery.

Spojrzał na leżącego trupa. Wiedział, że ciała trzeba będzie się pozbyć. No i posprzątać. Westchnął. A potem jakby nic się nie stało, uchylił lekko drzwi i wychyliwszy przez nie tylko samą głowę, spojrzał na wpatrujące się w niego cztery pary oczu. Nie mieli prawa nic słyszeć, a gdyby nawet, to i tak nic nikomu nie powiedzą. Wiedział, że miał ich wszystkich w rękę i że panicznie się go boją.

- Dziewczyny na brzeg, a chłopaki do roboty - zakomenderował. - Płyniemy do Gdyni! I nie przeszkadzać mi tu, dopóki was nie zawołam!

Kiedy usiadł ponownie w swoim fotelu, zupełnie przy tym nie zważając na leżącego na podłodze trupa i sączącą się z niego krew, jeszcze raz, już na spokojnie, przeanalizował swoje dotychczasowe posunięcia. Niby wszystko było pod kontrolą, ale nie był pewien, czy trochę nie przesadził dzisiaj z tym Tomasikiem.

Wiedział przecież, że to nie był głupi facet i że nie można go było lekceważyć. A ta gwałtowna zmiana jego zachowania i okazywana mu dzisiaj pogarda mogła Tomasikowi wydać się jednak podejrzana. Ale na wszelkie dywagacje było już za późno. Pierwsza część głównego zadania właściwie już trwała.

W tym momencie w kieszeni spodni poczuł delikatną wibrację. Wyjął telefon i spojrzał na wyświetlony numer.

- Tak - mruknął, siląc się na uprzejmość.

- Nie musiałeś tego robić - kobiecy głos po drugiej stronie był wyrachowany i zimny.

- Nie musiałem, ale chciałem.

- Widziałam to!

Wiktor spojrzał z niechęcią w kierunku zamontowanej w suficie miniaturowej kamery.

- To było niepotrzebne i głupie! - kontynuował głos. - Ale nie będę teraz z tobą o tym mówić. Mam dla ciebie kolejne zadanie.

\* \* \*

Tomasik zapukał lekko w drzwi. Po chwili usłyszał szybkie, zdecydowane kroki. To Dave, pomyślał.

- Kto tam?

Jego domysł okazał się trafny. Mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że jeżeli ten chłopak przeżyje jeszcze kilka najbliższych dni i nie zejdzie później na złą drogę, to będą z niego ludzie.

- Ja w sprawie biletu - wypowiedział więc umówione hasło i roześmiał się. Jego procedury bezpieczeństwa były jakby żywcem wzięte z serialu *Stawka większa niż życie*. Nic niewarte w zetknięciu z brutalną rzeczywistością służb specjalnych i zawodowych zabójców dwudziestego pierwszego wieku.

Szczęknął otwierany zamek. Drzwi uchyliły się i na klatkę wyjrzała elegancko ufryzowana głowa Dave.

- Niech pan wchodzi, panie profesorze.

Tomasik wszedł do mieszkania i od razu zobaczył stojącą w przedpokoju wystraszoną Milenę.

- Jak poszło? - szepnęła nieśmiało nauczycielka.

Na jej widok spróbował się uśmiechnąć. Mimo że jego podejrzenia co do jej osoby się nie potwierdziły, to jednak nie ufał jej tak jak dawniej. Ale wyraz jego twarzy mówił wszystko.

- Złe - powiedział krótko.

- Nie udało ci się z nim porozmawiać?

- Nie.

Kobieta zagryzła nerwowo wargi.

- I co teraz? - wyszeptała z trudem.

Tomasz westchnął i pokręcił zrezygnowany głową. Bez względu na wszystko - nie mógł powiedzieć im prawdy. To byłoby jak wydanie na nich wyroku śmierci. Wiedział już, że musi karmić ich kłamstwami i półprawdami oraz odgrywać rolę, którą ktoś inny mu wyznaczył. Miał tylko nadzieję, że dzięki temu kupi im wszystkim jeszcze chociaż kilkanaście godzin życia, a być może da też losowi szansę na jakąś jego diametralną odmianę.

- Sorry - odpowiedział więc tylko zmęczonym głosem i jednocześnie przyłożył ostrzegawczo palec do ust. - Najpierw muszę do toalety. Zaraz wam wszystko opowiem.

Zaniepokojony Dave dopiero teraz przekreślił za nim pośpiesznie zamek w drzwiach wejściowych, a Tomasz wszedł spokojnie do łazienki i po raz kolejny przeanalizował w głowie wszystko to, co chciał i mógł im powiedzieć.

Aby dać sobie jeszcze kilka sekund, odkręcił mocno kran i łazienkę wypełnił głośny szum lejącej się do umywalki wody. Do środka weszli Milena i Dave.

- Dorwali mnie - powiedział więc do nich niemalże szeptem. - Prawdopodobnie Ruscy. Ten bilet to była pułapka. Nie wiem, jak nas namierzyli. Ale takie są fakty. Wiedzą o nas wszystko. Podejrzewam więc, że nawet w tej chwili jesteśmy obserwowani i podsłuchiwani.

Milena i Dave rozszerzyli przerażone oczy.

- Przeżyjemy, jeżeli wykonam wszystko to, co mi każą - kontynuował spokojnym monotonnym głosem. - Mam plan, a wy musicie mi zaufać i pomóc! Rozumiecie?

Obydwoje skinęli głowami. Uśmiechnął się do nich uspokajająco i gestem nakazał im opuścić łazienkę. Chwilę później zakręcił wodę i stanął przed lustrem. Uśmiech natychmiast zniknął, a usta zacisnęły się w grymasie rozpaczony. Przecież tak naprawdę ciągle był w punkcie wyjścia. Nikogo i niczego nie mógł być pewien. Nikomu nie mógł ufać. No i wcale nie miał żadnego planu. Musiał działać jak zaprogramowany przez kogoś innego robot i co najwyżej w typowo polski sposób próbować improwizować na własną rękę. Ale to już wiązało się z dużym ryzykiem.

- Cholera - zaklął po cichu, próbując za wszelką cenę zmusić się do myślenia. - To nie może być jeszcze nasz koniec. - I w tym właśnie momencie przyszedł mu do głowy pewien nieoczekiwany, szalony pomysł.

\* \* \*

Na dworze było już ciemno. Załamany Jarek Sopoćko siedział na piętrze w swojej sypialni i na siłę wlewał w siebie trzeciego już tego wieczoru drinka. Whisky z colą i dwiema kostkami lodu, która od pewnego już czasu wyparła z jego menu nazbyt ciężkie dla jego organizmu piwo, zupełnie mu dzisiaj nie smakowała. Nawet do picia alkoholu trzeba mieć nastrój - myślał zrezygnowany.

Ale coś musiał ze sobą zrobić. Inaczej czekała go kolejna nieprzespana noc. Nagle na dole rozległo się pojedyncze szczeknięcie Maszy, które już po chwili przerodziło się we wściekłe ujadanie. Spojrzał na łóżko. Jego syn nadal spał snem niewinnego dziecka, lecz Gosia miała już otwarte oczy i jedną ręką sięgała do torebki po broń.

- Ciii - szepnął Jarek i odstawił szklanekę.

Gosia patrzyła na niego wyczekująco, zastanawiając się przy tym, co też może się kryć za tym głośnym alarmem. Ostatnie wydarzenia całkowicie ją rozbiły. Lecz to upewniło ją tylko w przekonaniu, że tym razem nie dopuści już do jakiegokolwiek porwania, że teraz nie odda już syna nikomu. Prędzej zastrzeli

nawet bogu ducha winnego człowieka niż zaryzykuje i pozwoli ponownie sobie odebrać i skrzywdzić Kubę.

Jarek podniósł się ciężko z łóżka i wolnym ruchem wyciągnął z kabury pistolet. Otworzył drzwi od sypialni i w tym momencie usłyszał jak do czekającej Maszy dołączyło ciche powarkiwanie przeplatane żalonym popiskiwaniem poranionej Carmen.

Odwrócił się w stronę żony i syna. Mimo wypitego alkoholu zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie nic złego się nie dzieje. Przecież z całą pewnością byli ciągle obserwowani przez służby specjalne, które powinny zapewnić im ochronę. Nie wiedział, gdzie oni są ukryci. Nie zgodził się ulokować ich u siebie w domu, a w pobliżu nie było widać żadnego zaparkowanego obcego samochodu czy furgonetki. Ale mogli być wszędzie. Mogli się zamelinować pod byle pretekstem u sąsiadów, w którymś z sąsiadujących z ich posesją garaży czy też w oddalonym o zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej świerkowo-bukowym lesie.

Jarek zaklął w myślach i bez włączania światła zaczął schodzić schodami w dół, nasłuchując przy tym uważnie i próbując poprzez naszczekiwanie zwierzaków wyłowić przyczynę ich niepokoju. Kiedy był już na dole, stanął pod ścianą i odbezpieczył pistolet. Masza podbiegła do jego nóg i schowawszy się za nim, cała zjeżona powarkiwiała, starając się przy tym nadać swojemu cienkiemu głosikowi pozory groźby. Nagle tuż pod samymi oknami zagrzmiało z kilku, a może nawet i kilkunastu gardeł.

- Zawsze i wszędzie! Policja jebana będzie!

I w tym momencie rozległ się brzdęk tłuczonej szyby, a jakiś wielki ciemny kamień wylądował na samym środku salonu. Jarek odruchowo przykucnął. Jak te piździelce nas pilnują? - przemknęło mu jeszcze przez głowę. Przecież ciecie z budowy są lepsi.

Jednak wtedy coś go nagle tknęło. Podbiegł do wrzuconego kamlota i mimo półmroku natychmiast dostrzegł, że na jednym z jego boków odznacza się coś białego. To była przyklejona zwykłą przezroczystą taśmą złożona na czworo mała karteczka papieru. Zaintrygowany oderwał ją i schował dyskretnie do kieszeni. Na zewnątrz słychać już było jakąś gonitwę, szamotaninę, przekleństwa i krzyki.

Nie wiedział, ile ma czasu. Wszedł szybko do łazienki i zasłaniając swoim ciałem zdobytą kartkę, rzucił na nią krótko okiem. Kiedy tylko ją przeczytał, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech triumfu.

- No to wracamy do gry, sukinsyny. I zobaczymy, kto kogo wyrucha na koniec.

\* \* \*

Podpułkownik Alojzy Dzban od blisko trzech lat był dowódcą 3. batalionu czołgów w 9. Braniewskiej Brygadzie Kawalerii Pancерnej. Do tak wysokiego stopnia nie doszedł jednak dzięki jakimś szczególnym przymiotom swojego ciała i umysłu czy też wybitnym zasługom okazanym na polach bitew Iraku, Afganistanu albo chociaż na poligonach w Orzyszu czy Drawsku.

Do osiągnięcia stanowiska wystarczyło mu bowiem bezwzględne posłuszeństwo wobec swoich przełożonych oraz całkowity brak litości, zrozumienia i wyrozumiałości dla swoich podwładnych. Zgodnie z tokiem jego myślenia szeregowi, podoficerowie oraz młodszy oficerowie Wojska Polskiego istnieli tylko po to, żeby wykonywać jego rozkazy, a on dzięki temu mógł jak najszybciej wspinać się do góry, aż na sam szczyt wojskowej kariery, i zostać w niedalekiej przyszłości przynajmniej jednogwiazdkowym generałem.

W tej jednak chwili razem z całą swoją pięcioosobową rodziną podpułkownik Alojzy Dzban znajdował się w Gdańsku i niczym we własnych koszarach wolnym i dostojnym krokiem przechadzał się, lustrując poszczególne sklepy, stoiska i ekskluzywne butikie największego centrum handlowego w samym sercu Wrzeszcza, czyli Galerii Bałtyckiej,

To był ich comiesięczny rodzinny rytuał. Po każdej wypłacie facet, który na co dzień dla swoich najbliższych był prawie takim samym tyranem jak dla żołnierzy, czyli bezwzględnym i wymagającym ślepego posłuszeństwa panem i władcą, zmieniał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w kochanego dobrotliwego męża oraz czułego wyrozumiałego tatusia. Pozwalał rodzinie na odrobinę luzu, frywolne żarty, swobodne i szczere uśmiechy. Rozpuszczał, kupując rozmaite smakołyki, pozwalając na kupno ciuchów, których i tak nigdy więcej nie pozwoli im nałożyć, bo były zbyt ekstrawaganckie, bo jemu się nie podobały. To był dla niego i jego rodziny swoisty wentyl bezpieczeństwa, który pozwalał im wspólnie trwać w jedność i zgodzie.

- Tato, tato! - krzyczały teraz do niego córki. - Zobacz tamtą sukienkę! Zobacz jaka ładna!

Dzban ułożył usta w grymasie, który był u niego namiastką szczerego, przeznaczonego tylko i wyłącznie dla swoich najbliższych uśmiechu. Naprawdę kochał te swoje córki.

- No i? - zapytał wesoło.

- My byśmy chciały ją mieć! Córka pana majora Kupisza była ostatnio w kościele w takiej samej!

Dzban pokiwał dobrotliwie swoją wielką, ogoloną na wojskową modę głową i spojrzął pytająco na żonę.

- To co? - zapytał podchwytliwie. Tak naprawdę jej zdanie kompletnie go nie obchodziło. Nie miał bowiem najwyższego mniemania o guście i intelekcie swojej żony, ale to wynikało po prostu z roli, jaką ogólnie przypisywał kobietom w życiu każdego mężczyzny. Roli jednoznacznie służebnej, ograniczającej się tylko do zaspokajania wszelakich potrzeb oraz rodzenia i wychowywania dzieci. Czasami jednak starał się sprawić jej małą przyjemność i przynajmniej udawał, że konsultuje z nią swoje decyzje w takich sprawach, jak zakupy „ekstrawaganckich” ciuchów dla dzieci. - Kupić im to? - mówiąc to, nie potrafił się jednak wyzbyć wyraźnego podkreślenia, że to tylko i wyłącznie on podejmuje ostateczną decyzję o dokonaniu zakupu.

- Jeżeli chcesz, kochanie - kobieta uśmiechnęła się nieśmiało - to im kup! Rzeczywiście jest piękna.

Wiedziała, że to jest „ich dzień”, ale obowiązujące w ich małżeństwie zasady współżycia musiały być zachowane. Inaczej czar pierwszego weekendu po wypłacie mógł prysnąć niczym mydlana bańka.

- No dobrze - westchnął więc łaskawie Dzban. - Skoro mama się zgadza.

Wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i uroczyście wręczył je swojej żonie. Patrzył przy tym na swoje podekscytowane dziewczynki. Ten widok naprawdę sprawiał mu przyjemność. Ale teraz miał jeszcze nastąpić ostatni akt ich comiesięcznego rytuału.

- Kiedy już kupicie sukienki, to potem możecie pójść z mamą na jakieś lody albo koktajl. Ja idę do Empiku.

Dzieciaki pisnęły radośnie. Zadowolony Dzban znowu uśmiechnął się do siebie. Za każdym razem pozwalał żonie i dzieciom iść do którejś z knajpek na półgodzinną degustację wolności, a on sam w tym czasie maszerował do Empiku w celu przejrzenia ostatnich nowości wśród wydawnictw poświęconych wojsku, militariorom i biografiami wielkich dowódców.

Zostawił więc swoją żonę i dzieci, zszedł piętro niżej i wolnym krokiem pomaszerował w stronę księgarni. Znajdowała się ona tuż przy wyjściu z galerii od strony dworca PKP Gdańsk Wrzeszcz, przystanku SKM i autobusowej pętli. Tłum wchodzących i wychodzących ludzi był tutaj większy, więc Dzban, żeby nikogo nie potrącić, musiał co jakiś czas przystawać albo uchylać się. Nagle jego wzrok przykuła idąca w jego stronę od wejścia piękna wysoka blondynka z długimi zgrabnymi nogami. Niezła zdzira - przemknęło mu przez głowę i mimowolnie jeszcze bardziej się wyprostował.

Kobieta też chyba zwróciła na niego uwagę. Dzbanowi wydało się nawet, że mrugnęła właśnie do niego. Jej usta rozszerzyły się w promiennym uśmiechu. I w tym momencie zza pleców Dzbaną wyskoczył młody mężczyzna z czerwoną pojedynczą różyczką w rękę i w dwóch susach doskoczył do roześmianej kobiety. Pułkownik nie chcąc ich staranować, znowu musiał się gwałtownie zatrzymać. Facet idący tuż za nim nie zareagował jednak wystarczająco szybko i wpadł w niego, amortyzując uderzenie poprzez oparcie się dłońmi na jego ramionach. Dzban zaklął głośno i łypnął na niego groźnie okiem.

- Oj! Przepraszam pana najmocniej - to mówiąc, mężczyzna ukłonił mu się nisko. - Ja niechcący.

Odwrócił się i zniknął w tłumie.

Pułkownik zaklął pod nosem i odwróciwszy się spróbował odnaleźć piękną kobietę i jej adoratora. Lecz oni jakby się rozplynęli. Rozeźlony znowu zaklął i chciał już tylko jak najszybciej dojść do Empiku. Zrobił kilka kolejnych kroków i nagle poczuł jak otaczający go zgiełk i szum cichnie, a oczy zachodzą mgłą i obraz staje się niewyraźny i bezkształtny.

- Co jest? - zdążyło mu jeszcze przelecieć przez głowę, a nogi same ugięły się w kolanach i po krótkiej chwili podpułkownik Alojzy Dzban osunął się ciężko na ziemię.

Natychmiast dookoła niego zrobiło się trochę luźniej. Kilka osób nawet się zatrzymało. Ktoś krzyknął, żeby wezwać pogotowie. Ktoś się nad nim pochylił i głośno zawołał, czy nie ma tu lekarza. Minutę później do małego zbiegowiska podbiegała już trzyosobowa obsada karetki pogotowia ratunkowego.

- Proszę się odsunąć! - ryczał młody lekarz. - Odsunąć się! Tu potrzeba powietrza! - Pochylił się nad leżącym, zbadał puls i po chwili zakomenderował. - Do karetki z nim! Natychmiast!

Dwóch młodych sanitariuszy sprawnie rozłożyło nosze i już bez żadnych kolejnych poleceń ruszyło z pacjentem do wyjścia.

Kiedy tylko kawalkada zaczęła się przeciskać, otaczający ich ludzie stracili całe zainteresowanie dla niecodziennego zdarzenia i zaczęli się rozchodzić. Po chwili nic już nie wskazywało na to, że zaledwie kilkanaście sekund wcześniej coś się tu wydarzyło.

Trzy minuty później do galerii wbiegła kolejna ekipa sanitariuszy. Mężczyźni zatrzymali się tuż przy wejściu i bezowocnie rozglądali się pośród dziesiątków ludzi w poszukiwaniu celu wezwania. W końcu jeden z nich zauważył przyglądającego się im ze zdziwieniem ochroniarza. Zirytowany podszedł do niego i zapytał:

- Ktoś tu zasłabł? Mieliśmy wezwanie! Ponoć gdzieś koło

Empiku!

Zdezorientowany ochroniarz zrobił ze zdziwienia jeszcze większe oczy.

- Owszem - wyjąkał. - Ale jedna karetka już była. Dopiero co go zabrali!

- To niemożliwe!

- Jak niemożliwe!? Przecież sam widziałem!

Sanitariusz zaklął niewyraźnie pod nosem.

- Na pewno? - zapytał jeszcze dla pewności.

- Na pewno!

- Co za burdel! Kiedyś ktoś przez to umrze. Dzięki.

Odwrócił się i wymijając tłum kręcących się ludzi, podszedł do czekających w bezruchu pozostałych członków ekipy. Nastąpiła krótka wymiana zdań i jeden z mężczyzn, najwyraźniej lekarz, wzruszył obojętnie ramionami i machnąwszy lekceważąco ręką nakazał im wyjście z galerii i powrót do karetki.

Obserwująca to wszystko z pierwszego piętra kapitan Wiera Czubaszko uśmiechnęła się lekko do siebie. Wyjęła z torebki niewielki telefon i wybrała odpowiedni numer.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Macie zielone światło na ciąg dalszy.

Rozłączyła się, po czym kręcąc zmysłowo biodrami, ruszyła do pobliskiego butik. Przechodząc obok kosza na śmieci, zatrzymała się przy nim jeszcze na chwilę i po raz kolejny powąchała trzymaną w lewej ręce różę, a potem nagle wrzuciła ją do kosza.

\* \* \*

Tomasik leżał wyciągnięty na łóżku i niewidzącym wzrokiem patrzył tępo w sufit. Z kuchni dochodził go brzdęk przekładanych talerzy i garnków. Po chwili w drzwiach pokoju pojawiła się Milena.

- Przespałeś prawie cały dzień. Masz chęć na jajecznicę? - spytała.

- Jasne.

- Będzie tylko na maśle. Nic więcej nie ma w lodówce.

- OK. Zjem wszystko, co podasz, nawet truciznę - spróbował zażartować.

- Uważaj, bo życzenia czasami się spełniają.

Obydwoje roześmieli się z lekkim przymusem. Milena odwróciła się na pięcie i zniknęła w kuchni. Tomasz zmierzwił ręką swoje krótkie włosy i spojrzął na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Wolno podniósł się z łóżka. Stał przy oknie i zamyślony popatrzył na pustawą brukowaną ulicę. Bał się. Wtedy na jachcie Rosjanin



właściwie postawił mu ultimatum. Wykonanie zadania miało ocalić jego najbliższych, ale jednocześnie nie dawało szans na przeżycie właśnie jemu. Wiedział bowiem, że jeżeli nawet uda mu się je zrealizować, a jego najbliżsi rzeczywiście przeżyją i nikt ich nie będzie nękał, to on sam stanie się zbyt niebezpiecznym świadkiem wydarzeń, żeby pozwolono mu żyć. Poza tym sam akt spowoduje potworne zamieszanie w kraju, a może i w całej Europie, i to prawdopodobnie ściągnie na niego odium wyrzutka i zdrajcy.

Ale oprócz tej strasznej perspektywy ciągle nie dawała mu spokoju sprawa wycieku informacji, o których wiedział tylko on, Milena i Dave. Jakim bowiem innym cudem olbrzym mógł dowiedzieć się o jego planach spotkania z konsulem? Jak ustalili miejsce odbioru biletu do filharmonii? Jak zdołał zaplanować i przygotować całą operację włącznie ze śmiercią doktora i szantażem oraz spotkaniem na jachcie? Czy faktycznie przez cały czas, od samego początku byli obserwowani i podsłuchiwani? Technicznie pewnie było to możliwe. Ale dlaczego? Po co? No i te żądania! Jaki to wszystko miało związek z wcześniejszymi wydarzeniami i ludźmi, których spotkał i z którymi walczył? Zwłaszcza z tymi w domku nad jeziorem, w Bazylice Mariackiej, z komandorem Cholewką? Czy to wszystko było następstwem z góry zaplanowanej akcji czy też tylko automatyczną reakcją na zmieniającą się gwałtownie sytuację?

Pytań było dużo, danych do odpowiedzi mało. Kilka wniosków nasuwało się samych. Ale w sumie nie zmieniały one ani trochę jego położenia. Co najwyżej wprowadzały jeszcze większą nieufność wobec wszystkiego i wszystkich, którzy go otaczali.

- Chodź! - usłyszał wołanie Mileny. - Jedzenie gotowe!

Odwrócił się od okna i wszedł wolno do kuchni. Dave siedział przy stole i wcinał dymiącą jajecznicę.

- Wyspał się pan? - zapytał, przerywając na chwilę jedzenie.

- Nie bardzo.

Tomasik usiadł do stołu. Jego wzrok zatrzymał się na Davie. Co za ironia losu - pomyślał ze smutkiem. Kolejna życiowa próba, a ja tylko tego jednego młodocianego cwaniaczka mogę być na sto procent pewien. I roześmiał się smutno do siebie.

- To co? - zagadnął chłopaka między kęsami. - Pożyczysz mi dzisiaj swoją wejściówkę na stadion?

- Mógłbym, ale myślę, że nie powinien pan tam iść sam.

- Taaak? - Tomasik był lekko rozbawiony. - Myślisz, że możesz mi się tam do czegoś przydać?

Mówiąc to, zatoczył oczami dyskretnie koło. Dave zrozumiał, co chciał mu przez to powiedzieć. Podsłuchy.

- Pewnie - kontynuował mimo to chłopak. - Przecież pan wie, że mam tam paru kolegów - mrugnął do niego znacząco okiem. - I to nie tylko od nas ze szkoły. W grupie jest zawsze rażniej. Poza tym na pewno przyjedzie sporo krawaciarzy ze stolicy - ostatnie słowo specjalnie podkreślił - więc tak będzie bezpieczniej.

Tomasik roześmiał się szczerze. Prawdą było, że chłopakowi ostatnio dużo zawdzięczał, ale nie chciał go już narażać na zbędne ryzyko. Poza tym miał dla niego inne, równie ważne zadanie, w które zamierzał go wprowadzić dopiero w ostatnim momencie.

- Słuchaj Dave, dobry z ciebie chłopak. - przemówił więc tonem starego zrędliwego mędrca. - Ale nie wpychaj sam palców między drzwi, zwłaszcza jeśli nie musisz!

\* \* \*

Kapitan Wiera Czubaszko siedziała w swojej kancelarii w konsulacie Federacji Rosyjskiej w Gdańsku Wrzeszczu i z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy przeglądała dopiero co otrzymane poprzez kuriera fotki.

Było ich dużo i wszystkie przedstawiały osobę dowódcy 3. batalionu czołgów z 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej podpułkownika Alojzego Dzbana. Pokazywały go w różnych nieprzyzwoitych pozach. W ubraniu i bez ubrania. Raz w czasie stosunku z kobietą, a innym razem z mężczyzną. Potem było jeszcze kilkanaście zdjęć z ostrej orgii w biseksualnym trójkącie.

Zauważyła, że technika wykonania i wywołania wyreżyserowanych zdjęć była bardzo dobra, ale prawdziwi fachowcy od tej roboty pewnie by odkryli małe niedociągnięcia i w przypadku jakiegoś dochodzenia bez trudu wykazaliby tak zwaną ustawkę. Widok twarzy, a zwłaszcza oczu polskiego oficera mógł bowiem wskazywać na jego totalny odjazd, ale równie dobrze mógł być uznany za zamroczenie narkotykiem czy inną psychodeliczną substancją podaną mu niekoniecznie za jego wiedzą i zgodą. Ale - ostatecznie machnęła na to lekceważąco ręką - przecież w całej tej operacji nie to było najważniejsze. Te zdjęcia miały być tylko ich asem w rękawie, pokazanym tylko i wyłącznie ich głównemu aktorowi i to tylko i wyłącznie w sytuacji kryzysowej. I nikt poza samym zainteresowanym i nimi nie miał prawa ich widzieć i oglądać.

W tym momencie usłyszała dochodzący z kieszeni garsonki cichy sygnał telefonu. Spojrzała na wyświetlony numer.

- Tak, tato - jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Cześć, córeczko. Co tam u ciebie słyhać?

- Wszystko w porządku.
- A jak tam nasz wspólny znajomy? Dobrze się dzisiaj bawił?
- O tak - Wiera zaśmiała się szczerze rozbawiona. - Właśnie przeglądam zdjęcia z imprezy.
- Ciekawe?
- Myślę, że tak.
- A filmy? Też kręciliście?
- Tak. Ale ich bym już nie pokazywała.
- Dlaczego?
- Są mniej przekonujące.
- No cóż. Nie można mieć wszystkiego. Aha, kochanie, byłbym zapomniał...
- Tak, tato?
- Bardzo cię proszę, uważaj na tego swojego przyjaciela z pracy. Wiesz, o kim mówię?
- Uhm.
- Pytałem o niego swoich znajomych z centrali. On prawdopodobnie już nie popracuje u was zbyt długo.
- Nic nie szkodzi, tatusiu - prychnęła wesoło. - Ostatnio trochę się na nim zawiodłam.
- Będiesz więc na niego uważać? - Pułkownik wolał nawet nie wyobrażać sobie, w jaki sposób Wiktor mógł rozczarować jego córkę, więc udał tylko, że nie słyszy w jej słowach ukrytej drwiny. - Zrobisz to dla mnie, córeczko? - powtórzył z naciskiem.
- Oczywiście, tato.
- To pa!
- Pa!

Rozmowa była skończona. Schowała telefon i jej uśmiech od razu zniknął. Zamyślona spojrzała na kolejne zdjęcie. Przedstawiało ono nagiego podpułkownika Alojzego Dzbanę z nienaturalnie dziwnym uśmiechem na twarzy. Jego wielkie pochylone do przodu cielsko w karykaturalny sposób wypinało do tyłu olbrzymi obwisły tyłek przystrojony tylko cieniutkimi koronkowymi stringami, spod których wystawało duże, mocno już sfatygowane pawie pióro.

Skąd oni biorą pomysły na takie sesje? - pomyślała lekko zniesmaczona. A potem wróciła myślami do tego, co przed chwilą powiedział jej ojciec.

- Biedny papa - szepnęła z rozczuleniem, widząc oczami wyobraźni jego poważną i zatroskaną twarz. - Kochany, naiwny papa. Tylko on jeden na tym świecie ciągle jeszcze się o mnie martwi. - I ze łzami w oczach, kompletnie niepasującymi do jej prawdziwej pracy, schowała do szuflady w biurku zdjęcia i ponownie sięgnęła po telefon.

Pod stadion na gdańskiej Letnicy Tomasik dotarł dopiero koło dwudziestej. Najpierw na ulicy Kartuskiej wsiadł w tramwaj 12 i podjechał nim do dworca PKP Gdańsk Główny, a stamtąd specjalnym pociągiem SKM wiozącym samych tylko kibiców dojechał niemalże bezpośrednio pod sam stadion Lechii.

Jadąc kolejką, obserwował i notował w myślach wszystko, co widział i co się wokół niego działo. Wiedział, że ważny może okazać się każdy szczegół. Od tego, co zapamięta, mogło później zależeć jego życie. Domyślał się też, że od samego wejścia do tramwaju powinno otaczać go przynajmniej kilku śledzących go ludzi. Co jakiś czas obrzucał więc wszystkich jadących mężczyzn uważnym spojrzeniem, ale przez całą drogę nikt podejrzany nie rzucił mu się w oczy. Doszedł do wniosku, że jeżeli byli wśród nich rosyjscy czy też polscy agenci - a być powinni - to musieli być dobrzy.

Idąc wraz z tłumem kibiców ze stacji Gdańsk - Stadion Expo w kierunku bursztynowego stadionu, po raz kolejny analizował wszystkie możliwe warianty oczekującego go zadania. Nie robił tego pierwszy raz i nie czuł przy tym strachu. Wręcz przeciwnie. Dotychczasowy strach i niepewność zostały zastąpione przez znane mu z przeszłości uczucie podekscytowania i dreszczyk emocji. Tak naprawdę nie miał przecież nic do stracenia. Kompletnie nie wierzył olbrzymowi i wiedział, że tylko jego improwizowany plan jest nadzieją dla niego oraz jego znajomych i bliskich na życie.

Kiedy tłum dotarł już na koronę stadionu, jeden z podpitych małolatów zaintonował krótką wulgarną przyśpiewkę na temat warszawskiego klubu. W ciągu kilkunastu sekund tekst piosenki został podchwycony przez dziesiątki gardeł. Tomasik przystrojony w otrzymaną od Dave'a biało-zieloną koszulkę z napisem „Lechia Gdańsk My Religion” i szalik z napisem „Władcy Północy” uśmiechnął się do siebie pod nosem. Ostatni raz w takim towarzystwie maszerował dawno, dawno temu. I było to jeszcze na starym stadionie we Wrzeszczu przy ulicy Traugutta.

Przechodzili obok bramek wejściowych na sektory gości. Ktoś widząc szeregi ubezpieczających je policjantów, zmienił błyskawicznie tekst piosenki na przyśpiewkę o stróżach prawa. Tomasik znowu się uśmiechnął. Tego typu zabawy traktował jako swoisty folklor nieodłącznie związany z większością ważniejszych imprez sportowych w Polsce. Przy okazji rozejrzył się po rzadniejącym tłumie. Kibice z pociągu tworzący dotąd jedną zwartą grupę rozchodzili się na poszczególne sektory, lecz on ciągle nie widział nikogo podejrzanego. Chociaż... Jego wzrok na ułamek

sekundy spotkał się z oczami jednego z dwójki „nienormalnie” jak na to towarzystwo wystrojonych czterdziestoletnich facetów. Obydwaj ubrani byli w ciemne wyświechtane marynarki i szerokie garniturowe spodnie. Żadnych biało-zielonych akcesoriów czy gadżetów. To nie mogli być kibice! No i do tego nie śpiewali! Tomasz natychmiast przesunął wzrok dalej, nie chcąc ich niepotrzebnie spłoszyć. Zbyt łatwo rzucili mu się w oczy, żeby uwierzył, że to jedyni jego stróże. Lepiej było przyjąć wersję, że to po prostu podpucha – wabiki. Mieli przyciągnąć i skupić na sobie jego uwagę i dać swobodę działania prawdziwym szpiclom.

Mimo wszystko był ciekaw, czy mają broń i jak ewentualnie zamierzają ją przemycić przez kontrolę na wejściowych furtach.

Doszedł do zielonej trybuny. To tutaj zbierała się najwierniejsza i zarazem najbardziej zagorzała i nieprzewidywalna brać kibicowska Lechii Gdańsk. Tomasiak stanął potulnie w długim ogonku do bramek wejściowych. Kątem oka zerknął do tyłu. Obydwaj podejrzani mężczyźni stali jakieś dwa metry za nim. Kolejka posuwała się szybko. Pilnujący wejścia ochroniarze, popędzani niezbyt kulturalnymi okrzykami kibiców, oklepywali tylko pobieżnie wchodzących przez metalowe furtki ludzi i puszczali ich do środka.

Tomasiak już wiedział, że wniesienie tu racy, broni, a nawet bomby nie byłoby zbyt dużym czy ryzykownym wyzwaniem dla dobrze wyszkolonego fachowca. Nie miał więc wątpliwości, że stojący za nim faceci nie napotkają żadnych problemów. Kiedy doszedł do furty, przyłożył do elektronicznego czytnika otrzymaną od Dave’a kartę. Po chwili na czytniku ukazała się zielona strzałka i Tomasiak wszedł do środka. Jeden z kilku ochroniarzy zagroził mu drogę.

- Proszę się odwrócić i podnieść do góry ręce.

Tomasz posłusznie wykonał polecenie i zobaczył, jak w tym właśnie momencie dwójka podejrzanych mężczyzn przechodzi przez bramkę. Ciec kończył go oklepywać.

- Dziękuję, może pan iść - powiedział, podchodząc do następnego kibica.

Tomasiak odwrócił się w stronę wejścia na trybunę. Przy okazji spojrzął na zegarek. Do rozpoczęcia meczu zostało jeszcze piętnaście minut. Do zaplanowanej przez niego akcji blisko godzina. Miał jeszcze dużo czasu. Mógł sobie pozwolić na odrobinę luzu. Uśmiechnął się więc znacząco do mijającej go dwójki mężczyzn. Natychmiast odwrócili wzrok, udając, że zauważyli coś, co przyciągnęło ich uwagę. Zgodnie z jego przewidywaniami nawet jeżeli to oni go właśnie śledzili i mieli przy sobie broń, to ochrona

oczywiście jej nie znalazła. Inna sprawa, co faktycznie by się stało, gdyby jednak się na nią natknęli i spróbowali ją odebrać.

Tomasik westchnął i nieśpiesznie wszedł na pierwszy stopień schodów prowadzących do sektora najbardziej fanatycznych gdańskich ultrasów.

\* \* \*

Siedzący w swoim warszawskim biurze Konstantin Maksymow bębnił nerwowo palcami po blacie od stołu i czekał na kolejny meldunek z Trójmiasta. Akcja pod kryptonimem „Matrioszki” wchodziła w swoją decydującą fazę, a przynajmniej jej pierwszą, być może nawet najważniejszą część. O jej szczegółach i swoim w niej udziale dowiedział się dopiero niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Co prawda cała operacja była według niego ryzykownym i kompletnie niepotrzebnym wyzwaniem i stawiała pod wielkim znakiem zapytania sens całej jego dotychczasowej pracy w tym kraju, ale wszystkie te jego przemyślenia i dywagacje nie miały znaczenia. Ludzie w Moskwie podjęli już przecież decyzję i tylko to się liczyło.

W końcu telefon zadzwonił. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Melduj! - rzucił do niej krótko.
- Matrioszka jest już na miejscu. Strzelec właśnie wszedł.
- A Europejczyk?
- W swojej łóży.
- Miejscowi?
- Są przekonani, że panują nad sytuacją.
- Coś jeszcze?
- Nie.
- Dziękuję.

Konstantin odłożył telefon. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Mimo to czuł, jak z nerwów poci się pod pachami. Tego typu akcje nie były w jego stylu. O wiele pewniej czuł się w swojej codziennej robocie. Westchnął i przymknął na chwilę oczy. Kiedy to wszystko się skończy, pomyślał, będę musiał stąd wyjechać. Przynajmniej na jakiś czas. Najlepiej na jakąś ciepłą i bezludną wyspę. Odpocząć. Z daleka od telefonów i tej całej Polski i Polaków.

I w tym momencie telefon zadzwonił powtórnie. Serce o mało nie stanęło mu w miejscu.

- Co się stało? - odebrał, czując, jak robi mu się gorąco.
- Na stadionie pojawił się Wiktor!
- Co?! Co on tam robi?!
- Nie wiemy.

- Jak to, nie wiecie? - wybuchnął.
- Po prostu, nie wiemy. Może dostał taki rozkaz?
- Nie! Meldować mi o każdym jego kroku!
- Tak jest.

Konstantin się rozłączył i z furią odłożył słuchawkę. Boże - pomyślał ze strachem - Wiktor. Wiktor na stadionie. Po co on tam przyszedł? I dla kogo on tak naprawdę pracuje?

\* \* \*

Tomasik stał w sektorze ultrasów pomiędzy wygolonymi na łyso nastolatkami i jednym tylko okiem patrzył na boisko i to, co tam się dzieje. Ku uciechu gdańskich kibiców to właśnie Lechia od pierwszych minut próbowała atakować i narzucić swój styl gry, a Legioniści, obrońcy tytułu Mistrza Polski i główni kandydaci do niego, znajdowali się w głębokiej defensywie. Ale bardziej od samego meczu Tomasika interesowały łoże VIP znajdujące się na wysokości środkowej linii boiska, po jego prawej stronie. Wiedział, że to właśnie w jednej z nich powinien przebywać teraz prawdziwy cel jego dzisiejszego przybycia na stadion. Były premier Rzeczypospolitej Polski i aktualny Przewodniczący Rady Europejskiej, Damian Turski.

\* \* \*

Dave oderwał oczy od monitora komputera, w którym oglądał mecz Lechii Gdańsk z Legią Warszawa i spojrzał na wiszący w pokoju duży ścienny zegar. Czas było zaczynać. Wstał z fotela i nie przerywając internetowej relacji live, podszedł do drzemiącej na kanapie Mileny. Dotknął ją delikatnie w ramię. Natychmiast otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego lekko wystraszona. Ale nie zdążyła jeszcze otworzyć ust, kiedy Dave gestem nakazał jej milczenie, a ręką sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niewielką kartkę papieru. Wcisnął ją do jej dłoni i szepnął.

- Proszę przeczytać i się przygotować.

Milena zakryła kartkę własnym ciałem i rzuciła na nią szybko okiem. Po chwili spojrzała na uśmiechającego się do niej chłopaka.

- To jest ten wasz plan? - szepnęła z niedowierzaniem.

- Uhm - Dave kiwnął potwierdzająco głową. Czuł, że uczestniczy w czymś naprawdę ważnym. - Czas nagli, pani profesor.

Nauczycielka podniosła się z kanapy i szybkim krokiem przeszła do łazienki. Po minucie wyszła z niej lekko odświeżona, w jasnych opinających nogi i pupę dzinsach, białej zapinanej na guziki

koszulce i z wysoko upiętymi w koński ogon włosami.

- Jestem gotowa - szepnęła.

Dave spojrział na nią z uznaniem, po czym złapał mały szkolny plecak i przewiesiwszy go sobie przez ramię, otworzył przed nią drzwi. Kiedy znaleźli się już na klatce, usłyszał sygnał swojej komórki. Wyciągnął ją i spojrział na wyświetlony numer.

- Siema, Szajbus! - niemalże wykrzyknął z radością. - Właśnie idziemy!

I otworzywszy drzwi wejściowe mieszkania wyszedł razem z Mileną na zewnątrz. Schodząc po znajdujących się na dworze schodach, obydwójce spojrzeli w lewo. Po brukowanej ulicy akurat toczyło się w dół w kierunku Kartuskiej duże czarne bmw. Kiedy dwie sekundy później byli już na dole, auto zahamowało gwałtownie tuż przed nimi i Dave natychmiast złapał za klamkę samochodu.

- Proszę wsiadać! - krzyknął do Mileny, widząc jak z zaparkowanego kilkanaście metrów przed nimi i oklejonego reklamami granatowego busa wyskakują dwóch wielkoludów.

Kobieta popychana przez Dave'a niemalże wpadła do środka pojazdu, a chłopak natychmiast wcisnął się tuż za nią.

- Jedź! - zakomenderował.

Siedzący za kierownicą, wygolony na łyso zaaferowany drobny nastolatek, natychmiast wcisnął pedał gazu. Auto momentalnie skoczyło do przodu i od razu nabrało dużej prędkości. Mężczyźni z busa ledwo zdążyli uskoczyć, gdy rozpędzone bmw przemknęło tuż obok. Po chwili auto musiało jednak gwałtownie hamować. Przed nimi było skrzyżowanie z ulicą Kartuską.

- Dokąd?! - zapytał nerwowo kierowca, zerkając w lusterka wsteczne.

- W lewo! Na Psiarnię!

- Co?! - wykrzyknął zdumiony nastolatek. - Chyba cię, Dave, pokreśli! Jumaną bryką na komisariat?!

- Szajbus! Nie pierdol! Tu chodzi o życie! - Dave obejrzał się nerwowo do tyłu. - Oni chcą nas zabić! Wał prosto na Komendę Policji!

Kierowca też dostrzegł, że bus właśnie rusza. Widząc, że z lewej strony akurat nic nie nadjeżdża, wrzucił jedynekę i wcisnął pedał gazu.

\* \* \*

Tomasik patrzył na jeden z czterech potężnych telebimów zawieszonych w rogach stadionu i wyświetlających wynik oraz czas meczu. Była dokładnie siedemdziesiąta druga minuta i mimo



wyraźnej przewagi biało-zielonych nadal było zero do zera.

Lechia ciągle atakowała. Akurat w tym momencie na lewym skrzydle młody gdański napastnik wkręcił w ziemię jednego z Legionistów i po minięciu go z pełną prędkością wbiegł z piłką w pole karne warszawiaków. Przed nim był już tylko ostatni obrońca i stojący na linii bramkowej bramkarz. Lechista zrobił zwód i znalazł się sam na sam z bramkarzem. Zszedł do środka i z całej siły strzelił w długi prawy róg. Golkiper rzucił się w lewo i wyciągnięty jak struna zdołał jeszcze musnąć palcami piłkę. Ale to było wszystko, co udało mu się osiągnąć. Piłka ku radości gdańskich kibiców zatrzepotała w siatce.

- Jest! - zaryczały trybuny. - Gol! - Ludzie szaleli z radości. Ściskali się i przybijali piątki. W górę poszły szaliki i zaczęły wirować.

W tym ogólnym hałasie Tomasik bardziej wyczuł wibrację niż usłyszał sygnał swojego telefonu. Natychmiast wyciągnął go z kieszeni i spojrzał na numer nieodebranego połączenia. Tak. To było to. To był sygnał, na który czekał. Natychmiast zdjął z siebie białozieloną koszulkę i pozostając już tylko w białym T-shircie i dżinsach zakręcił nią kilka razy nad głową, po czym położył razem z szalikiem na swoim siedzisku. Potem odwrócił się i zaczął przeciskać między rozentuzjasmowanymi ludźmi do wyjścia. Kiedy był już pod trybunami, obejrzał się za siebie. W odległości kilkunastu metrów za nim szło dwóch dobrze zbudowanych, ubranych w białozielone koszulki mężczyzn. Tych, którzy rzucili mu się w oczy tuż przed wejściem na stadion, na razie nie widział.

Skreślił w lewo i po chwili doszedł do wysokiego płotu i metalowej bramki oddzielającej dwa różne sektory. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął otrzymaną od olbrzyma podrobioną legitymację.

- Kapitan Tomasik - machnął nią stojącym przy bramce ochroniarzom. - Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Mam sprawę do waszego szefa, pana Martyniuka. O! Właśnie idzie. - Tomasik wskazał go głową. Jego twarz też znał ze zdjęcia okazanego mu przez olbrzyma.

Ochroniarze odwrócili się do tyłu, skąd nadchodził młody, średniego wzrostu mężczyzna w luźnej przydługiej marynarce. Tomasik wykorzystał ten moment i obejrzał się za siebie. Dwójka śledzących go mężczyzn w białozielonych koszulkach stała jakieś dziesięć metrów od niego i patrząc beczelnie w ich stronę paliła spokojnie papierosy. Martyniuk właśnie podochodził.

- Pan kapitan Tomasik? - zapytał z lekkim uśmiechem.

- Tak. - Tomasz pokazał mu przez pręty swoją fałszywą

legitymację. - To ja.

- Witam. Proszę wpuścić tego pana - zwrócił się do dwójki ochroniarzy. - Wszystko w porządku?

- Tak. Chociaż mam kilka uwag, ale przekażę je państwu później oficjalnym pismem.

Tomasik przeszedł na VIP-owską stronę i prowadzony przez Martyniuka szedł tuż obok niego.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie mieliśmy tego rodzaju kontroli. - Martyniuk spoglądał na niego ciekawie. - Policja to i owszem. Czasami chłopaki bawią się w tego rodzaju sprawdzanie nastrojów od wewnątrz. Ale generalnie to wystarcza im dostęp do zapisów z naszego monitoringu, no i pewnie jacyś informatorzy. Ale czy mogę wiedzieć, dlaczego tym razem to właśnie wasza służba zainteresowała się naszymi najwierniejszymi fanami?

Tomasik spojrział na niego z wyższością i przybrał pozę przemądrzałego i zarozumiałego buca.

- Wasi kibice są naprawdę niezłe zorganizowani i nie wszyscy pałają miłością do ważnych osobistości, którzy też kibicują Lechii. Mamy informację, że przygotowują małą nieprzyjemną akcję wobec jednego ważnego pana, a my do tej akcji mamy zamiar nie dopuścić. Reszta to niestety tajemnica służbowa.

- No tak, rozumiem. - Martyniuk pokiwał głową.

Tomasik zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć w pobliże samego Turskiego. Olbrzym zapewniał go, że dokumenty są zrobione perfekcyjnie, a legenda przedstawiona Martyniukowi jest pewna. Ale to jeszcze wszystkiego nie załatwiało.

Szli podziemnymi korytarzami. Z góry dochodził ich tylko pomruk wyciszonych przez beton śpiewów i gwizdów.

- Nasi chyba wygrają, co? - zagadnął ochroniarz. - Jak pan myśli?

- Mam nadzieję. Fajnie by było doczekać się znowu w Trójmieście europejskich pucharów.

- W tym sezonie to się chyba jednak jeszcze nie uda - Martyniuk zaśmiał się sztucznie. - Może za rok.

- Może.

Idąc, mijali metalowe bramki i drzwi. Prawie wszystkie strzeżone były przez ochroniarzy i otwierane elektronicznymi przepustkami. W końcu wsiedli do dużej przeszklonej windy i dotarli do ogromnej sali bankietowej zastawionej nakrytymi stołami. Za oknami widać było wiwatujące białozielone trybuny. Tomasiak wiedział, że jest już bardzo blisko celu.

- Przepraszam - zatrzymał się gwałtownie. - Jest tu gdzieś toaleta?

- Tak - mruknął zaskoczony Martyniuk. - Tam. Proszę za mną.

Tomasik szedł za nim i czuł, jak mimo pozornego spokoju serce bije mu coraz szybciej. Przez cały czas rozglądał się uważnie dookoła, notując wszystkie otaczające go szczegóły. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi. Kelnerzy, obsługa, pracownicy ochrony, jacyś piłkarscy działacze i goście z vipowskich łóż. Wszyscy oni, mimo dramaturgii meczu, zajęci byli o wiele bardziej sobą i swoimi biznesowymi sprawami, niż sportowym spektaklem. W końcu dotarli do toalety.

- Zaraz wracam. - Tomasz zostawił na zewnątrz Martyniuka i wszedł do środka.

Od razu zauważył, że nie jest tu sam. Przy umywalce, tyłem do niego, stał starszy szpakowaty mężczyzna z niewielkim wąsem, w eleganckim garniturze i z drewnianą laseczką w ręku. Tomasik zerknął w kierunku lustra i zobaczył w nim odbicie jego twarzy. Facet musiał być już dobrze po siedemdziesiątce, ale te oczy. Żywe i inteligentne zarazem! One wyraźnie go odmładzały i nadawały mu jakiegoś tajemniczego uroku. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy i Tomasikowi wydało się, że dostrzegł w jego oczach błysk jakiegoś dziwnego rozbawienia i zaciekawienia zarazem.

Jednak nie miał już czasu na analizowanie swoich spostrzeżeń i przeczuć. Odwrócił szybko głowę i podszedł do ostatniej kabiny. Otworzył drzwi i już chciał wejść do środka, gdy usłyszał tuż za swoimi plecami cichy, lecz wyraźny głos staruszka:

- Niech się pan tak nie denerwuje. Wszystko się dobrze skończy.

- Też mam taką nadzieję - odpowiedział szeptem. I nie miał przy tym na myśli tylko wyniku meczu.

Zamknął za sobą drzwi. Ledwie to zrobił, usłyszał, że do toalety wchodzi ktoś jeszcze. Jeden człowiek? Nie! Raczej dwóch! Zdradził to delikatny odgłos stukających o posadzkę butów. Tomasik z bijącym mocno sercem nadstawił jeszcze uważniej uszu. Wszystkie zmysły miał wyostrzone do maksimum. Ponownie trzasnęły drzwi. Kto to może być? Tajemniczy staruszek? Martyniuk? A może jeszcze ktoś trzeci i czwarty? A może jednak się myli i jest już sam?

Spojrzał na zegarek. Nie mógł dłużej czekać. Przyklęknął na posadzkę i ręką sięgnął w umówione z olbrzymem miejsce tuż pod sedesem. I od razu natrafił na przyklejony do niego od spodu pakunek. Używając odrobiny siły, oderwał go od aluminium i przyciągnął do siebie. To była bąbelkowa koperta. Natychmiast podniósł się z kolan i ostrożnie ją rozerwał. W środku zapakowany był pistolet. „Jego” glock. Tomasik rzucił okiem na wygrawerowane

z boku numery.

- A to cwaniaki - mruknął bezgłośnie.

To była ta sama pukawka, którą dostał od Jarka i którą zabrał mu olbrzym. To z niej kilkakrotnie już strzelał. Na Morenie, w domku na Kaszubach, w Bazylice Mariackiej. To z niej też zastrzelił tego chłopaka w Mieście Demonów.

- Jasna cholera! - zaklął ponownie. Dla ewentualnych śledczych wszystko miało się układać w jasną i oczywistą historię. Sprawdził magazynek. W środku były tylko trzy naboje. - Sukinsyny - był naprawdę zły.

Nie ufali mu i nie zostawiali zbyt dużego pola manewru. Podpiął magazynek z powrotem do pistoletu i zatknął go za pasek od spodni. W tym momencie usłyszał cichy odgłos lejącej się w umywalce wody i niezbyt czysto wygwizdywany znany muzyczny motyw z filmu *Mission impossible* z Tomem Cruisem. Mimowolnie poczuł nieprzyjemny dreszcz. Coś mu się tu nie podobało. Ta melodyjka. Ta broń. Słowa tego staruszka, które przecież wcale nie musiały dotyczyć dzisiejszego meczu. Coś za dużo tych dziwnych zbiegów okoliczności.

Szybko się przeżegnał. Potem popchnął lekko drzwi kabiny i zrobił pierwszy krok naprzód.

\* \* \*

Czarne bmw mknęło ulicą Kartuską z olbrzymią prędkością, łamiąc po drodze wszystkie możliwe przepisy. Dopiero na wysokości szpitala wojewódzkiego kierujący autem wygolony na łyso nastolatek zaczął gwałtownie hamować.

- Trzymajcie się! - krzyknął ostrzegawczo.

Siedząca z tyłu Milena i Dave nie potrzebowali do tego żadnej zachęty. Od początku tej szaleńczej jazdy trzymali się mocno uchwytów nad drzwiami, lecz teraz dodatkowo skurczyli się jeszcze bardziej w sobie i przyłgnęli do swoich foteli.

Chłopak wcisnął mocno hamulec i samochód okręciło na torowisku tramwajów o sto osiemdziesiąt stopni. Widząc stojących na przejściu dla pieszych obserwujących ich ludzi, przerażony możliwością wypadku, chłopak wcisnął mocno klakson.

- Z drogi! - ryczał na całe gardło, jakby naprawdę to mogło coś pomóc.

Auto z wciśniętym klaksonem wjechało na chodnik i taranując porzucony przez kogoś w ostatniej chwili rower, zatrzymało się tuż przed samymi drzwiami komendy. Ludzie, którzy ledwie zdążyli się rozpiezchnąć na boki, klęli głośno i podnosili się z ziemi.

- Wysiadamy! - krzyknął Dave i otworzywszy drzwi od bmw pociągnął za sobą Milenę. - Szajbus! Ty też!

Oklejony reklamami ścigający ich ciemnogrnatowy bus właśnie dojeżdżał do skrzyżowania na wysokości szpitala.

- Szybciej! - poganiał ich Dave.

Dopadli do drzwi Komendy Miejskiej Policji, Dave nacisnął klamkę i już po chwili wszyscy znaleźli się w środku. Tuż przed pomieszczeniem oficera dyżurnego stała kilkuosobowa grupa starszych wiekiem zachodnich turystów, którzy po niemiecku próbowali złożyć jakieś zawiadomienie.

- Panie oficerze! - Dave rozepchnął brutalnie staruszków i stanął bezpośrednio przy okienku, za którym siedział dyżurny. - Potrzebujemy natychmiastowej pomocy! Ścigają nas bandyci. Chcą nas zabić!

- Taaak? - zdziwiony policjant przeniósł na niego wzrok. - A niby kto chce was zabić? Kosmici?

I w tym momencie otworzyły się drzwi od wnętrza komendy i ukazała się w nich postać komisarza Jarosława Sopoćko. Policjant z ręką spoczywającą na kaburze pistoletu spojrzał na zdenerwowanych Milenę i Dave'a, a potem rzucił w kierunku dyżurnego:

- Wpuść ich, Grzesiu! Szybko! Oni nie żartują!

Jednak zanim policjant zdążył wykonać jego polecenie, do komendy wbiegło dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w czarnych kombinezonach i w odblaskowych kamizelkach z napisami ABW. Zachodni turyści przesunęli się z przestrachem pod ścianę.

- Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego! - krzyknął jeden z funkcjonariuszy i pokazał wszystkim trzymaną w ręce legitymację. - Ścigamy tych ludzi! - wskazał Milenę, Dave'a i młodocianego kierowcę. W jego oczach tliła się wściekłość. - Są oskarżeni o udział w zorganizowanej grupie przestępczej i wrogą działalność zagrażającą bezpieczeństwu państwa!

Jarek zmiął w ustach brzydkie przekleństwo. Atmosfera przed dyżurką gęstniała z każdą sekundą.

- Pieprzycie! - mruknął groźnie. - Pieprzycie jak potłuczeni. Ja ich znam. Są niewinni i wy dobrze o tym wiecie! Oni są moi!

- Taaak? - funkcjonariusz ABW przeniósł na niego spokojnie wzrok. - Pan nadkomisarz Jarosław Sopoćko. Pan też jest aresztowany! Dokładnie za to samo!

- Taaak? - tym razem to Jarek przeciągnął to retoryczne pytanie. - Nie wydaje mi się! - I błyskawicznie wyciągnął pistolet. - Wypierdalać! - wycedził, mierząc do nich z bliska. - Ja nie żartuję!

- Niech się pan zastanowi, co pan robi, panie komisarzu - twarz mężczyzny nawet nie drgnęła. - Jest pan policjantem. Funkcjonariuszem publicznym. Działamy w jednej drużynie.

- Wypierdalać! - powtórzył wolno i wyraźnie Jarek.

- Jesteśmy...

- Zamknij się pan! - przerwał mu z wyraźnym już rozdrażnieniem Sopoćko. - Wiem, kim ja jestem, i wiem, kim wy jesteście! Oni są moi! A was rozwalę jak tylko mnie do tego zmusicie.

Obserwujący to wszystko oficer dyżurny stwierdził, że sytuacja go przerasta i najwyraźniej wymknęła się mu już spod kontroli. I nie czekając na ciąg dalszy, przesunął się powoli w prawo i wcisnął ukryty pod biurkiem czerwony przycisk alarmowy.

\* \* \*

Tomasik patrzył z niedowierzaniem na stojącego przed drzwiami mężczyznę. Wysoki, barczysty, ubrany w dobrze dopasowany służbowy garnitur i wygolony gładko do samej skóry. No i ta twarz przystojniaka z charakterystycznym ciemnym pieprzykiem nad górną wargą, która była wzorcowym wręcz przykładem chłodnej maski zawodowego ochroniarza. Tomasz znał tego faceta! Wielokrotnie widział go w telewizyjnych migawkach, gdy towarzyszył w podróżach najważniejszym osobom w państwie. To był chyba najbardziej rozpoznawalny funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu, widywany w mediach częściej niż ich rzecznik prasowy. To on już wielokrotnie wypowiadał się na różnorakie tematy we wszelkiego typu kolorowych gazetach i czasopismach! Tomasz był nawet zdziwiony, że ten showman i celebryta o wyraźnych ciągotkach do nadmiernego pokazywania się w kolorowej prasie i bywania w wielkim świecie, ciągle jeszcze pracuje w firmie.

Tomasik skinął mu lekko głową i podszedł wolno do umywalki. Wsadził dłonie pod kran. Przez cały czas czuł na sobie czujne spojrzenie agenta.

Tu musi być też Turski - przemknęło mu nagle przez głowę, a przez plecy przeszedł go lekki dreszcz podniecenia. - Lepsza okazja się już nie zdarzy.

Od BOR-owika dzieliły go około dwa metry. Jakby na potwierdzenie swoich domysłów co do Turskiego, w jednej z zamkniętych kabin akurat ktoś spuścił wodę. I w tym momencie Tomasik podjął decyzję. Okręcił się powoli na pięcie i spojrzał ochroniarzowi prosto w oczy.

- Nazywam się kapitan Tomasz Tomasik. Jestem byłym oficerem Służby Kontrwywiadu Wojskowego - zaczął spokojnie.

Borowik stał bez najmniejszego ruchu, jakby w ogóle go nie słyszał. Przeszywał go tylko obojętnym niewidzącym wzrokiem. Ale Tomasz nie dał się zwieść tym pozorom. Dostrzegł u niego delikatny tik palców lewej dłoni. Facet był spięty i wyraźnie gotowy do akcji.

Kątem oka zauważył, że drzwi od kabiny toaletowej się uchylają i staje w nich lekko zmieszany Damian Turski.

- Mam informację - kontynuował dalej Tomasik, nie spuszczając przy tym wzroku z ochroniarza. - Wiem, że służby specjalne obcego mocarstwa planują tutaj dzisiaj zamach na życie pana premiera.

Zapadła pełna napięcia cisza. Z zewnątrz dochodził tylko wytłumiony przez ściany odgłos nieustającego dopingu gdańskich kibiców.

- Skąd pan to wie? - ciszę przerwał Turski. Jego głos był jak zwykle lekko drwiący i ktoś, kto go nie znał, mógłby to wziąć za wyraz rozbawienia czy lekceważenia.

Tomasik zwilżył językiem usta.

- To długa historia. Myślę, że to nie miejsce i nie czas na jej przytaczanie.

Tomasz wiedział, że czas pracuje na jego niekorzyść. Zarówno czekający na jego wyjście Martyniuk, jak i oczekujący na powrót do łóżki byłego premiera ludzie, mogli być już zaniepokojeni.

- A dlaczego niby mielibyśmy panu wierzyć? - zapytał ponownie Turski i zrobił krok w stronę umywalki. W dalszym ciągu nie wyglądał na specjalnie przejętego całą sytuacją. Ale to też mogły być tylko pozory. - Zatrzymuje nas pan w takim oto mało komfortowym miejscu i przedstawia rewelacje. Sam pan przyzna, że nie wygląda to zbyt poważnie.

I najwyraźniej chciał po prostu zwyczajnie umyć ręce. W tym właśnie momencie stało się coś, z czym Tomasik liczył się już od momentu podjęcia decyzji o wyjawieniu Turskiemu planów swojej misji, i na co wiedział, że nie będzie w stanie właściwie zareagować. Stojący dotąd bez ruchu borowik wyciągnął nagle z kabury pistolet i błyskawicznie wymierzył w kierunku Tomasza. Jednak jego następne posunięcie było już dla Tomasza kompletnym zaskoczeniem. Borowik pociągnął za spust, a to było niezgodne z jakimikolwiek obowiązującymi procedurami. Rozległ się głośny huk wystrzału i Tomasik poczuł, jak jego lewe ramię przeszywa potworny paroksyzm bólu. Intuicyjnie rzucił się na ziemię, próbując przy tym sięgnąć po schowany za paskiem na plecach pistolet. Ale zanim huk wystrzału zdążył przebrzmieć, drzwi od toalety otworzyły się i do środka wpadło trzech dobrze zbudowanych około trzydziestoletnich mężczyzn w strojach kelnerów.

- Stój! - krzyknął jeden z nich. - Nie strzelaj!

Zaskoczony borowik na ułamek sekundy zawahał się. I to go zgubiło. Właśnie chciał się odwrócić, kiedy pierwszy z kelnerów podbił mu rękę uzbrojoną w pistolet, a następnie uderzył z całej siły w twarz. Ochroniarz zatoczył się do tyłu i w tym samym momencie padł kolejny strzał. To drugi z napastników zdążył dopaść do leżącego na podłodze i krwawiącego Tomasza, wyrwać mu z ręki pistolet, odbezpieczyć, przeładować i wypalić w stronę zaskoczonego ochroniarza. Borowik trafiony w sam środek krtani wypuścił z ręki swoją berettę i intuicyjnie chwycił się obydwoma rękoma za gardło, bezskutecznie próbując zatamować krwawienie. Jego wytrzeszczone, przerażone i nic nierozumiejące oczy mówiły wszystko o jego aktualnym stanie. Był żywym trupem i chyba tylko



on spośród obecnych tu ludzi najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Krew tryskała spomiędzy obejmujących gardło palców i zalewała leżącego bez ruchu na podłodze zszokowanego Turskiego.

Dopiero teraz trzeci z kelnerów, który jak dotąd stał nieco z tyłu, doskoczył do umierającego na stojąco borowika, popchnął go lekko w bok i tym sposobem przewrócił bezproblemowo na ziemię. Potem pochylił się nad leżącym w bezruchu Turskim i nie zdejmując mu nawet marynarki, wbił mu w ramię przez ubranie niewielką strzykawkę. Turski musiał poczuć ukłucie zastrzyku, bo jakby się ocknął i spróbował unieść nieco głowę, by spojrzeć w oczy swojemu oprawcy.

- Co jest? - wyszeptał słabo.

I to było wszystko, co zdążył powiedzieć. Po chwili głowa opadła mu bezwładnie w dół i uderzyła o kafelki.

- Odwrót! - zakomenderował obserwujący to pierwszy z kelnerów, najwyraźniej dowódca. I przepuściwszy obok siebie wychodzących kolejno kolegów po raz ostatni rozejrzał się jeszcze po zakrwawionej łazience. Na koniec jego wzrok na krótką chwilę natknął się na gorejące oczy Tomasza. Bandyta wiedział, że Tomasiak jest tylko niegroźnie ranny. Umowa zawarta przez niego zaledwie kilka godzin temu z dogorywającym tuż obok borowikiem była jasna. Ochroniarz miał go tylko obezwładnić. Trafić co najwyżej w ramię. A umiejętnościom strzeleckim borowika mógł w pełni ufać. W końcu przecież to on sam go kiedyś szkolił.

- Uciekaj - pokazał Tomaszowi na migi.

Potem z kamienną miną skinął mu na pożegnanie głową i na krótką chwilę przyłożył dwa palce prawej ręki do swojej brwi, jakby imitując oddanie mu żołnierskiego honoru. Potem sięgnął nad jedno z lusterek i oderwał stamtąd jakiś niewielki przedmiot. Kamera - domyślił się Tomasz. Mężczyzna odwrócił się do tyłu i już więcej nie oglądając się za siebie, najspokojniej w świecie wyszedł wolnym krokiem na zewnątrz.

\* \* \*

Nadkomisarz Jarek Sopoćko był wściekły. Stał w gabinecie swojego szefa, Komendanta Miejskiego Policji nadinspektora Marka Belki, i w towarzystwie dwóch agentów ABW oraz oficera dyżurnego składał wyjaśnienia.

- Te dzieciaki i kobieta nie są żadnymi terrorystami ani wrogami naszego państwa! - tłumaczył z pasją. - Ci panowie - wskazał agentów ABW - są dla nich po prostu niebezpieczni! To oni

w tym momencie stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski!

- Przestań pieprzyć, Sopoćko! - przerwał mu zmęczonym głosem Belka.

Nadinspektor nie przepadał za krnąbrnym policjantem. Sopoćko już dawno zalał mu za skórę i był na jego czarnej liście. Najchętniej by się go po prostu pozbył. Ale Sopoćko jako szef wydziału przestępczości samochodowej miał niezłe wyniki i to one go jak dotąd broniły. Lecz tutaj sprawa była zupełnie inna i nie do końca jasna, a Belka musiał się bardzo pilnować, żeby nie ulec zbyt łatwej pokusie podjęcia szybkiej, lecz nie do końca sprawiedliwej decyzji. Zostając szefem gdańskiej policji, przyjął przecież na siebie sporą odpowiedzialność za całość jej funkcjonowania, i jego prywatne animozje nie mogły być najważniejsze przy podejmowaniu takich decyzji. Poza tym Belka wiedział, że gdyby teraz zrobił coś nie tak, to Sopoćko zaskarżyłby go od razu do sądu. A tego nadinspektor wolał uniknąć. Miał i tak już dość innych, własnych problemów.

- Wiem, że jesteś jednym z moich najlepszych ludzi - zaczął więc spokojnie. - Ale ci panowie są z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a nie ze Straży Miejskiej czy z kółka gospodyń wiejskich! Oni nie wymyślili sobie sami historyjki, że te, jak to mówisz, „dzieciaki” są przestępcami zagrażającymi bezpieczeństwu państwa! Skoro tak mówią, to znaczy, że mają do tego jakieś podstawy! Jakieś dowody!

- To wszystko bzdury, szefie! - mruknął zmęczonym głosem Jarek. - Oni po prostu chcą ich uciszyć. Najpierw ich odizolują od nas, a potem wszelki słuch po nich zaginie.

Funkcjonariusze ABW, oficer dyżurny i komendant miejski spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Wszyscy zdawali się myśleć jednakowo. Najwyraźniej w głowie nadkomisarza Jarosława Sopoćki coś się musiało poprzestawiać.

- Sopoćko - mruknął cicho Belka - czy ty sam słyszysz, co za bzdury opowiadasz? Czy ty naprawdę myślisz, że ci oto panowie, funkcjonariusze ABW, podobnie jak w amerykańskich filmach o CIA, szpiegach i terrorystach, wchodzą sobie do Komendy Miejskiej Policji, przejmują od nas troje niewinnych młodych ludzi, których my wcześniej przesłuchaliśmy, o których wiemy wszystko i mamy ich wszystkie dane, a potem wywożą ich gdzieś do lasu i trzymają w odosobnieniu albo likwidują? Czy ty naprawdę słyszysz, co mówisz?

Jarek stał z zaciśniętymi bezsilnie zębami. Wiedział już, że źle to rozegrał. Faktycznie jego dotychczasowa gadka mogła doprowadzić do sytuacji, że komendant skieruje go zaraz do czubków. Tylko że

nie wiedział, co jeszcze może dodać, żeby zabrzmiało to bardziej sensownie i komendant mu jednak uwierzył.

- Cholera! - jęknął bezsilnie. - Szefie, ja tylko proszę, błagam, niech szef nie oddaje im tych ludzi! Niech szef pozwoli mi ich przetrzymać chociażby przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Belka patrzył na niego z zachmurzoną i zaciętą miną. Nie lubił Sopoćki. To był fakt bezapelacyjny. Teraz też facet opowiadał jakieś nielogiczne bzdury. Ale wiedział też, że nadkomisarz Sopoćko już od kilku dni praktycznie był wyjęty spod jego jurysdykcji i to właśnie na prośbę kogoś cholernie ważnego z instytucji, która teraz go oskarżała. Belka wiedział, że Sopoćko wdepnął w jakieś wielkie szambo, którym zajmowała się ABW i że tkwi w nim już po same uszy. Domyślał się też, że Sopoćko ma coś wspólnego ze strzelaniną sprzed kilku dni na Morenie i z wydarzeniami, które miały niedawno miejsce w Bazylice Mariackiej. Ale przecież przez cały ten czas ktoś cholernie ważny z ABW, a może i wyżej, skutecznie wyciszał te sprawy i ochraniał Sopoćkę, nie pozwalając nawet ludziom z policyjnego wydziału wewnętrznego na zbliżenie się do tego tematu. I to właśnie dawało Belce dużo do myślenia.

- W porządku, panowie - zdecydował w końcu, zwracając się do funkcjonariuszy ABW. - Chwilowo ci ludzie zostają u nas. Przynajmniej do czasu, kiedy nie załatwicie tego zgodnie z oficjalnymi procedurami.

- Ależ panie komendancie! - warknął przez zaciśnięte zęby jeden z poirytowanych agentów. - Czy pan zdaje sobie sprawę z konsekwencji swojej decyzji?

- Tak! - Belka zebrał w sobie całą swoją odwagę. Bo tak naprawdę to od Sopoćki jeszcze bardziej nie znosił tych zadufanych w sobie i zadzierających wiecznie nosa dupków z ABW. - Proszę odprowadzić panów na dół! - powiedział twardo do dyżurnego. - Do widzenia, panowie.

Mężczyźni wyszli z gabinetu komendanta i wtedy Belka spojrzał na stojącego przed nim podenerwowanego jeszcze i lekko przygarbionego Sopoćkę.

- Wiesz, że wdepnęliśmy w niezłe gówno? - zapytał zmęczonym głosem, czując jak jego cała odwaga, na którą zaledwie kilkanaście sekund temu się zdobył, teraz go gwałtownie opuszcza.

- Wiem, panie komendancie. Dziękuję za zaufanie. Ale ja w tym gównie pływam już od kilkunastu lat.

Belka parsknął krótkim nerwowym śmiechem. Postanowił wziąć się w garść.

- W porządku, Sopoćko. Ja też w tej firmie nie pracuję od wczoraj, więc przestań pieprzyć. I wytłumacz mi, o co w tym

wszystkim chodzi.

\* \* \*

Kiedy tylko ostatni z fałszywych kelnerów opuścił łazienkę, Tomasik przewyciężył własny strach i podniósł się z trudem z podłogi. Stojąc, obrzucił uważnym spojrzeniem całe pomieszczenie. Wyglądało jak w rzeźni. Wszędzie krew i trupy. Chociaż nie. Przecież trup był tylko jeden. Tomasz spróbował sobie przypomnieć, czy ci faceci zrobili coś Turskiemu. Nie, Turskiemu chyba nie. Ale przecież jeden z nich podszedł do premiera i coś przy nim majstrował. Chyba zrobił mu zastrzyk.

Tylko dlaczego? Po co tu wkraczali, skoro nie zastrzelili Turskiego od razu? Dlaczego zostawili też przy życiu jego? Miał być świadkiem czy też kozłem ofiarnym całej tej krwawej szopki?

Spojrzał na skulonego na podłodze i trzęsącego się zszokowanego premiera. Co prawda cały był zalany krwią, ale ta prawdopodobnie należała do martwego agenta Biura Ochrony Rządu. W tym momencie przypomniał sobie gest wychodzącego kelnera. „Uciekaj”. I poczuł, jak przechodzą go ciarki. Wiedział, że nie powinien mu ufać. Ci faceci zabili przecież funkcjonariusza BOR-u! Może ten gest mający zachęcić go do ucieczki to znowu była tylko część czyjegoś większego planu? Może miał zginąć w czasie ucieczki po próbie zabójstwa premiera i w ten sposób zatrzeć za nimi wszystkimi ślady? Bo dla kogo ci kelnerzy mogli pracować? Przecież nie dla polskiego rządu. Więc? Rosjanie, zbuntowane wyrzutki z dawnych polskich służb? Albo...? No właśnie. Kto?

Nie miał jednak czasu na roztrząsanie tych wszystkich kwestii. I tak nie miał na nie żadnego wpływu. Znowu był tylko marionetką, którą ktoś inny pociągał za sznurki. A on musiał działać!

Cały ten proces myślowy zakończył w ciągu kilku zaledwie sekund. Podszedł do martwego już borowika i bez żadnych skrępowań ściągnął z niego prawie nietkniętą marynarkę. Z ulgą przy tym zauważył, że postrzelone lewe ramię jeszcze go nie boli. Wiedział, że to prawdopodobnie jest efekt szoku, ale oznaczało to też, że rana nie mogła być groźna. To musiało być tylko lekkie otarcie naskórka, które co prawda mocno krwawiło, ale nie było samo w sobie niebezpieczne. Przynajmniej na razie.

Wyciągnął jeszcze z kieszeni borowika chusteczkę do nosa i obwiązał nią sobie ramię powyżej zranienia. Musiał ograniczyć krwawienie. Potem samą ranę opatrzył prowizorycznym opatrunkiem z kawałka koszulki, wciągnął na siebie marynarkę i ruszył do wyjścia. Wszystko to trwało zaledwie dwie czy trzy

minuty. Teraz jednak nie wiedział, czego się może spodziewać na zewnątrz. Policji? Ochroniarzy od Martyniuka? Chłopaków z ABW? A może kolejnych agentów z Biura Ochrony Rządu albo Rosjan? Z bijącym mocno sercem otworzył szeroko drzwi i wyszedł na zewnątrz.

\* \* \*

Nadkomisarz Jarek Sopoćko nie miał wyjścia. W kilkunastu zdaniach streścił swojemu szefowi całą historię od momentu spotkania z Tomaszem w jego domu na Otominie, pomijając przy tym milczeniem tylko niektóre, problematyczne dla niego fakty, które wymagałyby dłuższego wyjaśnienia.

- I tak to, panie nadinspektorze, wszystko wygląda - kończył. - Na tę kobietę i dzieciaki poluje kilku poważnych skurwieli i jeżeli my ich teraz nie powstrzymamy, to znaczy, że nie nadajemy się do niczego.

Belka kiwał w milczeniu głową, zastanawiając się przy tym, dlaczego dał się w to wszystko wciągnąć.

- No dobra - mruknął wreszcie. - Przetrzymaj ich tu u siebie jak długo się da. Ale musisz mieć świadomość, że jeżeli chłopaki z ABW zaczną nas przyciskać albo naszych przełożonych w Warszawie, to nie będę miał innego wyjścia i będę musiał ich im wydać. Rozumiesz?

- Tak jest, panie nadinspektorze.

- A gdzie oni teraz są? - zaciekał się Belka.

- Powinni być w pokoju przesłuchań.

I w tym momencie, gdzieś z końca korytarza, do ich uszu doszedł przerażający kobiecy krzyk.

- Co to było? - rzucił zaskoczony Belka.

Lecz od Sopoćki nie uzyskał odpowiedzi. Krzyk nie zdążył jeszcze przebrzmieć, kiedy Jarek sięgnął odruchowo po broń i ignorując swojego szefa, wyskoczył sam na zewnątrz. Pusty dotychczas korytarz nagle jakby ożył. Ze wszystkich pokoi i zakamarków wyskakiwali zaskoczeni funkcjonariusze. Część z nich, podobnie jak Sopoćko z pistoletami w dłoniach. Rozdzierający kobiecy krzyk się powtórzył i zmienił w urywany rozpaczliwy szloch.

- To tam! - krzyknął któryś z funkcjonariuszy.

Kilku z nich rzuciło się we wskazanym kierunku i dopiero teraz Jarek spojrzał na stojącego z tyłu jakby sparaliżowanego komendanta i zaklął.

- Co to jest? - zapytał niemalże szeptem zdeorientowany

Belka.

Jarek zmiął w ustach kolejne przekleństwo, a potem wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Na pewno nic dobrego, panie komendancie.

Schował broń do kabury i niemalże biegiem puścił się razem z komendantem w kierunku, skąd dochodził kobiecy płacz i stek głośnych, wulgarnych, głównie męskich przekleństw. Ponad wszystkim górował wzburzony głos jednego z funkcjonariuszy.

- Kurwa mać! Jak to się mogło stać!? No kurwa, jak?!

- Panie komisarzu, ja nie wiem. Ja...

Ktoś próbował się tłumaczyć. Jarek nie słuchał. Kiedy tylko do nich dobiegł, odepchnął dwóch umundurowanych kolegów, a następni, widząc minę Sopoćki i stojącego za nim samego komendanta, rozstąpili się pośpiesznie na boki. I już po chwili Sopoćko z Belką zaglądali w głąb otwartego pokoju przesłuchań. Widok, który tam zobaczyli, sprawił, że obydwaj stanęli jak wmurowani. Trzech rosnących policjantów trzymało za ramiona szamocącą się bezsilnie czarnowłosą kobietę, a dwóch innych reanimowało leżących bez ruchu na ziemi kilkunastoletnich chłopców.

- Co tu się stało? - zapytał z trudem, ledwo nad sobą panując Belka.

- Nie wiem, panie komendancie - przed Belką stał oficer w mundurze z dystynkcjami komisarza i naszywką z nazwiskiem Mikulski. - Oni mieli tutaj tylko czekać na nadkomisarza Sopoćkę! A potem ta kobieta zaczęła krzyczeć, otworzyłem drzwi, a ci młodzi już leżeli na ziemi.

- Czy ktoś wezwał karetkę? - przerwał mu komendant.

- Tak. To znaczy... Chyba tak.

- To gdzie ona jest? No gdzie jest ta pierdolona karetka?! - podinspektorowi najwyraźniej puszczały nerwy. - Jak ci chłopcy nam zejda, to wszystkich was tu zapierdołę!

Przerwał na chwilę, sapiąc przy tym ciężko i łypiąc nerwowo oczami. I wtedy czarnowłosa kobieta z wykrzywioną od płaczu twarzą spojrzała mu prosto w oczy i wyrzuciła z siebie, łkając bezsilnie:

- Zabiliście ich! Boże! Zabiliście! A mieliście nas chronić!

Belka był blady jak płótno. Jarek wszystkiego się już domyślił. Wiedział, że musi natychmiast działać. Spojrzał na stojącego przed nimi Mikulskiego. Nie był go do końca pewien, ale nie miał innego wyjścia.

- Pilnuj ich - szepnął mu prosto do ucha. - Jeżeli przeżyją, zaopiekuj się nimi.

Potem odsunął na bok rozwścieczonego Belkę i zrobił dwa duże kroki w kierunku szamocącej się dziko kobiety.

- Pani Mileno! - stał naprzeciwko niej i patrzył jej prosto w oczy. - Pani Mileno! - powtórzył. - Proszę się uspokoić!

Widział, jak kobieta zastygła w bezruchu, a następnie zaczyna mu się badawczo przyglądać. Pierwszy szok musiał pomału przechodzić.

- Czy wie pani co się tutaj stało? - zadał to pytanie, bo zadać je wypadało, chociaż wiedział, że dużo w tym momencie ryzykuje. Gdyby w tej chwili kobieta odpowiedziała coś, czego mówić w tym miejscu nie powinna, wiszące nad nimi niebezpieczeństwo wzrosłoby jeszcze bardziej.

Lecz jej duże przerażone oczy nagle jakby się uspokoiły i błysnęły w nich znak zrozumienia. Zamrugła znacząco i wyszeptwała błagalnie:

- Niech mnie pan stąd zabierze. Proszę.

Sopoćko rozejrzał się po otaczających ich policjantach. Gdzieś wśród tych jego niby kolegów musiał znajdować się morderca. Jego wzrok na dłuższą chwilę zatrzymał się najpierw na podinspektorze Marku Belce, a w chwilę później na stojącym obok niego komisarzu Mikulskim.

Zacisnął mocniej zęby.

- Idziemy stąd, pani Mileno - powiedział cicho i złapał ją lekko za ramię. - Zabiorę panią w bezpieczne miejsce.

Policjanci rozstąpili się, robiąc im przejście.

- A oni? - wyjąkała szeptem pochlipująca Milena i wskazała reanimowanego Dave'a i młodego Szajbusa. - Co z nimi?

- Zaraz powinni tu być ratownicy ze szpitala. A potem komisarz Mikulski się nimi zaopiekuje.

Na korytarzu dało się słyszeć odgłos nadbiegających właśnie ratowników medycznych i już po chwili dwa zespoły sanitariuszy plus lekarz pochylało się nad poszkodowanymi.

Sopoćko ścisnął Milenę mocniej za ramię i delikatnie pociągnął za sobą.

- Musimy już iść! - powiedział stanowczo.

- Sopoćko! - usłyszał nagle tuż obok.

Policjant odwrócił się i zobaczył wpatrzonego w siebie zaniepokojonego Belkę.

- Tak, panie inspektorze?

- Odpowiadasz za tę panią głową!

- Wiem, panie inspektorze.

Belka odwrócił się do swoich podwładnych.

- Zabezpieczyć mi ostatnie piętro! - ryknął na cały głos. -

Przeszukać, czy nikogo tam nie ma. A potem wszyscy mają zejść do nas na dół. Dwóch ludzi z bronią stoi na warcie! Nikt bez mojej wiedzy nie ma prawa tam wchodzić!

Jarek kiwnął w podziękowaniu głową, czując przy tym, jak ze strachu serce podchodzi mu do gardła. Szedł korytarzem razem z Mileną na najwyższe piętro Komendy Miejskiej, prosto do swojego gabinetu, odprowadzany wzrokiem przez obserwujących go w milczeniu policjantów, i zastanawiał się, czy będzie mu jeszcze dane zobaczyć się kiedyś z żoną, synem i jakie w ogóle ma szansę na przeżycie choćby do jutrzejszego ranka.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, jaką Tomasiak zobaczył po otwarciu drzwi, były leżące przed nimi dwa nieruchome ciała. Jedno z nich należało do szefa ochrony gdańskiego stadionu Sławomira Martyniuka, a drugie prawdopodobnie do kolejnego funkcjonariusza Biura Ochrony Rządu. Jeden rzut oka wystarczył Tomasiakowi, żeby zauważyć, iż nie widać było na nich żadnych śladów krwi czy jakiegokolwiek napaści. Musieli ich zaskoczyć - pomyślał. Albo potraktować jakąś substancją chemiczną i unieszkodliwić. Ale nie miał czasu na sprawdzenie swoich podejrzeń. Musiał natychmiast uciekać. Dziwnym trafem w pobliżu toalety i w jej najbliższym sąsiedztwie nikogo nie było. Wszyscy ludzie, którzy jeszcze kilka minut temu kręcili się dookoła, teraz skupieni byli w miejscach, skąd dobrze mogli widzieć boisko i grających na nim piłkarzy. To była już końcówka meczu, a Lechia najwyraźniej ciągle prowadziła i przedłużała tym samym swoje nadzieje na europejskie puchary. Hałas spowodowany dopingiem kibiców był ogłuszający i Tomasiak już rozumiał, dlaczego nikt nie usłyszał wystrzałów. Szedł szybko, starając się nie ulec przemożnej chęci podbiegnięcia. Nie chciał przez przypadek skupić na sobie niepotrzebnie uwagi stojących nieco dalej ochroniarzy i stewardów. Dotarł w miarę szybko do schodów i dopiero teraz pozwolił sobie na pewne przyśpieszenie. Zbiegał w dół, pokonując po dwa stopnie naraz, aż w końcu dotarł na koronę stadionu. Odwrócił się za siebie i zobaczył wbiegających akurat do windy trzech młodych ratowników medycznych. I w tym właśnie momencie nad jego głową wybuchła euforia radości. Kibice ryknęli gromkim „koniec” i zaczęli po raz kolejny tego wieczoru skandować głośno „Lechia Gdańsk”. Z głośników popłynął radosny głos spikera dziękującego wszystkim obecnym na dzisiejszym meczu za fantastyczny doping. Z górnych sektorów zaczęły wychodzić pierwsze pojedyncze jeszcze grupki opuszczających



trybuny Lechistów. Tomasik natychmiast zwolnił. Znowu poczuł się jak za dawnych lat w czasie służby w kontrwywiadzie wojskowym. Chciał zmieszać się z tłumem. Jeżeli był obserwowany, a byłby zdziwiony, gdyby tak nie było, to mogło mu to dać przynajmniej cień szansy na wydostanie się ze stadionu oraz dotarcie do jakiegoś bezpiecznego miejsca. A w konsekwencji - na przejście do kontrataku.

\* \* \*

Kiedy Jarek z Mileną zniknęli na piętrze, a ratownicy medyczni z policyjną obstawą zabrali do pobliskiego szpitala nieprzytomnych chłopców, Belka natychmiast przeszedł do swojego gabinetu i opadł bezwładnie na wysłużony skórzany fotel. Zmęczonym ruchem sięgnął po papierosa. Nie zdążył go jednak nawet zapalić, kiedy z bocznej kieszeni munduru usłyszał chropawy głos Axla z Guns N'Roses w swoim służbowym telefonie. Dzwonił oficer dyżurny.

- Tak - odebrał z niechęcią. Wiedział, że musi to być coś ważnego. Inaczej oficer dyżurny nie zawracałby mu o tej porze głowy. Przecież tak naprawdę tego wieczoru w robocie został tylko i wyłącznie ze względu na wieczorny mecz między Lechią i Legią Warszawa. Miał go nawet zamiar obejrzeć sobie spokojnie w swoim gabinecie, ale niestety nie było mu to dane.

- Panie komendancie! Właśnie otrzymałem informację, że na stadionie w Letnicy miał miejsce wypadek.

- Kurwa - zaklął poirytowany Belka. Miał już dość wrażeń jak na jeden wieczór i nie potrzebował jeszcze dodatkowych problemów ze strony jakichś narwanych małych dzieci. - Co tam się wydarzyło?

- Dokładnie to sam nie wiem. Ale prawdopodobnie nasz były premier pan Turski - dyżurny zaczął się jękać - miał chyba zawał. Bo tam była jakaś strzelanina. Chyba próba zamachu.

- Co?! - wykrzyknął Belka.

- Są jakieś trupy i...

W słuchawce zapadło na chwilę milczenie.

- Co dalej?! Mów!

- No i Turskiego musiano zabrać do szpitala! Na razie nic więcej nie wiem.

Przez głowę Belki przebiegały dziesiątki myśli. O Boże - myślał. Ten pieprzony Sopoćko! On tego wszystkiego nie wymyślił! To się dzieje naprawdę! Musiał się wziąć w garść.

- W porządku - odpowiedział, siląc się na spokój i próbując się jednocześnie pozbierać. - Kto zabezpiecza teren? Nasi?

- Chwilowo chyba tak. Ale podejrzewam, że tylko do czasu.

- OK. Melduj mi o wszystkim!
- Tak jest!
- Na razie!

Belka przerwał połączenie. Przez krótką chwilę zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Jak działać? Lecz te jego rozmyślenia po raz kolejny przerwała silna wibracja telefonu. Tym razem była to jego druga komórka. Prywatna. Spojrzał na wyświetlony numer. Zastrzeżony. Cholera! - pomyślał ze złością. Kto to może być? Ten numer znało niewielu ludzi.

Postanowił nie odbierać. Był zbyt wzburzony i podenerwowany, żeby teraz jeszcze z kimś rozmawiać. Na pewno nie był to komendant główny ani komendant wojewódzki. Nie był to również oficer dyżurny ani żaden z jego znajomych czy kolegów. Tym bardziej nie była to jego córka ani była żona. Więc ktokolwiek inny by to nie był, mógł poczekać do rana. Trzęsącą się lekko ze zdenerwowania ręką, ponownie sięgnął po papierosa. Lecz w tym samym momencie telefon po raz kolejny zawibrował.

- No żeż - mruknął, z najwyższym już tylko trudem panując nad chęcią rzucenia telefonem o ścianę. - Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Wytrwał w postanowieniu. Nie odebrał. Udało mu się za to odpalić camela i w końcu mógł się mocno zaciągnąć. Poczul jak jego płuca napełniają się dymem, a w jego zmęczonej głowie pojawia się przyjemna i błoga pustka. I w tym momencie wyczuł w prawej kieszeni skróconą wersję wibracji, która oznaczała odebranie jakiegoś SMS-a. Trochę już uspokojony wypuścił ustami dym i sięgnął po telefon. Jednym palcem uruchomił opcję przeglądania wiadomości. Rzucił okiem na wyświetlony komunikat. A potem papieros o mało nie wypadł mu z ust: „Odbierz zafajdany skurwysynu - przeczytał. - Albo pokażemy TO i dużo, dużo więcej wszystkim twoim znajomym i kolegom z pracy”.

Do tekstu dołączone były trzy zdjęcia. Wszystkie były bardzo dobrej jakości i przedstawiały jego ukochaną szesnastoletnią córkę, jak z cyckami na wierzchu i z półprzymkniętymi z podniecenia oczami zaspokaja ustami i rękoma trzech starszych obleśnych typów naraz.

Belka z obrzydzenia prawie zwymiotował. Moja córeczka? - wymamrotał. - Co to kurwa ma być?! Znał ją. Wiedział, że nie jest święta. Od czasu rozwodu z żoną, czyli już od ponad dwóch lat, miał z nią ciągle jakieś problemy. Jego była małżonka zostawiła go, bo miała dość zarówno jego samego, jak i jego pracy. Zupełnie nie przejmowała się przy tym ich jedyną córką, z którą zerwała jakkolwiek kontakt. A młoda dziewczyna - jak to tłumaczył sobie

Belka - odreagowywała życiową traumę, winiąc siebie za rozpad małżeństwa rodziców i wszystko, co się stało. I wpadała przy tym w coraz większe tarapaty. Wiedział, że opuściła się w nauce, że wagarowała, zadawała się z nieciekawym towarzystwem. Że eksperymentowała z alkoholem, dopalaczami i lekkimi narkotykami. Był świadomy jej nastoletniego buntu i próbował coś z tym zrobić. Ale jako komendant miejskiej policji w tej kwestii był jeszcze bardziej bezradny niż przeciętny obywatel. Ręce miał niemalże związane. Zarówno przez prawo, pracę, jak i swoje stanowisko. Szukał dyskretnie pomocy u specjalistów, ale ci kazali mu załatwić to oficjalnie. A to było dla niego nie do przyjęcia. Przecież inni tylko czekali na jego potknięcie, a życzliwych w ich firmie nigdy nie brakowało. Straciłby wszystko, co dotychczas osiągnął, a być może musiałby jeszcze nawet wysłać własną córkę na jakiś przymusowy odwyk! Wielu z jego podwładnych znało te jego problemy, wielu z nich mu nawet współczuło lub miało podobne życiowe komplikacje. To wszystko było swoistą tajemnicą poliszynela. Ale to?! Seks grupowy z jakimiś starszymi obleśnymi typami?! To było ponad jego siły!

Jego telefon po raz kolejny zawibrował. Drżącą lekko dłonią przetarł zroszone potem czoło. Po krótkiej chwili wahania nacisnął zieloną słuchawkę.

- Podinspektor Belka - rzucił do słuchawki.

- Mam tego jeszcze sporo - zasyczało w głośniku. - Prawie dwie godziny nagrań. Jak połyka spermę i wciąga biały proszek. Rozumiesz?

Policjant milczał. Nie silił się przy tym na jakieś puste groźby czy płaczliwe żale. Nie był w stanie nawet zadać opracowanych przez policyjnych specjalistów pytań, które powinno się zadawać w takich właśnie sytuacjach, a które znał na pamięć. Te wszystkie ich policyjne triki i procedury wydały mu się nagle strasznie głupie i zupełnie nieprzydatne. Potrafił tylko czekać bezsilnie na ich żądania. Na konkrety.

- Rozumiesz?! - syczący głos rozmówcy po drugiej stronie kontynuował.

Jedynie, na co Belka zwrócił uwagę, to fakt, że facet musiał być młody i pewny siebie. Nie zniekształcił nawet swojego głosu, aby się chociaż trochę zamaskować. Tak jakby zupełnie nie bał się konsekwencji. Słysząc w nim było wyraźnie wschodni, lekko śpiewny akcent, z którym się nawet nie krył. Ukrainiec? Rosjanin? Ktoś z Bałkanów? - przeleciało przez głowę policjanta. A może tylko tak udaje?

- Rozumiesz? - powtórzył szepczący głos.

- Tak - odpowiedział w końcu cicho Belka.

- To dobrze. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

Niecałą minutę później podinspektor Marek Belka zagryzał bezsilnie wargi i bezgłośnie szeptał:

- Znajdę cię, ty skurwysynu. Znajdę i zabiję. Nie będzie żadnej litości. Tylko, Boże, pozwól mi i mojej córeczce wyjść z tego cało.

\* \* \*

Tomasik przemaszerował wraz z tłumem rozradowanych kibiców z korony stadionu aż do peronu SKM i wszedł do jednego ze środkowych wagonów w pierwszej z trzech podstawionych kolejek. Specjalnie wybrał ten skład, mając nadzieję, że zaraz ruszy w kierunku Gdańska Głównego, a śledzący go prawdopodobnie ludzie nie zdążą wsiąść za nim do pociągu. W środku panował półmrok, a ścisk był niemiłosierny. Tylko z najwyższym trudem można się było jakkolwiek ruszyć, dzięki czemu Tomasz wiedział, że przynajmniej przez najbliższe kilka minut powinien być bezpieczny. Ewentualni śledzący go ludzie raczej nie mogli się teraz do niego dostać. Gorzej mogło być natomiast zaraz po wyjściu z kolejki na peron. Tam już ktoś mógł na niego czekać. Przynajmniej on na ich miejscu tak właśnie by zrobił.

Dla uspokojenia własnych nerwów rozejrzał się po otaczających go ludziach. Większość z nich to byli młodzi, najczęściej podpici, ale akurat w tym momencie na pewno bardzo szczęśliwi, faceci. Wszyscy przeżywali dzisiejsze zwycięstwo. Co chwilę ktoś odważniejszy rzucał kilka wersów ze znanych kibicowskich przyspiewek i tłum natychmiast to podchwytывał. Nikt na niego nie zwracał uwagi.

W końcu rozległ się sygnał ostrzegawczy, zamknęły się drzwi i pociąg wolno ruszył z miejsca. Tomasik odetchnął z ulgą. Przed sobą miał prawdopodobnie kilka minut spokojnej jazdy, a potem...? Jak Bóg da - zaśmiał się sam do siebie.

Zatopił się we własnych myślach. Jak tam radzą sobie Dave i Milena? Czy Jarkowi udało się ich przejąć i ulokować w bezpiecznym miejscu? Jaki wykonać następny ruch? Wiedział, że powinien przejść do kontrataku. Przejąć inicjatywę. Tylko nie bardzo wiedział, od czego miał zacząć.

Nagle w sąsiednim wagonie zobaczył podejrzany ruch. Ktoś się wyraźnie przeciskał w jego stronę, wywołując tym samym masę głośnień niecenzuralnych komentarzy i zwykłych przekleństw wśród kibicowskiej braci. Co jest? - przemknęło Tomaszowi przez głowę. Przecież ten pociąg się nigdzie po drodze nie zatrzymuje.

Pierwszą i jedyną stacją była stacja końcowa, czyli Gdańsk Główny!

Zaintrygowany oparł się jedyną zdrową ręką o plecy jakiegoś małolata i wspiał się szybko na palce.

- Cholera! - zaklął cicho do siebie. Zaledwie kilkanaście metrów dalej dwóch rosyłych facetów o twarzach niezbyt przystojnych zakapiorów przeciskało się prosto w jego kierunku i najwyraźniej kogoś szukało.

Tymczasem potrącony przez niego małolat odwrócił się do niego i fuknął:

- Ej, facet! Może byś tak kurwa trochę uważał, co!?

Tomasik nie zastanawiał się wiele. Zadziałał intuicyjnie.

- Ale tam, kurwa, jebane śledzie idą! - I zdrową ręką wskazał kierunek, skąd nadchodzili dwaj podejrzani mężczyźni. - To te dwa brzydale z krostami na ryjach! Znam ich! Oni są z Arki! Te skurwysyny namierzają naszych chłopaków z Gdyni z Karwin, jak wracają eskaemką do siebie na chatę!

- Którzy to? - oprócz małolata jeszcze kilku jego kolegów od razu podchwyciło przynętę. - Dawać tu skurwysynów! Trzeba zajebać śledzi!

Tomasik kuł żelazo, póki gorące.

- To te dwa dryblasy, co tu tak cisną w naszą stronę! Nagrywają wszystko telefonami, a potem polują na naszych chłopaków na dzielni i w mieście! - rzucił i zaczął się wycofać.

Mężczyźni byli już jednak tylko kilka metrów od niego. Wyraźnie namierzali Tomasza i nie było wątpliwości, że szukają właśnie jego. Ale nie zdali sobie jeszcze sprawy z tego, że właśnie zostali przez niego wystawieni i z myśliwych staną się ściganą zwierzyną. Ziarno nienawiści zostało rzucone na podatny grunt.

- Śmierć Arce! - ryknął jeden z małolatów.

Za chwilę hasło podchwyciło kilku następnych, wyraźnie bojowo nastawionych chłopaków. Podpucha Tomasza o kibicach Arki nagrywających w pociągu Lechistów z Karwin w ciągu kilku sekund obiegła cały wagon. Niemalże w jednej chwili to dotychczas wesołe i rozbawione towarzystwo zamieniło się w żądny krwi tłum.

Pierwszy zaatakował ich jakiś co najwyżej czternastoletni, elegancko ubrany chłopak. Wyglądał jak maminsynek wypuszczony po raz pierwszy bez opieki przez rodziców na niedzielną mszę świętą do kościółka o dwie ulice od domu. Może chłopak chciał komuś zaimponować? Pokazać, że nie jest leszczem i jaki to on jest odważny? To on jako pierwszy uderzył pięścią jednego z zakapiorów od tyłu w głowę. Mężczyzna to zignorował, próbując dalej się przemieszczać w kierunku Tomasza. Ale to nie była dobra decyzja. Bo dwie sekundy później już następny małolat go szturchnął,

a potem trzeci. Po chwili znowu ktoś go popchnął, aż w końcu mężczyzna, będący zaledwie o trzy kroki od patrzącego na niego z niepokojem Tomasika, otrzymał pierwszy mocny cios w twarz. A potem już nie było litości. Rubikon w psychologii tłumu został przekroczony. Mimo że faceci byli ogromni i zaczęli się bronić, próbując sięgnąć po broń, odgrając się przy tym, że wszystkich zaraz rozwalą, to tłum najpierw ich przewrócił, a potem kopał i skakał po nich aż do stacji końcowej. Od ostatecznego linczu uchronił ich tylko i wyłącznie fakt, że w końcu dotarli do Gdańska Głównego.

Kiedy tłum wysypał się na zewnątrz, Tomasik obejrzał się jeszcze za siebie. Na podłodze wagonu zobaczył rozciągnięte dwa, ledwo poruszające się zmasakrowane ciała. A kilka metrów od nich, pod jednym z niemalże zabytkowych plastikowych siedzeń, dostrzegł wyrwane z rąk zakapiorów i odkopnięte na boki, dwa noże sprężynowe o długich i prostych ostrzach. Tym razem się jeszcze udało – pomyślał w duchu Tomasz i odetchnął z ulgą.

A potem nabrał więcej powietrza w płuca i razem z niewielką częścią rozchodzącego się na wszystkie strony tłumu zaczął przemieszczać się w kierunku peronu, skąd zgodnie z rozkładem jazdy za siedem minut miał odjechać pociąg do Gdyni.

Tomasik, mimo że ranny i bardzo zmęczony, był też mocno zdesperowany. W końcu po raz pierwszy od dłuższego już czasu miał w głowie jasno nakreślony plan dający nadzieję. I właśnie zaczął wprowadzać go w życie.

\* \* \*

Konstantin patrzył bezmyślnie w telewizor, mimowolnie przy tym słuchając pomeczowych wypowiedzi piłkarzy i trenerów Lechii Gdańsk i Legii Warszawa. Jak dotąd kompletnie nie interesował się piłką nożną. A polską już w szczególności. Gdyby ktoś jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu kazał mu wymienić nazwę jakiegokolwiek polskiego klubu, to miałby z tym poważny problem. I ten obejrzany przez niego mecz niczego w tej kwestii nie zmienił. Bo nawet teraz, po blisko dwugodzinnej transmisji w TV, nadal nie wiedział, o co w tej grze chodzi ani nie utkwilo mu w głowie chociażby jedno nazwisko któregoś z polskich piłkarzy. Owszem, zapamiętał dwóch Serbów, Słowaka, jakiegoś Belga. Ale Polaków? Nie! Nic z tych rzeczy.

Tak naprawdę sprawy piłkarskie nadal go nic a nic nie interesowały. Wiedział za to już prawie wszystko na temat tego, co wydarzyło się podczas końcówki meczu w toalecie koło VIP-owskiej

łoży. Miał informację, że sprawy poszły nie do końca tak, jak to zaplanowano. Przecież Turski miał zostać postrzelony - czy też zastrzelony, co było dla wyniku operacji całkowicie obojętne - w swojej łoży. A zamachowiec, którym miał być były oficer polskich służb specjalnych, miał zginąć w trakcie bądź też zaraz po wykonaniu zamachu.

Ekipa ratowników medycznych, która była przez nich wynajęta i miała zabrać rannego Turskiego do karetki, nadal czekała na hasło do wykonania zadania. A tymczasem Konstantin wiedział, że Turski po akcji w toalecie faktycznie został zabrany, ale przez jakąś inną, tajemniczą ekipę ratowników, i to właśnie z nią wyjechał już poza obręb stadionu. Jego ludzie widzieli całą akcję i początkowo nawet twierdzili, że to robota polskich służb specjalnych, które najwyraźniej zwąchały coś niepokojącego. Ale w momencie, kiedy ktoś zauważył, że w obstawie eskortującej karetkę jadącą z polskim premierem znajduje się Wiktor Wiktorowicz, Konstantin nie miał już żadnych wątpliwości. Wiedział, że do ich akcji pod kryptonimem „Matrioszki” włączył się ktoś trzeci. Pozostawało tylko pytanie - kto to do jasnej cholery jest?

\* \* \*

Tomasik podszedł do automatu i kupił bilet do Wejherowa. Nie chcąc się rzucać nikomu w oczy, przysiadł na ławce koło jakiegoś zapijaczanego i śmierzącego fuzlem menela. W zranionym ramieniu czuł niepokojące pulsowanie, a poza tym miał wrażenie, że oczy same mu się zamykają i zaraz padnie ze zmęczenia i zaśnie. Adrenalina, która przez ostatnich kilka godzin utrzymywała go w stanie ciągłego podniecenia, teraz po prostu odpuszczała. Marzył o choćby jednej godzinie snu i oderwaniu się od otaczającej go rzeczywistości. Zapraǳnął wrócić do domu, do Agnieszki i do jej dzieciaków. Chciał, żeby znowu było jak dawniej. Przymknął na chwilę oczy. Wyobraził sobie, że właśnie wraca ze spotkania z kumplami na gdańskiej Starówce, że ma już na rozkładzie kilka browarków wypitych na mieście, a w domu czeka jeszcze na niego ostatnie chłodne piwko, które wypijał w towarzystwie Agnieszki na werandzie ich własnego domu. A potem zawsze przechodzili do sypialni, gdzie były wzajemne „rozmowy”, odprężenie i sen. Ale Agnieszki przecież już w jego życiu też nie było.

I w tym momencie się otrząsnął. Otworzył szeroko oczy i spojrział na wiszącą mu nad głową tablicę informacyjną. Do przyjazdu ze Śródmieścia najbliższej kolejki SKM było jeszcze prawie pięć minut. Rozejrzał się dookoła. Na peronie zbierała się

głównie młodzież, która nad uroki starego i stonowanego Gdańska przedkładała swoje imprezy i towarzyskie spotkania w o wiele bardziej wyluzowanym i swobodnym Sopocie. Tylko niewielką część przyszłych podróżnych stanowili powracający z meczu przystrojeni w białozielone szale i koszulki gdańscy kibice. Pośród tych wszystkich ludzi nigdzie nie dostrzegął żadnego potencjalnego zagrożenia. Ale dobrze wiedział, że to wrażenie może być złudne. Dworce kolejowe zawsze były miejscem, które wszelakie służby miały pod szczególnym nadzorem. Na jego korzyść przemawiało jednak to, że dobrze wiedział, iż monitoring gdańskiego dworca to fikcja. Nieremontowany od kilkunastu lat, nie nadawał się do niczego. Wiedzieli o tym zarówno wszyscy policjanci, jak i miejscowi dworcowi złodzieje. Poza tym Tomasik był przekonany, że ścigający go ludzie nie spodziewali się, by mógł stać na dworcu w tak widocznym i oczywistym miejscu. Na ich miejscu założyłby, że nawet jeżeli udało mu się uciec przed ich zbirami w kolejce, to po takim doświadczeniu natychmiast próbowałby zgubić ewentualny pościg właśnie gdzieś na mieście.

Nagle jego uwagę przykuła gazeta wystająca spod ramienia siedzącego tuż obok menela. Na tytułowej stronie widoczne było olbrzymie kolorowe zdjęcie przedstawiające Turskiego na tle amerykańskiej flagi. Zdjęcie opatrzone było dużym nagłówkiem: „Czy Damianowi Turskiemu uda się zawrzeć porozumienie z prezydentem USA w sprawie rozwiązania konfliktu na Ukrainie?”.

Tknięty jakimś dziwnym przecuciem niemalże wyrwał gazetę spod ramienia śpiącego i szybko odszukał datę jej wydania.

- Cholera! - zaklął cicho.

Gazeta była wydana dokładnie dzień po tym, kiedy zginęli obaj licealiści! Roman i Krystian! Jego umysł mimo zmęczenia znowu pracował na najwyższych obrotach. Przecież ta data oznacza... No właśnie co? Boże! - pomyślał. Przecież Turskiego w czasie, kiedy Roman „niby go widział” w konsulacie rosyjskim we Wrzeszczu, nie mogło być w Polsce!

- Cholera - zaklął jeszcze raz. - O co tu chodzi?

I w tym momencie zaświtała mu w głowie myśl tak absurdalna i nieprawdopodobna, że aż sam się jej przestraszył. Nagle zrozumiał, dlaczego olbrzym był tak bardzo zdziwiony jego niewiedzą w czasie ich ostatniego spotkania na jachcie. Dlaczego tak nagle zaczął go jawnie lekceważyć, informując go przy tym wprost, że ma go za głupca, który nic nie rozumie i którego najwyraźniej przecenił. To wyjaśniałoby również, dlaczego w czasie strzelaniny w stadionowej toalecie nie zabito Turskiego. Ale... Nie... To było wręcz nieprawdopodobne!



- Bzdura - wyszeptał w końcu sam do siebie. - Przecież czegoś takiego nie wymyśliłby nawet sam poseł Trocki. To po prostu niemożliwe.

Spojrzał podejrzliwie na drzemiącego obok menela. Nie - znowu odrzucił nachodzące go podejrzenia. To niemożliwe. Ten facet musi być autentyczny! Nie wygląda na podstawionego! Ta gazeta w jego rękach to po prostu musi być kolejny niezwykły zbieg okoliczności. Zresztą - uspokajał sam siebie - czemu by to miało służyć? Skąd mogliby wiedzieć, że znajdzie się na dworcu w Gdańsku Głównym i skieruje się akurat na peron, skąd odjeżdżają pociągi w stronę Gdyni? Przecież to rozwiązanie wybrał właśnie dlatego, że było zbyt proste i oczywiste, żeby jakikolwiek prawdziwy zawodowiec mógł je traktować jako prawdopodobne. No i jak mogliby sprokurować sytuację, że siada akurat koło tego właśnie śmierdzącego menela? Jak mogliby zakładać, że zwróci uwagę na tę gazetę, zdecyduje się na wyjęcie jej z ręki menela i przeczytanie? Nie! To wszystko było po prostu zbyt nieprawdopodobne. Czuł, że zaczyna popadać w jakąś obsesję. Paranoję. Przecież ci ludzie nie mogli być wszechwiedzący i wszechmogący. To nie był scenariusz jakiegoś hollywoodzkiego filmu!

Nagle od strony stacji Gdańsk Śródmieście rozległ się głośny odgłos nadjeżdżającego pociągu. Menel jakby się ocknął. Otworzył półprzymknięte oczy i spojrzał na trzymającego gazetę Tomasza.

- Spoko, proszę pana - wybełkotał pojednawczo. - Ja się nie gniewam o gazetkę. Naprawdę. Nie ma sprawy.

Tomasik wstał szybko z ławki.

- Dzięki. Tylko pożyczyłem - mruknął przeproszającym tonem i oddał ją menelowi.

Kolejka właśnie zaczynała hamować. Tomasz odwrócił się do menela plecami i podszedł do stojącego już w miejscu pociągu. Wsiadając, odwrócił się jeszcze gwałtownie i spojrzał na kiwającego się na ławce człowieka. Facet miał zamknięte oczy i ciągle trzymał w rękach gazetę.

- Boże - mruknął Tomasz do siebie. - Zaczynam chyba popadać w obłąd.

Wszedł do najbliższego przedziału i znalazł wolne miejsce pod oknem. Opadł bezsilnie na siedzenie i w tej jednej chwili wróciło do niego całe zmęczenie. Przymknął na chwilę oczy, próbując wyobrazić sobie, jak idzie Jarkowi, Milenie i Dave'owi. Czy udało im się dotrzeć cało na Komendę Miejską Policji? Czy Jarek już się nimi zajął? Czy są bezpieczni?

No właśnie. Milena. Nagle przed oczami stanęła mu właśnie ona. Z rozpuszczonymi kruczoczarnymi włosami do ramion, w białej

koszuli z podwiniętymi rękawami i w czarnej krótkiej spódniczce odsłaniającej jej zgrabne nogi w wysokich szpilkach. No i ta buźka z ciemnymi brązowymi oczami i malutkim noskiem. Jej delikatny, jakby wymuszony i zimny uśmiech. W okolicach serca poczuł lekkie ukłucie. Czy ta jedna wspólna noc w motelu coś dla niej znaczyła? Cholera – zaklął w duchu. Jeszcze to. Problemy sercowe i to w takim momencie. Jeszcze tego było mi trzeba.

\* \* \*

Kiedy pociąg ruszył, menel sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej nowoczesny telefon komórkowy. Wcisnął przycisk wybierania.

- Tak? - usłyszał w słuchawce cichy dystyngowany głos starszego mężczyzny.

- Przeczytał to - zameldował bezbarwnie. - I wsiadł do pociągu. Nasza obstawa jest razem z nim. Wszystko poszło jak z płatka.

- Uhm - głos w słuchawce parsknął cichym, ledwo słyszalnym śmiechem. - Wszystko widziałem.

- Czy mogę już iść się przebrać? Te ciuchy cuchną, że aż ciężko w nich wytrzymać.

- Ależ oczywiście. Może pan też już zabrać swoją ekipę. Dziękuję za pomoc. Aha, jeszcze jedno: telefon jest pana. Jest czysty. Kamerka do zwrotu.

- Zrozumiałem. Dziękuję.

Fałszywy menel schował telefon i przy okazji wyciągnął z kieszeni niewielką słuchawkę. Wsadził ją sobie do ucha i szepnął do ukrytego pod dresowym kapturem nadajnika.

- Królowa do pszczołek. Koniec akcji.

Podniósł się z ławki i wolnym krokiem skierował się w kierunku dworca. A chwilę później, w różnych odstępach czasu, ruszyło w jego ślady czterech kolejnych mężczyzn, rozstawionych wzdłuż całego peronu i ubezpieczających go, poprzebieranych za niewyróżniających się w tłumie ludzi.

\* \* \*

Siedzący przy telefonie w swoim gabinecie przy ulicy Oczki w Warszawie szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego pułkownik Drzazga wiedział już, że w Gdańsku wszystko poszło nie tak. W jego akcję pod kryptonimem „Matrioszki” włączył się ktoś trzeci, kto wszystko, co było związane z tą akcją, wyrzucił do góry nogami. Drzazga rozumiał, że to prawdopodobnie jest jego koniec. A jego ostatnią nadzieją na zachowanie życia jest ten znienawidzony

i pogardzany przez niego szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego generał Trznadel.

I w tym właśnie momencie jego telefon znowu zadzwonił. Szybko złapał za słuchawkę.

- Tak? - rzucił do niej nerwowo, nawet nie próbując ukryć swojego strachu ani zapanować nad drzeniem głosu.

Przez krótką chwilę w słuchawce panowała cisza. A potem usłyszał w niej spokojny głos generała Trznadla.

- Schrzanileś sprawę, panie pułkowniku. Nie upilnowaliście go.

- A wy? - przerwał mu Drzazga. - Czy to była wasza robota?

- Niestety nie. Ktoś nam się wpieprzył. Na początku myślałem, że to wy. Ale Niestety się pomyliłem.

- Więc kto to jest? - niemalże krzyknął zniecierpliwiony Drzazga. - I co tam się właściwie wydarzyło?

Po drugiej stronie rozległo się ciche westchnienie.

- Niestety tego też nie wiem, panie pułkowniku. Ale nasz czas najwyraźniej się już skończył. Jutro rano składam rezygnację. I oby Bóg miał nas i tę naszą nieszczęsną Polskę w opiece. Żegnam, panie pułkowniku.

Połączenie zostało przerwane. Załamany Drzazga odłożył ostrożnie telefon i spojrzał na wiszące na ścianie duże haftowane godło Rzeczypospolitej Polskiej. Biały orzeł w koronie na czerwonym tle jak zwykle patrzył tylko groźnie i nic nie mógł mu pomóc. Mój Boże - pomyślał z trudem powstrzymując łzy. Był jednym z najważniejszych ludzi w tym kraju, mającym odpowiadać za bezpieczeństwo jego obywateli, a sam czuł się bezbranny i bezradny jak półroczne niemowlę. I co ja mam teraz zrobić? Co teraz się będzie ze mną działo? Z moją rodziną? Co dalej z Polską?

Wiedział, że jeżeli potwierdzą się jego podejrzenia, to w Polsce zacznie się polityczne trzęsienie ziemi, które w najlepszym wypadku zdmuchnie obecny rząd i przy okazji jego skromną osobę. A w skrajnej formie - ktoś z jego własnych ludzi przedstawi mu propozycję nie do odrzucenia. Bo nie mogło być tak, że szef jednej z najważniejszych służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa staje przed sądem i idzie do więzienia.

Otworzył wewnętrzną szufladę biurka i przesunawszy nieco na bok leżący tam pistolet, wyciągnął z niej kolorowe zdjęcie, przedstawiające jego samego sprzed kilkunastu lat w towarzystwie swojej ówczesnej małżonki oraz ich dwójki, obecnie już dorosłych, dzieci.

- Każdy ma swój słaby punkt - przypomniał sobie ze smutkiem starą szpiegowską maksymę.

Przez blisko minutę wpatrywał się w zdjęcie, a potem podjął

nagłą decyzję. Odłożył szybko zdjęcie i sięgnął po pistolet. Był to sporych rozmiarów smith & wesson 9F, polecony mu kiedyś przez jednego z jego oficerów operacyjnych. Sprawdził magazynek. Był pełny. Podpiął go z powrotem do broni. Odbezpieczył, przeładował i zdecydowanym ruchem włożył sobie pistolet do ust.

\* \* \*

Tomasik patrzył tępo na ciemności rozciągające się za oknem jadącego pociągu. Był cholernie zmęczony i nie miał nawet siły na kolejne analizy własnej sytuacji. Z najwyższym tylko trudem zwalczał pokusę przymknięcia po raz kolejny chociaż na chwilę oczu, bo wiedział, że prawdopodobnie skutkowałyby to natychmiastowym zaśnięciem, a to mogłoby sprowadzić na niego kolejne komplikacje.

Na poszczególnych stacjach wysiadali kolejni kibice. Lecz pociąg zamiast pustoszyć ciągle się zapełniał. Coraz więcej młodzieży chciało się dostać do Sopotu tym środkiem transportu. Na stacji Gdańsk Przymorze do niemalże pełnego wagonu znowu wsiadło kilka pojedynczych osób. Jedną z nich była młoda, najwyżej kilkunastoletnia dziewczyna. Natychmiast przykuła jego uwagę, pozwalając mu chociaż na chwilę zapomnieć o zmęczeniu. Mimo różnicy wieku nie mógł się oprzeć typowo męskiemu instynktowi.

Jest naprawdę niezła - pomyślał, oceniając ją z zainteresowaniem Tomasz.

Dziewczyna weszła do jego wagonu i rozejrzała się półprzytomnym zamglonym wzrokiem. Dopiero teraz Tomasz zauważył, że dziewczyna jest niezłe pijana.

Boże, ależ ona jest „zrobiona” - przeszło mu przez myśl.

Małolata zrobiła kilka niepewnych kroków i w tym momencie kolejka ruszyła. Wagonem delikatnie wstrząsnęło. I to wystarczyło, aby dziewczyna straciła równowagę i poleciała do przodu, a następnie w bok. Tomasz znowu zareagował instynktownie. Błyskawicznie podniósł się do góry i w ostatniej chwili złapał ją w ramiona, ratując tym samym przed niezbyt miłym upadkiem.

- Proszę uważać na siebie - powiedział chrapliwie, z trudem tylko powstrzymując się przed głośnym syknięciem z bólu. Zranione ramię chyba znowu zaczęło krwawić.

Kiedy tylko odsunął ją od siebie, natychmiast poczuł jej zapach. To była kombinacja drogich i ekskluzywnych perfum zmieszanych z delikatnym zapachem kobiecego potu i wonią niedawno wypitego i niestrawionego jeszcze alkoholu. Dziewczyna spojrzała na niego półprzytomnie i wyszeptała niezbyt wyraźnym głosem.

- Łapy przy sobie, staruszkule - I opadła na wolne siedzenie akurat tuż naprzeciwko niego.

Po chwili przymknęła oczy i najwyraźniej zapadła w sen. Tomasz mimowolnie poczuł, jak w tej jednej chwili całe jego pozytywne zainteresowanie dziewczyną minęło i odeszło w niebyt. Chamstwa i prostactwa nie znosił bardziej niż ludzkich słabości czy zwykłej głupoty. Bezczelna smarkula - pomyślał tylko ze złością i znowu utkwiał wzrok w oknie.

Minęli Oliwę, Żabiankę, Sopot Wyciągi, Sopot i Sopot Kamienny Potok. To tam wysiadali ostatni przystrojeni białozielonymi szalami kibice Lechii. Tomasz wiedział, że od następnej stacji zaczynało się panowanie żółtoniebieskiej Arki. Kiedy zatrzymali się na stacji Gdynia Orłowo, siedząca przed nim i pochrapująca cicho dziewczyna nagle otworzyła szeroko oczy. Wyrwana ze snu rozejrzała się dookoła i utkwiała w nim nieprzytomny wzrok.

- Co to za stacja? - spytała zachrypniętym głosem.

- Orłowo.

- O kurwa! - zerwała się do góry, lecz w tym momencie kolejka ruszyła i dziewczyna rzucona siłą bezwładu opadła z powrotem na swoje siedzenie. - No ja pierdolę - wymamrotała sama do siebie i gwałtownie zakryła dłonią usta.

Rozległo się głośne beknięcie jakoś dziwnie niepasujące do tej pięknej dziewczyny, aż zniesmaczony Tomasz natychmiast odwrócił od niej głowę. Miał tylko nadzieję, że małolata nie zwymiotuje prosto na niego. Żeby tego uniknąć, postanowił wstać i przejść się do drzwi. Przecież i tak planował wysiadkę na następnej stacji.

Podniósł się do góry i w tej samej chwili dostrzegł utkwione w sobie bezbarwne oczy niezbyt wysokiego blisko czterdziestoletniego mężczyzny. I w tym momencie już po raz trzeci w ciągu ostatnich kilkunastu minut zadziałał instynkt. Tomasz po prostu intuicyjnie wyczuł niebezpieczeństwo. Facet stał w samym przejściu do ich wagonu, zaledwie dwa i pół metra od niego i akurat w tej chwili na ułamek sekundy oderwał od niego wzrok i przeniósł go na trzymany w lewej ręce wyświetlacz olbrzymiego smartfona. I jeszcze niemalże w tym samym momencie jego prawa ręka zaczęła sięgać pod poły skórzanej kurtki. Tomasz nie miał czasu na przemyślaną reakcję. Sprężył się w sobie i odbijając się mocno nogami, skoczył w kierunku mężczyzny. Jednak zamiast w niego trafił prosto w podnoszącą się gwałtownie z miejsca współpasażerkę. Lecąc razem z nią na ziemię, bardziej poczuł niż zobaczył, jak spomiędzy jej rozcapierzonych palców zasłaniających nieszczelnie usta chlusnęło na niego kilka strumyków żółtawych rzygowin, obryzgując mu klatkę piersiową i twarz. I właśnie w tej

chwili z trzymanego przez mężczyznę pistoletu padły dwa szybko następujące po sobie strzały. Ciałem dziewczyny, które na tę jedną chwilę niemalże w całości zasłoniło Tomasza, dwukrotnie wstrząsnęło. Objęci niczym kochankowie upadli razem na podłogę i Tomasz znalazł się zaledwie jakieś półtora metra od mierzącego do niego ponownie mężczyzny. Przez głowę Tomasza przeleciała tylko jedna myśl.

To koniec!

I wtedy rozległ się potworny pisk, wagonem gwałtownie wstrząsnęło, a pociąg zaczął wytracać prędkość. Najwyraźniej ktoś widząc całe zajście, musiał pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa. Leżący Tomasik natychmiast uniósł do góry oczy, prosto na stojącego przed nim mężczyznę i zobaczył, jak ten z najwyższym tylko trudem utrzymuje równowagę. W tej samej chwili bandyta został uderzony przez jakiegoś innego mężczyznę w skroń i Tomasik dostrzegł, jak wypuszcza z ręki broń i przewraca się niczym ścięta kłoda drewna na bok. Tomasz nie miał zamiaru czekać na ciąg dalszy. Opierając cały swój ciężar na zdrowej ręce, uniósł się nieco go góry i chciał uciekać. Lecz nie zdążył się jeszcze nawet solidnie podeprzeć, kiedy jakichś dwóch rosnących mężczyzn doskoczyło do niego, schwyciło pod ramiona i pociągnęło brutalnie za sobą.

W całym przedziale mimo zgrzytu hamujących kół słychać było głośnie kobiece piski i wrzaski. Ludzie byli dezorientowani i przerażeni. Ciągnięty Tomasik dostrzegł, jak kilka wagonów przed nimi dwóch potężnych mężczyzn z pistoletami w dłoniach bezpardonowo przepycha się w ich kierunku.

- Cholera! - wymknęło się któremuś z jego tajemniczych konwojentów.

W tym momencie pociągiem po raz kolejny gwałtownie szarpnęło i skład zatrzymał się ostatecznie w miejscu. Któryś z pasażerów otworzył przyciskiem awaryjnym drzwi i chciał wyskoczyć na zewnątrz. Lecz został brutalnie złapany za barki przez konwojentów Tomasza i bezpardonowo odepchnięty do tyłu. Potem mężczyźni podnieśli Tomasza do pozycji stojącej i zakomenderowali.

- Skacz i biegnij w lewo! Szybko!

Zupełnie dezorientowany Tomasz natychmiast wykonał to polecenie i wyskoczył w ciemność, prosto na kamienisty nasyp. Następnie nie oglądając się za siebie, puścił się biegiem w stronę widniejącej jakieś sto - sto pięćdziesiąt metrów przed nim jasno oświetlonej stacji SKM Gdynia Redłowo.

Stojący na wiadukcie kolejowym mężczyzna obserwował uważnie wszystko, co działo się poniżej. W słabym świetle latarni widział, jak pociąg SKM jadący z kierunku Gdańska nagle zaczyna gwałtownie hamować. Dużo wcześniej niż powinien, aby dojechać do wysepki stacji. Potem zobaczył, jak zatrzymuje się ostatecznie w miejscu, jakieś sto – sto pięćdziesiąt metrów od skraju peronu, a gdzieś ze środka składu wyskakuje na torowisko średniej postury facet i biegnie, ile tylko ma sił w nogach w stronę stacji Gdynia Redłowo.

A więc Rusek miał rację – pomyślał z sarkastycznym uśmiechem na ustach. Ten facet znowu nie dał się zabić. Ale tym razem jego szczęście się skończy. Bo trafił właśnie na mnie.

Uniósł do góry trzymaną dotąd pod kurtką lornetkę i przyłożył ją szybko do oczu. Teraz widział jeszcze wyraźniej twarz biegnącego mężczyzny. O pomyłce nie mogło być mowy. Ale dla wszelkiej pewności schował z powrotem lornetkę i sięgnął do kieszeni po trzymany tam telefon. Jeden rzut oka na widniejące tam zdjęcie wystarczył. Tak. To był on. Facet – cel! Rozejrzał się uważnie dookoła. Mimo późnej pory na wiadukcie znajdowało się jeszcze kilka osób, które zaintrygowane niecodziennym zdarzeniem na torach, zatrzymały się w miejscu i z zainteresowaniem obserwowały to, co działo się na dole. Komplikacje – pomyślał o nich przelotnie. Ale to dopiero za chwilę.

Biegnący mężczyzna zbliżał się do niemalże pustego peronu. Kilkadziesiąt metrów za nim biegło dwóch potężnych mężczyzn, którzy najwyraźniej próbowali go ścigać, jednak na pewno nie byli w stanie go dogonić. Mimo to nie strzelali, jakby zdając sobie sprawę, że z przodu jest jeszcze ktoś, kto w razie potrzeby dokończy za nich sprawę.

Ścigany wbiegał już na podwyższenie peronu i oglądał się nerwowo do tyłu. Głupek – pomyślał obserwujący go mężczyzna. Nie docenił nas. Wolnym ruchem wsadził rękę pod poły kurtki i namacał ciepłą kolbę swojego walthera. Ścigany przebiegł już całą długość peronu i właśnie wskakiwał na pierwsze stopnie spłaszczonych schodów prowadzących do ulicy Stryjskiej. Z tej odległości obserwujący go mężczyzna wyraźnie widział, jak jego lewe ramię zwisało bezwładnie wzdłuż boku. Widział jego przerażoną i brudną twarz. W wyobraźni dodał sobie jeszcze świszczący ze zmęczenia oddech, spanikowane i mocne bijące serce.

Miał go jak na widelcu. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia metrów. Zrobił krok do przodu, wychodząc zza wysokiej zabezpieczającej schody drucianej siatki. Teraz już nic nie zasłaniało mu linii celowania. Kiedy wyciągał zza paska pistolet, jego twarz rozświetlał

okrutny i triumfujący uśmiech. Ale przed pociągnięciem za spust postanowił jeszcze raz zobaczyć, co robią ewentualni gapie. Odwrócił głowę i zdążył tylko zakląć.

- O kurwa!

\* \* \*

Wbiegający po schodach zasapany Tomasik zadarł do góry głowę i zdążył zobaczyć, jak jakiś mężczyzna trzymający w dłoni pistolet wylatuje nagle ponad barierką zabezpieczającą schody i z przeraźliwym krzykiem leci głową w dół, a w chwilę później uderza o betonowe płytki niczym rzucony na ladę ochłap surowego mięsa. Widział dokładnie, jak jego głowa uderzona o krawędź peronu rozpryskuje się na dziesiątki kawałów niczym rzucony z ogromną siłą o ścianę arbuz.

O Boże - przemknęło mu przez głowę. Co to było? I aż przystanął na chwilę sparaliżowany gwałtownym strachem. Jednak już dwie sekundy później doszedł do siebie.

Nawet jeżeli ktoś tam na mnie czeka - pomyślał zdesperowany, to i tak nie mam już wyboru. Odwrócił szybko głowę i zobaczył, że ścigający go dotąd mężczyźni także zatrzymali się w miejscu. Wymienili ze sobą kilka krótkich zdań, po czym jak na komendę obydwaj zeskoczyli z peronu i rzucili się w bok do ucieczki. Przebiegli przez tory prosto w kierunku znajdujących się po prawej stronie opuszczonych i zdewastowanych działek. Gnali jakby goniło ich sto diabłów.

Tomasik spojrzał do góry. Z tej pozycji nikogo tam nie widział. Obliznął nerwowo wargi, w myślach zrobił wyimaginowany znak krzyża i nie zważając już na nic więcej, ponownie zaczął wbiegać po schodach. Po chwili był już na wiadukcie, na ulicy Stryjskiej. I wtedy rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby być sprawcą tajemniczego lotu leżącego teraz na torach mężczyzny. Nie wierzył bowiem w tak szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności i tak przypadkową „udaną próbę samobójczą” uzbrojonego w pistolet człowieka.

Ale tam oprócz kilku oddalających się pośpiesznie we wszystkie strony spłoszonych ludzi zobaczył tylko zaparkowany kilkanaście metrów dalej potężny, czarny, terenowy nissan patrol z przyciemnianymi szybami i opierającego się o niego eleganckiego mężczyznę. Na jego widok, mimo ostatnich przeżyć, Tomasik po prostu odetchnął.

- Leon? - nie potrafił ukryć zdziwienia. - To ty?

- Owszem - niegdysiejszy porucznik Mielcarski, z którym



Tomasik miał okazję walczyć po przeciwnych stronach barykady podczas swojej przygody na ORP Warszawa, uśmiechał się teraz do niego lekko. - Kopę lat, nie?

- No.

- Wsiadaj - Mielcarski otworzył szeroko tylne drzwi. - Nie możemy tu na ciebie czekać w nieskończoność. Poza tym nie mamy zbyt wiele czasu.

Tomasz przez krótką chwilę stał w miejscu, zastanawiając się, co właściwie powinien w tym momencie zrobić. Ale Leon, jakby czytając w jego myślach, powiedział:

- Nie bój się! Gramy w tej samej drużynie. Zresztą nie masz innego wyjścia. Po prostu musisz mi zaufać. Musisz zaufać swojej byłej firmie! - I wyciągnął z kieszeni rękę, w której nawet z tej odległości Tomasik rozpoznał legitymację żołnierza Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

\* \* \*

- To może być trudne - stwierdził cynicznie Tomasz.

Po swoich ostatnich przygodach nie ufał już nikomu, a tym bardziej służbom specjalnym. Mimo to wsiadł do auta, a kiedy tylko to zrobił, nie potrafił już nad sobą zapanować. Widok, który tam zobaczył, sprawił, że go zatkało. Na fotelu tuż obok niego siedział tajemniczy staruszek, którego spotkał w toalecie na stadionie gdańskiej Lechii i który wówczas do niego powiedział, żeby niczego się nie bał, bo wszystko dobrze się skończy.

- Dobry wieczór, panie kapitanie - głos staruszka był miły i pewny siebie, lecz Tomasik bardziej niż tymi szczegółami zainteresował się ledwie uchwytną w nim nutką obcego akcentu.

Delikatnie trzasnęły zamykane od zewnątrz drzwi i auto ruszyło w kierunku Alei Niepodległości.

- Nie jestem już kapitanem i nie pracuję w kontrwywiadzie wojskowym - odpowiedział z wyraźnym poirytowaniem Tomasz.

Zauważył, że skręcili w kierunku Sopotu. Patrząc przez okna na dobrze sobie znane, jasno oświetlone budynki i miejsca, w głowie miał zamęt i znowu nie był do końca pewien, co się dookoła niego dzieje. Mimo tego był jednak ciekaw, co ten mężczyzna tu robi, kim jest i jakie ma powiązania z Mielcarskim.

Staruszek przez cały czas lekko się uśmiechał.

- Przecież pan dobrze wie, że ze służb specjalnych nigdy się tak naprawdę nie odchodzi - powiedział w końcu.

- Taak. Panie...?

- Iksiński.

- OK, panie Iksiński. W takim razie proszę mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi i kim pan jest.

- To jeszcze pan nie wie?

- Najwyraźniej nie - Tomasikowi było już obojętne, co ten starszy mężczyzna sobie o nim pomyśli. Znowu czuł, jak wraca do niego zmęczenie. Był po prostu wykończony i miał wrażenie, że jest już u kresu swojej wytrzymałości. - To co? Powie mi pan, dlaczego mnie pan zaprosił do swojego auta? - mówił szybkim, coraz bardziej zirytowanym głosem i patrzył mężczyźnie prosto w oczy.

- Hm - chrząknął starszek z zakłopotaniem. - Bo pana lubię?

- Naprawdę? - zapytał Tomasz, tym razem bez cienia wesołości w głosie. - To miłe, ale mam nadzieję, że nie jest pan gejem?

- Nie.

- A tak na poważnie?

- Czy wystarczy panu informacja, że zależy mi na panu i że już kilka razy uratowałem panu życie?

- Tak? - Tomasik uniósł do góry brwi. - A niby kiedy?

- Choćby niecałą minutę temu na wiadukcie. Oprócz tego: w pociągu, w toalecie na stadionie, w Bazylice Mariackiej. No i pewnie by coś się jeszcze znalazło.

- W takim razie dziękuję - odpowiedział z wysiłkiem Tomasz. Mimo że to mogła być prawda, jakoś nie potrafił z siebie wykrzesać choćby odrobiny wdzięczności dla tego faceta. Wręcz przeciwnie. Miał wielką ochotę wręcz mu przywalić. - Ale to nie pan przypadkiem wpakował mnie w te wszystkie kłopoty?

- Nie - mężczyzna odpowiedział stanowczo. - Może to panu wydać się dziwne, ale w tę historię wpakował się pan zupełnie przypadkowo i to absolutnie sam. Ale chcę panu coś pokazać. Kiedy pan to zobaczy, to być może pozwoli to panu zrozumieć, o co toczy się gra i po czyjej jesteście stronie.

W tym momencie samochód skręcił gwałtownie w prawo, w jedną z wąskich i słabo oświetlonych uliczek Górnego Sopotu, a Tomasikowi stanęły mimowolnie przed oczami czasy jego młodości, gdy spacerował tędy z nowo poznanymi dziewczynami i aby wydać im się bardziej romantyczny, prowadził je w kierunku stadionu leśnego i górującego nad nim uroczego punktu widokowego, skąd roztaczał się wspaniały widok na Sopot, molo i morze. Ale to przecież było tak dawno temu.

Nie minęło kilkanaście sekund i auto wjeżdżało już do podziemnego garażu w skromnej jak na tę okolice willi.

- Możesz wysiąść - odezwał się siedzący dotąd bez słowa Mielcarski. I sam jako pierwszy wyszedł zza kierownicy. - Chodź za mną - zakomenderował i przytrzymał przed Tomaszem otwarte

drzwi.

Tomasik wysiadł z auta i szedł za nim bezwolnie. Nie czuł przy tym strachu. Wiedział, że gdyby ci ludzie chcieli mu zrobić krzywdę, to mogli to zrobić już dawno temu.

Prosto z garażu przeszli do pomieszczenia obok, które gdyby nie brak okien, można by uznać za coś w rodzaju ekskluzywnego gabinetu lekarskiego. Pomalowane na biało ściany, przeszklona biała szafka wypełniona jakimiś medykamentami, a w rogu elegancka i nowoczesna umywalka. Na środku tego pomieszczenia stał niski, zgarbiony około pięćdziesięcioletni mężczyzna, o szczupłej wydłużonej, niemalże końskiej, twarzy, ubrany w biały lekarski fartuch i białe wysłużone adidas. Dopiero teraz Tomasz zwrócił uwagę na leżący pod szpitalną kozetką na podłogowych kafelkach czarny podłużny worek. Poczuł, jak przechodzą go ciarki.

- Dobry wieczór - przywitał się mężczyzna w białym kitlu. - Jestem lekarzem i opatrzę panu ranę.

Tomasik skinął mu niepewnie głową.

- Za chwilę, panie doktorze. - Mielcarski podszedł do kozetki i pochylił się nad workiem. - Podejdź bliżej - zwrócił się do Tomasza. - Musisz coś zobaczyć. - Mówiąc to, złapał dwoma palcami za róg worka.

- Co tam jest? - mruknął zaniepokojony Tomasz.

- Sam zobacz - Mielcarski pociągnął worek w dół.

Tomasz po chwili milczenia zapytał:

- Prawdziwy czy fałszywy?

- A jak myślisz? - Mielcarski się uśmiechnął.

Przed nimi, zakryte do połowy czarnym workiem, leżało zastygłe w śmiertelnym bezruchu nagie ciało mężczyzny o twarzy byłego premiera Rzeczypospolitej Polskiej Damiana Turskiego.

- Mam nadzieję, że jednak fałszywy - wyszeptał ledwie słyszalnie Tomasz.

- Ma pan rację - zza jego pleców doszedł ich cichy i beznamiętny głos staruszka. - Ten jest fałszywy. Z tym że tak naprawdę to jest nie tyle „fałszywy” Damian Turski, co po prostu jego matroszka.

- Matroszka? - zapytał zdziwiony Tomasz. - To znaczy, że...?

- Tak - staruszek podszedł do kozetki i stanął tuż obok zaskoczonego Tomasza. - To znaczy, że to jest, a właściwie był facet, którego już od ponad trzydziestu lat szkolono i przygotowywano do zajęcia miejsca prawdziwego Damiana Turskiego.

- Przez kogo?

- A jak pan myśli?

Przez kilkanaście długich sekund Tomasik z trudem opanował emocje. Patrzył na leżącego przed nim martwego mężczyznę, na tak dobrze sobie znaną z telewizyjnych przekazów twarz i próbował znaleźć w niej jakieś charakterystyczne, niezgodne z zapamiętanym obrazem szczegóły.

- Wygląda identycznie! - szeptał. - Ale przecież to niemożliwe!

Przez głowę przelatywały mu dziesiątki myśli i podejrzeń. Po prostu niemożliwe! Jednak gdyby to była prawda, to wyjaśniałoby wiele z tego, co się ostatnio działo. Turski w rosyjskim konsulacie w Gdańsku. Śmierć Romana, który go tam zobaczył. Śmierć Krystiana, Martyny i Iwony. Zabójstwo pani Wojciechowskiej i niespodziewany zawał gliniarza prowadzącego śledztwo. Śmierć wszystkich tych, którzy mogli coś na ten temat wiedzieć lub słyszeć. Do tego olbrzym, który na nich polował. Ci wszyscy ludzie z wszystkich możliwych służb, którzy się przy tej całej sprawie kręcili. Tylko pozostawało jedno. Skoro to miało być działanie tajnych służb, to dlaczego aż tylu ludzi w to wszystko było zaangażowanych? Przecież to było nielogiczne! Nagle poczuł niepokój.

- A w jaki niby sposób ich rozpracowaliście? - zapytał pozornie spokojnym głosem. - Jakoś ciężko mi uwierzyć, że moi dzielni koledzy z SKW, ABW, SW czy z SWW byli w stanie sami wykryć coś tak nieprawdopodobnego i zapobiec katastrofie.

Staruszek roześmiał się szczerze ubawiony.

- Taaak. W coś takiego rzeczywiście ciężko byłoby uwierzyć. Polskie służby specjalne. Wiecznie upolitycznione. Skłócone i bez kręgosłupa moralnego. Niedofinansowane i przetrzebione kadrowo. Skorumpowane i niewydolne. Do tego całkowicie rozpracowane przez rosyjski i niemiecki wywiad. Ale proszę sobie wyobrazić, że akurat w tej sprawie dostali wszystko jak na tacy. Ale i tak potrafili to zepsuć.

- Nie bardzo rozumiem - mruknął Tomasik. - Od kogo dostali to na tacy?

- Od pana Iksińskiego - włączył się do rozmowy Mielcarski. - Pan Iksiński przez blisko czterdzieści lat pracował w zachodniemieckich służbach na kierunku wschodnim.

- Na wschód od Niemiec była i jest Polska - przerwał mu Tomasz. - Kogo więc pan rozpracowywał? - zwrócił się do staruszka. - Nas? Czy Sowietów?

- Cały blok wschodni - mężczyzna patrzył na Tomasika zimno. - Ze szczególnym naciskiem na was i ZSRR.

Tomasik jeszcze raz spojrzął na leżące przed nimi ciało. Staruszek stał obok niego i końcówką trzymanej w ręku rzeźbionej

laski niemalże dotykał głowy denata.

- To jego zastrzelił pan zaledwie czterdzieści pięć minut temu. W toalecie na stadionie gdańskiej Lechii i to na rozkaz rosyjskiego oficera GRU o pseudonimie Wiktor - staruszek patrzył na Tomasza beznamiętnym wzrokiem. - Taka właśnie wersja zdarzeń jest na tę chwilę obowiązująca u Rosjan. O tym, że ich plan spalił na panewce, dowiedzą się trochę później. Rozumiem, że zdaje pan sobie sprawę ze znaczenia słowa „matrioszka”?

- Tak - odpowiedział Tomasz, czując się, jakby uczestniczył w jakimś chorym seminarium pseudohistorycznym albo w trzeciorzędnym szkolnym teatryku. - Jakoby KGB wyszukiwało pośród swoich agentów sobowtórów polskich polityków, szkoliło ich i wysyłało do nas. Na podmiankę tych prawdziwych.

- Uhm.

- Ale - Tomasz pokręcił z niedowierzaniem głową - nie bardzo w to wierzę. Przecież to nieprawdopodobne. I absurdalne! Po co mieliby to robić?! Oni i tak rządzą tu prawie jawnie. Bez ich zgody nikt nie mógł tu zostać premierem, ministrem czy generałem.

- Owszem, częściowo ma pan rację. Ale - głos staruszka stał się nagle twardy - tylko częściowo. Przecież z wykształcenia jest pan historykiem. Ukończył pan historię na Uniwersytecie Gdańskim i pisał pan pracę magisterską u profesora Wieczorkiewicza. Oprócz tego, że pracował pan w Wojskowych Służbach Informacyjnych i w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, jest pan też nauczycielem historii i potrafi pan myśleć samodzielnie! Krytycznie w stosunku do oficjalnej wersji historii własnego kraju, która jest teraz tak groteskowo i nieudolnie przedstawiana w obowiązujących u was podręcznikach, że zraża do siebie wszystkich samodzielnie myślących ludzi.

Tomasik patrzył na niego w milczeniu i uważnie słuchał.

- Przecież pan dobrze wie, że musi być jakaś racjonalna przyczyna tego, że nikt was w Europie nie lubi i nie szanuje. A wy się ciągle dziwicie. Jak to? Dlaczego tak jest? Przecież to myśmy pierwsi podjęli walkę z Niemcami w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Przecież to myśmy nigdy nie skapitulowaliśmy. U nas nigdy nie było żadnego Quislinga i nikt z nas nie walczył u boku Niemców! To nasi żołnierze walczyli na wszystkich frontach drugiej wojny światowej przeciwko Niemcom. We Francji, Wielkiej Brytanii, w Afryce i w Norwegii. To myśmy ratowali Żydów i razem z nimi ginęliśmy w obozach śmierci. To myśmy byli wywożeni przez Sowieców na Syberię do łagrów. To nas spotkał Katyń i zdrada sojuszników w Jałcie i Teheranie. Nasze było też Powstanie Warszawskie, Polskie Państwo Podziemne i cała ta niemiecko-

sowiecka okupacja. A myśmy byli niezłomni! Więc dlaczego ci wszyscy ludzie na całym świecie nas tak nienawidzą? Dlaczego nami tak gardzą, jak śmieją nazywać niemieckie obozy śmierci polskimi? Oczywiście znaleźliście sobie winnych. To wszystko przecież przez komunistów i przez Ruskich! I wie pan co? – staruszek zawiesił na chwilę głos. – Po części macie rację. – Jego silny i pewny dotąd głos przeszedł niemalże do szeptu. – Czy pan wie, że tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej kraje zwycięskiej koalicji, czyli USA, Wielka Brytania i Francja, a nawet ZSRR, przekazały Polsce tysiąc osiemset siedemnastu niemieckich zbrodniarzy wojennych?

- Tak, wiem – powiedział cicho Tomasz, nie będąc jednak pewnym, do czego staruszek zmierza.

- A czy zdaje pan sobie sprawę, że chociaż większość z nich została skazana na kary śmierci lub dożywotniego więzienia, to jednak już pod koniec lat pięćdziesiątych w polskich więzieniach pozostawało ich tylko trzech? Trzech spośród tysiąca osiemset siedemnastu zbrodniarzy! A reszta? I niech pan nie myśli, że wszystkich powieszono! Wśród skazanych na śmierć był między innymi gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch, notabene skazany na śmierć dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku za współudział w zabiciu blisko czterystu tysięcy Polaków! Ale wyroku na nim również nigdy nie wykonano! Rozumie pan?

- Tak. Ale co to ma wspólnego z nami, z premierem Turskim i z matroszkami? – w głowie Tomasza kiełkowały już jednak pewne podejrzenia. Domyślał się, do czego ta rozmowa zmierza. Wszystko zaczynało układać się w miarę logiczną, chociaż zupełnie nieprawdopodobną całość.

- A jak pan myśli? – niezrażony pytaniem staruszek patrzył mu badawczo w oczy. – Dlaczego ci wszyscy ludzie, niemieccy oprawcy i mordercy, znikali po cichu z polskich więzień, a później odnajdywali się w pełni zdrowia i w dobrym samopoczuciu gdzieś na terenie zachodnich Niemiec, Francji, Holandii czy Belgii? Jakim cudem tysiące niemieckich folksdojczy i hitlerowskich informatorów z czasów okupacji trafiło później do waszego aparatu władzy? Do partii, rządu, Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Milicji Obywatelskiej i wojska? I w dalszym ciągu robiło polityczne kariery i gnębiło wasz naród?

- Sowietci i komuniści? – powiedział cicho Tomasz, chociaż dobrze wiedział, że jego odpowiedź jest absolutnie niepełna.

- Ma pan rację – potwierdził jego podejrzenia staruszek. – Ale znowu tylko częściowo. Niemcy w czasie drugiej wojny światowej we wszystkich podbitych i okupowanych przez siebie krajach starali

się pozyskać jak najwięcej ludzi do współpracy. Bez ich pomocy, mimo wprowadzonego terroru, nie byliby w stanie utrzymać swojego panowania w całej podbitej Europie. W okupowanej Polsce nie było co prawda oficjalnej kolaboracji, ale byli za to folksdojczce, szpicle, przekupieni bądź też zaszantażowani tajni informatorzy. Była też polska Granatowa Policja i zwykli szmalcownicy. W innych krajach, na przykład w takiej Francji czy Belgii, dochodzili do tego jeszcze wszyscy ci, którzy podjęli oficjalną współpracę z nazistami. Bo uwierzyli w narodowy socjalizm, nie znosili komunistów i Żydów, walczyli na froncie ze Związkiem Radzieckim w swoich narodowych nazistowskich legionach. Po prostu kolaborowali. Wszystkie niemieckie służby, a więc zarówno Gestapo, Abwehra, jak i Kripo, zbierały informacje na temat takich ludzi. Zakładały im teczki. I to były setki tysięcy teczek! Archiwizowane w nich były dane osobowe informatorów, kolaborantów, profile osobowe i życiorysy. A kiedy Niemcy zaczęli już przegrywać na wszystkich frontach i zrozumieli, że klęska jest coraz bliżej, zaczęli te swoje archiwa wywozić i ukrywać.

- Żeby mieć na wszystkich haki?

- Tak. Rzecz jednak w tym, że nie wszystkie zostały utrzymane w rękach Niemców. Niektóre trafiły... Zgadnie pan do kogo?

- Do tak zwanych wyzwolicieli? Do Rosjan?

- Bingo! A potem jedni i drudzy zaczęli je wykorzystywać we własnych celach. Zresztą robią to do dziś. Te archiwa, podobnie jak te po waszym Urzędzie Bezpieczeństwa czy Służbie Bezpieczeństwa, mają siłę rażenia bomby atomowej z opóźnionym zapłonem. Pozwalają pewnym ludziom cały czas kontrolować życie polityczne i finansowe na całym świecie.

W tym momencie Tomasik mimowolnie się uśmiechnął.

- Dlaczego pan się śmieje? - zapytał poważnym tonem mężczyzna. - Nie wierzy pan w to?

- Spiskowa teoria dziejów? - Tomasik kręcił z niedowierzaniem głową. - Znam z telewizji kilku polityków, którzy ciągle to powtarzają. Ale rzeczywiście bardzo trudno jest mi w to uwierzyć. Zresztą większość tego typu historii głosi, że to amerykańscy Żydzi kręcą światem polityki i finansjery. A oni chyba nie mają nic wspólnego z tą historią?

Tym razem to staruszek się uśmiechnął.

- Nie - odpowiedział, mrużąc znacząco oczy. - Ale proszę pamiętać: pieniądze i żądza władzy nie mają pojęcia narodowości.

\* \* \*

Komisarz Krzysztof Mikulski stał przed wejściem na OIOM w Szpitalu Wojewódzkim im. Mikołaja Kopernika w Gdańsku i z niepokojem wpatrywał się w drzwi. Te nagle odchyliły się i wyszedł z nich ubrany w długi zielony kitel lekarz, a tuż za nim dwie wyraźnie zmęczone pielęgniarki. Ich spojrzenia się spotkały i Mikulski już wiedział.

- Nic nie dało się zrobić - wyszeptał doktor. - Przykro mi.

Komisarz tak naprawdę nie był tym zaskoczony. Przez krótką chwilę wahał się jeszcze nad sensownością zadania obowiązkowego pytania. Bał się prawdziwej odpowiedzi, ale musiał się upewnić.

- Czy...? Czy może pan na tę chwilę stwierdzić, co było przyczyną ich śmierci?

Lekarz ponownie spojrzał mu prosto w oczy. Przez kilka długich sekund sprawdzał, czy policjant chce naprawdę usłyszeć to, co on mógłby mu przekazać.

- Nie. Nie wiem, co mogło ich zabić!

Mikulski na dźwięk słowa „zabić” poczuł jakiś wewnętrzny bolesny krzyk.

- Rozumiem - skinął powoli głową. Czuł się dziwnie pusty i zmęczony. - Dziękuję, panie doktorze. Po oficjalne akty zgonu i wyniki z sekcji zwłok zgłosi się później ktoś inny.

Odwrócił się i wolnym krokiem skierował do wyjścia. Kiedy był już na zewnątrz budynku, zapalił papierosa. Ręce lekko mu drżały. W kieszeni rozległ się sygnał telefonu. Wyjął go i spojrzał na wyświetlacz.

- Melduję się, panie komendancie - powiedział znużonym głosem.

- Co z nimi? - pytał podinspektor Belka.

- Nie żyją.

- Cholera - przekleństwu towarzyszyło zupełnie niepasujące do sytuacji bardziej wyczuwalne niż słyszalne westchnienie ulgi. - To bardzo niedobrze. Sprawę przejmuje wojewódzka. To ponoć coś grubszego. Ale skoro te małolaty już nie żyją, to mam dla ciebie jeszcze jedno, związane bezpośrednio z tą sprawą zadanie.

- Tak, panie komendancie?

- Dostałem cynk z informacją, gdzie ukrywają się sprawcy tej całej afery. Antyterrorysty zostali już powiadomieni. Właśnie się pakują. Pojedziesz razem z nimi i będziesz im patrzył na ręce. Faceci prawdopodobnie są uzbrojeni i niebezpieczni. Z całą pewnością będą stawiali opór. Z akcją trzeba się spieszyć, bo nam uciekną!

Ty głupi skurwielu - pomyślał Mikulski. A więc ciebie też mają w rękę? Lecz na głos powiedział tylko:



- Rozumiem, panie komendancie. To gdzie mam jechać?
- Do Górnego Sopotu. Szczegóły podam ci później.
- Zrozumiałem, szefie. Już jadę.

Nie miał więcej pytań. Co prawda przez chwilę kusilo go, aby zadać pytanie o Jarka Sopoćko, lecz ostatecznie ugryzł się w język. To nie byłoby zbyt mądre. W końcu nie byli przecież z Jarkiem aż takimi kumplami.

Mikulski splunął na ziemię i spojrzał w kierunku pobliskiej komendy. Nad jej ciemnymi dachami widniał jasny rogal księżyca. Rano będzie kolejny ciepły i ładny dzień - pomyślał z żalem. Ale nie dla mnie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Obejrzał się za siebie i westchnął.

- Pierdolę to. Już tam nie wracam.

I odwróciwszy się w stronę Siedlec ruszył wolnym krokiem w kierunku zaparkowanego nieopodal samochodu.

\* \* \*

Mężczyzna w białym fartuchu podający się za lekarza chyba rzeczywiście miał coś wspólnego z tym fachem. Sprawnie opatrzył Tomasza i powiedział:

- Wszystko powinno być w porządku. To tylko powierzchowna rana. Może trochę za długo nie popuszczał pan opaski uciskowej, ale chyba nie będzie żadnych komplikacji. Założyłem panu kilka szwów i podałem antybiotyk w zastrzyku. Problemem jest to, że stracił pan sporo krwi. Może pan być trochę osłabiony. Ale ze względów technicznych nie będziemy jej panu tu przetaczać. Zresztą nie jest to konieczne dla pańskiego zdrowia.

- Dziękuję - odpowiedział cicho Tomasik. - Może kiedyś będę miał okazję się odwdziżyć.

Stojący obok Mielcarski wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Nie przesadzaj - powiedział wesoło. - Pan doktor to nasz człowiek. Zaufany i sprawdzony. Zresztą pobiera za to dobrą kasę. Prawda, panie doktorze?

- Tak jest - mężczyzna o końskiej twarzy uśmiechnął się do nich krzywo. - No nic, ja będę uciekał. W domu czeka na mnie żoneczka i spóźniona kolacja.

- To cześć.

- Dobranoc.

W czasie zabiegu Tomasika naszło takie zmęczenie, że najzwyczajniej w świecie po prostu zasnął. Niemalże nie czuł, kiedy lekarz zszywał mu rozorane kulą ramię. Lecz w momencie przebudzenia do zmęczenia doszło jeszcze paskudne uczucie bólu

głowy, w niewielkim tylko stopniu łagodzone przez podane mu środki przeciwbólowe.

- To co teraz? - zapytał Mielcarskiego. - Jakie macie plany?

Zauważył, że staruszek gdzieś zniknął. Tak samo, jak zniknęło ciało fałszywego Turskiego.

- Na początek coś zjesz. Potem weźmiesz prysznic i pójdziesz się zdrzemnąć.

- Tutaj?

- Tak. To bezpieczne miejsce.

- A później?

- A później pomoże nam pan wytropić i wytępić kilkunastu innych podmieńców - w drzwiach od wejścia do pomieszczenia stał staruszek. - Matroszek lub ich potomków.

Mężczyzna najwidoczniej musiał przez cały czas być gdzieś w pobliżu i z ukrycia przysłuchiwać się ich rozmowie. A może nawet i ją obserwował dzięki ukrytym gdzieś kamerom? Tomasz odwrócił się w jego stronę.

- Bardzo chętnie, tylko... - na chwilę zawiesił głos. - Tylko cały czas nie do końca rozumiem. Dlaczego proponuje pan to właśnie mi? Przecież ma pan do dyspozycji całą armię najlepszych specjalistów w tym fachu w tej części Europy? Zawodowców w każdym calu. A ja jestem przy nich tylko skromnym wyrobnikiem, który i tak już kilka lat temu wypadł z obiegu.

Staruszek uśmiechnął się do niego lekko.

- Wie pan, całe swoje życie przebywałem wśród ludzi, którzy teoretycznie byli zobligowani do ochrony swoich krajów. Funkcjonariuszy służb specjalnych, tajnych agentów, pracowników wywiadów i kontrwywiadów. Wielu z nich naprawdę kochało swoje ojczyzny i wielu poświęciło dla nich życie. Ale proszę mi wierzyć, że już od wielu lat nie spotkałem tak bezinteresownego i uczciwego faceta jak pan. Po prostu wiem, że panu mogę bezgranicznie ufać. Że nie jest pan umoczony w żadne brzydkie rzeczy, że nie ulegnie pan sile proponowanych panu pieniędzy.

- Ale każdy człowiek ma jakiś słaby punkt.

- Oczywiście. Pan też go ma.

- Tak? - Tomasz udał zdziwienie. - Jaki?

- Uczciwość!

To go jednak trochę zaskoczyło. Wydawało mu się, że sam znalazłby u siebie kilka bardziej wrażliwych miejsc. Patrzył na staruszkę uważnie. Jego tłumaczenie wydało mu się tak naiwne, tak bzdurne, że po prostu nie mogło być prawdziwe.

- Pan żartuje sobie ze mnie, prawda? - zapytał, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

- Nie - staruszek odpowiedział poważnie. - Wie pan, jestem już starym człowiekiem. A moje życie powoli zmierza ku końcowi. I coraz mniej rzeczy mnie w tym życiu interesuje i cieszy. Ale jak to kiedyś napisał Winston Churchill: „Jedną z niewielu rzeczy, które wciąż mnie w życiu interesują, jest obserwowanie, jak młodzi ludzie zdobywają świat”. I może dla mnie właśnie jest pan takim młodym człowiekiem, który ma szansę zdobyć, a przynajmniej spróbować zdobyć ten świat! Obronić przed złem. I ja chciałbym to zobaczyć. Kibicuję panu już od dłuższego czasu!

Tomasik kręcił z niezrozumieniem głową. Nie wierzył w ani jedno słowo mężczyzny, ale tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Nie bardzo rozumiał, dlaczego ten starszy pan miałby bezinteresownie pomagać polskim służbom ochrony państwa w wykryciu tych wszystkich afer. Tym bardziej że przecież nie było już dla nikogo tajemnicą, że to właśnie polskie służby specjalne partycypowały i rozciągały parasol ochronny nad tymi wszystkimi machlojkami.

- Jak myślisz? - wtrącił się cichym głosem Mielcarski. - W jaki sposób i dlaczego doszło do przekazania władzy w całej Europie Wschodniej, w tym w Polsce, tak zwanej demokratycznej opozycji? Skąd już w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku pojawili się u nas prywatni przedsiębiorcy? Jakim cudem dysponowali tak dużymi środkami pieniężnymi?

- Współpracowali z komuchami?

- Uhm. To wszystko byli ludzie związani z tutejszym reżimem, umoczeni we współpracę z ówczesnymi służbami specjalnymi zwalczającymi własną opozycję i walczącymi z demokratycznymi krajami Europy Zachodniej. Spotkanie w Magdalence, tysiące tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, sprawa Tajnego Współpracownika Bolka i pana Wachowskiego. To wszystko przy tym, z czym my tu walczymy, to tylko niewinne żarty, służące zwykłemu umoczeniu wielu patriotycznie nastawionych Polaków w brudne gierki. Robota pana generała Kiszczaka i jego ludzi. Skompromitowanie opozycjonistów, przyciągnięcie ich na swoją stronę, znalezienie na nich haków i możliwości szantażu. A tymczasem prawdziwi reżyserzy tych przemian znajdowali się w zupełnie innym miejscu.

- W Moskwie? - przerwał mu Tomasik. Ta cała historia coraz bardziej przypominała mu brednie opowiadane przez co niektórych, niezbyt poważnych, polityków.

- Też - głos zabrał staruszek. - Ale oni nie wchodzili w takie detale. Oni tylko narzucali ogólny kierunek przemian. Szczegóły i wykonawstwo zostawiali miejscowym. Zresztą bardzo często to

byli po prostu ich ludzie.

- Matrioszki?

- No właśnie.

\* \* \*

Komisarz Mikulski siedział w swoim samochodzie i z napięciem oczekiwał na początek akcji gdańskiej brygady antyterrorystycznej. Wąska willowa uliczka w Górnym Sopocie była kompletnie pusta o tej porze, bo wszyscy mieszkańcy już spali lub przesiadywali gdzieś w pobliżu plaży i popularnego Monciaka.

Obserwowana przez niego posesja nie rzucała się specjalnie w oczy. Na tle otaczających ją eleganckich i wypasionych willi ten stosunkowo niewielki szarawy dom o powierzchni co najwyżej trzystu metrów kwadratowych sprawiał wrażenie zupełnie niepozornego.

Mikulski spojrzął na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzydzieści. Przez chwilę spróbował wyobrazić sobie, kim też mogą być ludzie będący celem ich akcji. Nie był człowiekiem pozbawionym sumienia czy poczucia sprawiedliwości. Znał różnicę między dobrem i złem. Dotąd uważał nawet siebie za porządnego, prawdziwego Polaka. Po prostu kochał Polskę i był dumny z tego, że jest Polakiem. Ale problem polegał na tym, że najzwyczajniej w świecie w polskiej policji zarabiał się za mało, a on oprócz Polski kochał też życie. I kiedy zdarzyła mu się możliwość dorobienia, pozornie w miarę uczciwa, skorzystał z niej. A potem okazało się, że to była podpucha. Myślał, że dostarcza informacje ratujące komuś życie, a okazało się, że to było zupełnie co innego. Początkowo nic złego się nie działo. Po prostu dostał parę złotych i wydawało mu się, że zrobił coś pożytecznego dla siebie i rodziny. Nie widział w tym żadnego konfliktu interesów. Aż któregoś pięknego dnia zgłosił się do niego pewien niepozorny człowiek z propozycją nie do odrzucenia. I w tym momencie życie komisarza Mikulskiego wywróciło się do góry nogami. Oprócz szantażu pojawiły się też groźby w stosunku do jego rodziny. A potem miały miejsce dzisiejsze wydarzenia, kiedy to musiał podjąć najgorsze i najtrudniejsze decyzje w swoim życiu. A teraz nie było już odwrotu.

I w tym momencie jego rozmyślenia przerwała usłyszana przez radio komenda.

- Zaczynamy!

Komisarz natychmiast skupił uwagę na obserwowanej przez siebie willi. Najpierw zobaczył antyterrorystów pokonujących

niezbyt wysokie zamknięte drucianą siatką ogrodzenie. Potem przez kilkadziesiąt długich sekund nic się nie działo. Aż nagle rozległ się huk wrzucanych przez policjantów do środka willi granatów i głośne krzyki szturmujących ją funkcjonariuszy.

Mikulski wysiadł pośpiesznie z samochodu i wyciągnąwszy z kabury swój pistolet, ruszył w kierunku posesji. Idąc, czuł lekki strach i dyskomfort psychiczny. Wiedział, że to nie będzie dla niego zwyczajna policyjna akcja. Z nerwów zaciskał mocno zęby. Jadąc tutaj, otrzymał drugie już tego dnia, pozornie bardzo proste zadanie. Po prostu z tej willi nikt nie miał prawa wyjść żywy!

Mikulski wiedział, że nie ma wyboru. Od tego zależało przecież życie jego rodziny.

\* \* \*

Tomasik był pod prysznicem, próbując zmyć z siebie całe zmęczenie i uczucie psychicznego brudu, kiedy przez szum lejącej się wody doszły go jakieś podejrzanego odgłosy. Zaintrygowany zakręcił szybko wodę i wyteżył słuch.

- Cholera - zaklął już po chwili.

Na górze coś się działo. Schwycił ręcznik i w tej samej chwili do pomieszczenia wpadł trzymający się za krwawiący brzuch Leon.

- Tomasz! - ryknął.

Zobaczył, że Tomasz wciąga na siebie pośpiesznie spodnie.

- Nie ma czasu! - Leon podbiegł do przeszklonej szafki z medykamentami i wcisnął mocno jeden z białych ściennych kafli. Szafa niczym w tandetnych filmach przygodowych zaczęła okręcać się wokół własnej osi, ukazując za sobą ciemną wnękę. - Szybciej!

Na górze słychać było jakieś eksplozje i krzyki. Gdzieś padła pojedyncza seria z broni palnej. Tomasz chwycił w ręce swoje buty i T-shirt i wskoczył za Leonem do ciemnej wnęki po szafie. Mielcarski natychmiast wcisnął jakąś wajchę i ściana z szafą na powrót zaczęła się zamykać. W zapadających ciemnościach Mielcarski złapał Tomasza za rękę.

- Schyl się i za mną - szeptał Leon, ciągnąc go szybko za sobą.

Już po kilkunastu krokach marszu w ciemnym i śmierdzącym kurzem korytarzu Tomasz kompletnie stracił orientację przestrzenną. Na szczęście podróż nie trwała długo. Nie zdążył się nawet zastanowić, gdzie jest i co mogło się złego wydarzyć, kiedy usłyszał:

- Stój!

Zatrzymali się w miejscu. Mielcarski musiał coś nacisnąć, bo niemalże w tej samej chwili znajdująca się przed nimi ściana nagle

zaczęła się otwierać.

- Chodź - wysapał słabo Leon i pociągając go za sobą, wprowadził do kolejnego zaciemnionego pomieszczenia. To musiał być garaż. Tomasik od razu wyczuł ten specyficzny zapach smarów i gумы. Leon puścił jego rękę i po omacku zrobił dwa kolejne kroki. Po chwili Tomasik usłyszał, jak Leon obmacuje jakiś metal, najprawdopodobniej maskę samochodu.

- Mam - szepnął radośnie.

W otwartych drzwiach od granatowego bmw błysnęło małe światełko.

- Wsiadaj!

Tomasikowi nie trzeba było tego powtarzać. Wskoczył na siedzenie obok kierowcy i w gasnącym świetle samochodowej lampki zdążył jeszcze zobaczyć paskudną ranę brzucha krwawiącego Leona.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział cicho.

- Wiem. Ale ty masz chwilowo niesprawną rękę, więc sobie na pewno nie poradzisz. Teraz się trzymaj. Nie wiem, co tam na nas czeka po drugiej stronie.

Uruchomił silnik i jednym przyciśnięciem pilota zapoczątkował unoszenie się w górę ciężkich garażowych drzwi.

\* \* \*

Mikulski z pistoletem przygotowanym do strzału podązał kilka kroków za wchodzącymi do poszczególnych pomieszczeń antyterrorystami. Policja dostała ostrzeżenie, że willa prawdopodobnie jest siedzibą jednego z groźnych trójmiejskich gangów zajmujących się handlem bronią i odpowiedzialnych za śmierć dwójki policjantów z warszawskiego CBS. Poza tym willa mogła być zaminowana. W związku z tym antyterrorysty dostali niepisane pozwolenie na niecackanie się, a w razie potrzeby na bardziej zdecydowane użycie broni.

W pewnym momencie gdzieś na piętrze rozległa się seria z broni maszynowej. Zaskoczony Mikulski aż przykucnął ze strachu. Po chwili doszedł go głos:

- Tutaj! Na górze!

Podążając za trójką zamaskowanych policjantów, wbiegł szybko schodami na piętro.

- Tutaj! - powtórzył czyjś gromki głos.

Policjanci weszli do pierwszego pokoju po prawej. Pokój był duży, prawie pusty. W jego rogu z rękoma podniesionymi do góry stał starszy, około siedemdziesięcioletni elegancki mężczyzna

z drewnianą laską o ciekawie rzeźbionej główce. Zamaskowany policjant trzymający na muszce staruszka zameldował:

- Drugi, zdecydowanie młodszy, próbuje uciec. Postrzelił Bicepsa! Sam prawdopodobnie dostał w brzuch!

Mikulski dopiero teraz zwrócił uwagę na ciągnący się po podłodze krwawy ślad. Obrzucił mężczyznę badawczym wzrokiem i w ciągu kilku sekund ocenił sytuację.

- Szukajcie go! - zwrócił się do trójki policjantów. - On musi wpaść w nasze ręce! Pamiętajcie, że ci frajerzy wcześniej zastrzelili dwóch naszych, a teraz postrzelili waszego kolegę!

Antyterrorysty natychmiast wyszli z pokoju.

- Skuj go! - rozkazał Mikulski pojedynczemu „antkowi” i sam wycelował w staruszka.

Policjant zabezpieczył broń i opuścił ją lufą do dołu. Zrobił trzy kroki w kierunku stojącego ciągle bez słowa z uniesionymi do góry rękoma starca i w tym momencie Mikulski krzyknął:

- Uważaj!

Obydwaj mężczyźni instynktownie spojrzeli w jego kierunku. Mikulski pociągnął za spust. Padł tylko jeden strzał, był śmiertelny. Mikulski wiedział, że trafił staruszka w samo serce. Zdążył jeszcze zobaczyć malujące się na jego twarzy i w oczach kompletne niedowierzanie i zaskoczenie, a potem staruszek zamknął oczy i osunął się bezwładnie na ziemię.

- Co ty, kurwa, koleś, odpierdalasz?! - ryknął antyterrorysta. Był wściekły.

- Zamknij się! - warknął do niego uspokajająco Mikulski. - Facet chciał cię zabić! - to mówiąc, podszedł do leżącego, wyjął zza swoich pleców niewielki pistolet, odbezpieczył go, przeładował i wsadził do prawej ręki leżącego trupa. Wszystko to trwało nie dłużej niż trzy, cztery sekundy.

- Co to kurwa...? - wzburzony policjant chciał mu zadać kolejne idiotyczne pytanie.

- Zamknij się! - przerwał mu Mikulski brutalnie. - Zapamiętaj! Facet wyciągnął broń i chciał cię zastrzelić, uratowałem ci życie!

W tym momencie do pokoju wbiegli kolejni policjanci.

- Co jest?! - krzyczeli jeden przez drugiego. - Co się stało?!

- Już wszystko w porządku! - uspokajał ich Mikulski. - Chcieliśmy go skuć, a gość sięgnął po broń! Nie miałem innego wyjścia!

Antyterrorysta, który był świadkiem całego wydarzenia, stał z boku w milczeniu, z zaciętą, wykrzywioną wściekłością twarzą.

- Co jest, brachu? - któryś z kolegów klepnął go w ramię. - Kule świsnęły koło ucha i zesrałeś się w gacie?

Mikulski patrzył na niego uważnie. Jeden z antyterrorystów podszedł do niego i poklepał go lekko po plecach.

- Dobra robota, panie komisarzu. Wszystko w porządku?

- Tak. A co z tym drugim?

- Mieli skurczybyki tu takie ukryte przejście, jak w jakimś średniowiecznym zamku. Jedna sekcja idzie za nimi.

- Za nimi? - zainteresował się Mikulski. - To znaczy, że jednak był tu ktoś jeszcze?

- Tak. Przynajmniej jeszcze jeden skurwiel. Ale i tak, jak na siedzibę mafii czy też tak groźnego gangu, to dziwnie tu pusto.

- Może ktoś ich po prostu ostrzegł - zasugerował myślący już zupełnie o czym innym Mikulski.

- Może.

\* \* \*

Drzwi od garażu uchyliły się w górę i do pomieszczenia dotarła odrobina światła. Mielcarski bez włączania reflektorów wcisnął delikatnie pedał gazu.

- Automat - szepnął do siedzącego obok Tomasza.

Brama wjazdowa właśnie się otwierała na boki.

- Nieźle - mruknął Tomasz. - Nie wiedziałem, że macie takie miejscówki.

- Nie mamy - z trudem odparł Mielcarski.

Skręcił w lewo i dopiero teraz włączył światła mijania.

- To czyja jest ta melina?

- Starego.

- Dla kogo ty w końcu pracujesz? - Tomasik patrzył na niego uważnie.

Dojechali do Alei Niepodległości. Tomasik obejrzał się do tyłu. Nikt ich nie ścigał. Skręcili w kierunku Gdyni.

- Powiesz mi czy nie? - dopytywał się Tomasz.

Leon westchnął i ciężko odkaszlnął.

- Chyba nie mam innego wyjścia, nie? - spojrzał na niego z boleścią. - Czuję, że zaraz wysiądę. Starego zgarnęli, a jest jeszcze kilka spraw do załatwienia. - Zamilkł i z sykiem bólu oderwał rękę od brzucha. Krew cały czas sączyła się z otwartej rany. W samochodzie dominował jej miedziony zapach.

- Potrzebujesz lekarza, bo się wykrwawisz - powiedział cicho Tomasz.

- Wiem - Leon zaśmiał się z wysiłkiem. Jego twarz była blada jak płótno. - Posłuchaj uważnie, bo nie wiem, czy znajdę siły, żeby powtórzyć.



Tomasik milczał, nadstawiając uszu.

- Pamiętasz, co wtedy się wydarzyło na Warszawie?

- Jasne.

- Po tym wszystkim twoi kumple z centrali zaproponowali mi pracę w WSI. Żadnego więzienia, żadnego pieprzenia o zdradzie czy patriotyzmie. Po prostu: będziesz dla nas pracował albo pójdiesz siedzieć! Na początku wysyłali mnie na różne takie zadupia. Rzeszów, Lublin, Biała Podlaska, żeby tutaj sprawa trochę przycichła. Zresztą to nieważne. Kilka tygodni temu ściągnął mnie z powrotem jeden taki ważniak. Powiedzmy, że nazywał się pan X. Wprowadził mnie w szczegóły akcji pod kryptonimem „Matrioski”. Powiedział, że kilka miesięcy wcześniej SWW trafiło gdzieś pod Moskwę na wspomnienia jakiegoś Rosjanina. Nazywał się Szupryszkin. Facet był sierżantem GRU i pisał, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, kiedy u nich też wszystko zaczynało się walić, a Gorbaczow już nad tym nie panował, na jednym ze szkoleń spotkał się z jakimś gościem, który pracował w zamkniętym obozie szkoleniowym. A tam szkolono sobowtórów różnych ludzi, którzy byli bardzo podobni do znanych osób z całej Europy i ze Stanów. Potem nasi zaczęli węszyć i dowiedzieli się, że „wschodni” zintensyfikowali swoje zainteresowanie osobą Damiana Turskiego. Dodali dwa do dwóch i przekazali tę informację naszej pani premier. A ta, naiwna pipa, zorganizowała spotkanie i przekazała ją szefom wszystkich naszych służb. Pewnie wiesz, co się wtedy stało. Zamiast walczyć z wrogiem, nasi zaczęli się gryźć między sobą. SWW, SW, ABW, no i my. I wtedy zgłosił się do nas Stary. Tak naprawdę to on się nazywa Ulrich Steichmann i jest byłym zastępcą szefa zachodniemieckiego BND. Facet zakończył już służbę, ale miał pewne kłopoty, chciał trochę zarobić i podzielił się z nami niektórymi informacjami.

- Sam się do was zgłosił i zaproponował współpracę? - z powątpiewaniem w głosie zapytał Tomasik. - Nie uważasz, że to trochę dziwne i grubymi nićmi szyte?

- Jasne - Mielcarski roześmiał się z trudem. - Wyobraź sobie, że nam też to przyszło do głowy. Wrzuciliśmy go na bęben. Sprawdzenie przeszłości, obserwacja jego i rodziny, stworzenie profilu osobowego i tak dalej. Pełna inwigilacja na wszystkie możliwe sposoby. Ustaliliśmy kilka rzeczy, których nigdzie nie było w oficjalnych źródłach, ale ostatecznie rewelacje gościa, jak i jego samego, uznano za wiarygodne. On zaś powiedział, że przekaże nam dużo więcej, ale cholernie zależy mu na dyskrecji. Boi się o siebie i swoją rodzinę. O jego udziale w tej sprawie nie ma prawa

wiedzieć nikt poza kilkoma osobami z SKW.

- Więc?

- To był dobry układ. Nawiązaliśmy dyskretną współpracę.

- A on kręcił wami jak chciał - zakończył z drwiną Tomasz.

Byli już w Gdyni, na wysokości Skweru Kościuszki. Mielcarski odkasznął i skręcił gwałtownie w prawo. Tomasz trochę się zaniepokoił.

- Dokąd jedziemy? - zmienił temat, próbując przy tym zachować spokój. - Chyba nie do centrali?

Mielcarski, mimo osłabienia, prawie się roześmiał. Niecały kilometr stąd rzeczywiście była siedziba Gdyńskiej Delegatury Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Ale gdyby naprawdę chciał tam dojechać, to powinien skręcić już dużo, dużo wcześniej. Jeszcze w ulicę Piłsudskiego.

- Nie bądź głupi - wyszeptał tylko z trudem i znowu odkasznął.

Tomasik mimowolnie odetchnął. Co prawda zdawał sobie sprawę, że wjazd na teren oficjalnej siedziby SKW i złożenie stosownego zawiadomienia i zeznań to byłaby najgłupsza rzecz, jaką można by wymyślić w ich sytuacji. Znał przecież działanie służb, krępującą ich biurokrację i wszechobecne asekuranctwo. Żaden z jego dawnych znajomych nie zgodziłby się zareagować tak, jak jego zdaniem powinno się w tej właśnie sytuacji. Ale nie wiedział, czy Leon też tak ocenia swoją firmę i kolegów.

Tomasik zauważył, że Mielcarski zaczyna pluć krwią. Wiedział, że z jego kompanem jest źle. Ale pomimo tego postanowił wyciągnąć od niego wszystko, co ten tylko wiedział.

- Leon, powiesz mi coś jeszcze?

Jechali naprawdę wolno, góra dwadzieścia kilometrów na godzinę, i zmierzali w kierunku Akwarium gdyńskiego. Mimo późnej pory ruch był spory. Dziesiątki aut i setki, jeśli nie tysiące wieczorno-nocnych spacerowiczów. Głównie młodzieży wędrującej między pobliskimi knajpami, Multikinem i plażą. W otoczeniu ORP „Błyskawicy”, „Daru Pomorza” i „Sea Tower” można było całkiem przyjemnie i sympatycznie spędzić czas. Wszyscy ci młodzi ludzie, spragnieni zabaw i przygód, nie zdawali sobie nawet sprawy z rozgrywających się tuż koło nich dramatów.

Mielcarski znalazł w końcu wolne miejsce i zaparkował niedaleko znanej restauracji Kapitan Cook.

- Dlaczego właśnie tu? - zapytał Tomasz, nie uzyskawszy odpowiedzi na poprzednie pytanie.

- Bo tu jest mój człowiek - odpowiedział ledwie słyszalnie Mielcarski. - Stoi na bramce. Ksywa Waldek. Znajdź go. Hasło: „Mariola Kowalska mówiła, że go kocha!”. On powinien ci

odpowiedzieć: „A to zdzira jedna”. Da ci kopertę. Ona jest ode mnie. Tam jest wszystko, co wiem, i o czym ci jeszcze nie zdążyłem powiedzieć.

Tomasik chciał jeszcze o coś zapytać, ale widział, że Mielcarski potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarza, bo inaczej może zejść z tego świata.

- OK - powiedział więc szybko i złapał za klamkę, chcąc wyjść z samochodu. - Jedź do szpitala.

Mielcarski zdążył go jednak jeszcze złapać za rękę i delikatnie przytrzymać.

- Słuchaj, Tomek! - jego oczy błyszczały. - To nie tak miało być. Mieliśmy ich rozpracować i wykończyć, ale coś nam nie wyszło. Ktoś zdradził. Te skurwysyny w osiemdziesiątym dziewiątym oddały władzę, bo było jasne, że zaraz ją odzyskają, i to w trójnasób! Mają wyhodowane całe stado tych pieprzonych sobowtórów! Matrioszek! Mają haki na tysiące ważniaków, nie tylko u nas, ale w całej Europie. Ludzi umoczonych w kolaborację z nazizmem, z komunizmem, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej i później też. We współpracy z sowieckim wywiadem, podwójnych, a nawet potrójnych agentów, ich sługusów. Polityków, prawników i finansistów. Wojskowych i naukowców. Ludzi ze służb specjalnych i ze świata kultury. Na wszystkich! Rozumiesz?!

- Uhm.

- Oni są wszędzie! Po prostu wszędzie! W sejmie, w rządzie, w mediach, w sądownictwie. Nikomu nie możesz ufać!

- Rozumiem.

- Wiem, że te skurwysyny coś tu jeszcze u nas szykują. Turski miał być tylko pierwszym z wielu. Malutkim fragmencikiem w tej całej popieprzonej układance.

- OK, Leon - wyszeptał pośpiesznie Tomasz. Bał się, że Mielcarski zaraz zemdleje. - Zrobię wszystko, co tylko będę mógł.

- Pamiętaj, Tomek - szeptał półprzytomnie Mielcarski z zamkniętymi oczami. - Polska! Ona jest najważniejsza! Nasza niepodległość, wolność, historia. Ci skurwiele chcą przejąć władzę i przewrócić wszystko do góry nogami.

Tomasik już dłużej nie czekał. Facet zaczynał majaczyć. Wysiadł pośpiesznie z auta, zatrzasnął drzwi i podbiegł do stojących kilkadziesiąt metrów dalej ochroniarzy. Z wnętrza restauracji dochodziła głośna dyskotekowa muzyka z początku lat dziewięćdziesiątych. Tomasik rozpoznał któryś z mdłych i bezbarwnych kawałków Ace of Base. Wiedział, że Kapitan Cook w weekendy zamienia się w jedną z najbardziej obleganych przez „starszych nastolatków” dyskotek w Gdyni i że często organizują

tam swoje imprezy ludzie ze wszelkiego rodzaju służb mundurowych i nie tylko. Ryzyko spotkania kogoś znajomego było więc spore. Ale w tym momencie nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Musiał skontaktować się z tym Waldkiem.

- Dobry wieczór - przywitał się grzecznie ze stojącym przy wejściu elegancko ubranym bramkarzem. Jego własny strój, wytarte i niezbyt czyste dżinsy plus brudny T-shirt i obwiązane bandażem ramię nie mogły wzbudzać zaufania. - Szukam Waldka.

- A kto pyta? - zapytał ochroniarz.

- Przyjaciół kolegi.

- No i?

- Proszę mu przekazać, że Mariola Kowalska mówiła, że go kocha!

- A to zdzira jedna! - stojący dotąd z boku, wysoki, blisko pięćdziesięcioletni, dobrze zbudowany mężczyzna wykrzyknął z rozbawieniem. - Chodź pan. To ja jestem Waldek.

Mężczyzna wyciągnął do niego na przywitanie rękę. Tomasiak uściskał ją i widząc, że drugi z bramkarzy zajmuje się obsługą innych gości, powiedział półgłosem:

- Niech pan natychmiast dzwoni po karetkę. Tam w czarnym bmw jest ciężko ranny człowiek. Nasz człowiek! Zaraz zejdzie, jeżeli mu natychmiast nie pomożemy.

- OK. Wejść i poczekać na mnie przy barze. - Waldek od razu przeszedł z nim na ty. - Zaraz wracam!

Tomasik odetchnął. Miał nadzieję, że Mielcarski przeżyje. Wchodząc do dyskoteki, obejrzał się jeszcze za siebie. Bmw ciągle stało w tym samym miejscu. Chciał się już odwrócić i wtedy zauważył, że przy aucie zatrzymuje się oznakowany policyjny radiowóz.

\* \* \*

Jarek Sopoćko stał oparty o biurko w swoim biurze na Komendzie Miejskiej Policji w Gdańsku i patrzył w milczeniu na skuloną i śpiącą w fotelu Milenę. Na chwilę obecną liczyło się tylko to, czy można jej było ufać. A co do tego miał poważne wątpliwości.

Jego telefon zawibrował. Natychmiast spojrzał na wyświetlający się numer. Wojciech Tuszyński! Żołnierz z jednostki pancерnej w Braniewie. Brat zabitej w niby wypadku na gdyńskim Wiczlinie Iwony Tuszyńskiej. Natychmiast stał się czujny. Wiedział, że jego telefon prawdopodobnie jest na podsłuchu, lecz mimo to postanowił odebrać.

- Nadkomisarz Sopoćko - rzucił do słuchawki.

- Witam, panie komisarzu. Wojciech Tuszyński z tej strony.
- Dobry wieczór. Coś się stało?
- Owszem. Pamięta pan o czym rozmawialiśmy ostatnio?

Przez głowę Jarka przeleciało kilka wątków z toczącej się wówczas rozmowy.

- Tak - powiedział ostrożnie. - Ale gadaliśmy o wielu rzeczach.
- Mój ojciec! Pamięta pan?

Jarek kątem oka zerknął na śpiącą ciągle Milenę i mimowolnie zniżył głos.

- Tak - niemalże wyszeptał. - Co w związku z tym?
- Dzisiaj był pogrzeb mojej siostry.

W tym momencie przez głowę Jarka przeleciało tylko jedno stwierdzenie: szybko! Wręcz nieprawdopodobnie szybko!

- Wiem - szepnął.

- Dzisiaj odbyły się też pogrzeby jeszcze trzech dzieciaków ze szkoły mojej siostry. Jej najlepszej koleżanki, chłopaka i jeszcze jakiegoś kolegi. Oni wszyscy się znali i zginęli w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. I to w niemalże tym samym czasie.

Jarek dobrze o tym wszystkim wiedział, ale nie chciał mu już więcej przerywać. Czekał na ciąg dalszy. Na informacje o starym Tuszyńskim, a więc o byłym pułkowniku wywiadu wojskowego PRL, który w latach osiemdziesiątych przez ponad dziesięć lat siedział na placówce w Moskwie.

- Wiedział pan o tym? - dopytywał się wojak.

Sopoćko zawahał się. Nie był pewien, czy powiedzenie prawdy nie utrudni mu dalszego kontaktu z żołnierzem.

- Tak, o tym też słyszałem - odpowiedział dopiero po chwili. - Ale to nie są rozmowy na telefon.

- Bo?

- Bo to są sprawy służbowe, objęte tajemnicą śledztwa, za których zdradzenie można mieć poważne nieprzyjemności i które mogą utrudnić wyjaśnienie całej sprawy. Chce mi pan coś jeszcze powiedzieć?

- Tak. Spróbuję panu zaufać. - Tym razem to Tuszyński najwyraźniej się wahał. - Na pogrzebie spotkałem faceta. Przyjaciela ojca z czasów jego pobytu w ambasadzie w Moskwie. Kiedy opuszczali trumnę - w tym momencie głos żołnierza wyraźnie zadrżał - to on się kompletnie rozkleił. Po prostu płakał! Facet, którego prawie nie znałem, który nie był nawet na pogrzebie swojego najlepszego przyjaciela, a mojego ojca, przyszedł teraz na pogrzeb mojej siostry i płakał! Płakał, jakby chowali jego własną córkę, a nie obcą dla niego dziewczynę! I ten zapłakany facet w czasie składania mi kondolencji wcisnął mi do ręki kartkę.

- I? - Jarek tylko z najwyższym trudem panował nad ogarniającym go podnieceniem. - Co tam było napisane?

- Żebym uciekał! Bo moi rodzice i moja siostra nie zginęli przypadkowo. I że ja jestem następny na liście!

Na krótką chwilę w słuchawce zaległa cisza.

- I to wszystko? - Jarek nie potrafił ukryć lekkiego rozczarowania.

Tego, że starzy Tuszyńscy zginęli z powodu Moskwy, domyślił się już w czasie ich poprzedniej rozmowy. A co do słuszności swoich podejrzeń utwierdził się w trakcie krótkiej i wymuszonej współpracy z panami z ABW zajmującymi się obserwacją jego przyjaciela Tomasza Tomasika. Chłopaki z ABW mieli go za głupka z psiarni, ale on potrafił patrzeć i myśleć i kilku rzeczy się już dowiedział lub domyślił. Problem polegał jednak na tym, że ciągle nie wiedział, dlaczego oni zginęli.

- Nie. To nie wszystko - to stwierdzenie Tuszyńskiego sprawiło, że znowu stał się czujny.

- Więc?

- Mój ojciec za dużo wiedział.

- O czym?

W słuchawce po raz kolejny zapanowała cisza. Jarek słyszał tylko dochodzący go z boku, ledwo słyszalny, równy i płytki oddech śpiącej Mileny.

- O matryoszkach i o zabójstwie premiera Jaroszewicza i jego żony w dziewięćdziesiątym czwartym. Mówi to panu coś?

Jarek westchnął.

- Niestety tak - wyszeptał cicho. - Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego pan mi to wszystko mówi.

- Żeby pan wiedział. Dzisiaj się dowiedziałem, że jutro wyjeżdżam na poligon do Orzysza. I jeżeli coś mi się stanie, proszę, żeby pan tego tak nie zostawił.

I w tym momencie jego głos nagle zamilkł. W słuchawce zapanowała kompletna cisza. Zaskoczony Jarek jeszcze przez kilka sekund trzymał w milczeniu telefon tuż przy uchu, a potem szepnął:

- Halo, panie Wojtku! Słyszysz mnie pan?! Panie Wojtku!?

Ale zamiast głosu w słuchawce usłyszał za plecami ciche skrzypnięcie swojego fotela. Natychmiast obejrzał się do tyłu.

- Zagłuszarka - to Milena patrzyła teraz na niego z zaciętą i jednocześnie poważną miną. - Włączyli zagłuszarkę - kontynuowała spokojnym i opanowanym głosem. Nie wyglądała przy tym jednak jak osoba zaspana czy dopiero co wyrwana ze snu.

- Prawdopodobnie w promieniu kilkuset metrów nikt nie może się teraz z nikim połączyć.

- Daj spokój - przerwał jej podenerwowany Sopoćko. - Wiem, co to jest zagłuszarka i do czego służy.

Przez krótką chwilę obydwójce mierzyli się nieufnie oczyma.

- Powiedz mi lepiej - przerwał w końcu ciszę Jarek - od jak dawna podsłuchiwałaś, dla kogo i od kiedy na nas donosisz.

Milena podniosła się wolno z fotela.

- Nie domyślasz się?

- Nie.

- To szkoda.

- Kim ty naprawdę jesteś? - Jarek wyraźnie zaczął tracić cierpliwość.

- Przecież wiesz. Nazywam się Milena Zalewska. Jestem nauczycielką historii z XX LO w Gdańsku. Koleżanką z pracy twojego najlepszego kumpla Tomasza Tomasika. Kobietą wpłątaną w jakąś straszną aferę, która...

- Przestań! - przerwał jej zirytowany Jarek. Nie znosił takich głupawych zagrywek, a teraz dodatkowo nie mógł sobie jeszcze pozwolić na pozostawienie swojego pytania bez jakiejś sensownej odpowiedzi. - Dla kogo pracujesz i od kiedy na nas donosisz? - powtórzył, podnosząc mimowolnie głos.

Milena znowu przez kilka długich sekund patrzyła mu prosto w oczy.

- A ty? - szepnęła w końcu smutno. - Czy ty jesteś taki święty? No powiedz. Kto i w którym momencie cię zламаł i zmusił do współpracy?

\* \* \*

Tomasik stał w miejscu tuż przy wejściu do Kapitana Cooka i patrzył bezsilnie na to, co działo się koło czarnego bmw. Z radiowozu wysiadło dwóch mundurowych i z włączonymi latarkami podeszło do zaparkowanego samochodu. Tomasik widział, jak policjanci nachylają się nad szybami i jak podszedł do nich Waldek. Mężczyzna zaczął coś mówić, coś im pokazał, a potem otworzył drzwi od strony kierowcy, pochylił się i coś z niego wyciągnął. Policjanci, gdy tylko zobaczyli, co jest w środku, próbowali przez radio nawiązać z kimś łączność. Lecz najwyraźniej mieli z tym jakiś problem, bo po chwili zrezygnowali i jeden z nich sięgnął po prostu po zwykły telefon. W pewnym momencie Waldek odwrócił się i szybkim krokiem ruszył z powrotem do dyskoteki. Niemalże w tej samej chwili od strony ulicy 10 lutego błysnęły na widnokręgu ciemnoniebieskie migające światła. Karetka? - pomyślał Tomasz.

Waldek doszedł do niego i schwyciwszy go pod ramię wciągnął

bez słowa do środka. Rozpychając się między tańczącymi ludźmi, przeszli przez środek sali, aż dotarli do sporego baru. Tu wyjątkowo było trochę luźniej. Waldek wskazał barmance nalewak i uniósł do góry dwa palce.

- Jesteś głodny? - zapytał Tomasz.

- Nie. Niedawno zjadłem coś zjeść.

Barmanka postawiła przed nimi dwie wysokie szklanki wypełnione pieniącym się lekko browarkiem.

- Może byśmy przeszli gdzieś w bardziej ustronne miejsce? - zapytał Tomasz. Przez cały czas rozglądał się z niepokojem po dyskotecę. Bał się, że spotka tu kogoś, kto może wiedzieć coś choćby o jego ostatniej nieobecności w pracy czy też o śmierci jego sąsiadki. I zacznie w związku z tym zadawać jakieś głupie i niewygodne pytania. Poza tym wiedział, że bywają tu też chłopaki z jego dawnej firmy. Waldek prawdopodobnie też był od nich. Na szczęście na razie nikogo znajomego nie zauważył, chociaż to wrażenie mogło być złudne. Przecież po lewej stronie była antresola, gdzie stało kilka czy kilkanaście stolików i skąd roztaczał się najlepszy widok na całą salę do tańczenia.

- Masz rację - zgodził się z nim Waldek. - Chodź!

Wskazał na ciemny korytarz po prawej stronie. Tomasz wiedział, że można tamtędy przejść na drugą stronę budynku i wyjść na zewnątrz. Złapali za szklanki z piwem i zaczęli się przemieszczać. Tłum był tutaj znacznie mniejszy, więc już po chwili znaleźli się na dworze.

- Co z nim? - zapytał Tomasz.

- Zobaczymy. Wyglądał kiepsko. Był już nieprzytomny. Ale puls miał wyczuwalny. No i jeszcze podjechały gliny.

- Widziałem. Co im powiedziałaś?

- Prawdę. Że jestem bramkarzem z Cooka i któryś z gości zaczął mnie i powiedział, że bym zajrzał do tego auta, bo coś jest z nim nie w porządku. Spisali mnie, wezwali karetkę i tyle.

- Nie będziesz miał z tego powodu problemów?

Waldek machnął lekceważąco ręką.

- Mogą mnie pocałować w dupę.

Tomasz pociągnął łyk piwa.

- Niezłe - kiwnął z uznaniem głową.

Ten jeden łyk alkoholu sprawił, że natychmiast poczuł się lepiej. Miał wrażenie, jakby napięcie z ostatnich kilkunastu minut trochę opadło.

- Uhm - potwierdził Waldek, siorbiąc przy tym ze swojej szklanki. - To co byś ode mnie chciał, kolego? - I spojrzał na Tomka pytająco. Ten nie odwrócił oczu.



- Masz ponoć dla mnie jakąś przesyłkę.  
- Uhm - Waldek spuścił oczy i ponownie umoczył usta w piwie.  
- Tyle tylko, że nie mam jej przy sobie.

- A gdzie?

- W domu.

Tomasik parsknął śmiechem.

- Gdzie? - zapytał z niedowierzaniem. - W domu?

- No. A niby gdzie miałbym ją trzymać? - Waldek najwyraźniej był zdziwiony tym pytaniem. - Przecież nie będę nosił przy sobie przez cały czas jakiejś pieprzonej koperty.

Tomasikowi natychmiast przyszło do głowy, że jego aktualny kolega nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek służbami.

- Przepraszam - zaczął więc ugodowo. - Ale bardzo zależy mi na tym, żeby jak najszybciej trafiła ona w moje ręce.

- OK. W porządku - Waldek sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął telefon. - Czesiu - powiedział do niego po chwili - muszę wyskoczyć na jakieś pół godzinki. Przejmujesz dowodzenie. Jakby były jakieś problemy, to dzwoń. OK? No.

Rozłączył się i spojrzał na Tomasza.

- To chodźmy - schował telefon i skinął do stojącego nieopodal chłopaka. - Ej, kolego, mam prośbę, odniesiesz nasze szklanki do baru? Fajnie, dzięki.

Oddali mu niedopite piwa i ruszyli w kierunku pobliskiego parkingu.

- Dobrze się znacie? - zapytał Tomasz. Był ciekaw, czy jego podejrzenia co do braku styczności ze służbami specjalnymi Waldka są słuszne.

- Z tym twoim kumplem?

- No.

Waldek sięgnął do kieszeni i pilotem otworzył zamki w czerwonej toyocie corolli.

- Nie, nie znamy się zbyt dobrze. Nawet nie wiem, jak facet ma na imię. Wsiadaj.

Obydwaj usiedli w samochodzie i Waldek odpalił silnik. Potem odwrócił się w jego stronę, spojrzał na niego przeciągle i poważnym tonem wyrecytował niczym wyuczony na pamięć wierszyk.

- To teraz mnie posłuchaj, kolego. Żeby była jasność. Nie wiem, kim jesteś, gdzie pracujesz, czym się zajmujesz. Nie wiem też, co jest w tej pieprzonej kopercie i dlaczego jest ci ona tak na gwałt potrzebna do szczęścia. I wiesz co? Gównu mnie to obchodzi! Po prostu. Twój koleś, z którym tak naprawdę wcale się nie znamy, kiedyś uratował mi tyłek. Zawdzięczam mu po prostu życie! I teraz spłacam swój dług! Kilka dni temu podszedł do mnie w robocie

i poprosił o pomoc. Wręczył mi zaklejoną kopertę i powiedział, że kiedyś może się ktoś po to zgłosić. I jeżeli poda hasło, to żebym mu to przekazał. I to wszystko! Czy to jest jasne?

- Tak - Tomasik skinął głową. - Jak słońce.

- To dobrze. - Waldek ruszył. - Właściwie nie powinienem ci chyba pokazywać, gdzie mieszkam, ale mam to w dupie. Jak coś będzie nie tak, to pamiętaj - znajdę sposób, żeby dobrać ci się do dupy. I to kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek pracujesz.

Tomasik, który już od dłuższej chwili tylko z najwyższym trudem panował nad utrzymaniem powagi, w końcu nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Po tylu niebezpieczeństwach i emocjach, które ostatnio przeżył, teraz trafił w końcu na kogoś normalnego i całkowicie spoza branży. Ten Waldek to był naprawdę niezły kozak i z każdym słowem coraz bardziej mu się podobał. Facet najwyraźniej miał jakieś zasady i poczucie własnej godności, może nawet honoru. A to w środowisku bramkarzy i ochroniarzy obstawiających różnego rodzaju dyskoteki i knajpy wcale nie było takie częste zjawisko. Najwyraźniej Leon musiał się na nim od razu poznać i obdarzyć dużym kredytem zaufania, skoro oddał mu na przechowanie tak ważny dla niego depozyt. Poza tym to było naprawdę genialne zagranie ze strony Leona. Tak cenny list oddał w ręce kogoś, kogo prawdopodobnie w żaden sposób nie można było z nim powiązać.

- To takie śmieszne? - Waldek był wyraźnie rozdrażniony.

- Przepraszam - Tomasik spróbował się uspokoić. - Ostatnio miałem trochę problemów. Śmiech po prostu pozwala mi odreagować. Sorry.

- Uhm - odburknął nieprzekonany Waldek.

Dojechali do Śródmieścia Gdyni, skręcili w ulicę Piłsudskiego i po chwili zatrzymali się pod jednym z kilku dziesięciopiętrowych bloków nieopodal placu 1. Brygady Pancерnej i nadmorskiego bulwaru.

- Poczekaj tu na mnie - powiedział Waldek i wysiadł z auta.

Tomasik odczekał kilkanaście sekund i kiedy mężczyzna tylko zniknął w jednej z klatek schodowych, natychmiast wyszedł na zewnątrz. Nie podejrzewał tu co prawda żadnej pułapki, bo gdyby takową Waldek chciał na niego zastawić, to nie musiałby go aż tutaj przywozić. Ale nie chciał też kusić losu i czekać beczynn timer w aucie, zdając się na dobrą wolę Waldeka i zaniedbując choćby najprostsze środki bezpieczeństwa.

Przeszedł kilkanaście metrów i stanął za niewysokimi i mocno ulistnionymi krzakami. Światło latarni prawie tu nie dochodziło. Przez kilka minut stał w kompletnej ciszy, wsłuchując się tylko

w nocne odgłosy pobliskiego morza i miasta i walczył z ponownie nadciągającym go zmęczeniem. Te chwile samotności były dla niego o tyle niebezpieczne, że z powodu zmęczenia i braku snu tracił w nich czujność i poczucie realności niebezpieczeństwa. Był już blisko zaśnięcia, kiedy w końcu usłyszał dźwięk zatraskujących się metalowych drzwi od klatki schodowej. Natychmiast wrócił do rzeczywistości.

Widział, jak Waldek zbliżył się szybkim krokiem do auta, aż w końcu spostrzegł, że toyota jest pusta. Zaskoczony przystanął niezdecydowanie w miejscu i rozejrzał się uważnie dookoła.

- Ej, kolego! - krzyknął półgłosem.

Tomasik pokręcił zde gustowany głową. Teraz był już pewny. On nie mógł być z żadnych służb. Wolał nie czekać, aż facet obudzi całą okolicę.

- Jestem - powiedział półgłosem, wychodząc szybko zza krzaków. - Masz to?

- Pewnie - Waldek wyciągnął w jego kierunku rękę z pakunkiem formatu A4. - Trzymaj.

Tomasik wziął niezbyt pulchną kopertę i rozglądając się w celu wyłapania ewentualnego zagrożenia, rzucił okiem na zaklejone zamknięcie. Było tu jednak zbyt ciemno, żeby zauważyć ewentualną próbę otwarcia. Schował więc kopertę szybko do kieszeni dzinsów.

- Nie wiesz, co jest w środku? - zapytał cicho.

- Nie. I nie chcę wiedzieć. - Waldek wyraźnie chciał się jak najszybciej z nim rozstać. - Ale jeżeli chcesz, to mogę cię jeszcze gdzieś podwieźć.

Tomasik się zawahał. Miał wątpliwości. Z jednej strony fajnie by było, gdyby Waldek go podrzucił w jakieś miejsce do spania, ale z drugiej wyraźnie widział, że facet ma już go dosyć.

- Nie, dzięki - powiedział więc z lekkim uśmiechem. - Dam sobie radę. Chociaż - do głowy przyszła mu jeszcze jedna sprawa - może masz pożyczyć kilka złotych na jakiś czas?

Ochroniarz zrobił zdziwioną minę, ale już po chwili sięgnął bez słowa do kieszeni spodni i wyciągnął z niej trzy stużłotowe banknoty.

- Wystarczy? Nie mam przy sobie więcej.

- Będzie musiało - Tomasik znowu się uśmiechnął. - Na pewno oddam.

- Może lepiej jednak nie oddawaj.

- Jeszcze raz dziękuję. Cześć! - Ucisnęli sobie na pożegnanie dłonie.

Potem Tomasz odwrócił się w drugą stronę i nie oglądając się już za siebie, szybkim krokiem ruszył w kierunku Urzędu Miasta

i ulicy Świętojańskiej. Idąc, czuł, jak przy każdym kroku koperta zgina się w jego kieszeni. Zastanawiał się przy tym, co też z niej wyczyta. Szedł i walczył z ogarniającym go podnieceniem. W końcu nie wytrzymał. Wiedział, że to dziecinne uczucie jest kompletnie nie na miejscu i zupełnie nieprofesjonalne, ale musiał zaspokoić swoją ciekawość. Zatrzymał się pod jedną ze świecących jasnym światłem ulicznych latarni i wyciągnął z kieszeni szarą, mocno już pogiętą kopertę. Rozejrzył się jeszcze w poszukiwaniu ewentualnego niebezpieczeństwa i nie znajdując go, obejrzał uważnie zamknięcie. Wyglądało na nietknięte. Z bijącym sercem rozerwał kopertę i wyjął ze środka kilka gęsto zapisanych odręcznym pismem kartek. Już jeden rzut oka na pierwszą z nich i przeczytanie kilku zdań oraz kilku nazwisk wystarczyło, żeby zmartwiało.

- Boże - szepnął z niedowierzaniem. - Ja chyba śnię.

Perspektywa tego, co zobaczył, była gorsza od tego, co potrafił sobie dotąd wyobrazić.

\* \* \*

Były premier Rzeczypospolitej Polskiej Damian Turski leżał ze skwaszoną miną w łóżku Szpitala im. św. Wojciecha na gdańskiej Zaspie i z niecierpliwością patrzył na stojącego przed nim w bezruchu zamyślonego lekarza. Ten przeglądał właśnie wydruki ostatnich badań i mruczał coś tam do siebie cicho pod nosem.

- To co, panie doktorze? - zapytał w końcu zirytowany tym Turski. - Rozumiem, że ze mną jest wszystko w porządku. Jestem tu u pana już chyba trzy godziny, a wyniki przecież muszą być OK. Dwa tygodnie temu przechodziłem kompleksowe badania w Brukseli i niczego niepokojącego u mnie nie stwierdzono.

- Tak, tak, panie premierze - zamruczał nieco głośniejszym wyrwanym z zamyślenia lekarz. - Z pana zdrowiem rzeczywiście chyba jest wszystko w porządku.

To był starszy mężczyzna z tytułem profesora, przejęty teraz odpowiedzialnością za przebadanie tak ważnego pacjenta. Po jego przywiezieniu powiedziano mu tylko tyle, że Damian Turski prawdopodobnie przeszedł lekki zawał serca spowodowany nieoczekiwanym stresem.

- Ale niepokoi mnie u pana jeden drobiazg - dodał już nieco wyraźniej profesor.

Nie był przecież idiotą i dobrze wiedział, że to, co mu powiedziano po przywiezieniu byłego premiera, nie może mieć zbyt wiele wspólnego z prawdą. Turski cały zalany był krwią, ale to nie była jego krew. Wyglądało to jednak tak, jakby się w tej krwi

wykąpał, a nie został nią tylko trochę i niechcący opryskany. W związku z tym profesor w wynikach swoich badań szukał czegoś zupełnie innego, niż danych potwierdzających stan zawałowy czy też przedzawałowy byłego premiera.

- Tak? - Turski zrobił zaciękwioną minę. - Co pana niepokoi?

- Pana zaniki pamięci, tak zwana wybiórcza amnezja - profesor mrugnął do niego porozumiewawczo okiem.

Turski uśmiechnął się szeroko i powiedział z wracającym humorem.

- Panie doktorze, pana przenikliwa diagnoza przywraca mi wiarę i nadzieję w jakość naszej służby zdrowia. Ale proszę swoje spostrzeżenia zostawić dla siebie.

Dalszą rozmowę uniemożliwiło im ciche pukanie w przymknięte od strony korytarza drzwi.

- Przepraszam, panie premierze. - Lekarz odwrócił się od pacjenta. - Proszę!

W drzwiach ukazał się funkcjonariusz Biura Ochrony Rządu.

- Panie premierze - powiedział półgłosem, zwracając się bezpośrednio do swojego szefa - przyszedł pan prokurator Mazgaj i kapitan Tomaszewski z tutejszej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

- OK - Turski był już wyraźnie rozluźniony. - Panie doktorze - zwrócił się do lekarza.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. Już wychodzę.

Profesor skierował się do drzwi wyjściowych.

- Proszę ich wpuścić - Turski rzucił rozkazującym tonem do stojącego ciągle w drzwiach ochroniarza.

Borowik uchylił szerzej drzwi, wypuścił wychodzącego lekarza i już po chwili w szpitalnej sali pojawiło się dwóch zapowiedzianych gości. Turski nie miał problemów z rozpoznaniem, który z nich jest prokuratorem, a który oficerem służb specjalnych.

- Dobry wieczór, panie przewodniczący - wyrecytowali wspólnie przybysze i ukłonili się jednocześnie niczym bracia syjamscy.

Pierwszy z nich, grubawy, blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna w eleganckim trzyczęściowym garniturze i dużych okularowych oprawkach przedstawił się pierwszy:

- Prokurator Adam Mazgaj z Prokuratury Rejonowej w Gdańsku.

Turski skinął mu głową.

- Kapitan Tomaszewski z gdańskiej delegatury ABW - powiedział drugi z mężczyzn, sadowiac się przy tym ostrożnie bez zaproszenia na białym metalowym krześle.

- Witam panów. - Turski po raz kolejny skinął lekko głową.

- Panie premierze - chrząknął z zakłopotaniem oficer ABW - chciałem w obecności pana prokuratora zadać panu premierowi kilka pytań. Mogę?

Turski przyglądał się mu z wyraźnym zainteresowaniem. Wysoki, blisko pięćdziesięcioletni, z lekkim brzuszkiem i do tego nieogolony. Sprawiał wrażenie trochę zaniedbanego i jakby gwałtownie wyrwanego prosto z domowych pieleszy przeciętnego faceta. Tylko te oczy! Wielkie, jasnoniebieskie, wyłupiaste i wyblakłe zarazem. Podkrążone dużymi, ciemnobrązowymi workami, które jednoznacznie świadczyły o stresie i problemach z długotrwałym brakiem snu, a może i o czymś więcej.

- Ależ oczywiście, panie oficerze - zachęcił go uprzejmie. Turski był ciekaw, czy ten siedzący przed nim niepozorny facet rzeczywiście był najlepszym fachowcem w całej delegaturze, czy też tylko potencjalnym kozłem ofiarnym wystawionym przez swojego szefa na odstrzał w zagmatwanej i mocno niepewnej sprawie dotyczącej jego skromnej osoby. - Proszę pytać, panie kapitanie - powtórzył, widząc wyraźne zakłopotanie śledczego.

Tomaszewski ponownie chrząknął i lekko stremowany spróbował się do niego uśmiechnąć. Ale ostatecznie wyglądało to bardziej na nieprzyjemny grymas niż uśmiech.

- W takim razie - zaczął w końcu bezbarwnie. - Bardzo proszę nam opowiedzieć, co tam się tak naprawdę wydarzyło na tej Lechii?

\* \* \*

Dochodziła już czwarta rano, kiedy Wiktor Wiktorowicz zatrzymał swojego czarnego mercedesa pod niewielkim drewnianym bungalowem stojącym na śródleśnej polanie, nieopodal uroczego mazurskiego jeziora w pobliżu miejscowości o intrygującej nazwie Orzysz. Miasteczko Orzysz jeszcze kilkanaście lat wcześniej znane było w całej Polsce tylko z tego, że w czasach istnienia PRL i Ludowego Wojska Polskiego znajdowała się tutaj osławiona jednostka karna, do której można było trafić za najróżniejsze przewinienia w czasie odbywania zasadniczej służby wojskowej. Obecnie znowu było o nim głośno, bo oprócz znajdującego się tu w pobliżu Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych Bemowo Piskie, na którym na co dzień ćwiczyły wojska 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej z Elbląga, miały zostać rozmieszczone pododdziały wielonarodowego batalionu zadaniowego sił szybkiego reagowania NATO, między innymi amerykańskie i rumuńskie, czyli tak zwanej Szpiczy, na którą wielu polityków z obydwu stron barykady, podobnie jak i miejscowi

biznesmeni, czekali z wielką nadzieją i niecierpliwością.

Na ogrodzonym metalową siatką podwórku, tuż obok bungalowu, stał już zaparkowany ciemnozielony terenowy jeep na warszawskiej rejestracji, a z budynku właśnie wychodził do niego młody i uśmiechnięty, dobrze zbudowany ciemny blondyn w krótko przyszytych po wojskowemu włosach.

- Cześć, Wiktor - powiedział najczystszą polszczyzną i wyciągnął do niego na przywitanie rękę. - Miło cię znowu widzieć.

- Mówisz poważnie, Arkadiuszu? - Olbrzym wyszczerzył wesoło zęby. - A ja już myślałem, że nikt mnie tutaj tak naprawdę nie lubi.

Obydwaj mężczyźni wybuchnęli jak na komendę głośnym śmiechem.

- Chodź do środka - Arkadiusz otworzył szeroko drzwi i zrobił zapraszający gest. - Pewnie jesteś zmęczony i chcesz odpocząć.

- Byłoby miło. Ale najpierw chcę zobaczyć naszego „przyjaciela”.

- Jest już u nas i czeka.

Weszli do bungalowu i od razu znaleźli się w sporej wielkości salonie. Na jego środku, zaraz naprzeciwko palącego się wesoło kominka, stała szeroka kanapa, na której siedziało teraz kilku dobrze zbudowanych i ubranych po wojskowemu mężczyzn. Na odgłos wchodzących natychmiast poderwali się do góry i w pozycji niemalże na baczność skinęli im na przywitanie głowami. Lecz to nie oni zainteresowali olbrzyma. Wiktor przeleciał tylko po nich obojętnym wzrokiem, a potem zatrzymał go na niepozornym mężczyźnie siedzącym samotnie z boku w głębokim fotelu.

- Ty skurwysynu - szepnął do niego Wiktor z niedowierzaniem.

- Faktycznie wyglądasz zupełnie jak on. Nawet ten głupawy uśmieszek jest dokładnie taki sam.

- Nooo, nad głosem też trochę popracowaliśmy - odpowiedział mu mężczyzna i wstał. - Jak widać i słyhać, Wiktorze Wiktorowiczu, u nas w ojczyźnie nie odwała się fuszerki.

Olbrzym kiwał z uznaniem głową.

- Dobrze, żeśmy się w Gdańsku nie spotkali wcześniej. Bo mógłbym cię niechcący zabić. No, no. Jestem pod wrażeniem! A głos rzeczywiście też jest podobny! Naprawdę.

Stojący nieco z boku i obserwujący tę scenę Arkadiusz uśmiechał się do nich znacząco.

- To co? - zapytał w końcu. - Robimy dzisiaj jeszcze jakąś odprawę czy też dajemy sobie z tym spokój i tylko powspominamy sobie stare dobre czasy w Czeczeni?

- Robimy, robimy. - Wiktor odwrócił się pomału w jego stronę. - Powspominać zdążymy. Jutro przez cały dzień mam zamiar

odpoczywać i ładować akumulatory. Tylko wcześniej musimy jeszcze zrobić dyskretne rozpoznanie.

- To o której ta odprawa?

- Za godzinę. Wezmę tylko prysznic i coś zjem. Bo jestem głodny jak wilk!

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Wiktor, ciągle jeszcze uśmiechnięty, spojrzał na wyświetlający się numer. Kiedy go jednak tylko zobaczył, jego mina natychmiast spoważniała.

- Tak? - rzucił obojętnym tonem do słuchawki. Jego twarz przypominała teraz maskę.

- Twoi goście przyjadą pojutrze - suchy kobiecy głos po drugiej stronie był bezosobowy. - Godzinę rozpoczęcia zabawy podam ci jutro. Stary wypadł już z gry, a twój osobisty przyjaciel ciągle żyje!

- Cholera!

- Właśnie go namierzamy!

\* \* \*

Tomasik dotarł piechotą w pobliże dworca PKP Gdynia Główna Osobowa i zamelinował się w niewielkim hostelu tuż obok stacji. Mężczyzna, który pracował tam jako recepcjonista, bez większych problemów zgodził się go przyjąć za dodatkową stówkę dodaną do ceny pokoju i nie wnikał już w mętne tłumaczenia Tomasza na temat jego totalnej kłótni z narzeczoną i potrzebie jej odreagowania. Po prostu zameldował go na jedną noc, bez oglądania dowodu tożsamości.

Tomasik leżał teraz w łóżku z przymkniętymi oczyma i mimo zmęczenia oraz wielodobowego braku snu, ciągle nie potrafił zasnąć. Rozmyślał o tym, co zobaczył na kartkach zostawionych mu przez Mielcarskiego.

Spodziewał się, że znajdzie tam tylko nazwiska matryoszek oraz wykrytych i rozpracowanych przez SKW wszelkiego rodzaju szpiegów, spiochów, nielegalów lub szantażowanych za pomocą dawnych archiwów współczesnych ważniaków polskiego życia politycznego, gospodarczego czy kulturalnego. Lecz zamiast znanych nazwisk, odnalazł tam szczegółowe zapiski z prowadzonego przez Leona śledztwa. Krok po kroku. Daty, godziny i miejsca spotkań. Nazwiska, pseudonimy i ksywy ludzi, z którymi rozmawiał. Jego pytania, otrzymane odpowiedzi, prywatne oceny i spostrzeżenia, podejrzenia i wnioski. To były po prostu kopie jego raportów! Jednak raportów pisanych tylko na własny użytek. A więc pozbawionych wszelkiego rodzaju asekurantwa i często zachowywanej w takich przypadkach



nadmiernej ostrożności w formułowaniu i wysnuwaniu wniosków.

Nazwisk było tam tylko kilka. I poza byłym premierem Damianem Turskim, którego chciano podmienić, nie było wśród nich żadnej rozpoznanej i rozpracowanej matryoszki. Ale te nazwiska namierzonych umoczonych i szantażowanych prominentów, które zobaczył, wystarczyły, aby ciężko było mu teraz zasnąć. Bo one reprezentowały wszystkie najważniejsze ugrupowania polityczne w Polsce! A cała perfidia tej tajnej niemiecko-rosyjsko-polskiej współpracy polegała na tym, że bez względu na to, kto wygrywał „demokratyczne” wybory w Polsce, i tak musiał być całkowicie zależny od swoich twórców i mocodawców. Poza tym nie same nazwiska były tu najważniejsze. Najbardziej przerażające było to, czemu ta cała akcja miała tak naprawdę służyć. Według Leona chodziło w niej bowiem nie tyle o to, aby ich ludzie nieustannie rządzili i co najwyżej wymieniali się stanowiskami, lecz aby podobnie jak w XVIII wieku doprowadzić w końcu Polskę i Polaków na skraj przepaści. Do diametralnych podziałów politycznych, totalnego skłócenia, zakompleksienia bądź też zaciętrzewienia oraz wzbudzenia wzajemnej nienawiści. Efektem tego wszystkiego miał być kompletny chaos, zanik zaufania do własnego państwa, rozkład porządku prawnego i moralny upadek narodu, rodziny, honoru i przyjaźni. Wyalienowanie w strukturach europejskich, niezrozumienie i osamotnienie na arenie międzynarodowej.

- Boże - mruknął Tomasz, kiedy tylko to wszystko sobie uzmysłowił. - A Polacy jeszcze pomagają tym sukinsynom niczym banda zakompleksionych i nic nierozumiejących prowincjonalnych głupków. Dają się wodzić za nos i podążają za nimi niczym stado baranów prowadzonych na rzeź.

I teraz rozumiał już ostatnie przed rozstaniem słowa Leona: „Pamiętaj, Tomek. Polska! Ona jest najważniejsza! Nasza niepodległość, wolność, historia. Ci skurwiele chcą przejąć władzę i przewrócić to wszystko do góry nogami”. Wiedział już, że Leon Mielcarski wcale nie majaczył. On po prostu wygłaszał swoje ostatnie przesłanie.

\* \* \*

- To co robimy? - zapytała cicho Milena.

Jarek zamiast odpowiedzi przyłożył jej tylko palec do ust, nakazując tym samym milczenie, po czym wyciągnął z biurka czystą kartkę papieru i tani jednorazowy długopis. Szybko nabazgrał na niej kilka linijek tekstu i pokazał Milenie.

- Muszę się skontaktować z żoną. Ona namierzy Tomka.

Milena skinęła ze zrozumieniem głową.

- OK - skrobnęła. - Ale jak chcesz to zrobić?

Jarek spojrzał jej prosto w oczy i uśmiechnął się.

- Mamy na to swoje sposoby - powiedział cicho półgłosem i odpalił stojącego na biurku laptopa.

Nieprzekonana Milena kręciła z dezaprobatą głową. W końcu złapała za długopis i napisała na kartce:

- Przecież oni na pewno kontrolują twoją pocztę!

Lecz Jarek mrugnął tylko do niej znacząco i już po chwili zamiast w pocztę email wszedł na stronę internetową lokalnego potentata informacyjnego. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pełna godzina. Natychmiast wszedł w pierwszy artykuł w dziale politycznym i dodał do niego kilka zdań zupełnie nieadekwatnego, ale za to zrozumiałego dla wtajemniczonych, komentarza. Podpisał to nickiem „Iruś” i natychmiast kliknął enter.

Milena, która widziała to wszystko z bliska, już rozumiała. Patrzyła teraz na niego w zdumieniu i kiwała z uznaniem głową.

- Kiedy to wymyśliliście? - napisała na kartce.

- Już dawno - odpisał ze śmiechem. - Ostatnio Tomek przypomniał mi o tym za pomocą „kamiennej poczty”, a ja wprowadziłem w to potem żonę. Sposób prosty, trochę wzorowany na działaniu radiostacji i audycji radiowych w czasach drugiej wojny światowej, ale skuteczny i na tę chwilę powinien wystarczyć.

- To co teraz? - nabazgrała znowu Milena.

- Nic. Czekamy. Rano zadzwonimy po odsiecz.

- Z czego?

- Z telefonu stacjonarnego. Tego chyba nam jeszcze nie odcięli.

A z niego jest wyjście na całe MSW! Do ABW też!

- Idź spać - powiedział już na głos. - Jutro może być ciężki dzień.

Milena spojrzała na niego poważnie i skinęła potakująco głową.

- Rozumiem - szepnęła. - Dobranoc.

- Cześć. Do rana.

\* \* \*

Tomasik obudził się około szóstej rano i pierwszą rzeczą, jaką zrobił przed podniesieniem się z łóżka, była próba przypomnienia sobie opracowanego w czasie niemalże bezsennej nocy planu. Przez krótką chwilę analizował punkt po punkcie zaplanowane przez siebie czynności, aż w końcu uznał, że chociaż plan jest naciągany i ryzykowny, to nic lepszego już nie wymyśli i musi przynajmniej

spróbować wprowadzić go w życie.

Swoje działanie postanowił zacząć od „rozmowy” z namierzonym przez Leona obserwatorem swojego domu. Według zapisków majora Mielcarskiego był on teraz poszukiwany zarówno przez policję, która jednak robiła to tak nieumiejętnie, jakby wcale jej nie zależało na jego odnalezieniu, jak i przez ABW, które według jego wiedzy miało go przez cały ten czas pod ścisłą obserwacją i tak naprawdę nie wiadomo, do czego zmierzało. Rozpracowywało go też, a momentami nawet chroniło, SKW – właśnie w osobie majora Mielcarskiego. Najgroźniejsi jednak byli ci, którzy próbowali go zabić, czyli prawdopodobnie któraś z rosyjskich służb specjalnych – może GRU, może SWZ z wykorzystaniem jakichś brudnych kontaktów z jedną z rosyjsko-polskich grup przestępczych z Trójmiasta. Z tym że tu też tkwiła zagadka. Bo tak naprawdę przynajmniej już kilkakrotnie byliby w stanie to zrobić, gdyby tylko rzeczywiście tego chcieli.

- Raz kozie śmierć – szepnął w końcu do siebie zrezygnowany i podszedł do umywalki.

Przeplukał twarz i odświeżył oddech. Potem rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, czy czegoś przypadkiem w nim nie zostawił, i wyszedł na zewnątrz. Zbiegł po schodach na parter i ku swojemu zadowoleniu nie zastał nikogo w recepcji. Nie czekając na pojawienie się kogoś z obsługi hostelu, otworzył drzwi i niemalże wybiegł na świeże powietrze. Szybkim krokiem minął najbliższy przystanek autobusowy i nie zatrzymując się po drodze, w ciągu kilkunastu minut dotarł w pobliże stacji SKM Gdynia Wzgórze św. Maksymiliana. Tam już po chwili wsiadł w przejeżdżający autobus oznaczony literką R i po kilkunastu minutach jazdy był u celu.

\* \* \*

Na duży wybetonowany plac manewrowy 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancерnej w Braniewie wjechały cztery pomalowane w kolorze khaki potężne zestawy niskopodwoziowe marki Tatra. Auta pilotowane przez specjalnie do tego wyznaczonych żołnierzy z plutonu regulacji ruchu z kompanii dowodzenia 3. batalionu czołgów sprawnie zaparkowały obok siebie, tuż koło niewielkiego świerkowego zagajnika. Stojący przy bramie wjazdowej podoficer dyżurny PKT sprawdził jeszcze, czy aby na pewno pojazdy nie są zbyt widoczne z przebiegającej kilkanaście metrów dalej drogi, która łączyła rosyjski Kaliningrad z polskim Elblągiem, i najwyraźniej zadowolony, kiwnął uspokajająco w ich kierunku głową.

Kierowcy wysiedli z aut i stanęli przed swoimi pojazdami. Słuchając dudnienia rozgrzewanych w pobliskich garażach czołgów, z ciekawością spoglądali w lewo, skąd właśnie zbliżała się do nich niewielka, lecz różnorodna kolumna pojazdów prowadzona przez jasnozielony radiowóz z napisem Żandarmeria Wojskowa.

- Kurwa! - zaklął nagle jeden z nich. - Co to jest? Jakiś pierdolony komitet powitalny?

Pozostali kierowcy roześmiali się, lecz nagle uświadomili sobie, że wśród nadjeżdżających pojazdów jest również terenowy mercedes dowódcy brygady.

- Cholera - zaklął ponownie ten sam kierowca. - Panowie! Zbióreczka! Dąbek z nimi jedzie!

Na dźwięk nazwiska dowódcy brygady wszyscy natychmiast stanęli w równym szeregu. Wiedzieli, że Dąbek to służbista i nie znosi jakichkolwiek odstępstw od regulaminu i że za jego nieprzestrzeżenie potrafił dawać naprawdę nieźle w kość.

Kolumna zatrzymała się kilkanaście metrów od nich i z aut zaczęli wysypywać się żandarmi oraz liczni oficerowie i podoficerowie. Oprócz dowódcy brygady pułkownika Jana Dąbka byli tam również: dowódca 3. batalionu czołgów podpułkownik Alojzy Dżban, szef logistyki batalionu porucznik Robert Mularek oraz dowódca 4. kompanii czołgów kapitan Wojciech Tuszyński.

Dowodzący kierowcami kapral wystąpił z szeregu w celu złożenia meldunku, lecz Dąbek podniósł tylko rękę i swoim zwyczajnym, lekko ochrypłym głosem powiedział:

- Dziękuję, panie kapralu.

Żołnierz wyraźnie odetchnął, a pułkownik odwrócił się w stronę dowódcy kompanii i krzyknął:

- No co jest, Wojtek?! Dawaj tu te swoje czołgusie!

Tuszyński niemalże biegiem skierował się w stronę garaży, a pułkownik skinął ręką w kierunku szefa logistyki batalionu. Kiedy ten tylko się do niego zbliżył, zapytał:

- Czołgi sprawne?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Sprawdzone?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- A wiesz, komu obetnę jaja, gdy coś nie wyjdzie na strzelaniu?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- No? To czyje to będą te jaja, co? - dopytywał się z poważną miną Dąbek.

- Melduję, że moje własne oraz kapitana Tuszyńskiego, panie pułkowniku!

- Nooo, to bardzo dobrze, że ty o tym wiesz, Robercik.

W tym momencie doszedł ich nagły i niemalże obezwładniający ryk czterech jednocześnie przygazowanych ponadczterystukonnych silników wysokoprężnych i już po chwili z pobliskich garaży zaczęły się wyłaniać jeden po drugim, w równych odstępach czasu, czterdziestosześcietonowe czołgi PT-91 Twardy.

Słyszając przygazowanie i widząc perfekcyjnie zgrany wyjazd, Dąbek uśmiechnął się sam do siebie pod wąsem. Wiedział, że jest to tania i stosunkowo łatwa do opanowania sztuczka, dobra na pokazach dla różnego rodzaju niewtajemniczonych w pancerne rzemiosło ignorantów. Ale wiedział też, że dobrze i sprawnie wykonana, już na samym starcie dawała załogom poczucie siły i pewności siebie. A ponadto dowodzącemu nimi oficerowi przynosiła jakże ważną dla niego informację, że zarówno silniki, jak i łączność w czołgach są sprawne.

- To co, Ałoś? - zapytał Dąbek podchodzącego do niego podpułkownika Alojzego Dzbaną. - Postawiłeś na Tuszyńskiego?

- Tak jest, panie pułkowniku. - Dzban po sobotnim zasłabnięciu w Galerii Bałtyckiej w Gdańsku wydawał się jeszcze jakby trochę przygaszony. Ciągłe nie wiedział, co tam się tak naprawdę wydarzyło i dopiero dochodził pomału do siebie. - Myślę, że kapitan Tuszyński bez problemu da sobie z tym radę.

Dąbek pokiwał ze zrozumieniem głową. Wybór Tuszyńskiego na kierownika wtorkowego strzelania w kierowaniu ogniem dla VIP-ów uważał za słuszny. To był niewątpliwie najbardziej doświadczony i najpewniejszy oficer spośród wszystkich dowódców kompanii czy też młodych i czasami jeszcze zbyt impulsywnie działających podporuczników, będących w jego dyspozycji. Jedynym problemem mogła być sprawa związana z tragiczną śmiercią jego siostry i... No właśnie. Jeszcze ta jedna sprawa.

Dąbek zauważył również, że Dzban jest dziś jakiś inny. Nie do końca wiedział, dlaczego i na czym ta inność polega, ale niewątpliwie rzucała się w oczy. Może był po prostu mniej niż normalnie arogancki? Mniej pewny siebie? Dąbek nie miał jednak teraz czasu zastanawiać się nad zachowaniem swojego podwładnego.

Czołgi właśnie podjeżdżały do zaparkowanych lawet i zatrzymywały się w odległości kilku metrów, każdy przed własnym zestawem niskopodwoziowym. Silniki przeszły na bieg jałowy, a z włazów wyskoczyli na zewnątrz dowódcy załóg i działonowi. Po chwili Twarde nakierowywane przez swoich dowódców zaczęły wjeżdżać na opuszczone z lawet trapy. Nie minęły dwie minuty i wszystkie wozy stały już zaparkowane na niskopodwoziowych zestawach. Działonowi wspólnie z kierowcami zaczęli

unieruchamiać je za pomocą pasów i już po chwili cała operacja była zakończona.

- To na co jeszcze czekamy, panie pułkowniku? - zapytał niepewnie Dzban.

- Na jednego pana - odpowiedział wymijająco Dąbek.

W tym momencie przed zamkniętą bramą PKT zatrzymała się jasnozielona skoda octawia na cywilnych numerach rejestracyjnych.

- O, już jest.

Dzban spojrział w kierunku bramy otwieranej przez dyżurnego.

- Kontrwywiad? - zapytał zdziwiony.

Za kierownicą wjeżdżającego samochodu rozpoznał oficera obiektowego SKW z Elbląga. Nazwiska nawet nie pamiętał.

- Niestety, Ałoś - mruknął lekko zdegustowanym głosem Dąbek.

- We wtorek to nie będzie tylko zwykłe strzelanie.

Dzban popatrzył na niego uważnie. Dąbek uprzedzał go co prawda przez telefon, że to miała być jakaś pokazówka dla bliżej niezidentyfikowanych ważniaków. Ale informacja nie była szczegółowa. Zresztą to dla wykonania samego zadania nie było specjalnie ważne. Po prostu strzelanie z kierowaniem ogniem to strzelanie z kierowaniem ogniem. Czy obserwował je dowódca batalionu, brygady czy nawet dywizji albo sam Minister Obrony Narodowej, zawsze wyglądały tak samo. Zwykła pancerniacka robota. Ale SKW na odprawie przed takim wyjazdem? Po co? Dlaczego? Czyżby chłopaki ze służb specjalnych się nudzili i nie mieli nic ważniejszego do roboty?

- Zrób, Ałoś, zbiórkę wszystkich załóg oraz wszystkich osób funkcyjnych - jego rozmyślenia przerwał zachrypnięty głos Dąbka.

Skoda z oficerem SKW zatrzymała się tuż koło pierwszej z lawet.

- Pan porucznik chce naszym chłopcom przekazać kilka ważnych słów na drogę.

- Tak jest! - Dzban wyprężył się służbiście i od razu wydał odpowiednie komendy.

Tymczasem młody i jak zwykle elegancko ubrany porucznik przywitał się ze stojącym samotnie Dąbkim i szepnął:

- I jak, panie pułkowniku? Jest nasz przyjaciel?

- Jest.

I obydwaj jak na komendę spojrzeli w kierunku, gdzie na prawym skrzydle ustawionych już w dwuszerogu żołnierzy stał kapitan Tuszyński, a tuż obok niego jego działonowy z załogi starszy szeregowy Adrian Malinowski.

Tomasik zatrzymał się tuż obok grobowca rodziny Miotke i z niepokojem spojrzął na boczne drzwi od zakrystii zbudowanego z czerwonej cegły kościoła. Na razie nikt stamtąd nie wychodził. Z budynku dochodził głos organów i łagodny śpiew organistki, tak więc poranna msza najwyraźniej jeszcze trwała. Zniecierpliwiony spojrzął na zegarek. Była już siódma czterdzieści pięć.

Kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca w Wielkim Kacku był jednym z najstarszych i najbardziej urokliwych obiektów sakralnych w całej Gdyni. Wybudowany w latach 1895–1910 mógł być przykładem prostoty i funkcjonalności dla innych później wybudowanych świątyń. Stał w północno-wschodniej części ładnie utrzymanego, zadrzewionego i kameralnego cmentarza i pięknie wkomponowywał się w niewysoką i w przeważającej części wyraźnie zamożną zabudowę dzielnicy, jaką był Wielki Kack.

W tym momencie śpiew w świątyni ustał i do uszu Tomasza doszedł młodzieńczy głos księdza Krzysztofa, który zaczął odczytywać ogłoszenia parafialne. Po chwili z głośników zawieszonych koło zakrystii rozległo się udzielane śpiewnym głosem błogosławieństwo, a potem głośnie *Boże coś Polskę* obwieściło, że to już koniec nabożeństwa i z kościoła zaczęli wychodzić pierwsi co bardziej śpieszący się do domu wierni.

Tomasz zostawił grobowiec i wolnym krokiem wmieszał się w gęstniejący z każdą chwilą tłum. Zatrzymał się zaledwie kilka metrów przed drzwiami od bocznej kruchty. Stał bez ruchu i z uwagą wpatrywał się w oddaloną o kilkanaście metrów zakrystię. Kiedy większość starszawych już wiernych wyszła, w końcu pojawił się on – ksiądz doktor Krzysztof Serwański. Niestety, natychmiast tuż obok niego znalazły się trzy starsze panie, a kilkusobowa grupka roześmianej młodzieży stanęła nieopodal i najwyraźniej też czekała na możliwość rozmowy z młodym wikarym.

Mimo bliskości kościoła Tomasik nie potrafił powstrzymać się od brzydkiego przekleństwa. W swoich planach nie przewidział takich trudności z nawiązaniem kontaktu z duchownym. Cholera – pomyślał. Przecież jest poniedziałek, a nie niedziela.

Obejrzał się szybko za siebie, lecz oprócz znikających w oddali wiernych i pojedynczych osób, które rozchodziły się na pobliskie groby, nie zauważył niczego podejrzanego. Był teraz bardzo blisko własnego domu i jak dotąd nie dostrzegł żadnego ze swoich sąsiadów czy znajomych. Miał też nadzieję, że jego ewentualnym prześladowcom nie przyszło do głowy szukać go właśnie tutaj.

Zadowolone staruszki w końcu odstąpiły od księdza i ten z uśmiechem na twarzy mógł oddać się rozmowie z czekającą na niego młodzieżą. Tomasik zacisnął bezsilnie zęby. Nie chciał

dalszym tutaj pobytem niepotrzebnie kusić losu, ale nie miał innego wyjścia. Musiał trzymać się planu. Odprowadził wzrokiem idących w stronę plebanii nastolatków, po czym podszedł do jednego z nagrobków i przysiadł na pobliskiej ławeczce.

Zanim młodzi wyszli, minęło długie kilkanaście minut nerwowego oczekiwania. Potem jeszcze kilka, aż cmentarz zupełnie opustoszał i wszyscy zniknęli w oddali. Tomasik rozejrzał się dookoła. Był sam. Podniósł się z ławki i skierował prosto pod drzwi murowanej plebani. Delikatnie zapukał i już po chwili usłyszał głośne „Proszę!”.

- Szczęść Boże - powiedział na przywitanie.

- Na wieki wieków.

Ksiądz Krzysztof był młody. Nie wyglądał na więcej niż trzydzieści kilka lat. Pulchna sylwetka, sympatyczna twarz i okulary à la Harry Potter w połączeniu z inteligencją i wcale nie tak częstą wśród księży otwartością i życzliwością sprawiały, że młody duchowny był powszechnie lubiany i szanowany przez wszystkich parafian.

- Co pana do mnie sprowadza, panie Tomaszu?

Tomasik ucieszył się, że duchowny pamięta jego imię. Szczerze mówiąc, po cichu nawet na to liczył. Miał nadzieję, że młody kapłan, który odwiedził go w czasie ostatniej kolędy i wdał się z nim wówczas w długą i ciekawą rozprawę na temat świętości związku małżeńskiego, nie odmówi mu teraz pomocy. Tym bardziej że ksiądz nie tylko wiedział, gdzie Tomasik pracuje obecnie, ale i czym zajmował się kiedyś. Dla Tomasza nie było tajemnicą, że Kościół katolicki w Polsce ma niesamowitą wprost wiedzę na temat wszystkich członków swojej wspólnoty. Podobnie zresztą jak i wszystkich jej wrogów. To była instytucja o ponadtysiącletniej historii, która nie potrzebowała żadnych tajnych służb, aby w pełni panować nad duszami, a w razie potrzeby również nad portfelami i postępowaniem milionów wiernych.

- Mam poważne kłopoty, proszę księdza.

Duchowny spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Pani Agnieszka? - zapytał niepewnie.

- Teeeż, ale to nie o nią chodzi - zaprzeczył szczerze Tomasz. - Agnieszka to już niestety przeszłość. To kłopoty raczej natury egzystencjalnej. Sprawa życia i śmierci!

Ksiądz poprawił sobie nerwowo okulary. Najwyraźniej powaga i namaszczenie, z którymi powiedział to Tomasz, zrobiły na nim wrażenie.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Usunął się na bok i zrobił mu przejście. Tomasik wszedł do



niewielkiego biura parafialnego i usiadł na krześle przy drewnianym biurku.

- Herbaty?

- Poproszę.

Ksiądz wcisnął przycisk czajnika elektrycznego i z szafki wyciągnął przezroczystą staromodną szklanę w drucianym koszyczku.

- Owocowa czy zwykła?

- Zwykła.

- To w czym mogę pomóc? - zapytał w końcu duchowny, odwracając się od czajnika.

Zażenowany Tomasz przełknął głośno ślinę.

- Wiem, że mało się znamy - zaczął cicho. - Praktycznie tylko raz ksiądz miał okazję ze mną i moją ówczesną narzeczoną rozmawiać trochę dłużej. W wielu poważnych kwestiach nie do końca się zgadzamy, ale mam też nadzieję, że ksiądz zrozumie moją trudną sytuację.

Duchowny milczał.

- Na pewno ksiądz słyszał o śmierci pani Haliny Wojciechowskiej i jej córki?

- Tak, słyszałem.

- Te zgony mają związek z tym, co chcę powiedzieć.

- Proszę mówić - duchowny dopiero teraz skojarzył swojego rozmówcę z bohaterem ostatnich wielkokackich plotek związanych z tym tragicznym wypadkiem.

Od razu przez jego plecy przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Przyszło mu nawet do głowy, że za chwilę może usłyszeć historię przyznania się do nieumyślnego zabójstwa pani Haliny, chociaż wolałby jednak, żeby miało to miejsce w konfesjonale.

- Słyszałem, że pogrzeb już się odbył - powiedział więc z trochę wymuszonym bladym uśmiechem. - U Bogusia.

- Chyba tak. - Tomasiu skinął potakująco głową. - Ale ja nie w tej sprawie. - Nabrał w płuca trochę więcej powietrza. - Pani Wojciechowska oraz jej córka zostały zamordowane! - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Tomasiu zobaczył, jak oczy kapłana za okularowymi szklami robią się jeszcze większe i jak ksiądz rzuca spłoszone spojrzenie na znajdujące się za nim drzwi.

- Proszę się nie bać - uspokoił go cicho Tomasz. - To nie ja je zabiłem. I nie zwariowałem. Wszystko, co mówię, choć ciężko w to uwierzyć, to niestety prawda. Ja tylko znalazłem razem z jednym sąsiadem ciało pani Haliny Wojciechowskiej. Wiem też, że dzień wcześniej dwóch kolegów jej córki, z którymi wspólnie spędziła

wieczór, wyskoczyło z balkonu na dziesiątym piętrze falowca na gdańskim Przymorzu. Obydwaj zginęli. Ponoć chłopcy byli naćpani, ale to kłamstwo. Znałem ich. Chodzili do szkoły, w której uczyłem. Policjant zajmujący się tą sprawą miał zawał. Też nie żyje! Córka pani Wojciechowskiej schroniła się u jednej z nauczycielek. Zadzwoiła do mnie. Przyjechałem tam potem w nocy i byłem świadkiem nieudanej próby zabójstwa. Już wtedy chciano ją zabić! A potem i tak zginęła.

Po księdzu było widać, że jest kompletnie zdezorientowany.

- Ksiądz pamięta, gdzie kiedyś pracowałem?

Na krótką chwilę zapadło milczenie.

- Tak - odpowiedział duchowny po kilkunastu sekundach. - W służbach specjalnych.

- Właśnie - przytaknął Tomasz. - Nie mam przewidzeń. Nie jestem mitomanem. Nie zmyślam. Wszystko, co powiedziałem, to najszczerza, choć przerażająca prawda!

- Może trzeba powiadomić o tym wszystkim policję?

- Oni o tym wiedzą. I prawdopodobnie mnie szukają. Bo dla nich jestem podejrzanym numer jeden.

- Więc? - ksiądz uśmiechnął się z widocznym przymusem.

Tomasik wiedział, że kapłan jednak mu nie uwierzył. Prawdopodobnie miał go za niebezpiecznego psychola albo co najmniej za nieszkodliwego szaleńca.

- Nie wierzy mi ksiądz - mruknął cicho.

- Nie. To znaczy nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Pan sam rozumie.

- Uhm - potwierdził lekko zawiedzionym głosem Tomasz. - Ale ja nie przyszedłem tutaj do księdza użalać się nad sobą. Przyszedłem prosić o pomoc.

- Tak? - duchowny był coraz bardziej zakłopotany. - Zatem jak mam panu pomóc?

Tomasik po raz kolejny spojrzał mu prosto w oczy.

- Proszę na kilka minut dać mi dostęp do internetu. A potem, jeżeli to możliwe - zawahał się - pożyczyć mi na jakiś czas swój telefon i chociaż kilkaset złotych. Ostatnio musiałem uciekać tak jak stałem.

Wikary lekko trzęsącą się ręką otarł sobie kilka kropel potu, które pojawiły się na jego skroniach.

- Oczywiście, oczywiście. Z internetem nie będzie żadnego problemu. Z telefonem też. A co do pieniędzy, to nie wiem, czy mam aktualnie przy sobie taką sumę. Ale jeżeli trzeba, to oczywiście podejść z tym do księdza proboszcza.

Tomasik mimowolnie się uśmiechnął.

- Proszę księdza, zacznijmy może od internetu.

Duchowny podniósł się ciężko z fotela, a Tomasiak natychmiast stanął tuż za nim.

- Hm - chrząknął nieswojo wikary. - Muszę pana zaprosić do siebie na pokoje.

Tomasz skinął w milczeniu głową. Obydwaj przeszli przez niewielki korytarz i już po chwili znaleźli się w prywatnych apartamentach księdza Krzysztofa.

- Proszę - duchowny wskazał stojący na stoliku notebook.

- Dziękuję. Ale niech ksiądz siada. Ja będę mówił, co ksiądz ma sprawdzić.

Kapłan usiadł do klawiatury, zalogował się i połączył z internetem. Potem spojrzał pytająco na Tomasiaka. Ten spojrzał na niego uspokajająco i podał mu nazwę lokalnej strony informacyjnej.

Kapłan wykonał polecenie i wtedy Tomasz przejął od niego komputer. Wszedł w komentarze pierwszego od góry newsa i szybko przeleciał oczami po widniejących pod nimi nickami. Nic dla niego nie było. Wyszedł z tego newsa i otworzył drugi od góry. Już po chwili znalazł to, czego szukał. Bingo - przemknęło mu przez głowę i uśmiechnął się do siebie.

Zakodowana informacja pochodziła prawdopodobnie od Gosi. Była co prawda zupełnie nieadekwatna do komentowanego artykułu, ale za to żaden ewentualny cenzor nie zwróci na nią uwagi: „Chciałabym się z tobą spotkać dzisiaj o 12.00 tam, gdzie ostatnio widzieliśmy się w czwórkę. Lidka”.

- Ja przepraszam - zapytał w tym momencie zmieszany i jednocześnie lekko przestraszony ksiądz. - Ale czy mogę wiedzieć, czego właściwie tutaj szukamy?

- Informacji, proszę księdza - odparł wymijająco Tomasz.

Właściwie to mógł już opuścić tę stronę, ale nie chciał zrobić tego tak od razu. Spróbował więc jeszcze znaleźć coś, co mogłoby chociaż trochę uwiarygodnić go w oczach księdza. To mogło kiedyś okazać się ważne.

Cofnął się do artykułów sprzed kilku dni i po kilku minutach poszukiwań jego wzrok przykuł jeden z niewinnie brzmiących tytułów: *Śmiertelny wypadek nastolatki na leśnym odcinku drogi do Wiczlina*. Natychmiast kliknął dwukrotnie na podświetlony tytuł.

- Niech ksiądz czyta - powiedział do wikarego z triumfem.

Po chwili duchowny czytał już lakoniczną informację o śmierci osiemnastoletniej dziewczyny. Niestety, nie było tam ani nazwiska, ani imienia czy choćby samych inicjałów ofiary. Niemniej z tekstu wynikało, że dziewczyna została potrącona w nocy, a sprawca nie udzielił jej żadnej pomocy. Obydwaj szybko przelecieli oczyma

resztę artykułu, aż dotarli do zamieszczonych poniżej komentarzy. Zdecydowana większość z nich kończyła się na kondolencjach, wyrażaniu żalu albo na nieuzasadnionych domniemaniach na temat sprawcy czy też przyczyn tragedii. Ale jeden z nich był specyficzny.

- Niech ksiądz spojrzy - Tomasz wskazał go księdzu z podnieceniem.

Duchowny pochylił się nad komputerem.

- Mój Boże - wyrwało mu się. - A więc jednak pan mówił prawdę?

Tomasik skinął pomału głową. Ktoś podpisany nickiem Kondzio pisał: „A u nas na dzielni to wczoraj była niezła jatka. Jak w filmie. Paru pojechanych gości urządziło sobie zawody. Najpierw pukali do siebie z pukawek, a potem ganiłi się autami. Była kupa psiarni, a infa o zajściu nigdzie nie uraczysz. Zastanawiam się: o co w tym chodzi?”.

- I co ksiądz na to? - zapytał szeptem Tomasz, zerkając ciekawie na kapłana.

Ten z poważną miną skinął ostrożnie głową. Nie dał po sobie poznać, że dopiero teraz zaczął się naprawdę bać. Dotąd nie był bowiem pewien, czy siedzący obok niego mężczyzna mówi prawdę czy też cierpi na jakąś poważną chorobę psychiczną i posuwa się do tego, że stara się nawet uprawdopodobnić swoje wymysły. A przecież tego typu zachowania mogły być niebezpieczne nie tylko dla chorego, ale również dla otoczenia. Czyli dla zwykłych ludzi! Dla jego parafian! Przez kilkanaście długich sekund ksiądz Krzysztof zbierał się na odwagę przed przejściem do konkretnego działania.

- Ma pan broń? - zapytał w końcu drżącym głosem.

Musiał się upewnić! Chciał wiedzieć, że postąpi słusznie!

- Tak - Tomasik uniósł nieco koszulkę, ukazując tym samym rękojeść swojego glocka.

- A zabił pan z niej już kiedyś?

Tomasz spojrzał na niego uważnie.

- Możliwe - odpowiedział wymijająco.

Duchowny uśmiechnął się blado.

- Rozumiem - wyszeptał z trudem.

- To pomoże mi ksiądz? - Tomasz patrzył na niego z wyraźnym wyczekiwaniem.

- Oczywiście.

I ksiądz Krzysztof natychmiast odwrócił wystraszone i zmieszane z powodu własnego kłamstwa spojrzenie.

Tomasik wyszedł z plebanii i szybkim krokiem dotarł do ulicy Źródło Marii. Tam skręcił w lewo i kiedy tylko stwierdził, że ksiądz nie może go już widzieć, natychmiast zaczął biec. Wiedział, że liczy

się każda sekunda, a on do przebiegnięcia ma około dwóch, trzech kilometrów. Szybko złapał swoje tempo i przez cały czas starał się je teraz trzymać. Biegł szybko i kiedy dotarł do ostatniego bloku przy ulicy Siega, skręcił w prawo pod stromą górkę i już po chwili był na osiedlu Fikakowo. Tam spokojnie wyrównał oddech i ulicą Waleriana Szefki zaczął zbiegać w dół, zataczając tym samym duże koło od kościoła pod wezwaniem św. Wawrzyńca aż w pobliże swojego domu. Mijani ludzie nie zwracali na niego uwagi. Osiedle było w miarę nowe i w większości zamieszkane przez tak zwanych młodych, pięknych i bogatych. Poranni rowerzyści czy biegacze wracający z treningu z pobliskiego Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego nie wzbudzali tu żadnego zdziwienia czy zainteresowania. Kiedy dobiegł do placu zabaw naprzeciwko sklepu Merkus, przeszedł do marszu.

Jeżeli to zawodowcy, ludzie ze służb - analizował - to jego dom stale powinien być dozorowany. Musieli go obserwować, żeby mieć stuprocentową pewność, czy przypadkiem nie spróbuje chociaż na chwilę tam wrócić. W takim wypadku promień obserwacji i zaangażowanych do niej ludzi musi być duży. Ale jeżeli byli to tylko wynajęci przez Rosjan zwykli bandyci lub mafia, to będzie ich co najwyżej dwóch. Może trzech. I będą bardzo blisko domu.

Doszedł do bloku, w którym kilka dni temu spotkał tajemniczego obserwatora i którego później musiał zabić. Podejrzał, że ciągle ktoś tam jest. To było świetne miejsce do obserwacji.

Rozejrzał się uważnie dookoła. Niczego podejrzanego nie zauważył. Nie miał już swojego wytrycha, więc wcisnął jeden ze środkowych numerów domofonu i czekał. W głośniku rozległ się głośny sygnał dzwonka, a po chwili starszy kobiecy głos zapytał.

- Tak?

- Poczta.

Kobieta otworzyła drzwi i Tomasiak szybko wszedł do środka. Wyciągnął swojego glocka, odbezpieczył i ostrożnie zaczął iść schodami do góry. Szedł tuż przy ścianie, oczekując z góry jakiegoś stuknięcia, westchnienia czy choćby najmniejszego szmeru. Ale zamiast tego słyszał tylko poranne odgłosy radia lub telewizji śniadaniowej, dźwięki muzyki i jakąś małżeńską sprzeczkę. Minął piętro pierwsze, potem drugie. Poczł jak po skroni spływa mu kropelka potu. Zatrzymał się i rękawem koszulki wytarł ją, czując jednocześnie, jak z drugiej strony zaczyna płynąć następna. Zdenerwowany pozwolił sobie na jeden krótki rzut oka przez okno na zewnątrz. Zobaczył swój dom i szeregowiec, w którym kiedyś mieszkała Martyna z matką. Spojrzenie było zbyt krótkie, aby

cokolwiek więcej zobaczyć.

Nie rozprasza się - upomniał się w myślach. Zrobił kolejny krok do góry i wtedy usłyszał głos policyjnej syreny. Są, pomyślał, nie odwracając nawet głowy w kierunku okna. To był moment, który musiał wykorzystać. Rzucił się gwałtownie do góry. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Trzecie piętro. Zakręt. Półpiętro czwartego. I...

- Cholera - zaklął.

Nikogo tam nie było. Natychmiast spojrzał na okno. Przed bramą jego domu stały dwa policyjne radiowozy z włączonymi kogutami, a kilku mundurowych z pistoletami w rękach właśnie zaczynało okrążyć budynek. Tomasik odetchnął. Krótka chwila przerwy. Czuł, jak napięcie z ostatnich kilkudziesięciu sekund stopniowo go opuszcza, a rytm pracy serca wraca do normy. Ksiądz Krzysztof spisał się na medal, pomyślał. Zareagował jak na porządnego obywatela przystało i dokładnie tak, jak on to przewidział i zaplanował. Teraz czas na ciąg dalszy przedstawienia.

- No pokażcie się, sukinkoty - mruknął do siebie z wracającym pomału napięciem.

Widział, jak policjanci otoczyli dom. Dwóch z nich zaglądało ostrożnie przez przeszklone drzwi tarasowe do środka. Najwyraźniej gliniarze poważnie potraktowali informację od księdza Krzysztofa, ale niestety dla Tomasika całą akcję zorganizowali w filmowym stylu. Czyli bez namysłu i na hura. Gdyby w jego domu naprawdę był jakiś szajbus lub terrorysta, to zrobiłby im drugą „Magdalenkę” i byłaby rzeź. Tomasz pokręcił z rozczarowaniem głową. Liczył na to, że policjanci najpierw przyślą tu kogoś na dyskretne przespiegi. Kogoś, kto miałby za zadanie sprawdzić wiarygodność informacji od wikarego i kto jednocześnie swoim zachowaniem zaniepokoiłby obserwujących jego dom ludzi. Ten ktoś zmusiłby ich do jakiegoś fałszywego ruchu. Tymczasem przyjazd kawalerii z rozwiniętym wysoko sztandarem i na sygnałach prawdopodobnie zniweczył jego nadzieję. No chyba że... ktoś jest w środku i zaraz coś się wydarzy.

Przez długą chwilę nic się jednak nie działo. Gliniarze przekazywali sobie na migi jakieś tajemnicze znaki, których najwyraźniej sami do końca nie rozumieli, bo miotali się straszliwie, aż w końcu jeden z nich zdecydował się podejść do drzwi wejściowych i zwyczajnie zadzwonić. I w tym momencie z szeregowca państwa Wojciechowskich wyłonił się młody mężczyzna w czarnej sportowej bluzie i w zwykłych niebieskich dżinsach. Podbiegł do policjanta stojącego przy jednym z radiowozów i ostro coś do niego powiedział. Stukał się przy tym kilkakrotnie palcem w czoło, czym rozbawił patrzącego na to

Tomasza.

Ciekawe, kim jesteś, przyjacielu? - pomyślał, krzywiąc się z niesmakiem. Głina z CBS, kontrwywiad, ABW? A jeżeli jednak nie? I w tym momencie tuż obok, za pobliskimi drzwiami, usłyszał głośny sygnał domofonu. Natychmiast zastygł w bezruchu i wy tężył słuch.

- Tak - usłyszał pojedyncze słowo, które sprawiło, że poczuł, jak przechodzą go ciarki. - Proszę.

To był męski głos z wyraźnie wschodnim akcentem.

Rusek? - przyszło mu do głowy. Czyżby jednak miał aż takie szczęście?

To jeszcze samo w sobie nic nie znaczyło, ale Tomasik natychmiast stał się czujny. Usłyszał dźwięk naciskanego domofonu, a z dołu dobiegł go szcęk zatraskujących się drzwi. Schował pistolet i zaczął zbiegać po cichu w dół. Był już na drugim piętrze, kiedy o mało się nie udławił. Rozpoznał idącego do góry mężczyznę. Dostawca pizzy z pobliskiej restauracyjki! I natychmiast przyszedł mu do głowy ryzykowny pomysł.

- Witam, panie Andrzeju - wyszeptał, przykładając znacząco palec do swoich ust.

Zaskoczony mężczyzna przystanął i skinął mu na przywitanie głową.

- Poranna pizza? Pod dziewiątkę? - szeptał dalej z uśmiechem Tomasz. - Ja to od pana wezmę i oddam. Będą mieli chłopaki niespodziankę.

Tomasik sięgnął do tylnej kieszeni i wcisnął do ręki dostawcy jeden z pozyskanych od księdza banknotów. Pan Andrzej spojrział na niego niepewnie, ale na kolejne znaczące mrugnięcie Tomasza odwzajemnił tylko uśmiech i oddał mu dwie pizze w kartonowych opakowaniach.

- Reszty nie trzeba.

Facet skinął w podziękowaniu głową i zaczął schodzić w dół.

Tomasik zawrócił do góry. Po chwili stał już przed drzwiami od dziewiątki i usłyszawszy zatraskujące się na dole drzwi gwałtownie zapukał. Dwóch, a może trzech - pomyślał znów. Wyciągnął pistolet i ostrożnie przeładował. Prawdopodobnie trzeba będzie strzelać.

- Kto? - rozległo się po drugiej stronie. Znowu wyraźny wschodni akcent.

- Pizza - odpowiedział zdecydowanym głosem.

Rozległ się zgrzyt zamka. Drzwi uchyliły się lekko i ukazał się w nich niski mężczyzna o szerokiej, typowo rosyjskiej chłopskiej twarzy. Schowany dotąd za kartonem Tomasik upuścił pizze na ziemię aż rozległ się niemiły dla uszu plask i błyskawicznym ruchem niemalże wbił zaskoczonemu facetowi lufę pistoletu prosto w lewe

oko.

- Ręce na kark! - wyszeptał groźnie i natychmiast wepchnął go brutalnie do środka.

Mężczyzna zbladł, lecz błysk zrozumienia w jego drugim szeroko otwartym i przerażonym oku świadczył, że Tomasiak nie był dla niego postacią nieznaną.

- Gdzie drugi? - kontynuował Tomasiak gotowy do odparcia ewentualnego ataku.

- Ja nie panimaju.

Tomasz zwiększył siłę nacisku na jego gałkę oczną.

- Daj mi tylko pretekst - wycodził po polsku przez zaciśnięte mocno zęby - a z przyjemnością cię zabiję! Mów!

- Nikogo tu nie ma! - padła krótka odpowiedź w dosyć poprawnej polszczyźnie. - Wiktor kazał wszystkim jechać! To było jakieś piętnaście minut temu.

Tomasik natychmiast wyłapał imię Wiktor. Czyżby udało mu się wpaść na trop swojego rosyjskiego przyjaciela?

- Dokąd pojechali?

- Ja nie wiem.

- Kłamiesz, kolego! - Tomasz zwiększył nacisk lufy na zamkniętą powiekę. - Mów albo zostaniesz kaleką lub trupem!

- Do Orzysza - wycodził w końcu Rosjanin. - Nad jezioro!

Przez chwilę Tomasiak był naprawdę zaskoczony. Nawet się zastanawiał, z czym też kojarzy mu się nazwa Orzysz. Ale poza wiedzą, że jest to gdzieś na Mazurach i że kiedyś była tam osławiona jednostka karna dla żołnierzy służby zasadniczej, i że chyba ciągle jeszcze funkcjonował tam jakiś poligon, to nic więcej o niej nie wiedział.

- Po co? - zapytał więc groźnie.

- Ja nie wiem.

Tomasik westchnął. To akurat mogła być prawda. Na głos powiedział więc tylko:

- Jeżeli kłamiesz, jesteś trup. A teraz sprawdzimy, czy rzeczywiście jesteś sam. Prowadź!

I popchnął go lufą pistoletu do tyłu. Mężczyzna cofał się powoli i ostrożnie, a Tomasiak przez cały czas szedł lekko zgarbiony, kryjąc się za jego ciałem. Sprawdzenie dwóch pokoi, łazienki i kuchni zajęło im niecałe dwie minuty. Kiedy już skończyli i znaleźli się w niewielkim salonie, Tomasz rozkazał:

- Na kolana! Powoli!

Mężczyzna przyklęknął.

- Wyciągaj pasek! Tylko bez żadnych gwałtownych ruchów!

Po chwili Tomasiak związał mu z tyłu nadgarstki, a potem



spojrzał prosto w oczy.

- Nie uczyli was na szkoleniach, że nie wolno patrzeć oprawcy w oczy? - zapytał, obserwując przy tym jego reakcję.

Lecz ten odzyskał już odwagę. Wyszczерzył więc tylko zęby i splunął. Tomasik westchnął znacząco i wyrzwał przez wychodzące prosto na jego dom okno. Policjantów już nie było. No dobrze - pomyślał. Z pobliskiego stolika podniósł drewniany, dobrze naostrzony ołówek.

- Wiesz co to jest? - zapytał, trzymając go jakieś trzydzieści centymetrów od jego twarzy. Rosjanin skinął potakująco głową. - To dobrze. A wiesz, co ci zrobię, jak jeszcze raz spróbujesz mnie zdenerwować albo nie będziesz chciał odpowiadać na zadawane przeze mnie pytania?

Mężczyzna milczał, lecz prześmiewczy grymas zniknął już z jego twarzy.

- Wieeesz - tym razem to Tomasz się uśmiechnął.

- To powiedz mi jeszcze, mój drogi przyjacielu - kontynuował cichym, jakby lekko znudzonym głosem - dla kogo teraz pracujesz razem z tym swoim Griszą i Wiktorkiem?

Mężczyzna milczał. Tomasik odczekał kilka sekund, a potem westchnął z udanym ubolewaniem.

- Zmuszasz mnie do brutalności.

I szybkim ruchem złapał go jedną ręką za włosy i odchylił głowę do tyłu, a drugą uzbrojoną w ołówek przytknął do zaciśniętej mocno powieki.

- Mów, towarzyszu - szepnął przymilnie bezpośrednio do ucha. - Coś mi się widzi, że już nie chcesz ze mną rozmawiać i że zaraz stracisz oko. Jak będziesz milczał, skłamiesz lub krzykniesz, stracisz drugie. Chyba że po prostu cię zabiję! Rozumiesz?

I zwiększył nacisk ołówka aż przyciśnięte grubym naostrzonym grafitem oko przesunęło się pod powieką niebezpiecznie w lewo.

Mężczyzna ciągle milczał, ale spod wyblakłych i trzęsących się rzęs wypłynęła mu pierwsza łza.

- Kończy mi się cierpliwość. - Tomasz jeszcze bardziej zwiększył nacisk. Zaczął czuć obrzydzenie do samego siebie. Mimo to kontynuował. - Mów sukinsynu albo będę musiał cię zabić!

Ze skaleczonej powieki popłynęła wąska strużka krwi. Tomasik zacisnął zęby.

- Już ci mówiłem, pracuję dla Griszy - usłyszał w końcu.

- A kim jest Grisza? Mów!

- To też Ruski. Pracuje dla Wiktora!

- I? - Tomasz nie zwolnił nacisku ołówka.

- Mieliśmy cię zabić. I innych też.

- Co z tym drugim?
- Grisza kazał mu szybko jechać do Orzysza.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- A skąd on was wziął do pomocy?

Mężczyzna się zawahał.

- Mów! - Tomasz ponownie zwiększył nacisk ołówka.
- Pracuję dla Griszy, a on dla jakiegoś Polaka.
- Mafia czy spec służby?
- Nie wiem.
- Nie chrzań.

- Nie chrzań, my normalnie ściągamy haracze od pracujących w Polsce Ukraińców.

Dopiero teraz Tomasik roześmiał się półgłosem. Jak na kilkuminutową rozmowę i tak dowiedział się już naprawdę dużo. Zaczynał żałować, że nie zrobił tego dużo wcześniej. Tylko co z tego dla niego wynikało? Spojrzał na zegarek. Czas płynął nieubłaganie. Do spotkania z Gosią zostało niewiele ponad pół godziny. Musiał kończyć.

- Masz auto? - zapytał zniecacka.

Rosjanin milczał zaskoczony tą nagłą zmianą tematu.

- Pytam się o coś!
- Czarny ford focus, stoi przed domem.
- Kluczyki! Gdzie są?

Mężczyzna znowu się wahał.

- Pośpiesz się, a pozwolę ci żyć - zapowiedział uspokajająco Tomasik.

- W kurtce.

Tomasz odsunął ołówek od krwawiącej powieki.

- Tylko nie zrób nic głupiego - pogroził mu palcem i podszedł do wieszaka.

Bez problemu odnalazł to, czego szukał, a przy okazji wyjął z szafki koło zlewu kawałek szmaty i cienkiego kabla.

- Ostatnie pytanie - pochylił się nad drżącym Rosjaninem. - Skąd macie ten lokal?

- Ja nie znaju.

- No dobrze. - Tomasik machnął lekceważąco ręką. - Otwieraj gębę.

Wsadził mu do ust zwiniętą w kulkę szmatę, a potem trzasnął go niespodziewanie z całej siły pięścią w skroń aż głowa odskoczyła w bok i z impetem uderzyła o ścianę. Tomasik natychmiast poprawił.

Mężczyzna był wyraźnie oszołomiony. Tomasz bez żadnego

problemu przywiązał go do kaloryfera, a potem dokładnie obszukał. Żadnych dokumentów ani papierów przy nim nie znalazł. Ale przywłaszczył sobie za to kolejne kilkaset złotych i następny telefon, do którego, o dziwo, nie był wymagany kod dostępu i którego zawartość natychmiast zaczął przeglądać. I już po chwili poczuł, jak włosy stają mu dęba, a po plecach przechodzą nieprzyjemne ciarki.

- Mój Boże - wyszeptał przerażony.

Odwrócił się w stronę dochodzącego do siebie Rosjanina i zagryzając z wściekłości zęby, spojrzał na niego z rosnącą nienawiścią. Przez krótką chwilę miał ochotę po prostu go zabić. Lecz nie! On mógł jeszcze coś powiedzieć! Powstrzymał się! Wstał tylko, podszedł do niego i trzymając mu przed spanikowanymi oczyma wyświetlone na telefonie zdjęcie Agnieszki z dziećmi wycodził posępnie.

- Mów! Wszystko, co wiesz! Bo inaczej obetnę ci jaja! I wiesz, że nie żartuję!

\* \* \*

Małgorzata Sopoćko weszła do pubu Regina tuż przy Skwerze Kościuszki w Gdyni i rozejrzała się uważnie po sali. Było jeszcze dosyć wcześnie i w pubie było niemalże pusto. Do umówionego spotkania miała jeszcze prawie dziesięć minut. Na razie nie dostrzegła Tomasza. Przynajmniej na parterze.

Jadąc tutaj, przez cały czas kluczyła. Chodziła po pustawych o tej porze sklepach, butikach i różnego rodzaju galeriach handlowych, zastanawiając się przy tym, czy jest śledzona i czy jej telefon ciągle jest na podsłuchu. Wiedziała, że dla ewentualnego śledzącego jej zachowanie musi wydać się dziwne. Ale musiała zaryzykować.

Spróbowała się skoncentrować. Nie. Chyba nikt jej nie śledził. W tym momencie poczuła w kieszeni wibrację. Wyjęła telefon. Spojrzała na wyświetlony numer. Nic jej nie mówił.

- Tak? - zapytała drżącym głosem.

- Cześć. Gdzie jesteś?

Rozpoznała głos Tomasza.

- Właśnie weszłam - odpowiedziała z ulgą, słysząc, że to właśnie on.

- To dobrze. Nie rozłączaj się. Idź do łazienki - Tomasik mówił spokojnym rozkazującym tonem. - Do męskiej! Teraz!

Zaskoczona niemalże automatycznie skręciła w prawo i już po chwili znalazła się przed wejściem do toalet. Na szczęście nikogo tam akurat nie było. Co on knuje? - przemknęło jej przez głowę.

Zawahała się. Lecz musiała mu zaufać. Nie miała innego wyjścia. Popchnęła drzwi i od razu znalazła się w dosyć dobrze i czysto utrzymanym przybytku pierwszej potrzeby.

- Tutaj - usłyszała z tyłu.

Obejrzała się i ujrzała bladego jak ściana i wyraźnie zmęczonego Tomasza.

- Cześć - przywitał się krótko.

W tym momencie Gosia nie wytrzymała. Mimo że była twardą policjantką z kilkunastoletnim stażem, napięcie i nerwy ostatnich dni musiały znaleźć swoje ujście. Łzy samoistnie popłynęły jej po policzkach, a z gardła wydobyło się ciche łkanie.

- Ciii - Tomasik przyłożył palec do jej ust, delikatnie objął i przytulił. - Wiem, że jest ci ciężko i że boisz się o Jarka i Kubę. Ale to wszystko już niedługo się skończy.

- Ten twój uczeń, razem ze swoim kolegą - łkała Gosia. - Nie żyją!

Tomasik poczuł, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę.

- Jak to? - wyjąkał dopiero po chwili. - Przecież Jarek miał się nimi zająć.

- Ktoś od nas. U nas na komendzie. Ktoś ich otruł! Przeżyła tylko twoja koleżanka.

- Milena.

- Uhm.

- Cholera. Otruł? Jak to możliwe?

- Nie wiem. Jarek ewakuował się z nią do swojej kancelarii. Zabarykadowali się. Niby są pod ochroną, ale teraz nie mogą nikomu ufać! Nawet naszym ludziom!

Tomasik przez długą chwilę próbował przetrwać tę tragiczną informację, lecz jedyne, co czuł, to straszny smutek i żal, że znowu zawiódł i że po raz kolejny zginęli przez niego niewinni ludzie.

- Mam dla ciebie jeszcze inne informacje - dotarł do niego w końcu nieco już spokojniejszy głos Gosi. - O kapitanie Tuszyńskim. To brat tej zamordowanej w Wiczlinie Iwony Tuszyńskiej, koleżanki twojej sąsiadki, Martynty Wojciechowskiej.

- Uhm - mruknął z roztargnieniem.

- Tomek. Posłuchaj uważnie.

Tomasz z najwyższym trudem się skupił. Kiedy Gosia już skończyła, zapytał przygaszonym głosem:

- To czego Jarek teraz ode mnie chce? Co mam zrobić?

- Żebyś pojechał do Orzysza na poligon i spróbował pomóc Tuszyńskiemu. Jarek będzie się starał do ciebie dotrzeć.

Tomasik westchnął.

- Gosiu, ja sam potrzebuję pomocy - powiedział zmęczony. -

Miałem cię właśnie o nią prosić.

- Mów.

Zaczerpnął więcej powietrza.

- Agnieszka... - zaczął nieskładnie. - Jej dzieciaki. Te sukinsyny ich mają. Tak samo jak wcześniej mieli Kubę. Do tej pory myślałem, że tylko ich obserwują. Szantażowali mnie nimi. Pokazali mi ich zdjęcia i powiedzieli, że mogą z nimi zrobić to samo, co z tym nieszczęsnym doktorkiem. Z tym, dla którego Agnieszka mnie zostawiła. Zamordowali go! Pokazali mi jego odciętą głowę! - przerwał na chwilę. Znowu złapał kilka oddechów. - Kazali mi zrobić kilka złych rzeczy. A teraz mogą chcieć mnie znowu nimi szantażować! Ale ja odkryłem, gdzie oni ich trzymają!

Gosia z napięciem patrzyła mu prosto w oczy.

- Trzymają ich w piwnicy pewnego domu we Wrzeszczu. Tu masz adres - podał jej wygnieciony skrawek papieru. - Musisz powiadomić swoich i natychmiast ich odbić. Prawdopodobnie nic im nie jest i pilnuje ich tylko dwóch ludzi. Haraczowników od nijakiego Griszy. Na pewno coś macie na jego temat. Dasz sobie radę?

Gosia kiwnęła tylko głową. Nawet nie chciała wiedzieć, skąd Tomasz to wszystko wie. Po prostu najchętniej już by wybiegła i zaczęła działać. Chciała jak najszybciej pomóc odzyskać wolność Agnieszce i jej dzieciakom. Przecież się znali! Zresztą dopiero co sama to przeżywała! Porwanie swojego syna! Chciała działać! Teraz! Natychmiast! Ale pozostawało jeszcze kilka spraw, które musiała wyjaśnić. I to już!

- Tomek! Oni mogą podsłuchiwać mój telefon! Mogą mnie śledzić!

Tomasz popatrzył na nią z napięciem.

- Kto? - zapytał nerwowo.

- No ABW. Przecież wiesz. Jarek próbował ci o tym jakoś powiedzieć. Ale nie do końca mógł. To oni pomogli nam odzyskać Kubę! Mają nas w ręku!

- Uhm - mruknął tylko Tomasz. Jego podejrzenia co do tego, w jaki sposób jego decyzje zależne były od działania różnych służb, teraz się właśnie potwierdziły. Znowu poczuł się jak marionetka w rękach innych ludzi, którzy sterowali nim i wykorzystywali do siebie tylko znanych celów, czasami próbując go zabić, a czasami chroniąc go przed śmiercią z rąk innych. Ale tak naprawdę to wszystko nie miało w tej chwili większego znaczenia. Liczyło się tylko to, co ma zrobić tu i teraz.

- Zawiadomiłam też ich, że Jarek ukrywa się z twoją dziewczyną na komendzie i że potrzebuje pomocy!

Przez głowę Tomasza zdążyło jeszcze przelecieć, że to akurat

być może nawet dobrze się składa, gdy w tym momencie drzwi łazienki uchyliły się i do środka zajrzała ogolona na łyso głowa młodego i niezbyt wysokiego mężczyzny. To był ten sam facet, który z samego rana wyskoczył z domu pani Haliny Wojciechowskiej, żeby ochrzanić próbujących sprawdzić jego dom policjantów.

- O Boże! - wyrwało się zaskoczonej Gosi. - Przepraszam, chyba pomyliłam toalety.

Stojący z boku Tomasik podjął natychmiastową decyzję. Nie miał skrupułów czy wątpliwości. Wiedział, że w tej sytuacji nie mógł liczyć na żadną taryfę ulgową czy normalną współpracę z ABW, nawet jeżeli ci panowie rzeczywiście byli ich sojusznikami. Dlatego z całej siły kopnął w uchylające się lekko drzwi. Te uderzyły prosto w twarz odwracającego się właśnie w jego stronę mężczyzny. Tomasik natychmiast złapał za klamkę i jeszcze raz z całej siły trzasnął go drzwiami w głowę. Zaskoczony funkcjonariusz na krótką chwilę stracił orientację i to Tomasikowi wystarczyło. Schwycił go zdrową ręką za poły koszuli i mocnym pociągnięciem wciągnął do środka łazienki. Rzucił nim o ścianę, wykonał lekki półobrót zwiększający jeszcze siłę uderzenia i wyprowadził klasyczne kopnięcie prawą nogą w podbródek. Całe ciało agenta podskoczyło do góry i niczym rzucony na ścianę worek kartofli spłynęło prosto na ziemię, upadając tuż pod nogami Tomasza i Gosi.

Zaskoczona tempem akcji policjantka dopiero teraz doskoczyła do niego i sprawnie go obszukała. Przy przykrytym koszulką pasku znalazła glocka i legitymację służbową.

- ABW - potwierdziła na głos ich wspólne podejrzenia.

- No to nieźle - skinął głową zasapany Tomasz. Wyjrzał na zewnątrz i spróbował wyrównać oddech. Na razie nikt się nie zainteresował hałasem. Ale i tak w każdej chwili ktoś mógł tutaj przyjść za potrzebą. Gości w lokalu prawdopodobnie przybywało, a widok kobiety w męskiej toalecie i leżącego nieprzytomnego pokrwawionego faceta na pewno wywołałby co najmniej zdziwienie.

- To co robimy? - zapytała podenerwowana Gosia.

- Musisz pomóc naszemu koledze dojść do siebie - odpowiedział szybko. - I w miarę możliwości przeprosić go w moim imieniu i poprosić o wybaczenie. A później, jeżeli uznasz, że chłopaki z ABW mogą się wam do czegoś przydać, możesz spróbować przekonać go do udzielenia wam pomocy w uwolnieniu Agnieszki i dzieciaków!

- A ty?

- Ja? - Tomasik czuł, jak znowu rozpieira go nadmiar adrenaliny. Uśmiechał się do Gosi. - Nie wiem jeszcze jak, ale spróbuję pogadać z Tuszyńskim, dostać się do pieprzonego Orzysza i zrobić z tymi wszystkimi popaprańcami w końcu ostateczny porządek!

\* \* \*

Prezydencki doradca profesor Jarosław Tara siedział za biurkiem w swoim gabinecie w Pałacu Prezydenckim w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu i przeglądał ostatnie opracowanie Instytutu Stosunków Wschodnich na temat spodziewanego w najbliższej przyszłości rozwoju wypadków na wschodniej Ukrainie i jego wpływu na sytuację w Polsce.

- Cholera - mruknął w końcu do siebie ze złością. Lektura najwyraźniej nie wpływała najlepiej na jego samopoczucie. - Zależą nas, jak tak dalej pójdzie. Zależą nas jak amen w pacierzu! Zależą nas jak islamiści zalali Europę Zachodnią. Zamiast walczyć z Ruskimi, przyjmujemy ich w naszych stoczniach i na naszych budowach. A ten ich pseudoprezydent i pseudopremier dalej będą z Ruskimi interesy kręcili i udawali, że ich tak bardzo nie lubią i że są na nich tak bardzo źli. Pieprzeni oligarchowie! Przecież tych Ukraińców jest u nas już chyba z pół miliona.

Wstał zirytowany zza biurka, wsadził ręce do kieszeni i szybkim krokiem podszedł nerwowo do okna.

- A we Lwowie to aż strach odezwać się po polsku. Tak nas te skurczybyki kochają. I tak nam są za tę naszą pomoc wdzięczni. Jaką my tu sami sobie politykę robimy? „Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy!” Co za bzdura! I kto to wymyślił? Slogan dla niedouczonego i naiwnych debili, którzy nie potrafią samodzielnie myśleć. A potem ci „przyjaciele” w ramach podziękowania zrobią nam pewnie jeszcze raz drugi Wołyń.

Wrócił do biurka i usiadł z powrotem na krześle.

- Co za cyrk! - westchnął już nieco uspokojony. - A ja w nim jeszcze uczestniczę.

Pokręcił zdegustowany głową. Wiedział, że już we wtorek spotka się ze swoimi studentami i będzie im właśnie te bzdury przekazywać z miną wszystkowiedzącego guru, niczym jakąś prawdę objawioną.

W tym właśnie momencie jego rozmyślenia przerwał cichy sygnał telefonu. Spojrzał na wyświetlony numer. Ten nic jednak mu nie mówił. Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien odbierać. W końcu jednak to zrobił. Przecież to mógł być któryś z jego studentów.

- Tak? - rzucił do słuchawki.

- Witam, panie profesorze - głos, który usłyszał, sprawił, że zrobiło mu się zimno. - Pamięta pan naszą rozmowę?

- Taaak - Tara odpowiedział cicho. Jak mógłby o niej zapomnieć? Przecież to ona sprawiła, że jego poukładany dotąd

i wygodny świat legł bezpowrotnie w gruzach. To przez nią miał teraz non stop jakieś głupawe wyrzuty sumienia, dylematy na temat „zdrady własnego państwa” czy też „dyskomfort moralny”, jak sam go przed sobą w myślach nazywał, i co gorsza, nie potrafił już się przez to nawet cieszyć z seksu ze swoją aktualną żoną czy też ze swoimi młodymi kochankami obojga płci. – Jestem teraz w pracy – wyjąkał, dochodząc pomału do siebie. – Ale proszę mówić. W czym mogę pomóc?

Po drugiej stronie rozległ się krótki, dystygnowany śmiech.

- Może pan, panie profesorze.

- Taaak? Więc słucham.

- Jutro pana szef wybiera się do Orzysza. Na pokazy wojskowe.

Tara znowu usłyszał ten ledwo uchwytny odcień obcego akcentu.

- Nic o tym nie wiem – mruknął zaskoczony.

- Teraz już pan wie. I proszę, żeby pan też tam z nim pojechał!

- Ale – Tara przez krótką chwilę zbierał myśli. – Ale po co?

Przecież tam poza poligonem wojskowym nic nie ma!

W słuchawce rozległ się śmiech.

- No właśnie – mężczyzna wyraźnie był w dobrym nastroju. – Dobrze pan profesor myśli. Tam poza poligonem wojskowym nic nie ma. Ale ja pana profesora proszę, żeby pan się tą sprawą zainteresował i żeby się pan jednak tam jutro razem ze swoim szefem wybrał!

- Ale po co? – ponowił naiwne pytanie Tara.

- Bo ja o to pana profesora proszę.

- Ale... – profesor chciał jeszcze się jakoś wykręcić. Oczyma wyobraźni widział już, jakich ekwilibrystycznych argumentów będzie musiał używać w rozmowach z różnego rodzaju urzędasami z prezydenckiej kancelarii, żeby się załapać na tę wycieczkę. I już czuł do tego niechęć. Ale nie tylko nie uśmiechała mu się teraz podróż na jakieś zadupie i udawanie, że go te wojskowe sprawy w ogóle interesują. On się po prostu bał! Bał się tego, po co ten tajemniczy mężczyzna, który był po drugiej stronie telefonu, chciał go tam wysłać.

- Nie ma żadnego „ale”, panie profesorze! – dotychczasowo łagodny głos mężczyzny gwałtownie stwardniał i stał się nieprzyjemnie chłodny. – Ma tam pan po prostu z nim być! Czy to jest jasne, panie profesorze?!

- Tak. Oczywiście. Rozumiem – wyjąkał zaskoczony nieprzyjemną zmianą Tara. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jutro być przy panu prezydencie.

- Bardzo się z tego cieszę, panie profesorze – głos po drugiej



stronie znowu stał się wesoły i przyjazny. – Proszę się nie bać. Nic panu nie grozi. Do usłyszenia.

Rozmowa była skończona. Profesor Jarosław Tara jeszcze przez długą chwilę trzymał przy uchu milczący telefon, aż w końcu schował go wolno do kieszeni. Kim ty jesteś, łobuzie? – zastanawiał się z przymkniętymi lekko oczyma. I czego tak naprawdę ode mnie chcesz?

Przez krótką chwilę zastanawiał się nawet, czy aby nie było warto zwrócić się z tym do jednego ze znanych sobie agentów BOR-u. Przecież oni wszyscy znali się z tymi gośćmi z ABW czy z kontrwywiadu. Może mogliby mu pomóc? Coś podpowiedzieć? Ale nie. Wówczas przy okazji wyszłyby różne nieprzyjemne sprawy, którymi na pewno nie powinno się chwalić i których z całą pewnością nie dałoby się zachować w tajemnicy. A tak, kto wie? Może jednak uda się wyjść z tego całego galimatiasu cało?

Spojrzał w swój grafik z rozkładem zajęć na dziś. Miał jeszcze prawie pół godziny czasu dla siebie. Podszedł do lustra i poprawił sobie krawat. Znowu westchnął.

– Nie mam innego wyjścia – szepnął zdecydowanie do własnego odbicia. – Trzeba jakoś się wkręcić na tę wycieczkę. A potem odwołać wszystkie jutrzejsze spotkania i zajęcia.

I z mocnym postanowieniem, żeby to wszystko natychmiast załatwić, skierował się prosto do wyjścia.

\* \* \*

Tomasik szedł szybkim krokiem ulicą Władysława IV i obmyślał swój następny ruch. Dosłownie kilkanaście minut wcześniej rozstał się z Gosią, obiecując jej, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby „sprawę z Ruskimi”, jak nazywała ją Gosia, jak najszybciej wyjaśnić do końca i żeby wszystko wróciło do normy.

Kiedy mijał parking nieopodal Centrum Handlowego Batory, zobaczył bezdomnego mężczyznę siedzącego w cieniu krzaków na resztkach trawnika. Bezdomny, pomimo że wyglądał naprawdę biednie, w rękę trzymał jakiś archaiczny telefon komórkowy i zawzięcie z kimś przez niego rozmawiał.

Tomasik, który dopiero zastanawiał się, jak zdobyć telefon do wykonania jednej, góra dwóch krótkich rozmów, natychmiast postanowił to wykorzystać. Zatrzymał się i przyklęknął kilka metrów od bezdomnego, udając, że właśnie rozwiązał mu się but. Przy okazji zlustrował dokładnie dookoła teren. Nie! – stwierdził. Raczej nikt go nie śledził.

Mężczyzna ciągle coś gadał, lecz Tomasz nie miał zamiaru już

dłużej czekać. Podniósł się do góry, zrobił trzy szybkie kroki i znowu przykucnął. Tym razem zaledwie pół metra od twarzy zaskoczonego faceta.

- Cześć - powiedział do niego z lekkim uśmiechem i bezceremonialnie wyrwał mu z ręki telefon. - Kolega zaraz oddzwoni - rzucił do aparatu i nacisnął wielki przycisk z ledwie widoczną czerwoną słuchawką, po czym zwrócił się ponownie do bezdomnego. - Potrzebuję go na kilka minut! Dam ci za to pięć dych i zaraz ci go oddam!

Pokazał mu papierowy banknot z królem Kazimierzem Wielkim.

- OK, OK. Mój królu złoty - mężczyzna rozchylił w uśmiechu brudne popękane usta. - Ale jaką mam gwarancję, że mi go rzeczywiście oddasz?

Tomasik wręczył mu forszę i mimowolnie zwrócił uwagę na składnię, którą facet się posługiwał. Najwyraźniej alkohol nie zabił jeszcze wszystkich jego szarych komórek.

- Moje słowo - powiedział krótko, gdyż nie chciał wdawać się w niepotrzebną dyskusję. - Na razie siedź spokojnie i czekaj. Zaraz wracam.

Nie czekał na odpowiedź. Po prostu odszedł kilka kroków na bok i wystukał na starej klawiaturze przekazany mu przez Gosię numer. Przy okazji zerknął na zasobność baterii. Powinno wystarczyć. W telefonie rozległ się pierwszy sygnał wybierania, potem drugi i trzeci. W końcu usłyszał krótkie i szczekliwe:

- Słucham!

- Witam, panie Wojciechu - powiedział szybko Tomasz. - Dzwonię od komisarza Jarosława Sopoćko. Wiem, że jest pan w drodze na poligon, ale czy możemy chwilę porozmawiać?

W słuchawce na krótką chwilę zaległa cisza.

- To zależy o czym - padła w końcu odpowiedź, wyjąkana już mniej pewnym siebie głosem niż pierwsza kwestia.

Tomasik mimo nerwów uśmiechnął się do siebie.

- Chcę z panem pomówić o tym, co pan przekazał mojemu przyjacielowi wczoraj wieczorem, zanim ktoś was rozłączył. Teraz dzwonię z pożyczonego telefonu, ten numer zaraz będzie nieaktualny, więc proszę więcej na niego nie dzwonić. Pana telefon prawdopodobnie jest teraz na podsłuchu, ale chcę spróbować panu pomóc.

- Skąd mogę wiedzieć - przerwał mu nagle Tuszyński - że jest pan tym, za kogo się podaje?

- Pewności dać panu nie mogę, ale myślę, że niewiele ma pan do stracenia. Ci, którzy zabili panu siostrę, być może też ojca i matkę, i chcą teraz zrobić to samo z panem, nie zadawaliby sobie

przecież tyle trudu, żeby pogadać sobie z panem przez telefon.

- A na jakiej podstawie pan tak myśli?

- Bo zastanawia mnie jeden fakt - Tomasik przerwał na chwilę i zaczął teraz mówić wolno i wyraźnie, starając się tym samym podkreślić wszystkie swoje podejrzenia i wątpliwości. Jednocześnie obserwował wpatrującego się w niego z zainteresowaniem bezdomnego. - Skoro oni wiedzą, że pan coś wie, i zdążyli już dla tej wiedzy zabić tyle osób, to dlaczego pan ciągle jeszcze żyje? - W słuchawce zapadła cisza. Tomasik rozejrzał się nerwowo po przechodzących w pobliżu ludziach. - No i? - zapytał niecierpliwie, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek odpowiedzi.

- A co pan wie o mojej sprawie? - dobiegł go w końcu cichy, jakby zrezygnowany głos Tuszyńskiego.

- Wiem naprawdę dużo - wycedził z nieukrywaną ulgą Tomasz.

Dwie minuty później zadowolony z siebie Tomasik oddawał bezdomnemu bezużyteczny już dla niego telefon.

- Dzięki! - rzucił z uśmiechem. - I pamiętaj pan! Jak się dowiem, że dzwoniłeś na ten numer albo go komuś dałeś, znajdę cię i obetnę ci jaja!

Mężczyzna wyszczerzył do niego niepewnie żółte zepsute zęby.

- To się wie, mój królu złoty. Nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

Tomasik uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem groźnie, po czym zasalutował mu po żołniersku na pożegnanie. Szybkim krokiem zawrócił w stronę Batorego i już po kilkunastu metrach zniknął w środku. Po chwili w pierwszym z brzegu sklepie z ciuchami zaczął robić szybkie, lecz starannie przemyślane zakupy.

\* \* \*

Witold Drozd z Ruchu Pukalskiego siedział przed swoim komputerem w domu nieopodal Braniewa i przeglądał ostatnie newsy ze świata wielkiej i mniejszej polityki. Sezon ogórkowy - myślał zniesmaczony. Nic tu nie ma. Nic się nie dzieje.

Zbliżały się wakacje, temperatury były coraz wyższe, a polscy politycy coraz rzadziej bywali już w sejmie na Wiejskiej. Portale internetowe pełne były słownych pyskówek, głównie drugo- czy nawet trzeciorzędnych politycznych harcówników, ale wszystko to nie miało żadnego przełożenia na to, co mogło wydarzyć się w Polsce. Ze swoimi wielkimi planami dotyczącymi powrotu do głównego nurtu polskiej polityki Witold Drozd musiał się więc wstrzymać przynajmniej do września, kiedy to miało się zacząć kolejne posiedzenie Sejmu. Dopiero wtedy mógł mieć szansę

spektakularnego powrotu, którą chciał osiągnąć poprzez wykorzystanie swojego stanowiska wiceprzewodniczącego w sejmowej komisji do spraw Obrony Narodowej. Miał już nawet na tę okoliczność przygotowany zarys planu, ale na razie musiał czekać.

Może by tak gdzieś wyjechać na tydzień czy dwa? – przyszło mu nagle do głowy. To nawet nie byłoby takie głupie – pomyślał. Odciałyby się od tej całej nieprzyjemnej dla niego atmosfery, która otaczała go już od kilku tygodni, to jest od jego kolejnej publicznej wpadki, tym razem z niezbyt uprzejmym potraktowaniem jednego z partyjnych kolegów.

- Dupek – wymknęło mu się mimowolnie na głos o pośle Gąsce. Głupi dupek i mięczak – kontynuował już temat w myślach. Powinien od razu dostać w dziób. A jak jeszcze raz od niego usłyszy te bzdury i kłamstwa na swój temat, to naprawdę mu przyłoży.

Na samo wspomnienie tamtej sytuacji i tego rozmemłanego pseudoposta zaswędziała go ręka. W dawnych czasach po prostu wywiózłby faceta do lasu i spuścił takie manto, że ta miękka faja zesrałaby się w gacie.

Jego rozmyślania przerwał sygnał telefonu leżącego kilka metrów dalej na regale z podręczną biblioteczką. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy warto w ogóle wstawać od biurka. Ale skoro i tak w necie nie było nic ciekawego, to przemógł się i podszedł leniwie do telefonu. Wziął go do ręki i spojrzał na wyświetlony numer. Ten nic mu jednak nie mówił.

- Ki chuj? – mruknął wulgarnie do siebie.

I w tym momencie rozległ się krótki sygnał głosowy, a na ekranie telefonu pojawił się symbol otrzymanego SMS-a.

Drozd bezwiednie dotknął symbolu „odbierz” i już po chwili czytał jeden tylko wyraz: „matrioszka”.

- Znowu? – mruknął zaniepokojony. – W milczeniu patrzył na trzymany w prawej ręce telefon. Zadzwoń czy nie? – zdążył jeszcze pomyśleć. Nie musiał zbyt długo czekać. Już po kilku sekundach telefon zadzwonił ponownie. Drozd odebrał natychmiast.

- Słucham – rzucił do słuchawki.

- Witam, panie pośle – głos po drugiej stronie był swobodny. Wyraźnie należał do kogoś wykształconego i z dużą dozą pewności siebie. – Zna pan nasz układ?

- Tak – wycedził Drozd, czując jak wzbiera w nim złość.

- To dobrze, panie pośle. W takim razie mam do pana pewną prośbę.

Kiedy skończył, poseł Witold Drozd odłożył spokojnie telefon na biurko i zastanowił się, co tak właściwie powinien teraz zrobić.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Nie zostało mu więc zbyt dużo czasu, żeby załatwić to, o co prosił go tajemniczy rozmówca. Ale jednego był pewien.

- Ty stary głupi sukinsynie - wymruczał cicho do siebie. - Może i kiedyś trochę mi pomogliście w życiu. Ale jeżeli myślicie, że teraz odwałę dla was jakiś brudny numer, to się grubo mylicie. Możecie pocałować mnie w dupę.

\* \* \*

Tomasik z niewielkim markowym plecakiem z zakupami w ręku wszedł do kafejki internetowej zlokalizowanej niemalże w centrum Gdyni i usiadł przy jednym z wielu wolnych stanowisk. Przy okazji zamówił sobie spóźnione lekkie śniadanie składające się z kilku tostów z szynką i serem oraz z soku pomarańczowego, a na przekąskę wafelka prince polo.

Potem nie zwlekając, wpisał w wyszukiwarce internetowej hasło „9. Braniewska Brygada Kawalerii Pancерnej” i już chwilę później na monitorze wyświetliła mu się strona główna brygady. Przez kilka minut przeglądał ostatnie aktualności z życia jednostki, a następnie informacje i zdjęcia poświęcone kadrze dowódczej.

Cholera - przemknęło mu przez myśl. Rzeczywiście szpieczy w tradycyjnym wydaniu niedługo stracą rację bytu. Sami podajemy potencjalnemu przeciwnikowi wszystko na tacy.

Tam było wszystko! Kto i kiedy wyjeżdża na poligon lub ćwiczenia. Kto, gdzie i z kim się szkoli. Kto przychodzi, a kto odchodzi z brygady. Zdjęcia, krótkie notki informacyjne. A jak jeszcze wszedł na miejscowe fora dyskusyjne, to o jednostce i służących w niej ludziach, tak mu się przynajmniej wydawało, wiedział już prawie wszystko. Nie miał też wątpliwości, że na podstawie tych oficjalnych i nieoficjalnych, niby nic nieznaczących newsów, dobry analityk wywiadu powinien umieć wyczytać i wywnioskować naprawdę wiele.

Ale to go akurat teraz nie interesowało. Po prostu nie miał na to żadnego wpływu. A skoro tak, to nie miał też najmniejszego zamiaru się tym zbyt przejmować. Jemu ta otwartość mogła nawet trochę pomóc.

- Pułkownik Jan Dąbek - mruknął do siebie, z zaciekawieniem spoglądając na zdjęcie przedstawiające niezbyt wysokiego mężczyznę z niewielkim, typowo wojskowym wąsem i poważnym pochmurnym spojrzeniem. - Więc to pan ma być tym moim tajnym asem w rękawie?

I już po chwili zaczął wertować wszystko, co tylko zdołał

znaleźć w necie na temat oficera. Mimo że pułkownika nie było na Facebooku, to i tak było tego dużo. Po kilkunastu minutach wiedział już mniej więcej, jakim prawdopodobnie jest człowiekiem i jakim jest dowódcą.

Potem przeszedł jeszcze na strony poświęcone poligonowi w Orzyszu i wszystkiemu, co mogło mu się jego zdaniem przydać w planowanej przez niego wycieczce do krainy Wielkich Jezior Mazurskich. Sprawdzał bazę noclegową, rozmieszczenie okolicznych jednostek wojskowych i posterunków policji, topografię terenu, roślinność, główne i polne drogi, układ rzek i jezior. Wszystko!

Kiedy blisko trzy godziny później skończył, w głowie miał lekki chaos. Braniewo, 9. Pancerna, Elbląg, poligon w Orzyszu, Gdańsk, Sopot, Gdynia, Kaliningrad, Leningrad, Warszawa, Moskwa – rozmyślał. Popieprzony świat polityki, tajnych służb, szpiegów śpiochów, tajnych archiwów i do tego jeszcze matrioszek! Jak ja się z tego wykaraskam? Zaśmiał się cicho sam do siebie, lecz wcale nie był to śmiech wesoły.

\* \* \*

Wiktor siedział zasepiony w starym skórzanym fotelu i trzymając w ręku szklankę wypełnioną do połowy wódką, wpatrywał się bez cienia uśmiechu w przygasający płomień kominka.

- I wtedy ta suka wyjęła nóż i powiedziała, że się zabije – jakby z oddali dochodził go głos mówiącego po rosyjsku bez żadnego obcego akcentu Arkadiusza, jego starego kumpla z czasów wspólnej walki o Grozny. – A ja mówię do niej, żeby tego nie robiła, że nic złego się jej nie stanie. Wiedziałem, że ta suka chciała to usłyszeć, pragnęła mieć nadzieję. Na chwilę chyba mi uwierzyła, bo zrobiła głupawą minę jak skrzywdzony pies i wtedy skoczyłem! Wyrwałem suce nóż, a potem strzeliłem ją w pysk. Ładną miała tę buźkę. Chciałem ją nawet zostawić dla siebie, ale chłopaki były zbyt napalone. Trzy dni jeszcze ją po mnie obracali, a potem już się im znudziła.

- Przestań – mruknął w końcu z poważną miną zmęczony już Wiktor.

- Wspaniałe czasy – podniecony Polak nie zwrócił jednak na to uwagi. – Nigdy już więcej się tak dobrze nie bawiłem! Potem byłem jeszcze w Afryce. Ale tam to nie było już to samo. Tam nie było nawet z kim walczyć. Czarnuchy to nie wojownicy. Chociaż spotkałem kiedyś taką zajebiście fajną młodą dupencję. Murzynkę, wiecie, wyglądała na jakieś piętnaście, szesnaście lat.

- Przestań! - warknął już zdecydowanie głośniejszym głosem. - Powiedziałem, że masz się zamknąć!

Tym razem Arkadiusz natychmiast zamilkł i nieco zaskoczony spojrzał z przestrachem w kierunku Wiktora. Potem podszedł do stołu i nalał sobie kolejną szklankę wódki.

- Za jutrzejszą akcją! - wznosił toast i w pojedynkę wypił wszystko do dna.

- Koniec na dziś! - mruknął rozkazującym głosem Wiktor. - Jutro wszyscy macie być trzeźwi! Teraz spać!

Pozostali mężczyźni, siedzący dotąd rozwaleni na pobliskiej kanapie, kiwnęli ze zrozumieniem głowami i zaczęli rozchodzić się po pokojach. Wszyscy sporo wypili, ale żaden z nich nie był pijany.

W tym momencie rozległ się sygnał telefonu Wiktora. Natychmiast wziął go do ręki i spojrzał na wyświetlony numer.

- Nu bładź! - zaklął brzydko i pokręcił z niezadowoleniem głową. Jednak już po chwili się uspokoił. Odchrząknął i wcisnął zieloną słuchawkę.

- Da? - zapytał po rosyjsku.

- Namierzyliśmy go - kobiecy głos był suchy i bezosobowy. - Rozmawiał z Tuszyńskim i jutro prawdopodobnie będzie próbował dostać się do Orzysza.

Twarz Wiktora rozjaśnił szeroki złośliwy uśmiech, a z ust wydobyło się głębokie westchnienie ulgi. Wot, charoszyj z niewo maładiec! - pomyślał radośnie i już z uśmiechem i bez cienia niepokoju co do jutrzejszego dnia wysłuchiwał dalszych wytycznych i rozkazów płynących do niego z drugiej strony telefonu.

\* \* \*

Dowódca 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancерnej pułkownik Jan Dąbek siedział na starej zdezelowanej kanapie w swoim służbowym mieszkaniu w Braniewie i znudzonym wzrokiem wpatrywał się w ekran telewizora. Mecz polskiej ekstraklasy i to dwóch nader przeciętnych drużyn sprawiał, że nie był w stanie nawet na chwilę oderwać myśli od tego, co już jutro miało wydarzyć się koło południa na poligonie w Bemowie Piskim.

Samo strzelanie, jego przyczyna ani nawet zaproszone na nie VIP-y nie powodowały u niego żadnych emocji. W ciągu swoich blisko trzydziestu lat służby podobnych przedsięwzięć przeżył już dziesiątki. Ale tym razem rzecz była trochę bardziej skomplikowana i niosła za sobą co najmniej kilka niebezpieczeństw. I co gorsza, kompletnie niezależnych od niego. A wiedział, że jeżeli coś pójdzie nie tak, to wszyscy umyją ręce, a on razem ze swoimi ludźmi

zostanie kozłem ofiarnym.

Siedzący pół metra dalej, lekko już zmęczony szef sztabu jego brygady podpułkownik Krzysztof Gryglewski, widząc zachmurzoną minę dowódcy i błędnie interpretując tego przyczynę, spróbował go chociaż trochę uspokoić:

- Czym się dowódca tak martwi? Przecież dowódca wie, że Dżban z Tuszyńskim dadzą sobie jutro radę.

- Wiem - nie dał mu dokończyć Dąbek. - Wiem i nie o to chodzi.

- A o co? - Gryglewskiemu akurat w tym właśnie momencie musiało się czknać. - A o co, dowódco?

Dąbek spojrzał na niego z politowaniem. Jego szef sztabu najwyraźniej za bardzo lubił ten niebezpieczny dla wojskowych sport, a miał przy tym zbyt słabą głowę, żeby go tak często uprawiać.

Gryglewski, który też znał tę swoją wadę, wiedział już, że nie powinien dzisiaj więcej pić. Ale jakoś nie miał wystarczająco silnej woli, żeby skończyć. Musiałby wrócić do pustego służbowego mieszkania, gdzie nic ciekawego nie było i nic ciekawego nie miało prawa się zdarzyć. Takie wieczorne spotkania sam na sam z dowódcą, i to jeszcze zakrapiane alkoholem, były dla niego więcej niż tylko formą zabicia nudy, były też szansą na w miarę luźną i swobodną wymianę zdań i różnego rodzaju uwag na interesujące go tematy. Zresztą chciał jeszcze sobie po prostu z Dąbką pogadać.

- O nic, Krzysiu. O nic. - Dąbek widząc lekkie zmieszanie swojego podwładnego, westchnął znużonym głosem i złapał za kieliszek wypełniony po same brzegi zmrożoną czystą polską wódką. - No to po jednym!

- Tak jest! Za jutrzejsze strzelanie! - Gryglewski chcąc jak najszybciej zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, które zostało po oznace jego słabości, uniósł symbolicznie kieliszek w górę, po czym natychmiast wypił zawartość jednym szybkim haustem. Odstawił puste już naczynie i nawet nie zapijając, zapytał:

- A co wodzu sądzi o tym ostatnim ćwiczeniu w Warszawie? Tym niby z udziałem odsieczy z NATO? Przyszliby nam tak naprawdę z pomocą? Zdążyliby?

Dąbek zmierzył go uważnym i nieco drwiącym spojrzeniem. Wiedział, że takie pijackie gadki przeprowadzane w nieodpowiednim towarzystwie mogły przynieść sporo kłopotów. Ale Gryglewskiego znał na wylot i mógł sobie z nim pozwolić na chwilę szczerości. Obydwaj dobrze wiedzieli, co każdy z nich sądzi o całym tym Traktacie Atlantyckim, a w szczególności artykule 5. To jednak wcale nie znaczyło, że nie lubili sobie przy każdej



nadarzającej się okazji dyskretnie o tym podyskutować.

- A czy ty, Krzysiu, naprawdę myślisz, że ci nasi sojusznicy sami rozpocząłoby kontratak w naszej obronie? - zapytał cicho Dąbek. - Że chcieliby umierać za Białystok czy Suwałki?

- No właśnie! Ja też mam... - Gryglewskiemu znowu się czknęło. - Też mam, wodzu, pewne wątpliwości.

- Ja to się boję jednego - Dąbek mimo woli jeszcze bardziej ściszył głos - że może dojść do tego, iż jedne skurwysyny wejdą nam ze Wschodu, a drugie z tak zwaną braterską pomocą z Zachodu. I ci ze Wschodu zatrzymają się na wschód od linii Wisły i powiedzą, że to im wystarczy. A ci nasi sojusznicy usadowią się po zachodniej stronie Wisły. I jakimś dziwnym trafem nasze sojusznicze wojska z czarnymi krzyżami na wieżyczkach czołgów stać sobie będą w Gdańsku, Szczecinie, Katowicach czy Wrocławiu, a nasze dzielne brygadki i dywizje zgrupują się dookoła Warszawy, gdzie będą chronić tych wszystkich posranych polityków i warszawskich generałów.

- I tak już zostanie.

- No właśnie. Takie nowe Księstwo Warszawskie.

- Ale to, wodzu, jest niemożliwe!

- Pewnie, że nie! Krzysiu! - tym razem Dąbek mimowolnie podniósł głos. - Bo na wschód od Wisły jesteśmy właśnie my! I tak kopniemy w dupę każdego skurwysyna, który tylko spróbuje przekroczyć granicę, że mu się to czkawką odbije w jego własnej stolicy! Oni wiedzą, że my tu jesteśmy! I wara im od nas!

- Wara! - podchwycił Gryglewski.

I w tym momencie obydwaj mężczyźni zaczęli się śmiać. Kiedy im już trochę przeszło, szef sztabu zdecydował się zmienić nieco temat i zapytał:

- A słyszał dowódca historię wczorajszego telefonu do Dzbaną?

Dąbek spojrział na niego z zainteresowaniem i pokręcił przecząco głową.

- To dowódca słucha. Dzwoni do Dzbaną telefon, ten podnosi i się przedstawia: „podpułkownik Dzban”. A z drugiej strony ktoś do niego krzyczy: „Dzban! Ty chuju!”. Na to wkurwiony Dzban odkrzykuje: „Kto tak mówi?”. I dostaje odpowiedź: „Wszyscy tak mówią!”. Rozbawiony własnym żartem Gryglewski zarechotał wesołym śmiechem.

- Oj, Krzysiu, Krzysiu - Dąbek tylko uśmiechnął się do siebie pod wąsem. Przez krótką chwilę myślał, że sprawa telefonu była na poważnie. - Ale ty pierdolisz bez sensu. Ty sobie z niego żarty robisz, a powinieneś na niego uważać. On jest cholernie ambitny i wcale nie jest taki głupi. Przez cały czas tylko czeka na twoje

potknięcie i czai się na twoje stanowisko.

- Wodzu - zaoponował gwałtownie wyraźnie już trafiony i w związku z tym zbyt szczerzy Gryglewski. - Przecież Dzban to tępy chuj i skurwiel. Na niczym się tak naprawdę nie zna! A ilu porządnych ludzi się już przez niego zwolniło do cywila, bo ten skurwiel tak po nich jeździł, tak się nimi wysługiwał, że po prostu nie dawali rady? Jemu ktoś w końcu podłoży świnie i na tym się ta jego pseudokariera skończy! On się nie nadaje do życia z normalnymi ludźmi, a co dopiero do dowodzenia sztabem brygady!

Dąbek po raz kolejny uśmiechnął się sam do siebie pod nosem. Nie chciało mu się tłumaczyć swojemu rozmówcy, że w tej sprawie opinie ludzi z branży są podzielone, a akurat on sam ma zupełnie inne zdanie na temat sensu podpierdalania i lizusostwa oraz związanych z tym możliwych dróg kariery dla swojego aktualnego podwładnego w Wojsku Polskim.

- I tu się, Krzysiu, też mylisz - mruknął więc tylko uspokajająco i jakby lekko znudzony, ziewnął głośno. - Takie skurwysyny jak Dzban też są u nas potrzebne i dalej będą robić kariery. Przez chwilę chciał nawet coś do tego dodać, lecz w tym momencie rozległ się sygnał jego służbowej komórki. Machinalnie spojrzał na wyświetlony numer, po czym wcisnął zieloną słuchawkę.

- Pułkownik Dąbek!

- Czołem, panie pułkowniku! - po drugiej stronie natychmiast rozpoznał głos kapitana Tuszyńskiego. - Melduje się kapitan Tuszyński!

- Czołem, panie kapitanie. - Dąbek był naprawdę zdumiony. Telefon od zwykłego kapitana o tej porze? Z pominięciem drogi służbowej? - Coś się stało, panie kapitanie?

- Melduję, że tak, panie pułkowniku! To sprawa wagi państwowej!

Zaintrygowany Dąbek spojrzał pytająco na Gryglewskiego. Ten, mimo że system głośnomówiący nie był włączony, najwyraźniej wszystko słyszał i jakby momentalnie wytrzeźwiał.

- O co chodzi? Mów!

- Panie pułkowniku! Pan wie, że dwa dni temu miałem pogrzeb. Zamordowano mi siostrę. Pewnie pan pułkownik też wie, kim był i jak zginął mój ojciec.

- Tak, słyszałem - potwierdził nieco zdziwiony tymi stwierdzeniami Dąbek.

- Rzecz w tym, panie pułkowniku, że ci, którzy zamordowali moją siostrę, są też odpowiedzialni za pomoc w sprokurowaniu wypadku moich rodziców, a prawdopodobnie jutro będą próbowali

zamordować właśnie mnie!

W słuchawce zapadła cisza. Dąbek momentalnie wytrzeźwiał. Spojrzał zaniepokojony na wsłuchującego się w przebieg rozmowy Gryglewskiego.

- Panie kapitanie Tuszyński - zaczął więc wolno po krótkiej, kilkusekundowej przerwie. - Czy pan się dobrze czuje?

- Tak jest, panie pułkowniku! Wiem, jak to brzmi. Nieprawdopodobnie. Ale jeżeli pan pułkownik pozwoli, to chciałbym to panu pułkownikowi wytłumaczyć.

Ponownie zapadła cisza. Dąbek zastanawiał się, czy ma natychmiast dzwonić do będącego na miejscu w Orzyszu podpułkownika Alojzego Dzbana, żeby ten sprawdził, co się tak naprawdę dzieje z jego podwładnym. Jednak ponieważ dosyć dobrze znał Alosia, wiedział, że ten co najwyżej potrafiłby wezwać pogotowie psychiatryczne albo sam od razu wsadziłby do izolatki nieszczęsnego kapitana i jeszcze ustawił przy nim uzbrojoną wartę. Dlatego więc, nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi, powiedział:

- Niech więc pan próbuje.

Przez kilka kolejnych minut Dąbek słuchał monologu młodego kapitana, a w międzyczasie analizował i zestawiał wszystkie podane informacje z tym, co ostatnio wydarzyło się w jego brygadzie, co opowiadał mu młody obiektowy ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego, co mówił mu generał Skórnicki i co wiedział z historii i mediów oraz z licznych meldunków i danych, które spływały na jego biurko. Co prawda nie widział w tym żadnego bezpośredniego związku, ale niecodzienność tego wszystkiego kazała mu spojrzeć na to z nieco większą dozą zrozumienia. Kiedy Tuszyński skończył, odpowiedział mu tylko:

- W porządku, kapitanie Tuszyński, ale jeżeli pan konfabuluje, to wiedz, że skończysz pan u czubów. Albo w więzieniu! Czy to jest jasne?

- Tak jest, panie pułkowniku! - odpowiedział gromko Tuszyński.

- No. To niech się pan trzyma. Do jutra!

- Czołem, panie pułkowniku!

Dąbek wyłączył telefon i spojrzał w oczy wpatrującemu się w niego Gryglewskiemu.

- I co o tym sądzisz, Krzysiu?

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku - Gryglewski znowu sprawiał wrażenie lekko już zmęczonego. Głos momentami przechodził wręcz w bełkot - ale ja bym go natychmiast wysłał do czubków i wezwał kogoś na podmiankę w związku z jutrzejszym strzelaniem!

Dąbek o mało co się nie roześmiał.

- No i widzisz Krzysiu. Nawet nie wiesz, jaki ty jesteś podobny do naszego Alosia!

\* \* \*

Nadkomisarz Jarosław Sopoćko siedział razem z Mileną w jednym z pokoi Delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Gdańsku przy ulicy Okopowej i czekał na przyście oficera zajmującego się sprawą matrioszek. Za ledwie godzinę wcześniej razem z Mileną zostali uwolnieni przez ABW, to znaczy wyprowadzeni z budynku komendy i to przez tych samych funkcjonariuszy, z którymi za ledwie kilkanaście godzin wcześniej stał się słownie przed dyżurką.

W chwili ich ponownego spotkania panowie oswobodziciele byli wyraźnie wściekli na Jarka i nawet nie ukrywali wobec niego swojej wrogości.

- To przez ciebie zginęli ci dwaj chłopcy! - mówili. - Gdybyś wtedy odpuścił, chłopaki by żyli! Komisarz Halski się znalazł, kurwa jego mać! A może to ty maczałeś palce w tym zabójstwie? Co?! Załatwiłeś kolejnych dwóch świadków?!

Jarek dobrze wiedział, że te ich wszystkie gadki, podobnie jak pozostawienie ich samych w niby pustym pokoju, jest tylko grą wstępną, próbą ich zmiękczenia przed czekającym ich przesłuchaniem, i w związku z tym tylko z najwyższym trudem znosił te upokorzenia. Ale nie mógł im w tej chwili odpyskować, bo po prostu potrzebował ich pomocy. I oni o tym dobrze wiedzieli.

W końcu drzwi od pokoju się otworzyły i stanął w nich blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna z podkrążonymi z niewyspania i dziwnie wylupiastymi oczyma. Zanim się przedstawił, usiadł w tanim obrotowym fotelu, przez co jego sporych rozmiarów brzuszki wydał się jeszcze większy.

- Dzień dobry państwu - zaczął standardowo. - Jestem kapitan Tomaszewski. Poproszono mnie, żebym wysłuchał państwa wersji wczorajszych wypadków.

Jarek pokręcił z niezadowoleniem głową.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział grzecznie. - Z całym szacunkiem dla pana, panie kapitanie, ale chciałbym, aby przyszedł do nas oficer, który zajmował się dotąd u was sprawą pod kryptonimem „Matrioszki”.

- „Matrioszki”? - Tomaszewski zrobił jeszcze większe oczy, przez co jego twarz przybrała wyraz wręcz komiczny. - A jak się nazywał ten oficer?

- Nie jestem pewien - mruknął Jarek, siląc się na grzeczność. -

Przedstawił mi się jako major Kowalski. Ale kiedyś miałem już z nim styczność i wówczas nazywał się major Hubal.

- Kowalski albo Hubal, pan mówi. - Tomaszewski pokiwał ze zrozumieniem głową. - A jak wyglądał?

- Pięćdziesiąt kilka lat, wysoki, elegancki - zaczął opisywać go Jarek.

- Uhm - przerwał mu Tomaszewski. - A skąd pan wie, że to jest nasz oficer? Widział pan jego legitymację?

- Widziałem. Napisane w niej było „major Maciej Kowalski”! Chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby tak naprawdę nazywał się jednak jeszcze zupełnie inaczej.

- Aha - mruknął Tomaszewski.

W tym momencie drzwi od pokoju uchyliły się i ukazała się w nich łysa głowa jakiegoś mężczyzny.

- Antek, pozwól na chwilę!

Tomaszewski podniósł się ciężko z fotela.

- Przepraszam państwa.

Wyszedł na korytarz i spojrzał pytająco na stojącego przed nim mężczyznę.

- Co jest? - zapytał niecierpliwie.

- Jak tam przesłuchanie pana premiera?

- Nie udzielam w tej materii żadnych komentarzy.

- OK, OK.

- To po to mnie oderwałeś od przesłuchania?

- Nie, nie. Mam kilka newsów.

- No?

- Trznadel rzucił kwitem do cywila. Jakoby ze względów zdrowotnych.

Tomaszewski pokiwał poważnie głową.

- Jasne - mruknął z przekąsem. - Jak on jest ciężko chory, to ja jestem James Bond.

- To jeszcze nie koniec wiadomości. - mężczyzna najwyraźniej dozował mu dawkę emocji.

- No? - Tomaszewski ponownie podniósł na niego z zaciekawieniem swoje wielkie, wylupiaste oczy.

- Drzazga nie żyje!

- Co?!

- Nooo. Strzelił sobie w łeb. Wczoraj wieczorem, we własnym gabinecie na Oczki w Wawie. Po robocie miał się spotkać z panią premier, ale na spotkanie już nie dotarł.

Tomaszewski kręcił z niedowierzaniem głową.

- No, no, no - mruczał. - Kto by się tego po nim spodziewał? Niby taki cwaniak i twardziel. Mówili, że pójdzie w ministry.

- Właśnie.

- Wyraźnie widać, że coś się dzieje. Aha - Tomaszewski nagle sobie coś przypomniał. Spojrzał kumplowi prosto w oczy. - Mówi ci coś nazwisko: Maciej Kowalski? Albo Hubal? To prawdopodobnie jedna i ta sama osoba. Major.

- A skąd on jest?

- Ponoć od nas. To znaczy, od nas z firmy. I działał ostatnio na naszym terenie.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie kojarzę faceta.

- A możesz mi go sprawdzić?

- Jasne.

Tomaszewski już się odwracał, kiedy nagle znowu sobie coś przypomniał.

- I jeszcze jedna prośba.

- No?

- Chciałbym, żebyś mi sprawdził wszystko - na chwilę zawiesił teatralnie głos - wszystko, co się tylko da na temat akcji „Matrioszki”. Dasz radę?

- Jasne. Akcja „Matrioszki” i major Maciej Kowalski vel Hubal. Zabieram się do roboty.

- OK. Czekam.

\* \* \*

Tomasz Tomasiak stał oparty o jeden z filarów podtrzymujących dach nad stacją paliw przy wylotówce z Elbląga na popularną siódemkę i z niepokojem oczekiwał na przyjazd wojskowego auta marki Opel. Był cholernie ciekaw, czy jego nowemu sojusznikowi, czyli kapitanowi Tuszyńskiemu, udało się przekonać do tej ryzykownej sprawy dowódcę 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej pułkownika Jana Dąbka.

Kiedy wczoraj rano w kawiarence internetowej w Gdyni układał sobie cały plan, wszystko wydawało mu się całkiem sensowne, logiczne i proste. Nie miał prawie żadnych wątpliwości, że zdołał poznać osobowość pułkownika Dąbka na tyle dobrze, żeby mieć niemal pewność co do przyjęcia przez niego wszystkich argumentów przedstawionych mu przez Tuszyńskiego. Lecz teraz, zaledwie kilkanaście godzin później, wszystkie jego wczorajsze przemyślenia i plany wydały mu się nagle dziecięcą fantazją opartą na naiwnych marzeniach i bezpodstawnym założeniu, że wszyscy żołnierze Wojska Polskiego to w głębi duszy bezkompromisowi patrioci i że dla dobra Polski są gotowi zaryzykować swoje kariery,

zdrowie i życie. Tymczasem dzisiaj te jego tak zwane argumenty wydawały mu się po prostu śmieszne! Przecież gdyby do niego jeszcze kilkanaście dni wcześniej zwrócił się ktoś z taką prośbą, z jaką Tuszyński miał zwrócić się do Dąbka, to w najlepszym razie wyśmiałyby go i kazałyby mu się zgłosić ze swoim problemem do czubków.

W tym momencie jego rozmyślania przerwał widok wjeżdżającego na stację ciemnogramatowego opla insignia na monowskich numerach rejestracyjnych. Auto podjechało do dystrybutora i zza kierownicy wysiadł wygolony na łyso, dobrze zbudowany żołnierz. Obszedł samochód od tyłu, otworzył klapkę od baku i złapał za nalewak. Tomasik odczekał jeszcze kilkanaście sekund i kiedy stwierdził, że auto najwyraźniej nie miało ogona, ruszył do niego zdecydowanym krokiem. Idąc, rzucił jeszcze okiem na oznakowanie samochodu. Wyrysowany prostokąt z kółkiem w środku, a nad tym literka „X” i mała cyferka „9” z boku po prawej stronie. Tak. To musiał być pojazd dowódcy 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej.

- Witam - rzucił do przyglądającego się mu z zaciekawieniem kierowcy. - Kapitan Tomasz Tomasik! Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Mogę porozmawiać z panem pułkownikiem? Jesteśmy umówieni.

Zaskoczony żołnierz, najwyraźniej niewtajemniczony w całą sprawę, zdążył zrobić tylko duże ze zdziwienia oczy, lecz wtedy uchyliły się drzwi i z wnętrza samochodu doszedł ich niski, lekko zachrypnięty i jakby znudzony głos.

- Zapraszam, panie kapitanie. - Tomasik natychmiast rozpoznał głos Dąbka. Znał go z przemówień umieszczonych na YouTube. - Zapraszam do środka.

Tomasik zastygł na chwilę w miejscu, jakby nie do końca był pewien tego, co ma właśnie zrobić.

- Mogę wrzucić plecak do bagażnika? - zapytał niepewnie.

Dąbek uchylił szerzej drzwi.

- Oczywiście.

Kierowca skończył właśnie tankowanie. Odwiesił nalewak i zanim Tomasz podszedł do bagażnika, bez pytania złapał za jego plecak.

- Ja go wezmę - rzucił z uśmiechem.

Tomasik wypuścił swój bagaż z rąk i rozsiadł się na tylnym siedzeniu opla, tuż obok Dąbka. Pułkownik, niezbyt wysoki i średniej postury mężczyzna, w krótko przyciętych włosach i z niewielkim oficerskim wąsem à la generał Władysław Anders, ubrany był w zwykły polowy mundur i przyglądał się mu teraz

z zaciekawieniem.

- Tomasz Tomasik - przedstawił się Tomasz.

- Witam, panie kapitanie - Dąbek wyciągnął na przywitanie rękę i po chwili już zupełnie jawnie się roześmiał. - Przepraszam za to - powiedział usprawiedliwiająco, lecz z tonu jego głosu można było wnioskować, że wcale nie widzi powodu, by przepraszać. - Ale historia, którą wczoraj przedstawił mi pana kolega kapitan Tuszyński, sprawia, że wydaje mi się, sorry za wyrażenie, że panowie obydwaj nie macie do końca równo pod sufitem! I po prostu albo za dużo pijecie, albo coś palicie, albo widujecie białe myszki. Dlatego proszę wybaczyć, ale zanim ruszymy, proszę mi w kilku zdaniach przedstawić swoją wersję zdarzeń i chociaż spróbować mnie przekonać, że to, co wczoraj usłyszałem od Tuszyńskiego, to nie są jakieś wasze chore fantazje.

Tomasik przełknął w milczeniu ten wyraz braku zaufania i nie chcąc zanadto wystawiać cierpliwości rozmówcy na próbę, natychmiast sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni. Po sekundzie wyciągał już w kierunku Dąbka kopertę z zapiskami majora Mielcarskiego.

- Zanim zacznę, proszę, żeby pan pułkownik przejrzał te kartki. To efekt tajnego śledztwa mojego przyjaciela majora SKW. Śledztwo było prowadzone równolegle z jakąś oficjalną biurokratyczną ściemą. Notabene, w tym momencie nawet nie wiem, czy ten mój przyjaciel jeszcze żyje. Dwa dni temu dostał postrzał w brzuch. Był ciężko ranny.

Dąbek bez słowa wziął wyjęte z koperty kartki i zaczął je szybko przeglądać. Do auta zdążył wrócić kierowca.

- Ruszamy, panie pułkowniku? - zapytał, zerkając ciekawie we wsteczne lusterko i obserwując w nim siedzącego z poważną miną Tomasika.

- Tak - mruknął Dąbek, nie odrywając wzroku od kartek.

Auto ruszyło, a Dąbek kontynuował lekturę. Kiedy wjechali już na siódemkę, pułkownik oderwał się wreszcie od tekstu i spojrzał Tomasikowi prosto w oczy.

- I chce mi pan powiedzieć - zaczął powoli, poważnym głosem - że to wszystko, co jest tu zapisane, to prawda?

- Niestety tak, panie pułkowniku.

Dąbek milczał zaskoczony.

- Ja wiem, że to wszystko wygląda niewiarygodnie - kontynuował swoje wyjaśnienia spokojnym, opanowanym głosem Tomasz. Musiał przekonać siedzącego obok niego oficera, że nie jest żadnym szaleńcem, nie konfabuluje i że to wszystko działa się i dzieje naprawdę. - Wiem, że to brzmi jak beznadziejny fragment



którejs z gorszych książek Ludluma czy Clancy'ego. Ale wiem też, że odkąd zetknąłem się z tą sprawą - a było to zaledwie niecały tydzień temu - zginęło dla niej już co najmniej dziesięciu ludzi. Sam osobiście zastrzeliłem trzech. - Zamilkł na chwilę. - A pan? - zmienił nagle temat. - Zabił już pan kiedyś człowieka?

Dąbek podniósł na niego zamyślane oczy i milczał. Nie słysząc żadnej odpowiedzi, Tomasik wrócił do sedna sprawy.

- A w tak zwanych wolnych mediach nie znajdzie pan na ten temat żadnej, nawet najmniejszej, wzmianki.

I znowu zapadła znacząca cisza. Pułkownik odwrócił w końcu od Tomasika wzrok i zapatrzył się na mijany za oknem pejzaż. Właśnie wjechali na ekspresówkę, zwaną popularnie betonką, która łączyła Elbląg z przejściem granicznym w Grzechotkach. W razie potrzeby można nią było też dojechać z powrotem do Braniewa. Mijana okolica była naprawdę piękna. Gęste bukowe lasy, przeplatane rozległymi polami i pastwiskami, pełnymi owiec, krów i koni. I tylko gdzieniegdzie w oddali widniały stare, najczęściej jeszcze ponemieckie, zbudowane z czerwonej cegły i pokryte czerwoną dachówką pojedyncze zabudowania gospodarskie. Cała okoliczna przyroda wręcz kipiała zielenią w ciepłych promieniach porannego słońca.

- Wie pan co? - przerwał w końcu ciszę Dąbek. Mówił przy tym jakby bardziej do siebie niż do Tomasza. - Pewnie się powtórzę, ale właściwie to powinienem pana natychmiast wyrzucić z mojego auta. I przyjąć założenie, że albo jest pan chory psychicznie, albo cierpi pan na jakieś zaburzenia neurotyczne. Albo, co gorsze, założyć, że może jest pan jakimś prowokatorem rosyjskich czy też naszych służb specjalnych. I po prostu sprawdza mnie pan i czeka na moją reakcję. Ale problem polega na tym - zawiesił na chwilę w zamyśleniu głos - że ja panu niestety wierzę.

Zaskoczony Tomasik popatrzył na niego nieufnie. Facet mówił poważnie? Czy go po prostu wkręcał?

W tym momencie z kieszeni munduru Dąbka dobiegły ich pierwsze takty muzyki z czołówki *Czterech pancernych i psa*. Pułkownik nie przejmując się obecnością Tomasza, natychmiast odebrał.

- Tak, Witek?

Przez krótką chwilę słuchał tego, co ktoś do niego mówił, a potem odpowiedział:

- OK. Rozumiem. Cześć.

A potem natychmiast wrócił do rozmowy, jakby jej w ogóle nie przerywał.

- Wierzę panu, bo niestety oprócz pana i kapitana Tuszyńskiego

wczoraj wieczorem zwrócił się do mnie z tą samą sprawą jeszcze jeden człowiek. A skoro jest was już trzech i mówicie o tym samym, to coś w tym musi być.

Tomasik nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

- Kim jest ten trzeci?

- Mówi panu coś nazwisko Drozd? Witold Drozd?

- Drozd? - zapytał zdziwiony Tomasik. - Nie rozumiem. Ten poseł? A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Dąbek westchnął i jego poważna skupiona twarz jeszcze bardziej się zasepiła.

- A co pan wie na jego temat?

- Hm, chyba jest z Ruchu Pukalskiego. Jest członkiem sejmowej komisji obrony i... to chyba wszystko.

Tak naprawdę jednak to słyszał też jeszcze o kilku poważnych wybrykach obyczajowych pana posła, opisywanych szeroko przez kolorową prasę namiętnie czytowaną kiedyś przez jego Agnieszkę. Ale uznał, że to akurat w tym momencie nie powinno mieć żadnego znaczenia.

- Hm - mruknął tym razem Dąbek. - A wie pan, kim był na początku lat dziewięćdziesiątych?

- Nie mam pojęcia.

Pułkownik westchnął.

- Grzesiu! - zwrócił się nonszalanckim głosem do swojego kierowcy. - Przypomnij nam, kim wtedy był nasz dzisiejszy pan poseł Witek Drozd!

- Melduję, panie pułkowniku - odezwał się natychmiast kierowca - że był wtedy bandytą i mafiozem! Ale z zasadami! Jak obiecał komuś, że zapłaci, to płacił. A jak obiecał, że spuści komuś wpierdół, to spuszczał. Zajmował się przemytem i handlem z Ruskimi. I ponoć miał jakieś kontakty z mafią z Trójmiasta. Trząsał całym naszym powiatem. Do dziś ludziska opowiadają o nim historie, jak to się wtedy można było dzięki niemu szybko dorobić i jak się towarzystwo po udanej większej akcji bawiło. Facet miał ponoć jaja! Robił numery jakich mało. A potem to on chyba siedział w pierdłu!

- Ale co to ma wspólnego z nami? - zapytał naiwnie Tomasz, choć tak naprawdę to chciał po prostu przyspieszyć dojście do sedna sprawy.

- Ano to ma wspólnego z nami, panie kapitanie - głos znowu przejął Dąbek - że jak już był w tym pierdłu, to się chłop wziął za siebie i wyszedł z niego, będąc już innym człowiekiem. Zrobił studia, przeczytał kilka mądrych książek i stwierdził, że zostanie politykiem. I to nie jakimś tam samorządowym szaraczkiem, tylko

takim z prawdziwego zdarzenia! Na przykład posłem! A że kasę już miał, a nasz wymiar sprawiedliwości nie potrafił mu jej odebrać, więc jakoś mu się to wszystko udało. Obecnie, jak pan już wie, jest posłem z ramienia Ruchu Pukalskiego i co dla nas ważniejsze, członkiem naszej komisji obrony. Nie ukrywam, że był u mnie częstym gościem i kilka razy nawet wstawił się za nami u kogo trzeba. Za kilka rzeczy zarówno ja, jak i całe Braniewo powinniśmy mu być wdzięczni. I proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy po wczorajszej rozmowie z panem kapitanem Tuszyńskim do moich drzwi zapukał nie kto inny, tylko właśnie pan Drozd. I to we własnej osobie.

- I? - zapytał coraz bardziej zaintrygowany tą historią Tomasik.

- I powiedział, że ma pewien poważny problem, w którego rozwiązaniu być może będę mógł mu pomóc.

\* \* \*

Kapitan Tuszyński stał na niewielkim porośniętym wysoką i gęstą trawą wzniesieniu i lustrował rozstawione poniżej na stanowiskach ogniowych czołgi. Widział jak ciężarowy star 266, który dowoził im skrzynie z amunicją, zatrzymywał się przy każdym z nich i załogi czołgów, to śmiejąc się, to klnąc na przemian, wynosiły z pojazdu i ustawiały na ziemi sporych rozmiarów ciężkie drewniane skrzynie. Potem żołnierze wyciągali z nich pociski i ładunki miotające, łączyli je i ładowali do swoich wozów.

Tuszyński spojrział na zegarek. Dochodziło południe. Wiedział, że niedługo powinien zjawić się tu dowódca brygady. I wtedy zobaczymy, co będzie się działo, pomyślał.

Jednak nie swojego dowódcy dzisiaj bał się najbardziej. Tak samo jak nie bał się o wynik strzelania. To wszystko tak naprawdę było dla niego akurat dzisiaj mało ważne. Wczorajszy trening, który przeprowadził z całym swoim plutonem zaraz po przyjeździe na miejsce, tylko potwierdził fakt, że w normalnych warunkach takie zadanie to dla niego i jego ludzi po prostu pestka. Najzwyklejsza pancerniacka robota. Rzecz jednak w tym, że niepokoił się o zupełnie inne sprawy.

Przez chwilę spróbował oderwać od tego myśli i zająć się czymś innym. Po co to strzelanie? - rozmyślał. Kto na nie przyjeżdża? Plotka głosiła, że ma to być Minister Obrony Narodowej albo i sam prezydent. Nie zmieniało to jednak najważniejszego pytania: po co ta cała szopka? Przecież na tym poligonie ciągle ktoś ćwiczył. Ciągle ktoś strzelał. Dlaczego więc właśnie oni? Dlaczego 9. Brygada? Dlaczego właśnie im kazano tak nagle tu przyjechać

i wykonać zwykłe kierowanie ogniem? Co prawda kazano im je wykonać przy wykorzystaniu nowego systemu, ale jednak to ciągle pozostawało tylko zwykłe kierowanie ogniem. Bez względu na to, co by wykorzystywali, wiadomo było, że będzie wzorowe! I nawet gdyby robiły to ciapciaki z 1. Warszawskiej bądź też z 15. Giżyckiej Brygady, też pewnie byłoby tak samo.

W tym momencie usłyszał dochodzący gdzieś z góry i gwałtownie przybierający na sile hałas. Zaintrygowany zadarł do góry głowę. Gdzieś od południowego zachodu, na wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów nadlatywał śmigłowiec. Po chwili rozpoznał znajomą sylwetkę. To był transportowy Mi-14 z białoczerwonymi szachownicami na spodzie kadłuba. Ho, ho. Leci ktoś ważny.

Żołnierze pakujący do czołgów amunicję też przerwali na chwilę swoją pracę i podobnie jak on zadarli do góry głowy. Oni również przypatrywali się znikającemu za pobliskim lasem śmigłowcowi. Jednak zanim zdążyli wrócić do swojej roboty, z tego samego kierunku zaczęły nadlatywać kolejne maszyny.

Jeden, drugi, trzeci - liczył w myślach Tuszyński. Dużo ich. Wszystkie leciały w tym samym kierunku, jeden za drugim. Spojrzał na zegarek. Była dwunasta dziesięć. Czas w dalszym ciągu biegł nadzwyczaj leniwie i wolno. Do pierwszej komendy o otwarciu ognia zostały im jeszcze co najmniej dwie godziny.

I kiedy w głowie biednego Tuszyńskiego znowu zaczęły pojawiać się obezwładniające go strachem myśli, usłyszał tuż za swoimi plecami:

- I co się pan tak martwi, panie kapitanie?

Zaskoczony Tuszyński drgnął przestraszony i natychmiast odwrócił głowę. Zaledwie kilka metrów od niego stała potężna sylwetka dowódcy 3. batalionu czołgów podpułkownika Alojzego Dzbaną. A niecały metr za nim, z rękoma w kieszeniach, stał sam dowódca 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej pułkownik Jan Dąbek w towarzystwie stosunkowo młodego wiekiem i nieznanego mu oficera w stopniu kapitana.

\* \* \*

Wiktor Wiktorowicz spoglądał spod przymrużonych oczu na stojących przed nim w pozycji na baczność dziesięciu ludzi. Wszyscy byli ubrani i wyekwipowani w standardowe wyposażenie pododdziałów zmechanizowanych Wojska Polskiego.

Przygotowując się do tej akcji, Wiktor zadbał o wszystkie szczegóły i detale. Mężczyźni mieli na sobie takie same mundury,

takie same berety i hełmy, a nawet takie same jak u zwykłych polskich zmecholi maski przeciwgazowe i karabinki 5,56 mm beryl. Sfałszowane legitymacje służbowe wystawione były na nazwiska żołnierzy naprawdę służących w giżyckim batalionie i od oryginałów różniły się jedynie widniejącymi w nich zdjęciami. Na rękawach mundurów mieli oryginalne naszywki rozpoznawcze ćwiczącego właśnie w pobliżu pododdziału 15. Brygady Zmechanizowanej z Giżycka i jedyną rzeczą, którą mogła ich zdradzić, była zawartość ich plecaków. W nich to bowiem znajdowała się większość potrzebnych im do wykonania zadania akcesoriów, których z całą pewnością nie dałoby się znaleźć w plecaku zwykłego polskiego zmechola.

- Nieźle, szefie, co? - zapytał stojący na prawym skrzydle Arkadiusz. Na jego zielonym i zawadiacko ułożonym berecie z orzełkiem w koronie oraz na piersiach widniały dystynkcje młodszego chorążego, a na naszywce z nazwiskiem wykaligrafowane było: MARECKI. - Nawet gdyby Żandarmerii Wojskowej zachciało się nas skontrolować, to i tak damy sobie radę.

- Nie jestem tego taki pewien - mruknął w odpowiedzi znudzonym głosem Wiktor i obejrzał się na stojący za jego plecami bungalow. Odczekał jeszcze w milczeniu kilkanaście długich sekund, słuchając przy tym mimowolnie dyrdymałów opowiadanych przez Arkadiusza, aż w końcu zwrócił się do niego z wyraźną już irytacją:

- Zamknij się Arek i skocz po Tommy'ego! I powiedz mu, że ma się pośpieszyć!

- Tak jest! - wyprężył się służbiście Arkadiusz i z uśmiechem podbiegł do bungalowu. Po chwili dało się stamtąd słyszeć głośne przekleństwa i krzyki.

- Ruchy! Ty pieprzona parowo, nieudolna podróbo polskiego oficera! Myślisz, że mamy czas na twoje zabawy w teatr?! Ty masz się tylko na chwilę pokazać tym palantom, i to z daleka! Zrobić swoje i wiać na miejsce zbiórki! A nie zabawiać ich odgrywaniem roli pana kapitana Tomasika! - Odwrócił się do reszty chłopaków i z szerokim uśmiechem meldował podchodzącemu do niego dziwnie obojętnemu Wiktorowi. - Już idzie, jebaniec jeden! On chyba sobie myśli, że przyjechał tu po Oskary.

Lecz nie dokończył, bo w tym momencie znajdujący się już zaledwie pół metra od niego olbrzym nagle doskoczył do niego, złapał błyskawicznie za szyję i mocno przydusił do własnej piersi. Ten tylko jęknął i rozrzucił szeroko w bezradnym geście poddania ręce.

- Posłuchaj mnie, Arkadiuszu! - szeptał mu tymczasem do ucha

Wiktor. - Przestań mnie wkurwiać! - I jeszcze mocniej zacieśnił uścisk. - Albo cię zabiję! - Potem poluzował na chwilę uchwyt i pozwolił złapać mu jeden płytki haust powietrza. Następnie znowu docisnął. - Zachowujesz się jak idiota! Pierdolisz i pierdolisz! I to ciągle z jakimś popapranym uśmiechem na gębie! Jak jakaś pieprzona ciota! Od nadmiaru słońca zlasował ci się mózg w tej pieprzonej Afryce? A może to ty jesteś tylko podróbką Arkadiusza, którego znałem i z którym polowałem na pieprzonych czeczeńskich terrorystów w tych zafajdanych górach? Co?

„Marecki” czuł, że się dusi. Oczy niemalże wychodziły mu z orbit.

- Potrzebuję cię takiego, jakim byłeś w Czeczeni! - kontynuował olbrzym. - Rozumiesz? Takiego samego! A nie jakiegoś rozchichotanego, rozmemłanego piździelca! Rozumiesz?

Zamroczony już lekko Arkadiusz spróbował kiwnąć potakująco głową, ale nawet tego nie był w stanie zrobić. Mrugał tylko bezradnie oczyma, próbując w ten sposób okazać swoje całkowite posłuszeństwo i oddanie.

- Poprawisz się? - Wiktor znowu poluzował jego szyję. Tym razem pozwolił mu zrobić dwa głębokie wdechy, po czym poklepał go lekko po policzku. - Poprawisz się czy nie? - powtórzył.

- Jasne, Wiktor - wydusił w końcu z trudem Arkadiusz. - Przecież wiesz, że cię nie zawiodę Nigdy!

- Tak właśnie myślałem, Arczku, tak właśnie myślałem.

Wiktor puścił go i odepchnął lekko od siebie. Potem odwrócił się do niego plecami i rzucił po polsku w kierunku pozostałych mężczyzn.

- Pakować się do wozów. Mamy - spojrzał na zegarek - dokładnie pięćdziesiąt sześć minut do godziny W. I od tej pory - zawiesił na chwilę głos - milczycie! Jeżeli musicie już coś powiedzieć, to mówicie tylko i wyłącznie po polsku! W razie spotkania z kimkolwiek prawo rozmowy mam tylko ja, Arkadiusz i Tommy, czyli nasz Tomasz Tomasik! Jakies pytania, niejasności? Nie? To naprzód!

Mężczyźni rzucili się w kierunku stojącego kilkanaście metrów dalej garażu. Dopiero w tym momencie z bungalowu wychylił się ubrany po cywilnemu mężczyzna, który wyglądem bardzo przypominał Tomasika. Na jego widok Wiktor uśmiechnął się lekko i pokiwał znacząco głową.

- Gotowy? - mruknął do niego głośno.

- Tak.

- To dołącz do reszty.

Wiktor wyjął z kieszeni munduru najnowszy model Samsunga

i wybrał zakodowany numer. Po trzecim sygnale z drugiej strony odezwał się spokojny kobiecy głos.

- Mów.

- Jesteśmy gotowi.

- To dobrze. Obiekt numer jeden właśnie dotarł do celu. To samo obiekty numer dwa, trzy i cztery. Są z nimi nasi figuranci. Za trzy minuty zaczniemy transmisję live. Bądźcie na odbiorze. Czy wszystko jest jasne?

- Tak.

- Powodzenia!

Wiktor odczekał kilka sekund. Z garażu właśnie wyjechały dwa zgnięte honkery wypełnione ludźmi i specjalistycznym wojskowym sprzętem. Spojrzał na zegarek. Do godziny W pozostawało jeszcze niecałe pięćdziesiąt minut. Rozejrzał się po podwórku, gdzie jego ludzie spędzili kilkadziesiąt ostatnich godzin. Położenie wynajętej posesji było wręcz idealne. Nadal wszędzie było cicho i pusto. Wyglądało więc na to, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Uspokojony podniósł z ziemi swój niewielki plecak z mapnikiem i złapał za lufę karabinka. Potem podszedł do czekającego na niego z włączonym i pracującym dosyć głośno silnikiem honkera. Otworzył tylne drzwi i sprawnie wskoczył do środka.

- Ruszaj - rzucił rozkazująco w kierunku kierowcy. - A wy - spojrzał na siedzących naprzeciwko niego informatyków - odpalajcie swój sprzęt i ściągnijcie mi zaraz obraz naszych ptaszków.

Mężczyźni skinęli potakująco głowami i od razu sięgnęli do niewielkich skrytek pod siedzeniami, gdzie ukryte mieli laptopy ze słuchawkami. Po chwili uruchomili je i już niecałą minutę później jeden z nich dotykał ostrożnie ramienia Wiktora.

- Są - wskazał na monitor i przysunął mu go prosto pod nos.

Ten spojrzał na ekran i zobaczył dobrze sobie znany z oglądanych wcześniej zdjęć obraz pasa taktycznego orzyskiego poligonu. Tyle tylko, że widziany z góry i to live, gdzie właśnie teraz na płaskiej i pokrytej jedynie trawą i pojedynczymi krzewami otwartej przestrzeni stały świetnie widoczne i zupełnie niezamaskowane, rozstawione od siebie co kilkadziesiąt zaledwie metrów, cztery opancerzone wozy bojowe.

- Daj zbliżenie - zakomenderował Wiktor.

Technik natychmiast powtórzył komendę do jednego z dwóch operatorów obsługujących pracujące na ich rzecz drony.

I już po chwili obraz zaczął się stopniowo powiększać. Po sylwetkach i widocznych już nawet z tej odległości dodatkowych

plytkach reaktywnego pancerza można było rozpoznać spodziewane właśnie w tym miejscu PT-91 Twardy. Wokół czołgów krzżeli się ludzie, wyjmując z leżących nieopodal skrzyń jakieś niewielkie podłużne przedmioty. Amunicja - przemknęło przez głowę Wiktora. Ładują się.

W tym momencie obraz z bezzałogowca zahaczył o kilka sylwetek ludzkich znajdujących się zaledwie kilkadziesiąt metrów za linią czołgów. Wiktor natychmiast poczuł znajomy dreszczyk emocji.

- Chcę zobaczyć zbliżenie - mruknął ponownie do siedzącego obok technika.

Tak, jak na razie wszystko układało się po jego myśli. Na ekranie, i to całkiem wyraźnie, widoczni byli: dowódca 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancерnej pułkownik Jan Dąbek, dowódca 3. batalionu czołgów podpułkownik Alojzy Dżban, kapitan Wojciech Tuszyński oraz jego stary znajomy Tomasz Tomasik wystrojony w zwykły polowy mundur. No proszę, proszę, pomyślał rozweselony Wiktor. Już prawie wszyscy aktorzy dzisiejszego dramatu są w komplecie.

Oderwał wzrok od komputera.

- A co się dzieje na naszym drugim telewizorku? - zwrócił się do kolejnego technika.

Ten pokazał mu ekran monitora, na którym widniała niewielka przenośna trybunka, chwilowo pusta, lecz obok której widać było ciągle kręcących się pojedynczych ludzi.

- Przyjechali już? - zapytał Wiktor, chociaż znał odpowiedź.

- Nie - potwierdził tylko jego domysły mówiący po polsku, lecz słabo, z miękkim i trochę zbyt wyraźnym wschodnim akcentem, mężczyzna.

Wiktor przez krótką chwilę oglądał jeszcze dobrze sobie znaną okolicę, a potem oderwał wzrok od monitora i nakazawszy informatykom komunikować sobie o wszystkim, co się dzieje, przymknął na chwilę oczy. Jeszcze tylko ta jedna akcja - rozmyślał. A potem wyjazd i urlop! Do końca życia! Musi się udać! I zacisnął jeszcze mocniej dłonie na lufie trzymanego w rękach beryla.

\* \* \*

Członek Sejmowej Komisji Obrony Narodowej poseł Witold Drozd jako pierwszy wysiadł z niewielkiego busa, którym przywieziono pod samą trybunę zaproszonych na dzisiejszy pokaz gości. Tuż za nim z pojazdu wyłonił się doradca Prezydenta RP profesor Jarosław Tara, a za nimi wytoczyło się jeszcze kilku kolejnych posłów



i urzędników w większości z Ministerstwa Obrony Narodowej.

- To co teraz, panie profesorze? - zapytał Marek Susłowski, poseł opozycyjnej Polityki i Samorządności, zwracając się bezpośrednio do prezydenckiego doradcy. - Machniemy po jednym?

- Nie - Tara uśmiechnął się krzywo. Nie lubił pić alkoholu w takich warunkach. - Picie to był dla niego swoisty rytuał. Potrzebował do tego odpowiedniego miejsca, towarzystwa i nastroju. A w tym momencie żaden z tych warunków nie był spełniony. - Może innym razem, panie pośle - odpowiedział więc wymijająco.

- Eee tam, panie profesorze. - Mężczyzna był już po kilku głębszych i teraz robił się nieco zbyt wylewny i nachalny. Tara dobrze wiedział, dlaczego facet tak mu nadskakiwał, chcąc wkupić się w jego łaski. Po prostu miał nadzieję, że w ten sposób ułatwi sobie obronę napisanej niby przez siebie pracy doktorskiej. Lecz Tara już w przedstawionym mu do pierwszej recenzji materiale od razu rozpoznał rękę niemalże zawodowego pisarza magisterek i doktoratów Zenona G. Tajemniczego faceta, o którym wiedział, że jakimś dziwnym trafem był autorem co najmniej kilku czy nawet kilkunastu tego typu prac, napisanych na jego uczelni i to dla naprawdę znanych ludzi z naprawdę znanymi nazwiskami.

- Niech się pan profesor tak nie denerwuje - kontynuował Susłowski. - To przecież nie my będziemy tu strzelać, tylko zawodowi żołnierze. No chyba że pan profesor nie lubi huk, ale wtedy też lepiej sobie wałnąć jednego głębszego na rozluźnienie niż się męczyć.

W tym momencie stojący za nimi wyraźnie podenerwowany Drozd warknął:

- Spierdalaj stąd, Marek! Nie widzisz, że pan profesor nie ma nastroju na żadną gadkę?

- A ty co? - wzburzył się Susłowski i nastroszył niczym gotowy do walki kogut. - Mnie też będziesz chciał bić?

Drozd zmiął tylko pod nosem ciężkie przekleństwo i nie chcąc wszczynać niepotrzebnej awantury, odszedł kilka kroków w stronę namiotu, skąd właśnie wychylił się generał Daniel Danisiewicz, dowódca Wojsk Zmechanizowanych i Pancernych.

- Witam panów - generał przywitał ich nerwowym uśmiechem. - Zapraszam państwa do namiotu na mały poczęstunek. Za jakiś kwadrans oczekiwany jest przyjazd pana prezydenta z naszymi gośćmi. Zapraszam!

Przybyli skierowali się do namiotu. Idący przodem Drozd otarł się niechcący o profesora Tarę.

- Przepraszam - rzucił.

- Ależ nie ma za co - wyglądało na to, że profesor również był lekko podenerwowany. - A tak właściwie, to muszę panu podziękować.

Drozd spojrział na niego zdziwiony.

- Za co? - zapytał.

- Za to nieprzyjemne zdarzenie z posłem Susłowskim. Faktycznie nie miałem ochoty z nim rozmawiać.

Drozd parsknął nerwowym i wymuszonym śmiechem.

- Rozumiem. Proszę, niech pan profesor wchodzi - i przepuścił go przed sobą. Weszli do wielkiego wojskowego namiotu zastawionego rozkładanymi stołami, na których pyszniły się smakowicie wyglądające przekąski i liczne napoje chłodzące. - Nie wiedziałem, że pan profesor interesuje się wojskiem?

- Och, nie - Tara natychmiast zaprzeczył. - Rzeczywiście kompletnie się nim nie interesuję. Ale dzisiejszy pokaz, jak pan zapewne już słyszał, jest specyficzny ze względu na naszych gości, którymi mam się zająć.

- Tak? - Drozd udał zdziwienie. - A tak właściwie, to kto ma nas dzisiaj odwiedzić? Bo wszyscy robią z tego jakąś wielką tajemnicę.

- Hm - zmieszał się Tara. - Teraz to już chyba niczego nie zdradzę, bo ci goście zaraz tu będą. Na dzisiejszy pokaz, oprócz naszego prezydenta, przyjeżdża też prezydent Ukrainy z delegacją swojego Ministerstwa Obrony.

- Prezydent Ukrainy? - zdziwił się Drozd. - A po co on tutaj?

- No cóż. Ukraina toczy wojnę i wyraźnie ją przegrywa. Potrzebuje broni i nowych technologii. Ich czołgi nie radzą sobie w starciach z „rosyjskimi separatystami” i potrzebują natychmiastowej modernizacji. A nasze fabryki produkują coś, co mają już nasze Twarde z 9. Brygady, a co ponoć jest skuteczne i może im trochę pomóc. My to chętnie im sprzedamy. Pod warunkiem że transakcja odbędzie się bez zbędnego rozgłosu.

- Uhm - mruknął z roztargnieniem Drozd. Zaczynał rozumieć złożoność i delikatność sytuacji. Swojej sytuacji. - To rzeczywiście może być ciekawie.

- Będzie - zawtórował mu będący już myślami zupełnie gdzie indziej i posmutniały dziwnie Tara.

\* \* \*

Pułkownik Dąbek patrzył na stojącego przed nim Tomasika.

- To w którym momencie spodziewa się pan kłopotów? - zapytał.

Tomasik zrobił zakłopotaną minę.

- Nie wiem - odparł szczerze.

Niezadowolony Dąbek zmarszczył czoło.

- Ale wiem - dodał natychmiast Tomasz - że skoro zdecydowali się tutaj przyjechać i kazali przyjechać też posłowi Drodzowi, na którego mają jakiegoś haka, a być może jeszcze komuś innemu, to nie zrobili tego bez przyczyny. Zakładam, że mają tutaj kilka celów lub kilka niezależnych od siebie zadań do wykonania.

- Skąd pan wie, że kilka? - dopytywał się Dąbek.

- Operacje służb specjalnych trochę różnią się od operacji wojskowych. Zwłaszcza te organizowane przez wywiad - improwizował Tomasz. Wiedział, że ciągle dopiero pracuje na zaufanie u pułkownika Dąbka. A wyrażenia „nie wiem” czy „nie jestem pewien”, których zdążył już kilkakrotnie użyć, na pewno nie podbudowały jego autorytetu w jego oczach. - Wywiad planując jakąkolwiek akcję na terenie obcego kraju, każdorazowo zakłada sobie kilka celów, a do nich jeszcze przynajmniej po kilka możliwych scenariuszy, które i tak w razie potrzeby i rozwoju sytuacji można modyfikować. Chodzi o to, aby bez względu na ewentualne potknięcia móc coś z danej operacji wyciągnąć pozytywnego dla siebie, a potem przedstawić to przełożonym jako ostateczny, choćby połowiczny sukces.

Przerwał na chwilę i spróbował się zorientować, czy pułkownik podąża jego tropem myślenia.

- Sprytne - mruknął Dąbek. - Czyli gdybym dostał rozkaz zajęcia Moskwy, a zajął tylko Brześć nad Bugiem, to i tak mógłbym nazwać to częściowym sukcesem i wykonaniem zadania?

- Mniej więcej - odparł z wymuszonym uśmiechem Tomasz. - Rzecz jednak w tym - kontynuował - że nie do końca wiemy, jakie są tak naprawdę ich priorytety. Czy numer jeden to zabicie kapitana Tuszyńskiego? Bo jeżeli tak, to rodzą się następne pytania. Na przykład jak ważna jest dla nich wcześniejsza z nim rozmowa i dlaczego właśnie tu i teraz? No i na jaki temat? Matrioszek? Jego wiedza o tym, co przekazał mu ojciec? Śmierć jego siostry? Bo przecież na pewno mogli go już zlikwidować dużo wcześniej i łatwiej w Braniewie czy w Gdyni. Czy też numerem jeden jest dla nich akurat w tym momencie likwidacja naszego prezydenta w trakcie pokazu działania sprzętu wojskowego?

- Albo zabicie prezydenta Ukrainy - przerwał mu nagle, patrzący na niego uważnie Dąbek.

- Proszę? - Tomasza na chwilę zamurowało. - Może pan pułkownik powtórzyć?

- Ten pokaz organizowany jest nie z myślą o naszym prezydencie, tylko o prezydencie Ukrainy - Dąbek mówił spokojnym

i pewnym siebie głosem. - Nie mówiłem panu o tym wcześniej, ponieważ najpierw chciałem poznać pana osobiście. Sprawdź! Wyjawiam panu w tej chwili tajemnicę służbową. Ale nie ukrywam, że jak tylko zadzwonił do mnie kapitan Tuszyński ze swoją nietypową prośbą, a potem zjawił się u mnie pan poseł Drozd, pomyślałem, że to wszystko razem się jakoś ze sobą dziwnie zazębia. I może mieć jednak jakiś sens.

- I dlatego zdecydował się pan mi zaufać?

Dąbek pokiwał tylko potakująco głową.

- Nie doceniłem pana - mruknął Tomasz. - O pancerniakach słyszałem różne dziwne rzeczy.

- Proszę mi tego nie powtarzać.

Tomasik uśmiechnął się lekko pod nosem.

- Tak. To proszę mi jeszcze powiedzieć - zaczął z innej beczki - czym jeszcze chce mnie pan dzisiaj zaskoczyć, panie pułkowniku?

Teraz z kolei Dąbek się roześmiał.

- Faktycznie, mam dla pana jeszcze kilka niespodzianek.

- Mianowicie?

Dąbek gwałtownie spowaźniał.

- Jestem żołnierzem. A w wojsku obowiązuje hierarchia i pewne procedury. Jako dowódca brygady mam nad sobą swojego przełożonego, dowódcę dywizji. A on też ma swojego przełożonego.

Tomasik czuł, jak cierpnie mu skóra.

- W związku z tym chcę, żeby pan wiedział, iż o całej tej naszej dzisiejszej wojnie poinformowałem dowódcę dywizji, pana generała Bogdana Skórnickiego, oraz mojego oficera obiektowego SKW sprawującego nadzór nad moją brygadą.

- I co oni na to? - westchnął Tomaszik.

- Nie wiem. Ja zrobiłem swoje. Teraz chcę panu po prostu pomóc, ale musi pan też wiedzieć, jak wygląda całokształt sytuacji.

- OK, panie pułkowniku. Chyba pana rozumiem. Mogę mieć tylko nadzieję, że ci panowie okażą się godni zaufania i że to nam nie zaszkodzi.

W tym momencie z kieszeni pułkownika dobiegła melodia z *Czterech pancernych*.

- Melduję się, panie generale - rzucił natychmiast Dąbek do słuchawki. - Będę za pięć minut, panie generale.

Dąbek wyłączył telefon i spojrzał z lekkim napięciem na Tomasza.

- Muszę jechać na wieżę. Stamtąd będę obserwował strzelanie. Nie będę miał już na nic bezpośredniego wpływu - przeniósł wzrok na oddalone o kilkadziesiąt metrów czołgi i rozmawiającego z kapitanem Tuszyńskim i z ich załogami podpułkownika Dzbana.

- Teraz już wszystko jest w ich i w pana rękach. No chyba że jednak któraś z naszych służb wzięła to, co im przekazałem, na poważnie i się nami zainteresowała. I teraz nam pomoże. - Przerwał na chwilę. - Aloś! - krzyknął w kierunku podpułkownika Dzbana. Ten natychmiast się odwrócił. - Do mnie!

Dzban rzucił jeszcze dwa słowa do stojących przed nim żołnierzy, po czym zaczął biec do Dąbka i Tomasika.

- Jadę z pułkownikiem Dzbanem na tę pieprzoną wieżę - mówił półgłosem Dąbek. - Niedaleko od niej - wskazał ręką w prawo - jest rozstawiona trybuna dla VIP-ów. Tam prawdopodobnie będą siedzieć wszyscy zaproszeni goście. Czołg kapitana Tuszyńskiego to ten drugi od prawej. Na antenie ma największą chorągiewkę. Oddaję też do pana dyspozycji honkera z kierowcą. Chorąży Marek Maślak, szef kompanii logistycznej. Nie jest wtajemniczony w sprawę. Myśli, podobnie jak podpułkownik Dzban, że jest pan kapitanem z SKW. Zwykłym ucholem dodanym nam dla zabezpieczenia kontrwywiadowczego całej tej zabawy. Proszę więc ich przypadkiem nie wyprowadzać z błędu, oczywiście jeżeli nie będzie takiej potrzeby. - Dzban już do nich dobiegał. - Ma pan jeszcze jakieś pytania? - Dąbek wyraźnie chciał skończyć rozmowę przed jego przybyciem.

- Nie, panie pułkowniku. Dziękuję!

- To życzę panu powodzenia, panie kapitanie! - Dąbek z powagą uściśnął mu na pożegnanie rękę. - W razie potrzeby proszę dzwonić!

- Tak jest, panie pułkowniku!

Stojące kilkanaście metrów za nimi auta odpaliły niemalże jednocześnie. Dąbek razem z Dzbanem natychmiast wsiedli do terenowego mercedesa, a Tomasik zapakował się do zwykłego honkera, którym kilkanaście minut wcześniej przyjechał tu podpułkownik Dzban.

- Witam - wyciągnął na przywitanie rękę. - Kapitan Tomasz Tomasik. Pułkownik Dąbek powiedział, że jest pan do mojej dyspozycji.

- Tak jest, panie kapitanie - siedzący za kierownicą około trzydziestoletni, sporych rozmiarów chłop, szczyrzył do niego wesoło zęby. - Chorąży Marek Maślak. Ale chłopaki mówią na mnie Grzybek.

- Dlaczego? - zapytał ze śmiechem Tomasz.

- Maślak, pieczarka, grzybek. Sam nie wiem! Tak się po prostu przyjęło. To dokąd jedziemy, panie kapitanie?

Tomasik, który już od dłuższej chwili zastanawiał się nad kolejnym krokiem, natychmiast odpowiedział:

- A jak blisko mamy radę podejść do trybuny z VIP-ami?

- A to już od pana kapitana zależy - odpowiedział chorąży. - Jak pan kapitan wyciągnie odpowiednie dokumenty, to może i całkiem blisko, ale ja żadnej dodatkowej przepustki na jakieś zamknięte strefy nie mam.

- OK - Tomasik uśmiechnął się porozumiewawczo. - W takim razie proszę ruszać. Zatrzymamy się w jakimś dyskretnym miejscu i popatrzymy sobie na to wszystko trochę z boku.

- Robi się, panie kapitanie! Znam nawet taką fajną miejscówkę. Będziemy stali sobie w krzaczkach i widzieli wszystko lepiej niż w kinie.

Maślak ruszył z miejsca i auto zaczęło się toczyć na terenowym biegu, zmierzając w kierunku szerokiej gruntowej drogi, tak zwanej generalskiej.

- A dobrze pan kapitan się zna z naszym pułkownikiem Dzbanem? - zapytał zniecierpliwiony kierowca.

- Trochę - odburknął niechętnie Tomasz.

Wolał nie zaczynać z chorążym rozmowy, bo zawsze istniało ryzyko powiedzenia czegoś, czego powiedzieć nie wypadało.

- No to pan wie - niezrażony tym chorąży opowiadał dalej niczym nakręcona katarynka - że potrafi być niemiły. Była u nas na kompanii taka niezła dupa. No wie pan dziewczyna. Wysoka, zgrabna, z dużym cycem i długimi czarnymi włoskami. A jak rano po zaprawie wychodziła spod prysznic w samej koszulce, to suty jej stały jak wentyle u stara. - Tomasik słysząc to obrazowe porównanie, mimowolnie się uśmiechnął. - No i chłopaki potracili dla niej głowę. Ona była w porządku, ale tym gorzej dla niej. Wszyscy zaczęli się do niej umizgiwać, popisywać się. W końcu nawet nasz Dzbanek zauważył, co się dzieje na batalionie. No a nasz Dzbanek, jak to nasz Dzbanek - żołnierz roześmiał się wesoło sam do siebie. - Pustak jeden, po prostu postanowił ją wylać i pozbyć się problemu! A tu nie ma jak! Bo dziewczyna wzorowy żołnierz. Niekarana, wysportowana, świetnie strzela, wszystkie sprawdziany ze szkolenia na piątki. Ale jej się nieoczekiwanie zaszło w ciążę. No i wtedy się dopiero zaczęło.

Tomasik słuchał jednym uchem tej całej paplaniny, lecz w tym momencie zza zakrętu wyskoczył z naprzeciwka honker z włączonymi sygnałami błyskowymi i oznaczony białymi literami ŻW.

- A ci co tu robią?! - zdążył wykrzyknąć Maślak, kiedy za honkerem wysypały się kolejne pojazdy.

Auta jechały środkiem drogi, zupełnie nie zważając na ich pojazd. Maślak chcąc uniknąć zderzenia, musiał gwałtownie zjechać

na prawą stronę I teraz klął jak szewc.

- Ożeż wy! - wyzywał. - Widzi pan, ile tych nierobów jedzie sobie popatrzeć, jak nasze chłopaki strzelają? Politykierzy jedni.

Tomasik obserwował mijające ich auta i opancerzone półterenowe limuzyny. Nie mogąc nic dojrzeć z powodu unoszącego się spod kół tumanów kurzu oraz zaciemnionych szyb, spróbował jedynie policzyć samochody. Jeden, drugi, trzeci. W sumie osiem lub dziewięć. To musi być ta kolumna prezydencka - przemknęło mu przez głowę. Auta zniknęły, a oni stali na poboczu, czekając, aż opadnie kurzawa.

- Skurwysyny jedne - w dalszym ciągu narzekał i biadolił poirytowany Maślak. - Niech pan teraz zobaczy, ile to naszych pieniędzy na tych nierobów idzie. A dla nas żadnych podwyżek, żadnych dodatkowych pieniędzy na szkolenie czy nowy sprzęt. Tylko obcinają i obcinają.

- Panie Marku - przerwał tę litanie zmęczony już nieco Tomasik. - Czy pan słyszał, w jakiej firmie pracuję?

- No, słyszałem - chorąży spojrzał na niego niepewnie. - Ale pan chyba im tego nie powtórzy, co?

- Nie - roześmiał się szczerze rozbawiony Tomasik. - Jednak niech ich pan już oszczędzi. Będę miał czystsze sumienie.

- Jasne, panie kapitanie.

Auto znowu ruszyło, a w środku panowała już cisza.

\* \* \*

Wiktor stał oparty o maskę honkera i z lekkim znudzeniem spoglądał na swoich ludzi dokonujących ostatniego sprawdzenia broni osobistej oraz znajdujących się na ich wyposażeniu dwóch wyrzutni RPG-7. Nagle z wnętrza samochodu dobiegł go głos.

- Uwaga! Zbliża się do nas Żandarmeria Wojskowa!

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie.

- Do wozu! - warknął spokojnym rozkazującym tonem Wiktor. - I nie wychylać się, póki was nie zawołam! Arek! - krzyknął w kierunku drugiego honkera.

Polak, który od czasu „rozmowy” z Wiktorem koło bungalowu starał się nie rzucić mu w oczy, wyskoczył natychmiast z auta i podbiegł do swojego dowódcy.

- Melduję się!

- Uważaj, żandarmi jadą. Będziemy z nimi gadać.

Wiktor nie zdążył nawet skończyć, kiedy dosłownie kilka metrów przed nimi nagle rozstała się jasnozielona ściana mocno ulistnionych krzaków i na niewielką polankę, na której oczekiwali

na sygnał do rozpoczęcia akcji, wjechał jasnozielony volkswagen z napisem ŻW. Kierowca volkswagena musiał być jeszcze bardziej zaskoczony ich widokiem niż oni obecnością żandarmów. W związku z tym kilka dobrych sekund trwało zanim w środku volkswagena ktoś podjął jakąkolwiek decyzję. Ostatecznie z pojazdu wyszło dwóch umundurowanych szeregowców.

- Dzień dobry. Starszy szeregowy Ryszard Gomólski Żandarmeria Wojskowa Bemowo Piskie - przedstawił się jeden z nich. - Co panowie tu robią?

Wiktor zmierzył go poważnym wzrokiem, po czym przeniósł wzrok w kierunku Arkadiusza. Ten chrząknął z lekkim zakłopotaniem i przerzucił sobie z jednej ręki do drugiej trzymany dotąd niedbale w niej bagnet.

- Wiecie, panowie - zaczął z zakłopotaniem. - Powinniśmy mieć tu zajęcia z taktyki. Ale dowiedzieliśmy się, że jakieś ważniaki mają się tutaj kręcić, więc woleliśmy zejść im z oczu.

- Zajęcia z taktyki? - zdziwił się drugi z żandarmów. Widok żołnierza bawiącego się bagnetem jakoś go nie zaniepokoił. - A z jakiej jesteście jednostki?

- Kompania rozpoznawcza z piętnastej - odpowiedział spokojnie Arkadiusz.

Żandarm sięgnął do bocznej kieszeni munduru, skąd wyciągnął mocno wygniecioną kartkę z planem wykorzystania obiektów poligonowych na ten dzień.

- Ale wy powinniście być w zupełnie innym miejscu - zaintrygowany oderwał od kartki wzrok. - Powinniście być...

Lecz nie dokończył. Stojący zaledwie półtora metra przed nim Wiktor nie czekał na ciąg dalszy. Dосkoczył do żandarma i wyciągniętym zza pleców nożem jednym cięciem poderznął mu gardło. Krew spłynęła po całej szerokości cięcia, płynąc cienkimi strumykami po szyi, ramionach i karku żandarma. Widząc, co się dzieje, bawiący się dotąd bagnetem Arkadiusz, cisnął nim w kierunku drugiego z żołnierzy. Rzut był perfekcyjny i nóż zagłębił się aż po rękojeść w samym środku mostka żandarma. Nieszczęśnik zdążył jeszcze zrobić wielkie ze zdziwienia oczy, złapać rękoma rękojeść wystającego z piersi noża, po czym jęknął i zwałił się bezsilnie do tyłu. Niemalże w tym samym momencie siedzący w pierwszym z honkerów Rosjanin wychylił się z auta i z przygotowanego już wcześniej pistoletu z tłumikiem wystrzelił kilkakrotnie w kierunku całkowicie zaskoczonego kierowcy volkswagena. W przedniej szybie radiowozu pojawiło się kilka niewielkich dziurek i ciężko ranny kierowca najpierw wychylił się przez niedomknięte drzwi, a po chwili, jakby w zwolnionym tempie,



po prostu wypadł przez nie na zewnątrz. Wijący się w przedśmiertelnych drgawkach żołnierz próbował jeszcze sięgnąć do umocowanego przy pasie glocka, lecz Wiktor nie miał dla niego żadnej litości. Podeszedł i butem przydusił mu na wysokości nadgarstka rękę do ziemi.

- Dobij go! - rzucił w kierunku strzelającego wcześniej kompana.

Ten wysiadł z samochodu i bez skrupułów strzelił patrzącemu mu prosto w oczy żandarmowi z dwóch kroków w skroń.

- To co teraz? - zapytał spokojnym beznamiętnym głosem przypatrujący się temu Arkadiusz. - Spadamy stąd?

- Nie - zdecydował oschle Wiktor. - Nic się nie zmieniło. Uprzątnijcie ciała! I dalej czekamy na sygnał!

W tym momencie kilkaset metrów dalej rozległ się pierwszy grzmot czołgowego wystrzału.

- Zaczęli - szepnął oszukańczy Tomasik, który jak gdyby nigdy nic właśnie wysiadł ze swojego honkera.

- To dobrze - potwierdził krótko Wiktor i spojrzał mężczyźnie uważnie w oczy. - Teraz będzie twoja kolej.

- Szefie! - rozległo się tuż za nimi ciche wołanie z honkera.

- Co jest? - obydwaj mężczyźni odwrócili się jednocześnie jak na komendę.

- Telefon do pana.

Wiktor zostawił Tommy'ego, wskoczył do auta i nałożył szybko słuchawki.

- Melduję się - rzucił po polsku do przymocowanego do słuchawek mikrofonu.

- Przyspieszamy akcję - kobiecy głos jak zwykle nie zdradzał żadnych uczuć. - Obiekty jeden, dwa, trzy i cztery są na miejscu. Nasi figuranci też. Zaczynajcie!

\* \* \*

Kapitan Tuszyński uważnie obserwował przedpole. Co kilka lub kilkanaście sekund w odległości kilkuset metrów przed nimi podnosiła się któraś z makiet imitująca czołg, wyrzutnie PPK lub też siłą żywą przeciwnika. I w zależności od tego, w której załogi sektorze ognia tarcze te się podnosiły, to ten czołg otwierał natychmiast ogień, starając się zniszczyć cel możliwie szybko i już za pierwszym strzałem. Czas ukazywania się figur był dosyć krótki, co nieco utrudniało sprawę. Amunicji do dyspozycji też nie było zbyt wiele. Ale wyznaczone do strzelania załogi były świetnie wyszkolone i znały ten teren jak własną kieszeń. Teraz to wszystko

przypominało raczej malutki teatrzyk jednego aktora, którym niewątpliwie był właśnie kapitan Tuszyński, wydający przez radio komendy i zbierający meldunki o stanie zużycia amunicji i liczbie trafionych celów od pozostałych załóg. Całość kierowania ogniem obserwowana była też z kilkupiętrowej murowanej wieży obserwacyjnej, gdzie siedział operator obsługujący strzelnicę oraz kierownik strzelania, którym nominalnie w tym momencie był etatowy dowódca strzelającego batalionu podpułkownik Alojzy Dzban. Wszystko widziano również na rozłożonej w pobliżu wieży trybunie, gdzie ustawiony był sporych rozmiarów ekran, na którym pokazywany był obraz z kamer filmujących wstające i opadające tarcze oraz gejzery wybuchów. Włączony był także nasłuch radiowy komunikacji między wszystkimi czołgami i nakładający się na ledwie słyszalne tu dalekie odgłosy eksplozji i wybuchów.

- Tygrys zero jeden, tu Tygrys dwadzieścia dwa - zagrzmiało w hełmofonie Tuszyńskiego. - Melduję zużycie amunicji. Pięćdziesiąt procent grubej, czterdzieści pięć karabinowej.

- Odebrałem!

Po chwili swoje zużycie podały kolejne załogi. Potem Tuszyński przełączył radio na łączność wewnętrzną.

- Adrian - zwrócił się do swojego działonowego. - Podaj zużycie.

- Czterdzieści pięć grubej, trzydzieści pięć karabin - meldował starszy szeregowy Adrian Malinowski.

Tuszyński odetchnął. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Zużycie amunicji za strzelający pluton kształtowało się na poziomie czterdzieści pięć gruba i czterdzieści pięć karabinowa. To przy procencie wykonania trafionych celów na poziomie około dziewięćdziesięciu pięciu - stu procent dawało mu sporo pewności siebie. Nie widział więc żadnych zagrożeń.

W tym momencie niemalże na wprost jego wozu podniósł się do góry kolejny cel. Tuszyński błyskawicznie przełączył radio na łączność wewnętrzną.

- Adrian! Dozór „Samotna sosna”, prawo pięćdziesiąt! Czołg! Podkalibrowy! Zniszczyć!

Nie zdążył jeszcze skończyć wydawania komendy, kiedy padł strzał. Czołgiem delikatnie wstrząsnęło. Do wnętrza wozu przez otwór lufowy wdarła się cienka wstążka dymu. Działonowy nie czekał na kolejną komendę. Dobrze znał swój fach i dlatego teraz nie musiał się zastanawiać nad kolejną czynnością czy wyborem amunicji. Doskonale wiedział, że automat ładowania w całości wypełniony był nabojami odłamkowo-burzącymi, które tylko imitowały amunicję podkalibrową lub przeciwpancerną. Po prostu wcisnął odpowiedni przycisk i automat natychmiast samodzielnie

załadował do lufy kolejny nabój. Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Przecież teoretyczna szybkostrzelność tej armaty wynosiła do dwudziestu trzech strzałów na minutę.

- Piechota na dziesiątej! - rzucił Adrian, który tym razem pierwszy zauważył kolejny cel.

Tuszyńskiemu nawet nie chciało się wydawać pełnej komendy. Ograniczył się do jednego słowa.

- Zniszczyć!

I kiedy Adrian otworzył ogień do powstałych z ziemi tarcz imitujących nacierającą piechotę ze swojego PKT, Tuszyński poczuł w kieszeni krótką wibrację telefonu. Oderwał wzrok od wizjera i sięgnął do kieszeni po komórkę. Na sporych rozmiarów ekranie zobaczył symbol SMS-a z nieznanego numeru. W normalnej sytuacji nawet nie zareagowałby na tego typu informację, ale dzisiaj wszystko wyglądało inaczej. Wcisnął otwarcie koperty i przeczytał jedno tylko krótkie zdanie:

- Uważaj na działonowego Adriana Malinowskiego.

Zaniepokojony Tuszyński natychmiast wyłączył telefon i odruchowo spojrział w lewo. Starszy szeregowy Adrian Malinowski ze skupioną miną obserwował sektor ognia, za który był odpowiedzialny. Nagle oderwał głowę od wizjera i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku swojego dowódcy. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały. Adrian jak zwykle w takich sytuacjach automatycznie wykrzywił usta w niemym uśmiechu, mrugnął znacząco i uniósł do góry kciuk na znak, że wszystko jest w porządku.

Cholera - przemknęło przez głowę Tuszyńskiego. Adrian? Przecież to niemożliwe. Ale ziarno nieufności zostało zasiane.

\* \* \*

Tomasik siedział w swoim honkerze ukrytym na skraju niewielkiego sosnowego zagajnika i z odległości kilkuset metrów obserwował strzelające niemalże bezustannie czołgi. Nie widział ich skuteczności, ale też i niewiele go to obchodziło. Wybuch za wybuchem. Wszystko to przeplatane terkotem krótkich, oszczędnych serii z PKT. Tak naprawdę to czuł się trochę zagubiony i odstawiony na bocznicy. Dobrze wiedział, że coś wisi w powietrzu, że coś musi się wydarzyć. Ale kompletnie nie wiedział co. I jakby miał temu czemuś zaradzić? Zaszedł tak daleko, a teraz był bezradny i nie wiedział co dalej. Bo o co chodziło olbrzymowi? Co było dla niego zadaniem i celem numer jeden? Co dla niego mogło być najważniejsze?

Analizował w myślach wszystkie możliwe scenariusze, próbując

przy tym wczuć się w rolę agenta rosyjskiego wywiadu. Lecz tych możliwych opcji było tyle, że kompletnie nie mógł się zdecydować na wybór tej najbardziej prawdopodobnej.

Wariant numer jeden: zabicie prezydenta Ukrainy. Facet ginie w Polsce w czasie pokazów sprzętu wojskowego. Tego nie dałoby się utrzymać w tajemnicy ani zbyt łatwo przeinaczyć w niezależnych mediach. Zyski dla Rosjan? Niewątpliwie wskazanie powiązań wojskowych między Polską i Ukrainą. Wskazanie słabości polskich i ukraińskich służb specjalnych. Wywołanie chaosu i zamieszania w obydwu tych krajach. Ale była też druga strona medalu. Przecież obecny prezydent Ukrainy był tak naprawdę człowiekiem Kremla. Jego wybór niewątpliwie musiał być wcześniej zaakceptowany przez Rosję i był dla nich w miarę wygodny. Pomimo że obydwa kraje prowadziły ze sobą niewypowiedzianą wojnę, w której ginęli ludzie i strzelała ciężka artyleria zarówno lufowa, jak i raketowa, to przecież ten sam ukraiński prezydent pozostawał nadal wielkim finansowym oligarchą, który przez cały czas prowadził z Rosją rozliczne prywatne interesy i miał po tamtej stronie granicy pozostawioną większość swoich aktywów.

Wariant numer dwa: zabicie prezydenta Polski. Kompletnie jego zdaniem bez sensu. Obecny prezydent był przecież raczej dla nich wygodny. Każdy z jego byłych i ewentualnych przyszłych konkurentów mógł być tylko bardziej wobec nich wrogi. No chyba że właśnie o to im chodziło.

Wariant numer trzy: Tuszyński i matrioszki. Ale to cholernie skomplikowane i mało prawdopodobne.

No i wariant numer cztery: a co jeżeli olbrzym wcale nie pracuje dla Kremla? Tylko robi jakieś inne interesy i to nie wiadomo z kim i dla kogo. Tego przecież też nie mógł wykluczyć. W popapranym świecie wielkiej polityki i wielkich pieniędzy, szpiegów, agentów i służb specjalnych interesy poszczególnych państw często mieszały się z prywatą.

- Boże - westchnął cicho do siebie, wzbudzając tym samym zainteresowanie siedzącego obok za kierownicą chorążego Maślaka. Co oni chcą osiągnąć? Co to jest? I dlaczego, do jasnej cholery, dla osiągnięcia tego celu musiało zginąć aż tylu ludzi? - dokończył już w duchu.

I w tym momencie jego rozmyślenia przerwał sygnał telefonu. Spojrzał na wyświetlony numer i mimo kompletnego zaskoczenia natychmiast odebrał.

\* \* \*

Dwóch niepozornych mężczyzn z psami kręciło się bezradnie wokół trybuny, na której stali prezydenci Polski i Ukrainy razem ze swoimi służbowymi delegacjami. Obydwaj przewodnicy, których zadaniem było znalezienie ewentualnych materiałów wybuchowych, sprawiali teraz wrażenie lekko poirytowanych zachowaniem swoich zwierzaków.

- Co jest? - zapytał przechodzący obok nich szef prezydenckiej ochrony major Andrzej Buczyński. - Jakież problemy?

- Jak zwykle w takich miejscach, szefie - mruknął niechętnie jeden z przewodników. - Tu się kręci tyłu żołnierzy z bronią, wszędzie czuć proch i trotyl, że psy po prostu głupieją.

W oddali rozległy się kolejne wystrzały i wybuchy. Pokaz kierowania ogniem trwał już ładnych kilka minut, a oni ze swoimi czynnościami byli po prostu mocno spóźnieni. Prezydenta jednak nie mogły interesować przecie ich problemy ze stłuczką podczas dojazdu do Orzysza. Pokaz musiał rozpocząć się zgodnie z planem.

Czołgowa kanonada znowu przybierała na sile.

- Dobra - machnął niecierpliwie ręką major Buczyński. - Róbcie dalej swoje jeszcze przez jakieś dwie, trzy minuty. A potem spadajcie.

- OK, szefie.

Mężczyzna wszedł na trybunę i obrzucił wszystko uważnym spojrzeniem. Niby wszystko wydawało się w porządku, ale nie wiedzieć czemu w środku czuł jakiś dziwny niepokój. Spojrzał na ukraińskich ochroniarzy, którzy przyjechali ze swoim prezydentem i rozglądali się teraz czujnie dokoła. Sprawiali wrażenie profesjonalistów. Ale jego ludzie przecie też nie próżnowali. Wszyscy znajdowali się na wcześniej wyznaczonych stanowiskach i tylko to pieprzone spóźnione zabezpieczenie pirotechniczne. Chyba właśnie ono go tak niepokoiło.

- Panie majorze - jego rozmyślenia przerwał członek sejmowej komisji obrony poseł Witold Drozd. - Dlaczego pirotechnicy dopiero teraz dokonują sprawdzenia naszej trybuny? Przecie to chyba powinno się odbyć dużo wcześniej.

- Zgadza się, panie pośle - przerwał mu natychmiast Buczyński, uśmiechając się przy tym z wyrozumiałą wyższością. Wiedział, że w tym momencie przed poważnymi komplikacjami może go uratować tylko pewność siebie oraz natychmiastowe przekonanie pana posła, żeby się nie wygłupiał ze swoimi dociekliwymi pytaniami. Bo jeżeli te dotrą do uszu prezydenta albo jego przełożonych, on będzie miał problemy. - Mieliśmy malutki poślizg z dojazdem. Niemniej mogę pana zapewnić, że wszystko jest już pod kontrolą i może się pan czuć zupełnie bezpieczny!

Drozd pokiwał niby ze zrozumieniem głową, lecz wyraźnie było po nim widać, że nie został uspokojony. Facet sprawiał wrażenie trochę zestresowanego.

Cholera - zaklął Buczyński w myślach. Przez tego pajaca jeszcze będą problemy. Żeby nie prowokować go do dalszych pytań, odszedł dwa kroki do tyłu i z tej odległości zaczął obserwować stojących przed nim pozostałych VIP-ów.

Obydwaj prezydenci, w dobrych humorach i bez udziału tłumaczy, wymieniali ze sobą jakieś uwagi. Ukraińscy specjaliści obserwowali wszystko z wielką uwagą, zadając co chwilę jakieś pytania towarzyszącym im przedstawicielom polskiej zbrojeniówki oraz kilku polskim oficerom z wysokimi stopniami. Inni posłowie, wyraźnie niezainteresowani tym, co się działo na dalekim przedpolu, zajęci byli sobą i własnymi sprawami.

I w tym właśnie momencie w jego słuchawce schowanej dyskretnie w lewym uchu lekko zatrzeszczało.

- Miron zero jeden, Miron zero jeden, tu Czesław zero dwa. Zgłoś się!

- Zgłaszam się!

- Mamy problem.

- No?

- Mamy informacje, że w ciągu kilku najbliższych minut może nastąpić próba zamachu na życie naszego gościa! Nie wiemy tylko jak!

Na kilka krótkich sekund Buczyński aż zaniemówił z wrażenia.

- Co?! - wydukał w końcu z niedowierzaniem. - Powtórz!

- Powtarzam! Mamy informacje, że w ciągu kilku najbliższych minut może nastąpić próba zamachu na życie naszego gościa!

Buczyński zmartwił.

- Boże - szepnął do siebie z trwogą. - Nasi pirotechnicy.

\* \* \*

Pułkownik Jan Dąbek stał na najwyższym balkonie wieży kierowania ogniem, skąd w towarzystwie podpułkownika Alojzego Dzbaną i kilku innych mniej ważnych oficerów obserwował przez lornetkę dotychczasowy przebieg strzelania. Przez cały czas włączona była też nastawiona na nasłuch radiostacja, która relacjonowała live wszystkie komendy wydawane i odbierane przez dowódcę ćwiczącego pododdziału, kapitana Tuszyńskiego. Jak na razie wszystko szło bez najmniejszych zgrzytów i nic nie wskazywało na choćby najmniejsze problemy.

Uspokojony tym nieco Dąbek przeniósł szkła lornetki na

pobliską trybunę VIP. Jednak to, co tam zobaczył, sprawiło, że zaczął kląć niczym szewc.

- Co się stało, panie pułkowniku? - zapytał zaniepokojony Dzban.

- Spójrz na trybunę!

Tłum ludzi z dwójką prezydentów i otaczającymi ich ochroniarzami na czele właśnie rzucił się do schodków prowadzących na dół. Jeszcze nie wszyscy zdążyli zejść, kiedy nagle w odległości kilkudziesięciu zaledwie metrów rozległ się potężny huk eksplozji. Stojący tuż za namiotem bus, którym przyjechali zaproszeni do Orzysza goście, w jednej chwili zniknął z powierzchni ziemi. Dopiero po chwili na ziemię zaczęły opadać płonące pojedyncze fragmenty wysadzonego w powietrze pojazdu. Wszyscy zaproszeni goście oraz wymieszani z nimi żołnierze i ochroniarze rzucili się płasko plackiem na ziemię. Również podpułkownik Alojzy Dzban zareagował instynktownie i bez rozkazu wykonał komendę padnij.

Stojący na balkonie wieży wyprostowany Dąbek nawet nie drgnął, tylko zagryzł nerwowo wargi. Właśnie się upewnił, że Tomasiak z Tuszyńskim oraz posłem Drozdem nie fantazjowali, a on słusznie postąpił, próbując im pomóc. Co więcej, nie pomylił się co do swoich podejrzeń odnośnie do zawartości ładunku przekazanego Drozdowi przez tajemniczych szantażystów w czasie drogi do Orzysza, ale nie był też do końca pewien, czy dobrze zrobił, każąc mu zostawić otrzymaną saszetkę w ich opustoszałym busie. Mógł tam przecież mimo obowiązującego kategorycznego zakazu zostać Bogu ducha winny kierowca. Ale teraz to już było mało istotne. On nie mógł przecież z tym nic zrobić.

Dąbek myślał intensywnie.

- Aloś! - pochylił się w końcu nad leżącym na ziemi podwładnym. - Wstawaj!

- Tak jest, panie pułkowniku! - Dzban podniósł się natychmiast z ziemi. Miał rozbiegane i mocno przerażone oczy, ale jego nawyk bezwzględного żołnierskiego posłuszeństwa i tym razem zwyciężył.

Dąbek jednym spojrzeniem dokonał oceny jego zdolności do dalszego działania.

- Pędź na dół i zorganizuj jakąś uzbrojoną ochronę! - rozkazał mu, stwierdzając, że facet powinien dać sobie radę.

- Tak jest! - Dzban bez zbędnych pytań rzucił się biegiem do wyjścia.

Pozostali znajdujący się na balkonie żołnierze właśnie podnosili się oszołomieni z podłogi.

- Co się stało? Co to było? - zadawali między sobą pytania.

Przez radiostację ciągle słychać było spokojny i pewny siebie głos nieświadomego ostatniego wydarzenia kapitana Tuszyńskiego.

- Dozór „wiatrak”, prawo sześćdziesiąt! Czołg! Podkalibrowy! Zniszczyć!

Nieco uspokojony już Dąbek ponownie przytknął do oczu szkła lornetki. Widział, że ewakuowani z trybuny ludzie zostali podzieleni na dwie grupy. Jedna, większa, została skierowana na północ od pobliskiego namiotu, gdzie znajdowało się sporych rozmiarów wgłębienie terenowe. A druga, znacznie mniejsza, lecz z całą pewnością personalnie ważniejsza, wyraźnie zmierzała w kierunku ich wieży. Do przebiegnięcia zostało im już tylko około dwustu - trzystu metrów.

- No proszę, proszę - mruknął nieco zgryźliwie Dąbek. - Jak te tłuste i zaniedbane ważniaki potrafią pięknie i szybko przebierać tymi swoimi nieprzyzwyczajonymi do wysiłku nóżkami. Prawie jak zesrani strachem młodzi żołnierze za czasów dawnej służby zasadniczej.

\* \* \*

Czterech zamaskowanych i uzbrojonych żołnierzy zbliżało się ostrożnie do stojącego na skraju zagajnika honkera. Podzieleni byli na dwie pary, z których każda miała za zadanie zlikwidować siedzących w aucie mężczyzn. Pierwsi z nich uzbrojeni byli w pistolety z tłumikami i przewieszzone przez plecy niemieckie pistolety maszynowe HK MP-5, a idący tuż za nimi partnerzy wyposażeni byli w zwykłe beryle. Szli bardzo ostrożnie, starannie dobierając miejsca, na których stawiali buty, tak żeby nie pękła żadna sucha gałązka, nie zaszeleściło leżące na ziemi suche igliwie czy liście. Kiedy do auta zostało im już niecałe dziesięć metrów, idący na czele prawej dwójki mężczyzna podniósł nieoczekiwanie do góry rękę i gwałtownie przykucnął. Pozostali natychmiast poszli za jego przykładem. Przez kilka długich sekund czas jakby zatrzymał się dla nich w miejscu. Wszyscy trwali w bezruchu i czekali na sygnał prowadzącego. A ten odwrócił się nagle w ich stronę, nakazując im powstać. Żołnierze wykonali posłusznie rozkaz i w tym samym momencie z lufy pistoletu dowodzącego wyleciała pierwsza zdradziecka kula. Przykucnięty po przeciwnej stronie ostatni z mężczyzn podskoczył nagle nieco do góry i przewrócił się do tyłu niczym kopnięty w czoło pingwin. Jeszcze w tej samej sekundzie to samo spotkało znajdującego się jakieś pół metra przed nim kompana. Ostatni z zamaskowanych żołnierzy, który w momencie rozpoczęcia całej akcji był tuż za strzelającymi,



spróbował jeszcze przekierować lufę swojego beryla z honkera wprost na niego, lecz nie zdążył. Kula wystrzelona z najbliższej odległości trafiła go prosto w czoło i w ciągu chwili pozbawiła życia. Przez kilka kolejnych sekund nic się nie działo. A potem mężczyzna z pistoletem w ręce podniósł się powoli do góry, zdjął z głowy hełm i ściągnął zakrywającą twarz kominiarkę.

- Panie kapitanie Tomasik! - krzyknął półgłosem po polsku. - Może już pan wyjść! - Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej telefon. - Załatwione - rzucił krótko do słuchawki. - Natychmiast się rozłączył i schował aparat do kieszeni. - Panie Tomasik! - powtórzył głośno. - Jest już pan bezpieczny!

- OK, przyjacielu - rozległo się kilka metrów za nim. - Ale najpierw rzuć broń i rączki do góry! I żadnych gwałtownych ruchów!

Mężczyzna parsknął krótkim wesołym śmiechem.

- W porządku - upuścił na ziemię pistolet i podniósł do góry ręce. - Przecież jesteśmy po tej samej stronie barykady. Właśnie uratowałem panu życie.

- Uhm - mruknął zgryźliwie Tomasz. - Ale o mało co nie zastrzelił mnie pan przy tej okazji.

Podniósł się z za gęsto ulistnionego krzaka i ciągle mierząc do stojącego przed nim mężczyzny, wydał komendę swojemu kierowcy:

- Panie chorąży, niech pan zabierze mu broń i sprawdzi, czy tamci panowie, aby na pewno nie żyją.

- Robi się, panie kapitanie.

Chorąży Maślak ukryty w pobliskich krzakach podniósł się z ziemi i zataczając niewielkie półkole, podszedł do stojącego z podniesionymi rękoma mężczyzny. Przez cały czas bardzo się pilnował, żeby przypadkiem nie znaleźć się na ewentualnej linii strzału. Kiedy już podniósł leżący pistolet i zabrał przewieszzonego przez jego plecy HK PM-5, powiedział:

- Niezły jesteś, koleś. Nie chciałbym cię kiedyś spotkać jako przeciwnika.

- Więc nie wchodź mi w drogę - odpowiedział mężczyzna.

Chorąży Maślak wracając do Tomasika, sprawdzał tętnice szyjne leżących bez ruchu mężczyzn.

- Zabici na amen, panie kapitanie - zameldował z powagą.

W tym momencie z tyłu dał się słyszeć cichy warkot silników zbliżających się aut.

- Tylko bez nerwów, panie Tomasik - powiedział stojący z podniesionymi rękoma mężczyzna. - To przyjaciele.

- Też tak myślę - mruknął w odpowiedzi Tomasz.

Przez cały czas próbował zachować nad tym wszystkim

kontrolę. Teraz też przesunął się lekko do tyłu i ruchem głowy nakazał chorążemu ponownie ukryć się w krzakach. Po chwili dwa wielkie terenowe hiluxy z przyciemnianymi szybami, które nadjechały od strony Wierzb, zatrzymały się kilka metrów za ostatnim z zabitych żołnierzy. W pierwszym z aut otworzyły się drzwi i wysiadł z niego wysoki postawny, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna o przystojnej arystokratycznej twarzy.

- Witam, panie kapitanie!

Na widok twarzy mężczyzny Tomasz odetchnął z wyraźną ulgą.

- Nawet pan nie wie, panie majorze, jaką czuję ulgę, widząc, że to akurat pan jest tu z nami.

- Mnie też miło jest widzieć pana ciągle żywego - major Hubal alias Kowalski z ABW odwzajemnił uśmiech. - Ale na razie nie możemy jeszcze świętować. Pan wybaczy, ale przed nami jeszcze jedno zadanie. Arek! - zwrócił się nagle do stojącego z ciągle podniesionymi rękoma mężczyzny. - Przestań już pajacować i pakuj się do wozu!

Mężczyzna wyszczerzył tylko zęby i opuścił luźno dłonie wzdłuż ciała.

- Tyle się ostatnio nasłuchałem od naszego Wiktorka o panu Tomaszu, że wolę go nie prowokować - powiedział. - Moja broń! - spojrzał ostro w kierunku Maślaka.

Ten pobladł tylko nieco i oddał zabrany mu wcześniej arsenał.

- Teraz dokąd? - zapytał cicho Tomasz majora.

Major Hubal, z którym miał okazję spotkać się kiedyś w czasie swojej przygody związanej z historią ORP Warszawa, spojrzał teraz na swój zegarek i odpowiedział:

- Na trybunę VIP-owską. Jeżeli Wiktor nie wprowadził żadnej modyfikacji do swojego planu, to za niecałe pięć minut pana rosyjski sobowtór dokona zamachu na życie prezydenta Ukrainy Stepana Banderiuka. A to - zawiesił na chwilę głos - oznaczałoby poważny wstrząs w naszych stosunkach z Ukrainą i mocno nadwyreżyłoby nasz wizerunek w NATO.

- Uhm. To co pan w takim razie zamierza? - zapytał Tomasz, jakby zupełnie nie był zdziwiony wymienieniem swojej osoby jako głównego zamachowca.

- Po prostu do tego nie dopuszczę!

To mówiąc, wsiadł do swojego hiluxa i obydwie auta natychmiast ruszyły ostro w kierunku trybuny. Tomasz z Maślakiem zostali na polanie sami.

- A co my robimy, panie kapitanie? - zapytał chorąży. - Bo ja nic z tego nie rozumiem.

Tomasz pomyślał, że właśnie tego w tym momencie chorążemu

naprawdę zazdrości. Odwrócił się jednak do tyłu i spojrzał mu uważnie prosto w oczy.

- To może i lepiej, że pan nic z tego nie rozumie. - W tym momencie przyszedł mu jednak do głowy pewien pomysł. - Ale skoro ma pan już wykonywać moje rozkazy, to pakujemy się do honkera i grzejemy naprzód, ile fabryka dała! Jedziemy na wieżę!

Po tym wszystkim, co dotychczas przeszedł, nie miał zamiaru stać teraz beczynnym na uboczu. Tym bardziej że przecież finałowa scena tej historii miała się rozegrać zaledwie kilkaset metrów stąd. Nie ma takiej opcji, żeby to wszystko skończyło się beze mnie! - pomyślał ze złością i postanowił to chociaż zobaczyć!

\* \* \*

Siedzący za kierownicą zabranego nieżyjącym już żandarmom volkswagena Wiktor podjeżdżał z dużą prędkością i na włączonych bulajach prosto pod wieżę kierowania ogniem. Siedzący za jego plecami technik meldował:

- Obiekty numer jeden i dwa są już w wieży. Razem z nimi jest w sumie ośmiu ochroniarzy. Na trybunie i w okolicach namiotu panika i zamieszanie.

Słyszający to wszystko Wiktor zacisnął tylko z wściekłości zęby. Wiedział już, że ktoś spieprzył swoją robotę i teraz nie wszystko szło zgodnie z planem. Musiał przez to improwizować, a tego nie lubił, bo to rodziło spore niebezpieczeństwo.

- Co z Arkadiuszem? - bardziej warknął w końcu niż zapytał.

- Meldował wykonanie zadania. Nie mamy teraz z nim łączności.

- Dobrze. Włącz zagłuszarkę! Zobaczymy, jak Polaczki poradzą sobie bez telefonów.

- Przecież mają łączność po radiu.

- Gówno tam mają, a nie łączność po radiu! Włączaj zagłuszarkę!

- Tak jest! - mężczyzna już bez zbędnych komentarzy sięgnął do niewielkiej skrzyneczki. - Zrobione!

Auto ciągnąc za sobą tuman kurzu, dojeżdżało do wieży.

- Jak sytuacja? - zapytał jeszcze Wiktor technika.

Ten jeszcze ostatni raz rzucił spojrzenie na obraz przekazywany z latających nad nimi bezzałogowców.

- Bez zmian!

- OK!

Zatrzymał samochód na parkingu tuż przy płocie.

- Tomasiu i Siergieju idą ze mną! - komenderował olbrzym. -

Wania i Sasza dokładnie trzy minuty po naszym wyjściu robicie desant od góry! Reszta czeka i osłania tyły!

Sam złapał za swojego beryla i jako pierwszy wyskoczył z volkswagena. Tuż za nim wyszedł na zewnątrz sobowtór Tomasika, a na końcu potężny niczym tur mężczyzna o imieniu Siergiej. Wszyscy ubrani byli w polskie mundury polowe z dodatkowymi emblematami Żandarmerii Wojskowej oraz szkarłatne berety zabrane zabitym żandarmom.

- Stać! - krzyknął do nich nagle wybiegający zza płotu młody polski żandarm. - Teraz nikt nie ma tu prawa wchodzić!

Wiktor jakby go nie słyszał.

- Stać mówię! - zdążył jeszcze krzyknąć młody żołnierz, kiedy nóż Rosjanina zagłębił się aż po rękojeść w jego sercu. Ciało chłopaka osunęło się bezwładnie na ziemię, a napastnicy byli już za płotem. Do wieży zostało im tylko kilkanaście metrów. Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich jeden z funkcjonariuszy BOR-u. Na widok zmierzających w jego stronę żandarmów zatrzymał się niezdecydowanie w miejscu.

- Panowie! - krzyknął zaskoczony. - Już nie potrzebujemy posiłków! Chyba was tu już starczy!

Lecz wtedy idący na przdzie Wiktor uniósł błyskawicznie do góry pistolet i dwukrotnie pociągnął za spust. Nastąpiły dwa głuche kasznięcia i na szyi BOR-owika pojawiły się dwie sporych rozmiarów dziurki, z których natychmiast trysnęła krew. Mężczyzna zachwiał się i runął głucho na ziemię. Zza drzwi wyskoczył kolejny BOR-owik. Chyba widział, co się stało z jego kolegą, bo w rękę trzymał już wyjęty pistolet i najwyraźniej gotował się do oddania strzału. Lecz to go nie uratowało. Być może zawiniły błędy w szkoleniu albo też złe nawyki wyniesione jeszcze z policji lub ze zwykłej jednostki wojskowej, gdzie czas na strzelniczy na oddanie strzału jest zawsze bezsensownie długi. Będący zaledwie o kilka kroków od niego Wiktor zdążył bowiem oddać dwa szybko następujące po sobie strzały i trafiony mężczyzna natychmiast osunął się w dół, tarasując swoim ciałem całe wejście. Biegący Wiktor nie miał jednak z tym żadnych problemów. Przeskoczył lekko nad trupem, a za nim do środka wkroczyli pozostali Rosjanie.

\* \* \*

Major Hubal dojeżdżał już do VIP-owskiej trybuny, kiedy dotarło do niego, że od kilku już minut nie ma żadnej informacji od szefa prezydenckiej ochrony.

- Co jest? - mruknął do siebie i natychmiast spróbował

nawiązać z nim łączność.

Wykonał telefon, lecz ten pozostawał głuchy.

- Cholera! - zaklął głośno. - Arek! Czy Wiktor miał przy sobie zagłuszarki?!

- Jasne!

Hubał zmiął w ustach kolejne przekleństwo. To nieprzewidziane przez niego proste zagranie Wiktora mogło mu bardzo skomplikować zadanie. Po prostu nie mógł być pewien tego, co zastanie na miejscu akcji.

- Uwaga! - ryknął głośno do swoich ludzi. - Nie mamy łączności telefonicznej z BOR-em. Robimy swoje! Na BOR nie liczcie!

Jadący razem z nim funkcjonariusze oddziału specjalnego ABW kiwnęli na znak zrozumienia głowami. Dla nich samych brak jakiegokolwiek łączności z będącymi bezpośrednio przy ochranianych osobach funkcjonariuszami BOR-u nie stanowił większego problemu, tyle tylko, że mógł im poważnie utrudnić identyfikacje ewentualnych celów.

Auta dojechały na miejsce. Członkowie specjalnego oddziału ABW wysypali się na zewnątrz i podzieleni na cztery sekcje przystąpili do akcji. Lecz major Hubał, który wyskoczył z auta zaraz za nimi, już po pierwszym spojrzeniu na pustą niemalże trybunę wiedział, że tym razem jednak się spóźnił.

- Gdzie jest prezydent?! - krzyknął do podbiegającego do niego żołnierza.

- Ewakuował się na wieżę!

- Na czyj rozkaz?!

- Decyzja dowódcy ochrony!

Hubał nie mógł czekać na powrót ludzi rozpieczętowanych po okolicy i sprawdzających trybunę i pobliski namiot.

- Arek! - krzyknął do stojącego nieopodal byłego żołnierza Wiktora. - Za mną! I rzucił się pędem z powrotem do hiluxa.

- Grzej pod wieżę! - krzyknął do zdezorientowanego kierowcy, zatraskując za sobą drzwi. - Ale szybko!

Kierowca nie miał czasu na zastanowienie. Wcisnął do dechy pedał gazu i już po chwili zawracał w kierunku znajdującej się o kilkaset metrów dalej wieży.

- Uważaj na prawo! - krzyknął nagle ostrzegawczo Arek.

Rozpędzony hilux o mały włos nie zderzył się z wyskakującym mu z prawej strony rozpędzonym honkerem.

- A ten to kto?! - wrzasnął przestraszony kierowca.

Tomasik! - przemknęło przez głowę Hubala, lecz na głos rzucił już tylko suchy rozkaz.

- Wyprzedź go!

I działający niczym automat kierowca hiluxa jeszcze mocniej docisnął pedał gazu.

\* \* \*

- Kurwa! - ryknął przestraszony chorąży Maślak, kiedy potężny terenowy hilux o mało nie staranował ich zdezelowanego honkera, wyskakując zza rozstawionej trybuny. - To nasi?!

- Nie wiem! - odpowiedział zdezorientowany Tomasz.

Hilux zdołał wyprzedzić ich o dobre kilkanaście metrów i mknął dalej z ogromną prędkością w kierunku wieży. I nagle to jadące przed nimi z ogromną prędkością potężne auto uniosło się nieoczekiwanie w górę i niemalże w jednej chwili zmieniło się w ogromną kulę ognia.

- O Boże! - zdążył wyrzucić z siebie Maślak i tylko z największym trudem ominął opadające na ziemię szczątki płonącego wraku.

Kilka roztrzaskanych i płonących części uderzyło o dach i maskę wyhamowującego gwałtownie honkera. W tej samej chwili silnik kilkakrotnie zakaszłał, po czym nagle zgasł. Auto jeszcze bardziej zaczęło wytracać prędkość, lecz znajdowali się już niemalże przy samym płocie otaczającym wieżę.

Zszokowanemu Tomaszowi zdążyło jeszcze przemknąć przez głowę: RPG-7!?

I wtedy honker zatrzymał się ostatecznie w miejscu. W tej samej chwili o maskę samochodu zaterkotała pierwsza długa seria oddana z jakiegoś karabinka automatycznego.

- O kurwa! - zaklął Maślak. - Strzelają do nas!

Tomasik instynktownie skurczył się w sobie i automatycznie sięgnął po schowanego w kaburze glocka.

- Uciekaj pan tyłem! - usłyszał jeszcze podniesiony głos chorążego i zobaczył jak ten mimo solidnej postury fiknął sprawnie między siedzeniami do tyłu. Po chwili żołnierz wyskakiwał już przez otwarte tylne drzwi i krzyczał:

- Skacz pan, bo zginiesz!

Tomasik też się już zorientował, skąd do nich strzelano. Kilkadziesiąt metrów przed nimi stał zaparkowany volkswagen z oznaczeniami Żandarmerii Wojskowej i to z niego właśnie padały strzały. W tym momencie nie zastanawiał się, czy strzelają do nich prawdziwi żandarmi czy też ludzie Wiktora. To nie miało teraz przecież żadnego znaczenia. Po prostu zrobił dokładnie to samo, co chwilę wcześniej chorąży Maślak. Przeskoczył między siedzeniami na tył samochodu i szczupakiem wyskoczył na zewnątrz. W tej

samej chwili kolejna seria zaterkotała o maskę honkera. Leżący za autem i przyciśnięty płasko do ziemi chorąży Maślak z dziwnie pobladłą i zaaferowaną twarzą mówił do niego jednym nieustającym ciągiem.

- Dobrze, że strzelali w maskę. Silnik wziął wszystko na siebie i szczęście, że nie wybuchnął. Bo blachy to ten rolniczy samochodzik ma takie same jak te puszki od naszego braniewskiego browarka. Gdyby pan widział, co się z nimi działo w czasie misji w Iraku.

Tomasik, który sam był w dużym szoku, zdał sobie sprawę, że musi coś zrobić, bo sytuacja z jego towarzyszem może się jeszcze pogorszyć. A było nie było, facet prawdopodobnie uratował mu życie.

- Panie chorąży! - powiedział ostrym, choć nieco drżącym głosem. - Dziękuję panu za uratowanie mi przed chwilą życia, ale czy musi pan tyle pieprzyć?! Niech się pan weźmie w garść i chociaż na chwilę zamknie!

Na kilka sekund rzeczywiście zapadła cisza. Lecz już po chwili niezrażony tą uwagą żołnierz spojrzął na niego ciekawie i zapytał:

- A pan jak radzi sobie w takich momentach ze stresem?

Tomasika, który właśnie zastanawiał się nad tym, co teraz powinien zrobić, to proste i nieoczekiwane pytanie kompletnie zaskoczyło. Spojrzął tak jakoś dziwnie na wpatzonego w niego chorążego.

- No? - ponowił pytanie zaciekawiony wojak.

Przez chwilę zaskoczony Tomasz mierzył go niedowierzającym wzrokiem. Potem zerknął jeszcze w kierunku volkswagena, lecz ponieważ tam chwilowo nic się nie działo, ponownie skupił się na wpatrzonym w niego chorążym.

- Wyobrażam sobie - odpowiedział więc z powagą - że jestem Brucem Willisem z pierwszej części *Szklanej pułapki*. I chociażby strzelał do mnie cały tuzin bandytów, to wiem, że ja w najgorszym wypadku będę miał co najwyżej jakieś małe zadrapanie dobrze prezentujące się na pamiątkowych fotkach.

\* \* \*

Znajdujący się ciągle na szczycie wieży Dąbek widział, co się stało ze zbliżającym się do nich potężnym hiluxem. Lecz kiedy jadący za nim wojskowy honker z nalepką 9. Brygady na przedniej szybie wyminął go jakimś cudem i zniknął mu z pola widzenia, natychmiast zwrócił się do stojącego obok niego szefa prezydenckiej ochrony majora Buczyńskiego.

- Niech pan przeniesie obu prezydentów piętro niżej!

- Dlaczego? - zapytał podejrzliwie Buczyński.

- Bo w tym momencie jesteśmy prawie na szczycie i to bez przykrycia z góry! I przy odrobinie nieszczęścia i pomysłu przeciwnika ktoś może wpaść na pomysł rzucenia tu granatem.

Buczyński jeszcze przez chwilę analizował słowa stojącego przed nim pułkownika.

- W porządku, panie pułkowniku. Brzmi to rozsądnie. Panie prezydencie - zwrócił się do leżącego płasko pod ścianą Prezydenta RP Bożydara Broniewskiego. - Zejdźmy piętro niżej.

Broniewski spojrzał pytająco na leżącego tuż obok prezydenta Ukrainy Banderiuka, a major Buczyński rzucił w ich kierunku kilka słów wyjaśnienia po angielsku.

- OK - zgodził się Banderiuk i podniósł nieco do góry.

- Idziemy! - zakomenderował major.

Po chwili pochód składający się z dwóch prezydentów i pięciu ochraniających ich ludzi wszedł do wnętrza budynku i wąskimi schodami zaczął przemieszczać się w dół. Na balkonie zostało kilku w różnych szarżach oficerów Wojska Polskiego oraz kilku mniej ważnych członków polskiej i ukraińskiej delegacji.

- Panie pułkowniku - zwrócił się do Dąbka siedzący dotąd beczynnie pod ścianą poseł Witold Drozd. - Czy ma pan broń?

Zachmurzony Dąbek spojrzał w jego kierunku i mruknął:

- A to cię już chyba Wituś nie powinno obchodzić, co?

Drozd jakby jednak tego nie słyszał.

- Bo tak pomyślałem sobie, że...

I w tym momencie gdzieś z dołu dało się słyszeć pierwszą długą serię z broni maszynowej.

- Że mogę się do czegoś przydać! - dokończył podniesionym głosem Drozd.

Lecz Dąbek machnął tylko do niego gniewnie ręką.

- Czy ty nie widzisz, Wituś, że mamy tu typowo polski problem. Ludzi do walki jest dość, tylko jakoś broni dla nich nie ma.

Drozd dopiero teraz spostrzegł, że co prawda wśród nich było około dziesięciu stosunkowo wysokich rangą oficerów, lecz żaden z nich nie miał przy sobie broni.

- To jak my będziemy się bronić? - wyjąkał zaskoczony. - Przecież ci terroryści nas zarzną!

Lecz Dąbek już mu nie odpowiedział. Na dole rozległy się kolejne strzały. Tym razem dołączyła do nich pojedyncza eksplozja wewnątrz budynku. Wieżę zatrzęsło.

Granat - przemknęło przez głowę coraz bardziej wściekłego pułkownika. Złapał za telefon, lecz już po chwili wiedział, że ten



rodzaj łączności nie działa. Zaklął i ominął leżących bez ruchu niczym bezbronne jagnięta kolegów oficerów. Podszedł do ciągle pracującej radiostacji i błyskawicznie przestawił ją na nadawanie.

- Tygrys zero jeden, Tygrys zero jeden. Tu wieża! Przerwij ogień! Wykonaj w tył zwrot! Podziel pluton na dwie sekcje! Odległość między sekcjami dwieście! Kierunek wieża! Naprzód!

Przez krótką chwilę dało się wyczuć wahanie po drugiej stronie.

- Wieża! Tu tygrys zero jeden. Powtórz! - to był głos Tuszyńskiego.

Dąbek nie zamierzał już bawić się w żadne kryptonimy. Wiedział, że zadanie jest nietypowe, a liczyła się każda sekunda.

- Panie kapitanie Tuszyński! - powiedział spokojnym, lecz jednocześnie tak dla niego charakterystycznym, nieznoszącym żadnego sprzeciwu głosem. - Mówi dowódca brygady, pułkownik Dąbek! Terrorysty szturmują wieżę! Jest tu nasz prezydent! Bierz pan swój pluton, podziel go na dwie sekcje, odległość między nimi dwieście i wal pan do nas z odsieczą! Kierunek wieża! To rozkaz! Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?!

- Nie, panie pułkowniku! - głos Tuszyńskiego również był nadzwyczaj spokojny. - Zrozumiałem, wykonuję!

Z dołu znowu dało się słyszeć serię wystrzałów.

- Aloś - Dąbek odłożył ciężką słuchawkę radiostacji i klepnął w ramię leżącego płasko na ziemi podpułkownika Dzbana. - Weź się w garść! Jesteś z 9. Brygady! Siedź tu teraz przy radiu, kieruj jadącymi tu do nas z odsieczą czołgami i nie waż mi się dać dupy!

To mówiąc, wyciągnął z kabury zabranego przezornie z brygady swojego P-83, mrugnął jeszcze do Dzbana znacząco okiem i wszedł do środka budynku.

\* \* \*

Tomasik ścisnął w rękę swojego glocka i zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Przez głowę przelatywały mu dziesiątki pomysłów, lecz tak naprawdę żaden z nich nie dawał mu większych szans powodzenia.

- Przecież tam nie ma nikogo ważnego - próbował uspokoić sam siebie. - Prezydent jest kilkaset metrów stąd. Wiktor musiał się pomylić. Nie warto nadstawiać dla tego głowy.

Lecz w tym momencie ze środka oddalonej o kilkadziesiąt metrów wieży dał się słyszeć głośny odgłos eksplozji. Granat? - przemknęło mu przez głowę.

- Co robimy, panie kapitanie? - usłyszał spięty głos chorążego Maślaka.

- A co pan, panie chorąży, proponuje?

Maślak roześmiał się nerwowo.

- No, no, panie kapitanie. O ile wiem, to od dowodzenia w naszej armii są oficerowie! Zresztą Bruce Willis też by tak nie powiedział.

- Jest pan pewien? - syknął wściekle Tomasik i nie wiedzieć czemu, nagle zrobił coś bardzo głupiego. Wskoczył zza stosunkowo bezpiecznego wraku honkera i rzucił się, biegnąc zakosami w kierunku wieży. Wiedział, że Maślak nie ma broni i nie może go nawet osłaniać. Wiedział też, że szanse na przebiegnięcie tych kilkudziesięciu metrów są naprawdę znikome. Nawet bardzo przeciętnie wyszkolony żołnierz dawnej służby zasadniczej nie miałby problemów z jego trafieniem. Ale tym razem miał chyba jednak szczęście. Najwyraźniej Pan Bóg nad nim czuwał. Przeciwnik siedzący dotąd w volkswagenie musiał się albo zagapić, albo też zajęty był czym innym. W każdym razie pierwsza i ostatnia seria z broni maszynowej padła w momencie, kiedy Tomasik przeskakiwał już nad leżącym w drzwiach wieży ciałem martwego BOR-owika. Kiedy tylko się w niej znalazł, usłyszał za sobą głośne i ciężkie przekleństwo. Odwrócił się błyskawicznie za siebie i zobaczył przykucniętego i dyszącego ciężko chorążego Maślaka.

- Skurwysyny trafiły mnie w dupę! - syknął, krzywiąc się niemiłosiernie i chowając szybko za ścianą. - A pan kapitan to tak zapierdalał, że nie mogłem za panem nadążyć.

- Człowieku! - odpowiedział półgłosem ciężko jeszcze dyszący z nadmiaru adrenaliny Tomasik. - Jesteś szalony! Przecież ty nie masz nawet broni!

- Już mam - to mówiąc, chorąży Maślak podniósł z ziemi pistolet nieżyjącego już BOR-owika. - Niech pan działa, panie kapitanie. Będę osłaniał panu tyły.

Tomasik uśmiechnął się krzywo i klepnął go delikatnie w ramię.

- Dzięki. Trzymaj się!

Odwrócił się do środka wieży, zadarł do góry głowę i trzymając w obu rękach swojego glocka, ruszył ostrożnie schodami na spotkanie z nieznanym.

\* \* \*

Wiktor szedł do góry z zaciśniętymi mocno zębami i bez najmniejszych skrpułów strzelał do wszystkiego, co tylko pojawiło się w zasięgu jego wzroku. Był już na drugim piętrze i miał świadomość, że zostały mu jeszcze tylko dwie kondygnacje i co najwyżej pięciu lub sześciu uzbrojonych przeciwników. Jak dotąd

zastrelili już kilku nieuzbrojonych żołnierzy z obsługi wieży oraz kilku kompletnie nieprzygotowanych do walki żandarmów, którzy mieli stanowić pierwszą linię prezydenckiej ochrony, a którzy tak naprawdę nawet nie spróbowali się bronić.

- Zdejmij maskę - warknął do idącego za nim sobowtóra Tomasza Tomasika. - Ci skurwiele mają cię zobaczyć!

W tym momencie z góry wychyliła się kolejna sylwetka, tym razem jednego z BOR-owików. Mężczyzna trzymał co prawda w rękę pistolet, lecz nie zdążył z niego nawet wystrzelić. Ubezpieczający ich z tyłu Siergiej puścił krótką serię z HK MP-5 i trafiony przez pierś BOR-owik zwałił się ciężko w dół schodów.

- Stójcie! - rozległo się z góry. - Kim wy, kurwa, jesteście?! Czego chcecie?!

Wiktor nie odpowiedział. Przed nimi na wprost pojawiły się drzwi. Wiedział, że to stanowisko z pulpitem sterowniczym, gdzie powinien być ktoś z obsługi, kto programował i ustawiał tarcze na strzelnicy czołgowej.

- Tomasik! Naprzód! - zakomenderował szybko i idący za nim sobowtór wkroczył z kopniakiem do wnętrza pomieszczenia. Rozległ się krótki krzyk rozpaczony i tylko jeden wystrzał. W tym samym momencie Wiktor z Siergiejem wykonali przeskok do góry o kilka kolejnych stopni.

- Stójcie! - powtórzył się krzyk z góry. - Nazywam się major Buczyński! Jestem szefem ochrony Prezydenta RP Bożydara Broniewskiego! Zastanówcie się, co robicie! Jeżeli się teraz wycofacie, to macie szansę na przeżycie! Inaczej będziemy zmuszeni użyć broni.

I w tym samym momencie gdzieś tam na górze rozległy się trzy krótkie serie z broni maszynowej.

\* \* \*

Kapitan Tuszyński siedział w pędzącym z prędkością blisko sześćdziesięciu kilometrów czołgu ze wzrokiem przytkniętym do swojego wizjera i z napięciem obserwował zbliżającą się z każdą sekundą wieżę. Do celu zostało mu około czterystu metrów, kiedy zobaczył dwie zamaskowane postacie, które sprawnie niczym pająki zaczęły się wspinać po ścianie wieży. Natychmiast wcisnął przycisk nadawania.

- Wieża, Wieża, tu Tygrys zero jeden. Jacyś ludzie wspinają się po ścianie wieży od strony balkonu! Odbiór!

- Tygrys zero jeden! Tu Wieża - Tuszyński rozpoznał podenerwowany głos podpułkownika Dzbana. - Zrób coś! Nie mamy

broni! Powtarzam! Jesteśmy bezbronni!

Tuszyński szybko ocenił sytuację. Na podjęcie decyzji i oddanie ewentualnego strzału do ruchomego celu miał co najwyżej kilka - kilkanaście sekund! Szanse więc były niewielkie.

Przełączył radiostację na łączność wewnętrzną i rzucił szybko rozkaz.

- Marcin, stój! Adrian! Wal z PKT do tych ludzi wspinających się po ścianie na wieżę!

Kierowca czołgu, starszy szeregowy Marcin Kukowski wcisnął gwałtownie hamulec i PT-91 Twardy niczym narowisty rumak niemalże w jednej chwili zatrzymał się w miejscu. Jadący tuż za nim drugi wóz w ostatnim momencie zdołał go ominąć i zatrzymał się kilkanaście metrów w prawo przed nimi.

Siedzący po lewej stronie od Tuszyńskiego starszy szeregowy Adrian Malinowski namierzał już będącego nieco wyżej pierwszego ze zbliżających się do wysuniętego balkonu ludzi.

- Mam go! - zakomunikował spokojnym głosem.

- Wal!

Malinowski, który nie wiedział, w jakiej rozgrywce uczestniczy, na moment się zawahał. Jeszcze trzy, cztery sekundy, a będzie za późno! Zamaskowani mężczyźni osiągną balkon - pomyślał przerażony tym Tuszyński.

- Napierdalaj, Adrian! - krzyknął już bez użycia laryngofonu. - To rozkaz!

Jeszcze w tym samym momencie Malinowski nacisnął spust PKT. Rozległa się krótka, zaledwie kilkunabojowa seria i jeden z mężczyzn trafiony bezpośrednio w plecy oderwał się od ściany i niczym worek kartofli spadł bezwładnie na ziemię.

- Kurwa! - zaklął wściekle Tuszyński. - Spóźniłeś się Adrian!

W tej właśnie chwili drugi z terrorystów zniknął za barierką balkonu.

\* \* \*

Lekko pochylony Dąbek podszedł do kryjącego się za framugą drzwi na ostatnim piętrze wieży majora Buczyńskiego. Po obydwu jego bokach, przy samych ścianach, rozciągnięci byli obydwaj przerażeni prezydenci. Mocno podenerwowani ukraińscy ochroniarze patrzyli czujnie na szefa polskich funkcjonariuszy, lecz ten najwyraźniej stracił już głowę. Ścisnął zbielałymi rękoma kolbę uniesionego lufą do góry pistoletu i mrugał nienaturalnie często oczyma.

- Weź się pan w garść - mruknął do niego zachrypniętym głosem Dąbek. - Na dole zaraz powinny być moje czołgi. Musimy

się tylko do nich dostać.

Lecz Buczyński w dalszym ciągu nie reagował.

- Kurwa mać! - zaklął szpetnie Dąbek. - Ogarnij się, facet! Ilu ich tam jest i jak blisko nas są?

Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, spytał o to samo jednego z Ukraińców.

- Nie znaju! - usłyszał tylko.

I w tym momencie od strony balkonu dobiegły ich trzy krótkie karabinowe serie.

\* \* \*

Tomasik szedł ostrożnie schodami w górę, lecz nie wchodził do żadnego z bocznych pomieszczeń, które znajdowały się na niższych piętrach wieży. Słyszał, że strzelanina dochodzi gdzieś z góry. Założył więc, że to tam właśnie jest centrum wydarzeń. Kiedy jednak ujrzał już uchylone drzwi, mimowolnie zajrzał tam i zobaczył zwłoki zastrzelonych trzech nieuzbrojonych żołnierzy. Co za sukinsyny - pomyślał z nienawiścią o olbrzymie i jego zbirach. Zacisnął z wściekłości zęby.

Cofnął się z powrotem na klatkę schodową i ruszył ponownie do góry. Znowu usłyszał dochodzącą z góry strzelaninę. To była broń maszynowa. Potem doszły do tego jakieś porykiwania i krzyki. Nie było już na co czekać! Musiał zaryzykować i spróbować wykorzystać to zamieszanie. Ruszył ostro do przodu, pokonując po kilka schodów naraz. Minął kolejne, tym razem przymknięte drzwi, i już po chwili zobaczył zaledwie kilka metrów przed sobą blokujące całe przejście szerokie plecy potężnego mężczyzny w polskim mundurze i w szkarłatnym żandarmerskim berecie na zadartej do góry głowie.

Przez ułamek sekundy miał wątpliwości. Wezwać najpierw tego faceta do rzucenia broni czy też od razu strzelić mu w barczyste plecy? Lecz już w tej samej sekundzie wszystkie te wątpliwości zostały rozwiane. Zobaczył bowiem jak mężczyzna sięga do bocznej kieszeni i szybkim ruchem wyjmuje z niej granat. Nie było chwili do stracenia. Tomasiak uniósł tylko nieco wyżej broń, wycelował w podstawę czaszki i z kilku zaledwie kroków oddał dwa szybko następujące po sobie strzały. Głowa olbrzyma rozprysnęła się niczym trafiony w sam środek pomidor, a pozbawione jej ciało runęło z łoskotem do tyłu. Z martwej już dłoni wysunął się nieodbezpieczony na szczęście granat i sturlał się po schodach prosto pod nogi zastygłego w bezruchu Tomasza.

\* \* \*

Wiktor usłyszał dochodzące z góry strzały. To musiało być jego wsparcie, które zgodnie z planem miało włączyć się do akcji w trzy minuty po ich wejściu do wnętrza budynku.

- Granat! - krzyknął do idącego tuż za nim Siergieja.

I w tej samej niemalże chwili klatkę wieży wypełniły odgłosy dwóch szybko po sobie oddanych strzałów. Zanim działający instynktownie Wiktor zdołał uskoczyć w górę i się przy tym odwrócić, kątem oka zobaczył, jak pokrwawione resztki głowy jego towarzysza rozpryskują się na bocznej ścianie śródpiętra.

- Bładź! - wymknęło się mu tylko.

I chyba po raz pierwszy w życiu poczuł, że on też się jednak boi.

\* \* \*

Słyszący za plecami strzelaninę Dąbek natychmiast się odwrócił.

- Pilnuj schodów! - rozkazał jednemu z Ukraińców i rzucił się do góry w kierunku balkonu.

Kiedy tam wbiegł, zobaczył widok jak w średniowiecznej rzeźni. Dwóch albo trzech oficerów leżało już martwych, a kilku następnych krwawiło mocno i najwyraźniej było poważnie rannych. Lecz najważniejsze dla Dąbka było to, że w tej właśnie chwili podpułkownik Alojzy Dzban razem z jeszcze jednym majorem, mimo że sami byli już ranni, próbowali obezwładnić wijącego się pod nimi niczym piskorz drobnego zamaskowanego mężczyznę z przewieszonym przez pierś karabinkiem.

Sytuacja była jednoznaczna, a Dąbek nie miał zamiaru brać jeńców. Podszedł do szamocących się mężczyzn, odbezpieczył i przeładował pistolet, po czym przyłożył go bezpośrednio do głowy zamaskowanego żołnierza.

- Uwaga! - ostrzegł głośno Dzban i majora, którzy na ułamek sekundy znieruchomieli. A potem bez jednego mrugnięcia okiem pociągnął za spust.

\* \* \*

W uciekającym do góry mężczyźnie Tomasik natychmiast rozpoznał Wiktora. Dосkoczył pod boczną ścianę, uniósł do góry głowę i błyskawicznie złożył się do strzału. Lecz Wiktora już nie było. Zdażył uskoczyć kilka stopni wyżej.

Tomasik zaklął. Znowu przewagę uzyskiwał będący wyżej od niego przeciwnik. Lecz nagle na górze rozległ się pojedynczy wystrzał. Tomasik natychmiast przyklęknął. Wiedział, że Wiktor ma broń z tłumikiem. Więc to nie on strzelał. Serce biło mu jak

oszałałe. Adrenalina powodowała, że nie bał się niczego, i tylko z najwyższym trudem hamował się przed wykonaniem kolejnego nieprzemyślanego i niebezpiecznego ruchu. Co to mogło być? - myślał.

- Kto jest na dole?! - usłyszał nagle z góry.

Rozpoznał głos pułkownika Dąbka.

- Kim jesteś?! - Dąbek ponowił pytanie.

Tomasik przez kilka sekund zastanawiał się, czy powinien odpowiadać. Ale przecież Wiktor wiedział, że on tu jest, więc chyba nie miało to żadnego znaczenia. W końcu podjął decyzję.

- Panie pułkowniku! Melduje się kapitan Tomasik! Jak sytuacja?!

Z góry rozległ się śmiech.

- No, panie kapitanie! To chyba mamy już koniec!

- Na pewno?! Przed chwilą w pana kierunku przemieszczał się potężny i bardzo niebezpieczny facet. To właśnie Wiktor!

- On już nie żyje, panie kapitanie! Wystawił mi go pan jak ogar niedźwiedzia na polowaniu!

- Jest pan pewien?!

- Jestem! Żołnierze z 9. Brygady nigdy nie chybiają! A teraz niech pan uważa i mnie przypadkiem nie postrzeli! Schodzę!

Na górze rozległ się lekki rumor i już po chwili dało się słyszeć stawiane głośno kroki. Tomasik chciał iść do góry, lecz w tym właśnie momencie wychwycił dochodzący z dołu ledwie słyszalny szmer cichego skrzypnięcia. Chciał się odwrócić, lecz nie zdążył. Rozległ się huk potężnego wystrzału i przestraszony Tomasik padł płasko na schody. Dopiero po chwili zdecydował się odwrócić powoli głowę. Jego wzrok zetknął się z gasnącym właśnie spojrzeniem swojego lustrzanego odbicia.

- Matrioszka - szepnął do siebie bezgłośnie.

Poblady mężczyzna zachwiał się, a z słabnącej ręki wypadł mu nóż. Metal zabrzęczał na betonowych schodach. Nagle nogi się pod nim ugięły i upadł najpierw na kolana, a potem prosto na twarz, zahaczając przy tym o wyciągnięte buty Tomasza.

- Chyba się jednak pomyliłem, panie kapitanie - mruknął cicho stojący nad nim pułkownik Dąbek.

Lecz Tomasz był jeszcze zbyt oszołomiony, żeby to słyszeć. Wpatrywał się tylko w stojącego w bezruchu z pistoletem w dłoni kilka metrów niżej chorążego Maślaka.

- Panie pułkowniku! - odezwał się w końcu dziarsko Maślak. - Melduję, że zastrzeliłem jakiegoś skurwysyna, który nożem zamierzał się na pana kapitana.

Dąbek pokiwał tylko z niedowierzaniem głową.

- Pan kapitan jest ci chyba winien flaszkę - powiedział cicho z powagą.

Spotkali się w trójkę nad rozciągniętymi na schodach i wygiętymi w nienaturalnej pozie zwłokami.

- Wygląda jak ja - powiedział poblady Tomasik. - To mój sobowtór. Podejrzewam, że to na mnie chcieli zrzucić całą winę za ten burdel.

- Być może - Dąbek skinął potakująco głową.

Tomasik zwrócił się do chorążego Maślaka.

- Dziękuję, panie chorąży - uściśnął wyciągniętą do niego dłoń. Maślak był lekko zażenowany.

- Nie ma za co, panie kapitanie. - I nagle wyszczerzył wesoło zęby. - Zrobimy kiedyś razem jakąś flaszeczkę i będziemy kwita.

Tomasik uśmiechnął się lekko.

- Pewnie, że tak.

Nie mogąc jeszcze ciągle uwierzyć, że to już koniec, przeszedł nieco wyżej i pochylił się nad leżącym wielkim cielskiem Wiktora.

- Taki wielki facet. A zginął od jednej kulki.

W tym momencie z góry rozległ się donośny głos podpułkownika Alojzego Dzbana.

- Panie pułkowniku!

- Co jest, Ałoś?!

- Tuszyński melduje przez radio, że jacyś ludzie uciekają volkswagenem Żandarmerii Wojskowej.

Dąbek spojrzał pytającym wzrokiem na Tomasika.

- Kto to może być?

- To ich ludzie - odpowiedział natychmiast Tomasz. - Strzelali do nas!

- Tak? - zaintrygowany Dąbek przeciągnął znacząco spółgłoskę.

- To proszę za mną!

I obydwaj mężczyźni rzucili się schodami do góry. Już po kilku sekundach stali przy barierce balkonu, gdzie Tomasik dopiero teraz miał okazję przywitać się z kiepsko prezentującymi się w tej chwili prezydentami Polski i Ukrainy oraz zobaczyć rzeźnię, która została po próbie desantu ludzi Wiktora przez balkon.

- I co teraz, panie pułkowniku? - zapytał Tomasz.

Dąbek jednym rzutem oka ocenił sytuację. Samochód faktycznie mknął, chowając się co chwilę w niewielkich zagłębieniach terenu i ciągnąc za sobą brunatny tuman unoszącego się w powietrzu kurzu.

- To co panowie? Mamy dzisiaj kierowanie ogniem? Panie prezydencie - zwrócił się do prezydenta RP Bożydara Broniewskiego. - Chce pan zobaczyć i zaprezentować panu



prezydentowi Banderiukowi naszego Twardego w prawdziwej akcji?  
Broniewski ciągle jeszcze wyraźnie roztrzęsiony, skinął tylko z powagą głową. Dąbek podszedł do radia.

- Tygrys zero jeden, Tygrys zero jeden, tu Wieża! Odbiór!

- Wieża, tu Tygrys zero jeden! Odbiór!

- W kierunku Wierzb in ucieka pojazd w oznaczeniach Żandarmerii Wojskowej. Prawdopodobnie samochód bus, marki volkswagen. To terroryści! Zniszczyć!

W radiu na kilka sekund zapadła cisza.

- Wieża, tu Tygrys zero jeden - zaskrzeczało po chwili. - Proszę o powtórzenie zgody na zniszczenie busa, marki volkswagen w oznaczeniach ŻW! Odbiór!

- Tygrys zero jeden. Powtarzam! Jest zgoda na zniszczenie! Masz niepowtarzalną okazję postrzelania do prawdziwego ruchomego celu! I nie miej skrupułów! To zabójcy i terroryści! Zabili tutaj kilkunastu naszych ludzi! Odbiór!

- Zrozumiałem! Odbiór!

W radiu ponownie coś zatrzeszczało.

- Panie prezydencie - Dąbek zwrócił się do Broniewskiego. - Proszę wziąć lornetkę i...

Lecz nie zdążył dokończyć zdania, kiedy z trzech czołgów naraz wystrzeliły trzy potężne 125 mm naboje odłamkowo-burzące lecące w kierunku celu. Po chwili do ich uszu doszedł grzmot rozszerzającej się fali dźwiękowej, a kilka sekund później pędzący jeszcze przed chwilą samochód był już tylko dużą ognistą kulą składającą się z pogiętych blach i nadpalonych części.

- Charoszyj tankist, charoszyj tank - wyszeptał stojący z boku prezydent Banderiuk.

## Epilog

Starszy szpakowaty mężczyzna w eleganckim garniturze i z drewnianą laseczką w ręku stał przed dużym panoramicznym oknem i zamyślony wpatrywał się w przepiękny alpejski krajobraz. Lecz widok gór i rozciągającego się u ich podnóża jeziora nie sprawiał mu już żadnej przyjemności. Tak samo jak nie wywoływały w nim radości pieniądze oraz sprawowana formalnie i nieformalnie od wielu lat władza. Po prostu czuł się już stary.

Bardziej od doczesności interesowała go historia i przeszłość. To w niej coraz częściej zagłębiał się na całe dni, analizując bez końca swoje dotychczasowe życie. Kluczem do jego zrozumienia od zawsze wydawała się mu zawartość stojącej teraz u jego stóp niewielkiej, ale za to dobrze zakonserwowanej metalowej skrzyni. To przez nią w 1945 roku jego ojciec nie ewakuował się jak większość Niemców z terenów Pomorza i Prus Wschodnich na zachód przed zbliżającą się Armią Czerwoną. To ona i jej zawartość była winna traumie, jaką przeżył, będąc świadkiem gwałtu dokonanego na jego matce przez dwóch sowieckich żołnierzy o skośnych azjatyckich oczach. Do dziś jeszcze prawie co noc słyszał we śnie jej rozdzierający krzyk rozpacz i bólu, kiedy jeden z ich polskich robotników przymusowych wyrywał z jej rąk jego malutką płaczącą siostrę... Pamiętał swój strach, kiedy wymykał się z tej strasznej ziemianki i jak później ponownie wpadł w ręce takich samych sowieckich żołnierzy i jak po wielu różnych perturbacjach i przygodach został wywieziony do ZSRR, gdzie trafił do domu dziecka dla wojennych sierot. A potem był konsomoł, partia i szkoła dla sowieckich szpiegów...

- Tyle lat - szepnął do siebie zgorzkniały. - Tyle lat życia poświęciłem, żeby być tym, kim teraz jestem. I po co to wszystko mi było? Po co?

Przed oczami znowu stanęła mu nie wiedzieć czemu zapamiętana z ostatnich chwil tuż przed swoją tragiczną śmiercią

sylwetka matki oraz zamazana twarz siostrzyczki, której nigdy zresztą nie potrafił odtworzyć zbyt wyraźnie w swojej pamięci.

- Boże - wyszeptał. - Jeżeli istniejesz, to dlaczego pozwoliłeś na takie rzeczy?

W tym momencie czuł się po prostu starym i samotnym człowiekiem, wiedzącym, że jego koniec zbliża się wielkimi krokami.

Nagle rozległo się ciche i pojedyncze stuknięcie o ciężkie dębowe drzwi, którymi to mężczyzna coraz częściej odgradzał się od zewnętrznego świata. Natychmiast wrócił do rzeczywistości.

- Proszę - odezwał się niezbyt głośno po niemiecku.

Drzwi lekko skrzypnęły i do gabinetu weszła piękna blondynka o typowo słowiańskiej urodzie i nieziemsko długich i zgrabnych nogach.

- Wiera Anatolija Czubaszko! Kochanie ty moje - na jej widok mężczyzna jakby natychmiast odzyskał wigor i chęć do życia. W tej jednej chwili odmłodził o kilka, kilkanaście lat. - Jak ja się cieszę, że już do mnie dotarłaś. Myślałem, że umrę tu samotnie z nudów - z łatwością przeszedł z niemieckiego na rosyjski.

- Witaj, Aleksieju Aleksandrowiczu - kobieta podeszła do staruszka i cmoknęła go delikatnie w policzek. - Jak zdrowie?

- Dziękuję, w porządku. A co tam słyhać u twojego ojca, naszego drogiego pułkownika Anatolija Zygmuntowicza Czubaszko?

- A dziękuję, jest zdrów i ciągle wiernie służy naszej Rosji.

- To dobrze. Proszę, siadaj, kochana - staruszek wskazał dziewczynie jeden z dwóch ekskluzywnych foteli, a sam rozsiadł się wygodnie w drugim. Lubił tę dziewczynę. W jego wyobraźni tak właśnie wyglądałaby jego wymarzona córeczka, której niestety nie miał. Zazdrościł jej swojemu staremu przyjacielowi Czubaszce.

- Czy w tej skrzyni jest to, o czym myślę? - zapytała, zerkając na leżący na podłodze metalowy przedmiot.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej lekko.

- Tak. To jest ta skrzynia, którą odzyskaliśmy w zeszłym roku, a której tak długo szukaliśmy.

Wiera patrzyła na niego uważnie.

- Jest tam ktoś ciekawy? - zapytała, starając się przy tym, aby w jej głosie nie dało się wyczuć nadmiernego zainteresowania.

- Nie - odpowiedział ledwie słyszalnie staruszek. - W niej akurat nie było nikogo ważnego. Zresztą... Może za późno ją po prostu znaleźliśmy.

Obydwoje zamilkli, a przez głowę mężczyzny natychmiast przewinęło się kilka nazwisk tak ważnych i znaczących dla polskiej polityki i kultury ostatnich kilkudziesięciu lat, a które odnalazł

wśród ukrytych teczek założonych przez niemieckie służby specjalne w czasach drugiej wojny światowej dla ich współpracowników, informatorów i zwykłych szpicli.

- Dużo ludzi zginęło? - zagadnęła ponownie Wiera.

- No cóż... Walka o władzę i pieniądze potrafi być brutalna i często wymaga ofiar - odpowiedział sentencjonalnie staruszek. - Nie jesteś rozczarowana naszym niepowodzeniem? - zmienił nagle temat.

Zmieszana kobieta zagryzła lekko wargę.

- Jestem, Aleksieju Aleksandrowiczu. Nie osiągnęliśmy naszych głównych celów, ale za to sprawiliśmy, że w ich służbach specjalnych zapanował kompletny chaos, rozpoznaliśmy ich możliwości i metody działania, jeszcze bardziej zinfiltrowaliśmy ich potencjalnych agentów. Poza tym przez długi, długi czas będą jeszcze szukać ukrytych u siebie śpiochów, zdrajców i ewentualnych matrioszek... No i cieszę się, że mogłam uczestniczyć w tej operacji i współpracować z wami. Wiem, że to wasza ostatnia akcja, i dlatego jestem dumna że mogłam być jej częścią i że mogłam się od was uczyć.

Staruszek uśmiechnął się do niej lekko.

- Nie smuć się. Nie zawsze wszystko musi się udawać. Widocznie czas matrioszek, tak samo jak i mój, bezpowrotnie minął. W dobie wszechobecnej telewizji, badań lekarskich, DNA i krwi, to i tak nie miałyby sensu...

- Ale Polacy dali się podejść z waszym sobowtórem...

- Polacy... - Aleksandrowicz machnął lekceważąco ręką. - W Brukseli, w Berlinie czy Waszyngtonie taki numer chyba by jednak nie przeszedł. Teraz zostaje nam już tylko możliwość szantażowania tych, na których mamy haki i brzydkie pamiątki z przeszłości takie jak to - mówiąc to, wskazał na leżącą w pobliżu skrzynię.

- A co z tym Tomasikiem? - zmienił nagle temat, mrużąc przy tym figlarnie oko. - Pozwolisz mu żyć?

Wiera westchnęła.

- Polubiłam go. Jest taki uroczo naiwny i zaangażowany w tę swoją walkę. On naprawdę się starał.

- Uważaj, Wiera, uważaj. Przecież ten facet sporo wie. I potrafi zestawiać fakty i wyciągać wnioski. Nie boisz się, że kiedyś znowu zaczniesz dociekać, po co to wszystko tak naprawdę było i dlaczego musiało zginąć aż tylu niewinnych ludzi.

Wiera machnęła lekceważąco ręką.

- Nic nie robi. Zresztą będzie pod naszą dyskretną obserwacją. I nawet jeżeli przyjdzie mu coś głupiego do głowy, to po prostu

wybijemy mu to za pomocą jednej rozmowy.

Mężczyzna pokręcił nieznacznie głową.

- Pamiętaj, kochanie, o jednym: kto ma miękkie serce, ten musi mieć twardy tyłek. Żebyś kiedyś nie musiała tego żałować.

Wiera tylko się roześmiała.

- Nie będę. Aha - nagle jakby sobie coś przypomniała. - Mam do was jeszcze jedną prośbę Aleksieju Aleksandrowiczu.

- Słucham.

- Mój ojciec. On bawi się w wywiad. Potrzebuje sukcesu. Chciałabym mu trochę pomóc. Żeby miał satysfakcję, zanim przejdzie na emeryturę.

- No i?

- Czy mogę skorzystać z naszych drobnych wpływów i sprawić, żeby nijaki podpułkownik Alojzy Dzban z 9. Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancerniej poszedł trochę w górę?

- Tylko tyle? - uśmiechnął się do niej szczerze rozbawiony staruszek.

- Tylko tyle, Aleksieju Aleksandrowiczu!

- Myślę, że możemy to zrobić.

- To dziękuję, Aleksieju Aleksandrowiczu. Żegnaj! Praca z tobą była dla mnie zaszczytem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wiero. Do widzenia.

Kobieta podniosła się z fotela, pocałowała go lekko w policzek, wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Mężczyzna wstał, odwrócił się i utkwiał zamyślony wzrok w panoramicznym oknie z widokiem na Alpy i przepiękne górskie jezioro. Czuł do siebie lekki niesmak, że nie mógł być z nią do końca szczerzy. Naprawdę ją lubił. Choć miał przecucie, że ona wiedziała, że coś przed nią ukrywał. Ale... Czy to coś dla niej zmieniało? Nie udało się im przecież zabić w Polsce prezydenta Ukrainy przy pomocy sobowtóra Tomasza Tomasika. Nie udało się też wskazać bezpośrednio na próbę wojskowej współpracy między Polską a Ukrainą. No i na koniec - nie udało się też podmienić przewodniczącego Rady Europejskiej Damiana Turskiego na wyhodowaną przez nich z takim trudem i tak wielkim kosztem matryoszkę...

W tym momencie jego rozmyślania przerwało ciche pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział głośno po niemiecku.

Drzwi uchyliły się i stanął w nich niewysoki mężczyzna ubrany w elegancką czarną liberię.

- Zaczęło się - zakomunikował krótko.

Aleksandrowicz skinął mu w podziękowaniu głową i sięgnął po leżącego na stole pilota. Włączył nim telewizor i już po chwili na

ekranie ukazał się obraz jednej z niemieckich stacji informacyjnych. Właśnie trwała relacja ze spotkania przywódców państw europejskich, które miało miejsce w Brukseli. Kiedy w pewnym momencie kamera zrobiła zbliżenie na roześmianego i zajętego rozmową z Angelą Merkel przewodniczącego rady Europejskiej Damiana Turskiego, on - dawny Johann Stolz, syn Ulricha Stolza i Anny Nowak, późniejszy konsomolec Misza Krinoczkin, a następnie zastępca szefa zachodnioniemieckiej BND Ulrich Steichmann i jednocześnie od kilkadziesiątu już lat tajny agent najpierw radzieckiego, a później rosyjskiego wywiadu Aleksy Aleksandrowicz - nie potrafił powstrzymać się od zwycięskiego uśmiechu.

\* \* \*

Siedzący na skraju orłowskiego klifu Tomasz zatrząsł się z zimna. Słońce już dawno zniknęło gdzieś za drzewami, a wypite zimne żywcyki nie pomagały w utrzymaniu ciepła. Pomału zaczynała się robić szarówka.

- Wracamy? - zapytał cicho zmęczony już trochę Jarek.

- Nie chce mi się - odparł ciężko Tomasz i westchnął.

Pod ich nogami leżało kilkanaście opróżnionych butelek. W dole, daleko po lewej stronie, jakiś sporych rozmiarów jacht właśnie próbował wejść pod pełnymi żaglami do portu. Sternik musiał się zorientować, że ta sztuczka jest zbyt ryzykowna, bo któryś z załogantów próbował opuścić grotżagiel.

- Co za pajace - skomentował to Tomasz i roześmiał się z trudem.

Od lekkiego powiewu wiatru zaszeleściły nad nimi liście.

- Kurczę, Tomek! - jęknął w końcu zirytowany tym Jarek. - Przestań się boczyć! Wiem, że nie wszystko było ostatnio tak, jak być powinno! Przepraszam! Ale ja mam rodzinę! A ten pieprzony major z ABW, Hubal, Kowalski czy jak mu tam, po prostu mnie szantażował! Pamiętałem go z tego spotkania u prezydenta po akcji z „Warszawą”. Wtedy przecież nam pomógł. Próbowałem cię jakoś ostrzec.

- Wiem - przerwał mu spokojnie Tomasz. - Naprawdę nie mam do ciebie o to żalu. Przecież ostrzegłeś mnie wtedy w bazylice. Domyśliłem się. I nie o to mi chodzi.

- A o co?

- Po prostu jestem bardzo zmęczony. Zresztą major już nie żyje. Zginął. W Orzyszu.

Jarek pokiwał tylko smutno głową.

- Chodź już, Tomek - powiedział po chwili wyraźnie zrezygnowany. - Dziewczyny czekają, a ty masz już na dzisiaj dosyć. Musisz o tym wszystkim po prostu zapomnieć.

- Zapomnieć? - prychnął ironicznie Tomasz i podniósł się ostrożnie z ziemi. - Jak można o tym wszystkim zapomnieć? Przecież zginęło tylu niewinnych ludzi. I po co? Dlaczego? Co to wszystko im dało?!

Jarek nie mogąc udzielić mu żadnej sensownej odpowiedzi, wzruszył tylko bezradnie ramionami i zaczął pakować do torby opróżnione przez nich butelki.

Właśnie kończył, gdy zza pobliskich drzew wychyliły się sylwetki trzech milczących kobiet w towarzystwie biegającej między nimi i merdającej wesoło ogonem Maszy.

- Nie za dużo wypiliście? - zapytała smutnym głosem Agnieszka.

Tomasz machnął tylko lekceważąco ręką i wykrzywił twarz w czymś, co w założeniu miało być uśmiechem.

- Możemy, Tomek, pogadać? - zadała pytanie stojąca nieco na uboczu Milena.

- Jasne - skinął głową Tomasz.

Podniósł się z trudem. Odprowadzani wzrokiem przez pozostałych odeszli wraz z Mileną kilka kroków w głąb lasu. Zatrzymali się pod jednym z rozłożystych buków i kobieta westchnęła.

- O co, Milenka, chodzi? - Tomasik spróbował ułatwić jej początek rozmowy. Mimo wypitego alkoholu domyślał się, z czym do niego przyszła.

Kobieta zagryzła lekko wargi i Tomasik natychmiast skojarzył sobie ten gest z ich wspólnej ucieczki ulicami starego Gdańska. Na samo to wspomnienie gdzieś w środku poczuł jakiś dziwny ucisk.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Uhm - kiwnęła głową. - Chcę ci coś wyjaśnić.

- Mów. Słucham.

Na krótką chwilę zapadło milczenie. Agnieszka z Gosią i Jarkiem byli już daleko z przodu. Zostali sami.

- Ja mam męża.

- Pilota - wtrącił cicho Tomasz.

- Skąd wiesz?

Tomasik uśmiechnął się lekko. W zapadających szybko ciemnościach wyglądało to jednak żałośnie.

- Widziałem fotografię. Wtedy u ciebie w mieszkaniu.

- Aha. Nic nie mówiłeś.

- Po prostu nie było okazji. Więc?

- On jest teraz na misji w Afganistanie.  
- Uhm - mruknął tylko cicho Tomasz.  
- Ten major z ABW mówił, że jak im nie pomogę, to mój mąż może się dowiedzieć, że...  
- Nie kończ. Wiem, co chcesz powiedzieć.  
Tomasik czuł, że robi mu się niedobrze.  
- Chcę stąd wyjechać, Tomek - szepnęła cicho Milena. - Z tobą. Tu nigdy nie będziemy już bezpieczni.  
- Wyjechać? - mruknął w odpowiedzi. - A niby dokąd?  
- Gdziekolwiek! Byle tylko daleko stąd! Jest tyle pięknych miejsc na świecie.  
- A twój mąż?  
- Między nami i tak już dawno nic nie ma.  
Tomasik nie wytrzymał i parsknął cichym zmęczonym śmiechem.  
- Dlaczego się śmiejesz? - spytała dotknięta tym żywo Milena. - Nie ufasz już mi?  
- A powinienem? - wychrypiął mimowolnie trochę złośliwie.  
- Ja...  
- Przestań, Milenka - przerwał jej delikatnie. - Ja po prostu nie chcę stąd wyjeżdżać. Tu jest mój kraj, tu jest mój dom. Tu mam swoich przyjaciół i swoje ulubione miejsca. Nigdzie się stąd nie ruszę, choćby nie wiem kto i jak chciał mnie stąd wykurzyć!  
Milena już nic nie powiedziała. Schwyciła go tylko za rękę i stając na czubkach palców, pocałowała delikatnie w policzek.



*OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH  
MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!*

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)  
e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)  
tel. 510 025 197



*Oficynka*